

— CZAS LEGEND —



MŁOTODZIERZCA

Legenda Sigmara

GRAHAM McNEILL

Księga pierwsza Trylogii Sigmara

Młotodzierżca

Legenda Sigmara

Graham McNeill

*Tłumaczyła
Katarzyna Pleskot*

*Trwa mroczna era, wiek krwi, demonów i czarnoksięstwa.
To również czas bitew, wszechobecnej śmierci i nadchodzącego końca
świata.*

*Pośród zniszczenia i szalejących płomieni rodzą się jednak potężni
bohaterowie - ludzie czynu i wielkiej odwagi.*

*W sercu Starego Świata leży kraina ludzi rządzona przez wiecznie skłóconych
ze sobą plemiennych wodzów.*

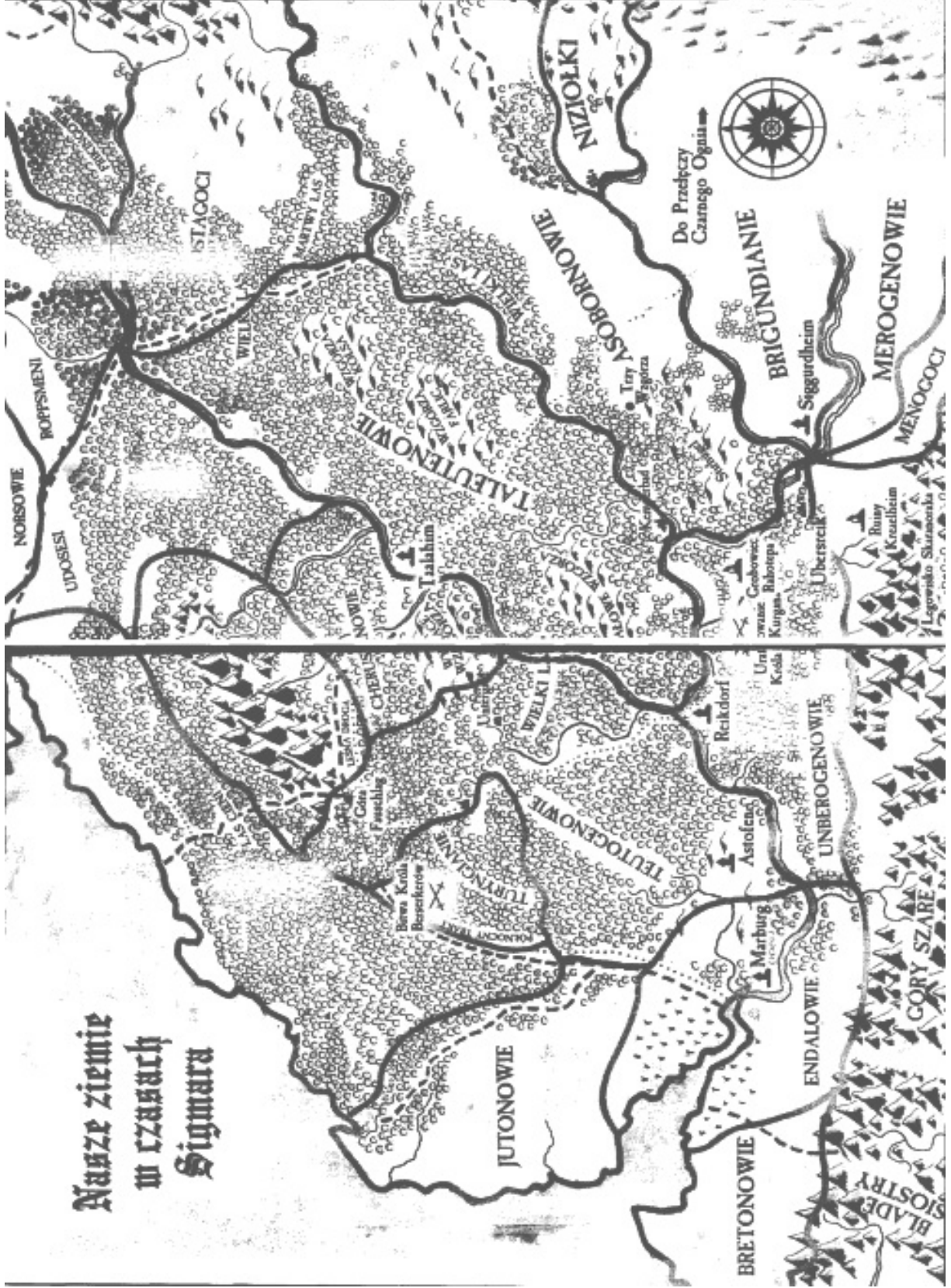
*Jest to kraina podzielona. Na północy król Artur z rodu Teutogenów walczy z
konkurentami do tronu na szczycie wielkiej Góry Fauschlag, podczas gdy
król-berserker z Turyngian wierzy tylko w wojnę i rozlew krwi. To na
południe ludzie muszą się zwrócić w poszukiwaniu pomocy. W Reikdorfie
panują Unberogenowie dowodzeni przez potężnego króla Björna i jego
naznaczonego przepowiednią syna, Sigmara. Unberogenowie wierzą w ideę
zjednoczenia ludzkich plemion. Wierzą słusznie, albowiem jeżeli w obliczu
tak licznych wrogów ludzie nie przewyciężą różnic i nie zdecydują się
wystąpić razem, ich upadek jest przesądzony.*

*Pośród pól mroźnej północy grasują najeźdźcy z Norzki, barbarzyńcy i
czciciele Mrocznych Bóstw, którzy grabią, mordują i niszczą wszystko, co
napotkają na swej drodze. Bagna są nawiedzane przez ponure widma, a w
lasach gromadzą się bestie. Ale to na wschodzie rośnie największe
niebezpieczeństwo ze strony mrocznych sił. Zielonoskórzy od wieków
stanowili zagrożenie dla ludzkich krain, lecz tym razem ich niezliczone hordy
zbierają się do ataku w celu ostatecznego starcia z powierzchnią ziemi
każdego śladu istnienia człowieka.*

Królowie ludzkich plemion mają jednak sprzymierzeńców w strasznej walce.

Krasnoludy zamieszkujące góry, wspaniali kowale i inżynierowie, wspomagają ich przeciwko plugawemu najeźdźcy. Wszyscy muszą trzymać się razem, krasnoludy i ludzie, ponieważ teraz waży się przetrwanie obydwu ras i wiele zależy od tego przymierza.

Nasze ziemie w czasach Sigmara



Księga pierwsza

Wykuwanie człowieka

*Kiedy słońce udaje się na spoczynek
I cały świat okrywa się całunem mroku,
Zapalają się wielkie ogniska
I piwo leje się do dzbanów.
Nadchodzi wtedy czas na opowiedzenie sagi,
jak to w zwyczaju mają krasnoludy,
A najwspanialszą z sag
Jest saga o Sigmarze, największym z wojowników.
Posłuchajcie tego, wysłuchajcie uważnie tych słów.
I żyjcie dalej pełni nadziei.*

Rozdział 1

Przeddzień bitwy

Podążając za cichym pogłosem pieśni i dumnych okrzyków dobiegających z długiego domu stojącego pośrodku osady, dwóch chłopców skradało się w ciemnościach między zabudowaniami. Poruszali się ostrożnie, rozglądając się na boki. Mijali wysokie budynki o drewnianych ścianach, przemykali pod linami ciężkimi od suszących się na nich ryb, aż wreszcie przystanęli przy rozgrzanej od wewnętrznego żaru ścianie kuźni. Żaden z chłopców nie chciał zostać przyłapany, zwłaszcza po zapadnięciu zmroku, w momencie, gdy na murach pojawiły się strażę.

Obaj mieli świadomość, że wyprawa w razie niepowodzenia zakończy się dla nich nie najlepiej, ale byli tak podekscytowani szaleńczym wypadem w głąb Reikdorfu, że łatwo mogli przez nadmierny pośpiech ściągnąć na siebie uwagę strażników.

- Ucisz się! - syknął Cuthwin, gdy Wenyld wpadł na niewidzialną w ciemnościach stertę oheblowanych desek, ułożoną naprzeciwko magazynu stolarskiego.

- Sam się ucisz! - odpowiedział mu przyjaciel, łapiąc w locie spadające kawałki drewna, zanim stukot zdążył ujawnić ich kryjówkę. Chłopcy przycisnęli się do ściany:

- Dziś na niebie nie ma ani gwiazd, ani księżyca. Nic nie widzę.

Cuthwin przyznał w duchu, że była to prawda. Noc była atramentowo czarna, tylko rozstawione na murach osady koksowniki skwiercząc rzucały nieco pomarańczowego światła, w którym widoczne stawały się kontury lasów rozciągających się za Reikdorfem. Wzdłuż obwarowań rozstawieni byli wartownicy, uzbrojeni w łuki i włócznie, których często używali polując w okolicznych gęstych lasach i nad brzegiem Reiku.

- Hej - powiedział Wenyld. - Czy słyszałeś, co powiedziałem?

- Słyszałem - odpowiedział Cuthwin. - Tak, wiem, jest ciemno. W takim

razie zacznij używać uszu. Wojownicy nie siedzą cicho w nocy przed dniem, gdy mają wyruszyć na wojnę.

Obaj chłopcy na chwilę zupełnie znieruchomieli niczym miniatutki statuy Ulryka znajdującej się nad wrotami Reikdorfu.

Wsluchując się w dźwięki nocy, wdychając jej zapachy, pozwalali zmysłom chłonać wrażenia i malować bez użycia wzroku obraz wioski, w której żyli: skrzypienie stygnącego żelaza w kuźni Beorthyna, układającego się do snu po całym dniu ciężkiej pracy przy wykuwaniu mieczy i toporów; prowadzone półgłosem rozmowy kobiet, rozbrzmiewające troską i zmartwieniem, ponieważ przygotowywały odzienie dla swych synów i mężów, którzy o świcie mieli wyruszyć na wojnę; dobiegające ze stajni ciche rżenie koni; słodkawy zapach palonego torfu i niezwykle apetyczny aromat gotowanego mięsa.

Wśród otaczających dźwięków Cuthwin rozpoznawał także nieustanny szum rzecznych fal, odgłos, jaki wydaje woda rozbijając się na bagnistych płyciznach; skrzypienie drewnianych łodzi rybackich dryfujących po powierzchni rzeki, a także jęk wiatru buszującego pośród rozwieszonych sieci. Ogarniał go przez to smutek, ale noce w krainie położonej na zachód od gór rzadko były wesołe, ponieważ był to czas, gdy z lasu wychodziły bestie, aby zabijać i pożerać swoje ofiary.

Rodzice Cuthwina zostali zabici przez zielonoskórych latem zeszłego roku, podczas próby obrony swego obojczyka przed napaścią krwiożerczych najeźdźców. Na myśl o tym Cuthwin wstrzymał oddech i poczuł, jak dłonie zwijają mu się w pięści, podczas gdy umysł podsuwał mu wizje zemsty, jaką wyrze któregoś dnia na potworach, które odebrały mu ojca i przez które został zmuszony do przeniesienia się do Reikdorfu i zamieszkania u wuja.

Mimo że dał się chwilowo pochłonać myślom o zemście, usłyszał stłumiony odgłos śmiechu i pieśni, który dobiegał zza grubych drewnianych ścian i ciężkich, dodatkowo wzmacnianych drzwi. W tym momencie ściany położonego w centrum osady spichlerza zajaśniały odbitym blaskiem, tak jakby ktoś otworzył drzwi lub okiennice w stojącym naprzeciw budynku.

Dodatkowo dało się wyraźniej słyszeć radosną wrzawę i odgłosy hałaśliwej zabawy.

Na krótką chwilę rynek Reikdorfu rozjaśnił się, ale wkrótce potem światło zniknęło równie gwałtownie, jak się pojawiło.

Obaj chłopcy byli podekscytowani myślą o podglądaniu wojowników

króla Björna, którzy nazajutrz mieli wyruszyć do boju z zielonoskórymi. Tylko ci, którzy osiągnęli wiek męski, mogli uczestniczyć w uczcie odbywającej się w królewskich komnatach. Chłopcy nie mogli jednak przepuścić okazji, żeby spróbować odkryć, na czym polega tak pilnie skrywany sekret.

- Widziałeś to? - zapytał Wenyld wskazując palcem w stronę środka wioski.

- Oczywiście, że widziałem - odpowiedział Cuthwin, ściągając w dół ramię przyjaciela. - Nie jestem ślepy.

Mimo że Cuthwin mieszkał w Reikdorfie dopiero od tygodnia, znał tajemnice tego miasta nie gorzej niż dzieci urodzone na miejscu. Jednak teraz, w kompletnych ciemnościach, bez żadnych widocznych punktów charakterystycznych, ledwie rozpoznawał miejsce, w którym się znajdowali. Wioska wydawała się mu nieprzyjazna i wroga, a jej topografia nieznaną.

Przypomniał sobie obraz, jaki wyrył mu się w pamięci w momencie rozbłysku światła, po czym chwycił Wenylda za rękę.

- Będę nas prowadził tam, skąd dobiegają głosy wojowników - powiedział. - Trzymaj się mnie, a zaraz dotrzemy na miejsce.

- Ale przecież jest tak ciemno - zaprotestował Wenyld.

- Nieważne - odpowiedział Cuthwin. - Znajdę drogę naokoło, nawet w ciemnościach. Tylko się nie oddalaj.

- Nie będę - obiecał Wenyld, ale Cuthwin usłyszał, że w głosie przyjaciela zdrzała nuta niepewności. Sam poczuł się trochę nieswojo, ponieważ wuj nie ociągał się z użyciem różgi, kiedy przychodziło do wymierzenia kary. Zdusił jednak strach, powtarzając sobie, że jest przecież jednym z Unberogenów, członkiem najpotężniejszego plemienia wojowników na północ od Gór Szarych, a jego serce jest prawe i mocne.

Wziął głęboki oddech i puścił się biegiem w stronę oświetlonej przed chwilą ściany spichlerza, podążając zapamiętaną ścieżką, gdzie nie powinno znajdować się nic, o co mógłby się potknąć i narobić hałasu. Miał jednak duszę na ramieniu, gdy przemierzał otwartą przestrzeń rynku, omijając miejsca, gdzie, jak pamiętał, znajdowały się pułapki w postaci potłuczonych naczyń, mogące wydać zdradliwy dźwięk, gdyby rozgniół je stopą. Pomimo że zdołał rzucić tylko krótkie spojrzenie na trasę, którą teraz podążał, obraz ten zapadł mu głęboko w pamięć i mógł go sobie przypomnieć z takimi szczegółami, jakby to był jeden z wilków na sztandarach wojennych króla

Björna.

Przypomniało mu się, jak ojciec uczył go poruszać się po ciemnym lesie. Skradał się bezgłośnie jak duch, lawirując między obiektami znajdującymi się na rynku, licząc kroki i ciągnąc za sobą Wenylda. Zatrzymał się na chwilę, po czym ruszył wolniejszym krokiem, teraz z zamkniętymi oczami, pozwalając uszom gromadzić wszystkie potrzebne informacje o otoczeniu. Odgłosy zabawy stawały się coraz głośniejsze, a odbijając się od ścian budynków tworzyły mapę w umyśle chłopca.

Cuthwin wyciągnął przed siebie dłoń i uśmiechnął się w ciemnościach, gdy poczuł pod palcami kamienną ścianę królewskiego długiego domu. Skały były uformowane na kształt sześcianów i pokryte płaskorzeźbami. Zostały wydobyte przez krasnoludzkich górników z kamieniołomów w Górach Krańca Świata i przywiezione wiosną do Reikdorfu jako dar dla króla Björna.

Przypomniał sobie, jak z mieszaniną podziwu i trwogi obserwował krasnoludy, przerażające, przysadziste postaci w błyszczących zbrojach, które nie zwracały uwagi na otaczających je ludzi, rozmawiając tylko ze sobą szorstkimi głosami podczas stawiania długiego domu dla króla, co zajęło im zaledwie jeden dzień. Krasnoludy odrzucały każdą propozycję pomocy i nie zostały w osadzie o minutę dłużej, niż to było niezbędne. Wszystkie oprócz jednego wyruszyły na wschód, gdy tylko budowla została ukończona.

- Czy jesteśmy na miejscu? - zapytał szeptem Wenyld.

Cuthwin skinął głową, przy czym zdał sobie sprawę, że Wenyld i tak nie jest w stanie tego zobaczyć.

- Tak - odpowiedział, zniżając głos. - Ale bądź cicho. Jeżeli zostaniemy złapani, czeka nas co najmniej tydzień pracy przy opróżnianiu wychodków.

Cuthwin zatrzymał się na chwilę, by uspokoić oddech, a następnie zaczął przesuwać się wzdłuż ściany, wyciągając przed siebie dłoń, aby wyczuć, kiedy dotrze do rogu budynku. Kiedy go wreszcie dotknął, wydał mu się tak gładki i ostry jak ostrze topora. Ostrożnie obszedł go, przy okazji zerkając w górę, ponieważ właśnie w tej chwili chmury rozstały się i jasne światło gwiazd rozświetliło na moment ciemne niebiosy nad nim.

Światło rozbłysło na ścianach z ociosanego przez krasnoludy kamienia sprawiając wrażenie, jakby w kamiennych blokach również utkwione były gwiazdy i chłopiec przystanął na moment, żeby podziwiać niesamowite mistrzostwo, z jakim zostały wykonane.

Pokonawszy róg budynku Cuthwin mógł dojrzeć szerokie wrota

wykonane z grubych bali drewna i ozdobione kanciastymi obejmami z ciemnego żelaza oraz płaskorzeźbami przedstawiającymi młoty i błyskawice. Okiennice, pod którymi się znajdowali, były zaryglowane i tak ciasno przylegały do framug, że między drewno a kamień nie dałoby się wcisnąć ostrza noża.

Przez okiennice przedostawały się jednak stłumione odgłosy hulanki, brzęk dzbanów z piwem, dźwięki intonowanych pieśni wojennych i stukot mieczy o metalowe guzy na tarczach.

- Patrz tu - wskazał okiennicę nad nimi. - Zobaczmy, czy uda nam się coś przez to zobaczyć.

Wenyld skinął głową i stwierdził:

- Ja pierwszy.

- Dlaczego ty? - zapytał Cuthwin. - To ja nas tu doprowadziłem.

- Ponieważ jestem starszy - skwitował Wenyld i Cuthwin nie mógł dyskutować z tak oczywistym argumentem, dlatego posłusznie splótł palce na wzór „strzemion” używanych pośród jeźdźców taleuteńskich, aby przyjaciel mógł oprzeć stopę na jego dłoniach.

Oparł się plecami o kamienną ścianę i powiedział:

- No dobrze, wespnij się i zobaczymy, czy będziesz potrafił uchylić okiennicę na tyle, żebyśmy mogli zajrzeć do środka.

Podeksycytowany Wenyld skinął głową i umieścił stopę na dłoniach Cuthwina, opierając się przy tym rękoma o barki przyjaciela. Cuthwin nabrał powietrza, po czym uniósł Wenylda stękając z wysiłku i odwracając głowę, aby uniknąć spotkania z kolanem chłopca.

Rozsunął trochę stopy, żeby waga Wenylda równomiernie obciążała mu stawy i wyciągnął szyję, żeby dojrzeć, co w tym czasie robił przyjaciel. Okiennica tkwiła mocno w ramie i Wenyld mocno przyciskał twarz do desek, próbując wypatrzeć coś między szczelinami.

- No i co? - zapytał Cuthwin, zamykając oczy, żeby skupić się na podtrzymywaniu Wenylda. - Co widzisz?

- Nic - odpowiedział Wenyld. - Nic nie widzę, deski zbyt mocno przylegają do siebie.

- Nic dziwnego, to porządne krasnoludzkie rzemiosło - dobiegł ich z tyłu męski głos. Chłopcy zamarli w bezruchu.

Cuthwin powoli odwrócił głowę i otworzył oczy. Zobaczył przed sobą mocno zbudowanego, oświetlonego blaskiem gwiazd wojownika, który

wydał mu się tak potężny, jakby został wykuty z tego samego kamienia, który został użyty do budowy długiego domu.

Sama fizyczna obecność mężczyzny zaparła Cuthwinowi dech w piersiach i rozluźnił splecione palce podtrzymujące Wenylda. Przyjaciel rozpaczliwie próbował chwycić się krawędzi okiennicy, ale nie udało mu się utrzymać i ku jego jeszcze większemu zażenowaniu spadł na ziemię razem z kawałkami desek. Cuthwin strząsnął z siebie klnącego na czym świat stoi przyjaciela. Wiedział, że i tak czeka go kara, ale chciał stawić czoła tajemniczemu wojownikowi bez okazywania strachu.

Szybko stanął na nogi i zaczął dokładnie przyglądać się człowiekowi, który ich nakrył. Początkowa niechęć rychło przerodziła się w podziw w miarę jak wpatrywał się w szczerą, przystojną twarz. Jasne włosy wojownika lśniły w świetle gwiazd niczym srebro, przytrzymywane przez opaskę ze skręconego miedzianego drutu. Masywne ramiona opasywały żelazne naramienniki. Z ramion spływała peleryna z niedźwiedziego futra i Cuthwin dojrzał, że pod spodem mężczyzna był odziany w błyszczącą zbroję i przepasany szerokim pasem z grubej skóry.

Przy pasie w pochwie spoczywał nóż myśliwski o długim ostrzu, ale to broń zwisająca obok przykuła uwagę Cuthwina.

Wojownik był uzbrojony w wielki młot bojowy, a Cuthwin dosłownie pożerał broń wzrokiem, przypatrując się zwłaszcza niezwykłym rzeźbieniem, które lśniły w świetle gwiazd.

Młot bojowy był niesamowitą bronią, jego rękojeść została wykonana z jakiegoś nieznanego metalu rękoma starszymi niż można to sobie wyobrazić. Żaden człowiek nie wykuł nigdy tak doskonałej broni niosącej zniszczenie, żaden kowal nie stworzył również tak straszliwego narzędzia.

Wenyld skoczył na równe nogi, gotowy do ucieczki, ale on również stanął jak zaczarowany wpatrując się w niezwykłego wojownika.

Wojownik pochylił się i Cuthwin zauważył, że był jeszcze młody, mógł sobie liczyć mniej więcej piętnaście wiosen. W zimnym spojrzeniu jego oczu, z których jedno było bladoniebieskie, a drugie w odcieniu głębokiej zieleni, tkwiły iskierki ironicznego rozbawienia.

- Pokonanie trasy przez rynek w ciemnościach poszło ci bardzo dobrze, chłopcze - odezwał się wojownik.

- Nazywam się Cuthwin - powiedział hardo chłopiec. - Mam prawie dwanaście lat, jestem prawie dorosłym mężczyzną.

- Prawie - odpowiedział wojownik. - Ale wciąż jeszcze nim nie jesteś, Cuthwinie. To miejsce przyjmuje dziś wojowników, którzy wkrótce mogą zginąć na polu bitwy. Ta noc jest przeznaczona dla nich i tylko dla nich. Nie spiesz się zbyt, nadejdzie twój czas na takie sprawy. Na razie ciesz się dzieciństwem, póki możesz. A teraz uciekajcie stąd, no już.

- Nie ukarzesz nas? - zapytał Wenyld, a Cuthwin dźgnął go łokciem w żebra.

Wojownik uśmiechnął się i odpowiedział:

- Powinienem, ale to, w jaki sposób zapuściliście się tak daleko pozostając niezauważonymi, wymagało umiejętności i doceniam to.

Cuthwin poczuł się trochę zażenowany faktem, że pochwała z ust tego wojownika sprawiła mu tak wielką przyjemność i rzekł:

- To ojcu zawdzięczam, że nauczył mnie poruszać się tak, żeby nikt mnie nie spostrzegł.

- Jest w takim razie dobrym nauczycielem. Jak mu na imię?

- Miał na imię Gethwer - odpowiedział Cuthwin. - Zabili go zielonoskórzy.

- Przykro mi to słyszeć, Cuthwinie - powiedział wojownik. - Wiedz jednak, że jutro wyruszamy na bitwę z zielonoskórami i zaręczam ci, że wielu z nich zginie z naszych rąk. A teraz nie ociągajcie się dłużej, zmykajcie stąd, zanim waszą obecność odkryje ktoś mniej litościwy i sprawi wam lanie.

Cuthwinowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Odwrócił się na pięcie i czmychnął na przełaj przez rynek. Gwiazdy skryły się za chmurami, ale on pamiętał drogę od długiego domu do spichlerza znajdującego się na rogu głównego placu. Słyszał za sobą tupot stóp i zaryzykował nawet krótkie zerknięcie do tyłu, gdzie ujrzał szybko zbliżającego się Wenylda. Starszy chłopak szybko go prześcignął, a na jego twarzy ukazał się wyraz olbrzymiej ulgi, gdy tylko dotarli za róg drewnianego spichlerza.

Chłopcy przystanęli pod ścianą budynku oddychając ciężko i śmiejąc się nerwowo, aby rozładować napięcie, po tym jak ledwie uniknęli złapania.

Cuthwin rozglądał się dookoła rozpamiętując spotkanie z nieustraszonym wojownikiem, który odesłał ich do domu. To był człowiek, który nie lękał się niczego, człowiek, który z podniesionym czołem i wzniesionym młotem bojowym powitałby każde zagrożenie.

- Kiedy dorosnę, chcę być taki jak on - westchnął Cuthwin, kiedy odzyskał oddech.

Wenyld zgiął się wpół, wciąż ciężko dysząc.

- Nie wiesz, kto to był?

- Nie - zdziwił się Cuthwin. - Kto to taki?

Wenyld wydusił z siebie:

- To był królewski syn. To był Sigmar.

Sigmar z uśmiechem obserwował chłopców uciekających jakby sam Olfhednar deptał im po piętach. Przypomniało mu się, jak sam za młodych lat podkraść się pod dawny długi dom w noc poprzedzającą wyprawę Unberogenów pod wodzą jego ojca, wyruszających na bitwę z Turyngianami. Jednakowoż on sam nie potrafił się wówczas skradać tak dobrze, jak ten chłopak, którego przed chwilą wypuścił, i do tej pory ze szczegółami pamiętał lanie, jakie ojciec sprawił mu po odkryciu tego postępuku.

Usłyszał pośpieszny tupot stóp tuż za plecami. Wiedział, jeszcze zanim się odwrócił, że oto nadbiegał Wolfgart, jego najwierniejszy przyjaciel i brat miecza.

- Byłeś dla nich za miękki, Sigmarze - stwierdził Wolfgart. - Pamiętam lanie, jakie my dostaliśmy. Dlaczego nie dałeś im nauczki, że nie powinno się szpiegować wojowników w Noc Krwi?

- Złapano nas tylko dlatego, że nie potrafiłeś wystarczająco długo utrzymać mnie w górze - wytknął mu Sigmar, odwracając się w stronę muskularnego młodego mężczyzny w zbroi z narzuconym na nią płaszczem z wilczej skóry. Miecz z długą rękojeścią spoczywał w pochwie przewieszanej na mocnych ramionach, a niesforne kosmyki ciemnych włosów igrały wokół młodej twarzy. Wolfgart był o trzy lata starszy od Sigmara, przystojny, a w tej chwili również mocno poczerwieniały na twarzy od gorąca, tłustego jedzenia i dużej ilości alkoholu.

- Tylko dlatego, że rok wcześniej złamałeś mi rękę młotem kowalskim.

Sigmar rzucił okiem na łokieć przyjaciela zmiażdżony pięć lat wcześniej, kiedy pokonany przez starszego chłopca w ćwiczebnym pojedynku dał się ponieść złości i podniósł broń na niczego niespodziewającego się Wolfgarta. Przyjaciele już dawno temu zdążyli się pogodzić, ale Sigmar miał nigdy nie zapomnieć tego niegodnego uczynku, tak samo jak lekcji samokontroli, jakiej udzielił mu król, dowiedziawszy się o całym wydarzeniu.

- Masz rację - przyznał Sigmar, poklepując przyjaciela po ramieniu i

kierując się z powrotem w stronę długiego domu. - Nie pozwolisz mi o tym zapomnieć do końca życia.

- No pewnie! - zaryczał Wolfgart z poczerwieniałymi od *ale* policzkami, zionąc zapachem przyprawionego ziołami trunku. - Wygrałem w sprawiedliwej, równej walce, po czym ty zaatakowałeś mnie od tyłu!

- Wiem, wiem - zgodził się Sigmar, kierując się w stronę drzwi.

- A w ogóle to co porabiałeś na zewnątrz? Picie czeka!

- Musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza - odpowiedział Sigmar. - A poza tym, czy nie za dużo już na dzisiaj tego picia?

- Świeżego powietrza? - wymamrotał Wolfgart, zupełnie ignorując resztę wypowiedzi Sigmara. - Jutro rano nawdychasz się mnóstwo świeżego powietrza. Teraz jest czas ucztowania, picia i oddawania hołdu Ulrykowi. Niełożenie ofiary bogom to zły omen przed jutrzejszym starciem.

- Wiem o tym, Wolfgarcie. Ojciec mnie tego nauczył.

- Więc wracaj do środka - powiedział Wolfgart. - Zanim zaczniesz się zastanawiać, gdzie się podziewasz. Nie powinieneś opuszczać towarzystwa braci miecza podczas Nocy Krwi - to zły omen.

- Dla ciebie wszystko jest złym omenem - zachnął się Sigmar.

- Ale to prawda. Rozejrzyj się po świecie, w którym przyszło nam żyć - odpowiedział Wolfgart, po czym przerwał na chwilę i oparł się o ścianę długiego domu po to, aby malowniczo zwymiotować na arcydzieło krasnoludzkich rąk. Wierzchem dłoni startł błyszczące nitki śliny zwisające mu z podbródka i kontynuował:

- Po prostu pomyśl o tym przez chwilę. Wszędzie, gdzie nie spojrzysz czai się coś, co chce cię zabić: w górach zielonoskórzy, w lasach bestie albo wrogie nam ludzkie plemiona jak Asobornowie, Turyngianie czy Teutogenowie. Zarazy, głód i czarnoksiężstwo panoszą się wszędzie. I co, czyż nie jest tak, że wszystko dookoła stanowi dla nas zły omen?

- Ktoś chyba znowu za dużo wypił? - zapytał rozbawiony głos dobiegający od strony drzwi do długiego domu.

- Oby Ranald ususzył ci przyrodzenie, Pendragu! - ryknął Wolfgart, a następnie osunął się na kolana, opierając czoło o zimną kamienną ścianę długiego domu.

Sigmar rzucił okiem nad ramieniem przyjaciela i ujrzał dwóch wojowników wynurzających się z ciepłego i rozświetlonego wnętrza długiego domu. Obaj byli w jego wieku, odziani w dobrej jakości koszulki

kolcze i ciemnoczerwone tuniki. Wyższy z nich miał włosy w kolorze zachodzącego słońca i nosił gruby płaszcz z błyszczących zielonych łusek, które opalizowały w świetle gwiazd. Jego towarzysz o zmartwionej twarzy miał z kolei narzucony na ramiona długi płaszcz z wilczej skóry udrapowany ciasno na drobnych barkach.

Wysoki wojownik o płomiennorudych włosach, do którego zwrócił się Wolfgart, zignorował obrazę pod adresem swej męskości i zapytał:

- Czy on da radę jutro wsiąść na konia?

Sigmar kiwnął głową i odpowiedział:

- Oczywiście, Pendragu, wywar z korzenia waleriany leczy przecież wszystko.

Pendrag spojrział z powątpiewaniem, ale wzruszył tylko ramionami i obrócił się w stronę w towarzysza w płaszczu z wilczej skóry:

- Trinovantes sądzi, że powinieneś wejść do środka, Sigmarze.

- Obawia się, że się przeziębisz? - zapytał ironicznie Sigmar.

- Twierdzi, że widział znak - odpowiedział Pendrag.

- Znak? - zdziwił się Sigmar. - Jaki znak?

- Zły omen oczywiście - wyrzucił z siebie Wolfgart. - Czy są w ogóle jakieś inne? Nikt teraz nie mówi o dobrych.

- Ależ ludzie mówią tak o narodzinach Sigmara - zaprotestował Trinovantes.

- Ano tak, rzeczywiście to było radosne wydarzenie - jęknął Wolfgart. - Urodził się podczas rozlewu krwi, a jego matka zginęła z rąk orków. To dopiero były cholernie dobre znaki.

Sigmar poczuł ukłucie żalu i złości na wzmiankę o śmierci matki, ale tak naprawdę nigdy jej nie znał i jedyne, co o niej wiedział, pochodziło z opowieści ojca. Wolfgart miał rację. Wszystkie znaki związane z jego narodzinami okazały się wróżyć nie więcej jak tylko krew i śmierć.

Pochylił się i przerzucił sobie ramię Wolfgarta na kark, próbując podźwignąć go z ziemi. Wolfgart był ciężki, a teraz dodatkowo bezwładny, więc Sigmar ugiął się pod jego ciężarem. Trinovantes pospieszył ku nim i ujął Wolfgarta za drugie ramię. Na wpół niosąc, na wpół ciągnąc pijanego przyjaciela, prowadzili go w stronę ciepła bijącego ze środka długiego domu.

Sigmar przyjrzał się twarzy Trinovantesa, która była nad wiek poważna i zatroskana.

- Powiedz mi - zagadnął. - Jaki znak widziałeś?

Trinovantes pokręcił głową:

- To nic takiego, Sigmarze.

- No dalej, powiedz mu - wtrącił się Pendrag. - Musisz mu powiedzieć, to niesprawiedliwe ukrywać to przed nim.

- No dobrze - zgodził się Trinovantes. Wziął głęboki oddech i wyrzucił z siebie: - Dziś rano widziałem, jak na dachu długiego domu wylądował kruk.

- I co...? - zapytał Sigmar, po chwili nasłuchiwania, gdy Trinovantes nie kontynuował wypowiedzi.

- I nic - odpowiedział Trinovantes. - To wszystko. Pojedynczy kruk to znak żałoby. Pamiętasz, jak w zeszłym roku taki sam kruk wylądował na dachu domu Beithara? Nie minął tydzień i ten umarł.

- Ależ Beithar miał prawie cztery krzyżyki na karku - powiedział Sigmar. - Był już starym człowiekiem.

- No widzisz - roześmiał się Pendrag. - Nie cieszysz się, że cię ostrzeżliśmy, Sigmarze? Teraz będziesz musiał zostać w domu i pozwolić nam zająć się wojaczką, ponieważ najwyraźniej opuszczanie murów Reikdorfu jest dla ciebie zbyt niebezpieczne.

- Możesz się śmiać - powiedział cicho Trinovantes. - Ale kiedy orcza strzała utkwi ci w sercu, nie mów, że cię nie ostrzeżałem.

- Żaden ork nie trafiłby w moje serce, nawet gdybym stanął na wprost niego i pozwolił mu swobodnie celować! - wykrzyknął Pendrag. - Jeżeli wołają bogów będzie, żebym zginął z rąk orków, to z pewnością stanie się to za sprawą topora utkwionego w mej piersi i pośród wielu orczych trupów padłych z mojej ręki. Na pewno nie dam się zabić jakiejś marnej strzale!

- Dość gadania o śmierci! - ryknął Wolfgart, który odnalazł w sobie nowe siły i uwolnił się od pomocnych ramion przyjaciół. - Takie rozmowy przed bitwą to zły omen! Muszę się napić!

Sigmar uśmiechnął się pod nosem obserwując, jak przyjaciel przeczesuje dłońmi niesforne włosy i rześko sfluwa lśniąca plwociną na ziemię pod stopami. Nie znał nikogo, kto potrafiłby tak szybko jak Wolfgart przejść ze stanu pijackiego zamroczenia do potrzeby napicia się kolejnego kufelka. Był też pewien, że wbrew obawom Pendraga, jutro ujrzą Wolfgarta jeżdżącego na koniu równie pewnie i umiejętnie jak zazwyczaj.

- Co my jeszcze tutaj robimy? - pogonił towarzyszy Wolfgart. - No dalej, to piwo samo się nie wypije.

Zanim którykolwiek z nich zdołał odpowiedzieć, w nocnym powietrzu

Reikdorfu rozległo się wycie wilków, chór dobiegający z najciemniejszych głębin lasu, głos niosący ze sobą dziką radość i wspomnienie pradawnych czasów. Zaraz potem do wycia zaczęły dołączać następne głosy, aż wreszcie wszystkie wilki zamieszkujące Wielki Las zjednoczyły się we wspólnym skowycie.

- Chcieliście znaku, bracia, to go macie - powiedział Wolfgart. - Ulryk jest z nami. A teraz zapraszam do środka. To w końcu Noc Krwi i zdaje mi się, że mamy jeszcze sporo krwi do poświęcenia Ulrykowi.

Iskry z paleniska rozprysły się na wszystkie strony niczym stado świetlików po tym, jak w ogniu płonącym pośrodku długiego domu należącego do plemienia Unberogenów wylądowała kolejna szczapa drewna. Wnętrze budynku wypełnione było żarem bijącym od ognia i od ciał setek wojowników śmiejących się i śpiewających w wielkiej sali. Wrzawa wypełniała całe pomieszczenie aż po mistrzowsko położony dach z ciężkich bali.

Budynek ten wzniosły dla króla Unberogenów krasnoludy w uznaniu odwagi jego syna, który uratował ich króla, Kurgana Żelaznobrodego, przed śmiercią z rąk orków. Potężne kamienne ściany, których przeznaczeniem było gościć wiele pokoleń królów, tej nocy dawały schronienie wojownikom, zgromadzonym tu, aby uczcić Ulryka i radośnie spędzić noc, która dla wielu z nich mogła okazać się ostatnią.

Sigmar torował sobie drogę przez rozbawiony tłum, kierując się w stronę znajdującego się na końcu sali podium, na którym siedział na rzeźbionym dębowym tronie jego ojciec. Przy prawym boku króla stał Alfgeir, Marszałek Reiku i królewski czempion, a po lewej Eoforth, jego zaufany doradca i stary przyjaciel.

Obrazy, dźwięki i zapachy zaatakowały zmysły Sigmara, gdy tylko wkroczył do sali: pot, pieśni, krew, mięsiwo, piwo i dym. Przed drewnianym posągami Taala, boga polowania, obracały się na rożnach trzy olbrzymie dziki, skwiercząc i rozpryskując wokół kropelki tłuszczu. Mimo że zjadł już tyle, że mógłby pościć przez następny tydzień, zapach pieczonego mięsa sprawił, że ślinka napłynęła mu do ust. Uśmiechnął się, gdy ktoś wcisnął mu do rąk kubek z piwem.

Wolfgart natychmiast opróżnił kolejny tego wieczoru kufel, po czym

zaczął próbować swoich sił w zawodach w siłowaniu się na rękę. Trinovantes sięgnął po talerz z jedzeniem i kubek wody, obserwując Wolfgarta ze zmartwionym wyrazem twarzy. Tymczasem Pendrag odszukał siedzącego w rogu krępego, brodatego krasnoluda, który obserwował hulankę z nieskrywanym zadowoleniem.

Krasnolud zwał się Alaryk i przybył z gór wczesną wiosną wraz z grupą swych pobratymców wysłanych przez Kurgana Żelaznobrodego w celu zbudowania nowego długiego domu. Po ukończeniu prac krasnoludy odeszły, ale Alaryk pozostał, aby uczyć kowali z plemienia Unberogenów tajników metalurgii. Wiedza ta czyniła z Unberogenów najlepiej uzbrojony lud spośród wszystkich zachodnich plemion.

Sigmar pozwolił przyjaciołom zająć się swymi sprawami, ponieważ wiedział, że każdy wojownik ma własny sposób na przetrwanie Nocy Krwi. Kiedy przechodził przez salę, wojownicy poklepywali go po ramionach, życzyli mu szczęścia w jutrzejszym starciu, a także przechwalali się, jak wiele orków zabiją jutro na jego chwałę.

Uśmiechał się, słysząc te przechwałki, ale było mu ciężko na sercu na myśl o tym, ilu z nich nie przeżyje następnego dnia. Byli to twardzi, zaprawieni w boju wojownicy, którzy do tej pory walczyli pod wodzą ojca, a jutro pójdą do boju pod sztandarem syna. Mijając ich, przyglądał się twarzom wojów, ale mimo że słyszał, że coś do niego mówią, nie był w stanie zrozumieć ani słowa.

Znał i kochał tych mężczyzn, ojców i mężów, i wiedział, że wszyscy staną jutro na polu bitwy gotowi wykonać każdy jego rozkaz.

Prowadzić ich do boju to wielki zaszczyt. Zaszczyt, co do którego nie był pewien, czy to właśnie on jest osobą, która powinna go dostąpić.

Sigmar otrząsnął się z melancholijnych myśli, gdy tylko wydostał się z tłumu odzianych w zbroje wojowników i stanął przed obliczem ojca. Król Björn siedział na podwyższeniu pomiędzy dwoma rzeźbami przedstawiającymi wilki szczerzące kły. Władca plemienia Unberogenów wzbudzał strach i szacunek mimo zaawansowanego wieku.

Na włosach koloru żelaza splecionych w liczne warkocze zwisające wokół twarzy i wzdłuż szyi spoczywała brązowa korona. Oczy o barwie i twardości krzemienia, które przez całe życie nie odwracały się widząc rozmaite przerażające sceny, teraz patrzyły z ojcowską czułością na zgromadzonych poniżej wojowników, którzy modlili się do Ulryka prosząc o

odwagę w nadchodzącej bitwie.

Mimo że ojciec Sigmara nie miał nazajutrz wyruszyć na pole bitwy, był dziś odziany w koszulkę kolczą wykonaną przez Alaryka. Jakością przewyższała ona każde podobne dzieło ludzkich rąk, a krasnolud potrzebował tylko niecałego dnia na jej wykucie. Na kolanach króla spoczywał jego osławiony topór, Żniwiarz Dusz, którego podwójne ostrze lśniło teraz na czerwono w blasku ognia.

Gdy Sigmar podszedł do tronu, odziany w brązową zbroję Alfgeir skinął głową, ale oprócz tego na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień, zupełnie jakby była wyrzeźbiona z granitu. Eoforth skłonił się przed królewskim synem i cofnął się o krok. Jego długie szaty wydawały się nieco nie na miejscu w pomieszczeniu pełnym odzianych w zbroje wojowników, ale to nie ze względu na talent do wojaczki król tak bardzo go cenił. To inteligencja czyniła go jednym z najbardziej zaufanych królewskich doradców. Jego wskazówki były zawsze szlachetne i sprawiedliwe, a Unberogenowie częstokroć korzystali z jego mądrości i zdolności do przewidywania przyszłych wydarzeń.

- Synu mój! - zawołał Björn, przywołując Sigmara do siebie gestem ręki. - Czy wszystko w porządku? Wyglądasz na zmartwionego.

- Nic się nie stało - odpowiedział Sigmar, zajmując miejsce po prawicy ojca. - Nie mogę doczekać się świtu. Chciałbym już nabić Kościołamacza na czubek mojego miecza i przegonić jego armię z powrotem w góry.

- Niech będzie przeklęte jego imię - powiedział Björn. - Ten przeklęty zielonoskóry watażka był zmorą naszego ludu przez zbyt wiele lat. Im szybciej jego głowa zawiśnie nad tym tronem, tym lepiej.

Sigmar podążył wzrokiem za spojrzeniem ojca, który podziwiał trofea przytwierdzone do ściany znajdującej się za ich plecami. Królewski syn czuł olbrzymią presję, jaka na nim ciążyła, aby dostarczyć kolejny okaz. Znajdowały się tu orki, leśne bestie oraz plugawe potwory z wielkimi kłami, kręconymi rogami i obślizgłą łuskowatą skórą, które zostały nadziane na żelazne włócznie i splamiły mur bryzgami krwi.

Wśród nich wisiała głowa Skarskana Krwiohelma, który zagroził Endalom, że wypędzi ich z ojczystych ziem, ale wtedy Björn przybył na pomoc królowi Marbadowi. Była tu też skóra zdarta z wielkiej, bezimiennej bestii, która zamieszkiwała Wyjące Wzgórze i terroryzowała Cherusenów przez długie lata, dopóki nie przybył król Unberogenów, który odnalazł jej

legowisko i odciął poczwarze łeb jednym ciosem Żniwiarza Dusz.

Otaczało ich wiele takich trofeów, a zdobyciu każdego z nich towarzyszyła opowieść o nadludzkiej odwadze, której Sigmar wysłuchiwał będąc dzieckiem i bawiąc się u stóp ojca. To wtedy w jego duszy po raz pierwszy narodziła się tęsknota za życiem pełnym bohaterskich czynów.

- Jakież wieści od jeźdźców, których wysłałeś na południe? - zapytał ojciec i wyrwał Sigmara z rozmyślań na temat próby dorównania rodzicielowi w heroicznym uczynekach.

- Tak - odpowiedział Sigmar. - Ale obawiam się, że są to raczej niepomyślne nowiny. Dużo orków zeszło z gór, ale nie zamierzają się wycofać. Zazwyczaj schodziły w doliny, łupiły i wracały na wyżyny, ale teraz, pod wodzą Kościółamacza są lepiej zorganizowane, a po każdej rzezi pod jego sztandary zgłasza się kolejna grupa ochotników.

- Nie ma zatem czasu do stracenia - stwierdził ojciec. - Wyświadczysz temu krajowi ogromną przysługę i przy okazji zasłużysz na swoją tarczę. Osiągnięcie wieku męskiego to bardzo ważne wydarzenie, a przy okazji najbardziej wymagająca próba dla twojej odwagi. To naturalne, że odczuwasz strach.

Sigmar wyprostował się, czując na sobie czujne spojrzenie ojca i odpowiedział:

- Nie boję się, ojcze. Zdarzyło mi się już walczyć z zielonoskórymi i ich zabijać, nie obawiam się też śmierci.

Król Björn pochylił się w stronę syna i zniżył głos tak, że nikt więcej nie mógł usłyszeć, o czym rozmawiają:

- Nie mówię o strachu przed śmiercią. Wiem, że miałeś do czynienia z wielkimi niebezpieczeństwami i udało ci się przeżyć. Byle głupiec potrafi machać mieczem, ale prowadzić ludzi do boju, trzymać ich życie w swoich rękach, wystawić się na oceny i komentarze ze strony króla i innych wojowników - to są rzeczy, których nie wstyd się bać. - W twoim żołądku uwił sobie gniazdo wąż strachu, synu. Wiem to, ponieważ ścisnął i moje wątpia, kiedy Redmane Dregor, twój dziadek, wysłał mnie, abym zdobył swoją tarczę.

Sigmar spojrzał ojcu głęboko w szare oczy i zobaczył w nich zrozumienie tego, co czuł. Świadomość, że tak potężny wojownik jak Björn, król Unberogenów, zmagął się kiedyś z tym samym uczuciem, sprawiła, że odetchnął z ulgą.

- Zawsze wiedziałeś, o czym myślę - uśmiechnął się.
- Jesteś przecież moim synem - skwitował Björn.
- Jestem twoim *jedynym synem*. Co, jeśli mi się nie powiedzie?

- Powiedzie ci się, ponieważ płynie w tobie krew naszych przodków. Dokonasz wielu wspaniałych czynów, kiedy mój grób porastać już będzie wysoka trawa. Ważne jest, żebyś zrozumiał, że nie powinienes uciekać przed strachem. Jego władza nad człowiekiem bierze się właśnie z tego, że ludzie wybierają ucieczkę, ukrycie się, pójdzie po linii najmniejszego oporu. Ty to przewycięzysz. Pamiętaj, że prawdziwy bohater nigdy nie ucieka, kiedy może walczyć i nigdy nie rezygnuje z tego, co istotne. Jeżeli będziesz tak postępował, nigdy nie przegrasz.

Sigmar przytaknął słowom ojca, przypatrując się wojownikom wypełniającym długi dom odgłosami pieśni i hulaszczcej zabawy.

Jak gdyby wyczuwając jego spojrzenie, Wolfgart wskoczył na stół na kozłach zastawiony kubkami z piwem i talerzami pełnymi mięsa i owoców. Stół zachwiał się niebezpiecznie pod jego ciężarem, gdy wyciągnął z pochwy ogromny miecz i uniósł go w górę jedną ręką. Miecz był skierowany prosto w stronę dachu, a Wolfgartowi nie drgnęła nawet ręka, co było dowodem niezrównanej siły, ponieważ broń była niesamowicie ciężka.

- Sigmar! Sigmar! Sigmar! - zaryczał Wolfgart i po chwili okrzyk został podjęty przez wszystkich znajdujących się w długim domu. Ściany zdawały się trząść pod naporem tubalnych głosów i Sigmar wiedział, że nie może ich zawieść. Pendrag dołączył do Wolfgarta na stole i nawet zazwyczaj cichy i spokojny Trinovantes dał się ponieść ogólnej ekscytacji, która ogarnęła biesiadników.

- Zobacz - powiedział ojciec. - To są ludzie, którzy jutro będą walczyć u twego boku, maszerować i ginąć na twój rozkaz. Wierzą w ciebie, więc czerp siłę z ich wiary, abyś mógł udowodnić, że się nie mylą.

Chór głosów nie cichnął w wielkiej sali, gdy Sigmar zauważył, jak Wolfgart opuścił miecz i przeciągnął nim po wnętrzu dłoni. Z rany popłynęła krew, którą Wolfgart rozsmarował sobie po policzkach.

- Ulryku, bogu bitwy, w tę Noc Krwi daj mi siłę, aby walczyć ku twej chwale! - zakrzyknął.

Wszyscy wojownicy zgromadzeni w sali podążyli za przykładem danym przez Wolfgarta, nacinając skórę i ofiarowując swą krew szorstkiemu, nielitościwemu bogu zimowych wilków. Sigmar wystąpił do przodu, aby

oddać cześć krwi wojowników, po czym wyciągnął zza paska nóż myśliwski o długim ostrzu i naciął nim nagie przedramię.

Wojownicy ryknęli z aprobatą i zaczęli bić się rękojeściami mieczy i toporów w piersi. Wśród wrzawy i rozbawienia stół, na którym stali Wolfgart i Pendrag, wreszcie się załamał pod ich wspólnym ciężarem. Teraz ochlapani piwem zwijali się na ziemi, obsypani drzazgami oraz kawałkami dziczyzny. Upadkowi towarzyszył gromki wybuch śmiechu i po chwili na głowy chłopców opróżniano kolejne kubki z piwem. Rozweseleni bohaterowie scenki podnosili się z czworaków, chwytając za ramiona pomocnego jak zwykle Trinovantesa.

Sigmar śmiał się również, a ojciec zapytał go:

- Jak możesz przegrać, mając za towarzyszy takich ludzi?

- Wolfgart to łajdak - odpowiedział rozbawiony Sigmar. - Ale jest silny niczym sam Ulryk, natomiast Pendrag gdzieś w tej zakutej czaszce skrywa umysł uczzonego.

- Znam wady i zalety ich obu - rzekł ojciec. - Tak jak i ty musisz poznać dobrze ludzi, którzy będą chcieli ci doradzać. Przebywaj w towarzystwie tylko tych wartościowych, abyś mógł wyciągnąć dla siebie naukę zarówno z ich siły, jak i ze słabości. Trzymaj przy sobie silnych, a nie słabych, którzy pociągną cię za sobą, gdy będą szli w dół. Gdy już znajdziesz kogoś wartego szacunku, ceń go i kochaj jak brata, ponieważ to on będzie stał z tobą ramię w ramię, gdy usłyszysz wycie wilka podczas bitwy.

- Tak uczynię - obiecał Sigmar.

- Człowiek jest słaby w pojedynkę, trzeba się zjednoczyć, żeby zyskać na sile. Przrzeknij mi, Sigmarze, że będziesz trzymał braci miecza zawsze blisko przy sobie.

- Przrzekam, ojczu.

- A teraz idź, dołącz do nich - powiedział ojciec - i wróć do mnie po walce, z tarczą lub na tarczy.

Rozdział 2

Most Astofen

W uszach dudnił im odgłos wojennych bębnow połączony z hałaśliwymi wrzaskami orczej hordy, która atakowała zbudowaną z bali palisadę Astofen. Skłębiona masa zielonych ciał odzianych w zbroje otoczyła osadę nad rzeką, a smród bijący z ich niemytych ciał i prymitywna dzikość bojowych okrzyków przenikały powietrze zapowiedzią nieuchronnie zbliżającej się zagłady.

- Długo się nie utrzymają - stwierdził Wolfgart, leżący obok Sigmara w wysokiej trawie, która porastała łagodnie nachylone wzgórze położone kilka kilometrów na wschód od oblężonego miasta. - Wrota zaczęły się już uginać pod ich naporem.

Sigmar skinął głową i powiedział:

- Musimy poczekać na Trinovantesa.

- Jeżeli będziemy zwlekać, możemy już nie mieć czego ratować - wtrącił Pendrag, nie starając się nawet skryć w trawie, a zamiast tego owijając się ciasniej łuskowatym zielonym płaszczem.

- Ale jeżeli zaatakujemy, zanim zdąży przyjąć odpowiednią pozycję, będziemy zgubieni - odpowiedział Sigmar. - Orków jest zbyt wiele, żebyśmy mogli stawić im czoła w otwartej walce.

- Nie ma czegoś takiego, jak zbyt wiele orków - sarknął Wolfgart i ze złością zwinął dłonie w pięści.

- Podróżowaliśmy tyle dni, nie znajdując nawet śladu zielonoskórych, a teraz mamy ich tuż pod nosem. Według mnie powinniśmy zadać w rogi bojowe, a potem kto pierwszy, ten lepszy, a ostatniego niech Morr przeklnie.

- Nie - powiedział twardo Sigmar. - Zaatakować w ten sposób wroga przewyższającego nas liczebnie to jakby dobrowolnie położyć głowę pod topór, a ja nie mam zamiaru wrócić do Reikdorfu na tarczy.

Wypowiadał te słowa wbrew sobie, ponieważ sam odczuwał pragnienie,

aby rozwinąć sztandary i najechać wroga, czując podmuch wiatru we włosach i słysząc dźwięk trąbek oraz rogów bojowych, ale wiedział, że musi na razie powstrzymać żądzę zabijania zielonoskórych.

Unberogeńscy jeźdźcy ukryci za wschodnimi wzgórzami dysponowali wprawdzie przewagą ataku z zaskoczenia, gdyż uwaga orków skupiona była obecnie na obleganej osadzie, ale gdyby rzeczywiście doszło do starcia, nie na wiele by się to zdało ze względu na to, że orcza horda liczyła tysiąc, a może nawet więcej osobników.

Astofen położone było pośród niskich skalistych wzgórz na brzegu rwącej rzeki, której źródło biło wśród szczytów Gór Szarych, a wody spływały potem równinami na południe. Młodzi mężczyźni, których dzieciństwo upłynęło w lasach, gdy wczoraj wynurzyli się spomiędzy drzew, stanęli zdumieni widokiem otwartej przestrzeni. Nawet Sigmar nie przypuszczał, że jego włości są tak rozległe.

Palisada otaczająca miasto została zbudowana z grubych pali wbitych w ziemię i zaostrzonych na końcach. Na każdym z rogów postawiono dodatkowo wieżę obronną. Wokół wałów biegła ścieżka ogrodzona parkanem zbitym z desek, obłożonych dodatkowo wilgotnymi skórami. To właśnie zza niego mieszkańcy i mieszkanki Astofen wykrzykiwali teraz przekleństwa w stronę najeźdźców i miotali w kłębowisko zielonych ciał ciężkie włócznie.

Sigmar z dziką dumą obserwował, jak od każdego ostrza ginie jeden ork, ale niestety było to wciąż za mało, żeby powstrzymać zajadły atak. Zielonoskórzy stanowili niezdiscyplinowany motłoch i walczyli bez żadnego planu, ale jedno spojrzenie na pole bitwy wystarczyło Sigmarowi, żeby stwierdzić, że nim minie dzień, pokonają obrońców tylko za sprawą liczebności i brutalnej siły.

Oprócz tego dwudziestka goblinów o patykowatych nogach słała płonące strzały nad krawędzią drewnianych obwarowań. Wiele pocisków dosięgło już celu i liczne stłoczone obok siebie zabudowania stały w płomieniach.

Niezdarne orki o skórze tak ciemnozielonej, że wręcz czarnej, czekały przy niezgrabnym taraniu, który spoczywał na platformie z szeroko rozstawionymi kołami i wyglądał, jakby został skonstruowany przez ślepeca. Arsenał środków oblężniczych obejmował też drewniane katapulty wyrzucające w stronę miasta rozmaite pociski: skały, płonące szmaty, a nawet ryczące orki, wymachujące tasakami.

Na polanach płonęły setki ognisk wypuszczających ku niebu smużki czarnego dymu. Wokół nich wzniesiono koszmarne totemy, na szczytach których spoczywały ogromne rogate czaszki obwieszane prymitywnymi fetyszami i krwawymi trofeami. Orcza horda, jaką mieli przed oczyma, była z pewnością najliczniejszą bandą zielonoskórych, spośród tych, jakie kiedykolwiek spotkali. Każdy ze stworów był umięśniony, odziany w zbroję i uzbrojony w śmiercionośną broń oraz straszliwą żądzę walki, którą można by porównać tylko z tym, co odczuwa najbardziej szalony berserker.

W centrum hordy dało się zauważyć olbrzymiego orka ubranego w ciemną zbroję i wymachującego monstrualnych rozmiarów toporem. Nawet z tej odległości łatwo się było domyślić, że to on przewodził atakowi.

- No dalej, Sigmarze - syknął Wolfgart. - Pozwól nam ruszyć!

- Tak bardzo pragniesz śmierci? - zapytał Pendrag. - Musimy jeszcze poczekać. Trinovantes nas nie zawiedzie.

Sigmar żarliwie wierzył w to, że przyjaciel się nie myli. Tymczasem obserwował zrytą koleinami drogę prowadzącą od wrót Astofen wzdłuż rzeki, aż do solidnego kamiennego mostu położonego parę kilometrów dalej na południe. Za mostem droga prowadziła wzdłuż linii drzew, a teren obfitował w równiny porośnięte twardą, skarłowaciałą trawą i nielicznymi zagajnikami.

Oślonił oczy przed słońcem i starając się ignorować niecierpliwe pomrukiwania Wolfgarta, wypatrywał powiewającego sztandaru. Niestety nic nie ukazywało się jego oczom, dlatego w duchu pośpieszał przyjaciela.

- Niech się stanie wola Ulryka - szepnął przygryzając dolną wargę. Obserwując rozwój sytuacji poniżej, zdawał sobie sprawę, że jeżeli prędko nie włączą się do bitwy, Astofen upadnie.

Wzrok Sigmara przykuł orczy przywódca, po tym jak cisnął toporem we wrota osady. W odpowiedzi z ust członków hordy wyrwał się wściekły wrzask nieskrępowanej furii. Dudnienie bębnow przybrało na sile i tempie, a orki ruszyły w stronę Astofen niczym spiętrzona fala.

Warczące, spocone orki rozkołysały i zaczęły pchać rozklekotany taran, którego głowica wyrzeźbiona była na kształt gigantycznej pięści. Coraz więcej płonących strzał przelatywało nad głowami atakujących i obrońców, a szcęk krzyżujących się ostrzy brzmiał niczym modlitwa do bezlitosnych bogów wojny.

- Tam! - krzyknął nagle Pendrag. - Spójrzcie! Tam, przy moście!

Serce podskoczyło Sigmarowi w piersi, gdy spojrzawszy w kierunku wskazywanym przez przyjaciela, ujrzał zielony sztandar powiewający na wietrze tuż obok linii drzew rosnących po wschodniej stronie mostu.

- Mówiłem ci! - roześmiał się Pendrag, skacząc na równe nogi i rzucając się biegiem w kierunku swojego konia.

Sigmar również szybko się podniósł i z okrzykiem bojowym na ustach ruszył w ślad za Pendragiem, czując, że Wolfgart nie pozostaje w tyle. Ujrzał przed sobą dwustu unberogeńskich jeźdźców czekających na pozwolenie ruszenia w kierunku Astofen. Ich twarze ożywiły się, gdy tylko poczuli zbliżającą się bitwę. Nawet wierzchowce rżały niecierpliwie. Ostrza włóczni i brązowe krawędzie tarcz błyszczały w słońcu południa jakby były zrobione ze złota. Pendrag wskoczył na grzbiet konia i rozpostarł sztandar Sigmara: wydłużony trójkąt szkarłatnej tkaniny, ozdobiony podobizną czarnego dzika.

Światło słoneczne podkreśliło czerwony kolor i Sigmarowi przez chwilę zdawało się, że sztandar jest kawałkiem zakrwawionego prześcieradła przytwierdzonym do włóczni. Chwycił za grzywę swego jabłkowitego ogiera i wskoczył na jego grzbiet.

Serce Sigmara biło szaleńczo, a on śmiał się. Śmiał się z czystej radości, że oto skończyło się czekanie. Żalność towarzysząca oglądaniu umierających niewinnych ludzi miała się również zaraz skończyć, a orkom przyjdzie zapłacić za nierozsądny atak. Z kołczanu umocowanego do końskiej szyi wyciągnął długą włócznię zakończoną żelaznym ostrzem i podjął tarczę podaną mu przez stojącego w pobliżu wojownika.

Uniósł włócznię i tarczę wysoko w górę i słyszał, jak Wolfgart zaczyna skandować jego imię.

- Unberogenowie! - zaryczał Sigmar. - Do boju!

Sigmar spiął konia ostrogami, a ten rzucił się do przodu, dzieląc pragnienie pana, aby jak najszybciej znaleźć się na polu bitwy. Za nim ruszyli wojownicy, wydając z siebie wojownicze okrzyki i unosząc wysoko włócznie. Wolfgart dał ile sił w płucach w róg bojowy, wydobywając z niego przenikliwy ton.

Ogier pokonał wzniesienie, po czym zaczął szybko z niego zbiegać, aż Sigmar musiał przytrzymać się jego szyi. Rzucił szybkie spojrzenie za siebie i ujrzał wojowników podążających za nim, jeden za drugim, w dwóch

nierównych rzędach. Ich zbroje lśniły, a różnokolorowe płaszcze powiewały na wietrze niczym skrzydła potężnych smoków.

Ziemia trzęsa się od uderzeń końskich kopyt, a Wolfgart raz po raz dął w róg, pozwalając bohaterskiej nucie nieść się w powietrzu. Sigmar jechał szybko, popędzając coraz ostrzej wierzchowca, ponieważ zauważył, że uczestnicy bitwy stanęli w bezruchu. Zarówno ludzie, jak i orki, odwrócili głowy w stronę zbliżających się jeźdźców, nie wiedząc, na czyją stronę przeważy szalę bitwy ich przybycie.

Gdy obrońcy zorientowali się, że setki wojowników przybywają im z odsieczą, drewniana palisada zatrzęsa się od okrzyków radości. Sigmar ścisnął boki wierzchowca kolanami i uniósł wysoko włócznię i tarczę tak, aby mogli to ujrzeć jego towarzysze.

Lekceważąc wrogów, Sigmar wyruszył do boju bez jakiegokolwiek zbroi czy koszulki kolczej. Niczym dziki wojownik z pradawnych czasów jechał wyprostowany na koniu, wiatr rozwiewał mu złote włosy, a serce rwało się do boju.

Z każdym uderzeniem serca ryk orków stawał się coraz głośniejszy. Ściana złożona z twardych zielonych ciał i kawałków metalu zbliżała się. W stronę jeźdźców odwróciły się ostrza włócznie i tarcze ozdobione wyszczerzonymi twarzami, zębiastymi szczękami i prymitywnymi symbolami plemiennymi. Obrońcy nabrali nowej nadziei i z obwarowań Astofen poleciały w stronę najeźdźców strzały i oszczepy. Ogromny ork pośrodku hordy zawył z wściekłości i rycząc wydał rozkazy, a każdemu odgłosowi towarzyszyło machnięcie włócznią o drzewcu grubości ramienia Sigmara.

Orki były już tak blisko, że Sigmar czuł obrzydliwy odór wydawany przez ich nieczyste ciała i mógł spostrzec okropne blizny wykonywane podczas plemiennych rytuałów na ramionach i twarzach członków grupy. Oczy orków płonęły czerwienią, osadzone głęboko w tępych, zwierzęcych twarzach. Dzikości dodawały też olbrzymie kły wystające z dolnych szczęk.

Zdawało się już, że napierająca fala jeźdźców rozbije się o najeżoną żelazem ścianę, ale wtedy Sigmar z całej siły rzucił włócznią. Rzut był pewny i mocny, więc włócznia nie tylko przebiła tarczę i chroniącego się za nią orka, ale przeszła przez niego na wylot i powaliła stojącego za nim towarzysza. Obaj osunęli się na ziemię, a wokół aż zahuczało od włócznie i orki zaczęły masowo padać. Sigmar pociągnął konia za grzywę i skierował

go w bok, przyciskając kolana do jego boków.

Ogier parsknął cicho na znak protestu wobec takiego traktowania, ale momentalnie się obrócił i ruszył galopem wzdłuż linii orczego oddziału, cały czas trzymając się na odległość nieco mniejszą niż długość włóczni od ostrzy przeciwników. Sigmar zawył triumfalnie, gdy orki wypuściły z łuków strzały o czarnych drzewcach, z których żadna go nie trafiła, lecąc obok niego lub nad nim.

Usłyszał radosny okrzyk i obejrzał się, aby ujrzeć za sobą Pendraga, w którego tarczy tkwiły już trzy strzały, ale szkarłatnoczarny sztandar Sigmara nadal wznosił się dumnie. Twarz przyjaciela rozjaśniała dzika radość i Sigmar podziękował w duszy Ulrykowi, że ani Pendrag, ani sztandar do tej pory nie upadli.

Ściana z orczych ciał wciąż stanowiła potężną zaporę tarcz i ostrzy, ale można już było zauważyć, że gdzieniegdzie zaczyna się kruszyć, tam gdzie orki wdają się w pojedynki z jeźdźcami.

Gromki tupot kopyt obwieścił nadejście drugiej linii unberogeńskich jeźdźców, a Sigmar widział, że dowodzi nimi Wolfgart. Każdy wojownik dzierżył krótki łuk refleksyjny z naciągniętą cięciwą i położoną na niej strzałą, a kontrolę nad koniem sprawował tylko za pomocą silnych mięśni ud.

Wolfgart zadał w róg, wydobywając z niego wojowniczą nutę, po czym sto strzał zakończonych gęsimi piórami poleciało wprost w linię orków. Wszystkie zagłębiły się w orczych ciałach, ale nie każda z nich okazała się śmiertelna. Kiedy Sigmar po raz kolejny zawrócił wierzchowca i rzucił następną włócznię, zauważył, że wiele orków po prostu wyciągnęło pociski z ran i odrzuciło je na bok, wydając jednocześnie ryk wściekłości. Wojownicy dowodzeni przez Wolfgarta zdążyli oddać jeszcze jedną serię strzał, a potem gwałtownie zawrócili konie i odjechali.

Tym razem orki nie zdołały się opanować i linia obrony załamała się gwałtownie, gdy wiele z nich rzuciło się w pogoń za jeźdźcami. Za uciekającymi poleciały strzały i włócznie, a Sigmar krzyknął gwałtownie, gdy ujrzał, jak kilku rannych wojowników spada z koni.

Wolfgart zatrzymał swego wierzchowca tuż obok Sigmara, po czym odłożył róg po to, aby wyjąć miecz z przewieszanej na plecach pochwy. Twarz przyjaciela była lustrzanym odbiciem jego własnej twarzy - spocona, z zębami odsłoniętymi w napadzie bitewnej furii.

Po chwili pojawił się przy nich Pendrag, unosząc topór i krzyząc:

- Nadszedł czas krwi!

Sigmar wbił pięty w boki wierzchowca i rzekł do braci miecza:

- Pamiętajcie, gdy róg zabrzmi dwa razy, ruszamy w stronę mostu!

- O mnie nie musisz się martwić! - zaśmiał się Pendrag, patrząc na Wolfgarta, który ruszył do przodu wymachując olbrzymim mieczem w taki sposób, że każdym ciosem mógłby pozbawić kogoś głowy.

Sigmar i Pendrag podążyli za przyjacielem w stronę zbliżającego się tłumu orków. Przegrupowany oddział Unberogenów ruszył w ślad za przywódcami, atakując nieprzyjaciół z całą siłą i oddaniem, z jakiego plemię to słynęło w świecie. Gdy skończyli miotać włóczniami, wydobyli miecze i topory, a z ich ust dobył się wojenny okrzyk.

Orki padały z ludzkich rąk. Sigmar przebił włócznią gruboskórnego orka noszącego wielki, rogaty hełm. Ostrze przeszło napierśnik potwora i przygwoździło go do ziemi. Drzewce wciąż drżało w ciele umierającego orka, gdy Sigmar schylił się i wyciągnął swój młot, Ghal-maraz, potężny dar, jaki otrzymał wiosną od Kurgana Żelaznobrodego.

Zaraz potem odwieczni wrogowie starli się w okrutnej walce na śmierć i życie.

Nacierający jeźdźcy uderzyli w orczy oddział niczym pięść Ulryka, która spłaszczyła grzbiet góry Fauschlag w krainie Teutogenów na północy. Tarcze rozprysły się na drzazgi, a miecze zanurzyły się w orczych ciałach, gdy szarża wjechała między rozproszonych wrogów.

Sigmar zamachnął się młotem i roztrzaskał orczą czaszkę. Nawet chroniące ją grube żelazo hełmu nie uchroniło kości przed pradawną runiczną siłą zaklętą w broni. Uderzał na prawo i lewo, za każdym ciosem miażdżąc głowy, roztrzaskując tarcze, zgniatając zbroje. Krew tryskała na jego nagie ciało i spływała mu po włosach, a obuch młota był mokry od krwi i kawałków mózgow.

Od jego tarczy odbijały się topory i poszczerbione miecze. Wierzchowiec prychnął i tratował ziemię kopytami, co chwila kopiąc tylnymi nogami w żebra i głowy goblinów próbujących podkraść się od tyłu i przeciąć mu ścięgna.

- W imię Ulryka! - zakrzyknął Sigmar, kierując konia w sam środek tłumu niezdyscyplinowanych orków i rozdając dookoła ciosy potężnym młotem.

W samym centrum hordy Sigmar widział olbrzymiego orka, przywódcę bandy, watażkę znanego pod imieniem Kościołamacz. Masywne cielsko okrywała od stóp do głów zbroja wykuta z kawałków ciemnego żelaza,

przymocowanych wprost do ciała wielkimi szpikulcami. Pękata głowę zakrywał rogaty hełm, a z olbrzymiej, wystającej dolnej szczęki wystawały poźółkłe, zakrwawione kły.

Bestia najprawdopodobniej też już go spostrzegła, ponieważ rzuciła w jego stronę ogromną włócznię, a tłum orków atakujących Unberogenów zacieśnił się i zaczął walczyć ze zdwojoną furją. Sigmar zdawał sobie sprawę z tego, że czas ucieka i zaryzykował chwilę rozproszenia, żeby zerknąć, jak sobie radzą towarzysze broni.

Po jego prawicy tańczył od prawej do lewej miecz Wolfgarta, za każdym ciosem poważnie raniąc około pół tuzina orków. Za nim Pendrag o włosach tak czerwonych jak sztandar, który dzierżył, wymachiwał toporem o zaokrąglonych ostrzach. Każde uderzenie rozbrzmiewało w powietrzu ogłuszającym szczękiem i hukiem, przecinając zarówno zbroje, jak i osłonięte nimi ciała. Pendragowi sztandar zdawał się nie ciążyć, używał go wręcz jako dodatkowej broni, wykorzystując ostry metalowy czubek, idealny do wrażania przez przyłbice oraz w niechronione hełmami czaszki.

Sigmar po raz kolejny zawrócił konia, przewracając przy tym jednego orka na ziemię wyprowadzonym spod ramienia ciosem Ghal-maraza i ruchem powrotnym roztrzaskując żebra kolejnego. Wszędzie wokół niego Unberogenowie wycinali sobie krwawą ścieżkę w tłumie atakujących orków, ale nawet rzeź, której byli sprawcami, nie nadwyrężyła poważnie sił nieprzyjaciela.

Wciąż nadciągały nowe oddziały wroga i kiedy impet szarzy zaczął słabnąć, Sigmar zauważył, że orki gromadzą się, aby dokonać druzgocącego kontrataku. Przy takiej dysproporcji sił i wobec faktu, że orki walczyły mając za plecami mury Astofen, klęska przybywających z odsieczą Unberogenów wydawała się nieuchronna.

Jeden za drugim jeźdźcy byli ściągani z koni. Gobliny natychmiast przypadały do leżących na ziemi rumaków i rozcinały brzuchy oszalałym z bólu zwierzętom. Pętla się zaciskała, nadchodził czas ucieczki.

- Wolfgarcie! - krzyknął Sigmar. - Teraz!

Niestety jego brat miecza został właśnie otoczony przez grupę orków, których topory i miecze roztrzaskały jego tarczę na drzazgi. Wolfgart nie miał teraz czym się chronić przed uderzeniami i po kilku ciosach oddanych na jego tułów żelazne kółka tworzące koszulkę kolczą zaczęły odpadać i rozpryskiwać się na wszystkie strony. Bez wytchnienia ciął i przebijał

mieczem ciała wrogów, ale na miejsce każdego zabitego pojawiała się wnet dwóch nowych.

- Pendragu! - zakrzyknął Sigmar, unosząc zakrwawiony młot.

- Jestem tuż za tobą! - odkrzyknął Pendrag, pospieszając konia i wytrwale wznosząc w górę sztandar.

Razem zaatakowali bestie otaczające towarzysza broni. Młot i topór torowały sobie krwawą drogę między zabitymi orkami. Sigmar jednym uderzeniem zmiotł jednemu z potworów głowę z szyi i krzyknął:

- Wolfgarcie, zadmij w róg!

- Wiem, wiem - odpowiedział zdyszany brat miecza, zatapiając ostrze między żebrami ostatniego z napastników. - Po co ten pośpiech? Zabiłbym ich wszystkich w swoim czasie.

- Ale właśnie tego czasu nie mamy - odrzekł mu Sigmar. - Zadmij wreszcie w ten cholerny róg!

Wolfgart skinął głową i ujął miecz jedną dłonią, drugą unosząc do ust kręty, barani róg zwisający na łańcuchu przytwierdzonym do pasa, po czym wy dobył z niego dwa mocne dźwięki.

- No dalej! - ryknął Sigmar. - Ruszamy na otwartą przestrzeń za mostem.

Echo dźwięków rogu nie zdążyło jeszcze zupełnie przebrzmieć, gdy Unberogenowie zawrócili konie i z wyćwiczoną precyzją skierowali je na południe. Sigmar machał młotem nad głową i krzyczał:

- Na Ulryka, spieszcie się, bracia!

Jeźdźcom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, pędzili już na rumakach pochyleni i przyciskając się do grzbietów zwierząt. Z tyłu słychać było wrzaski triumfujących orków. Sigmar wstrzymał konia i rzucił jeszcze raz okiem na pole bitwy, aby mieć pewność, że żaden z wojowników nie został tam sam.

Ziemia wokół Astofen pokryta była pozostałościami po bitwie: skrwawionymi ciałami, rannymi końmi i szczątkami tarcz. Przeważającą większość trupów stanowiły orki i gobliny, ale wśród nich leżało też sporo ludzi, rozciętych już przez dzierżące noże gobliny lub zmasakrowanych nie do rozpoznania przez ryczące orki.

- Czy czekamy na coś konkretnego? - zapytał Pendrag. Jego koń nerwowo strzygł uszami, obserwując wyruszające z pościgiem orki. Orczy kapitanowie wykrzykiwali rozkazy do żołnierzy i tłum zielonoskórych zaczął powoli stąpać w ślad za uciekającymi unberogeńskimi jeźdźcami.

- Tak wielu zginęło - odpowiedział po chwili Sigmar.

- Zginie jeszcze co najmniej dwóch, jeżeli szybko się stąd nie ruszymy - powiedział Pendrag przekrzykując ryk szarżujących orków.

Sigmar przytaknął, po czym zawrócił konia na południe, przeklinając przy tym głośno cały zielonoskóry pomiot, kiedy chmara złowrogich strzał przecięła powietrze nad ich głowami.

Oddalając się od Astofen, słyszał rozpaczliwy jęk zawodu mieszkańców, których nadzieje na ratunek zostały pogrzebane równie szybko, jak się odrodziły.

Nie trać nadziei, mój ludu, powiedział w duchu Sigmar. *Nie opuszczę cię w potrzebie.*

Z głębi lasu po drugiej stronie mostu Trinovantes obserwował wycofujących się wojowników z mieszaniną podniecenia i smutku. Zbyt wiele wierzchowców galopowało w jego stronę bez jeźdźców na grzbietach. Serce zabolowało go, gdy rozpoznał, do kogo należały rumaki.

- Przygotować się! - krzyknął. - I niech Ulryk prowadzi wasze ciosy!

Tuż za nim stało dwudziestu pięciu wojowników odzianych w zbroje i koszulki kolcze, dzierżących włócznie o grubych rękojeściach i długich ostrzach. Byli to najtwardsi i najsilniejsi ludzie z armii Sigmara. Ludzie o mocnych kończynach i sztywnych karkach, którym idea odwrotu była tak obca, jak orkowi pojęcie współczucia. Kolejnych dwudziestu pięciu wojowników ukrytych było w zagajniku po przeciwnej stronie drogi. Razem dawało to pięćdziesięciu ludzi, którzy otrzymali od młodego dowódcy bardzo dokładne rozkazy.

Trinovantes uśmiechnął się smutno, przypomniawszy sobie bolesny grymas na szczerej twarzy Sigmara, gdy ten ujrzał Trinovantesa zgłaszającego się na ochotnika do poprowadzenia tej samobójczej misji.

- Liczę na ciebie, bracie - powiedział Sigmar odchodząc z nim na bok przed rozpoczęciem bitwy. - Powstrzymaj orki na tak długo, żebyśmy mogli się przegrupować i wzmocnić, ale nie dłużej. Kiedy usłyszysz długi dźwięk bojowego rogu, uciekaj stamtąd, zrozumiałeś?

Trinovantes skinął głową i potwierdził:

- Jestem świadom tego, czego się po nas spodziewacie.

- Chciałbym... - zaczął Sigmar, ale Trinovantes przerwał mu gwałtownym

potrząśnięciem głowy.

- To musiało paść na mnie. Wolfgart jest zbyt nieokiełznany, a Pendrag musi jechać u twego boku, dzierżąc sztandar.

Sigmar dostrzegł na twarzy przyjaciela determinację, więc dodał tylko:

- Niech więc Ulryk będzie z tobą, bracie.

- Jeżeli będę dobrze walczył, na pewno będzie - stwierdził Trinovantes. - A teraz idź. Niech władca wilków towarzyszy ci, gdy będziesz zabijał to plugastwo.

Trinovantes odprowadził wzrokiem Sigmara powracającego do oddziału, po czym, salutując, wznosił miecz wysoko w górę. Następnie szybko poprowadził swoich ludzi wzdłuż wschodnich wzgórz ukrytych przed wzrokiem orków, aż dotarli do kryjówki po drugiej stronie mostu.

Teraz obserwował twarze podlegających mu ludzi i widział na nich napięcie, złość i powagę w obliczu zbliżającej się walki. Kilku z nich składało pocałunki na talizmanach z wilczych ogonów, inni nacinali policzki, plamiąc krwią skórzane okrycia. Ludzie nie opowiadali sprośnych żartów, nie śmiali się, nie przechwalali, chociaż byłoby to zachowanie naturalne u wojowników przed bitwą. Trinovantes zdawał sobie jednak sprawę, że wszyscy rozumieli powagę zadania, jakie im wyznaczono.

Uciekający unberogeńscy jeźdźcy zbliżali się do położonego na południe mostu w trzy-, czteroosobowych grupach. Zmęczeni i zdziśiatkowani, nie trzymali już szyku. Nie mieli też włóczni i strzał, które wypuścili w stronę zielonoskórych, a miecze wyglądały na powyginane i wyszczerbione od zderzeń z orczą bronią i tarczami.

Potrzaskane tarcze i zniszczona broń nie zdołały jednak osłabić w nich ducha walki i oddania dla krainy, o którą walczyli. Trinovantes czuł, że ziemia popiera ludzkie starania i dudnienie, które słyszał, nie było tylko stukotem kopyt nadjeżdżających wierzchowców.

Tuż przed bitwą instynktownie pojął, na czym polega więź między tą żyzną, urodzajną ziemią, a zamieszkującymi ją ludźmi. Przybyli tu setki lat temu z odległych stron i zamieszkali wśród dzikich lasów, ujarzmiając glebę tak, aby im służyła i przeganiając stąd bestie, które chciały im odebrać darowaną przez bogów ojczyznę.

Ludzie dbali o ziemię, a ona odwdzięczała im się, dziesięciokrotnie pomnażając plon i stada. Ta kraina należała do ludzi i żaden zielonoskóry watażka nie odbierze im tego, co stworzyli w pocie czoła.

Tętent kopyt przybrał na sile i Trinovantes otrząsnąwszy się z zamyślenia, ujrzał pierwszych z wojowników Sigmara wjeżdżających na most. Krasnoludzka konstrukcja była już wiekowa, drewniane pale zdążyły wyblaknąć od słońca, a płaskorzeźby na kamiennych podporach starły się wraz z upływem kolejnych stuleci.

Jeźdźcy przekroczyli most, pokładając nadzieję w czekających tam ludziach Trinovantesa. Dziesiątki wojowników mijają ukryte oddziały na wierzchowcach, których skóra lśniła od krwi i potu.

- Kto by pomyślał, że Sigmar ostatni opuści pole bitwy, he?! - krzyknął do żołnierzy Trinovantes, widząc, że Wolfgart, Pendrag i Sigmar znajdują się na tyle grupy jeźdźców.

Odpowiedział mu tylko ponury chichot. Trinovantes zaraz potem opuścił przyłbicę hełmu, ponieważ ujrzał podążające za przyjaciółmi orki, na twarzach których malowała się niepokohamowana żądza mordy. W tumanach kurzu wzbudzanych przez końskie kopyta orki wyglądały jak bezkształtne demony wynurzające się z cienia. Tylko ich oczy świeciły niepokojącym blaskiem, gdy bestie pokonywały chmury pyłu. Pomimo wrodzonej niezgrabności, grubych kończyn i ogromnie ciężkiej, żelaznej zbroi, poruszały się z imponującą prędkością. Trinovantes wiedział, że zaraz nadejdzie chwila, gdy będzie musiał wypełnić swój obowiązek wobec królewskiego syna.

Dźwignął topór o wypolerowanym ostrzu, które zalśniło w słonecznym świetle, po czym ucałował wizerunek szczerzącego się wilka wryty na czubku drzewca swej dzidy. Uniósł broń wysoko w górę i wtedy przeszedł go dreszcz, ponieważ ujrzał krążącego nad nimi kruka.

Ostatni jeździec przejechał przez most i Trinovantes zdołał uchwycić utkwione w nim spojrzenie Sigmara. W ciągu tej krótkiej chwili poczuł, jak wdzięczność, którą wyczytał we wzroku przyjaciela, napełnia go siłą.

- Unberogenowie, do boju! - zakrzyknął i wyprowadził swych ludzi na drogę.

Sigmar zatrzymał rumaka gwałtownym pociągnięciem za grzywę i soczyście splunął na ziemię śliną zmieszaną z kurzem. Następnie okrążył powbijaną w ziemię broń, która czekała tu na nich. Broń była ułożona w taki sposób, że podnoszący ją jeźdźcy w naturalny sposób tworzyli formację klina

i Sigmar dostrzegł w tym spryt Trinovantesa.

- Szybko! - krzyknął, zeskakując z konia i przyjmując bukłak z wodą od wojownika z zakrwawionymi ramionami. Wziął duży łyk, a resztę wylał na głowę, splukując z twarzy krew. Wiedział, że nie mogą tracić czasu, gdyż tuż za nimi słychać było ryk szarżujących orków i brzęk broni.

Sigmar otarł mokrą twarz dłonią i przepchnął się między wojownikami, aby mieć lepszy widok na zażartą walkę toczącą się na moście.

Światło słoneczne odbijało się w ostrzach włóczni i Sigmar dostrzegł dumną zieleń sztandaru Trinovantesa, unoszącą się w centrum bitwy. Orcze okrzyki wojenne mieszały się z wykrzykiwanymi modłami do Ulryka i mimo że ludzie walczyli z żelazną determinacją, można było dostrzec, że cofają się przed strasznym impetem natarcia.

- Chwytajcie nowe włócznie i miecze i wskakujcie z powrotem na koń! - krzyknął Sigmar głosem pełnym gorączkowego pośpiechu. - Trinovantes zdobywa dla nas czas i nie możemy stracić ani chwili!

Ponaglenia nie były konieczne, ponieważ wojownicy szybko odrzucali połamaną i pociętą broń po to, by zaraz pochwycić nowe ostrza. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ich przyjaciele płacą życiem za każdą sekundę tego czasu, dlatego nie marnotrawili go niepotrzebnie.

Wojownicy ryknęli chórem imię Ulryka, ofiarowując strasznemu bogu wojny żywota, które dziś odebrali. Sigmar pozwolił im na chwilę radości wynikającej z przetrwania bitwy.

Pendrag skinął na niego, wbiwszy sztandar w ziemię i zabrawszy się za ostrzenie osekłą ostrzy topora.

- Trinovantes?

- Trzyma się - odpowiedział Sigmar, gniewnie czyszcząc obuch Ghalmaraza postrzępionym kawałkiem skóry, nie chcąc, aby orcza krew i kawałki mózgu bezcześciły dłużej szlachetną broń.

- Ale jak długo? - zapytał Pendrag.

- Niezbyt - odpowiedział Sigmar, wzruszając ramionami. - Niedługo muszą odtrąbić odwrót.

- Odwrót? - zapytał Pendrag. - Nie, oni się nie wycofają. Przecież wiesz.

- Muszą - stwierdził Sigmar. - Muszą albo będą zgubieni.

Pendrag wyciągnął dłoń i położył ją na ramieniu Sigmara, przerywając chwilowo zajadłe oczyszczanie broni.

- Oni się nie wycofają - powtórzył. - Oni o tym wiedzą. I ty też. Nie

umniejszaj ich poświęcenia przez zaprzeczanie mu.

- Przez zaprzeczanie czemu?! - krzyknął Wolfgart nadjeżdżając, by do nich dołączyć. Wyraz jego twarzy był tak niewzruszony, jak gdyby toczyli walkę z grupką nieorganizowanych bandytów, a nie z armią spragnionych krwi orków.

Sigmar zignorował pytanie Wolfgarta i spojrzał Pendragowi głęboko w oczy. Odnalazł w nich zrozumienie dla rozkazu wydanemu Trinovantesowi. Rozkazu wydanego ze świadomością tego, z czym wypełnienie takiego polecenia będzie się wiązać.

- Niczemu - odpowiedział wreszcie Sigmar, wywijając masywnym Ghalmarazem tak, jakby broń nic nie ważyła.

- Broń od króla Kurgana zasłużyła na swoje imię - zauważył Wolfgart.

- Tak - odrzekł Sigmar. - To zaiste królewski dar, ale czeka na niego jeszcze wiele czaszek do rozłupania, nim zapadnie zmierzch.

- To prawda - zgodził się Wolfgart, znacząco unosząc potężny miecz. - Ale szybko wrócimy na pole bitwy i dopadniemy te wszystkie orki.

- Nie - powiedział Sigmar, wskazując z powrotem na konia i spoglądając na północ w kierunku rozgrywającej się na moście bitwy. - Nie będzie to tak szybko, jak bym chciał.

Z głębokiej rany w udzie Trinovantesa spływała obficie krew, przyklejając płótno koszuli do skóry młodzieńca i wypełniając wnętrze buta czerwoną mazią. Orczy tasak strzaskał jego tarczę na drzazgi i wbił mu się w nogę, chociaż zaraz potem młody Unberogen wypatroszył bestię jednym ciosem topora.

Czuł, jak gdyby ramiona miał obciążone żelazem, a mięśnie pulsowały boleśnie, nabrzmiące od trudów walki. Krzyki i porykiwania odbijały się echem wewnątrz hełmu Trinovantesa, a pot lał się strumieniami po jego twarzy.

Ludzie walczyli z desperacką odwagą, potężnymi uderzeniami wbijając włócznie między szczeliny w prymitywnych zbrojach orków, prosto w zielone ciało. Piaszczysta, jasna ziemia pod ich stopami zrobiła się ciemna i lepka od krwi zarówno ludzkiej, jak i orczej, a powietrze przesycone było odorem potu i obietnicą nieuchronnej śmierci.

Włócznie i topory ścierały się ze sobą, drzazgi i odłamki metalu pryskały

dookoła, a kości i ciało miażdżono i rozrywano bez litości, o którą też nikt nie prosił.

Wojownik walczący obok Trinovantesa upadł. Orcze ostrze przeszło przez jego ramię i zagłębiło się w tułowiu, a następnie utkwilo w klatce piersiowej. Ork usilnie starał się wyciągnąć miecz z powrotem, ale ząbkowane ostrze zaklinowało się między żebrami. Trinovantes wystąpił do przodu, krzywiąc się z bólu emanującego z rany w nodze i zamachnął się toporem, trzymając broń obiema rękami i celując w czaszkę bestii. Uderzenie było tak silne, że rozłupało głowę orka na pół.

- Za Ulryka! - zawył Trinovantes, wkładając w ciosy całą swoją nienawiść do orków.

Nagle zachwiał się i już miał upaść, ponieważ ból w nodze stał się nie do zniesienia.

Skądś pojawiła się pomocna dłoń i podtrzymała go. Trinovantes krzyknął podziękowanie, ale nie był nawet pewien, kto mu pomógł. Bitewny zgiełk zdawał się wzmaczać, krzyki umierających ludzi i triumfalne wrzaski orków brzmiały tak głośno, jakby wszyscy wrzeszczeli mu wprost do uszu.

Trinovantes znowu się potknął i opadł na jedno kolano. Wzrok mu się zamglił, a odgłosy bitwy nagle ucichły, jakby zaczęły dobiegać z bardzo daleka. Wbił ostrze topora w ziemię i oparł się o broń, próbując zmusić się do powstania.

Wszędzie dookoła niego umierali unberogeńscy żołnierze, krew tryskała z rozdartych brzuchów i gardeł. Zobaczył, jak jeden z orków podnosi ранego wojownika i ciska nim o balustradę mostu, niemal łamiąc mu ciało na pół, a następnie ciska bezwładne zwłoki do rzeki.

Goblińscy łucznicy stojący na moście wypuszczali w tłum chmary strzał, nie zważając na to, kogo trafią. Trinovantes czuł pod stopami wilgotną ziemię, ciepło słońca na twarzy i zimny pot oblewający mu ciało pod zbroją.

Jednakże, mimo ogromu śmierci i zniszczenia wokół siebie, widział też przejawy heroicznego oporu.

Widział, jak jeden z wojowników, w którego plecach tkwiły już dwie włócznie, rozpostarł ramiona i natarł na grupę orków próbujących przedostać się na tyły mostu. Trzy z nich udało mu się pociągnąć wraz z sobą w rzeczne głębiny. Bracia miecza walczyli ramię w ramię, niestety unberogeńskie siły malały, podczas gdy orki nacierały na most z coraz większą siłą.

W tym momencie wyczuł, że w jego stronę wymierzona jest włócznia i na

nowo z całą mocą usłyszał odgłosy bitwy. Na szczęście instynkt wziął górę i Trinovantes zdołał ciosem topora odciąć ostrze od drzewca. Podniósł się z rykiem bólu i wściekłości, a następnie, omijając połamaną broń i przewyciężając ból w nodze, zamachnął się toporem w stronę atakującego.

Ostrze topora odcięło orkowi całą rękę, ale szarżujący ork był tak ciężki, że i tak przygniótł go siłą rozpędu. Krew potwora spryskała mu twarz, więc młodzieniec zaczął pluć, próbując pozbyć się z ust obrzydliwego, śmierdzącego płynu.

Odległość była zbyt mała, żeby zadać odpowiedni cios, dlatego Trinovantes wepchnął orkowi trzonek topora prosto w usta, łamiąc mu przy tym wszystkie zęby. Głowa bestii odskoczyła i wtedy wojownik wysunął się spod cielska, podniósł na jedno kolano i opuścił topór na głowę pokonanego.

W tej samej chwili Trinovantes poczuł przeszywający ból w plecach. Spojrzał w dół i ujrzał długą włócznię wystającą spomiędzy swoich żeber. Ostrze było szersze niż jego przedramię, krew tryskała ze wszystkich stron - jego krew. Otworzył usta, ale broń została wyszarpięta z jego ciała i nie mógł już złapać oddechu, żeby krzyknąć.

Trinovantes upuścił topór, a siły vitalne zaczęły z niego wypływać wraz ze strumieniami krwi. Rozejrzał się po otaczającym go polu walki, widząc rannych i umierających mężczyzn padających od ciosów orków.

Wzrok mu się zaćmił i osunął się na ziemię, przyciskając twarz do zakrwawionej ziemi.

Topór leżał tuż obok i ostatkiem sił Trinovantes zdążył po niego sięgnąć oraz zacisnąć palce wokół trzonka. Na dworze Ulryka nie było miejsca dla wojowników zjawiających się bez broni.

Skrzekliwy odgłos przedarł się przez odgłosy rzezi. Umierający podniósł głowę i zobaczył ogromnego kruka siedzącego na jednym z kamieni i wpatrującego się w niego bezkresnie czarnymi oczami bez jednego mrugnięcia powieką.

Ptaka jakby ignorował bitewny zgiew, nie ruszając się z miejsca, a Trinovantes ujrzał jak za krukiem łopocze jego sztandar - zielone płótno odbijające się na tle krystalicznie niebieskiego nieba.

Ból opuścił jego ciało. Trinovantes zaczął myśleć o swym bracie bliźniaku i starszej siostrze, kładąc głowę na ziemi, w walce o którą odniósł śmiertelną ranę. Usłyszał daleki pogłos niosący się po ziemi i wzmagający się dźwięk bicia w bębny. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, ponieważ

zrozumiał, że oto nadciąga unberogeńska szarża.

Sigmar widział, jak Trinovantes upada pod ciosem włóczni Kościołamacza i wydał z siebie bolesny jęk gniewu i żalości. Orki przekroczyły most i rozeszły się po lesie, tworząc nierówną linię. Po ciężkim boju stoczonym na moście, nie było mowy o dyscyplinie w ich oddziałach i mimo że Trinovantes i jego ludzie zginęli, pozbawili przy tym życia wielką liczbę orków.

Orki były ogarnięte bitewnym szałem i Sigmar dostrzegł, że Kościołamacz rozpaczliwie próbuje uformować z nich jedną linię, zanim dosięgną ich ciosy jeźdźców.

Jednakowoż, było już na to za późno.

Sigmar jechał na czele formacji w kształcie klina złożonej z prawie stu pięćdziesięciu jeźdźców. W jego oczach płonął prawdziwy ogień nienawiści i z daleka można było spostrzec, jak trzyma Ghal-maraza wysoko w górze. Ziemia zatrzęsała się od tętentu kopyt i Sigmar wciągnął w nozdrza cierpki zapach zwycięstwa.

Po jego prawej stronie jechał Pendrag, trzymając purpurowy sztandar łopoczący na wietrze. Po lewej podążał Wolfgart, wyciągnąwszy z pochwy miecz gotowy na spotkanie kolejnych głów.

Sigmar mocno trzymał grzywę swego wierzchowca. Potężne zwierzę było już zmęczone, ale chętnie niosło jeźdźca z powrotem na pole bitwy.

Z łuków posypały się strzały, a deszcz włóczni przyćmił na chwilę słońce, gdy jeźdźcy wypuścili ostatnią salwę przed bezpośrednim spotkaniem z nieprzyjacielem.

Orki zaczęły padać od pocisków i okrzyki triumfu zmieniły się w jęki bólu, gdy unberogeńska szarża dotarła na miejsce.

Klin uformowany z unberogeńskich jeźdźców wbił się między orki i błyszczące ostrza natychmiast zaczęły zanurzać się w krwi, gdy ludzie mścili się za poległych towarzyszy broni. Młot Sigmara miażdżył orcze czaszki i żebra, a on wykrzykiwał przy tym imię zabitego przyjaciela.

Jego ciało wypełniło się siłą, a umysł poczuciem celu - ktokolwiek stawał na jego drodze, ginął. Żaden wróg nie przetrwał spotkania z jego młotem. Ghal-maraz był jakby przedłużeniem jego ramienia, niewiarygodną bronią nie do powstrzymania.

Krew tryskała fontannami, gdy unberogeńscy jeźdźcy tratowali orki, które były teraz osłabione i rozproszone. Jeźdźcy mieli tu pole do manewru i byli w swym żywiole, nacierając ze wszystkich stron i zabijając orki każdym ciosem włóczni czy topora. Orcze kości pękały pod żelaznymi podkowami, a przy kolejnych szarżach zwłoki bestii były wręcz wdeptywane w ziemię, ponieważ otwarta przestrzeń zapewniała przewagę ludziom.

Sigmar zabijał orki tuzinami. Jego topór odbierał im życie z taką łatwością, jakby rozgniatał owady. Boki królewskiego rumaka pokryte były orczą krwią, a po zbroi spływały kawałki mózgow.

Pośrodku hordy Sigmar ujrzał potężnego orka, przywódcę zielonoskórych. Unberogeńscy jeźdźcy otoczyli go, chcąc wziąć na siebie chwałę zabicia watażki, ale bestia była tak straszliwie silna, że każdy, kto się do niej zbliżył, zaraz ginął.

- Ulryku, prowadź mój młot! - ryknął Sigmar, popędzając wierzchowca w stronę walczącego tłumu otaczającego Kościołamacza. Koń przeskoczył nad stertą orczych ciał, a potężne wymachy toporem zmiażdżyły tych zielonoskórych, którzy byli na tyle głupi, aby wejść mu w drogę.

Bitewne odgłosy wokół niego ucichły, aż stały się jedynie tłem dla królewskiej szarży, chórem towarzyszącym wielkiemu wydarzeniu. Sigmar maksymalnie się skoncentrował, aż wreszcie słyszał tylko swój ciężki oddech i szalone bicie własnego serca, gdy zbliżał się w kierunku znenawidzonego wroga.

Kościołamacz ujrzał nadciągającego jeźdźca i wściekle zaryczał, tocząc z pyska pianę, która osadziła się na zakrwawionych zębach. Rozpostarł szeroko ramiona i wymierzył olbrzymią włócznię w stronę nadjeżdżającego rumaka. Gdy wierzchowiec przeskoczył nad ostatnim stosem ciał, Sigmar puścił grzywę i zeskoczył z jego grzbietu.

Koń uchylił się przed rzuconą włócznią, a Sigmar, wciąż znajdując się w powietrzu, zacisnął obie dłonie na rękojeści swego potężnego młota.

Z ust królewskiego syna wydobył się przeciągły ryk odwiecznej nienawiści, gdy zamachnął się młotem na orczego watażkę.

Ghal-maraz opadł na czaszkę Kościołamacza i doszczętnie ją pogruchotał, zagłębiając się dalej w ciele, czyniąc z niego jedną miazgę z kości i mięsa. Sigmar wylądował tuż obok ciała, jeszcze zanim opadło na ziemię. Obrócił się na pięcie i wymierzył kolejny potężny cios w bezgłowe zwłoki.

Dowódca zielonoskórych, który niegdyś stanowił zmorę ludzi

zamieszkujących te ziemie, leżał pokonany, z ciałem zmasakrowanym przez rozwścieczonego Sigmara.

Zwycięzca, owładnięty wojennym szałem, wymachiwał dookoła młotem, zabijając orki stojące w pobliżu zabitego dowódcy. Po kilku chwilach najpotężniejsze i największe z orków leżały zbryzgane krwią u jego stóp, a Sigmar wykrzykiwał swój triumf w stronę niebios, ociekając od stóp do głów krwią, z młotem błyszczącym od bitewnego blasku.

Jakiś koń zatrzymał się przed nim i spojrzawszy w górę Sigmar ujrzał Wolfgarta spoglądającego nań wzrokiem pełnym podziwu i niedowierzania, ale bez odrobiny strachu.

- Złamaliśmy je! - krzyknął Wolfgart. - Uciekają!

Sigmar opuścił młot i zamrugał oczami. Powoli zaczął przytomnieć, rozglądając się dookoła i oceniając skalę zniszczenia, jakiego dokonali.

Setki ciał leżało na ziemi stratowanych przez konie lub pozbawionych życia przez unberogeńskich jeźdźców. Niedobitki orczej armii uciekały w popłochu. Po tym, jak zginął ich potężny dowódca, bestie straciły wolę dalszej walki i teraz przerażone oddalały się z pola bitwy.

- Goń je, bracie - rzucił Sigmar. - Niech żaden nie pozostanie przy życiu.

Rozdział 3

Morrowi to, co mu się należy

Z miejsca na jednym ze wzgórz otaczających Reikdorf, gdzie stała, Ravenna mogła podziwiać widok rozciągający się na południe. Krajobraz wydał jej się przepiękny i na chwilę zapomniała nawet o tym, że mężczyźni z jej osady wyprawili się w tamtą stronę, aby walczyć i ginąć w walce z zielonoskórzymi.

Poniżej widać było Reikdorf położony na podmokłych nizinach rozciągających się wzdłuż brzegów rzeki. Miasto składało się z niskich, przysadzistych budynków i nie było zbyt piękne, ale przecież była to jej rodzinna miejscowość. Palisada z wysokich pali wyglądała na opuszczoną bez znajdujących się tam zazwyczaj wartowników. Ravenna wzniosła modły do bogów, aby mieli w opiece tych, którzy wyruszyli na południe.

Ośłoniła ręką oczy, wypatrując jakiegoś znaku powracających jeźdźców.

- Nie widzę ich, Gerreonie - powiedziała, zwracając się w stronę młodszego brata, który szedł obok niej wydeptaną wśród traw ścieżką wiodącą z pól kukurydzianych wokół Reikdorfu do jego wzmocnionych wrót.

- Wcale mnie to nie dziwi - odpowiedział Gerreon, poprawiając skórzany temblak, który unieruchamiał złamany nadgarstek. - Las jest zbyt gęsty. Mogliby już być prawie w domu, a ty wciąż byś ich nie widziała.

- Powinni już wrócić - odrzekła, zatrzymując się, aby poprawić plecioną opaskę i przesunęła dłonią po swych ciemnych włosach.

Gerreon również przystanął i powiedział:

- Wiem. Pamiętaj, że powinienem być teraz z nimi.

Ravenna usłyszała gorzką nutę żalu w głosie brata i rzekła:

- Wiem, że miałeś ruszyć do boju wraz z nimi, ale jestem szczęśliwa, że jesteś tu ze mną.

Spojrzeli na siebie i dziewczynę zaskoczyła złość, jaką ujrzała na bladej

twarży brata.

- Ty nic nie rozumiesz, Ravenna. Już i tak wszyscy stroją sobie ze mnie żarty. Teraz, kiedy opuściłem moją pierwszą bitwę, nigdy nie będzie się liczyło, jak wielu wrogów zabiję na następnej wojnie. Zawsze będą mi wypominać, że nie było mnie z nimi za pierwszym razem.

- Zostałeś ranny - starała się go uspokoić Ravenna. - Nie mogłeś walczyć.

- Wiem przecież, ale to nie ma znaczenia.

- Trinovantes nikomu nie pozwoli się z ciebie śmiać - powiedziała.

- Ach tak, więc mam biec za każdym razem do mojego brata bliźniaka, żeby stanął w mej obronie, o to ci chodzi?

- Nie to miałam na myśli - odpowiedziała zmęczona jego humorami i zaczęła schodzić w dół ścieżki. Kochała brata, ale podczas gdy Trinovantes był cichy, rozważny i skryty, to błyskotliwy i przystojny Gerreon był nie tylko największą zморą matek mających ładne córki na wydaniu, ale potrafił też być bardzo okrutny.

Unberogeńskim zwyczajem nosił długie włosy, które, podobnie jak jej, były smoliście czarne. Dbał o nie i w ogóle troszczył się o swój wygląd tak bardzo, że jeszcze w zeszłym tygodniu Wolfgart naśmiewał się z niego, że wygląda jak bretoński efeb. Rozwścieczony Gerreon zaatakował go z furją.

Oczywiście nie mógł się mierzyć ze starszym chłopcem i po chwili padł ze złamanym nadgarstkiem. To Trinovantes powstrzymał brata przed zrobieniem kolejnego głupiego błędu i zabrał go sprzed oblicza śmiejącego się Wolfgarta do uzdrowiciela Cradoca, gdzie nadgarstek został nastawiony i opatrzony.

Kiedy nadszedł czas, gdy Sigmar miał zdobyć swą tarczę w walce z zielonoskórymi nękającymi południowe terytoria Unberogenów, Trinovantes stwierdził, że Gerreon nie może ruszyć z nimi.

- Co za pożytek z wojownika, który nie jest w stanie przytrzymać się konia ani unieść broni? - zapytał łagodnie i Ravenna ucieszyła się w duchu, ponieważ myśl o tym, że jej obydwu braci miałyby wyruszyć na tę bitwę, martwiła ją bardziej, niż chciała przyznać.

Ravenna jeszcze raz spojrzała w stronę rosnących po drugiej stronie rzeki drzew, wypatrując charakterystycznych błysków metalu, ale i tym razem nic nie ujrzała. Zachodzące słońce odbijało się w mętnych wodach rzeki okrążającej granice osady. Pomimo zmartwień Ravenna doceniała piękno i spokój tego widoku.

Ona i Gerreon od świtu pracowali w polu przy letnich żniwach. On w zdrowej dłoni trzymał sierp, ona nosiła na ramionach kosz. Była to ciężka, niewdzięczna praca, ale każdy musiał odrobić swoją część w polu i Ravenna była wdzięczna losowi za obecność Gerreona, nawet biorąc pod uwagę jego podły nastrój. Nie mógł wprawdzie wyruszyć z pozostałymi na wojnę, ale trzymając sierp, był przydatny w polu.

Teraz dzień pracy dobiegał końca, a ona nie mogła się doczekać odpoczynku i miski ciepłej strawy. Żniwa w tym roku były bardzo udane, a dzięki nowym pompom zainstalowanym przez Pendraga i krasnoluda Alaryka wiele akrów ziemi, które do tej pory były suche i jałowe, teraz okazało się wyjątkowo żyzne i obfitujące w plony.

Magazyny pękały w szwach i co tydzień osadę opuszczały wozy pełne ziarna, eskortowane przez uzbrojonych strażników i zmierzające na wschód. Tam nadwyżki ziarna sprzedawano w zamian za broń i zbroje wykuwane przez krasnoludy, ponieważ nie ma na świecie lepszych kowali i metalurgów niż ten górski lud.

Gerreon dogonił ją i powiedział:

- Przepraszam, Ravenno. Nie chciałem cię rozzłościć.

- Nie jestem zła - odpowiedziała. - Jestem po prostu zmęczona i martwię się.

- Trinovantesowi nic nie będzie - uspokoił ją Gerreon głosem, w którym pobrzmiwała miłość do brata i duma z niego. - Jest wielkim wojownikiem. Nie radzi sobie tak zgrabnie z mieczem jak ja, ale naprawdę potrafi wymachiwać toporem.

- Martwię się o nich wszystkich - odpowiedziała. - O Trinovantesa, Wolfgarta, Pendraga...

- I Sigmara, tak? - zapytał Gerreon uśmiechając się chytrze.

- Tak, o Sigmara również - odpowiedziała i odwróciła wzrok, ponieważ wypowiedziawszy to imię, oblała się rumieńcem.

- Szczerze mówiąc, siostrzyczko, to nie wiem, co ty w nim widzisz. Tylko dlatego, że jest synem króla, nie znaczy, że jest kimś wyjątkowym. Jest prostakiem, takim jak cała reszta i tylko spożywanie ciepłych posiłków różni go od zwykłego dzikusa.

- Ucisz się! - syknęła Ravenna, łapiąc się na jego przynętę i klnąc w duchu, kiedy zobaczyła, jak się z niej śmieje.

- No co? Boisz się, że Wolfgart wróci i złamie mi drugi nadgarstek?

Najpierw go wybebeszę.

- Gerreonie! - krzyknęła, wyczuwając w jego głosie prawdziwy jad, ale zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, spostrzegła, że oczy brata utkwione są w punkcie znajdującym się daleko za jej plecami. Odwróciła się i podążyła za jego spojrzeniem wzdłuż rzeki. Ostre słowa chłopca w mig poszły w zapomnienie.

Spośród drzew wynurzała się kolumna jeźdźców. Zmęczeni jechali powoli, ale wyprzedzał ich triumfalny głos trąbek. Włócznie i sztandary uniesione były wysoko w górze w geście pozdrowienia na widok Reikdorfu, do którego się zbliżali.

W odpowiedzi od strony osady rozległy się okrzyki kobiet i mężczyzn. Mieszkańcy Reikdorfu tłumnie ruszyli w stronę bram, słysząc o powrocie wojowników.

Ravenna poczuła, jak gdzieś wewnątrz niej narasta fala radości zrodzonej z olbrzymiej ulgi, ale po chwili zamarła, dostrzegając grupę wojowników w pełnej zbroi, którzy szli na czele kolumny jeźdźców i nieśli nosze zrobione z tarcz. Na noszach leżało ciało poległego bohatera.

- O nie! - krzyknął Gerreon. - Nie... Proszę, na wszystkich bogów, nie!

Serce podeszło Ravnennie do gardła, gdy pomyślała najpierw, że zabitym jest Sigmar, ale chwilę potem ujrzała królewskiego syna, jak pomaga nieść nosze. Poza tym jego szkarłatny sztandar wciąż dumnie trzepotał na wietrze wzniesiony wysoko w górę.

Ulga, jaką odczuła widząc, że Sigmar ocalał, ustąpiła nagle miejsca straszliwemu odkryciu, gdy rozpoznała przykrywający poległego szmaragdowozielony sztandar, sztandar Trinovantesa.

Mury Reikdorfu coraz bardziej się zbliżały, surowe i czarne na tle zachodzącego słońca. Sigmar w równym stopniu wyczekiwał powrotu do domu, jak i się go obawiał. Pamiętał, jak sam stał wśród wiwatującego tłumu witającego powracających w chwale wojowników, których tarcze i włócznie lśniły w słońcu.

Teraz to on powracał w chwale, pokonawszy armię orków z Gór Szarych i zabiwszy ich przywódcę. Wystarczy powiedzieć, że na stosach pogrzebowych spłonęło prawie dwa tysiące orków i goblinów i wedle wszelkiej miary było to wspaniałe zwycięstwo.

Dowódca Astofen, daleki kuzyn jego ojca, zaprosił go wewnątrz murów zaraz po bitwie. Ranni wojownicy zostali opatrzeni i dla nikogo nie zabrakło wyśmienitego mięsiwa oraz najlepszego piwa.

Sigmar przyłączył się do świętujących wojowników, ponieważ gdyby ich opuścił, aby oddawać się melancholii, mógłby tylko obrazić ich męstwo. W sercu jednakowoż cały czas opłakiwał poległego Trinovantesa. Nie tylko go opłakiwał, ale i czuł się winny, że swoim rozkazem skazał przyjaciela na śmierć.

Przed nimi opadało zbocze kończąc się mostem Sudenreik, wielką konstrukcją z kamienia i drewna zaprojektowaną przez Alaryka i Pendraga, którzy doglądali także prac nad budową ukończoną niecałe dwa miesiące wcześniej. Sigmar i pozostali mężczyźni niosący nosze kroczyli zakurzoną drogą wijącą się po zboczu w stronę mostu. Każdy krok odmierzali starannie i z godnością, ponieważ po raz ostatni sprowadzali do domu zasłużonego wojownika.

Karbowana krawędź tarczy, na której spoczywał brat miecza, wbijała mu się boleśnie w ramię, ale przyjmował to z pokorą, wiedząc, że śmierć Trinovantesa będzie dla niego ciężarem długo po tym, jak złoży na ziemi nosze, a przyjaciel zostanie pochowany w grobie na skraju Brackenwalsch na Wzgórzu Wojowników.

Zeszli ze wzgórza i wkroczyli pomiędzy rzeźbione kolumny zakończone podobiznami wyjących wilków, które strzegły mostu z obydwu stron. Kamienie, którymi balustrada była wyłożona od wewnętrznej strony, ozdobione były z kolei płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny z mitologii Unberogenów. Każdy z kamieni przedstawiał jedną z legend, której unberogeńskie dzieci wysłuchiwały od lat z przerażeniem i fascynacją.

Ukazano na nich takich bohaterów jak Redmane Dregor i jego ojciec walczący z orkami i smokami. Naprzeciw płaskorzeźby przedstawiającej Björna zabijającego wielką, byczogłową bestię spoczywał gładki kamień przeznaczony pod wyrycie na nim legendy Sigmara. Bez wątpienia zwycięstwo pod Astofen będzie pierwszym z wielu heroiczych czynów odnotowanych w tej niezwykłej kronice.

Sigmar obserwował olbrzymie wrota Reikdorfu otwierające się na zewnątrz, popychane przez napierających wojowników. Mury jego rodzinnego miasta były wyższe od tych w Astofen i obejmowały o wiele większy obszar, który zamieszkiwało ponad dwa tysiące ludzi. Miasto będące

siedzibą króla Björna było jednym z cudów krain położonych na wschód od gór, ale Sigmar już planował uczynić z niego największe miasto na świecie.

Łuk na główną bramę uformowany był ze splecionych gałęzi, a na jego szczycie znajdowała się statua brodatego wojownika o ponurej twarzy, odzianego w zbroję i wilczą skórę, który dzierżył olbrzymi, dwuręczny młot. Przy jego boku siedziała para wilków. Sigmar skłonił się przed wizerunkiem Ulryka.

Jego ojciec stał u otwartych wrót, jak zawsze w towarzystwie Alfgeira i Eofortha. Sigmar poczuł przyływ radości na ten widok, wiedząc, że bez względu na to, jak daleko odjedzie lub jakich nie dokona czynów i tak zawsze będzie synem swego ojca, za co dziękował bogom.

Mieszkańcy i mieszkanki Reikdorfu zgromadzili się wokół bramy, ale nikt nie wypuszczał się poza mury w uszanowaniu zwyczaju, który pozwalał każdemu wojownikowi wmaszerować przez wrota rodzinnego miasta z wysoko uniesioną głową.

- W istocie wspaniałe powitanie - odezwał się Pendrag kroczący obok Sigmara i również pomagający w dźwiganiu noszy z ciałem Trinovantesa.

- Takie też, do kroćset, powinno być - zauważył Wolfgart. - Ten lud nie widział takiego zwycięstwa od kilku dziesięcioleci.

- Racja - zgodził się Sigmar. - Takie właśnie powinno być.

Stawiali coraz krótsze kroki w miarę jak ziemia zaczęła się wznosić, a oni podchodzili pod wzgórze prowadzące pod mury Reikdorfu. Sigmar poczuł jak dusza rośnie mu z dumy, kiedy ujrzał tłumy zgromadzone, aby ich powitać. Czuł, że on i jego ludzie ulegają teraz wielkim emocjom. Przetrwali wszystko, czym świat chciał ich zniszczyć podczas drogi do królestwa Morra - spotkanie z bestiami, choroby, głód i ubóstwo, a na dodatek przetrwali to z odwagą i godnością.

Jaka siła mogła powstrzymać rozwój tak wspaniałej rasy?

Owszem, doświadczali też bólu i rozpacz, ale ludzie mieli wizję, ideę wyższego celu. Nasiona idei Sigmara już zaczęły przynosić pierwsze owoce, ale nic nie rodzi się bezboleśnie. Sigmar zdawał sobie sprawę, że lud Unberogenów czeka jeszcze wiele lat nędzy, zanim zdoła zrealizować wielki cel, jaki zrodził się w jego sercu, gdy spędzał czas pośród grobów przodków.

Sigmar poprowadził wojowników przez wrota Reikdorfu, gdzie powitały ich okrzyki zadowolenia i radości wydobywające się z setek gardeł ludzi witających ich w domu. Rodzice witali synów we łzach, niektórzy płakali z

radości, inni z wielkiego smutku.

Atmosfera przepełniona była gorącymi powitaniem i bolesnymi okrzykami straty, gdy unberogeńskie matki dostrzegały synów jadących na koniach lub tylko ich ciała przewieszane przez grzbiety wierzchowców.

Sigmar kroczył przed siebie, aż stanął przed obliczem ojca. Król wyglądał równie majestatycznie i imponująco jak zwykle, ale na jego twarz wypłynął zwykły uśmiech ojca, który wita syna wracającego w pełni sił z pola bitwy.

- Opuśćcie go ostrożnie - zaordynował Sigmar, po czym on i jego towarzysze delikatnie złożyli na ziemi nosze z ciałem Trinovantesa.

Sigmar stał przed ojcem, nie będąc pewny, co powinien teraz powiedzieć. Na szczęście król Björn rozwiązał ten dylemat za niego i po prostu objął go w niedźwiedzim uścisku, przyciskając mocno do serca.

- Synu mój - powiedział. - Powróciłeś do mnie jako mężczyzna.

Sigmar odwzajemnił uścisk, czując, jak przepełnia go miłość do tego wspaniałego człowieka, który wychował go sam, bez żony, dając mu dzieciństwo i młodość wypełnione naukami o odwadze i prawości. Wiedział, że wszystko zawdzięcza ojcu i uzyskanie jego aprobaty było największym zaszczytem, jakiego kiedykolwiek dostąpił.

- Mówiłem ci, że będziesz ze mnie dumny - przypomniał ojcu.

- Tak, tak, rzeczywiście, synu - zgodził się ojciec. - Rzeczywiście.

Król Unberogenów wypuścił wreszcie syna z objęć i wystąpił do przodu, aby zwrócić się do wojowników powracających do miasta. Uniósł ręce w hołdzie dla ich męstwa i rzekł:

- Wojownicy ludu Unberogenów, powróciliście do nas bezpiecznie i za to chcemy dziś podziękować Ulrykowi. Wasze męstwo zostanie uczczone i tej nocy każdy z was będzie ucztował niczym król!

Jeźdźcy zakrzyknęli z radości tak głośno, że hałas wzniósł się wysoko w górę, a Björn odwrócił się w stronę Sigmara i pozostałych mężczyzn niosących nosze. Spojrzał na sztandar i zapytał:

- Trinovantes?

- Tak - odpowiedział Sigmar, po czym głos załamał mu się z emocji. - Padł w walce pod mostem Astofen.

- Czy dobrze walczył? Czy była to dobra śmierć?

Sigmar skinął głową:

- Tak, ojciec. Gdyby nie jego odwaga, tego dnia byśmy nie zwyciężyli.

- Zatem Ulryk powita go na swym dworze i powinniśmy mu zazdrościć -

powiedział Björn. - Tam, gdzie teraz znajduje się Trinovantes, piwo jest mocniejsze, jedzenie lepsze, a kobiety piękniejsze niż gdziekolwiek na świecie. W swoim czasie znów się z nim spotkamy i będziemy dumni z tego, że przechadzamy się wraz z nim po salach chwały.

Sigmar uśmiechnął się, wiedząc, że ojciec mówi szczerze, ponieważ nie było dla wojownika większej nagrody niż umrzeć godną śmiercią, a potem cieszyć się sławą i chwałą czekającą w zaświatach.

- Zawsze myślałem, że najbardziej samotny jest ten, który prowadzi swych ludzi do boju - odezwał się znowu Björn. - Ale teraz wiem, że dużo gorsza jest samotność ojca oczekującego, aż syn powróci bezpiecznie do domu.

- Myślę, że rozumiem, co masz na myśli - zgodził się Sigmar śledząc wzrokiem zrozpaczonych rodziców prowadzących konie niosące ich zmarłych synów. - Wojna jest czymś chwalebny, ale i niezwykle ponurym.

- A zatem wyciągnąłeś z tego wartościową lekcję - stwierdził król. - Dzień zwycięstwa to zarazem dzień radości, jak i smutku. Naucz się cieszyć pierwszym i radzić sobie z drugim, bo inaczej nigdy nie będziesz dobrym przywódcą.

Następnie Björn obrócił się w stronę braci miecza Sigmara i powiedział:

- Wolfgarcie, Pendragu, moje serce napełnia się radością, gdy widzę was całych i zdrowych.

Obaj młodzi mężczyźni uśmiechnęli się szeroko, słysząc pochwałę z królewskich ust, a ich twarze jeszcze bardziej się rozpromieniły, gdy ujrzeli trzy wozy wypełnione baryłkami z piwem, toczące się w ich stronę sprzed browaru. W pierwszym wozie siedział krasnolud Alaryk, a wojownicy szybko zorientowali się, że na beczułkach widnieją kanciaste, runiczne napisy. Z dziesiątek gardeł wyrwał się potężny ryk radości.

- Krasnoludzkie *ale*? - zapytał Wolfgart.

- Wszystko to, co najlepsze, dla naszych powracających bohaterów - uśmiechnął się Björn. - Trzymałem je na wesele mego syna, ale on uparł się, żeby kazać mi czekać w nieskończoność. Zdecydowałem, że lepiej je wypić, zanim zwietrzeje.

- Słyszałem to! - krzyknął w ich stronę Alaryk. - Krasnoludzkie *ale* nigdy nie wietrzeje.

- To tylko takie wyrażenie - odpowiedział król. - Nie chciałem cię urazić, mistrzu Alaryku.

- Tak się mówi - mruknął krasnolud. - W każdej chwili mogę wrócić do domu, jeśli chcesz.

- Och, przestań być takim naburmuszonym ponurakiem - roześmiał się Pendrag, ujmując krasnoluda za dłoń w przyjacielskim uścisku. - Zamiast tego lepiej nalewaj!

Wolfgart skinął głową w stronę Sigmara i jego ojca, po czym szybko dołączył do przyjaciół na wozie z beczułkami piwa.

- Nie przyłączysz się do nich? - zapytał Björn.

- Zrobię to - odpowiedział Sigmar. - Ale najpierw zaczekam na rodzinę Trinovantesa.

- Racja - przytaknął król patrząc na syna mądrymi oczami. - To słuszny postępek. Ale zanim jego bliscy tu przybędą, opowiedz mi ze szczegółami o swych przygodach.

Sigmar uśmiechnął się i odpowiedział:

- Tak naprawdę, to nie ma o czym opowiadać. Ruszyliśmy tropem zielonoskórych na południe i zachód i dopadliśmy ich pod murami Astofen.

- Jak wielu ich było? - zapytał Alfgeir bez ogródek, jak to miał w zwyczaju.

- Około dwóch tysięcy - odpowiedział Sigmar.

- Dwa tysiące - wykrztusił Björn, wymieniając pełne dumy spojrzenia z Alfgeirem. - A mówił, że nie ma nic do opowiadania! A co z Kościołamaczem?

- Zginął z mojej ręki - powiedział Sigmar. - Ghal-maraz opił się jego krwi.

- Tysiące - zamyślił się na głos Eoforth. - Nigdy nie sądziłem, że tylu zielonoskórych może się zgromadzić pod wodzą jednego watażki. Czy zabiliście ich wszystkich?

- Tak właśnie uczyniliśmy - potwierdził Sigmar. - Ich ciała zamieniły się w proch w ogniskach, które zapaliliśmy w górach.

- Zaiste płynie w tobie krew Ulryka - powiedział rozpromieniony Björn. - Mam nadzieję, że Eadhelm wyprawił ci królewskie powitanie w swym małym miasteczku, bo jeżeli tego nie zrobił, będę się z nim musiał rozmówić osobiście.

- Podjął mnie godnie - uspokoił go Sigmar. - Twój kuzyn przesyła pozdrowienia tobie królu i przysięga, że gdybyśmy kiedykolwiek byli w potrzebie, przyśle swoich wojowników bez chwili zwłoki.

Björn pokiwał głową i stwierdził:

- Dobry człowiek z tego Eadhelma. Ma to po starym Redmane.

W tym momencie Sigmar dostrzegł w oczach ojca ostrzegawczy błysk, dlatego też odwrócił się i ujrzał dziewczynę o kruczoczarnych włosach, która sztywnym, nienaturalnym krokiem przechodziła właśnie przez bramę wiodącą do Reikdorfu. Zaszło mu w ustach, gdy rozpoznał w niej Ravenę. Widok jej dumnego, pięknego ciała spowitego w zwoje zielonej tkaniny sprawił, że żołądek skręcił mu się w nieprzyjemny sposób.

Jej twarz była pełna smutku i Sigmar poczuł, że na ten widok pęka mu serce. Tuż za nią podążał jej młodszy brat, bliźniak Trinovantesa, ocierając łzy płynące ciurkiem po bladej twarzy.

Dziewczyna podeszła do ciała brata przykrytego sztandarem i skinąwszy Sigmarowi i jego ojcu, klękła przy zmarłym i położyła dłoń na jego klatce piersiowej. Gerreon osunął się na ziemię tuż przy niej, łkając i zanosząc się płaczem, który wstrząsał jego drobnym ciałem.

- Uspokój się, chłopcze - powiedział do niego król. - To kobiecy obowiązek opłakiwać zmarłego wojownika.

Gerreon spojrzał w górę i utkwiał oskarżycielski wzrok w Sigmarze:

- To ty go zabiłeś - załkał Gerreon. - Zabiłeś mojego brata!

Paleniska płonące w królewskim długim domu zaczęły powoli przygasać. Częściowo zwęglone kłody drewna i kawałki torfu ledwie się już tliły, a bijące od nich ciepło uspiło wielu wojowników. Przez całą noc świętowano tutaj wielkie zwycięstwo, składając Ulrykowi i Morrowi ofiary z wysmienitego mięsa i piwa. Pierwszemu dziękowano za odwagę, którą natchnął wojowników, drugiemu za pomoc, jaką okazał tym, którzy udali się na wieczny spoczynek.

W długim domu ucichło, a jedyne dźwięki, jakie zakłócały ciszę, były to odgłosy pochrapywania blisko stu mężczyzn, którzy spali owinięci w zwierzęce skóry, oraz skrzypienie desek pod ich ciałami. Wojownicy, na których czekały rodziny, powrócili po uczcie do domów, ale kawalerowie i chłopcy zbyt młodzi, żeby prawidłowo ocenić odporność swych głów, leżeli teraz pokotem na podłodze i na stołach.

Zwyczajem było, że w noc, kiedy wojownicy wracali do domu po bitwie, król i jego następca pełnili straż, aby oddać honor odwadze swych wojsk. Sigmar siedział obok ojca na tronie, który Björn wyrzeźbił własnoręcznie,

czekając na chwilę, gdy syn powróci zwycięsko z bitwy i będzie mógł siać obok. Z ramion Sigmara zwisał długi płaszcz z wilczej skóry, a przed nim, na specjalnie w tym celu stworzonym cokole, spoczywał dar krasnoludów - Ghal-maraz.

Żeby zaspokoić apetyt wojowników, zaszlachtowano w tę noc małe stadko. Zapas krasnoludzkiego *ale* szybko się skończył i mistrz piwowar musiał sięgnąć do swych rezerw. Weterani odnowili przysięgi braterstwa, a ci wojownicy, którzy zdobyli tarcze pod murami Astofen, złożyli je po raz pierwszy.

Sigmar świętował zwycięstwo wraz ze swymi ludźmi, ale wciąż miał przed oczyma pełną napięcia twarz Ravenny i płaczącego Gerreona, kiedy oboje klęczeli przy zmarłym Trinovantesie. Zdawał sobie sprawę, że bitwa pod Astofen była niesamowitym zwycięstwem Unberogenów, ale śmierć przyjaciela zabrała mu całą radość z tego faktu.

Jakaś część niego mówiła mu, że takie myślenie jest oznaką egoizmu. Dlaczego nie martwił się tak bardzo losem innych zabitych, którzy nie byli jego braćmi miecza? Nie mógł się jednak opędzić od wspomnień o Trinovantesie - dobrym i zaufanym przyjacielem, cichym i rozważnym doradcą, zawsze uczciwym i szczerym. Gdy Wolfgart opowiadał się za przemocą, a Pendrag doradzał dyplomację, Trinovantes potrafił znaleźć drogę łączącą podpowiedzi obu pozostałych, potrafił znaleźć równowagę. Z pewnością będzie mu go brakowało.

- Znowu myślisz o Trinovantesie? - zapytał ojciec.

- Czy to takie oczywiste? - odpowiedział Sigmar pytaniem na pytanie.

- Był twoim bratem miecza - odpowiedział Björn. - To normalne, że za nim tęsknisz. Pamiętam, że ja również przeżywałem ciężkie chwile, gdy Torphin zginął na bagnach Reiku.

- Chyba go pamiętam. Taki potężny mężczyzna? - zapytał Sigmar. - Nigdy za dużo o nim nie opowiadałeś.

- Ach... Byłeś wtedy jeszcze dzieckiem i to nie była opowieść dla twoich uszu - odpowiedział Björn potrząsając ręką. - To prawda, Torphin był olbrzymim człowiekiem, możesz nie wierzyć, ale większym nawet ode mnie. Był jak wykuty ze skały i przy tym silny jak dąb. Był najlepszym bratem miecza, jakiego mężczyzna mógłby sobie zażyczyć.

- Co się z nim stało?

- Umarł, tak jak my wszyscy kiedyś umrzemy - odpowiedział Björn.

- Ale jak? - drażył Sigmar, widząc, że z jednej strony ojciec niechętnie odpowiada na pytania, ale z drugiej jakby chce być zmuszony do tego, aby opowiedzieć o śmierci swego brata miecza.

- To było cztery czy pięć wiosen temu - zaczął opowieść Björn. - Wyruszyliśmy wtedy z pomocą królowi Endalów, Marbadowi, pamiętasz?

Sigmar próbował sobie przypomnieć tamtą wyprawę, ale ojciec tyle razy opuszczał Reikdorf, spiesząc na pola tyłu różnych bitew, że ciężko było spa pamiętać je wszystkie.

- Nie? - upewnił się Björn. - No cóż, Marbad jest dobrym człowiekiem, a jego ludzie próbowali przeżyć na skrawku bagien ciągnących się u ujścia rzeki. Osiedlili się tam po tym, jak król Jutonów, Marius, wypędził ich z ojczystych ziem, które Jutonowie przejęli dlatego, że z kolei ich ojczyznę najechali Teutogenowie. Przypuszczam, że na tych bagnach można żyć, ale dlaczego ktoś miałby chcieć tam zamieszkać - o to mnie nie pytaj. To niebezpieczne miejsce, pełne trzęsawisk, które wciągają ludzi, trupich światła i demonów pijących ludzką krew.

Mimo gorąca panującego w sali Sigmara przeszedł zimny dreszcz na wspomnienie przerażających opowieści o potworach o martwych oczach i wydłużonych zębach, które błąkały się w oparach mgły, aby żywić się krwią nieostrożnych wędrowców.

- Mniejsza jednak z tym - kontynuował opowieść ojciec. - Marbad i ja znamy się od wielu lat. Walczyliśmy razem przeciwko orkom z plemienia Krwawej Paszczy, gdy nadeszły z Gór Szarych jakieś dwadzieścia lat temu. Wtedy ocalił mi życie, więc miałem wobec niego olbrzymi dług wdzięczności. Gdy demony z mgieł zaczęły zagrażać życiu jego ludzi, wezwał mnie na pomoc, a ja wyruszyłem, aby spłacić stary dług.

- Przeszliście całą drogę aż na wybrzeże?

- Tak właśnie zrobiliśmy, chłopcze, ponieważ pod żadnym, powtarzam ci, pod żadnym pozorem nie możesz złamać przysięgi, którą złożyłeś. Więzy lojalności i przyjaźni są najważniejszą rzeczą w całym naszym życiu, a dla ludzi, którzy łamią obietnice, nie ma miejsca na świecie. Nigdy o tym nie zapominaj.

- Nigdy nie zapomnę - obiecał Sigmar. - Co się wydarzyło, gdy już dotarliście na wybrzeże?

- Marbad wraz ze swoją armią czekał na nas w Marburgu i stamtąd wyruszyliśmy na bagna, tak jakby czekała nas tam wielka przygoda, gloria i

chwała.

Sigmar dostrzegł, że ojciec utkwiał teraz puste, zamglone spojrzenie gdzieś w przestrzeni, jakby na nowo otoczyły go mgły, pomiędzy którymi kroczył tak dawno temu.

- Ojczy? - zagadnął, gdy milczenie się przedłużało.

- Co? Ach tak... No cóż, wkroczyliśmy na bagna i wtedy wokół nas z mgły zaczęły wyłaniać się demony. Były szybkie jak duchy, ściągały ludzi z wierzchowców i topiły ich w bagnach, aby po chwili wysłać ich do boju przeciwko nam, całych napuchniętych i trupiobladych. Ujrzałem, jak jeden z demonów pochwyił Torphina. Nigdy tego nie zapomnę. Zjawa była biała, tak niezwykle biała. Jak zimowe niebo, i te lodowate niebieskie oczy - niczym ognie rozbłyskujące zimą na północnym niebie. Demon spojrzał na mnie i przysięgam, że śmiał mi się w twarz, odbierając życie memu bratu miecza.

- Jak ich pokonaliście?

- Pokonaliśmy? - zastanowił się na głos Björn. - Nie jestem pewien, czy można to tak nazwać. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to ująć z stamtąd z życiem. Marbad dostał od jasnowidzów broń, którą nazywał Czerepem Ulfa. Nie wiem, jaką moc zaklęto w tym ostrzu, ale zabijało demony i Marbad dzierżył je niczym prawdziwy bohater, wycinając nam drogę pomiędzy demonami wynurzającymi się z mgły. Ale nie to było najgorsze.

- Nie?

- Nie, potem wydarzyło się coś znacznie gorszego. Gdy tylko dotarliśmy na skraj moczarów, usłyszałem, jak ktoś woła moje imię i do dziś pamiętam radość, jaką poczułem, rozpoznając wtedy głos Torphina. Odwróciwszy się ujrzałem, jak wynurza się z mgły. Oczy miał wywrócone tak, że było widać tylko białka, skóra była trupioblada, a z ust wylewała się brudna woda tak, jakby wypływała z jego płuc.

Źrenice Sigmara rozszerzyły się i poczuł jak na myśl o ponurym losie ojcowego przyjaciela jeży mu się włos na karku.

- Co wtedy zrobiłeś?

- A cóż mogłem zrobić? - zapytał retorycznie Björn. - Marbad podał mi Czerep Ulfa, a ja wbiłem go w ciało Torphina, wysyłając przyjaciela prosto na dwór Ulryka. Śmierć przez utonięcie to nie jest koniec godny wojownika, dlatego zabiłem go mieczem. Jeżeli wilczy bóg ma w sobie choć krztynę sprawiedliwości, przyjmie Torphina do siebie, ponieważ klnę się, że nie

stąpił nigdy po ziemi bardziej godny tego człowiek.

Sigmar rozumiał, że ojciec nie miał innego wyjścia jak tylko zabić brata miecza, żeby umożliwić mu udanie się na dwór Ulryka. Czuł się strasznie, myśląc o tym, że może sam będzie musiał kiedyś zabić w podobnej sytuacji kogoś z towarzyszy. Postanowił jednak w tej samej chwili, że musi zgromadzić najbliższych sobie i związać się z nimi więzami braterstwa.

- Opuściliśmy trzęsawiska, zwróciłem Czerep Ulfa Marbadowi i staliśmy się wtedy braćmi miecza. Dlatego też, kiedy Endalowie proszą o pomoc, jesteśmy zobowiązani wyruszyć im z odsieczą i na odwrót. Podobne przysięgi wiążą nas z Cherusenami i Teleutenami, po tym, jak sprzymierzyliśmy się, wygrawszy bitwy z bestiami zamieszkującymi lasy. Te przysięgi są niezwykle ważne, Sigmarze, najważniejsze. Dotrzymuj tych, które sam składasz, a inni podążą za twym przykładem.

Sigmar pokiwał głową ze zrozumieniem.

Ravenna zapięła ostatni guzik opończy brata i zacisnęła mocniej tasiemkę, a następnie wygładziła miękką wełnę na piersi zmarłego. Ubrany w najlepsze szaty, Trinovantes spoczywał na tym samym łóżku polowym, z którego zerwał się parę dni temu, aby wyruszyć na bitwę. Ponieważ ich oboje rodzice nie żyli, to na nią przypadł obowiązek umycia ciała i przygotowania go do złożenia do grobu, które miało się odbyć następnej nocy podczas nowiu księżyca.

Przesunęła dłonią po zimnym policzku i pogładziła piękne, ciemne włosy, tak podobne do Gerreona i jej własnych. Rysy twarzy brata złagodniały po śmierci, ale zmarszczki powstałe w skutek trosk i zmartwień pozostały na zawsze wryte na młodej twarzy.

- Nawet po śmierci wyglądasz na zasmuconego - powiedziała łagodnie.

Naostrzony topór, błyszczący w świetle ognia leżał na łożu tuż obok ciała. Wyciągnęła dłoń, aby dotknąć broni, ale w ostatniej chwili cofnęła ją. Było to narzędzie śmierci i nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Wojna była dla niej czymś niepotrzebnym, grą, w jaką bawią się mężczyźni z Reikdorfu, ale grą okrutną, która mogła mieć tylko jeden wynik.

Gerreon siedział na stole naprzeciwko niej, chowając głowę w ramionach i oplakując stratę bliźniaczego brata. Na swym łożu śmierci matka wyznała Ravennie, że starucha, która przyjmowała poród bliźniaków przepowiedziała

jej, że braci będzie zawsze łączyła nierozzerwalna więź, ale tylko jeden z nich przeżyje na tyle długo, żeby poznać największą rozkosz i największy ból.

Nigdy nie rozmawiała o tym z Gerreonem, ale zastanawiała się teraz, czy śmierć brata byłaby wobec tego największym bólem, jakiego kiedykolwiek miał doznać. Co w takim razie byłoby największą rozkoszą?

Ravenna chciała utulić brata w ramionach i ukołysać go do snu, tak jak robiła to wiele razy w przeszłości, kiedy starsi chłopcy naśmiewali się z jego ładnej twarzyczki i wątlej postury. Zdawała sobie jednak sprawę, że był to instynkt starszej siostry i tym razem nie pomogą tak proste środki.

Podniosła się z klęczek i przemierzyła niską izbę. Dym z paleniska gromadził się pod sklepieniem, utrzymując ciepłe i suche powietrze w środku, ponieważ w pomieszczeniu nie było otworu wentylacyjnego. Z wiszącego na żelaznych hakach nad paleniskiem bulgoczącego kociołka unosił się zapach gotowanego mięsa, pochodzącego ze zwierząt z królewskiego stada. Jednakże Ravenna była przekonana, że strawa się zmarnuje, ponieważ tej nocy żadne z nich nie przejawiało apetytu.

Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na głowie brata, siadając tuż obok niego. Wbrew temu, co przed chwilą pomyślała, objęła chłopca i przyciągnęła do siebie. Gerreon powodowany naturalnym odruchem objął ją w talii ramieniem, a ona zaczęła go delikatnie kołysać.

- Już starczy - powiedziała cicho. - Nie potrzeba nam więcej łez w tym domu, Gerreonie. Przyciągniesz tylko złe duchy, a twój brat na pewno nie chciałby, żeby ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszy przed wkroczeniem na dwór Ulryka, było twoje zawodzenie.

- Nic na to nie poradzę - odpowiedział Gerreon, unosząc głowę z jej ramienia. Twarz miał mokrą i zaczerwienioną od długotrwałego płaczu.

Drugą ręką przetarł twarz i rzekł:

- Mój brat nie żyje.

- Wiem - powiedziała Ravenna. - Trinovantes był także moim bratem, Gerreonie.

- Ale dla mnie był bliźniaczym bratem, nigdy nie zrozumiesz, jak to jest stracić kogoś, kto jest jakby częścią ciebie. Kiedy coś się z nim działo, mogłem to czuć, tak jakby przytrafiało się mnie.

- Trinovantes był wojownikiem - stwierdziła spokojnie Ravenna. - Takie właśnie życie wybrał i wiedział, jakie się z nim wiąże ryzyko.

- Nie! - rzucił ostro Gerreon. - Nie sądzę, żeby wybrał swoją śmierć.

Trochę popytałem na ten temat.

- Co to ma znaczyć?

- To ma znaczyć, że Sigmar jest winny śmierci naszego brata - warknął Gerreon. - Rozmawiałem z powracającymi wojownikami i oni powiedzieli mi, że to Sigmar wysłał Trinovantesa, aby ten bronił mostu Astofen. Wydał mu rozkaz, aby pod żadnym pozorem się nie wycofywał. Czy to jest według ciebie wybór?

Ravenna wypuściła brata z uścisku, aby położyć mu ręce na ramionach i obrócić w swoją stronę. Ona również pragnęła się dowiedzieć, w jaki sposób zginął Trinovantes, dlatego zapytała Pendraga i знаła już prawdę.

- Nie, Gerreonie - powiedziała. - Trinovantes dobrowolnie zgłosił się do tej misji. Pytałam Pendraga i powiedział mi dokładnie, co się wydarzyło.

- Pendraga? No tak, oczywiście, że on będzie krył swojego brata miecza, prawda? Złożył przysięgę lub coś podobnego. Powie wszystko, aby go chronić. Nie przyszło ci to do głowy?

Ravenna potrząsnęła przecząco głową:

- Pendragowi daleko do ideału, ale nie jest kłamcą i ja mu wierzę. To zielonoskórzy zabili Trinovantesa, a Sigmar pokonał ich przywódcę.

Gerreon odepchnął od siebie siostrę i krzyknął:

- Jak możesz go bronić w tej sytuacji?! Czy to dlatego, że nie możesz się doczekać, żeby rozłożyć przed nimi nogi? To o to chodzi?

Ravenna wymierzyła mu siarczysty policzek, zostawiając na twarzy brata widoczny, czerwony ślad.

- A więc to prawda - stwierdził i wtedy ręka dziewczyny wysunęła się, by wymierzyć mu kolejny cios.

Tym razem był jednak szybszy i zdążył ją złapać w żelaznym uścisku.

- Nie rób tego - powiedział ostro.

Ravennie po chwili udało się wyrwać dłoń z uścisku brata, podczas gdy on stał nieruchomo, zwijając dłonie w pięści, a żyły na szyi pulsowały mu ogniście na tle bladej skóry.

Ravenna odskoczyła do tyłu przerażona tym wybuchem wściekłości.

- Przepraszam za moje słowa, siostró - powiedział wreszcie Gerreon. - Ale nie zmienię zdania. Sigmar zabił naszego brata i jest to tak pewne, jakby osobiście wbił mu włócznię w serce.

Rozdział 4

Bracia miecza

Nad trawiastymi zboczami Wzgórza Wojowników wiał zimny, przenikliwy wiatr i Ravenna musiała ciasniej owinąć się zielonym płaszczem, obserwując kolumnę wojowników podążającą drogą, która wybiegała z Reikdorfu. Pochód prowadził Sigmar, odziany w błyszczącą brązową zbroję i żelazny hełm. Obok niego kroczył król, za którym z kolei stąpali Pendrag i Alfgeir; jeden z nich niósł sztandar Sigmara, drugi królewskie barwy.

Odziani w zbroje wojownicy nieśli ciało jej brata na marach skonstruowanych z tarcz. Doczesne szczątki zmarłego przykrywał jego zielony sztandar. Ravenna poczuła ucisk w gardle na widok zwłok ukochanego brata.

Gerreon stał u jej lewego boku, coraz bardziej sztywny i spięty w miarę zbliżania się ku nim procesji. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Przystojne rysy jego twarzy stężały w tym momencie, jakby były wykute z kamienia. Miał dziś na sobie najlepszą koszulę ze szkarłatnej wełny, zrezygnował też z temblaka dla rannej ręki. Zdrową dłoń trzymał na główicy miecza przypasanego u boku.

Wyciągnęła rękę i zdjęła dłoń brata z rękojeści miecza, chowając ją w swojej. Początkowo zmarszczył brwi, ale po chwili odprężył się, widząc smutek w jej oczach.

- Nie martw się, siostró - powiedział. - Nie mam zamiaru zrobić nic głupiego.

- Wcale o tym nie pomyślałam - skłamała.

Ścisnął jej dłoń i obrócił się w stronę zbliżających się mężczyzn, którzy byli już w połowie wysokości wzgórza. Ravenna widziała, jak mijają grobowiec Redmane Dregora, przy którym zarówno Sigmar, jak i jego ojciec skłonili się, aby uczcić pamięć szlachetnego przodka.

Królewski ojciec zmarł długo przed narodzinami Ravenny, ale opowieści

o jego heroicznym wyczynach były znane jak kraj Unberogenów długi i szeroki, pasjonując liczne pokolenia malców, które słuchały z rozdziawionymi buziami opowieści o wielkim bohaterze.

Wreszcie pogrzebowy kondukt wspinał się wijącą się dróżką do miejsca przeznaczonego na wieczny spoczynek Trinovantesa. Był to grobowiec wykuty w skale wzgórza, a wejścia do niego strzegły wysokie filary z omszałego kamienia. Jako jeden ze strażników Królewskiego Dworu Trinovantes mógł dostąpić zaszczytu pochowania w takim miejscu, na kamiennej półce tuż obok ojca. Olbrzymi głaz zasłaniający wejście do grobowca został odtoczony na bok po błotnistym podłożu, otwierając przejście dla ostatniej drogi Trinovantesa.

Król Björn zatrzymał się przed wejściem do kurhanu, a Sigmar skinął z powagą i zrozumieniem w stronę Ravenny i Gerreona. Przez długie minuty nikt nie odezwał się nawet słowem. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był szum wiatru, żałośliwy jęk, który lepiej oddawał uczucia zgromadzonych niż mógłby to uczynić najświetniejszy mówca.

Wreszcie król Björn wystąpił naprzód w stronę grobowca, po czym opadł na kolana i skłonił głowę przed mrocznym wejściem. Jego ciemnoniebieski płaszcz trzepotał na wietrze, a brązowa korona lśniła w popołudniowym słońcu.

- Oto wojownik udaje się na ostatni spoczynek w ziemi, której bronił własnym ciałem - rzekł król. - Zwał się Trinovantes i umarł śmiercią bohaterską, z ostrzem mokrym od krwi wroga, walcząc do ostatniej chwili mimo odniesionych ran. Przyjmij go, potężny Ulryku, i zgotuj mu godne powitanie.

Następnie król wyciągnął nóż z brązu i przesunął ostrzem po wnętrzu dłoni. Potem ścisnął ją w pięść, pozwalając kroplom krwi rozprysnąć się na ziemi przed ziejącym czernią wejściem do grobowca.

- Składam ci w ofierze królewską krew - powiedział Björn. - Oraz honor jego braci miecza.

Sigmar poprowadził wojowników niosących ciało Trinovantesa obok króla, a następnie, pochyliwszy głowę, w głąb pachnącej stęchłączą ciemności. Ravenna czuła, że palce Gerreona zaciskają się na jej dłoni, ale nie odwróciła oczu odprowadzając ostatni raz wzrokiem ciało zmarłego wnoszone do grobowca.

Słyszając dobiegający ze środka szczęk metalu i ściszone głosy

wojowników, poczuła, że zbiera jej się na płacz. W końcu mężczyźni wynurzyli się na światło dzienne i zajęli pozycje za królem, dzierżąc tarcze dumnie przed sobą. Ostatni wyszedł z kurhanu Sigmar, niosąc przed sobą tarczę Trinovantesa niczym olbrzymią tacę. Skóra rozciągnięta na drewnianym stelażu była ponacinana i brakowało kilku brązowych ćwieków wokół krawędzi.

Sigmar powoli zbliżył się do niej i do Gerreona z twarzą, na której malowało się wielkie cierpienie. Serce dziewczyny wyrwało się ku temu młodemu mężczyźnie, mimo że sama opłakiwała własną stratę. Poczula, że Gerreon sztywnieje na widok zbliżającego się Sigmara, który podniósł tarczę i podał ją młodzieńcowi.

- Trinovantes był najdzielniejszym ze znanych mi ludzi - powiedział Sigmar. - To była jego tarcza, którą teraz przekazuję tobie, Gerreonie. Możesz nosić ją z dumą i z jej pomocą zasłużyć na taki honor, jaki spotkał twego brata.

- Honor? - syknął Gerreon. - Wysłanie na śmierć przez przyjaciela nazywasz honorem? Ja nazwałbym to inaczej!

Sigmar nie okazał otwarcie gniewu, słysząc obraźliwe słowa, ale Ravenna ujrzała, jak jego oczy pociemniały od wściekłości pomieszanej z żalem. W dalszym ciągu trzymał w wyciągniętych przed siebie rękach tarczę Trinovantesa, więc dziewczyna wyswobodziła dłoń Gerreona, aby mógł przyjąć dar.

- On był moim przyjacielem, Gerreonie - rzekł po chwili Sigmar. - Ja również opłakuję jego śmierć, tak jak ty. To prawda, wydałem mu rozkaz, który ostatecznie doprowadził do jego śmierci, ale takie są prawa wojny. Dobrzy ludzie giną, a my możemy uczcić ich ofiarę przez to, że żyjemy dalej i czcimy ich pamięć.

Ravenna pragnęła z całego serca, aby brat przyjął ofiarowaną tarczę, ale wydawał się zdeterminowany, aby przedłużyć w nieskończoność napiętą konfrontację i nie odbierać tarczy od Sigmara.

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem w napięciu, a ona chciała krzyczeć z frustracji. Zamiast tego wyciągnęła przed siebie dłonie, schwyciła tarczę brata, po czym skłoniła głowę przed Sigmarem i podniosła tarczę dumnie przed sobą.

Sigmar spojrzał zdumiony, gdy wyjęła tarczę Trinovantesa z jego rąk, ale widziała, że w oczach królewskiego syna złość zamienia się w zrozumienie,

gdy pojął, że próbuje ochronić pozostałego przy życiu brata.

- Dziękuję - powiedziała głosem dumnym i silnym, pomimo żalu, który odczuwała. - Wiem, że serdecznie miłowałeś naszego brata i że on również kochał cię jak samego siebie.

Sigmar odpowiedział:

- Był moim bratem miecza i nigdy nie zostanie zapomniany.

- Tak - zgodziła się Ravenna. - Nigdy go nie zapomnimy.

Gerreon stał bez ruchu, ale ponieważ tarcza została przyjęta, Sigmar odwrócił się i podszedł do wojowników, przyjmując pozycję przy Pendragu, dzierżącym szkarłatny sztandar, który łopotał targany przez wiatr.

Król dłuższą chwilę obserwował Gerreona, ale nie rzekł ani słowa, a następnie stanął u boku swego czempiona. Teraz Sigmar i Wolfgart wystąpili z szeregu i ustawili się przy głazie, który miał zasłonić wejście do miejsca wiecznego spoczynku ich brata miecza. Pendrag przekazał sztandar Sigmara jednemu z wojowników i dołączył do przyjaciół.

Mężczyźni podparli głaz i zaczęli na niego napierać, prężąc mięśnie i ryjąc stopami w wilgotnej ziemi. Ravennie zdawało się, że nie będą w stanie poruszyć olbrzymiej skały, ale kamień zaczął się wreszcie chwiać, zrazu powoli, aby po chwili dać się przetoczyć siłą rozpędu w odpowiednie miejsce.

Ravenna zamknęła oczy, gdy głaz z wielkim hukiem i straszliwą nieuchronnością wylądował naprzeciw wejścia do grobowca, zamykając ciało Trinovantesa na zawsze w środku.

Zapadał już zmierzch, gdy Björn usiadł na kamieniu naprzeciw grobu Trinovantesa, składając na ziemi przed sobą sakwę z sercem byka w środku. Był zniecierpliwiony tym, że małe ognisko, które rozpałił przed kurhanem, nie płonęło na tyle mocno, aby ogrzać mu ciało, które zimny wiatr okradał z resztek ciepła niczym zuchwały złodziej. Ta część rytuału pogrzebowego zawsze czyniła go niespokojnym, ale wiedział, że jest niezbędna, a on jako król musi ją wykonać.

Spojrzał w górę, na powoli pojawiające się gwiazdy, czekając, aż ukażą się pozostałe, na razie widoczne tylko jako nikłe błyski światła na ciemniejącym niebie. Eoforth mawiał, że są to szczeliny w świecie śmiertelników, przez które mieszkający powyżej bogowie mogą obserwować

czynny ludzkiej rasy. Björn nie wiedział, czy była to prawda, ale ponieważ te słowa brzmiały dobrze, postanowił zaufać mądrości swego doradcy.

Usłyszawszy ciche kroki po drugiej stronie wzgórza, odwrócił wzrok od gwiazd i położył dłoń na rękojęści Żniwiarza Dusz. W gęstniejącym mroku nie widział, kto nadchodzi, ale zdawał sobie sprawę, że zmierzch był czasem pojawiania się różnych cieni i duchów, a poza tym jego wzrok nie był już tak dobry jak w czasach młodości.

- Pokój z tobą, Björnie - rzekł niski, ale mocny głos, zanosząc się chichotem. - Tej nocy nie zamierzam cię skrzywdzić.

Zza kurhanu wynurzyła się zgarbiona kobieta odziana w czarne szaty, ale Björn nie wypuścił miecza z rąk na jej widok. Postać poruszała się podpierając się sękatym kosturem, a jej włosy zdawały się królowi tak białe, jak mgła, w której czają się demony.

To porównanie wytrąciło go z równowagi, ale stał dalej niewzruszenie, zdecydowany, aby stawić czoła wiedźmie z Brackenwalch nie okazując strachu.

- Przynosisz ofiarę dla boga zmarłych? - zapytała starucha.

Jej twarz była pomarszczona i stara, ale oczy lśniły jak u młodej dziewczyny, jasne i szelmowskie.

- Tak, przynoszę - potwierdził Björn, schylając się, aby podnieść sakwę z ziemi.

- Czy coś cię niepokoi, Björnie? - zapytała kobieta.

- Ty i tobie podobni zawsze wzbudzaliście we mnie niepokój - odpowiedział.

- Mnie podobni? - uśmiechnęła się szyderczo starucha. - Pozwól, że ci przypomnę, że to my uchroniliśmy twój lud, kiedy nadeszła plaga. To nam zawdzięczasz ostrzeżenie przed wielką bestią z Wyjących Wzgórz. Dzięki mnie jesteś, kim jesteś, a twój lud jest teraz wymieniany jako jedno z najpotężniejszych zachodnich plemion.

- To wszystko prawda - przyznał Björn. - Ale nie zmienia to faktu, że uważam, iż ciemność otula cię niczym płaszcz. Posiadasz moce, o których śmiertelni mężczyźni nie mogą marzyć.

Wiedźma zaniósła się gorzkim, przeraźliwym śmiechem:

- A czy bardziej martwi cię to, że mam moc większą od śmiertelnych, czy to że od mężczyzn?

- I to, i to - przyznał Björn.

- Przynajmniej jesteś szczerzy - stwierdziła starucha, kucając przed grobowcem. - A teraz szybko, dawaj serce.

Björn rzucił sakwę w stronę kobiety, która złapała ją w locie, a następnie opróżniła nad ogniskiem. Serce szybko zaczęło skwierczeć w płomieniach, a gdy zajęło się ogniem, ostry aromat płonącego mięsa wypełnił nozdrza króla, który poczuł, jak ślina napływa mu do ust. Skwierzący kawałek mięsa spalając się rozpryskiwał wokół tłuszcz i krew.

- Bóg zmarłych jest także bogiem snów - odezwała się stara kobieta. - Tym, którzy odprowadzają dusze zmarłych do jego królestwa, zsyła senne wizje.

Björn nic nie odpowiedział, nie chcąc wdawać się w wymianę zdań z zaklinaczką umarłych. Wiedźma spojrzała na niego.

- Nie chciałbyś posłuchać któregoś z moich snów?

- Nie - odpowiedział Björn. - O czym takim mogłabyś śnić, co chciałbym wiedzieć?

Starucha wzruszyła ramionami, przewracając serce w palenisku. Jego powierzchnia była już szerniała i skurczona od gorąca płomieni.

- Sny są jak bramy wiodące ku przyszłości - powiedziała. - Pycha, duma czy odwaga nie stanowią obrony przed panem zmarłych i wszystkich prędeej czy później czeka podróż do jego królestwa.

- Czy rytuał jest już ukończony? - przerwał jej Björn, zdenerwowany gadaniną czarownicy.

- Prawie - odrzekła. - Ale ty najlepiej ze wszystkich ludzi powinienes wiedzieć, że pośpiech przy ofiarach dla bogów nie jest wskazany.

- Co to miało znaczyć? - zapytał gniewnie Björn, stając nad staruchą. - Do diabła z tymi zagadkami, mów jaśniej, kobieto!

Wiedźma spojrzała na niego i Björn poczuł, jak lodowata dłoń ścisła jego serce tak bezlitośnie, jak płomienie pochłaniają serce byka. Oczy czarownicy lśniły blaskiem ognia, ale żar ogniska ustąpił miejsca przeraźliwemu chładowi.

Zadął zimny wiatr, porywając królewski płaszcz i poruszając nim wokół Björna, jakby kawałek materiału był żyjącą istotą. Mężczyzna spojrzał w niebo, które było czarne i bezgwiezdne, nie płonęły też światła bogów. Björn nigdy w całym swoim życiu nie czuł się tak samotny jak w tej chwili.

- Stoisz na krawędzi otchłani, królu Björn - zasyczała starucha, a jej głos przecinał nocną ciszę niczym nóż. - Więc lepiej słuchaj uważnie tego, co

mam ci do powiedzenia. Dziecko Gromu jest w niebezpieczeństwie, ponieważ moce ciemności nastają na jego życie, chociaż ono jeszcze o tym nie wie. Jeżeli przeżyje, rasa ludzi będzie w chwale i spokoju rządzić ziemią, morzem i niebiosami, ale jeśli się zachwieje, świat zginie w płomieniach i powodzi krwi.

- Dziecko Gromu? - zapytał Björn, odwracając wzrok od pustego, martwego nieba. - O kim mówisz?

- Mówię o czasach, które nadejdą długo po tym, jak ty, a nawet ja, znajdziemy się w grobach.

- Jeżeli i tak będę już martwy, to dlaczego mam się przejmować tym, co mówisz?

- Jesteś wielkim wojownikiem i dobrym człowiekiem, królu Björn, ale ten, który nadejdzie po tobie, będzie największym wojownikiem całej ery.

- Mój syn? - zapytał Björn. - Masz na myśli Sigmarę?

- Tak - starucha pokiwała twierdząco głową. - Mówię o Sigmarze. Stoi u bram królestwa Morra, a bóg zmarłych zna jego imię.

Strach zmroził Björna. Jego żona zmarła w noc rozlewu krwi, a gdy usłyszał, że mógłby przeżyć też jedyne go syna, zdał sobie sprawę, że była to najgorsza rzecz, jaką potrafił sobie wyobrazić.

- Czy możesz go ocalić? - spytał błagalnie.

- Nie - odrzekła starucha. - Tylko ty możesz.

- W jaki sposób?

- Składając mi świętą przysięgę, kiedy o to poproszę - powiedziała kobieta, biorąc go za rękę.

- Zrób to! - krzyknął Björn. - Proś, o co tylko zechcesz.

Wiedźma potrząsnęła głową, wiatr osłabł, a gwiazdy znowu zajaśniały na niebie:

- Nie teraz, Björn, ale bądź gotów, kiedy to uczynię.

Björn skinął głową i oderwał się od starej kobiety. Rozejrzył się dokoła, widząc, że niebo powróciło do normalnego koloru. Odetchnął głęboko, po czym odwrócił się w stronę grobowca Trinovantesa.

Ogień wygasł, a wiatr roznosił proch pozostały ze spopielonego serca.

Wiedźma zniknęła.

Sigmar obserwował, jak mały punkt błyszczący na zboczu Wzgórza

Wojowników gaśnie i wiedział, że oto zakończył się ostatni z rytów towarzyszących śmierci przyjaciela. Nie mógł wyręczyć ojca w tym obowiązku, ale wiedział, że król starannie wykona swą powinność wobec zmarłego.

Sigmara przeszedł dreszcz, gdy spojrzał na zachód, w stronę zachodzącego słońca. Wkrótce zrobi się ciemno, a na murach zaczęli się już pojawiać strażnicy rozpalający osłonięte koksowniki, których zadaniem było oświetlać otwartą przestrzeń rozpościerającą się za obwarowaniami Reikdorfu. Noc była porą strachu, gdyż bestie mieszkające w lasach i górach po zapadnięciu zmroku przejmowały władzę nad krainą.

Ale już wkrótce koniec z tym, pomyślał Sigmar. Bo oto nadchodzi czas ludzi.

- Zwalczę ciemność - wyszeptał, kładąc dłonie na ciężkim głazie w kształcie sześcianu, który spoczywał w centrum osady.

Nierówna powierzchnia kamienia była czerwona i pożyłkowana złotymi nitkami, nie przypominając niczego, co można by znaleźć na zachód od gór.

Ostatnie promienie słońca ogrzały powierzchnię skały i Sigmar czuł, jak kamień promieniuje ciepłem, jakby akceptując jego obecność. Wtem usłyszał odgłos zbliżających się kroków i spojrzał w górę.

Wolfgang i Pendrag, wciąż odziani w brązowe zbroje, kroczyli przez miasto, trzymając głowy wysoko w górze. Sigmar uśmiechnął się na ich widok, czując więź łączącą go z tymi odważnymi młodzieńcami, którzy walczyli - obok niego, nie szczędząc krwi swojej i wrogów.

- Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? - zapytał Wolfgang. - Czeka na nas potężna popijawa i wiele kobiet, które nie mogą się doczekać, żeby godnie nas powitać po powrocie do domu.

Sigmar podniósł się z klęczek i powiedział:

- Dziękuję, że przyszliście, przyjaciele.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał Pendrag, wyczuwając w głosie Sigmara dziwny ton.

Sigmar pokiwał twierdząco głową, po czym ponownie przyklęknął przy czerwonym kamieniu:

- Czy wiecie, co to jest?

- Oczywiście - odpowiedział Wolfgang, kucając tuż obok.

- To Kamień Przysięg - stwierdził Pendrag.

- Tak - podchwycił Sigmar. - Kamień Przysięg został przywieziony ze

wschodu przez pierwszych przywódców Unberogenów, którzy umieścili go tutaj, gdy zdecydowali się osiedlić na tych ziemiach.

- I co z tego? - zapytał niecierpliwie Wolfgart.

- Reikdorf został zbudowany wokół tego kamienia, tu wzrastał nasz lud, na ziemi, która odwdzięczała mu się za czułą opiekę - odrzekł Sigmar ponownie kładąc dłonie na kamieniu. Kiedy mężczyzna składa kobiecie przysięgę małżeńską, ich dłonie łączą się tutaj. Gdy nowy król przysięga poprowadzić swój lud, także czyni to tu i wreszcie, kiedy wojownicy składają przysięgę krwi, ich krew spływa po tym kamieniu.

- No cóż - stwierdził Pendrag. - Nie jesteś jeszcze królem, a nie zakładam też, żebyś planował poślubić kogoś z nas, nieprawdaż?

- Do diaska, lepiej, żeby nie próbował! - krzyknął Wolfgart. - Zresztą i tak jest za chudy jak na mój gust.

Sigmar potrząsnął głową, ignorując ironiczne uwagi przyjaciół.

- Masz rację, Pendragu, przywiódłem was tutaj, ponieważ chciałem, abyście dobrze zapamiętali to, co się za chwilę wydarzy. Pod Astofen odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, ale to był dopiero początek.

- Początek czego? - zapytał Wolfgart.

- Nas - odpowiedział Sigmar.

- Chyba się myliłeś, Pendragu - rzekł Wolfgart. - On rzeczywiście chce nas poślubić.

- Mówiąc „nas” miałem na myśli rasę ludzi - wyjaśnił Sigmar. - Astofen było tylko początkiem, ponieważ widzę dla nas lepszą przyszłość. Każdego roku bestie z lasów atakują nasze osady, a zielonoskórzy plądrują nam domostwa, a jednak wciąż ze sobą walczymy. Teutogenowie i Turynianie najeżdżają nasze północne ziemie, a Merozenowie atakują od południa. Norsmeni i Udosesi są w stanie wiecznej wojny, a Jutonowie i Endalowie walczą ze sobą od tak dawna, że najstarsi ludzie nie pamiętają początku konfliktu.

Wolfgart wzruszył ramionami:

- Tak zawsze było i będzie.

Pendrag przytaknął i powiedział:

- Ludzie zawsze będą ze sobą walczyć. Silny będzie odbierał słabszemu, a ten, który ma władzę, będzie jej chciał jeszcze więcej.

- Czas położyć temu kres - rzekł na to Sigmar. - Zgromadziliśmy się tu, aby poprzysiąc koniec wojen między plemionami. Jeżeli marzy nam się coś

więcej niż zwykle przetrwanie, musimy się zjednoczyć we wspólnym celu.

Sigmar wyciągnął zza pasa Ghal-maraza i położył go w poprzek Kamienia Przysiąg:

- Tego dnia, gdy przechadzałem się pomiędzy grobowcami moich przodków, ujrzałem, jak rozciąga się przed mną nasza kraina. Zobaczyłem rozległe lasy i porozrzucane w nich miasta, niczym wyspy na ciemnym morzu. Zobaczyłem siłę ludzi, ale także ich słabości i strach, gdy kulili się za wysokimi murami, które oddzielały jednych od drugich. Poczulem zazdrość i nieufność w ich sercach, emocje, które zawsze będą naszą słabością w obliczu silniejszego wroga. Mam wizję wielkiego ludzkiego imperium, kraju rządzonego siłą i sprawiedliwością, ale żeby zrealizować tę wizję, będziemy musieli pozostawić małostkowość za nami.

- Wysoko postawiony cel - podsumował Pendrag.

- Ale szlachetny.

- Z pewnością szlachetny - zgodził się Wolfgart. - Ale również niemożliwy do osiągnięcia. Ludzkie plemiona żyją wojną i dla wojny, zawsze ze sobą walczyły, walczą i będą walczyć.

Sigmar potrząsnął głową i położył dłoń na ramieniu Wolfgarta:

- Mylisz się, przyjacielu. Razem możemy dać początek czemuś zupełnie nowemu, czemuś wspaniałemu.

- Razem? - upewnił się Wolfgart.

- Tak, razem - powtórzył Sigmar, kładąc drugą dłoń na obuchu potężnego młota. - Nie osiągnę tego sam; potrzebuję was, moi bracia miecza, abyście stanęli przy mym boku. Przysięgnijcie wraz ze mną, przyjaciele. Przysięgnijcie, że od tej pory wszystko, co robimy, będzie służyło budowaniu wizji zjednoczonego imperium ludzi.

Wolfgart i Pendrag spojrzeli po sobie, jakby uważali Sigmara za szaleńca, ale chwilę potem Pendrag odwrócił się do królewskiego syna i uśmiechnął się.

- Ta przysięga, czy ona wymaga krwi? Każdy z nas upuścił jej już dość w ciągu ostatnich kilku dni.

- Nie, przyjacielu - odpowiedział Sigmar. - To Ulryk wymaga krwi, mi wystarczy twoje słowo.

- W takim razie masz je - pokiwał głową Pendrag, kładąc dłoń na obuchu bojowego młota.

- Wolfgarcie?

Młodzieniec potrząsnął głową ze śmiechem:

- Obaj oszaleliście, ale ponieważ jest to szaleństwo w doborowym towarzystwie, to ja też w to wchodzę.

Wolfgart śladem towarzyszy położył dłoń na Ghal-marazie i wtedy Sigmar rzekł:

- Przysięgam na wszystkich bogów tej ziemi i na tę potężną broń, że nie spocznę, dopóki wszystkie ludzkie plemiona nie będą zjednoczone i silne.

- Ja też przysięgam - powiedział Pendrag.

- I ja - dorzucił Wolfgart.

Serce Sigmara puchło z dumy, gdy patrzył w oczy braci miecza i widział w nich wielką wiarę, jaką w nim pokładali. Wolfgart pokiwał głową i zapytał:

- I co teraz? Chcesz żebyśmy już tej nocy w trójkę wyprawili się na podbój świata? Daleko byśmy nie uszli.

- Nasza trójka to dopiero początek - obiecał Sigmar. Będzie nas więcej.

- Wielu nie będzie chciało podążać wraz z nami tą drogą - ostrzegł go Pendrag. - Nie stworzymy twojego wyśnionego imperium bez rozlewu krwi.

- To będzie długa i ciężka droga - przyznał Sigmar. - Ale wierzę, że są w życiu takie rzeczy, o które warto walczyć.

Wolfgart rzucił spojrzenie w mrok nad Kamieniem Przysięg i zgodził się:

- Ano tak, myślę, że możesz mieć rację.

Sigmar podążył za jego wzrokiem i serce zabiło mu szybciej, gdy ujrzał Ravnennę stojącą na skraju placu. Otulona była ciasno zielonym szalem, a na ramiona spływały jej czarne, rozplecione włosy. Sigmar patrzył na nią, wiedząc, że nigdy w życiu nie widział jej tak pięknej.

Obrócił się w stronę przyjaciół rozdarty między powagą przysięgi, którą właśnie złożyli, a chęcią pobiegnięcia do Ravenny.

- No idź - powiedział Pendrag. - Byłbyś głupcem, gdybyś tu z nami został.

Szli brzegiem rzeki, obserwując jak słońce zatapia ostatnie promienie za linią horyzontu. Ze wschodu nadpełzała ciemność i tylko metaliczny chrzęst strażniczych zbroi i szum rzecznych fal przerywał ciszę panującą na świecie.

Kiedy do niej podszedł, Ravenna nie odezwała się ani słowem i tak kroczyli w kojącej ciszy w stronę rzeki, która toczyła szybko swe smoliste czarne wody. Sigmar czuł się niezręcznie w ciężkiej zbroi, która przy każdym kroku wydawała hałas, kontrastując z gracją, z jaką kroczyła dziewczyna.

Przeszli koło łodzi wyciągniętych na brzeg, suszących się sieci, aż wreszcie dotarli do niewielkiego mola, z którego spuszczano do rzeki długie kłody, które miały na celu wzmocnienie brzegów. Ravenna weszła na molo i przeszła aż na sam jego koniec, wpatrując się w wody Reiku płynące w stronę znajdującego się daleko na zachodzie wybrzeża.

- Trinovantes uwielbiał pływać w rzece - powiedziała.

- Pamiętam - przytaknął jej Sigmar. - Tylko on był na tyle silny, żeby przepłynąć na drugi brzeg. Wszystkich innych spychał prąd i musieli zawracać do Reikdorfu.

- Nawet ciebie?

- Nawet mnie - uśmiechnął się Sigmar.

- Brakuje mi go.

- Wszystkim nam go brakuje - westchnął. - Chciałbym móc powiedzieć coś, co zmniejszyłoby ból jego utraty.

Dziewczyna potrząsnęła głową:

- Żadne słowa tego nie potrafią, Sigmarze. Zresztą nawet bym tego nie chciała.

- Nie rozumiem - zdziwił się. - Dlaczego miałabyś chcieć pograżać się w bólu?

- Ponieważ inaczej mogłabym o nim zapomnieć - odpowiedziała. - Mogłabym zapomnieć o tym, że kiedyś była wojna i że byli ludzie, tacy jak ty, którzy widzieli jego śmierć.

- Winisz mnie za jego śmierć - stwierdził Sigmar.

Odwróciła się od niego, a ostatnie promienie słońca zaśniły w jej włosach niczym płynna miedź.

- To ork rzucił włócznią w mojego brata, nie ty. Nie winię cię za jego śmierć, ale nienawidzę tego, że musimy wystawiać mężczyzn takich jak ty i mój brat, żeby nas chronili przed światem. Nienawidzę tego, że musimy stawiać mury, za którymi się chronimy i wykuwać miecze, żeby nimi zabijać wrogów.

Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

- Świat to niebezpieczne miejsce, Ravenna, a bez mieczy i wojowników dawno bylibyśmy martwi.

- Wiem - odpowiedziała. - Nie jestem naiwna. Rozumiem konieczność posiadania wojska, ale nie muszę tego lubić. Nie jeśli przez to straciłam brata, nie jeśli może mi odebrać także ciebie.

Sigmar roześmiał się:

- Ależ ja się nigdzie nie wybieram.

Ravenna odwróciła się twarzą do niego i śmiech zamarł mu na ustach, gdy ujrzał, jak z jej oczu płyną rzęsiste łzy.

- Jesteś wojownikiem i synem króla - stwierdziła. - Twoje życie jest na polu bitwy. Nie umrzesz raczej jako stary człowiek we własnym łóżku.

- Przykro mi - odpowiedział, wyciągając ku niej ramiona.

Wtuliła się w nie i rozplakała, wiedząc, że pogrzebowy rytuał brata został ukończony. Zbyt długo była silna i niewzruszona. Stali tak razem na brzegu rzeki, aż słońce ostatecznie skryło się za horyzontem, a gwiazdy ukazały się na niebie w całej swej chwale. Noc była bezchmurna i Sigmar mógł zauważyć takie gwiazdozbiory jak Wielki Wilk, Włócznia Myrmidii czy Waga Vereny, błyszczące na nieboskłonie.

Z pewnością ukazały się też inne konstelacje, ale Sigmar nie chciał się ruszyć, aby ich wypatrywać, gdyż z pewnością zniszczyłoby to nastrój chwili. Ravenna długo opłakiwała zmarłego brata, a Sigmar po prostu trzymał ją w ramionach, wiedząc, że każde słowo byłoby tylko zakłóceniem jej żałoby. W końcu łzy przestały płynąć, a dziewczyna obróciła ku niemu oczy, zapuchnięte, ale równie zdecydowane, jak wtedy, gdy wzięła od niego tarczę Trinovantesa na Wzgórzu Wojowników.

- Dziękuję - powiedziała, ocierając policzki skrajem szala.

- Przecież nic nie zrobiłem.

- Ależ owszem, zrobiłeś.

Zastanawiając się, co miała na myśli, nie odezwał się ani słowem, aż wreszcie Ravenna wysunęła się z jego ramion i stanęła naprzeciw, owijając się ciasniej szalem.

- To wyglądało dość poważnie - odezwała się nagle, zmieniając temat. - Mam na myśli to z Pendragiem i Wolfgartem.

Sigmar zawahał się chwilę z odpowiedzią.

- Składaliśmy przysięgę - wydusił wreszcie.

- Przysięgę? Jaką przysięgę?

Sigmar zastanowił się, czy powinien odpowiedzieć na to pytanie, ale wtedy nagle pojął, że aby jego wizja zjednoczonego imperium stała się rzeczywistością, potrzebuje nabrać kształtów w sercach i umysłach ludzkich. Idea to potężna broń, a na dodatek rozprzestrzenia się szybciej, niż jakakolwiek armia potrafi maszerować.

- Żeby położyć kres wojnom - odpowiedział wreszcie. - Żeby zjednoczyć plemiona i stworzyć jedno imperium, które z powodzeniem odeprze ataki bestii ciemności.

Pokiwała głową ze zrozumieniem i zapytała:

- A kto będzie rządził tym imperium?

- My - odpowiedział. - Unberogenowie.

- Masz na myśli siebie.

Sigmar skinął głową:

- Co w tym złego?

- Nic, ponieważ masz dobre serce, Sigmarze. Szczerze w to wierzę. Jeżeli kiedyś uda ci się stworzyć imperium, będzie to miejsce sprawiedliwości i siły.

- Jeśli mi się uda? Nie wierzysz, że mogę to osiągnąć?

- Jeżeli ktokolwiek może, to jesteś to ty - odpowiedziała, po czym zrobiła krok do przodu i ujęła go za rękę. - Obiecuj mi tylko jedno.

- Co tylko zechcesz.

- Bądź ostrożny - uśmiechnęła się słabo. - Nie wiesz, o co zamierzam poprosić.

- To nie ma znaczenia - odpowiedział Sigmar. - Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Drugą dłońią pogłaskała go po policzku.

- Jesteś słodki.

- No dalej - powiedział Sigmar. - Proś, o co chcesz, a ja to uczynię.

- W takim razie obiecuj mi, że kiedyś skończą się wreszcie wojny - powiedziała Ravenna patrząc mu prosto w oczy. - Kiedy osiągniesz już to, co zamierzyłeś, odłóżysz broń i zostawisz to wszystko za sobą.

- Obiecuję - rzekł bez chwili wahania.

Rozdział 5

Królewska wizja

Zima zamknęła Reikdorf w zaciśniętej pięści, sprawiając, że dni zaczęły być coraz krótsze, a temperatura spadała coraz niżej, aż wreszcie kołderka śniegu przykryła cały świat bielą. Rzeka Reik toczyła swe wody powoli i dostojnie, niosąc w zimnych odmętach lodowe kry, które spłynęły tu aż z położonych daleko na południu Gór Szarych.

Unberogenowie przyczaili się, aby przeczekać nieprzyjazną porę roku. Całe szczęście, że żniwa były udane i dla nikogo nie brakło chleba. Król Björn wysłał wozy ze zbożem również na zachód, tam, gdzie osiedlili się Endalowie, ponieważ ziemia była tam licha, a dodatkowo trująca bagienna woda niszczyła wypracowane w pocie czoła zbiory.

Wozy eskortowali uzbrojeni strażnicy, ponieważ lasy, nawet podczas głębokiej zimy, były bardzo niebezpiecznym miejscem.

Zbójcy być może zaprzestawali najazdów na czas, gdy śnieg i lód skuwały ziemię, ale śmiertelny ziąb nie miał władzy nad wynaturzonymi bestiami zamieszkującymi nieprzebyte leśne ostępy.

Wolfgart poprowadził unberogeńskich wojowników do Marburga, jadąc na czele kolumny jeźdźców odzianych w nowe koszulki kolcze zaprojektowane i wykonane z żelaza przez Alaryka i Pendraga. Wolfgart niechętnie rozstawał się z brązowym napierśnikiem i naplecznikiem, ale gdy Alaryk zaprezentował mu, jak mocna była nowa zbroja, bez wahania porzucił starą i z dumą nosił świeżo wykuty pancerz.

On i jego wojownicy mieli spędzić zimę z Endalami i powrócić dopiero na wiosnę, a Sigmar już tęsknił za przyjacielem i dni dłużyły mu się niemiłosiernie.

Tydzień za tygodniem mijały ospale, a każdy kolejny zimny dzień ciążył Sigmarowi niczym bryła lodu. Chciał zacząć wypełniać przysięgę, którą złożyli wraz z braćmi miecza, ale dopóki zima dzierżyła władzę nad ziemią,

dopóty nic nie można było zrobić. Żadna armia nie była w stanie maszerować w takich warunkach, a samo opuszczenie murów miasta równało się niemal samobójstwu. Dni płynęły wolnym rytmem, a mieszkańcy Reikdorfu zajęli się pracami, które mogli wykonywać tylko wtedy, gdy nie zajmowali się ciężką pracą na roli.

Rzemieślnicy tworzyli piękną biżuterię, tkacze wyplatali cudowne gobeliny, a mistrzowie przyjmowali na naukę czeladników chcących w przyszłości zostać snycerzami czy kamieniarzami. Były to zawody, których przedstawiciele wytwarzali produkty zbytkowne, o których nikt nie miałby czasu myśleć, gdyby nie to, że zebrano tak obfite plony.

Kuźnia Alaryka rozbrzmiewała od odgłosów uderzeń młota, a z wysokiego komina co chwila wydobywały się kłęby gorącej pary. Pendrag był stałym gościem w kuźni, ucząc się sekretów mieszania metali w taki sposób, aby powstawały żelazne ostrza odporne na działanie czasu i nie odkształcające się po długotrwałym użytkowaniu.

W miarę jak zima utwierdzała swoje panowanie nad światem, ruch karawan handlowych w stronę Reikdorfu niemal całkowicie zamarł. Tylko krasnoludy miały na tyle odwagi, aby wyruszać zimą w podróż. Przysadziste i muskularne kucyki ciągnęły kanciaste, nieładne wozy. Każda karawana przybywała wyładowana rudą żelaza, misternie wykonaną bronią i elementami zbroi, a także baryłkami mocnego *ale*.

Krasnoludy odziane w płytowe zbroje i okutane w płaszcze wlokły się obok karawany, najwyraźniej za nic mając głęboki śnieg. Zza brązowych przyłbic wystawały tylko długie brody zaplecione w warkocze, twarze pozostawały niewidoczne. Alaryk osobiście witał każdą karawanę, rozmawiając z przybyłymi w szorstkim, acz śpiewnym języku ludu gór, podczas gdy Unberogenowie obserwowali ich zza zamkniętych okiennic.

Wozy rozładowywano dopiero, gdy zostały napełnione zbożem, futrami i wszelkim dobrem niedostępnym w krasnoludzkich twierdzach. Między dworami króla Björna i Króla Kurgana Żelaznobrodego wymieniano też najnowsze wieści ze świata.

Sigmar zimą spędzał dużo czasu na ćwiczeniach wojskowych z Unberogenami, wznosząc się na wyżyny walecznego kunsztu i zacieśniając więzy z współplemieńcami, których jednał sobie za pomocą bystrości umysłu i lojalności.

Oczywiście, nie brakowało też bitew do stoczenia. Zarówno Sigmar, jak i

jego ojciec kilka razy prowadzili oddziały w głąb lasów, aby rozprawić się z potworami nękającymi położone na uboczu osady. Za każdym razem jeźdźcy powracali do Reikdorfu z czaszkami nabitymi na włócznie i za każdym razem mijało trochę więcej czasu, zanim bestie decydowały się zaatakować ponownie.

Jednakże bestie nie były jedynymi wrogami Unberogenów. Teutogenowie zuchwale najeżdżali unberogeńskie terytoria, kradnąc bydło i owce, ale ścigano ich i bezwzględnie zabijano, zanim zdołali wrócić na własne tereny. Podczas jednej z takich potyczek miał miejsce chrzest bojowy Gerreona, który ostatecznie zyskał szacunek współbraci ze względu na doskonałe użycie miecza. Jednakowoż, tak jak sam przewidział, między nim a tymi, którzy przeżyli desperacką bitwę z orkami pod Astofen, ziała przepaść doświadczenia.

W miarę, jak dni stawały się coraz dłuższe, unberogeńscy wojownicy zapuszczali się coraz dalej i dalej, szczególne baczenie mając na granice. Wraz z nadejściem wiosny graniczne potyczki zdarzały się coraz częściej i jeźdźcy nierzadko ćwiczyli podczas nich manewr zwodu, czyli udawali, że odjeżdżają, aby następnie odwrócić się do tyłu w siodle i posłać w stronę śmiejących się rabusiów serię strzał i włócznie, nasłuchując jak rechot zmienia się w agonalny krzyk.

Dni mijały jeden za drugim i kiedy mieszkańcy Reikdorfu zdali sobie sprawę, że najgorsze już za nimi, odetchnęli z ulgą i poczuli, że wypełnia ich światło, którego coraz więcej było na świecie. Słońce zostawało na niebie coraz dłużej, a śnieg zaczął topnieć, odsłaniając coraz więcej żywej zieleni i żółci lasów.

Rolnicy powrócili na pola, przygotowując ziemię do wiosennych zasiewów, zaopatrzeni w skonstruowane przez Pendraga siewniki. W oczekiwaniu przyszłych plonów na terenie całej krainy pobudowano nowe młyny i spichlerze. Starszyzna Reikdorfu zgodnie ogłosiła, że miniona zima należała do najłagodniejszych, jakie zdarzyło jej się przeżyć.

Gdy tylko pierwsze wiosenne kwiaty zaczęły przedzierać się przez skorupę śniegu, z obwarowań miasta zauważono grupę jeźdźców podążających północnym brzegiem Reiku w stronę głównych wrót. Uzbrojeni wojownicy ruszyli na mury, ale wnet dostrzeżono znajomy sztandar i brama otwarła się zapraszająco. Wolfgart poprowadził jeźdźców pod statuą poważnego Ulryka, na którego twarzy nie znać było nawet śladu

uśmiechu, po czym zaczął serdecznie witać się z mieszkańcami.

Powrót do domu był radosnym wydarzeniem, a na cześć każdego wojownika bezpiecznie wracającego w rodzinne progi wyprawiono wspaniałą ucztę. Ludzie głośno domagali się wieści z zachodu i Wolfgart upajał się rolą herolda.

- Król Marbad - obwieścił wszystkim zainteresowanym Wolfgart. - Starzec we własnej osobie przybywa do Reikdorfu.

Powietrze w kuźni było gęste i ciężkie, iskry i kłęby gęstego dymu gromadziły się pod krokwiemi, w miarę jak miechy zaciekłe wydmuchiwały powietrze w stronę paleniska. Cegły najbliżej ognia lśniły w żarze, a węgiel skwierczał, gdy nad nim przesuwały się masy powietrza.

- Muszą dać mocniej, człeczyno! - krzyknął Alaryk. - Palenisko musi być jeszcze gorętsze, żebyśmy mogli oddzielić wszelkie nieczystości!

- Szybciej się nie da, Alaryku! - odkrzyknął Pendrag. - Poziom wody jest zbyt niski i pompy napędzające miechy nie mogą nabrać wystarczającej szybkości.

- Ach, a jeszcze rano wszystko było z nimi w porządku.

- To było rano - przedrzeźniał go Pendrag, puszczać rączki korby napędzającej mechaniczne miechy. - Będziemy musieli poczekać, aż poziom wody znowu się podniesie.

Odstąpił od konstrukcji złożonej z pęcherzy wypełnionych powietrzem i skórzanych pasów, która składała się na miechy.

Moc niezbędną do ich napędzania czerpano z wartkiego kanału Reiku, pełnego spiętrzonej wody, którą skierowano, żeby przepływała przez kuźnię.

Kiedy woda wzbierała, zaczynała napędzać olbrzymie koło z łopatkami, które z kolei dostarczało mocy miechom rozgrzewającym palenisko do nieprawdopodobnych temperatur niezbędnych przy wykuwaniu żelaza.

Aż do ubiegłej wiosny, zanim Alaryk przybył do osady, unberogeńscy wojownicy nosili brązowe zbroje i walczyli brązowymi mieczami oraz włóczniami. Pendrag, pojętny uczeń krasnoludzkiego mistrza, stał się pierwszym człowiekiem, który wykuł żelazny miecz.

Niedługo potem każdy wojownik w osadzie dzierżył żelazne ostrze i z dnia na dzień przybywało koszulek kolczych, gdy tylko unberogeńscy kowale poznali starożytne tajniki krasnoludzkiej metalurgii i łączenia

metalowej plecionki ze skórą.

- Poziom wody - sarknął Alaryk, potrząsając gniewnie głową. - W Karaza-Karak nie dbaliśmy o takie sprawy. Potężne wodospady spadały prosto ze szczytów gór do serca twierdzy, niosąc wodę dzień i noc. Ach, człeczyno, powinieneś kiedyś zobaczyć wielkie kuźnie w górach. Serce twierdzy lśni na czerwono od ich żaru, a góry drżą od huku pracujących młotów.

- No cóż, my tutaj nie mamy wodospadów - wytknął trzeźwo Pendrag. - I będziemy musieli obejść się bez nich.

- I silniki - rozmarzył się Alaryk, kompletnie ignorując komentarz Pendraga. - Wielkie, syczące żelazne tłoki, koła obrotowe i ryczące miechy. Boże Gór, nigdy nie myślałem, że zatęsknię za obecnością inżynierów.

- Inżynier? Kto to taki? Ktoś w rodzaju kowala?

Alaryk roześmiał się:

- Nie, inżynier to krasnolud, który buduje maszyny w rodzaju tych miechów, tylko o wiele większe i sprawniejsze.

Pendrag spojrział na posapujące i świszczące miechy, składające się w harmonijkę pęcherze wypełnione powietrzem, które na przemian puchły i flaczały, w miarę jak koło obrotowe rozpędzało się pod naporem rwącej wody. Jemu i kilku zdolnym ludziom z osady zajęło cały miesiąc, mimo że pomagał im Alaryk, żeby zbudować napędzane wodą miechy i jego zdaniem był to cud techniki i inwencji.

- Myślałem, że budowa miechów poszła nam całkiem nieźle - odezwał się wreszcie Pendrag, starając się bronić swego punktu widzenia.

- Wy, człeczyny, macie pewne zdolności, to prawda - przyznał niechętnie Alaryk, chociaż Pendrag zauważył, że nawet tak zdawkowa pochwała z trudem przeszła krasnoludowi przez gardło. - Ale to krasnoludy są najlepszymi rzemieślnikami i dopóki nie przekonam jakiegoś inżyniera, żeby zszedł tutaj z gór, będziemy musieli się zadowolić tym... ustrojstwem.

- Przecież pomogłeś nam zbudować miechy - stwierdził Pendrag. - Nie jesteś inżynierem?

- Nie, chłopcze - odpowiedział Alaryk. - Jestem... kimś zupełnie innym. Umiem wytwarzać broń, o jakiej ci się nie śniło, broń w rodzaju młota, który dzierży królewski syn.

- Ghal-maraza?

- Tak, *Rozbijacz Czaszek*, zaiste potężna broń - potwierdził Alaryk. - Król Kurgan pobłogosławił wasz lud, kiedy ofiarował ten młot Sigmarowi.

Powiedz mi, chłopcze, czy znasz znaczenie słowa unikalny?

- Tak mi się wydaje - stwierdził Pendrag. - Oznacza ono coś wyjątkowego, jedyne w swoim rodzaju.

Alaryk pokiwał głową:

- Zgadza się, ale można to lepiej ująć, mówiąc, że nie ma sobie równego. Ghal-maraz jest właśnie taki, jedyne w swym rodzaju, wykuty w pradawnych czasach z mistrzostwem, jakiego żaden krasnolud nie był w stanie naśladować.

- Więc nie byliście w stanie stworzyć czegoś podobnego?

Alaryk obrzucił go zirytowanym spojrzeniem, jakby młodzieniec podważył krasnoludzkie zdolności i warknął:

- Jestem niezwykle uzdolniony w tym kierunku, ale nawet ja nie potrafiłbym wykuć drugiego Ghal-maraza.

- Nawet gdybyśmy sprowadzili ci tu inżyniera?

Krasnolud roześmiał się i napięcie znikło z jego brodatej twarzy.

- Nie, nawet gdybyśmy mieli tu inżyniera. Mój lud nie przepada za życiem tam, gdzie nad głową nie rozciąga się kamienny dach, więc obawiam się, że ciężko byłoby któregoś z chłopaków przekonać, żeby zeszli z gór i zamieszkali tu z wami.

- Ale ty z nami zostałeś - wytknął mu Pendrag, obserwując, jak żar paleniska przechodzi ze złoto-pomarańczowego blasku do ciemnej, wściekłej czerwieni.

- Ano tak i wiesz, jak mnie teraz nazywają w Karaz-a-Karak?

- Nie - pokręcił głową Pendrag. - Jak cię nazywają?

- Alaryk Szalony - odpowiedział krasnolud. - Tak właśnie mnie zwa. Wszyscy myślą, że musiało mi coś mózg rozmiękczyć, skoro spędzam czas z człeczynami.

Mimo że słowa te zabrzmiały lekko, Pendrag wyczuł ukryte za nimi napięcie.

- Więc dlaczego jesteś z nami? - zapytał otwarcie. - Dlaczego nie wrócisz do domu w górach? Oczywiście nie pytam dlatego, żebym tego chciał.

Krasnolud podniósł się znad paleniska, żeby ująć w dłoń jedno z ostrzy leżące na stercie, która zajmowała niską drewnianą ławę ciągnącą się wzdłuż jednej ze ścian kuźni. Metal był ciemny, a rękojeść i osłona na dłoń jeszcze nieukończone nad błyszczącym ostrzem.

- Wy, człeczyny, jesteście młodą rasą i na dodatek żyjecie tak krótko, że

wielu moich pobratymców uważa, że uczenie was czegokolwiek jest tylko stratą czasu. Kilka waszych pokoleń rodzi się i umiera, zanim jedno krasnoludzkie pokolenie osiągnie wiek, w którym jego członkowie zaczynają być uważani za zwyczajnie sprawnych jako kowale. W porównaniu z dziełem krasnoludzkich rąk, prace człeczyn są niechlujne, prymitywne i niewarte zwracania sobie nimi głowy.

- A zatem dlaczego to robisz? - dobiegło pytanie zadane przez osobę stojącą w drzwiach kuźni. - To znaczy, zwracasz sobie nami głowę.

Pendrag spojrział w tamtą stronę i ujrzał sylwetkę Sigmara, odzianego w płaszcz z niedźwiedziego futra, zarysowującą się na tle ciemnej nocy. Do środka napłynęło zimne powietrze, więc królewski syn zaraz wszedł do kuźni i zatrzasnął za sobą drzwi.

Alaryk odłożył ostrze i usiadł na niskim stołku obok ławy. Skinął Sigmarowi na powitanie i odpowiedział:

- Ponieważ tkwi w was potencjał. Ten świat to ponure miejsce, chłopcze - orki, bestie i istoty, o których najlepiej w ogóle nie wspominać, pragną tylko jednego, utopić nas wszystkich we krwi. Przestraszone elfy uciekły na swoją wyspę i tylko ludzie oraz krasnoludy zostali na polu walki z piekielnymi istotami. Niektórzy moi współbracia sądzą, że powinniśmy zabarykadować się w twierdzach i pozwolić wam i orkom pozabijać się nawzajem. Ale ja uważam, że jeżeli nie wesprzemy was lepszą bronią i zbrojami, a także nauką, jak je tworzyć, to czeka was niechybny koniec, a my będziemy następni.

- Myślisz, że jesteśmy tacy słabi? - Sigmar zadał pytanie, przechodząc wzdłuż ławy zasypanej niedokończonymi ostrzami i wybierając jedno z nich.

- Słabi? - krzyknął Alaryk. - Nie bądź głupcem, chłopcze! Ludzie nie są słabi. Spędziłem z wami wystarczająco dużo czasu, żeby wiedzieć, że drzemie w was siła, ale sprzeczacie się między sobą jak dzieci i nie macie wystarczających środków, żeby pokonać wroga. Kiedy wasi przodkowie przybyli w góry, mieli tylko brązowe miecze i zbroje, nieprawdaż?

- Tak opowiadają najstarsi z nas - potwierdził Pendrag.

- Lud, który wtedy zamieszkiwał te ziemie, walczył kamiennymi pałkami, ubrany w skórzane napierśniki. Zobacz, co się z nimi stało - zostali wybici co do jednego. Widziałem orki mieszkające na wschód od gór. Jest ich tyle, że można oszaleć od samej próby przeliczenia ich szeregów. Bez żelaznych zbroi i broni nie macie z nimi szans.

Sigmar przyjrzał się trzymanemu w rękach ostrzu, obracając je powoli i zapytał:

- Pendragu, czy potrafiłbyś wykuć podobne żelazne ostrze bez pomocy Mistrza Alaryka?

Pendrag skinął głową twierdząco:

- Tak, myślę, że tak.

- To za mało - zachnął się Sigmar, upuszczając ostrze z powrotem na ławę i podchodząc do stołka, na którym siedział Pendrag. Skóra na twarzy królewskiego następcy lśniła od potu w gorącym powietrzu kuźni, ale jego spojrzenie było nieruchome.

- Odpowiedz szczerze, czy potrafisz wykuć takie ostrze?

- Potrafię - odpowiedział Pendrag. - Wiem, jak oczyścić rudę z zanieczyszczeń, a teraz, gdy uruchomiliśmy miechy, będę mógł też rozgrzać palenisko do odpowiedniej temperatury.

- Jeżeli poziom wody będzie wystarczająco wysoki - mruknął Alaryk.

- Jeżeli poziom wody będzie wystarczająco wysoki - zgodził się Pendrag.

- Ale tak, potrafię tego dokonać. Jeżeli już o tym mowa, to nawet zacząłem się zastanawiać nad lepszym sposobem usuwania...

- Wystarczy - Sigmar powstrzymał go ruchem dłoni i uśmiechnął się. - Gdy śniegi ostatecznie stopnieją, zgromadzę tu wszystkich kowali zamieszkujących unberogeńskie ziemie i będę chciał, żebyś przekazał im swą wiedzę. Mistrz Alaryk ma rację, bez odpowiednich zbroi i broni jesteśmy zgubieni.

Zaskoczony Pendrag zapytał:

- Chcesz, abym ja ich uczył? Czemu nie Mistrz Alaryk?

- Z całym szacunkiem dla Mistrza Alaryka, nie zostanie z nami na zawsze, a poza tym już najwyższy czas, abyśmy sami opanowali tę trudną sztukę.

- Racja - zgodził się Alaryk. - A poza tym jutro może ci się zemrzeć i co wtedy?

Pendrag rzucił Alarykowi zirytowane spojrzenie, ale Sigmar kontynuował:

- Mocą królewskiego dekretu nakazano, że do końca lata w każdej unberogeńskiej wiosce będzie się wykuwać żelazne ostrza. We dwóch z Mistrzem Alarykiem dokonaliście tu niesamowitych rzeczy, ale we dwóch nie dacie rady wyprodukować tyle broni, żeby zaopatrzyć wszystkich naszych żołnierzy.

Pendrag wstał, splunął na swoją otwartą dłoń i podał ją bratu miecza.

- Do końca lata, powiadasz?

- Myślisz, że dasz radę? - zapytał Sigmar, po czym splunął na swoją dłoń i chwycił prawicę przyjaciela.

- Oczywiście - odpowiedział Pendrag.

Niecały tydzień po tym, jak puściły lody, przybył do Reikdorfu król Marbad, zdążając w stronę mostu Sudenreik z rozpostartym sztandarem z wizerunkiem kruka, poprzedzany przez kilku dudziarzy. Dudziarze nosili długie kilty uszyte ze skórzanych pasów oraz błyszczące napierśniki z ułożonych warstwami brązowych dysków.

Muzyków wybrano spośród młodzieńców charakteryzujących się szczególnie wysokim wzrostem. Instrumenty, na których grali, przypominały świszczące pęcherze połączone ze sobą drewnianymi rurami, z których w jedną się dmuchało, a na drugiej wygrywało palcami melodię.

Muzycy przekroczyli rzekę, a stojący na brzegu rybacy zaczęli klaskać w rytm skocznej piosenki, gdy tylko ujrzeli sztandar z krukiem i podążający za nim orszak.

Unberogeni dobrze znali króla Endalów, siwowłosego mężczyznę w podeszłym wieku, o poranej zmarszczkami twarzy. Minione lata wychudziły jego sylwetkę i pochyliły ją ku ziemi, ale brązowa zbroja, którą wdziewał, była ukształtowana, aby oddać zarysy mięśni, jakie prezentował w czasach młodości. Nosił wysoki hełm z pierzastymi skrzydłami ciągnącymi się aż od szerokich płatów osłaniających policzki. Otulał go długi czarny płaszcz, spływający aż po końskim zadzie. Towarzyszył mu oddział Kruczych Hełmów, wysokich wojowników noszących identyczne czarne płaszcze i skrzydlate hełmy jak ich król. Byli to najlepsi i najodważniejsi z endalskich wojowników, mężczyźni, którzy przysięgli stawiać życie władcy ponad swoje własne.

Mieszkańcy Reikdorfu przerwali na chwilę pracę, z rozpromienionymi twarzami obserwując pochód jeźdźców przybywających z odległej, acz zaprzyjaźnionej krainy. Wraz z Endalami do osady wjechali unberogeńscy zwiadowcy, a wojownicy stojący na murach pozdrawiali przybywającego Marbada.

Kiedy król Endalów przekroczył Reik i jego orszak począł się wspinać do

bram osady, wrota otworzyły się szeroko i wyszedł z nich król Björn wraz z Sigmarem, aby powitać szacownego gościa. Tuż za nimi podążał Alfgeir i Strażnicy Wielkiego Dworu dzierżący młoty bojowe o długich rękojeściach, odziani w wilcze skóry udrapowane na ramionach.

Sigmar obserwował jeźdźców wprawnym okiem, dostrzegając dyscyplinę panującą w szeregach i fakt, że Krucze Hełmy o ponurych twarzach nigdy nie zdejmowały dłoni z rękojeści, nie tracąc czujności nawet na przyjaznym terenie. Byli to silni mężczyźni, szczupli, ale drapieźni niczym wilki i naprawdę twardzi, mimo że niosące ich wierzchowce nie mogły się równać z mocno zbudowanymi wierzchowcami Unberogenów.

- Do diaska, jakże dobrze cię widzieć, Marbadzie! - zakrzyknął król Unberogenów, a echo jego potężnego głosu poniosło się aż ku dolinie rzeki. Sigmar uśmiechnął się, słysząc w głosie ojca szczerą radość, której brakowało mu przez prawie całą zimę.

Od tamtego wieczoru, kiedy ukończono rytuał pogrzebowy Trinovantesa, ogień w oczach króla nieco przygasł i na dodatek nabrał on zwyczaju przyglądania się synowi w chwilach, gdy sądził, że tamten nie jest tego świadom.

Król Marbad uniósł wzrok i jego do tej pory ponura twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Król Endalów ostatnio odwiedził Reikdorf wiele lat temu i Sigmar pamiętał go jak przez mgłę. Tymczasem odziani na czarno jeźdźcy dotarli już do bram Reikdorfu, a pokonawszy je rozeszli się promieniście i zatrzymali dopiero wtedy, gdy cały oddział utworzył jedną linię z królem pośrodku. Dudziarze zajęli pozycje na obu końcach szeregu, a mężczyzna niosący sztandar pozostał u boku Marbada.

- Cieszę się, że widzę cię wciąż żywym, Björnie - odezwał się Marbad potężnym głosem, stanowiącym sprzeczność z wychudzoną sylwetką przemawiającego. - Słyszałem, że ostatnimi czasy nie działo się tutaj najlepiej.

- Wolfgart jak zwykle przesadza - odpowiedział Björn, domyślając się bez trudu, skąd mogły pochodzić takie informacje.

Marbad przerzucił nogę przez szyję wierzchowca i zeskoczył lekko na ziemię. Obaj królowie objęli się niczym stęsknieni bracia, klepiąc jeden drugiego serdecznie po plecach.

- Tyle czasu minęło, Marbadzie, zbyt wiele lat - rzekł wreszcie Björn.

- Zaiste, przyjacielu - przytaknął Marbad, po czym zerknął na Sigmara. -

Ależ to nie może być Sigmar! Był ledwie wyrostkiem, kiedy go ostatnio widziałem.

Björn obrócił się, podążając za wzrokiem gościa i wciąż obejmując Marbada, rzekł:

- Wiem! Sam nie mogę w to uwierzyć. Zdaje mi się, że jeszcze wczoraj ssał pierś i robił w pieluchy.

Sigmar ukrył zażenowanie, gdy Björn podprowadził bliżej swego brata miecza. Mimo że dwaj królowie nie widzieli się długie lata, witali się tak serdecznie i naturalnie, jakby minął nie więcej niż jeden dzień. Marbad zbliżał się, a wzrok Sigmara utkwiony był w mieczu schowanym w wiszącej u jego boku pochwie z wytartej skóry. Rękojeść broni owinięta była srebrnym drutem, a na głowicy pysznił się jaskrawoniebieski klejnot.

Był to Czerep Ulfa, miecz, który podobno został wykuty przez lud czarnoksiężników, zamieszkujących ziemię w starożytnych czasach, gdy nękały ją demony, a ludzie żyli w jaskiniach i porozumiewali się za pomocą chrząknięć i pomruków.

Gdy król Marbad podszedł do Sigmara i położył mu na ramionach dłonie w rękawicach, młodzieniec wyprostował się i oderwał wzrok od niesamowitej broni, skupiając go na dumnej twarzy starszego mężczyzny.

- Wyrosłeś na przystojnego mężczyznę, Sigmarze - powiedział Marbad. - Bogowie mi świadkami, że gdy patrzę na ciebie to tak, jakbym miał przed oczyma twoją matkę.

- Ojciec twierdzi, że mam jej oczy - odpowiedział Sigmar, zadowolony z komplementu.

- No tak, chłopcze, jest to niewątpliwie dobre dziedzictwo - roześmiał się Marbad. - Nie chciałbyś przecież wyglądać tak jak ten staruszek, nieprawdaż?

- Myśli, że jak jest moim bratem miecza, to może mnie bezkarnie obrażać w moim własnym kraju - sarknął Björn, odciągając Marbada od Sigmara i prowadząc go w stronę Alfgeira.

- Przyjacielu - powitał królewskiego czempiona Marbad, ujmując przy tym jego dłoń w mocnym uścisku. - Jak ci się powodzi?

Alfgeir skinął głową.

- Dobrze, mój panie.

- Gadatliwy jak zawsze, co? - uśmiechnął się Marbad. - A gdzie Eoforth? Ten stary łotr ciągle opowiada głupstwa, każąc nazywać to wiedzą?

- Błaga o tve wybaczenie, Marbadzie - odpowiedział Björn. - Nie jest już młodzieniaszkiem i ostatnio mija sporo czasu, zanim podniesie się z łóżka.

- Ach, nieważne. I tak zobaczę go wieczorem, prawda?

- Oczywiście, stary druhu - obiecał Björn, a następnie odwrócił się do Alfgeira i zaordynował. - Jedzenie i woda dla Kruczych Hełmów i dopilnuj, żeby ich konie dostały najlepsze ziarno.

- Będę miał nad tym pieczę, królu - skłonił się Alfgeir i zaczął wydawać polecenia Strażnikom Wielkiego Dworu.

Marbad ponownie zwrócił się do Sigmara:

- Wolfgart opowiadał mi o bitwie pod Astofen, ale chciałbym to usłyszeć jeszcze raz od ciebie. Tylko proszę, daruj mi tę część o smokach i wiedźmach, dobrze? Co ty na to, chłopcze? Uczynisz staremu człowiekowi przyjemność i opowiesz mu tę historię?

- Panie, będzie to dla mnie zaszczyt - odpowiedział Sigmar.

Po raz kolejny unberogeński długi dom wypełnił się świętującymi wojownikami, raczącymi się wyśmienitym ale i smakowitym mięsiwem. Sigmar usiadł na stołku na kozłach obok wojowników i przepijał do nich, podczas gdy dwaj królowie siedzieli i rozmawiali po drugiej stronie stołu. Wokół stołów kręciły się dziewczęta roznoszące półmiski z soczystym mięsem, bukłaki pełne wina i kufle z piwem.

Atmosfera była wspaniała. Nawet Krucze Hełmy rozluźniły się na tyle, że uwolniły się od zbroi i dołączyły do biesiadujących Unberogenów. Wcześniej tego wieczoru Sigmar dość długo rozmawiał z jednym z gości o imieniu Laredus i dowiedział się od niego wystarczająco dużo na temat Endalów, żeby zacząć ich darzyć szczerą sympatią.

Z ziem przodków wypędziło ich plemię Jutonów, zepchniętych z kolei na zachód przez wojowniczych Teutogenów pod wodzą Artura. Endalowie musieli stworzyć sobie nowy dom na niegościnnych ziemiach rozciągających się u ujścia Reiku.

Sigmar nigdy nie zapuścił się tak daleko na zachód, ale opis podany przez Laredusa, a także opowieść o ojca o spotkaniu z mgielnymi demonami sprawiły, że wcale nie było mu tam spieszno. Jednakowoż opis wspaniałego miasta Marburga rozpałił jego wyobraźnię. Oczyma duszy widział sztańce zbudowane z gliny na szczycie wielkiej, czarnej, wulkanicznej skały

wznoszącej się pośrodku bagien, a także wysokie, skrzydlate wieże Kruczego Dworu postawionego na ruinach budynku, który prawdopodobnie był jednym z przybrzeżnych bastionów pradawnego ludu czarnoksiężników.

Dudziarze Marbada wypełniali salę muzyką i mimo że dziwne, piskliwe zawrośnienie niezbyt przypadło Sigmarowi do gustu, to najwyraźniej pozostali biesiadnicy byli innego zdania. Mężczyźni chwytali się pod ramiona i kręcili wokół siebie w przyspieszającym rytmie muzyki, zajmując pustą przestrzeń między stołami. Wolfgart tańczył jak szalony, popisując się przed dziewczętami, które śmiały się i klaskały na widok tych błazeństw.

Sigmar wybuchnął śmiechem, gdy ostatni z tanecznych partnerów Wolfgarta wpadł na jedną z dziewcząt i wytrącił jej z rąk tacę z kawałkami dziczyzny. Pieczone mięso wyleciało w górę, po czym spadło na podłogę ku uciesze królewskich wilczurów, które rzuciły się między tańczących, aby porwać smakowite kąski. Na sali zapanował wesoły rozgardiasz, gdyż zwierzęta podcinały nogi tańczącym, a mężczyźni i kobiety musieli się nawzajem podnosić z podłogi.

- Z tego, co pamiętam, nigdy nie był zbyt dobrym tancerzem - powiedział Pendrag, zajmując miejsce naprzeciwko Sigmara.

Sigmar odwrócił się od gwaru panującego pośrodku sali w stronę przyjaciela i odpowiedział:

- Racja, czasem się zastanawiam, jak on to robi, że wymachując swym wielkim mieczem, nie obetnie sobie przy okazji głowy.

- Jak mówią, głupi ma zawsze szczęście.

- To nie najlepiej świadczy o tym, co zwiemy szczęściem - skomentował Sigmar, wychylając duszkiem resztkę piwa i z hukiem stawiając kufel na blacie w oczekiwaniu dolewki.

- Dlatego też nigdy mu nie ufam - zgodził się Pendrag. - Jest jak kapryśna dzierlatka, przez chwilę stoi u twego boku, a potem czmycha w stronę innego.

- Dobrze rzekłeś - przytaknął mu Sigmar obserwując śliczną dziewczynę o włosach barwy lnu, która napełniwszy mu kufel uśmiechnęła się uwodzicielsko. Gdy odeszła od stołu, Pendrag roześmiał się i powiedział:

- Myślę, że nie będziesz musiał długo szukać łoża do spędzenia dzisiejszej nocy, Sigmarze.

- Jest miła, ale nie jest w moim typie - odpowiedział Sigmar i pociągnął z kufla duży łyk.

- Ależ oczywiście, że nie jest - nie dał się zbić z tropu Pendrag. - Wszyscy wiemy, że bardziej podobają ci się ciemnowłose, nieprawdaż?

Sigmar poczuł, że oblewa się rumieńcem i zapytał:

- O co ci chodzi? Nie wiem, o czym mówisz.

- Daj spokój, bracie, nie wygłupiaj się - mówił rozbawiony Pendrag. - Przecież to, że zależy ci na Ravennie, jest jasne jak słońce. A poza tym, czy myślałeś, że jestem tak zajęty uczeniem starców, jak wykuwać żelazne klingi, że nie zauważyłem, że Alaryk szykuje na twoje polecenie złotą zapinkę do płaszcza?

- Czy naprawdę tak łatwo mnie przejrzeć?

Pendrag zmarszczył brwi udając, że zastanawia się nad odpowiedzią, po czym rzucił krótko:

- Tak.

- Myślę tylko o niej - przyznał wreszcie Sigmar.

- Więc porozmawiaj z nią - zachęcił go Pendrag. - Nie musisz jej unikać tylko dlatego, że jej brat to podstępna żmija. Przecież widziałem, jak ona na ciebie patrzy.

- Widziałeś? - zapytał Sigmar. - To znaczy, chciałem zapytać, rzeczywiście na mnie patrzy?

- Oczywiście - roześmiał się Pendrag. - Gdybyś nie był tak bardzo pochłonięty wizją imperium, też byś to zauważył. Ravenna jest piękną dziewczyną, a ty któregoś dnia będziesz potrzebował królowej u swego boku.

- Królowej? - krzyknął Sigmar. - Nie posuwałbym się aż tak daleko!

- Dlaczego nie? Jest piękna i wtedy, gdy odebrała od ciebie tarczę, myślałem, że nawet ja sam trochę się w niej zakochałem.

- Ach tak? - zapytał Sigmar z błyskiem w oku, a następnie pochylił się nad stołem i opróżnił kufel z pozostałościami piwa na głowę Pendraga, który najpierw obruszył się z udawanym oburzeniem, a potem odwdzieczył się pięknym za nadobne. Po chwili obaj przyjaciele zaśmiewali się do łez, obejmując się w przyjacielskim uścisku, a Sigmar poczuł, że kamień spadł mu z serca.

Usiadł z powrotem na ławie i rzuciwszy spojrzenie w stronę szczytu stołu, ujrzał, że król przywołuje go do siebie.

- Ojciec mnie prosi - rzucił i stanąwszy na nogi, przesunął dłonią po mokrych od piwa włosach. Zerknął w dół na przemoczoną skórznę.

- Czy dobrze się prezentuję?

- Znakomicie, królewskość wręcz z ciebie bije - uspokoił go Pendrag. - Idź, ale pamiętaj, kiedy Marbad będzie chciał, żebyś mu opowiedział o bitwie pod Astofen, nie zapomnij przedstawić mnie jako wspaniałego wojownika.

- Nie będzie z tym problemu - powiedział Sigmar, poklepując przyjaciela po ramieniu. Następnie odwrócił się i zaczął przepychać się między uczującymi w stronę miejsc zajmowanych przez dwóch władców.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że piwo służy do picia, a nie do kąpieli, co? - roześmiał się na jego widok Marbad.

- Mój syn lubi otaczać się łobuzami - stwierdził Björn.

- Mężczyzna powinien otaczać się łobuzami - pokiwał głową Marbad. - To sprawia, że sam wygląda szlachetniej, nieprawdaż?

- Czy to dlatego lubię twoje towarzystwo, Marbadzie? - zarechotał Björn.

- Być może - wzruszył ramionami Marbad. - Aczkolwiek wolę myśleć, że to ze względu na moją ujmującą osobowość.

Sigmar zajął miejsce obok królewskiego gościa, a jego wzrok ponownie przykuł miecz zawieszony u boku władcy Endalów. Marzył o tym, by ujrzeć broń w całej okazałości, zastanawiając się, czym mogłaby się ona różnić od tej wykutej przez krasnoludy.

Marbad pochwycił jego spojrzenie i zgrabnie wysunął miecz z pochwy, podając go Sigmarowi. Niebieski klejnot na głównej błysnął w świetle ognia, a blask bijący od płonących pochodni załśnił w wypolerowanym ostrzu.

- Weź go - powiedział Marbad.

Sigmar wziął ofiarowaną broń, zachwycony jej lekkością i doskonałym wyważeniem. W porównaniu z jego własnym mieczem Czerep Ulfa był arcydziełem sztuki zbrojmistrzowskiej, czymś zupełnie odmiennym od Ghalmaraza, ale wypełnionym równie groźną i pradawną mocą. Ostrze lśniło wewnętrznym blaskiem i Sigmar pomyślał, że za pomocą takiego ostrza można by wyciosać nowy naród.

- Jest niesamowity - odezwał się po chwili. - W życiu czegoś takiego nie widziałem.

- I nie zobaczysz - stwierdził Marbad. - Lud czarnoksiężników stworzył tę broń, zanim na zawsze opuścił ludzkie ziemie i o ile kiedyś tu nie powrócą, pozostanie to jedyne ostrze w swym rodzaju.

Sigmar oddał miecz królowi Marbadowi, czując, że dłoń drży mu od kontaktu z potężną siłą zaklętą w ostrzu.

- Twój ojciec opowiadał mi, że masz wielkie plany na przyszłość, młody

Sigmarze - odezwał się Marbad, jednym ruchem chowając miecz z powrotem do pochwy. - Ludzkie imperium, tak? Muszę przyznać, że brzmi to dobrze.

Sigmar pokiwał głową i nalał sobie więcej piwa z miedzianego dzbana.

- To bardzo ambitne, wiem, ale wierzę, że da się to zrobić. Co więcej, wierzę, że powinno się to zrobić.

- Od czego zaczniesz? - zapytał Marbad. - Większość plemion nienawidzi siebie nawzajem. Nie darzę miłością Jutonów czy Teutogenów, a twój lud wielokrotnie w ciągu ostatnich lat walczył z Merogenami i Asobornami. Norsmeni z kolei w ogóle nie mają sprzymierzeńców. Czy wiesz, że na pośród północnych pustkowi składają bogom ofiary z ludzi?

- Słyszałem o tym - skinął głową Sigmar. - Ale to samo mówiono kiedyś o turyngiańskich berserkerach, a potem okazało się, że były to historie wysane z palca.

Na te słowa Björn potrząsnął głową:

- Synu, walczyłem przeciwko Norsmenom i wiem, o czym mówię. Mogę potwierdzić to, o czym wspomniał Marbad, bo widziałem makabryczne ślady po ich najeździe. Są to barbarzyńcy bez cienia honoru.

- A zatem wypędzimy ich z królestwa ludzi - stwierdził Sigmar.

Marbad roześmiał się:

- Chłopak jest odważny, Björn, trzeba mu to przyznać.

- To naprawdę jest wykonalne - przekonywał Sigmar. - Endalowie i Unberogenowie są sprzymierzeńcami, a mój ojciec walczył ramię w ramię z Cherusenami i Taleutenami. Na początku jednoczenia wszystkich plemion będę wykorzystywał właśnie takie przymierza.

- A co z Teutogenami i Ostagotami? - zapytał Björn. - Co z Asobornami i Brigundianami, i z wszystkimi pozostałymi?

Sigmar wziął duży łyk piwa i po chwili odrzekł:

- Jeszcze nie wiem, ojcze, ale zawsze znajdzie się jakiś sposób. Za pomocą słów czy miecza, przekonam plemiona do mojej wizji i stworzę kraj godny naszych potomków.

- To zaiste wspaniała wizja, mój chłopcze, naprawdę wspaniała! - zakrzyknął król Marbad i z dumą poklepał Sigmara po ramieniu. - Jeżeli bogowie się do ciebie uśmiechną, możesz kiedyś zostać największym z ludzi. Ale teraz nie daj się prosić. Opowiedz mi, co się stało przy moście Astofen, dobrze?

Rozdział 6

Rozstania i spotkania

Król Marbad i jego wojownicy gościli u Unberogenów przez następny tydzień, odwiedzając się za gościnność barwnymi opowieściami o zachodnich krainach i bitwach toczonych z Jutonami i Bretonami. Tereny rozciągające się u ujścia Reiku były polem nieustannych starć między tymi trzema plemionami ściśniętymi na skrawku ziemi niezbyt obfitującej w żyzne gleby.

- Dlaczego Marius nie pozostał, aby walczyć z Teutogenami? - zapytał pewnego razu Sigmar, kiedy spożywał wieczerzę wraz z ojcem i królem Marbadem.

- Marius został upokorzony przez Artura podczas pierwszej bitwy - odpowiedział Marbad. - A król Jutonów nie jest człowiekiem, który łatwo znosi upokorzenia. Poza tym Teutogeni to nie tylko twardzi wojownicy, ale i zdyscyplinowani żołnierze. Wiele się także nauczyli od krasnoludów, które pomogły im przekopać się przez tę ich cholerną górę.

- Góra Fauschlag - wypowiedział jej nazwę Sigmar. - Brzmi to niesamowicie.

- I tak też wygląda - wtrącił się Björn. - Gdy na nią patrzysz, masz wrażenie, że tylko bogowie mogliby mieć na tyle odwagi, aby zamieszkać aż tak wysoko.

- Widziałeś ją? - zapytał Sigmar.

- Raz - potwierdził Björn. - Myślę, że sięga do samego nieba. Najwyższa góra, jaką kiedykolwiek widziałem, nie będąca, częścią łańcucha górskiego.

- Twój ojciec mówi prawdę, młody Sigmarze - potaknął Marbad. - Trzeba też dodać, że życie na takich wysokościach zmienia perspektywę. Artur był onegdaj dobrym człowiekiem, szlachetnym królem, ale spoglądając na wielkie połacie ziemi, zapragnął przejąć władanie nad wszystkim w zasięgu swego wzroku. Poprowadził wojowników na zachód i rozgromił armię

Mariusza w wielkiej bitwie na wybrzeżu, spychając Jutonów na wschód ku ujściu Reiku. W ślad za nim podążali mistrzowie kamieniarscy, stawiając kamienne wieże i wysokie mury. Po kilku latach nowe zabudowania pojawiły się na całym terenie niegdyś zajmowanym przez Jutonów i wojownicy Artura używali ich jako baz wypadowych do kolejnych ataków. Przyznaję to z niechęcią, ale Marius to przebiegły i sprytny dowódca. Nawet jutońscy myśliwi, będący przecież wyśmienitymi łucznikami, nie potrafili przeciwstawić się strategii Artura. Aby przetrwać, musieli wyruszyć na południe.

- I w ten sposób wkroczyli na twoje ziemie - dokończył Sigmar.

- Zgadza się, wkroczyli na moje ziemie, ale wciąż zajmujemy Kruczy Dwór i tak łatwo go nie oddamy. Cały czas kontrolujemy też obszary na północ od ujścia rzeki i będziemy stawiać opór, jeżeli Jutonowie spróbują odebrać nam choćby kawałek więcej. Niestety, wciąż nadchodzą nowi. Nie mają wyboru, w końcu nabrzeżny region, to głównie nieurodzajne pustkowia, na których niewiele da się uprawiać.

- Masz nasze miecze, bracie - zapewnił go Björn, ściskając prawicę Marbada.

- O tak, na pewno się przydadzą - pokiwał głową Marbad. - Oczywiście, jeżeli wy kiedykolwiek będziecie potrzebować wsparcia, Krucze Hełmy bez wahania przybędą z pomocą.

Sigmar obserwował dwóch władców składających sobie nawzajem przysięgi i zapewnienia o pomocy, myśląc przy tym, że to właśnie poprzez takie przymierza mogłoby się spełnić jego marzenie o ludzkim imperium. Gdy nadszedł czas odjazdu z Reikdofu króla Endalów wraz ze świtą, dołączył do pozostałych mieszkańców, żegnając gości z ciężkim sercem.

Słońce stało wysoko na niebie tego jasnego, wiosennego dnia.

Powietrze wciąż było mroźne, ale każdy rześki powiew wiatru przynosił zapowiedź nadchodzącego lata. Krucze Hełmy opuściły Reikdorf, wyjeżdżając przez główną bramę w asyście wysokich dudziarzy, unosząc ze sobą dumnie wzniesiony sztandar.

Marbad dosiadł konia, krzywiąc się, ponieważ zeszywniałe stawy sprawiały, że czynność ta sprawiała mu ból.

- Ach, nie jestem już młodzieniaszkiem, he? - zagadnął, poprawiając poły płaszcza i przesuwając pas tak, aby wygodniej było mu jechać z Czerepem Ulfa przywieszonym u boku.

- Nikt z nas już nim nie jest, Marbadzie - odpowiedział Björn.

- To prawda, bracie, ale taki jest przecie porządek rzeczy: starsi muszą ustępować miejsca młodym.

- Tak właśnie jest - potwierdził Björn, rzucając Sigmarowi zagadkowe spojrzenie.

Marbad obrócił się w stronę Sigmara i pochylił się, aby podać mu prawicę.

- Żegnaj, Sigmarze. Mam nadzieję, że któregoś dnia wcielisz w życie swoje marzenie o imperium, chociaż nie sądzę, abym tego dożył.

- A ja mam nadzieję, że jednak będziesz wraz ze mną świętował me zwycięstwo, panie - odpowiedział Sigmar. - Nie potrafiłbym sobie wyobrazić wierniejszych sprzymierzeńców niż Endalowie.

- A to pochlebca - roześmiał się Marbad. - Zaprawdę daleko zajdziesz, chłopcze. Jeżeli kogoś nie pokonasz za pomocą miecza, to na pewno obezwładnisz go słowami.

Po tych słowach król Endalów zawrócił konia i wyjechał przez główne wrota, dołączając do oddziału Kruczych Hełmów. Odjeżdżającym towarzyszyły pożegnalne okrzyki i spojrzenia ze strony murów Reikdorfu, na których zgromadzili się mieszkańcy wyprawiający gości w długą drogę do domu.

Jeźdźcy najpierw przekroczyli most Sudenreik, a następnie minęli grupę mężczyzn stawiających nowe zabudowania po drugiej stronie rzeki. Reikdorf się rozrastał, nowe mury stawiano coraz dalej, w miarę, jak powiększało się terytorium zajmowane przez miasto.

- Naprawdę polubiłem Marbada - powiedział Sigmar odwracając się w stronę ojca.

- O tak, łatwo go polubić - zgodził się Björn. - Dawno temu był potężnym wojownikiem. Za tamtych czasów na pewno zaatakowałyby Jutonów i przepędził ich, gdzie pieprz rośnie. Być może lepiej byłoby dla Endalów, gdyby przekazał koronę któremuś z synów, człowiekowi młodszemu i bardziej skoremu do walki.

- Co masz na myśli? - zapytał Sigmar, krocząc z powrotem w stronę zabudowań i obserwując ludzi zabierających się od nowa za przerwane prace.

Björn położył mu dłoń na ramieniu i rzekł:

- Wilczej watadze przewodzi zawsze najsilniejszy samiec, prawda?

- Prawda - potwierdził Sigmar.

- Dopóki rzeczywiście jest najsilniejszy i potrafi poradzić sobie z konkurencją ze strony młodszych osobników, pozostaje przywódcą - kontynuował Björn. - Ale pozostałe wilki zdają sobie sprawę, że w końcu nadejdzie czas, kiedy osłabnie i wtedy rzucą mu się do gardła. Czasem przywódca wyczuwa, że nadchodzi jego czas i opuszcza watahę, oddalając się w ustronne miejsce, aby umrzeć z godnością. To straszne, kiedy wraz z wiekiem stajemy się słabi i niepotrzebni. Lepiej odejść, kiedy ma się jeszcze na to siłę, niż umrzeć bezpożytecznie i w hańbie. Rozumiesz, o czym mówię?

- Tak - odpowiedział Sigmar.

- To trudna sprawa - mówił dalej Björn. - Mężczyzna odczuwa pociąg do władzy, taki sam jak do pięknej kobiety i ciężko mu z tego zrezygnować. Ale czasem po prostu trzeba. Każda rzecz pod słońcem ma wyznaczony swój czas i niedobrze jest go przekroczyć, synu. Nic nie można na tym zyskać, a jedynie zszargać chwalebna opinię, na którą zapracowało się za młodu.

- Dokąd idziemy? - zapytała Sigmara Ravenna, podczas gdy ten prowadził ją między drzewami w kierunku, z którego dobiegał dźwięk płynącej wody. Sigmar uśmiechnął się, wyczuwając w jej głosie nie tylko nerwowość, ale i podekscytowanie. Trochę przerażało ją to, że zawiązał jej oczy i prowadził bezwolną tak daleko od Reikdorfu, ale z drugiej strony była szczęśliwa, mogąc z nim spędzić ten piękny wiosenny poranek.

- Jeszcze kawałek - odpowiedział. - Musimy zejść po tym zbocz. Uwaga na stopy.

Wstał piękny jasny dzień, a przedpołudniową porą cały las wypełniony był ptasim śpiewem. Na twarzy czuć było podmuchy wiosennego wiatru, a odgłos bulgoczącej między kamieniami wody działał kojąco i relaksująco.

Nadejście wiosny dobrze wpłynęło na psychikę Ravenny, a optymizm i energia, które wypełniły Reikdorf po tym, jak śniegi ostatecznie ustąpiły, pomogły jej otrząsnąć się z melancholii. Znowu zaczęła się uśmiechać, a dla Sigmara jej śmiech, gdy wracała z pola wraz z innymi dziewczętami, był jak promień słońca ogrzewający mu serce.

Od tamtej nocy, podczas której opowiedział dziewczynie o swym wielkim marzeniu, Sigmar nie potrafił już prawie myśleć o niczym poza Ravenną. Przed oczami mieniły mu się jej kruczoczarne włosy, a myśl o tym, jak kołysały się jej biodra, gdy kroczyła dumnie przez osadę, rozpałała mu krew

w żyłach. Nawet będąc twórcą i propagatorem idei przekraczającej granice przeciętności, był wciąż tylko człowiekiem.

Owszem, widywali się tak często, jak pozwalał na to czas, ale żadnemu z nich to nie wystarczało. Dopiero teraz, kiedy wiosenne słońce zaczęło mocniej ogrzewać ziemię, znaleźli chwilę, aby wymknąć się z osady i spędzić razem cały dzień.

Najpierw jechali w głąb lasu myśliwskimi ścieżkami, wyznaczonymi przez oznakowane kamienie, od czasu do czasu przecinając leśne polany. Po pewnym czasie jednak Sigmar zбочzył z traktu i weszli między drzewa, gdzie zsiadli z wierzchowców, a następnie przywiązali je do gałęzi młodego drzewa. Młodzieniec wyjął z sakw tajemnicze paczki owinięte w kawałki materiału i zarzucił je sobie na ramię, drugą dłonią chwytając dziewczynę za rękę i prowadząc ją dalej.

- Sigmarze - odezwała się ponownie Ravenna. - Powiedz mi, gdzie jesteśmy.

- W lesie, jakieś pięć kilometrów na zachód od Reikdorfu - odpowiedział przytrzymując jej rękę, gdy schodzili wydeptaną ścieżką prowadzącą w stronę rzeki. Gdy tak szła z zasłoniętymi oczami, mógł ją swobodnie obserwować i podziwiać łagodny owal twarzy, gładką, jasną skórę kontrastującą z żółtą ochrą jej sukni.

Dłonie miała twarde i niepozbowione odcisków od ciężkiej pracy w polu, ale przy tym tak ciepłe, że ich dotyk sprawiał, że serce biło Sigmarowi szybciej.

- Pięć kilometrów? - roześmiała się, ostrożnie stawiając stopy. - Tak daleko?

Pomimo tego że wciąż znajdowali się na unberogeńskim terytorium, wyprawa w tak odległe strony nie była zupełnie bezpieczna. Sigmar jednakowoż postanowił sobie, że żadne zmartwienia ani niepokoje nie mogą zakłócić im wspólnie spędzonego dnia.

- Daleko? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - To jest nic, wkrótce zabiorę cię daleko na południe i na północ, aż do oceanu. To dopiero będzie daleko.

- Przecież sam jeszcze nigdy tam nie byłeś - wytknęła mu.

- To prawda - zgodził się. - Ale będę.

- Ach tak - uśmiechnęła się. - Wtedy, gdy powstanie twoje imperium.

- Właśnie - przytaknął. - No... a teraz jesteśmy na miejscu.

- Czuje promienie słońca na twarzy - powiedziała Ravenna. - Czy wyszliśmy na polanę?

- Uważaj na oczy - odezwał się Sigmar. - Zaraz zdejmę ci przepaskę.

Sigmar stanął za nią i rozluźnił węzeł, który utrzymywał kawałek płótna przesłaniający oczy dziewczyny. Ravenna przez chwilę mrugała oślepiona słonecznym blaskiem, ale gdy wzrok przyzwyczyił się jej do światła, uśmiechnęła się na widok rozpościerającego się przed nią pięknego krajobrazu.

Stali na porośniętym trawą brzegu rzeki, a pod nimi kłębiły się krystalicznie czyste wody, co chwila pieniające się śnieżną bielą, gdy rwący nurt rozbijał się o głazy ukryte w rzeczonym korycie. Na tafli wody igrały promienie słońca, a pod powierzchnią przemykały ryby błyszczące srebrzystą łuską.

- Jak tu pięknie - odezwała się Ravenna, biorąc go za rękę i wpatrując się w rzekę.

Sigmar uśmiechnął się widząc jej zadowolenie, po czym upuścił na ziemię tajemnicze pakunki i stanął tuż za nią. Dziewczyna stała na krawędzi urwiska z zamkniętymi oczami i oddychała głęboko, sycąc się świeżym, chłodnym zapachem pradawnego lasu.

W powietrzu czuć było ciężki, omdlewający zapach jaśminu, ale Sigmar był ślepy na jakiegokolwiek piękno, oprócz tego, które było od ciemnowłosej dziewczyny.

- Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłeś - powiedziała. - Skąd znasz to miejsce?

- To rzeka Skein - odpowiedział. - Tu trafiliśmy na Czarnego Kła.

- Tego wielkiego dzika? - dopytywała się Ravenna.

Sigmar skinął głową i wskazał na miejsce na przeciwległym brzegu, gdzie leżał jeden z okrągłych głazów.

- Tak, wielkiego dzika. Tam właśnie wychynął spomiędzy drzew i pamiętam, że Wolfgart prawie umarł ze strachu na jego widok.

- Wolfgart i strach? - Ravenna roześmiała się, zerkając jednak niespokojnie w stronę drugiego brzegu. - Chciałabym to zobaczyć. Czy ten dzik jeszcze żyje?

- Nie wiem - odpowiedział Sigmar. - Ale mam nadzieję, że tak.

- Masz nadzieję? Słyszałam, że Czarny Kieł to potwór, który kiedyś pozabijał kilku myśliwych.

- To prawda - przyznał Sigmar. - Ale to szlachetne stworzenie i podczas naszego spotkania miałem wrażenie, że było między nami jakieś podobieństwo.

- A niby w czym miałbyś przypominać dzika? - ponownie roześmiała się Ravenna, zdejmując przy tym buty i siadając na brzegu. - Nie będę ci prawić komplementów, ale uważam, że niezbyt przypominasz dzika.

Ravenna zanurzyła stopy w zimnej wodzie i odwróciła twarz w stronę słońca.

- Nie - odparł. - Nie o to mi chodziło, aczkolwiek powinnaś mnie kiedyś zobaczyć na kacu.

- W takim razie, o co ci chodziło?

Sigmar usiadł koło niej i rozsznurował rzemienie przy butach. Woda była zimna i gdy zanurzył nagie stopy w rwącym nurcie rzeki czuł, jak przyjemnie łaskocze skórę.

- Miałem na myśli, że obaj byliśmy jedyni w swoim rodzaju.

Ravenna wybuchnęła śmiechem i wymierzyła mu kuksańca w bok, ale po chwili zreflektowała się, że mówił poważnie.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam się z ciebie naśmiewać.

- Przecież wiem, że to brzmi arogancko, ale tak właśnie się czułem - ciągnął niezrażony Sigmar. - Czarny Kieł był ogromnym, bez wątpienia największym zwierzęciem, jakie w życiu widziałem: nogi jak pnie drzew i pierś szersza niż u któregośkolwiek z koni w królewskich stajniach. Był wyjątkowy.

- Masz rację - zgodziła się Ravenna. - To rzeczywiście brzmi arogancko.

- Naprawdę? A jednak wydaje mi się, że jestem jedynym człowiekiem, który ma wizję sięgającą daleko w przyszłość. Królowie pozostałych plemion zadowolają się swym losem, walcząc między sobą i broniąc się przed najazdami orków i innych bestii.

- Ale nie ty?

- Ale nie ja - potwierdził Sigmar. - No, ale przecież nie przywiodłem cię tu po to, aby rozmawiać o wojnie i śmierci.

- Ach tak? - uśmiechnęła się filuternie Ravenna, opryskując go kroplami zimnej wody. - A więc dlaczegoż mnie tu przywiodłeś?

Sigmar podniósł się i podszedł do pakunków, które wcześniej wyjął z końskich sakw. Jeden położył obok siebie, a drugi, zawinięty w sukno, podał Ravennie.

- Co to jest? - zapytała.
- Otwórz i sama sprawdź.

Ravenna z niecierpliwością zaczęła odwijać prezent, chcąc jak najszybciej dowiedzieć się, co ukrywa się pod warstwami materiału. Gdy odsłoniła ostatnią z nich, aż westchnęła, gdyż jej oczom ukazał się złożony w kostkę płaszcz koloru szmaragdowego, wykończony na krańcach spiralnym haftem, gdzie srebrna nić przeplatała się ze złotą. Kołnierz dodatkowo ozdobiono delikatnym futrem gronostajowym.

Do płaszcza przypięta była brosza w kształcie złotej szpili zwężającej się ku jednemu z końców, a na szerszym zakończona lazurem. Szpila przecinała w poprzek złote koło, wykończone na kształt węża pożerającego własny ogon. Od ciała stworzenia odchodziły małe wstążki, na których wyryto symbol komety o dwóch ogonach.

- Ja... Ja naprawdę nie wiem, co powiedzieć - wydusiła po chwili Ravenna. - To jest przepiękne.

- Eoforth powiedział mi, że wąż zjadający własny ogon jest symbolem odrodzenia i odnowy - mówił Sigmar, obserwując, jak Ravenna obraca broszę w rękach, z podziwem przyglądając się niesamowitej biżuterii. - Symbolizuje początek czegoś nowego... I łączenie się tego, co podwójne, w jedność.

- W jedność powiadasz? - uśmiechnęła się Ravenna.

- Tak mówi Eoforth - odpowiedział Sigmar. - Poprosiłem Mistrza Alaryka, aby wykonał dla mnie tę broszę, ale myślę, że zgodził się tylko dlatego, żeby nie musieć wykuwać kolejnych koszulek kolczych.

Ravenna gładziła krawędź złotego kręgu.

- To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek miałam w życiu - wyszeptała, a Sigmar wyczuł drżenie w jej głosie. - No i ten płaszcz...

- Należał do mojej matki - powiedział Sigmar. - Ojciec mówił mi, że miała go na sobie w czasie zaślubin.

Ravenna odłożyła broszę z powrotem na poskładany płaszcz i rzekła:

- To wspaniałe podarki, Sigmarze. Bardzo ci dziękuję.

Sigmar zarumienił się, szczęśliwy, że sprawił jej przyjemność:

- Cieszę się, że ci się podobają.

- Są cudowne - odparła Ravenna, po czym skinęła głową w stronę drugiego zawiniątka.

- A co masz tam? Więcej prezentów?

Uśmiechnął się i odpowiedział:

- Niezupełnie.

Następnie sięgnął po zawiniątko i wyjął z niego owinięty w kawałek płótna ser i kilka kromek chleba. Potem wyciągnął gliniany dzbanek zamknięty woskową pieczęcią i dwa cynowe kubki.

- Jedzenie - stwierdziła. - A więc pomyślałeś o wszystkim.

Sigmar złamał pieczęć przy dzbanie i nalał do kubków jasnego napoju o barwie soku z jabłek. Wręczył jej naczynie ze słowami:

- Wino ze stoków u ujścia Reiku, dzięki uprzejmości króla Marbada.

Pili razem, rozkoszując się orzeźwiającym smakiem wina. Miało bardziej wyrafinowany smak niż piwo, do którego przyzwyczajony był Sigmar, ale przyjemnie chłodziło gardło.

- Smakuje ci? - zapytał.

- O tak - odpowiedziała. - Jest słodkie.

- Uważaj, Marbad ostrzegwał mnie, że jest dość mocne.

- Czy starasz się mnie upić?

- A czy muszę?

- To zależy od tego, co masz zamiar osiągnąć.

Sigmar wziął kolejny łyk wina, czując się oszołomiony, ale wiedząc, że nie ma to nic wspólnego z wypitym trunkiem.

- Nie wiem, jak to mądrze ująć w słowa - odezwał się po chwili. - Więc po prostu to powiem.

- Co powiesz?

- Kocham cię, Ravenno - powiedział wprost. - Zawsze kochałem, ale nie umiem się pięknie wysławiać i do tej pory nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć.

Źrenice dziewczyny rozszerzyły się, gdy usłyszała jego wyznanie i przez moment Sigmar przestraszył się, że popełnił właśnie największy błąd w życiu, ale po chwili Ravenna wyciągnęła przed siebie dłoń i pogłaskała go po policzku.

- To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam - powiedziała wreszcie.

- Codziennie o tobie myślę - ciągnął Sigmar stopniowo przyspieszając, jak gdyby chciał nadrobić stracony czas. - Zawsze gdy cię widzę, mam ochotę wziąć cię w ramiona i mocno tulić.

Uśmiechnęła się i przerwała jego męczarnie, pochylając się nad nim, aby

złożyć mu na ustach pocałunek. Jej wargi miały smak wina i tysiąca innych rozkoszy, które Sigmar miał zapamiętać do końca życia. Mężczyzna odwzajemnił pocałunek i objął ją ramionami, pociągając ku sobie na trawę.

Ravenna wtuliła się w niego i tak całowali się przez dłuższy czas, dopóki ich ręce nie odnalazły guzików, tasiemek i pasków. Szybko pozbyli się ubrań i chociaż Sigmar zdawał sobie sprawę, że niebezpiecznie jest się obnażać w środku lasu, to widok nagiego ciała dziewczyny zaparł mu dech w piersiach i nie pozwolił myśleć o niczym innym.

Jasna i miękka skóra opinała ciało smukłe i muskularne od pracy w polu, ale też delikatne, jędrne, a teraz również zarumienione z podniecenia.

Sigmar dzielił już łożę z wioskowymi dziewczynami, ale gdy jego dłonie odkrywały ciało Ravenny, miał wrażenie, że odsłaniające się przed nim piękno wymazało całkowicie wspomnienie o poprzedniczkach. Każdy jego dotyk był ostrożny, czuły i niepewny. Tymczasem dłonie dziewczyny również z nieskrępowaną przyjemnością poznawały twarde mięśnie jego barków i ramion.

Całowali się namiętnie, kochając się nad brzegiem rzeki. Z każdym ruchem pozbywali się nieśmiałości. Sigmar pragnął, aby ta chwila nigdy się nie skończyła: chłodny powiew wiatru na plecach, szum rzeki i przyspieszony oddech Ravenny brzmiały w jego uszach jak huk gromu.

Wreszcie legli zmęczeni, ale szczęśliwi i tak spoczywali w swych objęciach, jeszcze przez chwilę pozostając we własnym świecie, w którym istnieli tylko we dwoje.

Sigmar oparł się na łokciu i przesunął dłonią wzdłuż jej nagiego ciała.

- Gdy zostanę królem, ożenię się z tobą - powiedział.

Ravenna uśmiechnęła się i w tym momencie ostatecznie skradła mu serce.

Jaskinia była ciemna i wypełniona pamiątkami po przeszłości; po wielkich czynach, podstępnych zdradach i przerażających rzeziach. Niektóre z nich zaplanowano, innych udało się uniknąć, ale wszystkie miały coś wspólnego - narodziły się z ludzi i ich pragnień.

Wiedźma siedziała pośrodku jaskini, a przed nią płonęło palenisko, gdzie na wolnym ogniu bulgotała zawartość kotła wykonanego z czarnego żelaza. W pewnej chwili starucha wrzuciła do rozgrzanego gara garść zgniłych ziół i pleśni, a wtedy mętny płyn na dnie zawrzał i wypuścił kłęby podejrzenie

cuchnącego dymu.

Mikstura zaczęła intensywnie parować, a wiedźma głęboko wdychała dym, czując, jak moc z północnych królestw wypełnia jej ciało. Ludzie, nie wiedząc wiele o tej energii, obawiali się jej mocy transformacji, która potrafiła zmieniać stworzenia w obrzydliwe monstra. W swej ignorancji nazywali ją czarnoksięstwem lub po prostu złem, ale wiedźma wiedziała, że ta moc była po prostu pierwotną siłą, którą ktoś o wystarczająco silnej woli mógł kształtować wedle własnych zamysłów.

Już jako dziecko odkryła w sobie przeklęty dar - potrafiła snuć wizje, które potem sprawdzały się w rzeczywistości, a także bez żadnego wysiłku dokonywać niesamowitych wyczynów. Na czubkach jej palców tańczyły płomienie, a cienie słuchały jej rozkazów, unosząc ją wszędzie tam, gdzie zapragnęła.

Spowodowało to, że sąsiedzi się jej bali, a rodzice błagali ją, aby zatrzymała swe nienaturalne zdolności dla siebie i nie obnosiła się z nimi tak otwarcie. Kochali córkę, ale drżeli na myśl o tym, że gdy dojrzeje, jej moce jeszcze się spotęgują. Nieraz słyszała, jak nocą płakali i przeklinali bogów za to, że obdarzyli ich dzieckiem dotkniętym tak nietypową przypadłością.

Jednakże ona była wtedy młoda i pokusa zrobienia użytku z niesamowitych zdolności była zbyt wielka. Zabawiała więc inne dzieci frapującymi przedstawieniami, w których główne role grały światło i ogień i po których malcy z piskiem biegli do domów opowiedzieć rodzicom o tych cudach.

Kiedyś wspomniała o tym ojcu i serce jej pękło, gdy ujrzała cierpienie wyryte na jego twarzy. Bez słowa podjął swój topór i wyprowadził córkę z chaty, prowadząc ją w głąb mrocznego lasu.

Szli przez kilka godzin, aż wreszcie zasnęła ze zmęczenia, a ojciec wziął ją na ręce i niósł. Przemierzali w ten sposób płytkie mokradła Brackenwalsch i gdy tylko zamknęła oczy, potrafiła przywołać w pamięci zapach jego skórzanej kamizelki i torfowy aromat ciągnący się od bagien.

Zielonkawy księżyc stał wysoko na niebie, gdy położył ją na wilgotnej, porosłej trawą ziemi, w miejscu, gdzie brzęczenie owadów i rechotanie bagiennych żab odbijało się głośnym echem w ciemnościach. Uniósł topór i ostrze rozbłysło odbitym blaskiem księżyca. Rozpłakała się, ponieważ zobaczyła, że ojciec też płacze.

Wiedźma poczuła, że narasta w niej gniew, ale po chwili udało jej się

bezwzględnie zdusić to uczucie. Wiedziała, że jeżeli uległaby złości, północny wiatr porwałby ją z olbrzymią mocą i rzucił wprost w mroczną spiralę nienawiści. Żeby bezpiecznie unosić się z prądem mocy, należało zachować czysty, nieskażony emocjami umysł, a złość mogłaby ją w tym momencie tylko osłabić.

Ojciec trzymał topór uniesiony wysoko w górze, a ręce drżały mu na myśl o tym, jak strasznego czynu zamierzał się dopuścić. Nie zdążył jednak opuścić ostrza, bo nagle odezwał się mocny głos, niosący się poprzez ponure bagna z żarliwą stanowczością.

- Zostaw to dziecko - powiedział głos. - Teraz należy ono do mnie.

Ojciec cofnął się, upuszczając przy tym topór, który z głośnym pluskiem wpadł do czarnej wody.

Zaczęła płakać, ale on już zdążył zniknąć w ciemnościach i był to ostatni raz, kiedy go widziała.

Odwróciła się i ujrzała wynędzniałą staruchę odzianą w postrzępione czarne szaty, jak szła ku niej, krocząc boso przez bagna. Strach narastał, gdy poczuła, że kobieta jest jej w jakiś dziwny sposób znajoma, ale nogi przyrosły jej do ziemi i nie mogła zrobić nawet kroku.

- Masz dar, dziecko - powiedziała starucha, stając przed nią.

Potrząsnęła głową, ale wiedźma roześmiała się gorzko.

- Nie kłam, dziewczynko. Widzę to w tobie, tak jak moja poprzedniczka ujrzała to we mnie. A teraz chodź ze mną, trzeba cię sporo nauczyć, a mroczne siły już jednoczą się, aby ze mną skończyć.

- Ale ja nie chcę iść - odpowiedziała. - Chcę do domu. Chcę do tatusia.

- Twój tatuś miał zamiar cię zabić - oschle stwierdziła czarownica. - Nie masz po co wracać do domu. Jeżeli tam wrócisz, kapłani wilczego boga spalą cię za praktykowanie czarnej magii i umrzesz w męczarniach. Czy tego właśnie chcesz?

- Nie!

- No właśnie - pokiwała głową starucha. - A teraz daj mi rękę, a ja cię nauczę, jak korzystać z mocy, którymi zostałam obdarowana.

Dalej łkała, więc szybka i ostra jak miecz ręka wiedźmy wysunęła się z pół szaty i uderzyła ją mocno w policzek.

- Nie płacz, dziecko - rzuciła starucha. - Zachowaj łyzy dla zmarłych. Jeżeli masz używać swych mocy i przeżyć, to musisz być silniejsza.

Kobieta ponownie wyciągnęła rękę:

- No chodź. Trzeba cię wiele nauczyć, a zostało mało czasu.

Połykając łyżę, ujęła dłoń wiedźmy i podążyła za nią w głąb bagien, gdzie uczyła się między innymi o potężnym wietrze mocy, który wieje z północy. Przez lata dowiedziała się wiele: o sile uroków i klątw, o tym, jak czytać znaki i omeny, a także, co może najistotniejsze, jak rozszyfrowywać ludzkie serca i umysły.

- Ludzie będą cię nienawidzić z powodu twych mocy, ale zawsze, gdy będą chcieli oszukać los, przyjdą do ciebie po pomoc - powiedziała jej kiedyś starucha, która nigdy nie zdradziła jej swego imienia.

- Dlaczego więc mamy im pomagać? - zapytała wtedy.

- Ponieważ taka jest nasza rola w tym świecie.

- Ale dlaczego?

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, dziecko - odrzekła starucha. - W Brackenwalsch zawsze była wiedźma i zawsze będzie. Jesteśmy częścią tego świata, tak jak ludzkie plemiona i ich miasta. Moce, z którymi igramy, są bardzo niebezpieczne. Potrafią wlać jad w serce najszlachetniejszego człowieka i zmienić go w mroczną bestię. Używamy tych mocy po to, by inni nie musieli. To samotne życie, prawda, ale ludzka rasa nie jest przeznaczona do radzenia sobie z takimi siłami. Nieważne, co niektórzy z nich mówią, ludzie zbyt łatwo ulegają pokusom.

- Więc to jest nasz los? - zapytała. - Pomagać i chronić tych, którzy się nas boją i nienawidzą. Nigdy nie zaznać miłości, nie założyć rodziny?

- Właśnie tak - potwierdziła stara czarownica. - To jest nasze brzemię. A teraz nie mówmy już więcej o tym, ponieważ czas ucieka i czuję już, jak zbliża się dzień mojej śmierci, dając o sobie znać tupotem obutych stóp i odgłosem ostrzenia kuchennych noży.

Rok później jej nauczycielka zginęła, ugotowana żywcem przez orki w swym własnym kotle.

Dziewczynka obserwowała, jak stara kobieta ginie, nie czując przy tym ani smutku, ani potrzeby zainterweniowania. Wiedźma już od dziesiątków lat wiedziała, że nadejdzie ten dzień, tak samo jak przewidziała, kiedy odnajdzie dziecko mocy, które przejmie jej dziedzictwo.

Orki zostały pokonane przez grupę ludzi, którzy natknęli się na potwory w trakcie straszliwej burzy z piorunami i wyrzneli je co do jednego. Przywódca ludzkiego oddziału uzbrojony był w olbrzymi topór o dwóch ostrzach, którym z łatwością ścinał orcze głowy. Tymczasem kobieta, która

podróżowała wraz z wojownikami, krzyczała z wielkiego bólu. Gdy bitwa dobiegła końca, krzyk kobiety ucichł, a powietrze wypełnił płacz nowonarodzonego dziecka.

Gdy wojownicy zorientowali się, że kobieta zmarła przy porodzie, zaczęli rozpaczać. Widziała, jak pogrążony w żalu mężczyzna z toporem podnosi zakrwawione dziecko z ziemi i w tym momencie olbrzymia błyskawica przecięła niebo, na którym zjaśniała wielka kometa z dwoma ogonami.

- Dziecko Gromu... Zrodzone pośród dźwięków bitwy i od narodzin czujące krew na skórze - zasyczała. - Jego życie upłynie pod znakiem wielkiej potęgi, ale też i wielkiej wojny.

W ciągu następnych lat jej myśli wielokrotnie krążyły wokół dziecka urodzonego pod znakiem komety o dwóch ogonach, prądów mocy, które go opływały i zmieniających się losów, na które miał wpływ samym swoim istnieniem.

Coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że wraz z narodzinami dziecka uwolniły się potężne moce, ale ich dzieło pozostawało jeszcze niedokończone. Żeby chłopiec mógł osiągnąć apogeum swych możliwości, będzie musiał jeszcze wiele przeżyć: radość, smutek, złość, zdradę i wielką miłość, która na zawsze zmieni losy tego kraju.

Pozwoliła swemu duchowi swobodnie opuścić ciało, zostawiając za sobą zniszczoną, kruchą powłokę i unosząc się na duchowych skrzydłach w przestrzeni, w której ciało nie miało znaczenia, a siła psychiczna była najważniejsza. Powietrze wypełniały niewidzialne prądy, napędzane przez rozmiłowanych w wojnie ludzi i tysiące innych stworzeń tego świata. Prądy ścierały się ze sobą, zalewając krainę niewidoczną, spienioną falą mocy.

Trzęsawiska Brackenwalsch kłębiły się od pradawnych energii, kotłujących się w środku ziemi i nasycających glebę surową mocą. Widziała świat rozciągnięty przed sobą niczym olbrzymią mapę, na której na południu i wschodzie zaznaczono wysokie góry, a na zachodzie szeroki ocean, za którymi rozciągały się kraje czarnoksiężników.

Potężny wicher mocy nawiewał z północy różnokolorowe chmury, w których mieszały się drapieżne czerwienie i wojownicze fiolety, z niewielką tylko domieszką bieli i złota. Ciemne kolory przybierały na sile, w miarę jak wojna zaczynała zalewać coraz rozleglejsze obszary, w cieniu kryjąc takie obietnice jak zniszczenie, głód i wdowieństwo.

Omiotła wzrokiem ziemię, dostrzegając wreszcie osobę, na której

przybycie czekała. Samotna postać powoli i ostrożnie przedzierała się przez bagna. Zielony płaszcz ciasno owijał szczupłą sylwetkę mężczyzny. Wiedźma lekko się zirytowała na myśl o tym, że dotarł aż do wzgórza, które zamieszkiwała, a ona dopiero teraz wyczuła jego obecność.

Otaczały go wirujące kolory: żywe czerwienie, jaskrawe róże i lubieżne purpury. Bez wątpienia znajdował się pod przemożnym wpływem mrocznych sił, ale w tym wypadku doskonale pasowało to do jej planów.

Szybko powróciła do ciała, i jęknęła z zawodu, gdy znów poczuła na barkach ciężar lat, zwłaszcza że przed chwilą mogła się rozkoszować zupełną swobodą bez ograniczeń. Kiedy jej rasa wymrze, nikt nie będzie wiedział, jak szybować na wichrach mocy. Ta myśl zasmuciła ją i wtedy usłyszała odgłos stawiania mokrych stóp na ziemi u wejścia do jaskini.

Rozgoniła ręką dym, starając się uchronić oczy przed łzawieniem i oczekiwała nadejścia młodego mężczyzny, który przybył tu z sercem wypełnionym myślami o zemście i zdradzie.

Był uderzająco przystojny, a jego pięknie wyrzeźbiona, smukła postać obudziła w niej pragnienie, którego nigdy wcześniej nie zaznała. Piękny aż do granic nieprzyzwoitości, idealnie łączył męską twardość i kobiecą delikatność.

Ciemne włosy miał zebrane w krótki kucyk z tyłu głowy, a miecz schowany w pochwę z czarnej skóry wisiał u jego boku.

- Witaj w mym domu, Gerreonie z Unberogenów - powiedziała.

Księga druga

Wykuwanie króla

*Potężny jest Sigmar,
Który ocala króla krasnoludów
Przed zniewagą.
Czym mogę go nagrodzić?
Młotem zrodzonym z wojny,
Młotem zrodzonym z żelaza,
Który spadł z niebios
Wraz z kometą o dwóch ognistych ogonach
Prosto z boskiej kuźni,
Gdzie powołały go do życia ręce kowali run,
A zwie się Ghal-maraz,
Rozbijacz Czaszek.*

Rozdział 7

Wszyscy nasi ludzie

Blask płonącego ogniska oświetlał twarze zgromadzonych wokół niego wojowników. Sigmar skinął głową w kierunku Wolfgarta i Pendraga, gdy ujrzał niewyraźnie rysujące się w ciemnościach sylwetki Sveina i Cuthwina, torujących sobie drogę w dół wzgórza przez gęste zarośla. Obaj poruszali się bezszelestnie i potrafili niemal zupełnie stopić się z tłem, co czyniło z nich bardzo cenionych przez Sigmara zwiadowców.

- Nadchodzą - wyszeptał Sigmar.

Jego bracia miecza wysilali wzrok, usiłując dojrzeć cokolwiek w gęstniejącym mroku.

- Masz dobry wzrok - stwierdził Wolfgart, - Ja tam nic nie widzę.

Pendrag skinął głową w kierunku linii drzew i powiedział:

- Są tam, przy tych wiązach, a przynajmniej tak mi się wydaje.

Wolfgart zmrużył oczy, ale po chwili pokręcił głową ze zrezygnowaniem.

- Są jak duchy.

- Nie byliby dobrymi zwiadowcami, gdyby łatwo było ich dostrzec - zauważył trzeźwo Pendrag.

Dwaj zwiadowcy wyszli zza drzew, za którymi się ukrywali i Sigmar ruchem ręki nakazał im, aby podeszli do grupy jeźdźców kryjących się w gęstych krzewach, które porastały krawędź krateru. Zbocze było strome i gęsto zadrzewione, a ziemia pod stopami najeżona nieregularnymi odłamkami czarnych skał.

Według legendy setki lat temu spadł tutaj na ziemię kawałek księżyca, wbijając się z impetem w glebę. Sigmar nie wiedział, czy opowieść była prawdą, ale rzeczywiście okolica była jałowa i prawie nic tutaj nie rosło. Powietrze było cuchnące, a drzewa powyginane, jakby zwijały się w konwulsjach. Krzewy porastające krawędź krateru były kolczaste i każdego, kto miał nieszczęście zostać podrapanym przez ociekające zielonym sokiem

kolce, dręczyły potem gorączkowe sny.

Ze środka krateru dobiegał stłumiony odgłos bębnow, gardłowe ryki i słowa w mrocznym języku, wydobywające się ze zwierzęcych gardel.

Na powrót zwiadowców oczekiwało pięćdziesięciu odzianych w wilcze skóry jeźdźców, a Sigmar modlił się o to, by warunki były korzystne do ataku, ponieważ w jego sercu płonęła chęć zemsty znana każdemu człowiekowi. Rzeź, jakiej bestie dopuściły się na osadach leżących po obu stronach granicy między terytoriami Unberogenów i Asobornów, przekraczała ludzkie pojęcie.

- Co widzieliście? - zapytał, kiedy młodzi mężczyźni podeszli na tyle blisko, że mogli usłyszeć jego szept.

- Około sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu bestii - odpowiedział Svein. - Pijanych i zboczonych krwią.

- Jacyś jeńcy?

Wesoła zazwyczaj twarz Sveina stężała, gdy odpowiadał:

- Tak, ale ich sytuacja jest bardzo ciężka. Potwory okrutnie się nimi zabawiają.

- I nie zorientowali się, że tu jesteśmy? - zadał pytanie Wolfgart.

Cuthwin potrząsnął głową:

- Podchodziliśmy do ich obozu cały czas pod wiatr. Nie wystawili wart, nie rozglądali się, byli zbyt... zajęci... jeńcami.

- Ale jesteś pewien, że nikt was nie widział? - naciskał Wolfgart.

- Jestem pewien - rzucił krótko Cuthwin. - Jeżeli nas usłyszą, to tylko z powodu cholernego hałasu, jaki sam robisz.

Sigmar uśmiechnął się pod nosem, starając się ukryć rozbawienie przed Wolfgartem, a przy tym przypomniał sobie noc, kiedy znalazł Cuthwina skradającego się w stronę wielkiego domu w centrum Reikdorfu. Było to prawie sześć lat temu. Była to noc przed wyruszeniem na bitwę pod Astofen. Sigmar zapamiętał wtedy spryt i odwagę chłopca, która później uczyniła go znakomitym wojownikiem pod rozkazami królewskiego syna.

Wolfgart obruszył się, słysząc słowa zwiadowcy, ale nie odezwał się ani słowem.

- Pendragu - rozkazał Sigmar. - Weź piętnastu jeźdźców i pojedź trzysta kroków na wschód. Wolfgarcie, ty zrób to samo, tylko na zachód.

- A ty? - zapytał Wolfgart. - Co będziesz robił?

- Ja pojedę prosto przez grań krateru i uderzę w serce obozowiska -

odpowiedział Sigmar. - Kiedy bestie zwrócą się ku mnie, wy nadjedziecie z obu flank i rozgromicie je.

- Rozsądny plan - ucieszył się Wolfgart. - Dobry i prosty.

Pendrag spojrział na nich obu tak, jakby zamierzał zaprotestować, ale tylko wzruszył ramionami i zawrócił konia, żeby podjechać do swoich ludzi. Sigmar kiwnął na Wolfgarta, który podążył za przykładem Pendraga i udał się w stronę wojowników, których miał poprowadzić do bitwy.

Sigmar obrócił się w siodle, twarzą do stojącego za nim wojownika, podczas gdy odgłos bębnow dobiegający z wnętrza krateru stale narastał.

- Gerreonie, czy jesteś gotów?

Brat bliźniak Trinovantesa podjechał i zrównał się z nim, a na jego twarzy błąkał się drapieżny uśmiech.

- Jestem gotów, bracie.

Sigmar i Gerreon pogodzili się sześć lat wcześniej.

Sigmar ćwiczył szermierkę i posługiwanie się włócznią z Pendragiem na Polu Mieczy u podnóża Wzgórza Wojowników, gdy odszukał go tam brat Trinovantesa. Nazwa Pola Mieczy odnosiła się do rozległego obszaru w obrębie murów Reikdorfu, gdzie weterani wprawieni w wielu bojach przygotowywali młodzieniaszków do nadchodzących starć.

Wolfgart stwierdził, że uczenie się walki w pobliżu miejsca umarłych stanowiło zły omen, ale Sigmarowi podobał się pomysł uświadamiania każdemu z wojowników, co jest stawką w niebezpiecznej grze, jaką jest wojna.

Dziesiątki młodzieńców uczyło posługiwać się mieczem i włócznią pod czujnym i bezwzględny okiem Alfgeira, podczas gdy reszta ćwiczyła pod dozorem Wolfgarta strzelanie z łuku do wyrzeźbionych w kształcie orków figur. Powietrze wypełniał świst wypuszczanych strzał i szczęk uderzających o siebie żelaznych mieczy.

Obecnie każdy mężczyzna w Reikdorfie miał żelazny miecz, a w ciągu następnych kilku lat Pendrag i Alaryk mieli przemierzać kraj Unberogenów, żeby upewnić się, iż od tej pory każda kuźnia będzie wyposażona w napędzane wodą miechy, umożliwiające produkcję żelaznej broni. Już tylko nieliczni wojownicy nosili brązowe zbroje, a większość jeźdźców wyposażonych było w żelazne koszulki kolcze lub pancerze z nachodzących

na siebie łusek.

Posłańcy przybywający od Jutonów, Cherusenów i Taleutenów czujnie obserwowali przełom odbywający się u Unberogenów w tej dziedzinie i król Björn rozkoszował się świadomością, że siła jego plemienia jest szeroko znana na całym świecie.

- Nadchodzą kłopoty - odezwał się Pendrag na widok zbliżającego się Gerreona.

Sigmar opuścił miecz i odwrócił się w stronę brata Ravenny, od razu przygotowując się na ostre, gniewne słowa, których spodziewał się usłyszeć od przystojnego wojownika. Wszyscy wiedzieli, że on i Ravenna mają się ku sobie i chyba tylko ślepiec nie zauważyłby, że darzyli się głębokim uczuciem. Gerreonowi nie mogło się to podobać.

Właściwie to Sigmar był zdziwiony, że Gerreonowi zajęło aż tyle czasu, żeby doprowadzić do konfrontacji.

Zbliżający się mężczyzna był jak zwykle nienagannie ubrany: spodnie z koźlęcej skóry najwyższej jakości, czarna kamizela przetykana srebrną nicią i buty uszyte z miękkiej skóry. Jego dłoń spoczywała oparta na rękojeści miecza, a Sigmar wielokrotnie był świadkiem, z jaką wirtuozerią Gerreon potrafi władać ostrzem, zarówno w czasie ćwiczeń, jak i na polu walki.

Sigmar był doskonałym szermierzem, ale Gerreon był kimś, kogo Roppsmenni ze wschodu nazywają mistrzem miecza. Sigmar był spięty, oczekując gwałtownego ataku. Poczul, że Pendrag przysuwa się bliżej, również niepewny intencji Gerreona.

- Gerreonie - odezwał się Sigmar jako pierwszy. - Jeżeli chodzi o Ravennę...

- Nie, Sigmarze - przerwał mu Gerreon. - Nie chodzi o moją siostrę. Chodzi o ciebie i o mnie.

Czyżby Gerreon miał zamiar wyzwać go na pojedynek? Chyba nie był jednak na tyle szalony, żeby ryzykować walkę z królewskim synem. Nawet, gdyby go pokonał, zostałby natychmiast zabity przez królewskie strażę.

- Wytłumacz mi zatem, z czym przychodzisz.

Gerreon zdjął rękę z głowni miecza i powiedział:

- Od śmierci Trinovantesa upłynęło już wystarczająco dużo czasu, żebym zdołał wszystko przemyśleć. Teraz wstydę się tego, co powiedziałem i zrobiłem, gdy wróciliście spod Astofen. Uświadomiłem sobie, że był twoim przyjacielem i szczerze go kochałeś.

- To prawda, Gerreonie - odezwał się zaskoczony obrotem sprawy Sigmar.

- Chciałem, żebyś wiedział, że już nie winię cię za jego śmierć. Tak jak to ujęła moja siostra: zabił go ork, a nie ty. Jeżeli ofiarujesz mi wybaczenie, ja ofiaruję ci przyjaźń, tak jak to niegdyś uczynił mój brat.

Gerreon uśmiechnął się szeroko i podał Sigmarowi dłoń.

- I tak jak to obecnie czyni moja siostra.

Sigmar poczuł, jak oblewa się rumieńcem, chwytając za prawicę Gerreona.

- Jesteś Unberogenem - powiedział. - Nie potrzebujesz mojego wybaczenia, ale oczywiście masz je.

- Dziękuję - odpowiedział Gerreon. - To wiele dla mnie znaczy, Sigmarze. Nie byłem pewien, czy już nie straciłem wszystkich szans na twoją przyjaźń.

- Och nie - uspokoił go Sigmar. - Jak mógłbym stworzyć wielkie imperium, gdybym pielęgnował urazy między samymi Unberogenami? Nie, Gerreonie, jesteś jednym z nas i zawsze będziesz.

Wymienili uścisk dłoni i Gerreon uśmiechnął się z ulgą.

* * *

Wolfgart i Pendrag początkowo podejrzliwie odnosili się do niespodziewanej zmiany w zachowaniu Gerreona, ale z biegiem lat decyzja Sigmara, aby mu zaufać, okazała się całkowicie słuszna. Gerreon dowiódł swych umiejętności i zasłużył na szacunek innych wojowników w serii niebezpiecznych potyczek. Podczas bitwy pod Jałowymi Wzgórzami Gerreon ocalił Sigmarowi życie, jednym ciosem pozbawiając głowy orczego przywódcę, który unieruchomił Sigmara pod ciałem zabitego wilka.

Z kolei w starciu z teutogęskimi najeźdźcami Gerreon zabił łucznika, który lada chwila miał posłać strzałę w niczym niechronione plecy Sigmara.

Raz za razem Gerreon wyprawiał się razem z nimi na pole bitwy, a Sigmar był wdzięczny losowi, że wojownik wykazał się tak silną wolą, aby tamtego dnia przyjść prosić o wybaczenie. Ravenna usłyszawszy o przemianie brata, nie posiadała się z radości. Sigmar spędził wiele miłych chwil w towarzystwie obydwojga. Razem polowali, jeździli leśnymi ścieżkami lub po prostu rozmawiali do późnych godzin nocnych, a on dzielił się z nimi marzeniem o zjednoczeniu ludzkich plemion.

Teraz, gdy otaczała ich ciemność, a bracia miecza odjechali, aby okrążyć krater, Sigmar był zadowolony, że ma Gerreona u boku. Policzył sto uderzeń

serca, zanim popędził rumaka. Dwudziestu jeźdźców znajdujących się za nim wnet ruszyło w jego ślady.

Odgłos bębnow wzmagał się, gdy konie ostrożnie schodziły po skalistych zboczach krateru. Sigmar obrócił się w siodle, żeby zwrócić się do podążających za nim wojowników. Każdy z mężczyzn nosił koszulkę kolczą, a wielu również żelazne napierśniki i naramienniki. Do ramion przypięte mieli czerwone peleryny, powiewające na wietrze, a każdy wojownik uzbrojony był w długą włócznię i ciężki miecz.

- Uderzymy ich szybko i mocno - zaordynował Sigmar. - Chcę, żebyście narobili hałasu, gdy będziemy się zbliżać - wszyscy mają się na nas patrzeć.

Widział zrozumienie w ich oczach, więc rzucił jeszcze tylko jedno zdanie:

- Udanych łowów!

Blask księżyca osrebrał grań krateru, a chmury nad nimi lśniły pomarańczową poświatą od płonących w dole ognisk. Ciszę przeszył krzyk i Sigmar poczuł, że wzbiera w nim złość na myśl o grozie i niewyobrażalnym bólu, jaki był źródłem tego wrzasku.

- Zdajesz sobie sprawę z ryzyka - odezwał się Gerreon.

- Oczywiście, ale nie możemy dłużej czekać - powiedział Sigmar. - Jeżeli nie zaatakujemy teraz, bestie znikną w głębokim lesie i stracimy jakąkolwiek szansę na pomszczenie umarłych. Nie, potwory muszą dzisiaj zginąć.

Gerreon skinął głową i wysunął miecz z pochwy.

Sigmar z kolei wyciągnął z wiszącego za nim kołczanu ciężką włócznię o żelaznym ostrzu.

- Unberogenowie! - zakrzyknął, wbijając ostrogi w końskie boki. - Jedźcie po zemstę!

Wierzchowiec przeskoczył nad krawędzią krateru, a pozostali wojownicy ruszyli za nim, wydając z siebie wojenne okrzyki.

Przed nimi rozciągał się straszliwy widok. Płomienie z wielkich ognisk strzelały wysoko w niebo, a między paleniskami tłoczyły się monstrualnie zniekształcone bestie, pijąc i świętując niedawną rzeź, a także wznosząc plugawe modły do złych duchów.

Potwory były bękartami zrodzonymi z ludzi i bestii. Wśród obrzydliwych stworzeń widać było porośnięte futrem koźle głowy na ludzkich barkach, kończyny zginające się w odwrotną stronę i inne przeciwne naturze okropieństwa. Czerwonoskóre, rogate bestie z ogonami kłębiły się pośród ciał zmarłych, podczas gdy ciężko stąpające kreatury przypominające

przerażające połączenie konia z jeźdźcem błąkały się pijane wzdłuż granic obozu.

Pośrodku dna krateru wznosił się wielki czarny kamień, otoczony przez tłum bestii. Na powierzchni obsydianu wyryto plugawe runy mówiące o rzezi i rozpuszczeniu. Olbrzymi stwór o głowie byka odziany w poszarpaną czarną szatę wyrwał właśnie serce z klatki piersiowej żywego więźnia, a jego szaleni towarzysze, których pochodzenia nie dało się łatwo określić, ścieśnili się wokół kamienia w lunatycznym zapamiętaniu.

Ich wycie mieszało się z odgłosem bębnow, w które biły pazurzastymi łapami olbrzymie stwory o wilczych głowach.

Jeńcy - mężczyźni, kobiety i dzieci - leżeli związani na terenie całego obozu. Wszyscy byli bici, torturowani, niektórzy martwi. Część z nich została zjedzona żywcem i na myśl o tym gniew rozpałał Sigmara aż do białości. Przez chwilę oczy zaszyły mu czerwoną mgłą i poczuł, że nienawiść zaraz zupełnie nim zawładnie.

Jednak Sigmar nie był berserkerem i skupił się na tym, aby wykorzystać płonąca w żyłach wściekłość, żeby pomogła mu w walce.

Niosący go rumak pomknął w dół zbocza, a z ust jeźdźcy wydobył się nieartykułowany krzyk nienawiści. Dało się słyszeć odgłos dęcia w unberogeński róg bojowy. Każdy kolejny, ostry dźwięk zdawał się nieść atakujących z coraz większą prędkością w stronę wroga.

Bestie zaczęły otrząsać się z otępienia, ale rozwiązane hulanki, jakim się oddawały, sprawiły, że były nieprzygotowane, a ich ruchy straszliwie powolne. Byczogłowa bestia wydała z siebie ogłuszający ryk, który odbił się echem od ścian krateru i monotonne bicie w bębny ucichło.

Kilka czerwonoskórych stworów rzuciło włócznie w stronę jeźdźców, ale ich celność była słaba i żaden z wojowników nie został nawet draśnięty. Z kolei, gdy Sigmar wypuścił włócznię, ostrze przeszło plecy jednej z bestii i przyszpiliło ją do skarłowaciałego drzewa. Pozostali jeźdźcy również ciskali włócznie, aż powietrze wypełniło się jękami bólu.

Cuthwin i Svein strzelali z łuków ukryci za krawędzią krateru i od każdej strzały zakończonej gęsiami piórami padał jeden z potworów. Nie mając czasu na ciśnięcie kolejnej włóczni, Sigmar wyciągnął Ghal-maraza i zamachnął się nim, celując w szczerzący się przed nim pysk włochatej bestii o głowie niedźwiedzia.

Młot bojowy roztrzaskał czaszkę stworzenia, a Sigmar wjechał głębiej w

tłum wrogów. Kłapiące paszcze i pożółkłe szpony migają mu przed oczyma. Jego rumak zarżał z bólu, gdy włócznia rozorała mu zad. Sigmar zamachnął się Ghal-marazem, celując w klatkę piersiową atakującego go z tyłu potwora, roztrzaskując mu żebra i wyrzucając ciało wysoko w powietrze.

Unberogenowie przedzierali się przez wrogi obóz, tnąc i tratując wszystko, co stało im na drodze. Włócznie zagłębiały się w ciała, a miecze odcinały zakończone szponami kończyny od muskularnych torsów. Centaury zaszarżowały z bojowym okrzykiem na ustach, dzierżąc długie topory i kolczaste maczugi.

Sigmar ujrzał, jak jeden z jego ludzi spada z konia zmieciony taką bronią. Mężczyzna padł na ziemię martwy, gdyż jego zbroja nie stanowiła żadnej ochrony przed brutalną siłą atakującego monstrum.

Od bestii bił smród, omdlewająca mieszanka odoru mokrego futra, krwi i ekskrementów. Sigmar aż się zakrztusił, gdy rechocząca istota z piekła rodem wskoczyła na jego wierzchowca i zatopiła ostre kły w jego ramieniu.

Sigmar uderzył istotę łokciem, kierując jej wilcze rysy i uwalniając ramię od zębów. Drugą dłonią wyciągnął sztylet i dźgnął nim w tył, zatapiając ostrze w brzuchu bestii. Potwór spadł z konia, a Sigmar szybkim ruchem wbił klingę w oko szczerzącej się obrzydliwie istoty, która zamierzała się na niego z toporem o szerokim ostrzu. Siła uderzenia wyrwała mu sztylet z dłoni, a wokół siebie słyszał rosnący zgiewk pośród bestii, które wreszcie zdawały się otrząsać z szoku wywołanego niespodziewanym atakiem.

Olbrzymie monstrum stało pośrodku obozu z rozpostartymi ramionami, a we wnętrzu otwartych dłoni tańczyły płomienie. Sigmar spojrzał na wschód i zachód, gdy usłyszał dobiegające z obu stron bojowe okrzyki braci miecza. Jako pierwszy pojawił się Pendrag, zaraz potem Wolfgart, obaj wiodący resztę wojowników do boju.

- Unberogenowie! - zakrzyknął, wjeżdżając w sam środek walczącego tłumu.

Sigmar wymachiwał Ghal-marazem na prawo i lewo, z każdym ciosem zabijając kolejną bestię. Z jego płuc dobywał się niekontrolowany wojenny ryk. Stukot końskich podków odbił się echem w kraterze, gdy Wolfgart i Pendrag poprowadzili szarżę. Po chwili szcęk mieczy i toporów zamienił się w ogłuszający huk.

I wtedy uderzył grom.

Niczym płonąca błękitno-białym białym światłem włócznia rzucona przez jakiegoś złego boga, błyskawica uderzyła w sam środek unberogeńskiego oddziału. Gdy piorun uderzył w ziemię, ludzie, konie i potwory zostali wyrzuceni w powietrze za sprawą potężnej eksplozji.

Powietrze wypełnił swąd palonego mięsa, a Sigmar mrugał oczami, próbując przegonić oślepiające powidoki, przerażony ogromem zniszczenia. Kolejna straszliwa błyskawica przecięła niebiosa, a następnie uderzyła w ziemię znacząc na niej zygzakowaty ślad destrukcji.

Wokół słychać było krzyki bólu, konie szaleńczo biły popytami w ziemię, próbując uciec przed ogniem parzącym im pędny. Zrzuconych z siodła jeźdźców natychmiast zaatakowały potwory, dźgając ich bezlitośnie włóczniami i sztyletami.

Skwierzące ogniste łuki strzelały od jednego jeźdźca do drugiego, po kolei strącając ich z wierzchowców.

Sigmar ujrzał, jak Wolfgart wylatuje w powietrze po tym, jak między wojownikami eksplodował kolejny grom. Wojownicy pod wodzą Pendraga wjechali pomiędzy bestie, rozdając dookoła ciosy włóczni i mieczy. Strzały wbijały się w potworne ciała, a co mniejsze kreatury piszczały i jęczały, próbując uciec z pola bitwy.

Jeźdźcy byli jednak bezlitośni, tratując uciekinierów potężnymi kopytami wierzchowców lub nabijając ich na ostre dzidy.

Kolejne błyskawice uderzały w ziemię i wzniecały na jej powierzchni migoczące niebieską poświatą płomienie. Niszczycielska moc wypełniała krater i Sigmar słyszał jak byczogłowa bestia krzyczy z radości, rozkoszując się uwolnioną siłą zniszczenia. Monstrum przywołujące gromy trzymało jedną szponiastą łapę na wielkim kamieniu ofiarnym pośrodku krateru.

Sigmar ścisnął kolanami boki swego rumaka i poprowadził go w tamtą stronę. Wzniósł Ghal-maraza wysoko w górę, obserwując jak kolejny piorun z sykiem rozdziera niebiosa.

Ten grom nie uderzył jednak o ziemię, a zamiast tego trafił w obuch potężnego Sigmarowego młota.

Sigmar poczuł niesamowitą moc, którą przywołał potwór, a rękojeść Ghal-maraza rozpałił potworny żar, podczas gdy broń próbowała rozproszyć potworną energię. Zawył, gdy wielka część tych sił przepłynęła przez jego ciało, wypełniając żyły pierwotnym ogniem.

Z młota wydobywały się łuki błękitnego światła, rozświetlając teren

wokół Sigmara, wypełniając powietrze blaskiem, syczeniem i skwierczeniem. Błyskawice oślepiały królewskiego syna, gdy walczył z mocami, które mogły w jednej chwili rozerwać go na strzępy.

Bestia spostrzegła, że Sigmar się zbliża i warknęła kilka gardłowych rozkazów w stronę towarzyszy, którzy wnet ruszyli, aby chronić swego przywódcę. Dziwacznie zdeformowane istoty próbowały zablokować mu drogę, ale powietrze wypełniło się deszczem strzał, po którym większość z nich już się nie podniosła.

Sigmar wydał z siebie zawodzący wojenny okrzyk i jego wierzchowiec wyskoczył wysoko w górę.

Bestie zawyły, gdy Sigmar przeskoczył nad nimi, zamierzając się młotem i miotając nim w stronę spowitego w błyskawice potwora.

Ghał-maraz zawirował w powietrzu, skwiercząc od wypełniającej go energii. Sigmar wylądował na ziemi w tym samym momencie, kiedy broń dosięgła celu. Mając jedną dłoń opartą na kamieniu, a w drugiej dzierżąc błyskawicę, wielka bestia nie miała szans uniknąć ciosu.

Czaszka potwora pękła na pół od uderzenia potężnym młotem, a wokoło rozprysła się krew i odłamki kości. Z bezgłowego ciała wytrysnęła fontanna ognistej energii, a zwłoki drgały spazmatycznie, gdy uwolniona moc pożerała ciało tego, który ją uwolnił.

Sigmar zawrócił konia w stronę zabitego monstrum. Jego spalone ciało zwinęło się i zapadło na kształt wyschniętej łupiny. Blask oczu potwora zgasł, a ostatnia z błyskawic opuściła ciało wraz ze śmiercią swego twórcy. Sigmar wziął głęboki oddech i ponownie skupił uwagę na rozgrywającej się za jego plecami bitwie.

Śmierć przywódcy sprawiła, że pozostałe przy życiu bestie wydały z siebie straszliwy jęk. Było ich już niewiele, a unberogeńscy jeźdźcy bezlitośnie gonili i zabijali ostatnie potwory. Wolfgart stał w centrum krateru ścinając wielkim mieczem ostatnich z wilczogłowych, śliniących się bębniarzy, podczas gdy Pendrag wypuszczał strzałę za strzałą w stronę bestii uciekających z pola bitwy.

Sigmar uśmiechnął się ponuro do siebie. Wiedział, że w ciągu kilku chwil wszystkie straszliwe stworzenia będą leżeć martwe.

Ześliznął się z końskiego grzbietu i poklepał wierzchowca po boku.

- Niech mnie bogowie, to był dopiero piękny skok, Waleczne Serce - krzyknął, głaszcząc go po szyi i mierzwiąc mu grzywę.

Koń rżał cicho z zadowolenia i potrząsał łbem, podążając za panem, który ruszył w poszukiwaniu upuszczonego młota. Światłość, która przez chwilę rozjaśniała broń, zdążyła już przygasnąć, tylko runiczne napisy na obuchu wciąż jaśniały blaskiem mocy.

- Była to najprawdopodobniej najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś - powiedział Gerreon, podjeżdżając do niego.

Sigmar odwrócił się w stronę wojownika:

- Jaka rzecz?

- Rzucenie młota. Przecież to tak, jakbyś sam się rozbroił.

- Wciąż przecież miałem mój miecz - odparł Sigmar.

Gerreon wskazał na pas Sigmara, z którego zwisał strzęp skóry - wszystko, co pozostało po pasku przytrzymującym pochwę miecza. Sigmar nawet nie zauważył ciosu, który przeciął skórę. Teraz poczuł się niezmiernie głupio, zdawszy sobie sprawę, czym ryzykował porzucając Ghal-maraza.

- Na Ulryka! - krzyknął Wolfgart, biegnąc, aby do nich dołączyć. - Sigmarze, to był rzut! Niesamowite! Rozwaliłeś bydlakowi łeb jednym ciosem!

Gerreon potrząsnął głową:

- A ja mu właśnie mówię, jakim był głupcem, rzucając młotem w ten sposób.

- Ależ skąd! - zaperzył się Wolfgart. - Oślepiło cię czy co? Ja w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Te błyskawice! Ten rzut!

- A co gdybyś chybił? Co wtedy? - zapytał Pendrag nadjeżdżając, by dołączyć do zgromadzenia.

- Pobiłbym bestię na śmierć - odpowiedział Sigmar, przyjmując pozycję pięściarza.

- Czyżbyś nie widział, jaki on był wielki? - roześmiał się Pendrag. - Nadziały cię na rogi, zanim zdołałbyś wyprowadzić cios.

- No coś ty! - obruszył się Wolfgart. - Przecież mówimy o Sigmarze.

- No cóż, gdybyś miał młot, który wraca do ręki, po tym jak się go rzuci, to dopiero by mi zaimponowało - stwierdził Gerreon.

- Nie wygłupiaj się - zbeształ go Pendrag. - Młot, który sam wraca do ręki? Jak sobie w ogóle coś takiego wyobrażasz?

- Kto wie? - zaczął się zastanawiać na głos Wolfgart. - Jestem pewien, że mistrz Alaryk potrafiłby wykonać taką broń.

Pendrag potrząsnął głową i zwrócił się do Sigmara:

- Widzę, że Wolfgart i Gerreon mają chwilowo osłabiony kontakt z rzeczywistością, ale my mamy tu jeszcze sporo roboty. Powinniśmy jak najszybciej spalić zwłoki i opuścić to miejsce. Krew przyciągnie innych drapieżców, a mamy już wystarczająco dużo rannych, którymi trzeba się zaopiekować.

- Masz rację - zgodził się Sigmar, momentalnie poważniejąc. - Wolfgarcie, Gerreonie, każcie swym ludziom pozbierać zwłoki bestii i ułożyć je na stosie wokół tamtego kamienia. W ciągu godziny mają płonąć, podczas gdy my udamy się w drogę powrotną. Pendragu, ty chodź ze mną. Pójdziemy zająć się rannymi.

Powrotna droga do Reikdorfu zajęła jeźdźcom sześć dni przedzierania się przez las. W tym czasie minęli wiele wiosek i osad splądrowanych i zrównanych z ziemią. Zanim dotarli do niezamieszkanego rejonu lasu, Sigmar poprowadził tych, którzy ocaleli z najazdu, z powrotem do ruin, które pozostały po trzech zaatakowanych wioskach.

Mury otaczające każdą z osad były zniszczone, roztrzaskane potężnymi toporami lub po prostu rozdarte ze zwierzęcą siłą. Gdy drużyna Sigmara dotarła do dymiących zgliszcz, nie było czasu na wypełnienie wszystkich obowiązków wobec zmarłych. Dlatego też wojownicy wraz z otępiętymi, łkającymi mieszkańcami jedynie pochowali ciała i wysłali zmarłych w drogę do królestwa Morra.

Sigmar stojąc nad świeżo zakopanymi grobami, wyczuł, że ktoś się zbliża. Obrócił się i ujrzał Wolfgarta. Oczy przyjaciela były przekrwione od dymu i wyglądał na nieludzko zmęczonego.

- Ponury dzień - stwierdził Sigmar.

- Widziałem gorsze - Wolfgart wzruszył ramionami.

- Co w takim razie cię trapi?

- To - powiedział Wolfgart wskazując dłonią na groby, przed którymi stali. - Ta rzeź i ludzie, których straciliśmy mszcząc się za nią.

- To znaczy?

- To osada Asobornów i ludzie, których przywieźliśmy z powrotem do domów to też Asobornowie.

- I co z tego?

Wolfgart westchnął ciężko:

- Nie są Unberogenami, dlaczego więc wyruszyliśmy im z pomocą? Straciliśmy pięciu ludzi, a kolejnych trzech nigdy już nie wyruszy na pole bitwy. Powiedz mi, dlaczego to zrobiliśmy. Przecież królowa Freya nie uczyniłaby tego samego dla naszego ludu, prawda?

- Być może masz rację - przyznał Sigmar. - Ale to nie ma znaczenia. Wszyscy jesteśmy jednym ludem: Asobornowie, Unberogenowie, Teutogenowie... wszyscy. Tamtej nocy, kiedy przysięgaliśmy, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby powołać do życia ludzkie imperium... czy to cokolwiek dla ciebie znaczyło, Wolfgarcie?

- Oczywiście - obruszył się Wolfgart.

- Dlaczego więc widzisz problem w tym, że pomagamy Asobornom?

- Sam nie wiem - wzruszył ramionami Wolfgart. - Może dlatego, że byłem przekonany, iż droga do zbudowania imperium będzie polegała na podbijaniu innych plemion, a nie na pomaganiu im.

Sigmar położył dłoń na ramieniu przyjaciela i obrócił go w stronę wioski. Grupy ludzi wносиły tam ze zniszczonych domostw zwłoki, podczas gdy wojownicy pracowali nad układaniem ich w stosy. Pracowali ramię w ramię, wszyscy z poplamionymi krwią twarzami i dłońmi.

- Popatrz na tych ludzi - powiedział Sigmar. - To Unberogenowie i Asobornowie. Czy potrafisz ich rozróżnić?

- Oczywiście - zachnął się Wolfgart. - Od sześciu lat jestem w jednej drużynie z tymi wojownikami, znam ich tak dobrze, jakby byli moimi braćmi.

- Ale przypuśćmy, że nikogo nie znasz osobiście. Czy byłbyś w stanie powiedzieć, który z nich to Unberogen, a który Asoborn?

Wolfgart skrzywił się, słysząc to pytanie, ale Sigmar dalej naciskał:

- Mówią, że nocą wszystkie wilki są szare. Znasz to powiedzenie?

- Tak.

- Z ludźmi jest tak samo - ciągnął Sigmar, wskazując na pogrążonego w żalu mężczyznę, niosącego w ramionach martwe dziecko.

- Pod krwią i brudem, które nas pokrywają, wszyscy jesteśmy tacy sami. Podziały, jakie tworzymy, nie mają znaczenia. Zarówno w żyłach Unberogenów, jak i Asobornów, płynie taka sama krew, a dla wrogów rodzaju ludzkiego też stanowimy jedność. Myślisz, że bestie albo orki zastanawiają się nad tym, czy zabijają Asobornów czy Unberogenów? Albo Taleutenów czy Cherusenów? Albo Ostagotów?

- Chyba nie - przyznał niechętnie Wolfgart.

- Oczywiście, że nie - podniósł głos Sigmar, nagle rozgniewany na Wolfgarta za jego krótkowzroczność. - I my też nie powinniśmy tego roztrząsać. A wracając do podbijania innych plemion... Nie chcę być tyranem, przyjacielu. Każdy tyran w końcu upada, a jego nieprzyjaciele rozrywają wtedy na strzępy stworzone przez niego imperium. Ja chcę stworzyć imperium, które zbudowane przy użyciu sprawiedliwości i silnego przywództwa, przetrwa wieki.

- Myślę, że zrozumiałem, bracie - odezwał się po chwili Wolfgart.

- To dobrze - stwierdził Sigmar. - Ponieważ potrzebuję cię u mego boku, Wolfgarcie. Podziały, o których mówimy, są problemem, który musimy wspólnie przezwyciężyć.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj - powiedział Sigmar. Po prostu bądź lepszym człowiekiem.

Pięć dni później Sigmar stał na murach Reikdorfu, obserwując jak w dokach, które zostały wybudowane na północnym brzegu rzeki, cumuje kolejna barka. Był to statek szeroki, o wysokim kadłubie, którego ściany zbudowano z wysokich, pokrytych skórą tarcz. Bok okrętu zdobił znak heraldyczny Jutonów: czaszka na tle skrzyżowanych, zagiętych szabli.

Pokład wypełniony był baryłkami i drewnianymi skrzyniami, a w pomieszczeniach pod nim z pewnością znajdowały się ciężkie zwoje płótna, sterty futer i barwniki. Bagienne tereny wokół Jutonsryk dostarczały wielu składników niezbędnych do produkcji farb do tkanin. Bogaci kupcy wynajmowali więc wojowników, którzy wyprawiali się na nawiedzone mokradła, aby wrócić z substancjami, które nadawały materiałom żywy kolor, który nie blaknął z upływem czasu.

Patrząc w górę rzeki Sigmar dostrzegł następny statek, tym razem oznaczony kruczym emblematem króla Marbada. Zanotował w pamięci, aby przypomnieć nocnym strażom, żeby zwrócili szczególną uwagę na nadrzeczne tawerny, ponieważ, tam gdzie jednocześnie przebywali Endalowie i Jutonowie, nigdy nie obywało się bez przemocy.

Sigmar przeniósł wzrok z nowo wybudowanych doków w stronę budynków daleko po drugiej stronie rzeki. Most Sudenreik był w tym

momencie jedną z głównych arterii miasta i rozpoczęto już prace nad budową trzeciego mostu, ponieważ drugi, prosta drewniana konstrukcja, był używany głównie do transportu materiałów budowlanych do niedawno powstałej południowej dzielnicy miasta.

Czerpiąc z wiedzy mistrza Alaryka, Pendrag zaprojektował na tym terenie budynek szkolny, do którego unberogeńskie dzieci przychodziły dwa razy w tygodniu, aby uczyć się o świecie rozciągającym się poza Reikdorfem.

Wielu rodziców skarżyło się królowi Björnowi, że dzieci tracą czas w szkole, kiedy mogłyby pomagać w polu lub wykonywać domowe obowiązki. Jednak Sigmar przekonał ojca, że tylko edukowanie młodzieży może zwiększyć szansę na poprawę ludzkiego bytu, dlatego też lekcje kontynuowano.

Miasto rozwijało się szybciej, niż ktokolwiek sądził, że jest to możliwe. Polany w rozciągających się na południu lasach zamieniono w pola uprawne i rozpoczęto hodowlę nowych gatunków zwierząt, musiał więc powstać kolejny spichlerz i rzeźnia. Do Reikdorfu przybywali wciąż nowi imigranci, ściągnięci obietnicą pracy i wizją dostatku. Oni także pracowali na rzecz rozwoju miasta.

Domy dla nowych mieszkańców powstały przy południowych murach. Zamieszkali w nich rzemieślnicy: szewcy, bednarze, kowale, tkacze, garncarze, stajenni i właściciele gospód. Niedługo potem osiedle zostało otoczone wysokim drewnianym murem, a rok później powstał tam drugi w mieście plac targowy.

Fragmenty północnych obwarowań także poddano renowacji. Drewniane kłody zastąpiono kamiennymi blokami przetransportowanym z lasu i ociosanymi przez kamieniarzy pracujących pod czujnym okiem mistrza Alaryka.

Wiele domów w centrum Reikdorfu było już od dawna kamiennych, ale odkąd w otaczających miasto wzgórzach otworzono nowe kamieniołomy, powstawało coraz więcej pięknych zabudowań z użyciem tego solidnego budulca.

Sigmar nigdy jeszcze nie widział ani Kruczego Dworu króla Marbada, ani góry Fauschlag króla Artura, ale wątpił, żeby otaczające je osady były równie gęsto zaludnione, jak te w okolicach Reikdorfu. Rzeka i rozpościerające się nad jej brzegami żyzne ziemie stanowiły dla Unberogenów źródło prawdziwego dostatku. Nadchodził czas, gdy mieli zrobić użytek z darów,

których bogowie udzielili im w swej łaskawości.

Skrzynie były pełne złota z handlu z krasnoludami i innymi plemionami, a spichlerze pękały w szwach od zgromadzonych plonów. Morale wojowników było wysokie, a dzięki pracy wszystkich unberogeńskich kowali, każdy z nich odziany był w żelazną koszulkę kolczą, indywidualnie uformowany napierśnik, naramienniki, nagolenice i ryngrafy.

Zaiste był to niesamowity widok, gdy unberogeńscy jeźdźcy wyruszali całą grupą do boju, lśniąc w słońcu. Mistrz Alaryk sugerował wykonanie zbroi płytowych również dla koni, ale okazało się, że mogą je nosić tylko najpotężniejsze rumaki, gdyż dla pozostałych zwierząt są one zbyt ciężkie i niewygodne.

Ambicją Wolfgarta stało się skupywanie największych i najlepiej zbudowanych koni pociągowych i krzyżowanie ich ze wspaniałymi rumakami bojowymi w celu uzyskania wierzchowca, który byłby na tyle silny i szybki, żeby nosić taką zbroję. Pracował nad tym kilka lat i był przekonany, że wkrótce będzie w stanie wyhodować takie stado.

Wkrótce miał nadejść czas, by rozpropagować marzenie Sigmara daleko poza granicami ziem Unberogenów.

Sigmar, który niedługo miał osiągnąć wiek dwudziestu jeden lat, spoglądał na tętniące życiem miasto i uśmiechał się.

- Uczynię z Reikdorfu największe miasto w całym imperium - powiedział do siebie, po czym opuścił punkt obserwacyjny i zaczął schodzić w dół murów, kierując się w stronę położonego w centrum miasta długiego domu.

Przeciął główny rynek Reikdorfu w momencie, gdy promienie zachodzącego słońca zaczęły powoli znikać za murami. Większość kupców już zamknęła swoje wozy i odciągnęła je z placu. Na ziemi pozostały resztki jedzenia, którymi żywiły się wałęsające się tutaj psy. Sigmar minął kuźnię Beorthyna, trzymając się środka ulicy i unikając błotnistych kałuż, które utworzyły się przy krawędziach budynku.

Na Polu Mieczy rozciągającym się za długim domem widać było sylwetkę odzianego w zbroję Alfgeira, który mimo późnej pory dalej prowadził szermierczy trening. Dostrzegłszy go, Sigmar skrzył w stronę placu ćwiczeń.

Tuzin młodych ludzi ścierało się tutaj ze sobą. Brązowa zbroja Alfgeira lśniła w zachodzącym słońcu, jakby została zrobiona ze złota. Alfgeir był ostatnim unberogeńskim wojownikiem, który nie wymienił zbroi na nową, żelazną.

Obok niego stał Gerreon, jako najlepszy szermierz wśród Unberogenów był z pewnością najbardziej odpowiednią osobą, aby uczyć nowe pokolenia tej trudnej sztuki. Sigmar rzucił spojrzenie w stronę górującego nad krajobrazem Wzgórza Wojowników i znajdującego się na nim grobu Trinovantesa. Zaraz potem skierował całą uwagę na pole ćwiczeń, rozkoszując się szczękiem żelaznych ostrzy i widokiem iskier, jakie sypały się z mieczy podczas takich starć.

Obserwował, jak Alfgeir krzyczy na najdalej ćwiczącą parę uczniów, po czym wymierza jednemu z nich lekki, ale bolesny cios w ucho. Sigmar skrzywił się, współczując chłopcu, któremu się oberwało. On sam, mimo że był królewskim synem, nie raz musiał ścierpieć podobne uderzenie, gdy nabywał doświadczenia na Polu Mieczy.

Sigmar spoglądał na ćwiczących okiem doświadczonego wojownika, wyszukując chłopców najszybszych, najzręczniejszych, najbardziej zdeterminowanych, a także tych, którzy mieli spojrzenie bohaterów. Na istnienie tej ostatniej cechy zwrócił mu kiedyś uwagę Wolfgart.

- Można to dostrzec w ich oczach - powiedział wtedy Wolfgart. - Idealną mieszankę honoru i odwagi. Dokładnie taką samą, jaką widzę u ciebie.

Sigmar przyjrzał się dokładnie twarzy przyjaciela, szukając na niej jakichkolwiek oznak drwiny, ale Wolfgart wypowiadając te słowa, był śmiertelnie poważny. Dlatego też Sigmar przyjął wtedy komplement i od tej pory zaczął dostrzegać to, o czym mówił Wolfgart, w twarzach każdego ze swoich przyjaciół. Po raz kolejny dziękował bogom, że mógł się otaczać tak znakomitymi towarzyszami.

Gerreon dostrzegł go i podbiegł, aby dołączyć do królewskiego syna stojącego na skraju placu.

- Dobrze sobie radzą - odezwał się Sigmar.

- Racja - zgodził się Gerreon. - To dobre chłopaki, Sigmarze. Daj im kilka lat, a będą najlepszymi wojownikami, jakich mógłbyś sobie zażyczyć.

Sigmar skinął głową i powrócił do obserwowania ćwiczących. Nagle jeden z chłopców upuścił miecz, a z jego ust wyrwał się krzyk bólu. Z głębokiej rany na ramieniu ciekła obficie krew, a chłopiec osunął się na kolana.

Sigmar i Gerreon momentalnie puścili się biegiem w stronę rannego, podczas gdy Alfgeir krzyczał zachrypniętym głosem:

- Sprowadźcie medyka!

Sigmar uklęknął przy rannym chłopcu i obejrzał nacięcie na jego ramieniu. Rana była głęboka, obficie krwawiła i widać było, że ostrze przecięło mięsień. Twarz chłopca pobladła i nabrała ziemistej barwy.

- Spójrz na mnie - rozkazał Sigmar.

Chłopiec odwrócił wzrok od rany i spojrzał mu w twarz. Sigmar widział, że młodzieniec z trudem powstrzymuje się od płaczu, ale walczy ze sobą, żeby nie okazać słabości przed obliczem królewskiego syna.

- Jak się nazywasz?

- Brant - z trudem wykrztusił chłopiec, podczas gdy jego oddech stawał się coraz płytszy.

- Nie patrz na to - powiedział Sigmar, kładąc dłoń na ramieniu młodzieńca. - Popatrz na mnie. Pamiętaj, że jesteś Unberogenem. Pochodzisz z ludu bohaterów, a bohaterowie nie boją się widoku odrobiny krwi.

- Ale to boli - wydusił z siebie Brant.

- Wiem - odpowiedział Sigmar. - Ale jesteś wojownikiem, a ból jest nieodłącznym towarzyszem na polu walki. To pierwsza rana, jaką odniosłeś w życiu. Zapamiętaj ten ból, a wszystkie następne rany będą niczym w porównaniu z tą. Zrozumiałeś?

Chłopiec pokiwał głową i zacisnął zęby, żeby powstrzymać jęk bólu. Sigmar widział jednak po jego twarzy, że jest bardzo cierpiący i walczy ostatkiem sił.

- Jest w tobie żelazna siła, Brancie. Widzę to jasno i wyraźnie - powiedział Sigmar. - Pewnego dnia staniesz się wspaniałym wojownikiem i wielkim bohaterem.

- Dziękuję... panie - wyszeptał chłopiec. Na szczęście uzdrowiciel Cradoc już biegł w ich stronę, niosąc ze sobą torbę z medykamentami.

- Zostanie ci blizna po tej ranie - mówił dalej Sigmar. - Noś ją z dumą.

Sigmar wytarł zakrwawioną dłoń o swoją koszulę, po czym ustąpił miejsca przy boku chłopca Cradocowi. Sam chwycił miecz Branta i uważnie przyjrzał się jego ostrzu, zauważając że było ostre jak brzytwa. Obrócił się w stronę Alfgeira i Gerreona.

- Każesz im używać na treningu niestępionych mieczy?

- Oczywiście - odpowiedział Alfgeir lekko wyzywającym tonem. - Jeśli zrobisz błąd, po którym zostajesz ranny, nigdy więcej nie popełniasz tej samej pomyłki.

- Za moich czasów nigdy nie używaliśmy ostrej broni - stwierdził Sigmar.

- To był mój pomysł - odezwał się Gerreon. - Pomyślałem, że to ich nauczy szacunku dla bólu.

- A ja się z tym zgodziłem - dodał Alfgeir. - Tak jak i król.

Sigmar wręczył Alfgeirowi miecz Branta ze słowami:

- Nie musicie się usprawiedliwiać. Nie mam zamiaru was za to potępiać, bo zgadzam się z tym, co mówicie. Trening musi być tak realistyczny i ciężki jak to tylko możliwe. Tylko w ten sposób ci chłopcy będą wiedzieli, czego się spodziewać, kiedy wyruszą do prawdziwej walki.

Alfgeir skinął głową i odwrócił się w stronę pozostałych młodzieńców, którzy obserwowali ich rannego towarzysza wynoszonego z Pola Mieczy.

- Nikt nie mówił, że możecie przestać ćwiczyć! - wrzasnął. - Trening nie kończy się, dopóki ja tego nie powiem!

Sigmar obrócił się teraz w stronę Gerreona.

Twarz przyjaciela była tak blada jak przed chwilą twarz Branta.

- Gerreonie? Czy coś się stało?

Gerreon miał wzrok utkwiony w torsie Sigmara. Królewski syn spojrzał w dół i ujrzał krwawy ślad dłoni odcisnięty na swojej tunice pośrodku klatki piersiowej. Sigmar uczynił krok w stronę przyjaciela, ale ten cofnął się.

- Co się stało? To przecież tylko trochę krwi.

- Czerwona dłoń... - wyszeptał Gerreon. - I ranny miecz...

- Co to za bełkot, przyjacielu? - zapytał zaniepokojony Sigmar. - Co się stało?

Gerreon potrząsnął głową, jakby budził się z długiego, otępiającego snu i Sigmar ujrzał płonący w jego oczach zimny blask.

Zanim zdążył zapytać o więcej, powietrze przeszył ostry dźwięk dzwonów ostrzegawczych, które biły głośno, stawiając na nogi wszystkich mieszkańców miasta. Sigmar sięgnął po Ghal-maraza.

- Zgromadź wojowników! - krzyknął, po czym obrócił się na pięcie i biegiem ruszył w stronę murów.

Rozdział 8

Heroldowie wojny

Sigmar gnał ulicami Reikdorfu, ściskając mocno młot i nasłuchując bicia serca tłukącego się w piersi. Lata minęły, odkąd strażnicy na murach bili w ostrzegawcze dzwony i Sigmar zastanawiał się, jakie niebezpieczeństwo mogło ich skłonić do podjęcia najwyższych środków tym razem.

Gdy skręcił za róg głównego spichrza, zaczęli dołączać do niego unberogeńscy wojownicy, w pośpiechu wdziewający koszulki kolcze i przypinający miecze w pochwach do pasów opinających biodra. Bicie dzwonów nie ustawało i tłum biegnących na mury wojowników gęstniał z minuty na minutę.

Sigmar dobiegł wreszcie do drabin wiodących na szańce. Zawiesił Ghalmaraza u pasa i szybko wspiął się po szczeblach.

Z zaskoczeniem stwierdził, że mężczyźni zgromadzeni na murach nie zdradzają najmniejszych oznak strachu czy zaniepokojenia. Nie naciągano cięciw, nie wznoszono włóczni w celu rzucenia nimi w tłum atakujących wrogów. Sigmar wspiąwszy się na szczyt, skierował się w stronę krawędzi muru zbudowanej z zaostrzonych pali.

- Co się dzieje? - zażądał wyjaśnień.

- Zwiadowcy właśnie przynieśli wieści - odpowiedział najbliższy stojący wojownik, wskazując na przestrzeń rozciągającą się za murami. - Setki ludzi kroczą na południe wzdłuż Środkowej Drogi.

Sigmar wyjrzał za krawędź muru i ujrzał długą kolumnę ludzi stąpających powoli i z trudem w stronę Reikdorfu. Setki mężczyzn i kobiet w brudnych, zniszczonych od długiej wędrówki szatach wynurzało się spośród drzew wyznaczających krawędź lasu na północ od miasta. Wielu z nich ciągnęło wózki lub niosło nosze, na których siedziały dzieci i starsi ludzie przytrzymujący zawiniątka i tobołki.

- Kim oni są?

- Wyglądają jak Cherusenowie.

Sigmar z powrotem przeniósł wzrok na kolumnę ludzi, którzy ostrożnie zbliżali się w stronę wrót zwieńczonych wielką statua Ulryka w towarzystwie nieodłącznych wilków. Przyjrzawszy się uważniej, dostrzegł, że obok obcych osób kroczy dobrze mu znana, ciemnowłosa kobieta. Ravenna w długiej zielonej sukni poplamionej teraz błotem podtrzymywała siwowłosą kobietę niosącą w ramionach płaczące dziecko.

- Otworzyć wrota! - zaordynował. - Natychmiast!

Wojownicy skinęli głowami i przekazali rozkaz strażnikom znajdującym się u podstawy murów. Podczas gdy kilku odzianych w zbroje mężczyzn zaczęło mocować się z potężnymi odrzwiami, Sigmar zeskoczył na ziemię.

Gdy tylko brama została otwarta, Sigmar wybiegł przez nią. Kierował się w stronę nadchodzących ludzi, czując na sobie ciężar ich błagalnych spojrzeń.

Gdy tylko zbliżył się do Ravenny, wyrzucił z siebie serię pytań:

- Co się dzieje? Kim są ci ludzie? Skąd się tutaj wzięli?

- Sigmarze! - zawołała Ravenna. - Dzięki bogom! Właśnie kończyliśmy pracę na najwyższej położonych pastwiskach, gdy ujrzeliśmy ich nadchodzących z północy.

- Ale kim oni są? Wyglądają jak Cherusenowie.

Ravenna położyła mu dłoń na ramieniu i Sigmar wyczuł, że jest osłabiona i wyczerpana.

- To ci, którym udało się ująć z życiem - odpowiedziała.

- Ująć z życiem z czego?

Ravenna zawahała się, jak gdyby obawiała się wypowiedzieć na głos straszliwe słowa o niebezpieczeństwie, które wyгнаło tych ludzi z domów.

- Z najazdu Norsów - odpowiedziała. - Wygląda na to, że lud północy wyruszył na wojnę.

W długim domu króla Björna panował ponury nastrój. Sigmar wyczuwał gniew i potrzebę odwetu rosnące w sercu każdego ze zgromadzonych tu wojowników. Tak samo czuł się, gdy usłyszał o rzezi dokonanej przez leśne bestie w wioskach na wschodniej granicy kraju Unberogenów.

Norsowie...

Wiele czasu minęło, odkąd krwiożercze północne plemiona ostatnio

wyprawiały się na południe, niosąc śmierć, zniszczenie i grozę. Rozciągające się na północy krainy stanowiły dla większości południowych plemion nieprzeniknioną tajemnicę. Nieliczni południowcy mieli kiedykolwiek potrzebę lub chęć wyprawiania się poza własne tereny, a co dopiero podróżowania poza Góry Środkowe. Nic dziwnego, skoro legendy opowiadały o wielkich smokach zamieszkujących tamtejsze lasy i ludożerczych plemionach nieustraszonych wojowników, którzy oddają cześć mrocznym bogom krwi.

Ostatni raz Norsowie wyprawili się na południe kilkadziesiąt lat temu, ale starszyzna Reikdorfu wciąż przytaczała opowieści o przerażającym wrogu. Nieprzyjaciele mieli być brutalnymi wojownikami w czarnych zbrojach i rogatych hełmach, dzierżącymi budzące postrach topory i podłużne tarcze wyższe od przeciętnego człowieka. Jeszcze większą grozę mieli budzić, gdy dosiadali olbrzymich, czarnych wierzchowców o płonących czerwienią oczach, zionących żywym ogniem.

Pływając na pokładach przerażających Wilczych Okrętów stanowili zagrożenie dla nabrzeżnych wiosek, zdobywając sobie reputację zabójców, którzy nie pozostawiają za sobą nic oprócz zwłok i dymiących zgliszczy. Niewielu ludziom udało się stawić im czoła i przeżyć.

Mówiono, że w armiach ludzi północy walczą też przerażające dzikie psy i zdeformowane monstra. Członkowie starszyzny szeptali ze strachem o plugawych nekromantach, którzy potrafili wzywać z zaświatów potężne demony i ciskać ogniste włócznie, które w mgnieniu oka zamieniają oddział uzbrojonych po zęby wojowników w kupkę popiołu.

Sigmar był świadom tego, że większość tych opowieści była mocno przesadzona, ale nie zmieniało to faktu, że każdy mieszkaniec ziem położonych na zachód od gór traktował niebezpieczeństwo ze strony Norsów śmiertelnie poważnie.

Z przybyłej grupy uchodźców około czterystu zostało wpuszczonych w obręb murów Reikdorfu, podczas gdy pozostałe dwieście osób koczowało na zewnątrz pod naprędce skleconymi namiotami. Na szczęście najsroźsze mrozy już minęły i nocą temperatury były łagodne, więc nie było ryzyka, że ktoś mógłby umrzeć z wyziębienia.

Alfgeir był wściekły na strażników, którzy otwarli wrota i groził im nawet chłostą, dopóki Sigmar nie wyjaśnił mu, że to on wydał rozkaz.

- I jak masz zamiar wyżywić tych ludzi? - gorączkował się Marszałek

Reiku.

- Spichrze są wypełnione po brzegi - odpowiedział Sigmar. - Jeżeli będziemy oszczędni, starczy dla wszystkich.

- Twoje założenia są zbyt śmiałe, młody Sigmarze - rzucił Alfgeir, po czym pośpiesznie się oddalił.

W ciągu następnej godziny unberogeńscy wojownicy zgromadzili się w długim domu, żeby wysłuchać wieści, które przynieśli towarzyszący wygnańcom emisariusze od króla Taleutenów, Krugara, i króla Cherusenów, Aloysisa.

Człowiek króla Krugara był to szczupły wojownik o jastrzębiej twarzy, noszący imię Notker. U boku miał przypasaną wygiętą szablę kawaleryjską, a włosy na głowie nosił wygolone w ten sposób, że zostało z nich tylko długie pasmo, które spływało mu po plecach aż do pasa. Jego szaty i lekko pałakowate nogi zdradzały jeźdźca, a każdy ruch Taleutena był szybki i precyzyjny.

Wysłaniec króla Aloysisa miał na imię Ebrulf i był potężnym mężczyzną o niesamowicie muskularnych ramionach, w których trzymał topór tak ciężki, że niemożliwym wydawało się, by ktokolwiek był w stanie zamachnąć się taką bronią. Sigmar od razu poczuł do niego sympatię, ponieważ była od niego duma i szlachetność, bez śladu arogancji.

Sigmar stał teraz za plecami ojca, który siedząc na dębowym tronie z ponurą miną wysłuchiwał wiadomości przyniesionych przez emisariuszy. Wieści nie były dobre.

- Jak oceniacie, ilu Norsów może być w drodze? - zapytał Björn.

Jako pierwszy odpowiedział Notker:

- Prawie sześć tysięcy zbrojnych, mój panie.

- Sześć tysięcy! - wykrzyknął Alfgeir. - To niemożliwe. Ludzie północy nie byliby w stanie zgromadzić tylu żołnierzy.

- Z całym szacunkiem dla twego czempiona - odezwał się Ebrulf. - To jest możliwe. Zaginione plemiona z za mórza kroczą razem z nimi. Setki Wilczych Okrętów cumują u północnych wybrzeży, a z każdym dniem przybywa nowych.

- Zaginione plemiona? - zdumiał się Eoforth. - Powróciły?

- W rzeczy samej - odpowiedział Notker. - Wysocy mężczyźni na czarnych rumakach uzbrojeni w długie lance i odziani w mosiężne zbroje. Ci sami, którzy czczą przeklętych bogów i wśród których rodzą się szamani

potrafiący wzywać tych bogów, aby jednym płomieniem spopielili najpotężniejszych wrogów.

Na wzmiankę o zaginionych plemionach na sali rozległo się stłumione westchnienie. Każdy ze zgromadzonych słyszał o siejących przerażenie, krwiożerczych postaciach, z którymi ich przodkowie musieli walczyć, gdy zakładali na tym terenie pierwsze osady. Przy wieczornym ognisku opowiadano legendy o odważnych bohaterach z dawnych czasów, którzy setki lat temu przepędzili dzikie plemiona daleko za morze i na nawiedzane przez złe duchy północne pustkowia.

- Podobno ostatni członkowie zaginionych plemion zginęli na pustkowiach - odezwał się Eoforth. - Tamte ziemie zostały w przeszłości przeklęte przez bogów i nikt nie byłby w stanie tam przeżyć.

Ebrulf poklepał trzonek swego topora i powiedział:

- Uwierz mi, starcze, oni żyją. Ten oto Kąsacz Szyj pozbawił głów więcej niż kilku z nich w ostatniej bitwie.

- Przypuszczam, że przybyliście do mego długiego domu nie tylko jako posłańcy niosący nowiny - odezwał się Björn. - Powiedzcie, co jest prawdziwym celem waszej wizyty.

Notker i Ebrulf wymienili spojrzenia, po czym Cherusen wykonał kurtuazyjny ukłon w stronę Taleutena z wygoloną czaszką. Ten uczynił krok do przodu i zgiął się w głębokim ukłonie przed unberogeńskim królem.

- Nasi władcy wysłali nas, abyśmy zaoferowali ci możliwość dołączenia do wielkiej armii, która gromadzi się, żeby odeprzeć najazd ludów północy i zepchnąć je z powrotem w stronę morza - powiedział Notker. Następnie zamilkł, a Ebrulf kontynuował:

- Król Aloysis ściąga wojowników pod swój sztandar w cieniu Gór Środkowych, a król Krugar gromadzi jeźdźców pod Wzgórzami Farlic. Nasze połączone armie będą liczyć około czterech tysięcy zbrojnych, ale jeśli zdecydujesz się dołączyć ze swoimi wojownikami, będziemy mogli stawić czoła ludom północy jak równy z równym.

- Oferujecie nam dołączenie do waszej armii? - burknął Alfgeir. - Trzeba by wprost powiedzieć, że bez naszej pomocy zostaniecie pobici i zdziesiątkowani, zanim nadejdą zimowe mrozy.

Ebrulf popatrzył na niego spode łba.

- Cóż za smoczy język, królewski doradco. Spróbuj jeszcze raz okazać mi podobne lekceważenie, a mój topór ukąsi twoją szyję!

Poczerwieniały na twarzy Alfgeir uczynił krok do przodu i sięgnął dłonią po miecz.

Björn przywołał go z powrotem zniecierpliwionym ruchem ręki.

- Mimo że Alfgeir odezwał się nieproszony, to ma rację, twierdząc, że wasi królowie proszą mnie o zaiste olbrzymią przysługę. Jeżeli wyślę tak wielką liczbę wojowników na północ, pozostawię własne ziemie praktycznie bez żadnej ochrony.

Na te słowa Notker odezwał się:

- Król Krugar jest świadom wagi tego, o co prosi, ale oferuje ci Przysięgę Miecza, jeżeli wyruszysz wraz z nim na północ.

- Król Aloysis zobowiązuje się do tego samego - dodał Ebrulf.

Sigmar był zdumiony, słysząc o przysięgach, ale najwidoczniej ojciec spodziewał się takiego obrotu sprawy, bo tylko pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Niebezpieczeństwo z północy musi być zatem naprawdę wielkie - powiedział na koniec król Björn.

- Takie jest w istocie - potwierdził jeszcze raz Notker.

Emisariuszom podziękowano za nowiny i pozwolono im się oddalić. Królewscy słudzy zaprowadzili gości do kwater odpowiadających ich pozycji, gdzie mogli się posilić i udać na spoczynek. Unberogeńscy wojownicy również powoli opuszczali długi dom, wszyscy co do jednego w ponurych nastrojach, zatopieni w myślach o nadchodzącej wojnie.

Król Björn przywołał do siebie Alfgeira i Eofortha. Razem z Sigmarem zaczęli w czwórkę zastanawiać się nad groźbą idącą z północy. Marszałek Reiku był przy tym w wyjątkowo wojowniczym nastroju, nawet jak na niego. Przybycie uciekinierów i emisariuszy do Reikdorfu rozpałiło w nim wielkie emocje.

- Są zdesperowani - stwierdził. - Muszą być, jeżeli przysłali tych dwóch, aby błagali nas o pomoc. Oferować Przysięgę Miecza... Takich słów nie rzuca się na wiatr.

- Masz rację - zgodził się Eoforth. - Ale i zagrożenie ze strony ludów północy to nie są przelewki.

- Ba, są takimi samymi ludźmi jak i my - stwierdził lekceważąco Alfgeir.
- Krwawią i umierają tak jak wszyscy.

- Zdarzyło mi się już walczyć z Norsami - odezwał się Björn. - To prawda, że krwawią i umierają jak wszyscy, ale są przy tym niezwykle silnymi, walecznymi ludźmi, a jeśli do tego maszerują wraz z zaginionymi plemionami...

- Zawsze myślałem, że legenda o zaginionych plemionach to tylko taka opowieść, którą straszy się dzieci - powiedział Sigmar.

- Bo tak właśnie jest - odparł na te słowa Alfgeir. - Posłańcy starają się nas tylko nastraszyć, abyśmy chętniej im pomogli.

- Nie wydaje mi się - wyraził swoje zdanie Eoforth. - Nie sądzę też, żeby którykolwiek z nich nas okłamywał.

- Ponieważ mówili prawdę - wtrącił się Björn. - A ty Sigmarze, jak sądzisz?

- Zgadzam się z tobą, ojcze. Nie wyczułem w ich słowach żadnego fałszu. Wierzę, że mówili prawdę i dlatego musimy wyruszyć na pomoc królom braterskich krain. Możemy wiele skorzystać na połączeniu się więzami Przysięgi Miecza z dwoma potężnymi władcami. Zabezpieczymy w ten sposób północną granicę, a mając Cherusenów i Taleutenów za sprzymierzeńców będziemy silniejsi niż kiedykolwiek.

- Powiedziane iście po królewsku! - roześmiał się Björn - Rzeczywiście musimy wyruszyć im z pomocą. Gdyby Norsowie pokonali Cherusenów i Taleutenów, my bylibyśmy następni.

- Zastanawiam się - zapytał Eoforth. - Dlaczego Aloysis i Krugar nie zwrócili się o pomoc do Teutogenów?

- Prawdopodobnie to uczynili - powiedział Björn. - Ale Artur uważa, że jest bezpieczny na szczycie Fauschlagu i nie widzi powodu, aby pomagać sąsiadom, a pewnie i sam chciałby ich najechać, kiedy będą osłabieni po starciu z Norsami.

- Dlatego tak istotne jest, żebyśmy wyruszyli na wojnę z ludem północy - stwierdził Sigmar.

- A co z naszymi ziemiami? - zapytał Alfgeir. - Zostawimy je bez ochrony, jeżeli wszystkich wojowników wyślemy na północ. Bestie z dnia na dzień stają się coraz bardziej niebezpieczne, a zielonoskórzy zawsze najeżdżają nas na wiosnę.

- Wyprawimy tylu wojowników, ile to będzie możliwe, ale za nic nie pozostawimy naszych ziem bez ochrony - odparł Björn. - Na miejscu zostanie najpotężniejszy wojownik, który będzie sprawował pieczę nad naszą

ojczyzną.

- Kto? - Alfgeir zadał pytanie, a Sigmar poczuł, jak w żołądku formuje się mu ciężka, ołowiana kula, gdy przeczuł, jakiej odpowiedzi udzieli ojciec.

- Sigmar stanie na straży naszych ziem, gdy my wyruszymy na północ.

W tafli Reiku odbijało się księżycowe światło, a z rozrzuconych nad brzegiem tawern niosły się po wodzie odgłosy pijackich hulanek. Słysząc je było aż w położonych na drugim brzegu słabo oświetlonych zabudowaniach. Gerreon stał na brzegu rzeki, pogrążony w myślach, przeżywając jeszcze raz sytuację, której był świadkiem na Polu Mieczy.

Alfgeir nie był łagodnym nauczycielem i podczas treningów zdarzały się wypadki, ale rozlana dzisiaj krew przypominała Gerreonowi o dniu, o którym prawie zupełnie zapomniał. Zamknął oczy i przywołał obraz odcisku krwawej dłoni na koszuli Sigmara. Gdy ujrzał go po raz pierwszy, doznał nagłego olśnienia. Ponownie usłyszał słowa starej wiedźmy, które rozbrzmiewały w jego głowie tak czysto i wyraźnie, jakby usłyszał je ledwie wczoraj.

Kiedy w ciągu jednego uderzenia serca ujrzysz jednocześnie znak czerwonej dłoni i ranny miecz... wiedz, że wtedy nadejdzie czas twojej zemsty. Wkrótce w Reikdorfie nie będzie króla, a ty wyprawisz się na bagna w poszukiwaniu wodnej cykuty.

Oszołomiony opuścił jaskinię staruchy. Narkotyczne wyziewy unoszące się znad paleniska zasnuły mu umysł mgłą. Myśl o spełnieniu pragnień i konsekwencjach prowadzących do tego czynów dodatkowo mąciła spokój jego duszy. Nie pamiętał, w jaki sposób wracał przez Brackenwalsch, ale trafił do domu bezbłędnie i następnego dnia obudził się z okropnym bólem głowy i wyschniętymi ustami we własnym łóżu.

Leżąc na posłaniu wciąż słyszał w uszach świdrujący szept czarownicy. Był tak przerażony, nie mógł się podnieść, a jednocześnie wypowiedane przez nią słowa brzmiały jak muzyka dla jego uszu.

Bądź tym, który niesie pokój... Hoduj w sobie żądzę zemsty, ale ukryj ją pod płaszczem przyjaźni. Pamiętaj, Gerreonie z Unberogenów... Czerwona dłoń i ranny miecz.

Powstał z łóża, wyszedł z domu i ruszył przed siebie ulicami Reikdorfu, czując jakby dalej śnił. Tego dnia słońce świeciło jasno, a niebo miało

cudowny odcień błękitu. Przystanął przy Kamieniu Przysięg pośrodku osady i skierował się w stronę Pola Mieczy czując w żołądku nieprzyjemny ucisk.

Znalazł Sigmara i pogodził się z przyszłym królem Unberogenów, chociaż cały czas miał wrażenie, że zadusi się na śmierć własnymi słowami. Przez następne lata hodował w sercu nienawiść, pielęgnując ją każdego dnia i jątrząc stare rany, gdy tylko złość zaczynała słabnąć.

Ale do czasu...

Z każdym dniem Sigmar stawał się Gerreonowi coraz bliższy i brat Trinovantesa poczuł, jak nienawiść do królewskiego syna w nim słabnie wraz z bólem odczuwanym po śmierci bliźniaka. Któregoś ranka ku swemu przerażeniu stwierdził, że właściwie to nawet lubi Sigmara. Nawet Wolfgart i Pendrag, wydawali mu się teraz sympatyczni. Wyrósłszy z chłopięcych animozji, musiał przyznać, że byli prawymi mężczyznami, godnymi jego przyjaźni.

Wkrótce potem z wojownikami, z którymi walczył często ramię w ramię, połączyły go więzy szczerzej przyjaźni. Często nawzajem ratowali sobie życie. Z upływem lat on i Sigmar stali się jak bracia. Przyszłość była świetlista, a nienawiść ulotniła się niczym poranna mgła.

A teraz nagle to...

Gdy ujrzał znaki, o których mówiła wiedźma, mroczne wspomnienia o śmierci Trinovantesa z powrotem napłynęło do jego umysłu niczym wzburzona rzeka, która przerwała tamę. Serce znów wypełnił mu jad i złość tak silna, jak tego dnia, gdy do Reikdorfu sprowadzono ciało brata.

Ranny miecz...

Do tej pory nie rozumiał, co miałyby oznaczać te słowa wyroczni, ale doznał olśnienia obserwując chłopca krwawiącego na Polu Mieczy. Brant, stare imię pochodzące jeszcze z czasów, kiedy na te ziemie przywędrowały ze wschodu pierwsze plemiona. Dobre imię z dumnym dziedzictwem.

We wczesnym języku Unberogenów imię Brant oznaczało miecz.

A bezkrólewie w Reikdorfie? Jak mogło dojść do takiej sytuacji, jeżeli Unberogenowie byli teraz u szczytu potęgi? Wydawało się to niemożliwe, a jednak ziściło się w chwili, gdy król Björn ogłosił przygotowania do wymarszu wojsk.

Jeźdźcy rozjechali się po całej krainie, wzywając każdego, kto zobowiązał się do udzielenia zbrojnej pomocy unberogeńskiemu królowi, aby wypełnił przyrzeczenie i stawił się w Reikdorfie w ciągu dziesięciu dni. Każdy

mężczyzna miał przynieść ze sobą miecz, tarczę i zbroję. Miał być też gotów na wyprawę na północ trwającą w zamierzeniu kilka miesięcy.

Pod nieobecność ojca rządziłby Sigmar...

Co pozostawiało Reikdorf bez króla.

Mroczne myśli o krwi i rozkoszach zemsty za Trinovantesa ścierały się w umyśle Gerreona z uczuciem przyjaźni zrodzonym w ciągu ostatnich sześciu lat. Odwrócił spojrzenie od wód Reiku i zerknął w stronę szarego zarysu Wzgórza Wojowników, gdzie spoczywał jego brat bliźniak.

- Co chciałbyś, żebym uczynił? - wyszeptał, wierzchem dłoni ocierając spływające po policzkach łzy.

* * *

W ciągu dziesięciu dni, które upłynęły od przybycia uchodźców, Reikdorf stał się miejscem, do którego tłumnie zjeżdżali wojownicy ze wszystkich ziem znajdujących się pod władaniem Unberogenów. Zbrojni przybywali z osad nad brzegiem rzeki i z żyznych dolin Reiku, ściągnięci przez królewski rozkaz i przez poczucie obowiązku i honoru, które było silniejsze nawet od krasnoludzkiego żelaza.

Na terenach rozciągających się na wschód od miasta powstał tymczasowy obóz, składający się z długich rzędów namiotów, w których nocowały setki napływających codziennie z najdalszych krańców królestwa wojowników. Mężczyźni o ponurych twarzach uzbrojeni w ciężkie topory, miecze i lance przekraczali most Sudenreik w towarzystwie łuczników w lekkich, skórzanych zbrojach, dzierżących piękne, cisowe łuki i kołczany pełne strzał tak ostrych, jak promienie południowego słońca.

Wolfgart nadzorował wybudowanie prowizorycznych ogrodzeń na północ od miasta, gdzie jeźdźcy mogli trzymać swoje wierzchowce, podczas gdy Sigmar przyporządkowywał każdego wojownika do konkretnego oddziału. Mężczyzn z dnia na dzień przybywało i wkrótce obowiązek prowadzenia rejestru zbrojnych spadł na Pendraga.

Kupcy unberogeńscy od dawna posługiwali się systemem znaków do prowadzenia handlowych rejestrów. Pendrag przejął część z nich, a dodatkowo, przy pomocy Eofortha, przystosował do własnych potrzeb kilka pomysłów z krasnoludzkiego języka runicznego. Wkrótce potem miał narzędzie do zapisywania podstawowych instrukcji. Sigmar uznał wynalazek za niezwykle ciekawy i pożyteczny, rozkazał więc Pendragowi, aby w przyszłości rozwinął system znaków, żeby można go było nauczać w

szkołach.

Gdy nadszedł czas wymarszu wojsk, z rejestru wynikało, że pod sztandarem króla Unberogenów zgromadziło się ni mniej ni więcej jak trzy tysiące zbrojnych, starannie przeliczonych przez Pendraga i jego pomocników.

W międzyczasie Sigmar, Wolfgart i Pendrag dokonywali cudów, aby zgromadzoną armię przygotować do wymarszu i zapewnić jej wystarczającą ilość zapasów na nadchodzące miesiące. W krótkim czasie zgromadzono wystarczającą liczbę kupców i wozów, którzy mieli towarzyszyć wojownikom i zapewniać im wystarczającą ilość pożywienia.

Król Björn nie brał udziału w przygotowaniach praktycznej strony wymarszu, zamiast tego skupiając się na spędzaniu czasu z ludźmi, z którymi miał spędzić najbliższe miesiące, starając się jak najlepiej ich poznać. Każdego dnia Björn przechadzał się niestrudzenie po rosnącym obozie i zamieniał po parę słów z tyloma osobami, z iloma to tylko było możliwe. Sigmar czasami mu towarzyszył, podziwiając łatwość, z jaką ojciec bratał się z wojownikami. Cały czas przy tym ukrywał rozczarowanie, jakim nappełniła go decyzja ojca o tym, że nie wyruszy wraz z nim na wojnę.

Zaraz po tym, jak usłyszał z ust króla tę decyzję, ruszył z długiego domu wprost do domostwa Ravenny. Ogarnęła go wściekłość, że pozbawiono go szansy stawienia czoła tak potężnemu wrogowi.

Ravenna nie musiała uciekać się do kobiecej intuicji, żeby wyczuć, że Sigmar jest w ponurym nastroju, dlatego też natychmiast usiadła przy stole i naląła im dwa duże kufle reiklandzkiego piwa. Sigmar miotał się po izbie niczym wilk w klatce, a ona cierpliwie czekała, aż się uspokoi i usiądzie.

Kiedy wreszcie to uczynił, sięgnęła po kufel i wręczyła mu go ze słowami:

- Porozmawiaj ze mną - powiedziała. - Co się stało?

- Ojciec mnie obraził - zagrzmiał Sigmar. - Armia ma wyruszyć na północ, aby walczyć z Norsami. Królowie Cherusenów i Taleutenów błagają o naszą pomoc, a ojciec zdecydował się jej udzielić.

- I w jaki sposób to ciebie obraża?

- Nie ma dla mnie miejsca w tej wyprawie - odpowiedział Sigmar, biorąc duży łyk piwa. - Zostawiają mnie tutaj niczym jakiegoś zapomnianego posługacza, podczas gdy inni będą zdobywać bitewną sławę.

Ravenna potrząsnęła głową.

- Masz tak wielką wizję, Sigmarze, a jednak wciąż potrafisz być kompletnym ślepcem.

Spojrzał na nią, a na jego twarzy malowała się złość zmieszana z zaskoczeniem.

- Twój ojciec właśnie oddał ci cześć, Sigmarze - powiedziała Ravenna. - Powierzył ci pieczę nad bezpieczeństwem tego, co mu najdroższe, podczas gdy sam musi się udać w dalekie strony. Wszystko, na co przez całe życie pracował i o co walczył, teraz spoczywa w twoich rękach. To wielki zaszczyt.

Sigmar zaczerpnął powietrza w płuca, po czym wziął jeszcze jeden łyk piwa.

- Chyba masz rację - odezwał się po chwili.

- Nie ma tutaj żadnego chyba - zaperzyła się Ravenna.

- Ale walka z Norsami! - zaprotestował nagle Sigmar. - Cóż to za honor stoczyć z nimi walkę. To...

- Głupcze! - przerwała mu gniewnie Ravenna, z hukiem odstawiając kufel na stół. - Czyś ty niczego się nie nauczył? Walka to nie chwała, to tylko ból i śmierć. Mówisz o chwale, ale gdzie jest chwała dla tych, którzy nie wracają do domów?

Gdzie jest sława dla tych, którzy pozostają na polu bitwy jako pożywienie dla kruków i wilków? Powiedziałam ci kiedyś, że nienawidzę wojny, ale jeszcze bardziej nie znoszę tego, że wy, mężczyźni, napędzacie cały ten mechanizm gadaniną o honorze i szlachetnym celu. Wojen nie toczy się dla chwały, wolności czy innych głupich ideałów. Królowie chcą być po prostu coraz bogatsi, posiadać więcej ziem, a wojna jest najłatwiejszym i najszybszym sposobem, aby to osiągnąć. Dlatego też nie waź się przychodzić do mego domu i mówić o chwale, Sigmarze. To przez tę chwałę zginął mój brat.

Sigmar zauważył, że gniewne zdania spowodowane były wielkim cierpieniem dziewczyny, dlatego też ostrożnie ważył następne słowa:

- Masz rację, ale są bitwy, które warto stoczyć - powiedział. - Wojna z Norsami jest właśnie taką walką, ponieważ jej celem nie jest zdobycie sławy czy bogactw, ale przetrwanie.

- Dlatego cieszę się, że nie wyruszasz wraz z ojcem.

- Cieszysz się? Dlaczego?

Ravenna ściszyła głos i łagodniejszym już tonem powiedziała:

- Czy naprawdę wierzysz, że niebezpieczeństwa, z którymi mamy do czynienia na co dzień, staną się mniej dokuczliwe, gdy nasi wojownicy wyruszą na północ, by walczyć z Norsami?

Bestie, rabusie i zielonoskórzy pozostaną tam, gdzie byli, a z pewnością przywódcy innych plemion spróbują wykorzystać nieobecność króla w stolicy. Co jeśli Teutogenowie, Asobornowie albo Brigundianie spróbują najechać nasz kraj wiedząc, że nie ma nim władcy? Wojownicy, którzy wymaszerują wraz z twym ojcem, będą walczyć o nasze przetrwanie i dziękuję bogom, że pozostaniesz w Reikdorfie, aby czynić to samo. Zapewniam cię, że nie będziesz narzekał na brak bitew, podczas gdy twój ojciec będzie toczył swoje na północy.

Rozdział 9

Ci, którzy zostali

Strawiona przez ogień osada Ubersreik przedstawiała sobą zaiste przerażający widok. Jeszcze niedawno zamieszkiwały ją setki ludzi, teraz wszyscy co do jednego byli martwi. Między zgliszczami przemykały szare sylwetki wilków, a na ocalałych z pożaru dachach przesiadywały stada kruków. Sigmar na szarym rumaku wjechał właśnie do wioski i rozpościerający się przed nim widok spowodował, że królewski syn momentalnie poczuł ogarniający go bezbrzeżny smutek.

Duszący zapach dymu i parujących zgliszczy mieszał się z odorem rozkładu. Sigmar poczuł, jak w ustach zbiera mu się flegma o nieprzyjemnym smaku i po chwili splunął soczyście na stratowaną ziemię. U jego boków jechali Wolfgart i Pendrag, a za nimi jeszcze trzydziestu wojowników - jedna czwarta sił pozostawionych w Reikdorfie po tym, jak miesiąc wcześniej królewska armia wymaszerowała na północ.

Wszędzie, gdzie spojrzął, Sigmar widział śmierć.

Całe rodziny zostały bestialsko pomordowane we własnych domach, ludzie zadźgani na śmierć, a potem wywleczeni na zewnątrz i poćwiartowani. Gnijące ciała zwierząt ze zmiążdżonymi czaszkami leżały na kilku stertach. Pośrodku głównej drogi prowadzącej przez wioskę leżało pół krowy.

- Kto to zrobił? - zapytał Wolfgart, nie próbując nawet ukryć złości i gniewu brzmiących w głosie. - Zielonoskórzy?

Sigmar potrząsnął głową:

- Nie.

- A co sprawia, że jesteś tego taki pewien? - zapytał Pendrag.

Jego głos był bardziej opanowany, ale Sigmar czuł wściekłość buzującą w duszy przyjaciela pod przykrywką doskonałej samokontroli. - To mi wygląda na robotę orków.

- Ale nią nie jest - powiedział Sigmar. - Gdy orki zapuszczają się tak

daleko w głąb ludzkich ziem, nie pozostawiają ciał ofiar za sobą, tylko się nimi żywią. Poza tym nie ma tu ani orczych śladów, ani ich bohomasów. Mamy do czynienia z barbarzyńskim okrucieństwem, ale gdyby dokonało tego stado orków, wyglądałoby to jeszcze gorzej.

Twarz Pendraga zastygła w obrzydzeniu i mężczyzna odwrócił wzrok od zmaltretowanych i zwęglonych zwłok ułożonych na stertę obok wypalonego do zgliszczy domostwa.

- Więc któż to mógł być? - Wolfgart zadał wiszące w powietrzu pytanie. - Myślisz, że byli to ludzie? Jaki człowiek mógłby z takim okrucieństwem znęcać się nad kobietami i dziećmi?

- Berserker? - zasugerował Pendrag. - Mówi się, że Turyngianie mają w swoich szeregach wojowników pijących wodę ognistą, która wprowadza ich w szal bojowy podczas bitew.

- Nie wierzę, żeby król Otwin mógł przyzwolić na taką rzeź - zaproponował Sigmar. - Ma reputację bezwzględnego człowieka, ale nie do tego stopnia, żeby chciał, aby jego wojowników łączono z takim... barbarzyństwem.

- Czasy się zmieniają - odezwał się Pendrag. - Czy Otwin wciąż rządzi Turyngianami?

- O tyle, o ile mi wiadomo, to tak - odpowiedział Sigmar. - Nie doszły mnie żadne słuchy o tym, żeby ktoś miał przejąć tron.

- Może w takim razie jakiś nowy przywódca zbójców próbuje uczynić z tego, co się tu stało, swój znak rozpoznawczy - podzielił się przemyśleniami Pendrag.

- Myślę, że jak na taką wersję wydarzeń, zbyt wiele się nie zgadza - zaprotestował Wolfgart. - Zbójcy zabraliby stąd wszystko, co cenne, ale nie podkładaliby ognia. Poza tym, nie zabijasz tych, których obrabiasz, bo na kogo wtedy napadniesz za rok?

Sigmar wstrzymał konia pośrodku zrujnowanej wioski, po czym obrócił się w siodle, starając się objąć wzrokiem jak największy obszar rzezi i zniszczenia rozciągający się dokoła.

Ogarnęła go rozpacz, gdy wyobraził sobie ostatnie chwile umierających ludzi, krzyki, jakie wydawali, gdy dosięgały ich wzniecone przez wroga płomienie.

- Dlaczego nie walczyli z wrogiem? - zapytał nagle stojący u jego boku Wolfgart.

- Co masz na myśli? - otrząsnął się z ponurych rozmyślań Sigmar.

- Wśród gruzów i zgliszczy nie widać ani jednego miecza.

Nikt nawet nie próbował stawiać oporu.

- To byli tylko chłopci - przypomniał Pendrag.

- Chłop to też mężczyzna - zaperzył się Wolfgart. - Mogli przecież walczyć w obronie swoich rodzin. Zauważyłem tu kilka toporów i kos, ale nie wygląda na to, żeby ktokolwiek użył ich do obrony przed wrogiem. Jeżeli do twojego domu wdziera się morderca, to zanim zginiesz, próbujesz sam zabić bydłaka. A przynajmniej stawiasz mu czoła, broniąc się tym, co ci wpadnie w ręce - nożem toporem, czy choćby gołymi rękami.

- Nie zapominaj, że jesteś wojownikiem, bracie - zauważył Sigmar. - Masz walkę we krwi, podczas gdy ci tutaj byli tylko rolnikami, z pewnością wykończonymi po całym dniu pracy w polu. Najeźdźcy przybyli nocą i nie dali naszym ludziom nawet cienia szansy na przeżycie.

Wolfgart potrząsnął głową.

- Mężczyzna, nieważne wojownik czy rolnik, powinien być zawsze gotów do walki.

- Liczyli, że to my ich obronimy - powiedział Sigmar. - A my ich zawiedliśmy.

- Nie możemy być wszędzie, przyjacielu - odezwał się Pendrag, zdejmując hełm. - Nasze ziemie są zbyt rozległe, żeby patrolować wszystkie z tą garstką wojowników, jaka nam pozostała.

- Masz rację - zgodził się Sigmar. - Byliśmy zbyt pewni siebie sądząc, że jesteśmy w stanie bronić naszych ziem w tak okrojonej liczbie. Wolfgart zwrócił uwagę na bardzo ważną sprawę - każdy mężczyzna powinien być zdolny do walki. Zapewniliśmy każdemu wojownikowi miecz, a powinniśmy wykuć po jednym dla każdego mężczyzny, nawet jeżeli jest rolnikiem.

- Miecz pod ręką to jedna sprawa - wtrącił się Wolfgart. - Ale umiejętność posługiwania się nim... to już zupełnie coś innego.

- I znowu muszę przyznać ci rację - przytaknął Sigmar. - Musimy zacząć trenować wszystkich mieszkańców, żeby wiedzieli, jak używać miecza. W każdej wiosce musi się znaleźć grupa wojowników do obrony przed podobnymi atakami.

- Nawet jeżeli takie przedsięwzięcie uda się zrealizować - zauważył trzeźwo Pendrag. - Zajmie ono bardzo dużo czasu.

- Musimy spróbować - zachnął się Sigmar. - Jak mamy zbudować potężne imperium, jeżeli nie jesteśmy w stanie obronić ziem, które teraz są pod naszą

opieką? Jeszcze przed powrotem mojego ojca musimy pomyśleć nad systemem trenowania wojowników w każdej wiosce i wyposażania ich w broń. Zgadzam się z tobą, że nasz kraj jest za duży, żeby mogła go bronić jedna armia. Dlatego też od tej pory każda z wiosek będzie musiała mieć własnych żołnierzy.

Dyskusję przerwało pojawienie się Cuthwina i Sveina, którzy wynurzyli się z lasu rozciągającego się na północ od wioski i ruszyli w stronę trzech jeźdźców.

Z wyrazu twarzy Sveina można było się domyśleć, że potwierdziły się jego wcześniejsze przypuszczenia. Zwiadowcy zbliżyli się, a Sigmar zsunął się z końskiego grzbietu obok Sveina, który zmarszczywszy czoło przykucnął i zaczął rysować coś palcem po piasku.

- Mniej więcej pięćdziesięciu zbrojnych, panie - powiedział Svein. - Nadeszli z zachodu, gdy dzień zbliżał się ku końcowi. Przeszli przez wioskę, paląc wszystko, co stało na ich drodze. Druga grupa weszła do osady od wschodu, wyłapując uciekających mieszkańców. Większość osadników zginęła na otwartej przestrzeni, ale resztę zamknięto z powrotem w domach i podpalono.

- Dokąd odjechali jeźdźcy po dokonaniu rzezi? - zapytał Sigmar.

- Na zachód - odpowiedział Cuthwin. - Wzdłuż brzegu lasu w stronę wybrzeża.

- Ale w pewnym momencie zmienili kierunek, prawda?

- Tak, panie - przytaknął Cuthwin. - Po jakichś trzech milach skręcili na północ w stronę rzeki.

- Dobra robota - pochwalił zwiadowców Sigmar, powstając i strzepując kurz z wełnianych spodni.

Pendrag spojrział na niego i zapytał:

- Ty wiesz, kto to zrobił, nieprawdaż?

- Mam pewne przypuszczenia - przyznał Sigmar.

- Kto? - ryknął Wolfgart. - Powiedz nam, a ruszymy na nich bez wahania!

- Myślę, że byli to Teutogenowie - odpowiedział królewski syn.

- Teutogenowie? Dlaczego? - zdziwił się Wolfgart.

- Artur wie, że król ruszył na północ i chce wykorzystać jego nieobecność, aby wy badać naszą siłę - domyślił się Pendrag. - Wygląda na to, że to jedyny logiczny wniosek.

- W takim razie teraz my spalimy jedną z jego wiosek - Wolfgart

wykrzywił twarz w przeraźliwym grymasie. - I pokażemy mu, co to znaczy zadzierać z Unberogenami!

Sigmar obrócił się w stronę przyjaciela, a oczy pałały mu gniewem. Dłonią wskazał na spalone i okaleczone ciała.

- Czy byłbyś w stanie zrobić coś takiego w teutogeńskiej wiosce? Potrafiłbyś zabijać kobiety i dzieci w imię zemsty?

- A ty będziesz potrafił pozostawić taki akt barbarzyństwa bez odpowiedzi? - zaripostował Wolfgart.

- Artur zapłaci za swój haniebny postępek - złożył obietnicę Sigmar. - Ale jeszcze nie teraz. Nie mamy tak licznej armii, żeby się zemścić. Nie chcemy też dać mu powodu, aby zaatakował nas całą swoją armią. Dopóki unberogeńskie wojska walczą na północy, będziemy musieli się powstrzymać.

- A kiedy twój ojciec powróci? - dopytywał się Wolfgart.

- Wtedy nadejdzie czas zemsty - rzekł Sigmar.

Król Björn szczelniej owinął płaszczem z białej, wilczej skóry zdrętwiałe od zimna i dokuczliwego wiatru ciało. Niestety marzył niezależnie od tego, jak ciasno był otulony ciepłym futrem. Klimat i krajobraz dalekiej północy różnił się od łagodnych wiosen i krótkich zim w jego kraju, tak bardzo jak noc od dnia.

Tutaj ludzie musieli mieszkać pośród ciemnych, strzelistych sosen, skutych lodem dolin i smaganych przez wiatry trzęsawisk. Tylko najsilniejsi byli w stanie przetrwać. Północny lud wytrzymywał wilgotne lato i zimę tak srogą, że czasem całe wioski w ciągu jednej nocy znikwały z powierzchni ziemi, zasypane przez śnieżne burze.

Jedyną zaletą surowego klimatu było to, że rodzili się w nim ludzie wytrzymali i odporni. Mieszkańcy północy imponowali Björnowi odwagą i nieustępliwością w obliczu najazdu Norsów.

Król Unberogenów kroczył przez obóz sprzymierzonych armii, uśmiechając się i chwając odwagę każdej grupy wojowników, którą mijał. Cheruseńskie dzikusy tańczyły dookoła płonących niebieskim ogniem palenisk, odziane tylko w malunki na ciałach i żelazne przepaski biodrowe. Z kolei taleuteńscy wojownicy popijali mocne trunki wyprodukowane z destylowanego ziarna, przechwalając się przy tym liczbą pokonanych

wrogów.

Na wojnę wyruszyło prawie siedem tysięcy wojowników. Już niemal tysiąc z nich pozostało na polach licznych bitew jako żer dla kruków. Kolejne setki rannych krzyczało w agonii, gdy chirurdzy usiłowali ocalić im życie. Dolinę wypełniały namioty, ale większość wojowników spała ciasno owinięta futrami przy paleniskach napełniających mrok blaskiem niczym gwiazdy, które spadły na ziemię.

Alfgeir szedł u boku króla, odziany od stóp do głów w brązową zbroję i hełm w kształcie szczyrzącego się wilka, w tym momencie pozostawiony z podniesioną przyłbicą. Czempion Björna nosił identyczny jak król płaszcz ze skóry białego wilka, dar od króla Aloysisa, który otrzymał, kiedy unberogeńska armia przekroczyła Talabek i wjechała na tereny zajmowane przez Cherusenów.

Za dwoma mężczyznami podążało dziesięciu wojowników uzbrojonych w ciężkie młoty bojowe, z napierśnikami pomalowanymi na czerwono i brodami splecionymi ciasno w warkocze na taleuteńską modłę. Byli to wojownicy tak pewni swych bojowych umiejętności, że odmawiali noszenia hełmów i tarcz. Björn zdawał sobie sprawę, że nie są to czcze przechwałki.

Żołnierze ci już przynajmniej trzykrotnie uratowali mu życie w walce, miażdżąc czaszki atakujących Norsów lub powalając potężnymi młotami bojowymi szarżujące na króla bestie. Każdy z członków świty Björna również nosił płaszcz z białej, wilczej skóry i mówiono o nich, że zostali pobłogosławieni mocą samego Ulryka.

Siły północnych plemion zapuściły się daleko w głąb kontynentu i stolica króla Udosesów, Wolfili, położona na wybrzeżu wciąż była obleżona. Wciąż trzeba było rozlać wiele krwi, aby zepchnąć Norsów z powrotem w stronę morza. Jak na razie stale się cofali, ale dotychczasowe starcia były raczej potyczkami, przygrywką przed wielką bitwą, która została stoczona u skalistego podnóża wschodniego łańcucha Gór Środkowych.

Armia Norsów była dzika i zażarcie walczyła, ale brakowało jej dyscypliny prezentowanej przez południowe plemiona.

Trzej królowie połączyli swe armie w jedność, a podczas bitwy dawali żołnierzom najlepszy przykład, walcząc wszędzie tam, gdzie niebezpieczeństwo było największe i nawołując wojowników do niewyobrażalnie odważnych czynów.

Siedem tysięcy wojowników pod wodzą królów południa wypowiedziało

bitwę sześciu tysiącom bezwzględnych zabójców z północy i odzianym w czarne zbroje najeźdźcom zza morza. Hordy berserkerów o ciałach pokrytych skorupą mazideł i krwi, z najeżonymi włosami i wirującymi łańcuchami w dłoniach dały sygnał do rozpoczęcia bitwy, wypadając spośród szeregów wroga i wykrzykując w niebo przerażające modlitwy do mrocznych bóstw.

Większość z nich natychmiast padła od deszczu strzał, ale postępujące za nimi zdziczałe psy ze zmierzwioną i zakrwawioną sierścią oraz wyjące wniebogłosy bestie nie dały się tak łatwo pokonać. Siały spustoszenie wśród armii sprzymierzonych królów, pożółkłymi szponami rozdzierając gardła, a jednym zamachem macek o ostrych krawędziach rozcinając tuzin ludzi.

Björn przypomniał sobie straszliwą chwilę, kiedy to szarżujący oddział mrocznych jeźdźców na parsających wierzchowcach o barwie i blasku czarnego atłasu uformował się w klin i wbił w lukę między wojownikami spowodowaną przez atak wściekłych psów. Dziesiątki ludzi zginęło przebitych czarnymi lancami i stratowanych pod kopytami szarżujących rumaków, ale cheruseńskie dzikusy nie zważając na niebezpieczeństwo rzuciły się na jeźdźców i ściągnęły ich z sodeł, po czym unberogenścy wojownicy z ponurą sumiennością pilnowali, aby żaden z nich nie umknął przed ostatecznym ciosem topora.

Na polu bitwy wrzało, z szeregów wroga co chwila występowało naprzód nowe monstrum. Na szczęście, ludzie południa nie tracili odwagi nawet w obliczu najstraszliwszych koszmarów. Pod koniec dnia ataki ze strony Norsów stawały się coraz rzadsze i Björn wyczuł, że w oddziałach wroga osłabło morale.

Sprzymierzone armie wystąpiły naprzód niczym straszliwy potwór najeżony tysiącami mieczy i toporów. Taleuteńscy jeźdźcy podjeżdżali do szeregów wroga i dziesiątkowali je śmiertelnie celnymi seriami strzał z łuków. Unberogenowie zaczęli spychać wrogów w tył, a linia obrony nieprzyjaciela wygięła się na kształt napinanej cięciwy łuku. Nieprzyjaciele padali tuzinami. Zdając sobie sprawę, że nadszedł moment na ujawnienie swej obecności Björn rozkazał rozpostrzeć sztandar i zaszarżował w stronę wrogów z toporem wzniesionym nad głową, doskonale widoczny dla wszystkich wojowników.

Królowie Taleutenów i Cherusenów również widzieli szarżę Björna i po chwili powietrze wypełniło się odgłosami dęcia w róg i uderzeń w bębny, podczas gdy dwaj pozostali królowie południa ruszyli do walki. Setki

jeźdźców uderzyło w armię ludzi północy, dziesiątkując ich i rozrzucając wokół niczym plewy.

Radość wypełniła zgromadzonych w dolinie sprzymierzeńców i wydawało się, że los Norsów był już przypieczętowany, a wojownicy nieprzyjaciela zgubieni. Wtedy to pojawił się nieprzyjacielski dowódca w czerwonej zbroi i rogatym hełmie, który przejechał wzdłuż linii frontu niosąc ze sobą krwistoczerwony sztandar. Siedział na grzbiecie mrocznego wierzchowca o płonących ślepiach i swoim pojawieniem się przywrócił porządek w szeregach wroga. Zaraz potem nieprzyjacielskie oddziały zaczęły w zdyscyplinowany sposób opuszczać dolinę.

Armia sprzymierzonych nie miała na tyle siły, aby ruszyć w pogoń i potem Björn z ciężkim sercem wysłuchiwał wieści od zwiadowców, którzy informowali, że ludzie północy przegrupowali się za linią horyzontu, po czym wycofywali się w doskonałym porządku w stronę gęsto zalesionej grani.

Tej nocy armia trzech królów starała się dobrze wypocząć i najeść do syta, ponieważ wszyscy wiedzieli, że to nie koniec walczenia i umierania.

W ciągu następnych dni południowcy nękali wroga, próbując sprowokować go do ataku i wyjścia z bezpiecznej kryjówki w lesie. Jednakowoż Norsowie tak bali się swego przerażającego przywódcy, że pozostawali w ukryciu i nawet dzicy Taleutenowie kpiący z nich w żywe oczy nie potrafili rozwścieczyć ich na tyle, aby opuścili schronienie.

Kwestia dalszego prowadzenia kampanii przeciw ludziom północy zaprzętała umysły przywódców sprzymierzonych armii. Björn udawał się właśnie na naradę wojenną, której celem był znalezienie odpowiedzi na to pytanie.

- Krugar będzie chciał zaatakować o świcie, tak samo jak Aloysis - odezwał się Alfgeir, gdy zbliżali się do namiotu królów, otoczonego przez uzbrojonych strażników i płonące pochodnie.

- Wiem - odpowiedział Björn. - Jakaś część mnie również tego pragnie.

- Atakowanie w górę zbocza będzie bardzo kosztownym posunięciem - powiedział Alfgeir stając przed namiotem króla Aloysisa. - Wielu ludzi tego nie przeżyje.

- Wiem o tym doskonale, Alfgeirze. Ale jaki mamy wybór? - zapytał król.

Sigmar doszedł ostatnio do wniosku, że czas nie jest czymś stałym i pewnym niczym żelazo, ale raczej tak zmiennym jak płynne złoto. Tygodnie, które upływały od wyjazdu ojca, ciągnęły się niemiłosiernie, podczas gdy godziny spędzanie ukradkiem z Ravenną pomiędzy kolejnymi wyprawami mijały niczym ulotne chwile.

Ledwie zawitał z powrotem w Reikdorfie i wpadł w jej stęsknione ramiona, gdy znów musiał wdziewać zbroję i sięgać po tarczę, gotów do stoczenia następnej bitwy. Najazdy na najdalej położone osady powtarzały się, ale żaden z nich nie był tak bestialski jak atak na Ubersreik.

Sigmar rozkazał wysłać do każdej z unberogeńskich wiosek wozy pełne włóczni i mieczy, a także wojowników, których zadaniem miało być trenowanie chłopów. Uszczuplono też zapasy z królewskich spichrzy, aby wyżywić kobiety i dzieci, podczas gdy mężczyźni starali się opanować trudną sztukę bycia jednocześnie rolnikami i wojownikami.

Eoforth wpadł na pomysł systemu rotacyjnego, dzięki któremu sąsiedzi trenującego chłopą zajmowali się każdy jedną częścią jego pola, podczas gdy on nabywał umiejętności służących wzmocnieniu obronności wioski. W ten sposób rolnicy ćwiczyli się w sztuce walki, nie martwiąc się o to, że ich ziemia leży odłogiem lub plony marnieją przez to, że nikt ich nie zbiera.

Zadbawszy o bezpieczeństwo Unberogenów, Sigmar zwrócił się myślami ku krainom leżącym poza granicami ojcowskiej dziedziny. W miarę upływu letnich miesięcy coraz częściej słyszało się o orkach zapuszczających się głęboko w góry. Od króla Kurgana Żelaznobrodego dobiegały wieści o wielkich bitwach toczonych u podnóży krasnoludzkich twierdz. Sigmar pragnął wysłać na pomoc obleganym krasnoludom część swych oddziałów, ale w obecnej sytuacji nie mógł sobie pozwolić na oddelegowanie choćby jednego żołnierza.

Przechadzał się po królewskim długim domu nerwowym krokiem, straszliwie zmęczony, ale próbując pozostać przytomnym w oczekiwaniu na wieści o postępach w wojnie toczonej przez ojca na północy. Wziął duży łyk wina, czując jak mocny alkohol pomaga trochę osłabić pulsujący ból głowy.

- To ci nie pomoże - odezwała się Ravenna, obserwując go od strony drzwi do długiego domu. - Potrzebujesz odpoczynku, a nie wina.

- Potrzebuję snu - odpowiedział Sigmar. - A wino pomaga mi zasnąć.

- To nieprawda - powiedziała Ravenna, podchodząc bliżej i wyjmując mu kufel z rąk. - Sen wywołany przez wino nie daje prawdziwego odpoczynku.

Może i zaśniesz, ale nad ranem obudzisz się jeszcze bardziej zmęczony.

- Być może - zgodził się Sigmar, nachylając się, aby złożyć pocałunek na jej czole. - Ale jeżeli się nie napiję, przede mną bezsenna noc wypełniona męczącymi myślami wirującymi w głowie.

- Chodź zatem do mojego łóża - zaproponowała Ravenna. - Pomogę ci zasnąć, a rano wstaniesz jak nowo narodzony.

- Naprawdę? - zapytał Sigmar, biorąc ją za rękę i prowadząc w stronę drzwi. - A jak masz zamiar dokonać tego cudu?

- Zobaczysz - odpowiedziała uśmiechając się Ravenna.

Sigmar wyciągnął swe lekko lśniące od potu ciało na łóżu Ravenny, podczas gdy ona objęła go ramieniem i przerzuciła jedną nogę przez jego udo. Kruczoczarne włosy dziewczyny rozsypały się na futrzanych okryciach, a Sigmar czuł zapach różanego olejku, który wmasowała w skórę.

Ogień już dogasał w palenisku, ale w pokoju nadal było ciepło, a powietrze przyjemnie wypełniał słodki zapach miłosnych igraszek.

Sigmar uśmiechnął się czując, jak ogarnia go rozkoszna senność. Łyk wina i towarzystwo Ravenny sprawiły, że nękające go problemy zbladły i zdawały się bardzo odległe.

Ravenna przesunęła dłonią po jego piersi, a on głaskał jej czarne jak smoła włosy i dzięki temu jednostajnemu ruchowi uspokajał się, pozwalając wspomnieniom kilku ostatnich dni przepłynąć przez umysł bez wywoływania uczucia niepokoju czy irytacji. Z niecierpliwością nasłuchiwał wieści o ojcu i pozostałych Unberogenach walczących na północy, ale powtarzał sobie, jak zwykł mawiać Eoforth, że cierpliwość jest cnotą królów.

- O czym myślisz? - zapytała Ravenna rozmarzonym głosem.

- O walkach na północy - odpowiedział, po czym wzdrygnął się, gdy dziewczyna wyrwała mu włos z przedramienia.

- Za co to było? - zapytał.

- Kiedy kobieta pyta, o czym myślisz, nie chce usłyszeć, o czym tak naprawdę myślisz.

- Nie? A więc co chce usłyszeć?

- Chce, żebyś powiedział, że myślisz tylko o niej, o tym, jaka jest piękna i jak bardzo ją kochasz.

- Ach, więc czemu od razu tego nie powiesz?

- To nie to samo, kiedy musisz się prosić - wytknęła mu Ravenna.
- Ale przecież ty jesteś piękna - powiedział skonfundowany Sigmar. - Nie ma dziewczyny ładniejszej od ciebie między Górami Krańca Świata a zachodnim oceanem. I kocham cię, przecież wiesz.
- A więc powiedz mi to.
- Kocham cię - powiedział Sigmar. - Z całego serca.
- To dobrze - uśmiechnęła się Ravenna. - Od razu lepiej się czuję, a kiedy ja czuję się dobrze... ty czujesz się dobrze.
- W takim razie, czy to nie jest samolubne z mojej strony mówić ci to, co myślę, że chcesz usłyszeć? - zapytał Sigmar. - Czy w ten sposób nie poprawiam sobie tylko samopoczucia?
- Czy to ważne? - zapytała sennie Ravenna, mrużąc klejące się od zmęczenia oczy.
- Nie - odpowiedział Sigmar uśmiechając się. - Myślę, że nie. Wszystko, czego chcę, to żebyś była szczęśliwa.
- Zatem opowiedz mi o przyszłości.
- O przyszłości? Nie jestem jasnowidzem, ukochana.
- Nie, mam na myśli twoje marzenia o przyszłości - wyszeptała Ravenna.
- Ale nie chodzi mi o wielkie plany dotyczące imperium, chce posłuchać o nas.
- Sigmar mocniej przytulił dziewczynę i zamknął oczy.
- Dobrze - powiedział. - Pewnego dnia zostanę królem Unberogenów, a ty będziesz moją królową, najbardziej uwielbianą kobietą w całym kraju.
- Czy w tej świetlanej przeszłości jest miejsce dla jakichś dzieci? - wymruczała Ravenna.
- Oczywiście - odpowiedział. - Król zawsze potrzebuje następcy. Będziemy mieć silnych i odważnych synów, a także piękne i dobre córki.
- Ile będziemy mieć dzieci?
- Tyle, ile będziesz chciała - obiecał. - Potomkowie Sigmara będą wymieniani wśród najodważniejszych, najdumniejszych i najbardziej urodziwych Unberogenów.
- A my? - zapytała jeszcze cicho Ravenna, zanim zapadła w sen. - Co się stanie z nami?
- Będziemy bardzo szczęśliwi i dożyjemy sędziwych lat w miłości i pokoju - odpowiedział Sigmar.

Po twarzy Gerreona ciekły łzy, gdy przedzierał się przez spowity ciemnością las Brackenwalsch, walcząc z narastającą w nim chęcią natychmiastowej ucieczki. Jego piękne buty z koźlęcej skóry były już zupełnie zniszczone, czarna błotnista woda wlała się do środka i zamoczyła mu stopy. Brudna woda pryskała dokoła i plamiła jego wełniane spodnie, gdy przedzierał się przez ponurą gęstwinę.

Ziemię spowijała unosząca się nieco powyżej gruntu mgła, a mokradła skąpane były w widmowym świetle szmaragdowego Morrslieba. W mglistej ciemności co chwila migotały błyszczące płomyki, ale Gerreon nawet w tym stanie ducha wiedział, że nie można ufać przypominającym świece ognikom.

Mokradła w lesie Brackenwalsch pełne były ciał tych, których zwabiły błędne ognie i którzy udali się za nimi prosto w objęcia śmierci czającej się na trzęsawiskach rozciągających się wokół Reikdorfu.

Gerreon przypomniał sobie Sigmara zabawiającego się z Ravną w jego własnym domu. Natychmiast ogarnęła go fala wściekłości i mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Ta dwójka stanęła w drzwiach, gdy Gerreon ostrzył miecz. Mógł się tylko uśmiechać, ale jedyne, o czym wtedy marzył, to zatopić ostrze w sercu unberogeńskiego księcia.

Sigmar nawet położył dłoń na ramieniu Gerreona, a ten o mało się nie wzdrygnął i musiał pochylić głowę, bo bał się, że zdradzi go płonąca w oczach nienawiść.

Domyślił się lubieżnych planów Sigmara i Ravnny, widząc je jasno w ich każdym słowie i geście. Dlatego, gdy zaprosili go do wspólnego posiłku, wymówił się czymś i jak najprędzej wybiegł z domu, bojąc się, że światło świec obnaży jego prawdziwe uczucia.

Teraz z trudem przedzierał się płytkie trzęsawiska, brodząc po kolana w błocie wlewającym mu się do butów. Dłońmi bił w powierzchnię cuchnącej wody, wypatrując czegoś z twarzą mokrą od czarnych łez.

W falującej tafli jego twarz odbijała się wykrzywiona na kształt groteskowej maski. Na chwilę wstrzymał oddech, gdy ujrzał na powierzchni wody tuż nad swoim ramieniem obraz księżyca. Świetlisty dysk w niewyjaśniony sposób nie był ani trochę zniekształcony w niespokojnych nurtach sadzawki.

Gerreon uniósł dłonie pokryte cienką warstewką oleistego, czarnego płynu, który spływał mu po palcach. W ciemnościach ręce wyglądały jak umazane krwią i młodzieniec otrzepał je z obrzydzeniem.

- Nie... Proszę... - wyszeptał. - Ja nie chcę.

Podniósł wzrok i ujrzał, że blask księżyca oświetlił wysoką roślinę rosnącą na skraju sadzawki. Łodygi obsypane były małymi, białymi kwiatkami zebranymi w grona, od których bił nieprzyjemny zapach. Przerażony Gerreon rozpoznał wodną cykutę, jedną z najbardziej niebezpiecznych roślin na tych ziemiach.

Delikatny powiew wiatru poruszył łodygami i przez ułamek sekundy Gerreon miał wrażenie, że roślina przywołuje go do siebie. Przyjrząwszy się bliżej, zobaczył, jak jedna z łodyg zapada się i łamie, a z wydrążonego wnętrza kapie oleisty płyn.

Gerreon uniósł wzrok w stronę pociemniałego nieba, szukając sposobu ucieczki przed własnym losem.

Księżyc świecił zimnym, oślepiającym światłem, jakby wpatrywał się w Gerreona nieprzyjaźnie i bez zrozumienia.

Popularny przesąd głosił, że wpatrywanie się w powierzchnię księżyca przynosi pecha, niezależnie od tego, jak długo się to czyni. Powiadano, że w tym czasie Mroczne Bóstwa zaglądną człowiekowi w głąb serca i zasiewają w nim ziarno zła.

Gerreon wpatrując się w świetlistą twarz, miał wrażenie, że dostrzega w niej błyszczące oczy, sprytnie ukryte między załamaniem powierzchni. Były to oczy o spojrzeniu nieopisanie pięknym i tak samo okrutnym.

- Czym jesteś?! - rozległ się w ciemnościach krzyk Gerreona.

Martwe oczy niemo obiecywały mroczne cuda i doświadczenia przekraczające ludzką zdolność pojmowania. W ciągu jednej krótkiej chwili Gerreon jasno zrozumiał, że nic jego losu została utkana na długo przed jego narodzinami i że będzie się ciągnąć jeszcze wieki po tym, jak w końcu umrze.

Zaczął brodzić w wodzie, powoli zbliżając się w stronę śmiercionośnej cykuty.

- Dobrze więc - powiedział do siebie. - Skoro nie mogę uciec przed przeznaczeniem, poddam mu się.

Rozdział 10

Krwawy świt

Wraz z nadejściem poranka na skalistym, górskim grzbiecie zgromadziły się oddziały nieustraszonych ludzi północy. Pierwsze promienie słońca przedzierały się przez złociste chmury, odbijając się w brązowych zbrojach Norsów i sprawiając wrażenie, że potrójna grań stanęła w płomieniach. Każdy z nieprzyjaciół bił toporem o metalowe guzy na tarczy i wykrzykiwał wniebogłosy przeraźliwe bojowe okrzyki, domagając się śmierci i rozlewu krwi.

U podnóża grani znajdowali się Björn wraz z Alfgeirem oraz ich straż przyboczna, Białe Wilki, jak ich teraz nazywano. Wszyscy siedzieli już na koniach i byli w pełnej gotowości bojowej. Unberogeński sztandar z wizerunkiem wilka trzepotał na lodowatym wietrze wiejącym z północy. Gdy Björn rozejrzał się na prawo i lewo, ujrzał flagi sprzymierzonych królów również dumnie wzniesione wzdłuż pierwszego szeregu żołnierzy.

Serce unberogeńskiego króla rosło z dumy, gdyż zdawał sobie sprawę, że jego wojownicy są bez wątpienia najpotężniejszymi i najwspanialszymi ze wszystkich tutaj zgromadzonych. Oddziały uzbrojonych we włócznie mężczyzn oczekiwały rozkazu do rozpoczęcia bitwy, a plemienni bracia miecza odpowiadali na bojowe krzyki Norsów nie mniej przerażającymi rykami.

Żołnierze sprzymierzonych armii próbowali rozjuszyć wroga na różne sposoby. Cheruseńskie dzikusy obnażały się bezwstydnie przed Norsami, a taleuteńscy jeźdźcy z szaleńczą odwagą i w wyzywających pozach galopowali w niewielkiej odległości przed szeregami nieprzyjaciela.

Morale było wysokie, a zimny wiatr został przez kapłanów Ulryka odczytany jako dobry znak, błogosławieństwo od boga zimy i zapowiedź zwycięstwa.

Björn obrócił się w siodle w stronę Alfgeira. Brązowa zbroja czempiona

lśniła po wypolerowaniu niczym złoto. Przyłbice miał uniesioną i siedział nieruchomo na swym wierzchowcu, ale król dostrzegł rysujące się na jego twarzy napięcie, którego nigdy wcześniej nie widział przed rozpoczęciem bitwy.

- Czy coś cię trapi? - zapytał.

Alfgeir spojrział na króla i potrząsnął głową:

- Ależ skąd, jestem spokojny.

- Wydajesz się zdenerwowany.

- Zaraz stoczmy bitwę, podczas której moim zadaniem jest chronić króla zawsze rzucającego się w wir najbardziej zażartej walki, nie myślącego przy tym wcale o własnym bezpieczeństwie - odpowiedział Alfgeir. - Myślę, że mam prawo się trochę niepokoić.

- Martwisz się tylko o moje życie? - zapytał Björn.

- Tak, panie - odrzekł Alfgeir.

- Czy myśl o tym, że ty także możesz dzisiaj zginąć, nie zaprzęta ci głowy?

- A powinna, mój królu?

- Myślę, że większość zgromadzonych tutaj mężczyzn żywi przynajmniej niewielką obawę przed śmiercią.

Alfgeir wzruszył ramionami.

- Jeżeli Ulryk tak zadecyduje, tak się stanie, nic na to nie poradzę. Wszystko, co mogę zrobić, to dobrze walczyć i modlić się, aby uznał, że jestem godzien przybycia na jego dwór.

Björn uśmiechnął się, ponieważ była to najdłuższa wymiana zdań, jaką kiedykolwiek odbył ze swym czempionem.

- Jesteś niezwykłym człowiekiem, Alfgeirze. Dla ciebie życie jest proste, nieprawdaż?

- Tak sądzę - zgodził się Alfgeir. - Mam wobec ciebie obowiązek do spełnienia, a poza tym...

- Co poza tym? - zaciekawił się nagle Björn. Alfgeir twierdził, że nie obawia się śmierci, ale nadchodząca bitwa rozluźniła mu język w niespotykany dotychczas sposób. W tej samej chwili, gdy doszedł do tego wniosku, zdał sobie sprawę, że on również był dzisiaj bardziej rozmowny niż zwykle i może nagła wylewność Alfgeira była tylko konsekwencją jego własnego nastroju.

- A co po za tym... Nie wiem - odpowiedział Alfgeir. - Przecież odkąd

pamiętam byłem twoim czempionem i obrońcą.

- A kiedy umrę, staniesz u boku Sigmara w tej samej roli - dokończył Björn. Zaszło mu w ustach, kiedy zdał sobie sprawę, że potrzeba rozmowy z przyjacielem narodziła się z innej potrzeby, zapewnienia własnemu ludowi bezpieczeństwa po śmierci władcy.

- Panie, jesteś w ponurym nastroju - odezwał się Alfgeir. - Czy coś się stało?

Pytanie było proste, ale ku swemu przerażeniu Björn odkrył, że nie potrafi udzielić na nie odpowiedzi.

Obudził się w środku nocy, ponieważ jego wyostrzone zmysły zaalarmowały go o czyjejs, potencjalnie niebezpiecznej, obecności w namiocie. Teoretycznie było to niemożliwe, gdy Alfgeir wraz z Białymi Wilkami pełnili straż, ale król nie zastanawiał się długo, tylko chwycił za rękojęć Żniwiarza Dusz.

Otworzył oczy i poczuł na plecach zimny dreszcz strachu, gdy dostrzegł srebrną mgłę rozlewającą się po podłodze namiotu. Po chwili w rogu zaczęła się materializować zakapturzona postać odziana w czarne szaty.

Björn zerwał się z łóżka polowego, postawił stopy na ziemi i uniósł topór. Podłoga była lodowata, a kosmyki mgły uwięziły jego nogi, dopóki mroczna postać nie osiągnęła pełnych ludzkich rozmiarów.

- Kim jesteś?! - wrzasnął Björn. - Pokaż się!

- Uspokój się, królu Björn - odezwała się postać syczącym głosem, który znał aż za dobrze. - Jestem tylko wędrowcem z twego kraju, który przyszedł odebrać to, co do niego należy.

- To ty - wyszeptał Björn, gdy postać odrzuciła kaptur na plecy, ukazując pomarszczoną twarz wiedzmy z Brackenwalsch. Jej włosy lśniły identycznym srebrnym światłem, jak zalegająca na ziemi mgła, a Björn poczuł lodowaty ucisk w żołądku, gdy zrozumiał, po co przybyła.

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytał.

- Tak naprawdę wcale mnie tu nie ma, królu Björn - odpowiedziała starucha. - Jestem tylko cieniem przybywającym z ciemności, wysłannikiem mocy przekraczających twoje rozumowanie. Nikt z tu obecnych nie powinien mnie zobaczyć i nie zobaczy. Jestem tu tylko po to, by spotkać się z tobą.

- Czego chcesz?

- Wiesz, czego chcę - odpowiedział czarownica, zbliżając się.

- Odejdź ode mnie! - krzyknął Björn.

- A chcesz doprowadzić do śmierci syna i upadku twego królestwa? - wysyczała starucha. - Ponieważ to jest właśnie stawka w tej grze.

- Sigmarowi grozi niebezpieczeństwo?

Wiedźma skinęła głową.

- W tym momencie jego zaufany przyjaciel knuje intrygę mającą na celu śmierć Sigmara. Jutro o tej samej godzinie twój syn przekroczy wrota do królestwa Morra.

Björn poczuł, że nogi się pod nim uginają i opadł ciężko z powrotem na łóżko polowe. Na myśl o tym, że ciało Sigmara miałyby wkrótce spocząć w grobowcu na Wzgórzu Wojowników, ogarnął go strach i okropna bezsilność.

- Co mogę uczynić? - zapytał drżącym głosem. - Jestem zbyt daleko, żeby mu pomóc, ostrzec go.

- Nie - powiedziała starucha. - Wcale nie jesteś za daleko.

- Ale ty... Przecież tak naprawdę jesteś teraz w Brackenwalsch, prawda? I tylko zsyłasz mi wizję, w której cię widzę?

- Tak właśnie jest, królu Björnie.

- Wobec tego, jeśli wiesz, kto knuje przeciw Sigmarowi, dlaczego nie możesz temu zapobiec? - wybuchnął Björn. - Sprawujesz władzę nad tajemniczymi mocami, na pewno możesz ocalić mu życie!

- Nie, ponieważ to właśnie ja napuściłam na niego zabójcę.

Björn zerwał się na równe nogi i cisnął Żniwiarza Dusz w stronę mrocznej postaci, ale ostrze przeszło na wylot przez obłok mgły, nie czyniąc mu żadnej krzywdy.

- Dlaczego?! - ryknął Björn. - Dlaczego miałabyś zrobić coś takiego? Po co planować zabójstwo tylko po to, żeby mu potem zapobiec?

Wiedźma zbliżyła się jeszcze bardziej do króla i ujrzał on, jak w jej oczach płonie mroczna wiedza o rzeczach, które skazałyby go na wieczne potępienie, gdyby próbował ich dociekać. Odwrócił wzrok.

- Człowiek jest sumą swoich doświadczeń, Björnie - odezwała się po chwili czarownica. - Wszystkich swoich miłości, strachów, radości i bólów połączonych w jedność, jak metale stopione w ostrzu dobrego miecza. W duszach niektórych ludzi panuje równowaga i stają się posłańcami światła, podczas gdy u innych dochodzi do zachwiania i ci właśnie padają w objęcia ciemności. Żeby stać się takim mężczyzną, jakim powinien być, twój syn musi doświadczyć bólu i straty nieznaną innym ludziom.

- Myślałem, że powiedziałaś, że mogę go uratować?

- I możesz. Kiedy spotkaliśmy się na wzgórzu grobowym wspomniałam ci, że któregoś dnia poproszę, żebyś złożył świętą przysięgę. Pamiętasz?

- Oczywiście - odpowiedział Björn, czując strużkę zimnego potu spływającą po plecach.

- Teraz przybywam po to, co mi się należy - rzekła starucha.

- Dobrze zatem - powiedział Björn. - Proś, o co chcesz.

- Kiedy nad ranem rozpocznie się bitwa, odszukaj czerwonego dowódcę północnych ludów i zmierz się z nim.

Żrenice Björna zwężyły się, gdy spojrzał na nią z niedowierzaniem:

- I to wszystko? Żadnych zagadek, żadnych bzdurnych poleceń? Przyznam, że trochę mnie to niepokoi.

- To wszystko - odpowiedziała wiedźma.

- W takim razie składam ci obietnicę jako król Unberogenów, że jutro stawię czoła temu norowskiemu bydlakowi i pozbawię go przeklętego łba - poprzysiągł Björn.

Czarownica uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Jestem pewna, że tak właśnie będzie.

Następnie mgła zgęstniała, a Björn obudził się, mrużąc oczy przed oślepiającym światłem porannego słońca. Podniósł się, rozpamiętując szczegóły spotkania ze starą wiedźmą, które mógł odtworzyć w pamięci ze straszliwą dokładnością.

Otworzył zaciśniętą pięść i znalazł w niej brązowy wisiołek na skórzanym rzemyku. Obracał go chwilę w palcach, stwierdzając że przedstawiał zamknięte wrota. W pierwszej chwili chciał go wyrzucić w przepaść lub do wartko płynącej rzeki, ale zamiast tego włożył go przez głowę i schował pod wełnianą kamizelę.

Teraz, znajdując się na wprost armii wroga, miał wrażenie, że naszyjnik waży tyle co kowadło, ściągając go nieuchronnie w otchłań zagłady.

Alfgeir wskazał pewien punkt na grani.

- Tam jest teraz ten bydlak.

Björn spojrzał w górę. Nieprzyjacielski dowódca jechał konno przed pierwszym szeregiem Norsów. Jego zbroja lśniła szkarłatnym połyskiem, a sztandar z wizerunkiem smoka wznosił się dumnie. Mroczny wierzcholec stanął na tylnych nogach i słońce odbiło się od potężnego miecza uniesionego wysoko w górę.

Zabrzmiały bębny i piskliwe trąbki, po czym zjednoczona armia

południowych królestw ruszyła naprzód. Tysiące mężczyzn uzbrojonych w miecze, topory i włócznie, gotowych na wszystko, aby wypędzić Norsów ze swych ojczystych ziem.

W oddali zawył wilk i na usta Björna wypłynął smutny uśmiech.

- Myślisz, że to dobry znak? - zapytał.

- Ulryk jest z nami - odpowiedział Alfgeir wyciągając przed siebie dłoń.

Björn uściskał prawicę czempiona i powiedział:

- Niech obdarzy cię wielką siłą w tej bitwie, Alfgeirze.

- I ciebie również, mój panie - odpowiedział Alfgeir.

Król Björn znowu odszukał wzrokiem dowódcę w czerwonej zbroi i zacisnął palce na rękojeści Żniwiarza Dusz, podczas gdy na niebie kołowały coraz liczniejsze stada padlinożernych kruków oczekujących zbliżającej się uczy.

Sigmar obudził się rześki i wypoczęty. Pamiętał, że w nocy śnił o ojcu, ale wspomnienie snu było tak ulotne, że nie potrafił sobie przypomnieć nic oprócz ogólnego wrażenia. Odetchnął głęboko i spojrzał na Ravennę śpiącą u jego boku. Przez sen zrzuciła z siebie część futrzanych okryć i teraz Sigmar mógł bez przeszkód ucałować jej nagie, opalone ramię.

Uśmiechnęła się przez sen, a Sigmar wstał, aby się ubrać.

Przed paleniskiem zauważył tacę z kawałkami kurczaka i natychmiast zdał sobie sprawę, jak bardzo jest głodny. Wczoraj zabrali się za przygotowywanie kolacji, ale gdy tylko Gerreon zostawił ich samych, okazało się, że są inne apetyty, które bardziej domagają się zaspokojenia. Obeszli się więc bez kolacji.

Teraz usiadł przy stole i zaczął się posilać. Nalał sobie przy tym kubek wody i popijał ją niespiesznie, płuczac wyschnięte usta. Ravenna przeciągnęła się na łożu, a on obserwując ją, uśmiechnął się z zadowoleniem.

Natłok myśli i zmartwień zaprzatających mu umysł trochę osłabł, ale nie zniknął zupełnie. Przez moment żałował, że nie jest wciąż małym chłopcem, którego jedynym marzeniem jest walka ze smokami i podążanie w ślady sławnego ojca.

Po chwili marzenia o powrocie do dziecięcych lat ustąpiły wielkim planom o czasach, w których jego ludzie będą żyli w pokoju, rządzeni przez sprawiedliwych władców. Potrząsnął głową, aby uwolnić się od poważnych

rozmyślał, koncentrując się na radości wynikającej z prostego faktu, że był mężczyzną, który właśnie obudził się ze snu u boku pięknej kobiety, a teraz w spokoju napełniał żołądek.

Ravenna ocknęła się i odwróciła w jego stronę, opierając głowę na ramieniu. Włosy splątały jej się i zmierzwiły, wyglądając teraz jak grzywa jakiegoś berserkera. Sigmar uśmiechnął się do tej myśli, a ona odwzajemniła uśmiech, po czym odgarnęła futra i wstawszy, przeszła nago przez pokój, aby narzucić szmaragdowy płaszcz.

- Dzień dobry, ukochana - przywitał ją Sigmar.

- Rzeczywiście dobry - odpowiedziała Ravenna. - Jak ci się spało?

- Jestem wypoczęty - skinął głową Sigmar. - Chociaż tylko Ulryk wie, że nie dałaś mi długo pospać, kobieto!

- Dobrze więc - uśmiechnęła się Ravenna. - Następnym razem zostawię cię w spokoju, gdy będziemy dzielić łóżko.

- Och, nie to miałem na myśli.

- Doskonale.

Sigmar odsunął talerz z kawałkami kurczaka, a Ravenna stwierdziła:

- Mam ochotę popływać. Przyłączysz się?

- Nie umiem pływać - przypomniał jej Sigmar. - A poza tym, niestety mam dzisiaj sporo spraw, których muszę dogłębnie.

- Nauczę cię - powiedziała Ravenna, rozsuwając poły płaszcza, aby mógł ujrzeć jej nagość. - I jeżeli przyszedł król nie może wygospodarować chwili dla siebie, to kto może? No dalej, znam sadzawkę na północy, gdzie dopływ Reiku przepływa przez mały wąwóz. Spodoba ci się, zobaczysz.

- No dobrze - zgodził się Sigmar unosząc ręce w poddańczym geście. - Dla ciebie wszystko.

Szybko ubrali się i spakowali do kosza trochę chleba, mięsa i owoców. Sigmar przypiął do pasa miecz, pozostawiając Ghalma-razę w królewskim długim domu, po czym trzymając się za ręce ruszyli przez Reikdorf.

Sigmar pomachał Wolfgartowi i Pendragowi ćwiczącym wojowników na Polu Mieczy, gdy mijali ich w drodze do północnych wrót. Strażnicy kiwali im głowami, gdy przechodzili przez bramy, ustępując miejsca kupieckim wozom ciągniętym przez długowłose ostagockie kucyki i wędrownym kupcom z brigundiańskich stron.

Drogi wiodące do Reikdorfu były zazwyczaj pełne podróżnych, strażnicy u bram mieli więc pełne ręce roboty ze sprawdzaniem tych, którzy chcieli się

dostać do królewskiego miasta.

Nagle gdzieś w oddali zawył wilk. Mimo pogodnego nastroju Sigmar poczuł ciarki przebiegające po plecach.

Sigmar i Ravenna wkrótce zeszli z drogi i zniknęli z oczu strażników stojących na murach Reikdorfu. Przedzierali się przez las w stronę dobiegającego z oddali odgłosu spadającej wody. Ravenna kroczyła pewnie, prowadząc go do położonej na uboczu doliny, gdzie wąska wstęga srebrzystej wody spływała po otaczających Reikdorf wzgórzach w stronę potężnego Reiku.

Drzewa rosły tu rzadko, ale nikt z drogi nie mógł ich dostrzec, ponieważ sadzawkę u podnóża małego wodospadu otaczał krąg wielkich głazów, wyglądających jak zęby pradawnej istoty.

Sadzawka była całkiem głęboka. Ravenna wysliznęła się z szat i zanurkowała, znacząc ślad na powierzchni wody. Po chwili wynurzyła się i potrząsnęła głową, rozpryskując dokoła krople wody i odgarniając mokre włosy z twarzy.

- No dalej! - pośpieszyła go. - Wskakuj do wody!

- Ale ona jest zimna - zaprotestował Sigmar.

- Nie zimna, tylko orzeźwiająca - odpowiedziała Ravenna, pokonując długość sadzawki za pomocą silnych, pewnych uderzeń o powierzchnię wody. - Obudzi cię.

Sigmar położył koszyk z jedzeniem na skraju polany i odparł:

- Ale ja już jestem obudzony.

- Cóż to? - parsknęła śmiechem Ravenna. - Potężny Sigmar obawia się odrobiny zimnej wody?

Potrząsnął głową i odpiął pas z przytroczonym mieczem, porzucając go obok koszyka z jedzeniem. Następnie ściągnął buty i pozbył się reszty ubrań. Wstał podszedł do krawędzi wody, rozkoszując się orzeźwiającą mgiełką unoszącą się przy małym wodospadzie.

Na drzewie naprzeciwko przysiadł kruk. Sigmar skinął głową w stronę wróźebnego ptaka, który zaczął go obserwować z niemym zainteresowaniem.

- Triovantes też ujrzał kruka w noc przed tym, jak wyruszyliście do Astofen - odezwał się głos za jego plecami. Sigmar instynktownie sięgnął po miecz, ale zdał sobie sprawę, że porzucił go przecież parę metrów dalej.

Obrócił się i odprężył, rozpoznając Gerreona stojącego na skraju polany.

Po chwili jednak zorientował się, że coś jest nie tak.

Szaty Gerreona pokryte były zaskorupiałym błotem i czarnymi plamami. Jego buty były kompletnie zniszczone, a skórznia poszarpana i rozdarta. Twarz brata Ravenny była blada, oczy miał podkrążone, a jego czarne włosy, zazwyczaj starannie uczesane, były rozczochrane i okalały jego twarz zmatowiałymi strąkami.

- Gerreonie? - zapytał, zdając sobie sprawę, że jest zupełnie nagi. - Co się stało?

- Kruk - powtórzył Gerreon. - To by się zgadzało, nie sądzisz?

- Zgadzało się? O czym ty mówisz? - zapytał Sigmar, zdziwiony wrogim tonem pobrzmiwającym w głosie Gerreona.

Kątem oka zauważył, że Ravenna podpłynęła do brzegu.

Uczynił krok w stronę Gerreona.

Jego niepokój wzrósł, gdy ten stanął pomiędzy nim a leżącym nieopodal mieczem.

- To, że obaj zobaczyliście kruki na krótko przed śmiercią.

- O czym ty mówisz, Gerreonie? - Sigmar zażądał wyjaśnień. - Męczy mnie ta dziecinada!

- Zabiłeś go! - krzyknął Gerreon, wysuwając miecz z pochwy.

- Kogo zabiłem? - zapytał Sigmar. - To, co mówisz, nie ma żadnego sensu.

- Dobrze wiesz, kogo - załkał Gerreon. - Trinovantesa. Zabiłeś mojego brata bliźniaka, a teraz ja zabiję ciebie.

Sigmar wiedział, że powinien się obrócić, podbiec do strumienia, wskoczyć do niego i wraz z Ravenną popłynąć wraz z nurtem. Jednak płynąca w jego żyłach królewska krew nie pozwalała mu wycofać się z pola bitwy, nawet tej, której nie miał szans wygrać.

Gerreon mistrzowsko władał mieczem, a Sigmar był nagi i bezbronny. Walcząc przeciwko każdemu innemu przeciwnikowi Sigmar mógłby zaryzykować zmniejszenie dystansu dzielącego go od miecza bez ryzyka śmiertelnej rany, ale wiedział, że przeciwko wojownikowi tak utalentowanemu i szybkemu jak Gerreon nie ma na to żadnych szans.

- Gerreonie! - krzyknęła znad krawędzi sadzawki Ravenna. - Co ty wyprawiasz?!

- Nie wychodź z wody - ostrzegł ją Sigmar, powoli zbliżając się w stronę

Gerreona. Próbował zająć go od lewej strony, ale napastnik był zbyt sprytny, żeby nabrać się na tak oczywisty manewr i dalej zagradzał mu drogę do broni.

- Wysłałeś go na śmierć, nie przejmując się nawet tym, że zginie na twój rozkaz - rzucił oskarżycielsko Gerreon.

- To nieprawda - odparł Sigmar, starając się przemawiać cicho i łagodnie, w miarę jak zbliżał się do przeciwnika.

- Oczywiście, że prawda!

- W takim razie jesteś zwykłym tchórzem - rzucił Sigmar, mając nadzieję, że uda mu się w ten sposób sprowokować wroga do nieprzemyślanego ruchu.

- Jeżeli przelana krew twego rodu domagała się pomszczenia, to powinienesz mnie odnaleźć dawno temu, zamiast czaić się i atakować, gdy jestem bezbronny. Myślałem, że jesteś tak odważny jak Trinovantes, ale ty nie jesteś nawet w połowie takim mężczyzną, jakim on był. Jestem pewien, że w tej chwili patrzy na ciebie z dworu Ulryka i przeklina twoje imię na wieki!

- Nie waż się wypowiadać jego imienia! - zawył Gerreon.

Sigmar ujrzał w oczach przeciwnika gotowość do ataku, więc uskoczył na bok, podczas gdy szermierz wykonał gwałtowny wypad do przodu. Czubek Gerreonowego ostrza mignął mu przed oczyma, gdy obrócił się na pięcie i wprowadził silny cios prawą pięścią.

Gerreon uchylił się przed uderzeniem, a Sigmar stracił równowagę. Napastnik bez wahania to wykorzystał i królewski syn poczuł ból przeszywający mu bok, gdy ostrze rozcięło mu biodro i przesunęło się po żebrach. Z rany trysnęła krew, a Sigmar zatoczył się, oszołomiony bólem.

Obrócił się i pochylił, próbując uniknąć kolejnego ciosu. Centymetry dzieliły ostrze miecza od jego wnętrzości. Sigmar próbował zaczerpnąć tchu, ale ogarnęła go dziwna słabość, która powaliła go na kolana.

Ravenna wspięła się na brzeg, rozpaczliwie wykrzykując imię brata. Sigmar siłą woli zmusił się do powstania. Gerreon przeskakiwał lekko ze stopy na stopę, jedną rękę chowając za plecami, podczas gdy tę, w której dzierżył miecz, miał wysuniętą do przodu.

Sigmar zwinął dłonie w pięści i przybliżył się do szermierza.

Zauważył, że oddychanie sprawia mu trudność, zaczął się dusić i charczeć, nie mogąc zaczerpnąć tchu.

Co się z nim działo?

Świat wirował mu przed oczami w szaleńczy sposób. Sigmar poczuł też,

że ręce mu drżą i nie jest ich w stanie dłużej kontrolować, zupełnie jakby był dotknięty starczym porażeniem, zmieniającym niektórych z posuniętych w latach mieszkańców Reikdorfu w sparaliżowane kaleki.

Gerreon roześmiał się straszliwym śmiechem, a źrenice oczu Sigmara zwężyły się, gdy ujrzał oleistą żółtą maź, skapującą z ostrza miecza. Spojrzał w dół i zobaczył jak ta sama substancja miesza się z krwią wypływającą z jego rany.

- Czy czujesz, jak trucizna powoli cię zabija, Sigmarze? - zapytał Gerreon.

- Powinna już zacząć działać, nasmarowałem ostrze taką ilością, że powaliłoby bojowego rumaka.

- Trucizna... - wyrzeźił Sigmar, czując jakby ktoś ścisnął mu pierś w olbrzymim imadle mistrza Alaryka. - Tak... jak powiedziałem... jesteś... tchórzem...

- Wcześniej pozwoliłem, żebyś mnie rozzłościł, ale nie myśl, że uda ci się to jeszcze raz.

Drżenie rąk rozprzestrzeniło się teraz na ramiona i Sigmar z trudnością mógł utrzymać je nieruchomo. Czuł obezwładniającą senność, ale próbował ją zwalczyć złością, gdy chwiejnym krokiem zbliżał się do napastnika.

- Cóżes ty uczynił? - krzyknęła Ravenna podbiegając do brata.

Gerreon obrócił się i odepchnął ją na trawę wolną ręką.

- Nie odzywaj się do mnie, ladacznico - warknął. - Sigmar zabił Trinovantesa, a ty ochoczo się z nim łajdaczysz, tak? Nic dla mnie nie znaczysz. Powinienem ciebie też zabić za splamienie honoru naszego brata.

Sigmar znowu opadł na kolana, gdy dreszcze stały się silniejsze i nie mógł utrzymać się na nogach. Próbował przemówić, ale pierś ścisnął mu olbrzymi ciężar, a płuca wypełniły się płynnym ogniem.

Ravenna zerwała się na równe nogi i z wściekłością rzuciła się na brata.

Szermierczy instynkt wziął górę i Gerreon z łatwością uchylił się przed atakiem.

- Na bogów! Nie! - krzyknął Sigmar, gdy miecz Gerreona przeszył brzuch dziewczyny.

Ostrze przeszło na wylot przez ciało Ravenny i upadła martwa na ziemię, a miecz utkwiony w jej ciele wysunął się z rąk Gerreona. Sigmar powstał z ziemi, czując jak ból, gniew i uczucie bezbrzeżnej straty jednoczą się w dziką chęć wywarcia zemsty na Gerreonie.

Oczy Sigmara zasnuły się czerwoną mgłą berserkerskiego szalu i podczas

gdy wcześniej był odporny na ten syreni śpiew, teraz poddał mu się całkowicie. Ból w ranie zniknął momentalnie, a ogień płucach przygasł, gdy rzucił się na zabójcę Ravenny.

Otoczył dłońmi szyję Gerreona i ścisnął ją z całej siły.

- Zabiłeś ją! - wyrzucił z siebie.

Powalił napastnika na kolana, czując jak siła odpływa z jego ciała, ale wiedząc, że wciąż ma jej wystarczająco dużo, żeby zabić podłego zdrajcę. Spojrzał Gerreonowi w oczy, szukając w nich śladu skruchy za to, co zrobił, ale nie znalazł w nich niczego, oprócz...

Sigmar ujrzał chłopca oplakującego zmarłego brata i duszę pochłanianą przez piekielną otchłań. Zobaczył ostre jak brzytwy szpony straszliwych mocy, które wczepiły się w serce Gerreona oraz desperacką walkę toczącą się w jego udręczonej duszy.

Gdy ręce Sigmara zaciskały się na szyi Gerreona, księżę ujrzał, że straszliwe moce wygrywają walkę o duszę młodzieńca i przejmują nad nią zupełną władzę. W oczach młodzieńca rozblęskło straszliwe światło, a na jego usta wypłynął złowieszczy uśmiech. Jego twarz promieniała niegodziwym blaskiem.

Gerreon odepchnął ręce Sigmara i odrzucił go w tył. Berserkerska siła, która przed chwilą wypełniała ciało Sigmara, opuściła je i teraz słał się na nogach, nie mogąc dłużej polegać na własnych mięśniach i kończynach.

Gerreon roześmiał się nieprzyjemnie, po czym wyciągnął miecz z ciała martwej siostry, podczas gdy Sigmar chwiał się na nogach.

- Koniec z tobą, Sigmarze - powiedział szermierz, rozkoszując się swoją mocą. - Koniec z tobą i twoim marzeniem.

- Nie - wyszeptał Sigmar, podczas gdy świat wirował mu przed oczyma. Zachwiał się do tyłu i wpadł prosto do sadzawki. Woda była lodowata i przez krótką chwilę to wrażenie przedarło się nawet przez komplety paraliż spowodowany trucizną. Młócił wodę rękami i nogami, zapadając się coraz głębiej i czując, że woda wypełnia mu usta i płuca.

Porwał go prąd, obracając bezwładnym ciałem i niosąc je w dół rzeki.

Sigmarowi pociemniało przed oczami i ostatnią widokiem jaki ujrzał, był Gerreon uśmiechający się do niego szyderczo przez pęcherzyki powietrza kłębiące się na powierzchni wody.

Rozdział 11

Szare Pustkowia

Horst Edsel nie był człowiekiem poświęcającym dużo czasu na rozmyślanie o przyczynach boskich posunięć. Zaakceptował fakt, że jest jedynie nieznaczącym pionkiem w rozgrywanych przez nich wielkich dramatach. Królowie prowadzili armie do walki z wrogiem, wielcy dowódcy podbijali nowe krainy, a wichry historii omijały Horsta, tak jak to czyniły w przypadku wielu innych ludzi.

Horst nie był zbyt bystrym mężczyzną, natura nie obdarzyła go ani siłą fizyczną, ani błyskotliwą inteligencją. Ożenił się młodo, zanim reikdorfskie dziewczęta zdały sobie sprawę z jego ograniczeń. Żona powiła mu dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Dziewczynka zmarła wraz z matką podczas skomplikowanego porodu, a chłopca trzy lata później zabrała nieznana choroba.

Bogowie uważali za słuszne najpierw zsyłać na niego dary, a potem je odbierać, ale Horstowi nie powstało nawet w głowie, że mógłby ich za to przeklinać. Radość, która była mu dana na krótki czas, była najpiękniejszą rzeczą, z jaką miał do czynienia w życiu, i teraz mógł przynajmniej rozkoszować się pięknym wspomnieniem.

Horst odepchnął łódź od brzegu i używając wiosła, kierował nią pomiędzy wysokimi trzcinami i gęstymi wodorostami, w tym miejscu, daleko od dobrze utrzymanych, miejskich pomostów, porastających rzeczne dno bardzo obficie. Pracując jako rybak, mógł codziennie liczyć na skromny połów, który umożliwiał mu przeżycie. Czasem nawet, przy dobrym dniu udawało mu się sprzedać kilka ryb na rynku. Musiał jednak prowadzić przy tym bardzo oszczędny tryb życia i nigdy nie miał na tyle dużo pieniędzy, żeby opłacać podatek cumowniczy egzekwowany przez urzędników króla Björna.

Sprawdził, czy sieci i wędki spoczywają bezpiecznie wzdłuż burty małej łódki. Na rufie spał zwinięty w kłębek kot. Horst nie nadał zwierzęciu

żadnego imienia, ponieważ oznaczałoby to, że się do niego przywiązał, a obawiał się, że wtedy bogowie mogliby mu go odebrać, tak jak uczynili to z jego rodziną. Nie chciał skazywać kota na śmierć, nadając mu imię, dlatego cieszył się jego towarzystwem pod pozorem całkowitej obojętności.

Słońce zdążyło wspiąć się już wysoko po nieboskłonie i Horst odezwał się do kota:

- Trochę zaspaliśmy, prawda, kocie?

Zwierzę ziewnęło, ukazując zęby, ale nie zwracało na mężczyznę najmniejszej uwagi.

- Nie powinienem był wczoraj osuszać tej flaszeczki z resztką talauteńskiego bimberku - powiedział, przesuwając językiem po ustach spierzchniętych od taniego alkoholu sprzedawanego przez podejrzanych handlarzy. - Przespaliśmy najlepszy czas na połów, kocie. Rybacy, którzy wstali przed nami, oczyścili rzekę z ryb. To będzie dla nas kolejny dzień z pustym brzuchem. No, przynajmniej dla mnie.

Wydostawszy się spomiędzy trzciny, Horst osadził wiosła w dulkach i skierował łódkę w stronę środka rzeki. Okręty kupieckie często przepływały tędy w stronę Reikdorfu, dlatego co chwila oglądał się przez ramię, żeby uniknąć zderzenia się z czymkolwiek.

Z mijanych statków dobiegały go krzyki i przekleństwa, ale Horst ignorował je z cichą godnością, kierując łódkę w miejsce, w którym do Reiku wpadał dopływ spływający ze Wzgórz Pięciu Sióstr. Często udawało mu się tutaj złapać sporo ryb, a poza tym i tak stwierdził, że nie ma już dzisiaj sensu szukać szczęścia w głównym korycie rzeki.

Zarzucił kotwicę, która w jego przypadku sprowadzała się do obwiązanej liną kamienia. Po usłyszeniu satysfakcjonującego uderzenia o dno, obrócił się w stronę kota, który obdarzył go pogardliwym spojrzeniem. Następnie wyciągnął haczyk i przymocował na nim przynętę, kawałek zgniętego mięsa, który podkraść ostatnio rzeźnikowi.

- Teraz możemy tylko czekać, kocie - powiedział, zarzucając wędkę.

Oparł się o burzę, z liną zawiniętą wokół palców na wypadek, gdyby jakaś ryba rzeczywiście złapała się na przynętę, po czym zapadł w drzemkę.

Zdawało mu się, że ledwie przymknął oczy, gdy coś pociągnęło za linkę i ścisnęło mu place. Sądząc po sile musiało to być coś wielkiego.

Horst usiadł i przytrzymał wędkę, z pewnym trudem poluzniając sznurek, po czym okręcił go wokół kołka wystającego z boku burty. Nawet kot okazał

zainteresowanie, gdy łódź zaczęła się kołysać na wodzie.

- To coś naprawdę wielkiego, kocie! - krzyknął Horst, marząc o świeżym pstrągu lub cefalu, a nawet o flądrze, chociaż ten odcinek rzeki był trochę za bardzo oddalony od wybrzeża, żeby było to możliwe. Jeszcze raz pociągnął za wędkę, po czym jego marzenia przysły jak bańka mydlana, gdy ujrzał unoszące się na powierzchni wody ciało.

Ciało dryfowało obrócone na plecy, haczyk utkwiał w skórze klatki piersiowej. Horst przyjrzał się dokładniej, stwierdzając że dzisiejszy połów to nagi mężczyzna, potężnie zbudowany i obficie krwawiący do wody. Włosy koloru lnu otaczały głowę nieznanego niczym dryfujące wodorosty. Horst wychylił się z łodzi, żeby przyciągnąć ciało bliżej.

Z trudem wciągnął je na pokład, stękając i napinając się z wielkiego wysiłku, ponieważ mężczyzna był muskularny i ciężki.

- Wiem, co sobie myślisz - powiedział do kota. - Po co w ogóle zawracam sobie głowę, skoro biedny chłopina i tak jest martwy, hę?

Zwierzę przeciągnęło się i podeszło, żeby zbadać dziwny połów Horsta, obwąchując mokre ciało bez większego zainteresowania. Rybak usiadł na pokładzie, starając się uspokoić oddech, dopóki bicie serca nie zwolniło na tyle, że był pewien, że za chwilę nie umrze z nadmiernego wysiłku.

Zauważył, że z głębokiej rany w boku mężczyzny wciąż płynie krew.

- Ho, ho, toż on nie jest taki do końca martwy! - wykrzyknął ze zdumieniem.

Horst pochylił się nad ciałem i odgarnął wilgotne kosmyki z czoła mężczyzny.

Rozpoznawszy rysy, wydał stłumiony okrzyk zdziwienia i rzucił się do wiosła, wiosłując ile sił w ramionach w stronę najbliższego reikdorfskiego moła.

- O nie, kocie! - mruczał przy tym pod nosem. - To niedobrze... To bardzo niedobrze!

- Czy on przeżyje? - zadał pytanie Pendrag, w duchu obawiając się możliwej odpowiedzi.

Cradoc zignorował go. Jaki był sens w udzielaniu odpowiedzi wojownikowi, który tak naprawdę nie chciał ani nie potrafił jej zrozumieć? Młody książę stał już na progu królestwa Morra i żadna ludzka wiedza ani

umiejętność nie mogła go powstrzymać przed jego przekroczeniem.

Kiedy Pendrag z pobladłą twarzą i trzęsącymi się rękami odnalazł go, Cradoc opatrywał właśnie złamaną rękę młodego wojownika, kolejnej ofiary ciężkich treningów, jakie Alfgeir zarządził na Polu Mieczy. Jeszcze zanim młodzieniec otworzył usta, medyk wiedział, że stało się coś strasznego.

Cradoc chwycił torbę z medykamentami i pokuśtykał za Pendragiem, z powodu podeszłego wieku z trudem nadażając za sprężystym krokiem młodego mężczyzny. Gdy dotarli do długiego domu, uzdrowiciel oddychał ciężko i był wyczerpany.

Jego najgorsze podejrzenia potwierdziły się, gdy ujrzał tłumy zgromadzone wokół królewskiego długiego domu. Twarze mieszkańców Reikdorfu były poszarzałe ze strachu. Pendrag utorował mu przejście i mimo że Cradoc był przygotowany na najgorsze, poczuł zimny dreszcz przebiegający po plecach, gdy ujrzał Sigmara leżącego na posłaniu z futer, przemoczonego i trupiobladego.

Bracia miecza i Eoforth klęczeli przy ciele, a za nimi stała grupa wojowników z obnażonymi mieczami, jakby gotowych do walki. Zgarbiony mężczyzna w poszarpanej kamizeli z koźlęcej skóry stał z boku, przestępując nerwowo z nogi na nogę, podczas gdy u jego stóp kulił się mały kot, z lękiem obserwujący królewskie wilczury.

Uzdrowiciel natychmiast odgonił wszystkich od ciała i rozpoczął badanie, obawiając się, że księciu nie można już pomóc.

Wtedy jednak ujrzał, że krew wciąż wypływa słabą strużką z głębokiej rany przecinającej biodro i pierś.

- Zadałem ci pytanie! Czy on będzie żył? - ponownie odezwał się zdenerwowany Pendrag. - Na bogów, przecież to Sigmar.

- Wiem, kto to jest, do cholery! - odburknął Cradoc. - A teraz ucisz się i daj mi pracować.

Skóra Sigmara miała niezdrowy kolor i z pewnością mężczyzna stracił wiele krwi, ale Cradoc dostrzegał też inne niepokojące symptomy. Źrenice księcia były rozszerzone, a palce u rąk leciutko drżały.

Medyk przyjrzał się następnie ranie w boku, stwierdzając, że bez wątplenia została zadana mieczem.

- Co się stało? - zapytał Cradoc. - Kto zaatakował księcia?

- Nie wiemy jeszcze - skrzywił się Wolfgart. - Ale ktokolwiek to był, umrze przed zachodem słońca.

Uzdrowiciel pokiwał głową, po czym przysunął się bliżej do Sigmara, dostrzegłszy wokół rany żółtawy osad jakiejś oleistej substancji. Schylił się, obwąchał ranę i wzdrygnął się momentalnie, wyczuwając kwaśny, roślinny odór.

- Niech Shallya się nad nami zmiłuje - wyszeptał, rozwierając Sigmarowi powieki.

- Co? - zapytał Pendrag. - Co się stało, starcze?! Mów!

- Cykuta - odpowiedział Cradoc. - Książę został otruty. Ostrze, które go raniło, zostało pokryte sokiem z cykuty rosnącej na bagnach Brackenwalsch.

- Czy to źle? - zapytał Wolfgart, nerwowym krokiem przemierzając pokój za plecami Pendraga.

- A jak myślisz, głupcze? - warknął Cradoc. - Słyszałeś kiedyś o dobrej truciznie? Przestań zadawać głupie pytania i przydad się do czegoś. Przynies mi czystej wody! Natychmiast!

Następnie zwrócił się w stronę pozostałych wojowników:

- Widziałem, jak cierpiało bydło, które pożywiało się zbyt blisko bagien lub piło wodę, w której rosły korzenie cykuty.

- Czy to jest śmiertelne? - Eoforth zadał wiszące w powietrzu pytanie.

Cradoc zawahał się, nie chcąc odbierać ludziom ostatniej nadziei na poprawę książęcego stanu zdrowia.

- Zazwyczaj tak - odpowiedział. - Zatruta istota na początku ma trudności z oddychaniem, potem zawodzą ją kończyny, aż wreszcie upada i zaczyna wic się w konwulsjach. W końcu płuca poddają się i stworzenie przestaje oddychać.

- Powiedziałeś „zazwyczaj”, Cradocu - odezwał się Eoforth jako jedyny zachowując trzeźwość umysłu pośród spanikowanego tłumu. - Czyli niektórym zwierzętom udało się przeżyć?

- Tak, ale niewielu - przyznał medyk, grzebiąc w torbie z medykamentami i wyciągając z niej glinianą fiolkę zamkniętą woskową pieczęcią. - Gdzie jest ta cholerna woda?

- Rób, co do ciebie należy - powiedział Eoforth. - Książę musi żyć.

Wolfgart pojawił się z powrotem w sali i Cradoc wydał mu polecenie:

- Oczyszczyć rany. Bądź dokładny, wymyj całą krew i nie obawiaj się, że sięgniesz za głęboko. Musisz wypłukać wszelkie zanieczyszczenia i wszystko, co pozostało z trucizny. Rozumiesz? Nie może zostać ani śladu.

- Ani śladu - pokiwał głową Wolfgart i Cradoc ujrzał w jego oczach

potworną obawę o przyjaciela.

Wręczył Wolfgartowi glinianą fiolkę.

- Gdy oczyścisz ranę, przyłóż okład z tarrabetu, a potem znajdź kogoś pewnie władającego rękami, kto założy szwy.

- I wtedy Sigmar przeżyje? Wydobrzeje, prawda?

Cradoc ojcowskim gestem położył Wolfgartowi dłoń na ramieniu.

- Wtedy zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby mu pomóc. Do bogów należeć będzie decyzja, czy umrze, czy będzie żył.

Cradoc odsunął się, robiąc Wolfgartowi miejsce przy ciele. Zesztywniałe stawy sprawiały mu okropny ból, na szczęście Pendrag podał medykowi pomocną dłoń i pomógł mu się podnieść.

- Gdzie znaleziono Sigmara? - zapytał uzdrowiciel.

- Czy to ważne?

- To może być kluczowa informacja - prychnął Cradoc. - A teraz przestań odpowiadać pytaniem na pytanie, tylko powiedz mi, gdzie go znaleziono.

Pendrag skinął pokornie głową, po czym wskazał na zgarbionego mężczyznę w kamizeli z kozłęcej skóry.

- Horst natrafił na ciało księcia dryfujące w rzece.

Cradoc zmrużył oczy, obserwując zatroskanego mężczyznę.

Czuć było od niego zapach ryb i mokrej skóry. Medyk pamiętał, że kiedyś widział już tego człowieka. Po chwili przypomniał sobie, że leczył jego syna z choroby, która oddzielała ciało od kości, ale pomimo swych najlepszych starań, nie udało mu się uratować chłopca.

- Ty go znalazłeś? - zapytał Cradoc. - Gdzie?

- Łowiłem ryby przy brzegu, gdy ujrzałem młodego księcia - odpowiedział Horst.

- Gdzie to było dokładnie? - zażądał wyjaśnień medyk. dalejże, człowieku, to może być ważne!

Rybak cofnął się, przerażony ostrymi słowami, a kulący się za nim kot zastrzygł uszami.

- Wybacz mi - odezwał się nieco łagodniej Cradoc. - Stawy mnie bołą niemiłosiernie, a królewski syn jest umierający, dlatego też nie mam czasu na uprzejmości. Musisz odpowiadać dokładniej. Horście, powiedz mi jeszcze raz, gdzie znalazłeś Sigmara.

Horst skinął sztywno głową, wciąż jeszcze onieśmielony, ale kiedy otworzył usta, wyrażał się precyzyjniej.

- Znalazłem księcia przy jednym z północnych kanałów, panie. Przy tym, który spływa z Pięciu Sióstr. Byłem na rybach, kiedy księżę nadpłynął i nabił się na mój haczyk.

- Znasz to miejsce? - zapytał Cradoc, zwracając się do Pendraga.

- Tak, znam.

- Sigmara znaleziono nagiego, co według mnie oznacza, że pływał, a nie wpadł do wody, kiedy został zaatakowany - powiedział Cradoc pocierając skroń wierzchem dłoni. - Czy w górę tego kanału znajduje się jakaś sadzawka?

Pendrag skinął głową.

- Tak, jest tam miejsce, w którym lubią pływać młodzi kochankowie.

- Zabierz mnie tam - rozkazał Cradoc. - A jeśli chcecie odnaleźć tych, którzy zaatakowali księcia, i zemścić się na nich, to weźmy ze sobą najlepszych tropicieli.

- Oczywiście, ale jeżeli mogę spytać, to co spodziewasz się tam znaleźć? - zapytał Pendrag.

- Obawiam się, że Sigmar nie jest jedyną ofiarą, jaką odnajdziemy dzisiaj.

Sigmar otworzył oczy i tym, co go uderzyło, była wszechogarniająca szarość. Dookoła rozciągały się skaliste równiny i uschnięte wrzosowiska, nad którymi wiał suchy wiatr. Na horyzoncie widać było powykrzywiane drzewa, niczym czarne rysy przecinające puste, pozbawione oznak życia niebo.

Był nagi i samotny, zagubiony na dzikim pustkowiu, nie mogąc dostrzec gwiazd przewodnich, ani żadnych innych charakterystycznych punktów krajobrazu, po których mógłby się zorientować, gdzie się znajduje. Nie poznawał tej krainy.

W oddali majaczył wielki łańcuch górski, potężny monolit będący bez wątpienia największą rzeczą, jaką Sigmar widział w życiu. Nawet odległe szczyty Gór Szarych zdawały się niczym w porównaniu z tymi strzelistymi graniami.

- Czy ktoś tu jest?! - krzyknął, a dźwięk rozległ się po okolicy równie płaski i bezbarwny jak otaczający go krajobraz. Cisza wypełniająca dziwną krainę pochłonęła jego krzyk niczym gąbka i poczuł się w tym momencie

jeszcze bardziej samotny i zagubiony. Z braku lepszych kierunków potencjalnej marszruty, ruszył w stronę gór.

Jego wspomnienia związane z tym, jak tu trafił były mgliste i ulotne. Niewiele pamiętał ze swojego życia, może tylko tyle, że miał na imię Sigmar i należał do plemienia Unberogenów, najwaleczniejszego ludu na zachód od gór, ale poza tym...

Sigmarowi wydawało się, że wędruje już kilka godzin, ale szybko zorientował się, że mimo upływającego czasu niebo nad nim pozostaje nieruchome, a zabójcze słońce stoi dokładnie w tym samym miejscu pośród szarych chmur. Mogła minąć sekunda lub cała era, ale w kończynach nie czuł zupełnie zmęczenia, zupełnie tak, jakby wyruszył przed chwilą. Zaczął podejrzewać, że mógłby tak całą wieczność przemierzać tę martwą krainę, nie dostając nawet zadyszki.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

A jeśli był martwy?

Ten dziwny świat z pewnością pozbawiony był życia, ale gdzie był złocisty dwór Ulryka, wielkie uczty i wojownicy, którzy zginęli podczas sławetnych bitew? Przecież przeżył swe życie chwalebnie, prawda?

Czyżby odebrano mu zaszczyt dołączenia do sławnych przodków?

Złakł się i w tej samej chwili wyczuł, że cienie wokół niego zgęstniały. Miejsce, w którym się zatrzymał, było równie puste i martwe, jak cała kraina, ale teraz wyczuł gromadzące się w pobliżu zmory.

- Pokażcie się! - zaryczał. - Wyjdźcie tutaj i zgińcie!

W tej samej chwili, w której wypowiedział te słowa, cienie zalegające ziemię podniosły się w kłębach, po czym utworzyły mroczne potwory rodem z koszmarnych snów. Po jednej stronie stanęła para olbrzymich wilków z czerwonymi ślepiami i kłami jak noże ociekające spienioną śliną. Po drugiej zmaterializował się łuskowaty demon o rogatej głowie i rozwidlonym języku, który wymachiwał ociekającym nieznaną substancją mieczem i syczał groźnie.

Sigmar zapragnął posiadać broń, z którą mógłby stawić czoła przeciwnikom i w tej samej chwili w jego dłoniach pojawił się złoty miecz. Uniósł ostrze i wyobraził sobie siebie w najlepszym żelaznym pancerzu. Nie zdziwił się, gdy po chwili ciało pokryło się lśniąca, naoliwioną zbroją.

Mroczne istoty okrążyły go, ale Sigmar nie chcąc czekać na ich pierwszy ruch, sam rzucił się do ataku. Jego miecz przeszedł przez jednego z

widmowych wilków i potwór zniknął w obłoku ciemnego dymu.

Drugi wilk skoczył na niego, więc książkę rzucił się na piaszczystą nawierzchnię, wyciągając do góry miecz, na który nabiła się atakująca bestia. Stworzenie znikło tak jak poprzednie i na Sigmara ruszył z podniesionym mieczem ostatni przeciwnik. Demon celował w gardło mężczyzny, ale Sigmar pochylił się i zdołał wbić ostrze w bok istoty.

Bestia jednak nie zniknęła, ale wydała z siebie skrzekliwy wrzask, od którego Sigmarowi niemal nie popękały bębenki w uszach. Książkę osunął się na ziemię i wypuścił z rąk miecz, który rozpuścił się we mgle, gdy tylko dotknął ziemi. Demon zaryczał z triumfem i już opuszczał miecz, który miał rozłupać mężczyźnie czaszkę na pół... Kiedy ostrze zablokował olbrzymi, podwójny topór.

Sigmar zerknął w górę i ujrzał potężnego wojownika w błyszczącej koszulce kolczej z polerowanych, żelaznych łusek. Na głowie mężczyzny spoczywał skrzydlaty, brązowy hełm, a biodra osłaniał mu kilt ze skórzanych pasów, wzmocnionych brązowymi blaszkami. Topór odepchnął ostrze bestii i powrotnym ciosem zmiażdżył mu czaszkę, odsyłając potwora do otchłani, z której przybył.

Po pokonaniu przeciwnika wojownik obrócił się w stronę Sigmara i podał mu dłoń. Zanim jeszcze mężczyzna ukazał mu swą twarz, Sigmar wiedział, kto uratował mu życie.

- Ojczy - odezwał się Sigmar, a Björn objął go w niedźwiedzim uścisku.

- Synu - odpowiedział król. - Rad jestem, iż ciebie widzę, chociaż serce mnie boli na myśl o tym, że spotykamy się w takich okolicznościach.

- Co to za miejsce? Czy ja umarłem? Czy ty... też nie żyjesz?

- To są Szare Pustkowia - odpowiedział Björn. - Podziemny świat, stan między życiem a śmiercią, gdzie bląkają się dusze zmarłych.

- Dlaczego się tu znalazłem?

- Nie wiem, synu, ale jesteś tutaj, a ja mam zamiar sprawić, abyś powrócił do świata żywych. A teraz chodź, przed nami długa droga.

Sigmar wskazał dłonią na otaczającą ich monotonną pustkę.

- Droga? Dokąd? Mam wrażenie, że idę już setki lat i nigdzie nie doszedłem.

- Musimy dotrzeć do gór. Tam znajdziemy wrota.

- Jakie wrota?

- Wrota do królestwa Morra - odrzekł Björn. - Do królestwa umarłych.

* * *

Bitwa została wygrana, ale tak jak Alfgeir się tego spodziewał, zaiste olbrzymim kosztem. Norsowie walczyli jak demony przeciwko sprzymierzonym wojskom południowych królów, wznosząc ścianę tarcz niczym niezdobytą fortecę wzdłuż porośniętej lasem górskiej grani. Uderzenie po uderzeniu Taleutenowie, Cherusenowie i Unberogenowie torowali sobie drogę między strzaskanymi tarczami i złamanymi włóczniami.

Jeden okupiony krwią centymetr za drugim południowe wojska wspinały się w górę zbocza, spychając Norsów do tyłu. Niestety każdy krok do przodu liczył się w dziesiątkach ofiar po obu stronach. Po tym, jak sprzymierzone armie wreszcie stanęły na szczycie wzgórza, Norsowie walczyli już w coraz mniejszych i mniejszych grupach, aczkolwiek żaden z nich do końca nie poprosił o litość, ani się nie poddał.

Bez wątplenia byli to godni przeciwnicy.

Król Björn walczył jak opętany, od początku rzucając się w wir najbardziej zażartej walki i każdym ciosem olbrzymiego topora zabijając kolejnych ludzi północy. Białe Wilki próbowały dotrzymać mu kroku, ale król był niedościgniony.

Alfgeir zauważył, w którą stronę kieruje się król i z całych sił starał się podążyć tuż za nim, ale wtedy wyskoczył na niego wściekły, toczący krwawą pianę z pyska pies, który zacisnął kły na jego ryngrafie. Zabił bestię, ale potem mógł już tylko bezsilnie obserwować Björna z daleka, ponieważ tłum walczących odciął go całkowicie od władcy.

Alfgeir przymknął oczy i przywołał w myślach wspomnienie wspaniałego widoku króla stojącego naprzeciw odzianego w czerwoną zbroję dowódcy wrogiej hordy. Nigdy w życiu nie był tak dumny z tego, że służy królowi Unberogenów, jak w momencie, w którym ujrzał topór swego króla ścinający głowę nieprzyjacielskiego przywódcy. Smoczy sztandar upadł na ziemię, a w tłumie Norsów rozległy się krzyk złości i przerażenia. Szukając zemsty, wrogowie skupili spojrzenia na mężczyźnie, który pokonał ich wodza.

Marszałek Reiku otrząsnął się na chwilę ze wspomnień i zbliżył do paleniska, przy którym uwijali się medycy. Powietrze wypełniały krzyki umierających, którzy w ostatnich chwilach życia wzywali matki i żony. Rozdzierające jęki niweczyły pracę tych, którzy starali się złagodzić cierpienie najciężej rannych w ostatnich chwilach życia.

Na znak zwycięstwa wciąż zapalano nowe ogniska, w których jako ofiary

dla Ulryka płonęły stosy noreskich zwłok. Alfgeir westchnął ciężko, ponieważ dla niego triumf miał gorzki smak, gdyż zawiódł swego pana.

Król Björn spoczywał na naprędcie ułożonym pościeliu, a z boku leżała zakrwawiona i poharatana zbroja. Skóra króla miała siny odcień, całe ciało owinięto bandażami, które przykrywały niezliczone rany od włóczni i mieczy. Z ran ciekła krew, gromadząc się w kałużę pod łóżem.

Gdy tylko Björn ściał noreskiego przywódcę, rzucili się na niego czempioni zmarłego wodza, odziani w czarne pancerze i pałający chęcią zemsty. Alfgeir mógł odtworzyć w pamięci każdy cios miecza i każde pchnięcie włócznią, tak jakby potwory mierzyły w jego własne ciało.

- Czy on przeżyje? - zapytał Alfgeir.

Jeden z medyków spojrział na niego z twarzą mokrą od łez.

- Pozszywaliśmy rany, panie - odpowiedział uzdrowiciel. - I zastosowaliśmy okłady z faktoryllu oraz pajęczego liścia.

- Ale czy będzie żył?

Medyk potrząsnął głową:

- Zrobiliśmy dla niego, wszystko, co w naszej mocy. Do bogów należeć będzie decyzja, czy umrze, czy będzie żył.

Sigmar i Björn przemierzali Szare Pustkowie, a krajobraz wokół pozostawał nieruchomy bez względu na to, jak długo wędrowali. Sigmarowi zdawało się, że nie przybliżyli się do gór nawet o centymetr, ale ojciec zapewniał go, że są na właściwej drodze.

Mimo że krajobraz zdawał się nie zmieniać, nie przez cały czas podróżowali tylko we własnym towarzystwie. Sigmar kątem oka dostrzegał przemykające w oddali cienie, które wcześniej go zaatakowały. Jednak teraz widma tylko eskortowały wędrowców, nie zbliżając się do nich, jakby obawiały się zostać dostrzeżone.

- Czym one są? - zapytał Sigmar, zauważając na skraju pola widzenia kolejny błyskawicznie przepływający cień.

- To dusze tych, którzy zostali przekłęci na wieki - odpowiedział ze smutkiem Björn. - Eoforth opowiadał mi, że Szare Pustkowie zamieszkują dusze zmarłych, którzy nie mogą zaznać spokoju, ponieważ ich ciała zostały ożywione przez nekromantów. Takie dusze nie mają wstępu do królestwa Morra.

- A więc są to dusze ludzi, którzy nie mogą do końca umrzeć?

- Tak jakby - odpowiedział Björn. - Ci, którzy się tutaj błakają mogli być za życia szlachetnymi ludźmi, ale przez nienawiść, jaką żywili dla rodzaju ludzkiego, zostali zmienieni w te straszliwe istoty. Bijące od nas ciepło i światło przypomina im o tym, kim kiedyś byli i kim nigdy więcej nie będą mogli z powrotem się stać.

- Dlaczego nas nie atakują?

- Bądź wdzięczny, że tego nie czynią. Nie sądzę, żebyśmy mieli na tyle siły, aby się im przeciwstawić.

- Tym bardziej nie rozumiem, czemu zostawiają nas w spokoju.

- Mam wrażenie, że gdzieś nas prowadzą.

- Gdzie?

- Nie wiem, ale dopóki tam nie dotrzemy, możemy równie dobrze cieszyć się naszą przechadzką, prawda?

- Cieszyć się przechadzką? - zapytał zdumiony Sigmar. - Ojczy, czyżbyś nie widział, gdzie się znajdujemy? Co za okropne miejsce.

- Ano tak, prawdę rzeczesz, ale przynajmniej idziemy razem, ojciec i syn. Sporo czasu minęło, odkąd mieliśmy szansę porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną.

Sigmar pokiwał głową.

- To prawda. Dobrze więc, opowiedz mi o wojnie na północy.

Twarz króla pociemniała i Sigmar wyczuł, że ojciec zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi.

- No cóż, twoi ludzie walczyli jak Wilki Ulryka, a Cherusenowie i Taleutenowie również dzielnie się sprawowali. Wypędziliśmy Norsów z krain naszych sprzymierzeńców i musieli wrócić do swojego skutego lodem królestwa. Gdy zostaniesz królem, musisz z szacunkiem odnosić się do Krugara i Aloysisa. To szlachetni władcy i wierni sojusznicy Unberogenów.

Sigmar zauważył, w jaki sposób ojciec udzielał odpowiedzi, ale zdusił cisnące się na usta pytania. Skierował rozmowę na inne tory.

- Te wrota do których zmierzamy? Wrota Morra? Dlaczego właściwie chcemy do nich dotrzeć?

- Zapytaj mnie, kiedy już tam będziemy - odpowiedział król i Sigmar wyczuł w jego głosie ostrzegawczą nutę.

Przez następny nieokreślony okres czasu szli w milczeniu, aż wreszcie Björn przerwał ciszę, zwracając się do syna:

- Jestem z ciebie bardzo dumny, Sigmarze. Twoja matka również byłaby z ciebie dumna, gdyby jeszcze żyła.

Sigmar poczuł ucisk w sercu i już miał odpowiedzieć, gdy zauważył, że ojciec wpatruje się w jakiś punkt w oddali. Odwrócił się i na widok rozpościerający się przed nim zapało mu dech w piersiach.

Góry znajdowały się tak samo daleko, jak kiedy ostatnio na nie spoglądał, ale teraz zdawały się przechodzić tajemniczą transformację. Czarny łańcuch górski spiętrzał się i wyginał, jakby napierał na niego znajdujący się za nim nieodkryty świat lub jakby władający górami bóg zmieniał je i formował według swych zachcianek.

Olbrzymie skalne odłamki odpadały ze szczytów i mieszały się ze sobą, piętrząc się na kształt potwornie wielkich filarów.

Wokół wirowały kłęby kurzu i pomniejszych głazów, podczas gdy szczyty łańcuchów górskich zapadały się pod naciskiem ruchów tektonicznych, tworząc nad świeżo powstałymi kolumnami olbrzymie nadproże, wyglądające niczym dach świata.

W ciągu tych kilku chwil pośród górskiej ściany uformował się gigantyczny portal, tak wysoki i szeroki, że obejmował otaczający krajobraz jak okiem sięgnąć. Między filarami wirowała ciemność w czystej postaci, czerń tak bezkresna, że nikt, kto raz trafił w jej nocne objęcia, nigdy się z nich nie wydostawał.

Zewsząd dał się słyszeć przejmujący jęk i bestie, które do tej pory śledziły ich z ukrycia, teraz zmaterializowały się na falującej od przepływu mocy ziemi. Oprócz nich pojawiły się też inne istoty, podobne do wilków i demonów, jak i stworzenia zbyt przerażające, aby opisać to słowami.

Czarne i błyszczące jak węgiel bestie z zakrzywionymi kłami i oczami wyrastającymi na skrzydłach, oślizgłe smoki o zębach ostrych jak noże i ożywione szkielety jaszczurów z potwornie zniekształconymi czaszkami i ogonami zakończonymi na kształt ostrza topora.

Kimkolwiek byli za życia, po śmierci stali się potworami.

Armia cienia poszybowała w powietrzu, formując mur, przeszkodę stojącą na drodze dwóch mężczyzn zdążających do przed chwilą powstałych wrót. Spomiędzy potwornych szeregów wystąpił wojownik, odróżniający się od pozostałych bestii tym, że jako jedyny nie był odziany ani ubarwiony na czarno.

Wojownik był wysoki i nosił czerwoną zbroję płytową, na jego głowie

natomiast spoczywał hełm w kształcie głowy wykrzywionego w potwornym grymasie, rogatego demona. Przed sobą dzierżył potężny miecz dwuręczny, którego ostrze trzymał skierowane w serce Sigmara.

- To ty? - syknął Björn. - Jak to możliwe? Przecież cię zabiłem.

- Myślisz, że tylko ty możesz się układać z pradawnymi mocami, starcze?
- zapytał wojownik i Sigmar wzdrygnął się, spostrzegłszy, że demoniczny wizerunek nie był wykuty z żelaza, ale stanowił prawdziwą twarz istoty. - Służba dawnym bogom nie kończy się wraz ze śmiercią.

- Dobrze zatem - odpowiedział Björn. - Mogę cię zabić jeszcze raz, jeżeli będzie trzeba.

- Ojczy, o czym on mówi? - wtrącił się Sigmar.

- Nie zważaj na to - rzucił tylko Björn. - Przygotuj się do walki.

Znowu wystarczyło, że Sigmar tylko pomyślał, a w jego rękach pojawiła się broń. Tym razem nie był to, tak jak poprzednio złoty miecz, ale potężny młot Ghal-maraz.

- Chłopak musi przejść - odezwał się czerwony demon. - Nadszedł jego czas.

- Nie - zaprzeczył gwałtownie Björn. - To nieprawda. Przecież złożyłem świętą przysięgę.

Demon roześmiał się ze szczerym rozbawieniem.

- Ta wiedźma, która żyje w jaskini! Naprawdę myślisz, że takie byleco może krzyżować plany starych bogów?

- Dlaczego nie podejdziesz bliżej i nie przekonasz się, suczy pomioście!

- Albo oddasz go nam dobrowolnie, albo sami go odbierzemy - powiedział demon. - W obu przypadkach zginie. Oddaj go bez walki, a będziesz mógł powrócić do świata żywych. Nie jesteś jeszcze taki stary i mógłbyś trochę pożyć.

- Przeżyłem tyle, że wystarczyłoby, żeby obdarować dziesięciu ludzi, demonie! - ryknął Björn. - I żaden parszywy pies, jak ty, nie odbierze mi syna!

- Nie dasz nam rady, starcze - warknął ostrzegawczo demon.

Sigmar zerknął na ojca i serce wypełniło mu się dumą. Mimo że nie rozumiał dokładnie istoty tej konfrontacji, to jednak zdawał sobie sprawę, że stawką w straszliwym układzie jest jego życie, a ojciec walczy o niego bez śladu strachu.

Armia potworów przesunęła się do przodu, wilki kłapały paszczami, a

latające bestie co i rusz wyskakiwały w powietrze, gotowe do ataku z góry. Sigmar uniósł Ghal-maraza, a Björn zacisnął palce na rękojeści Żniwiarza Dusz. Obaj Unberogenowie, ojciec i syn, gotowi byli stawić czoła przeznaczeniu.

Wtem Sigmar poczuł, że powietrze wokół niego gęstnieje i rozejrzawszy się na boki, stwierdził, że wokół zaczynają pojawiać się nieprzeliczone zastępy innych wojowników. Po jego obu stronach stało dwóch widmowych wojów odzianych w koszulki kolcze i dzierżących topory o długich trzonkach Setki pozostałych materializowało się na polu za ich plecami dookoła. Sigmar roześmiał się, widząc, jak demon krzywi się z niedowierzaniem.

- Ojczy - z trudem wykrztusił księżę, rozpoznając niektóre twarze.

- Tak, ja też ich widzę - odpowiedział Björn, a po policzkach ciekły mu łzy wzruszenia i wdzięczności. - To zmarli unberogeńscy wojownicy. Nawet po śmierci trwają u boku swego władcy.

Tak oto na wymarłej równinie Szarych Pustkowi stanęły naprzeciwko siebie armia demonów i armia duchów. Sigmara wypełniała duma.

- To mój ostatni dar dla ciebie, synu - rzekł do niego Björn. - Musimy się przedrzeć i dotrzeć do wrót. Kiedy to uczynimy, musisz zrobić to, co ci powiem, choćby nie wiem, co się działo. Rozumiesz?

- Tak - odpowiedział Sigmar.

- Obiecuj mi - upewnił się król.

- Obiecuję.

Björn skinął głową i obrócił zionące nienawiścią spojrzenie w stronę czerwonego demona.

- Chcesz go? Więc chodź i sobie weź!

Wydając z siebie przeraźliwy wojenny okrzyk, czerwony demon podniósł miecz i ruszył do ataku.

Rozdział 12

Jeden musi przejść

Demony, przeraźliwie wyjąc i rycząc, rzuciły się w stronę Unberogenów. Atakowały bez planu czy strategii, myśląc tylko o tym, żeby jak najszybciej unicestwić przeciwnika.

- Za mną! - krzyknął Björn i ruszył w kierunku wrogich szeregów. Duchy podążały za królem w milczeniu, tworząc formację klina z Björnem i Sigmarem na czele. Zderzenie obu armii nastąpiło przy akompaniamencie głuchego szczęku żelaza, który brzmiał tak, jakby dobiegał z bardzo daleka.

Widmowi wojownicy nie okazywali demonom żadnej litości, z użyciem mieczy i toporów torując królowi i księciu drogę do wrót Morra.

Sigmar miażdżył nieprzyjaciół za pomocą Ghal-maraza. Dar od króla Kurgana Żelaznobrodego okazywał się przy tym bardziej śmiertelny niż jakikolwiek miecz. Moc, którą krasnoludy zaklęły w broni, była tu równie potężna, jeśli nawet nie większa niż w królestwie żywych. Każdy cios rozpraszał kolejne demoniczne ciało i wydawało się, że nawet sama obecność młota sprawia przeklętym istotom ból.

Björn walczył wykorzystując całe swoje doświadczenie, a potężny Żniwiarz Dusz po raz kolejny zasłużył na swe imię, siejąc zniszczenie w szeregach wroga. Jednak demonów było wiele i mimo że unberogeński klin wbijał się coraz dalej i dalej w głąb hordy, to postępował coraz wolniej, a demony zaczęły okrążać wojów.

Walka była zażarta, ale zupełnie bezkrwawa. Pokonany zniknął po prostu bez śladu, a miejsce, w którym przed chwilą stał, znaczył tylko krótki rozbłysk mocy. Jasny w przypadku tych, którzy wiedli dobre życie, mroczny pozbawioną kolorów czernią u tych, którzy służyli złym mocom.

Bitwa rozgrywała się w cieniu olbrzymiej bramy i Sigmar zauważył, że kłębiąca się wewnątrz portalu ciemność zaczyna migotać, jakby w oczekiwaniu na coś. Nie wiedział, co to ma być, ale czuł, że moc zaczyna

gęstnieć w tym miejscu z każdą upływającą sekundą.

Sigmar i Björn walczyli ramię w ramię, kierując klin walczących coraz dalej w głąb demonicznej hordy. Podczas gdy ruch mocy zamkniętej między gigantycznymi filarami przybierał na sile, Sigmar zobaczył, że wisiorek na szyi ojca emanuje złotym blaskiem.

- Widzę cię, Dziecko Gromu! - wrzasnął czerwony demon, przedzierając się w stronę księcia.

Sigmar obrócił się w stronę napastnika, porażony samym istnieniem takiej ohydy.

Miecz demona już miał go dosięgnąć, ale królewski syn przewyciężył paralizującą go grozę i w ostatniej chwili uchylił się przed atakiem. Śmiercionośne ostrze uderzało niebezpiecznie, szybko i celnie. Chwila nieuwagi przy którymkolwiek z ataków i Sigmar padłby martwy.

W tej chwili Sigmar zdał sobie sprawę, że jego sytuacja jest beznadziejna. Przeciwnik przewyższał go nie tylko demoniczną siłą, ale i doświadczeniem płynącym ze stuleci spędzonych na ćwiczeniu umiejętności szermierczych. Zdesperowany książę wiedział, że w obliczu tak potężnego wroga ma tylko jedną szansę na wygraną.

Demon przypuścił kolejną serię druzgocąco silnych i szybkich ataków i Sigmar zatoczył się do tyłu. Zdawało się, że upadnie, desperacko próbując zatrzymać cios, który mógł go skrócić o głowę.

Z triumfalnym rykiem demon doskoczył do niego, aby zadać śmiertelne uderzenie, ale Sigmar momentalnie odzyskał równowagę i obrócił się na pięcie, uderzając Ghal-marazem prosto w kolano napastnika. Młot przebił się przez zbroję i demon wrzasnął z bólu, przewracając się na ziemię.

Sigmar obrócił broń w rękach i zamachnął się, celując w głowę wyjącego potwora. Obuch Ghal-maraza zgruchotał demonowi czaszkę i wydając z siebie przeraźliwy jęk istota zniknęła w oczekującej na nią piekielnej pustce.

Po śmierci demonicznego przywódcy morale wroga upadło i horda cieni zaczęła cofać się pod naporem grupy unberogeńskich wojów z Sigmarem na czele.

Książę obrócił się w pewnym momencie i ujrzał, że ojciec pozostał w tyle okrążony przez grupę demonów, rozpaczliwie próbując je przegonić zamaszystymi ciosami topora. Sigmar bez wahania ruszył w tamtą stronę, uderzając w lewo i prawo. Demony padały od jego ciosów i chwilę później Sigmar dotarł do ojca. Od tej pory wspólnie przedzierali się przez słabnące

szeregi wroga, kierując z powrotem w stronę unberogeńskich wojów.

Demony były w rozsypce, ich armia pobita, a liczebność malała z każdą chwilą. Unberogenowie, wyczuwając zwycięstwo, parli do przodu i po chwili Sigmar i Björn znowu znaleźli się na czele formacji bojowej w kształcie klina.

Walka do końca była zażarta i z pola bitwy wciąż znikwały zarówno demony, jak i duchy. Jednakowoż nic nie mogło powstrzymać niezwyciężonego pochodu Unberogenów. Kiedy Sigmar zmiażdżył młotem czaszkę ostatniego z wilczych demonów, ujrzał, że żaden nieprzyjaciel nie zagradza mu już drogi do portalu.

- Ojczy! - krzyknął. - Przedarliśmy się!

Björn dobił jeszcze potwornego stwora z ciemnymi skrzydłami i kolczastym ogonem, po czym rzucił spojrzenie w stronę gór. Wnętrze czarnego portalu kłębiło się niczym wrząca woda i przez ułamek sekundy Sigmar miał wrażenie, że dostrzega niewyraźny zarys olbrzymiej postaci w czarnych szatach, która znajdowała się w krainie, do której prowadziły gigantyczne wrota, i zapraszającym gestem wabiła go do środka.

Sigmar nie obawiał się. Wyczuwał wiekową mądrość płynącą od olbrzymiej postaci, spokój zrodzony z akceptacji nieuchronności śmierci. Opuścił Ghal-maraza, rozumiejąc teraz, co się za chwilę wydarzy.

Uczynił krok w stronę onieśmielających rozmiarami wrót, wiedząc, że dwór Ulryka stoi przed nim otworem i z pewnością odnajdzie tam utęskniony spokój. Wtem sękata dłoń pociągnęła go za ramię i książkę obrócił się. Ujrzał ojca, a za nim armię widmowych wojów i pokonane demony.

- Muszę już iść - odezwał się Sigmar. - Już wiem, dlaczego się tu znalazłem. W świecie, który znajduje się nad nami, jestem umierający.

- To prawda - powiedział Björn, zdejmując z szyi błyszczący wisiołek. - Ale uczyniłem świętą przysięgę i nie umrzesz.

- A więc to ty... ty jesteś... martwy? - zapytał z drżeniem w głosie Sigmar.

- Jeżeli nie teraz, to wkrótce będę - odpowiedział spokojnie Björn, unosząc do góry naszyjnik. Sigmar zobaczył, że brązowy wisiołek był prosto wykonany i przedstawiał miniaturę wrót, przed którymi się znajdowali, aczkolwiek te, które wyrzeźbiono w metalu, były zamknięte.

Król zawiesił naszyjnik na szyi Sigmara:

- To dzięki temu pozostałem żywy na tyle długo, żeby móc ci pomóc - powiedział Björn. - Ale od tej chwili należy do ciebie. Nie zgub go.

- A więc to ja miałem zginąć?

Björn pokiwał głową.

- Słudzy mrocznych bóstw knuli przeciwko tobie, ale na szczęście znaleźli się i tacy, którzy stoją po twojej stronie i jak widać nie są zupełnie pozbawieni mocy.

- Złożyłeś swoje życie w ofierze w zamian za moje - wyszeptał Sigmar zbielejącymi wargami.

- Nigdy do końca tego nie pojmę, synu, ale nie można sprzeciwiać się prawom umarłych. Nawet królowie tego nie potrafią. Jeden z nas musi przejść przez te wrota.

- Nie! - krzyknął Sigmar widząc, że postać ojca zaczyna rozpląwać się w powietrzu, upodabniając się do widmowych Unberogenów, którzy walczyli przed chwilą u ich boku. - Nie pozwolę, żebyś to dla mnie zrobił!

- To już się dokonało - powiedział Björn. - Zostałeś przeznaczony do wielkich czynów, synu, i jestem najdumniejszym z ojców wiedząc, że któregoś dnia przewyższysz sławą największych królów z pradawnych czasów.

- Możesz zatem patrzeć w przyszłość?

- Mogę, ale nie pytaj mnie o nią, ponieważ nadszedł czas, abyś opuścił to miejsce i powrócił do świata żywych - odpowiedział król. - Będzie ci ciężko, ponieważ czeka na ciebie wielki ból i rozpacz.

Wypowiadając ostatnie słowa Björn wraz z pozostałymi wojownikami zaczął być wciągany przez kłębiący się we wrotach Morra wir mocy.

- Ale wiedz, że przed tobą również chwała i nieśmiertelność - zdążył jeszcze wyszeptać Björn, po czym zniknął w czeluściach portalu.

Sigmar załkał patrząc, jak ojciec przechodzi ze świata żywych do krainy umarłych. Gdy tylko Unberogenowie przekroczyli potężne wrota, te zniknęły tak, jakby nigdy nie istniały i Sigmar pozostał sam pośrodku Szarych Pustkowi.

Wziął głęboki oddech i zamknął oczy.

Po czym otworzył je ponownie, zwijając się w męczarniach.

Szczyt Wzgórza Wojowników nie był niczym osłonięty od wiatru, więc między płaszcze i koszule zapuszczały się niczym zlodowaciałe palce zimne podmuchy, sprawiając, że ciała drętwiały od jesiennego chłodu. Sigmar

nawet nie pomyślał o tym, żeby ciasniej owinąć się płaszczem z wilczej skóry, tak jakby rzucał wyzwanie pogodzie, za nic mając dyskomfort, jaki mu sprawiała. Chłód był ostatnio jego nieodłącznym towarzyszem i teraz też powitał go czule jak starego przyjaciela.

Gdy tylko Sigmar znowu otworzył oczy w świecie żywych, powróciło wspomnienie z rzezi nad rzeką. Książę płakał i krzyczał z bólu, który nie zrodził się z fizycznego cierpienia, ale z uczucia dojmującej straty.

Przypomniał sobie, jak mówił chłopcu rannemu na Polu Mieczy, że ból jest nieodłącznym kompanem wojownika. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że to nie ból, ale rozpacz nie odstępuje żołnierza ani na krok. Rozpacz zrodzona z bezsensu wojny, - nadaremnej radości i głupiej wiary w marzenia.

Księżciu towarzyszyło sześciu uzbrojonych wojowników, stanowiących jego przyboczną straż, odkąd Gerreon zaatakował go prawie pięć tygodni temu. Strach przed kolejną próbą zabójstwa uczynił z jego braci miecza bojaźliwe baby, ale Sigmar, nie winił ich za to, bo kto mógł przewidzieć, że Gerreon zdradzi go w tak okrutny sposób.

Zamknął oczy i opadł na kolana. Łzy pociekły mu po policzkach, gdy przypomniał sobie Ravennę. Ból, jaki poczuł widząc trupa bladość jej ciała straszliwe kontrastującą z granatową czernią rozsypanych włosów, był wciąż żywy, tak jakby dopiero przed chwilą ujrzał ją spoczywającą bez życia na polowym łóżku.

Odeszła dziewczyna mądra, pełna życia, która rozświetlała jego życie słonecznym blaskiem i po odejściu której pozostała ziejąca pustką rana, która miała się nigdy nie zabiścić. Jego dłonie zwinęły się w pięści na to wspomnienie, ale opanował wzbierającą w sobie złość. Nie miał na kim wyładować wściekłości, dlatego zdusił ją wewnątrz duszy.

Powinien dostrzec zło lęgnące się w duszy Gerreona. Powinien posłuchać rad przyjaciół, którzy ostrzegali go przed nagłym nawróceniem. Z pewnością przegapił znak, który powinien go ostrzec przed tym aktem zdrady, w wyniku którego utracił ukochaną.

Z każdym dniem Sigmar coraz bardziej zamykał się w sobie, odcinając się od Wolfgarta i Pendraga, którzy próbowali pomóc mu w zwalczeniu melancholii. Szukał ucieczki w mocnym winie, z jego pomocą próbując wymazać z pamięci powracające co noc, bolesne wspomnienia Gerreona zatapiającego miecz w ciele Raveny.

Cierpiał nie tylko z powodu śmierci Raveny, wiedział już przecież także

o śmierci ojca. Z północy nie nadeszły jeszcze żadne wieści, ale Sigmar z niezachwianą pewnością mógł stwierdzić, że król Unberogenów poległ. Mieszkańcy Reikdorfu z niecierpliwością oczekiwali powrotu władcy, ale Sigmar wiedział, że już wkrótce doświadczą tego samego uczucia straty, jakie codziennie rozdzierało mu serce.

Jakaś część jego duszy znajdowała pociechę na myśl o tym, że inni będą cierpieć tak samo jak on, ale był tak szlachetny, że wiedział, iż takie myślenie mu nie przystoi, dlatego zwalczał w sobie takie przejawy małostkowości. Z nikim nie rozmawiał na temat Szarych Pustkowi ani losu ojca, ponieważ niestosowne byłoby, gdyby księżę rozprawiał o śmierci ojca, zanim będzie to potwierdzone. Dlatego też zachowywał milczenie, nie chcąc rozpoczynać rządów nad Unberogenami od złego omenu.

Reikdorf i tak wkrótce nauczy się znaczenia słowa: strata.

Podczas tygodni, które upłynęły od przebudzenia dowiedział się, że po odnalezieniu jego ciała przez sześć dni leżał bez ruchu, zimny niczym trup, ni to martwy, ni to żywy. Jego życie wisiało na najcieńszym z włosków i nawet uzdrowiciel Cradoc nie potrafił wyjaśnić, dlaczego ani nie umiera, ani nie dochodzi do siebie.

Wolfgart, Pendrag i nawet sędziwy Eoforth siedzieli przy nim przez cały czas, kiedy błąkał się w drodze do wrót wiodących ku królestwu Morra. Sigmar zdawał sobie sprawę, że to olbrzymie szczęście mieć tak oddanych braci miecza i że z pewnością sam sobie czyni krzywdę, separując się od nich.

Ale żal i rozpacz, jak nauczyło Sigmara życie, nie poddawały się racjonalnym przesłankom i tłumaczeniom.

Próbował odrzucić to, co na własne oczy widział nad brzegiem rzeki i szukać zemsty, ale nawet to zostało mu odebrane. Ani Cuthwin, ani Svein nie potrafili znaleźć tropu Gerreona. Jego skromny dobytek zniknął, a sam zdrajca rozplynął się w leśnych ostępach niczym duch.

Po tym, jak Sigmar się ocknął, Wolfgart był gotów skoczyć na konia i popędzić w las, aby odnaleźć Gerreona. Jednakże Sigmar zatrzymał go, wiedząc, że zdrajca miał już zbyt dużą przewagę, a poza tym był za sprytny, żeby dać się złapać.

Imię Gerreona zostało przeklęte i nie miał co szukać pomocy w krainach ludzi. Zniknął z powierzchni ziemi i najprawdopodobniej zginął gdzieś w lesie, zhańbiony na wieki jako tchórz i zdrajca.

Sigmar otrząsnął się z ponurych myśli i zgarnął pełną garść ziemi ze szczytu wzgórza, a następnie rozpostarł palce, pozwalając żyznej, bogatej glebie przesypywać się między nimi. Patrzył na to pustym wzrokiem czując, że w tej chwili coś nieodwołalnie w nim umiera.

Objął spojrzeniem swoje królestwo, stale rozrastający się Reikdorf, swój lud, potężną rzekę i pola rozciągające się jak okiem sięgnąć, podobne do różnokolorowego, olbrzymiego gobelinu.

Resztki ziemi spadły spomiędzy palców Sigmara, a on podniósł się i otrzepał dłonie, przesuwając nimi następnie wzdłuż złotej zapinki, którą onegdaj podarował Ravennie, a która teraz spinała jego własny płaszcz.

- Nigdy już nie pokocham żadnej innej - powiedział. - Ta kraina stanie się moją jedyną, nieprzemijającą miłością.

Sigmar oddychał ciężko, kończąc ostatnie okrążenie wokół Pola Mieczy. Każdy krok powodował, że zmęczone kończyny pulsowały palącym bólem. Czuł, że mięśnie odmawiają mu posłuszeństwa, ale biegł dalej, zdając sobie sprawę, że musi odbudować swoją krzepę, zanim unberogeńska armia powróci do Reikdorfu z ciałem zabitego władcy.

Wciąż dręczyło go poczucie winy, że musi ukrywać tę wiadomość przed własnym ludem, ale ponieważ nie było innego wyjścia, zatrzymał gorzką prawdę dla siebie.

Niegdyś taki bieg nawet by go nie zmęczył, ale teraz musiał użyć całej siły woli, aby zmusić się do stawiania jednej stopy przed drugą. Powoli odzyskiwał siłę i wytrzymałość, ale w takim tempie, że go to frustrowało, natomiast starego Cradoca wprawiało w zdumienie.

Każdego dnia Sigmar walczył o odzyskanie dawnej sprawności. Walczył, posługując się mieczem i sztyletem, aby stać się znowu szybkim i zwinnym. Podnosił obciążone odważnikami metalowe pręty, wykute dla niego przez Mistrza Alaryka, aby stać się silniejszym. Wykonywał dziesiątki okrążeń wokół Pola Mieczy, aby wzmocnić odporność.

To Pendrag podsunął mu pomysł, aby ćwiczył na widoku młodszych wojowników, twierdząc, że obserwując jego postępy, będą sami odzyskiwać nadzieję.

W głębi duszy Sigmar wiedział, że sugestia przyjaciela miała na celu wzbudzenie w nim chęci pokazania ćwiczącym na co go stać, a nie troskę o

ich nadzieję. Gdyby księżę trenował sam, łatwiej byłoby mu się poddać, ale przegrana z samym sobą na oczach tłumu wojowników była dla Sigmara nie do pomyślenia.

Pot spływał mu po czole, wpadając do oczu, więc przetarł je wierzchem dłoni, zbliżając się do końca wyścigu. Podbiegł do Wolfgarta i zatrzymał się przy przyjacielu, który wyglądał, jakby się prawie wcale nie zmęczył. Sigmar pochylił się, opierając dłonie na udach i dyszał ciężko. Rzucił jeszcze spojrzenie w stronę Pendraga, który wydawał się równie bez troski, po czym zdusił gorzki żal, który wypełnił mu serce.

- Musisz dać sobie czas na powrót do pełni sił - odezwał się Pendrag, odgadując nastrój księcia.

Sigmar spojrzał na niego, a świat na chwilę zawirował mu przed oczami. Przykucnął więc i wykonał serię głębokich oddechów, rozciągając przy tym mięśnie nóg.

- Wiem - odpowiedział. - Ale to takie irytujące... że nie jestem... tak sprawny... jak powinienem być.

- Daj sobie czas - powtórzył Pendrag, podając mu dłoń. - Sześć tygodni temu byłeś bliski śmierci. Byłoby arogancją sądzić, że możesz w tak krótkim czasie powrócić do dawnej formy.

- Racja - zgodził się Wolfgart. - Jesteś twardy, przyjacielu, ale nawet ty nie jesteś aż tak twardy.

- Cóż, a powinienem być - odburknął Sigmar, ignorując wyciągniętą dłoń Pendraga i podnosząc się z ziemi o własnych siłach. - Co będzie ze mnie za król, jeżeli nie potrafię chwilę poćwiczyć, nie rżąc przy tym jak bezzębny staruszek!

Momentalnie pożałował tych słów, ale było już za późno, aby je cofnąć.

Wolfgart potrząsnął głową i oparł dłonie na biodrach:

- Ulryku miej nas w swej opiece, boś dzisiaj w paskudnym nastroju, Sigmarze.

- Myślę, że mam ku temu powody - odciął się Sigmar.

- Nie twierdzę, że nie masz, ale nie musisz się wyzywać na nas. Gerreon, niech bogowie przeklną to imię, odszedł - powiedział Wolfgart. - Ravenny też już z nami nie ma.

- Wiem, że jej nie ma - odrzekł Sigmar, a głos mu spoważniał.

- Więc wysłuchaj mnie, bracie - poprosił Wolfgart. - Ravenna nie żyje i oplakuję ją, ale ty musisz żyć dalej. Czuj jej pamięć, ale żyj dalej. Spotkasz

inną kobietę, którą uczynisz swoją królową.

- Nie chcę innej kobiety! - załkał Sigmar. - Dla mnie zawsze liczyła się tylko Ravenna.

- Ale to już niemożliwe - ciągnął Wolfgart. - Król potrzebuje królowej i nawet, gdyby Ravenna nie została zabita przez brata i tak nie mogłaby zostać twoją żoną.

- O czym ty mówisz?!

Wolfgart zignorował ostrzegawcze spojrzenie, jakie rzucił mu Pendrag, i kontynuował niezrażony:

- Siostra zdrajcy? Ludzie nigdy by na to nie pozwolili.

- Wolfgarcie - wtrącił Pendrag, widząc, że twarz Sigmara nabiera purpurowej barwy.

- Zastanów się nad tym i przyznasz mi rację - kontynuował niepomny ostrzeżeń Wolfgart. - Ravenna była cudowną dziewczyną, ale kto zaakceptowałby ją jako królową? Ludzie gadaliby, że twój ród splamił się krwią zdrajców i nie mów mi, że to nie byłby zły omen.

- Uważaj na to, co mówisz, Wolfgarcie - powiedział Sigmar, zbliżając się w stronę brata miecza, ale ten nie cofnął się ani o krok.

- Chcesz mnie uderzyć, Sigmarze? Proszę bardzo, ale to nie zmieni faktu, że mam rację - odparł Wolfgart.

Sigmar poczuł, jak wypełniająca go złość i rozpacz jednoczą się w jedno przemożne uczucie gniewu pragnącego się wyładować w przemoc. Jego pięść uderzyła w szczękę Wolfgarta, posyłając przyjaciela na ziemię. Zaatakowany młodzieniec nie zdążył jeszcze upaść, gdy napastnika owładnęło poczucie winy.

- Och nie! - krzyknął Sigmar, przypominając sobie dzieciństwo, kiedy rozzłoszczony zmiażdżył Wolfgartowi łokieć swym młotem. Poprzysiągł wtedy, że nie zapomni lekcji samokontroli, jakiej udzielił mu wtedy ojciec. Teraz jednak znów stał nad ciałem powalonego towarzysza z zaciśniętymi pięściami.

Rozluźnił palce i złość momentalnie go opuściła.

Ukląkł przy przyjacielu:

- Niech bogowie mi wybaczą, Wolfgarcie, tak mi przykro!

Wolfgart spojrzał na niego z kwaśną miną, nastawiając sobie dolną szczękę i przyciskając dłoń do rozkwitającego na policzku siniaka.

- Nie chciałem się na ciebie rzucić. Po prostu... - Sigmar chciał się

wytłumaczyć, ale szybko stracił wątek, nie znajdując usprawiedliwienia dla swego czynu ani słów oddających miotające nim uczucia.

Wolfgart skinął głową i odwrócił się w stronę Pendraga.

- Wygląda na to, że wciąż możemy go czegoś nauczyć, Pendragu. Bije się jak baba.

- Tylko dlatego, że nasz brat miecza nie powrócił jeszcze do pełni sił, nie stracił ci tej głupiej głowy z karku - sarknął Pendrag, pomagając obydwu podnieść się na równe nogi.

- No może - zgodził się Wolfgart. - Ale przecież wtedy bym to przewidział.

Sigmar popatrzył po twarzach przyjaciół i olśniło go, że nie tylko martwią się o niego, ale i akceptują wypełniającą go złość zrodzoną z rozpacz. Ich wyrozumiałość sprawiła, że spokorniał.

- Wybaczcie, przyjaciele - powiedział. - Ostatnich kilka tygodni to najgorszy czas w moim życiu. Nie potrafię nawet wyrazić, jak mi ciężko, ale świadomość, że zawsze jesteście u mego boku, dodaje mi sił. Źle was traktowałem i za to was przepraszam.

- Wiemy, że cierpisz - odpowiedział Pendrag. - I nie musisz nas przepraszać. Jesteśmy twoimi braćmi miecza i przysięgliśmy być z tobą zarówno w chwilach szczęścia, jak i smutku.

- Pendrag ma rację, Sigmarze - wtrącił się Wolfgart. - Tylko prawdziwi przyjaciele mogliby wytrzymać z takim królewskim wrzodem na tyłku, jakim się ostatnio stałeś. Każdy inny dawno poszedłby w diabły.

Sigmar uśmiechnął się, słysząc prostolinijną wypowiedź Wolfgarta.

- Dlatego właśnie muszę was przeprosić, przyjaciele. Jesteście moimi braćmi i najbliższymi towarzyszami. Zachowałem się niegodnie, traktując was w taki sposób. Odkąd umarła Ravenna... zamknąłem się w sobie, stworzyłem mury, którymi odgrodziłem się od świata i ludzi. Nie wpuszczałem nikogo do mej twierdzy, a każdego, kto próbował do mnie dotrzeć, atakowałem. Ale każdy, kto zamknie się za murami i zabarykaduje wrota, w końcu umrze z głodu, a poza tym nikt nie powinien opuszczać swych braci.

Sigmar poczuł, że gdy wypowiada te słowa, napętnia go nowa siła. Uśmiechał się pierwszy raz, odkąd powrócił z Szarych Pustkowi.

- Czy wybaczycie mi? - zapytał.

Pendrag skinął głową.

- Nie ma czego wybaczać.
- Witaj z powrotem, bracie miecza - dodał Wolfgart.

Następny poranek zaczął się deszczowo i Sigmar śpiący w królewskim długim domu budził się powoli, a w jego głowie wciąż tkwiły fragmenty snu. Wspomnienie nieubłagane blakło, ale książę starał się je zatrzymać, jakby było darem od bogów.

We śnie kroczył nad brzegiem rzeki w miejscu, gdzie kiedyś spotkał Czarnego Kła. Pod stopami miał miękką trawę, a twarz pieścił mu łagodny wiatr przynoszący zapach lata. Nad brzegiem rzeki stał jego ojciec, wysoki i potężny, odziany w najlepszą żelazną zbroję. Na jego głowie lśniła brązowa korona Unberogenów. Metal odbijał promienie słoneczne, sprawiając wrażenie, jakby wokół głowy króla biegł okrąg płomieni.

Björn promieniował siłą i pewnością siebie. Obróciwszy się w stronę Sigmara, zdjął koronę i podał ją synowi.

Książę przyjął dar drżącymi rękami. Gdy tylko jego place dotknęły metalu, ojciec zniknął, a on poczuł ciężar korony na własnej głowie.

Wtedy usłyszał za plecami śmiech i odwrócił się. Uśmiechnął się, widząc Ravnę tańczącą na trawie, podczas gdy wiatr rozwiewał jej włosy. Miała na sobie szmaragdową suknię, którą tak bardzo lubił, i płaszcz jego matki, który spinała złota brosza, którą na jego zamówienie wykonał mistrz Alaryk.

Nie pamiętał, o czym mówili, ale pamiętał, że nie mogli się sobą nacieszyć. Kiedy skończyli rozmawiać, kochali się tak jak za pierwszym razem, gdy Sigmar zabrał ją w to miejsce.

Pierwszy raz od ataku Gerreona poczuł, że nie dręczy go smutek. Przepęłniała go miłość i olbrzymia wdzięczność dla losu, że dał mu poznać tak piękną istotę. Ravenna miała się dla niego nigdy nie zestarzeć. Wraz z upływem lat nie stanie się zgorzkniała czy pamiętliwa.

Na zawsze pozostanie młoda, na zawsze kochana.

Sigmar otworzył oczy i poczuł się tak rześko, jak nie czuł się od tygodni. Patrzył jasno na świat, a w członkach czuł nową siłę. Wziął głęboki wdech i rozpoczął poranną rozgrzewkę, zastanawiając się nad znaczeniem snu. Zazwyczaj sny o ojcu i Ravnennie przynosiły tylko ból, ale ten nie był koszmarem.

Kapłani nauczali, że sny są darami od Morra, wizjami, które pozwalają

tym, którzy zostali nimi pobłogosławieni, na zagrzenie za cienką zasłonę oddzielającą świat ludzi od królestwa bogów. Tego typu wizje uważano za znaczące omeny i pomyślny znak na rozpoczęcie nowego przedsięwzięcia.

Czy ten sen był ostatnim darem bogów przed tym jak królewski syn miał rozpocząć wykuwanie ludzkiego imperium? Jeżeli tak, to mógł znaczyć tylko jedno.

Sigmar zakończył rozgrzewkę i zanurzył głowę w beczce z wodą, stojącej w kącie izby. Osuszył twarz lnianym ręcznikiem i wciągnął spodnie oraz koszulę. Zza ścian dobiegał go hałas i domyślał się, co może być jego przyczyną.

Podniósł koszulkę kolczą i włożył ją przez głowę, przekręcając ramiona, aż zbroja ułożyła się właściwie. Przesunął dłońmi po włosach i związał je z tyłu rzemieniem w krótki kucyk.

Z zewnątrz dobiegało coraz więcej podniesionych głosów, podczas gdy Sigmar podniósł stojący przy tronie swój szkarłatny sztandar, a drugą dłonią chwycił Ghal-maraza. Skierował się w stronę masywnych, dębowych drzwi do długiego domu, a za nim pospieszyły królewskie psy. Sigmar zdał sobie sprawę, że zwierzęta teraz należą do niego.

Pchnięciem otworzył wrota i ujrzał ponurą procesję wojowników kroczących ku niemu w deszczu, niosących na noszach z tarcz martwe ciało. Otaczało ich setki ludzi, a na zboczach okalających Reikdorf Sigmar zobaczył armię Unberogenów obserwującą ostatnią drogę swego władcy do domu.

Przy noszach stał Alfgeir w zmatowiałej, powgniatanej zbroi.

Miał zwieszoną głowę, ale podniósł wzrok, gdy ujrzał, że drzwi długiego domu otwierają się.

Oczy Marszałka Reiku powiedziały Sigmarowi to, co już wiedział.

Deszcz padał obficie, ściekając po zbroi Alfgeira i jego włosach. Marszałek Reiku opadł na jedno kolano. Sigmar nigdy w życiu nie widział człowieka tak nieszczęśliwego i zawstydzonego.

- Panie - odezwał się Alfgeir, wyciągając miecz i podając go Sigmarowi. - Twój ojciec nie żyje. Poległ w bitwie przeciwko ludom północy.

- Wiem, Alfgeirze - powiedział Sigmar.

- Wiesz? Skąd?

- Dużo się zmieniło, odkąd mój ojciec wyruszył na wojnę - odpowiedział Sigmar. - Nie jestem już tym chłopcem, jakiego znałeś, a ty również nie

jesteś tym samym człowiekiem, którym byłeś.

- To prawda - zgodził się Alfgeir. - Zawiodłem, nie spełniłem swego obowiązku i teraz król nie żyje.

- Nikogo nie zawiodłeś - odrzekł Sigmar. - I powinieneś zatrzymać miecz, przyjacielu. Przyda ci się jako mojemu czempionowi i Marszałkowi Reiku.

- Twojemu czempionowi? - zapytał z niedowierzaniem Alfgeir. - Nie... Ja nie mogę...

- Oczywiście, że możesz - rozwiął jego wątpliwości Sigmar.

- Mój ojciec oddał za mnie życie i nikt nie mógł go uratować.

- Nie rozumiem.

- Ja również nie do końca - przyznał Sigmar. - Ale będę zaszczycony, jeżeli zechcesz mi służyć tak, jak służyłeś jemu.

Alfgeir powstał i schował miecz do pochwy, podczas gdy krople deszczu płynęły mu po twarzy niczym łzy.

- Będę ci służył wiernie - obiecał Alfgeir.

- Wiem, że będziesz - odpowiedział Sigmar, przechodząc obok czempiona w stronę noszy z tarcz. Björn leżał z dłońmi zaciśniętymi na rękojeści Żniwiarza Dusz, a jego zbroja lśniła po wypolerowaniu. Szlachetne rysy były spokojne, a przerażająca blizna w poprzek twarzy nieco złagodniała po tym, jak dusza opuściła ciało.

Sigmar odstał od noszy i rozkazał:

- Wnieście mego ojca do środka.

Procesja wojowników przebrnęła przez błoto i wkroczyła do długiego domu, a Sigmar odwrócił się, aby przemówić do setek żałobników, którzy zgromadzili się przed nim. Znał ich wszystkich, większość była jego przyjaciółmi.

Teraz byli jego ludem, Unberogenami.

Sigmar wbił sztandar w błotnistą ziemię przed długim domem. Trzonek załśnił niczym promień słońca przedzierający się przez chmury i opromieniający je blaskiem. Szkarłatny materiał trzepotał na wietrze, a Sigmar uniósł Ghal-maraza wysoko nad głowę i donośnym głosem zakrzyknął:

- Ludu Unberogenów! Król Björn odszedł spomiędzy nas i teraz nosi swój wspaniały topór, Żniwiarza Dusz, na dworze Ulryka, gdzie spotkał się z braćmi: Redmane Dregorem, Sweynem Dębowe Serce i potężnym Berongundanem. Umarł tak, jak tego chciał, na polu bitwy otoczony

nieprzyjaciółmi i z toporem w ręku.

Głos Sigmara niósł się daleko, słyszalny nawet dla wojowników zgromadzonych daleko na wzgórzach. Nowy król opuścił Ghal-maraza i dodał:

- Wyślę posłańców jak kraj długi i szeroki z wiadomością, że podczas najbliższego nowiu księżyca mój ojciec spocznie na swym zasłużonym miejscu na Wzgórzu Wojowników.

Rozdział 13

Królewska narada

Po powrocie unberogeńskiej armii w Reikdorfie wyprawiono wielką ucztę, aby uhonorować odwagę wojowników i uczcić pamięć zmarłych. Żołnierze wypełniali gospody, a ich krwawym opowieściom przysłuchiwali się z wielkim zainteresowaniem poeci układający sagi. To oni mieli potem uwiecznić w opowieściach bitwy stoczone z okrutnymi Norsami i chwalebłą śmierć króla Björna.

Mimo, iż sagi z wielką czcią i dokładnością oddawały krwawe potyczki, to Sigmar wiedział, że nie będą w stanie odpowiednio ubrać w słowa szlachetnej ofiary, jaką złożył ze swojego życia jego ojciec, schodząc do podziemnego świata, aby stoczyć ostatnią bitwę, w której stawką były losy syna.

Dlatego też nie podzielił się tą opowieścią z żadnym z poetów, wiedząc, że przyszłe pokolenia będą raczej chciały słuchać o odwadze i tragicznej nieuchronności śmierci niż zagłębiać się w osobisty, rodzinny dramat, jaki rozegrał się w mrocznej krainie Szarych Pustkowi.

Dni, które nastąpiły po powrocie żołnierzy do domu, były radosne dla tych matek i żon, które powitały mężów i synów, ale pełne smutku dla tych, które straciły ukochanych członków rodziny. Jednakże nawet dla mieszkańców pogrążonych w rozpacz po śmierci bliskich, największe strapienie stanowiło odejście ze świata żywych króla Björna.

Zabitych wojowników ułożono na stosach pogrzebowych ustawionych na wzgórzach otaczających Reikdorf. U schyłku następnego dnia, zaraz po zachodzie słońca podłożono ogień - i mrok rozproszyło tysiące ognisk. Ludzie północy zostali odparci i zepchnięci z powrotem do swej skutej lodem krainy, ale Sigmar zdawał sobie sprawę z tego, że tylko kwestią czasu będzie, kiedy da o sobie znać kolejny watażka, który roznieci żar tłący się w wojowniczych sercach Norsów.

Unberogenowie patrzyli jednak w przyszłość z optymizmem i Sigmar czuł, że pokładają w nim niezachwianą wiarę, niewzruszoną niczym skała. Jego bojowe umiejętności były powszechnie znane, tak jak jego honor i prawość. Czuł, że ludzie są z niego dumni, nawet jeśli zauważyli jego osłabienie spowodowane śmiercią Ravenny. Obecnie nikt nie ważył się wypowiedzieć imienia Gerreona i wkrótce miało ono zniknąć z ludzkiej pamięci na wieki.

Sigmar, przechadzając się po Reikdorfie, wszędzie był witany z uśmiechem i serdecznością przez ludzi, którzy go znali i ufali mu.

Był gotów, żeby zostać królem, a lud był gotów, aby uznać jego władzę.

Królowie plemion zawitali do Reikdorfu na dzień przed nowiem księżyca.

Król Endalów, Marbad, przybył jako jeden z ostatnich, w towarzystwie Kruczych Hełmów, dzierżąc sztandar unurzany w krwi na znak czci dla zmarłego Björna. Sigmar wraz z Pendragiem obserwowali przybycie gości, którzy nadjechali przy nieodłącznym akompaniamencie muzyki dud. Sigmar po raz kolejny był pod wrażeniem wojskowego stylu bycia, jaki prezentowali żołnierze Marbada.

Sigmar ostatni raz widział tych wspaniałych wojowników mniej więcej sześć lat wcześniej, kiedy starzejący się król towarzyszył Wolfgartowi w drodze powrotnej na zachód, aby złożyć wizytę królewskiemu bratu. Marbad bardzo posunął się w latach od tamtego czasu. Włosy zupełnie mu posiwiały i bardzo mocno schudł. Mimo wszystko wciąż nosił się dumnie i powitał Sigmara serdecznym, mocnym uściskiem.

Krucze Hełmy były tak samo przerażające, jak to Sigmar zapamiętał. Wojownicy czujnie obserwowali otoczenie i księżę w duchu przyznał, że tym razem mają ku temu powody. Zza rzeki z nieukrywaną wrogością obserwowały ich bowiem szeregi odzianych w brązowe zbroje wojowników, noszących skrzydlate hełmy i trzymających lance, na których powiewały różnokolorowe proporce. Jasno odziani wojownicy byli Jutonami, wysłannikami króla Mariusa, nie raczącego osobiście zawitać do Reikdorfu.

Podobnie zachował się król Teutogenów, Artur, który jednak nawet nie pofatygował się z wysłaniem emisariuszy, zastępujących go przy wypełnianiu pogrzebowych rytów króla sąsiedniego państwa. Sigmar nie był tym wcale zaskoczony, a co więcej, był nawet zadowolony, że żaden

Teutogen nie postawi stopy w Reikdorfie. Obawiał się bowiem, że nie byłby w stanie powstrzymać swoich ludzi przed wzięciem odwetu za najazdy na Ubersreik i inne przygraniczne osady na skraju królestwa Unberogenów.

Obaj władcy, którzy razem z jego ojcem walczyli przeciwko Norsom, pojawili się osobiście: król Taleutenów, Krugar, i król Cherusenów, Aloysis. Obaj byli prawymi mężczyznami. Ujęli Sigmara tym, że o zmarłym ojcu wypowiadali się szczerze, a przy tym nie szczędzili mu pochwał.

Królowa Asobornów, Freya, przybyła ze wschodu na czele hałaśliwej kolumny rydwanów. Osobliwy orszak zdążył wystraszyć chłopów uprawiających pola i wywołać panikę w okolicach Reikdorfu, dopóki intencje gości nie okazały się przyjazne. Na rydwanie z ciemnego drewna ozdobionego inkrustowanymi złotem płomieniami, o kołach najeżonych ostrzami, stała piękna, miedzianowłosa kobieta. Królowa zajechała przed oblicze Sigmara z szelmowskim uśmiechem na twarzy, po czym wbiła w ziemię przed jego stopami trójzębną włócznię i przemówiła:

- Przybyła królowa Freya! - ogłosiła. - Pogromczyni plemienia Czerwonej Paszczy, postrach złodziejskiego pomiotu i zabójczyni Wielkiego Kła! Kochanka tysiąca mężczyzn i pani Wschodnich Równin. Przybywam, aby złożyć hołd twemu ojcu i zaczerpnąć ze źródła twojej siły, aby ją porównać z moją własną.

Wypowiedziawszy te słowa, przełamała trójzębną włócznię na pół i rzuciła odłamki Sigmarowi pod stopy, a następnie chwyciła go w objęcia i przyciągnęła do siebie, namiętnie całując w usta. Pendrag i Alfgeir byli tak zaskoczeni, że żaden z nich nie zdążył zareagować.

Zanim wyciągnęli miecze z pochew, królowa wypuściła Sigmara z objęć i odrzuciwszy głowę do tyłu, wybuchnęła śmiechem.

- W lędźwiach syna Björna płynie ta sama siła, która rozpałała jego ojca - powiedziała. - Stworzenie z nim istoty o dwóch grzbietach będzie czystą przyjemnością!

Po tych słowach Freya i wojownicy plemienia Asobornów, czyli groźne kobiety o nagich ciałach pokrytych malunkami, odjechali z miasta, aby rozbić obóz na leżących odłogiem polach poza murami Reikdorfu.

- Niech bogowie mają mnie w swej opiece! - odezwał się Sigmar, kiedy później spożywali posiłek w długim domu. - Ta kobieta jest obłąkana!

- No cóż, przynajmniej stwierdziła, że jesteś silny - odpowiedział Pendrag. - Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby nie była pod wrażeniem

twojej... siły.

- Racja - wyszczerzył zęby w uśmiechu Wolfgart. - Gdybym był królem, nie pogardziłbym nocą spędzoną z taką kobietą.

- To z pewnością byłoby ciekawe doświadczenie - zgodził się Pendrag. - Oczywiście, jeśli dożyłbyś do rana.

- Obaj jesteście szaleni - stwierdził Sigmar. - Prędzej wziąłbym do łóża wściekłego wilka niż Freyę.

- Nie zachowuj się jak stara baba - powiedział Wolfgart, najwyraźniej rozkoszując się zażenowaniem Sigmara. - To byłaby niezapomniana noc i pomyśl o tych wojennych bliznach, które by ci zostały.

Sigmar potrząsnął głową.

- Mój ojciec zawsze mówił, że mężczyzna nie powinien brać do łóża dziewczki, której nie potrafi pokonać w walce. Czy którykolwiek z was sądzi, że byłby w stanie stawić czoła Freyi?

- Być może nie - odpowiedział Wolfgart. - Ale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby spróbować.

- Miejmy nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał, przyjacielu - podsumował Pendrag.

* * *

Zanim słońce skryło się za zachodnim horyzontem, napięcie panujące w Reikdorfie w dniu pogrzebu króla Björna stało się wyczuwalne. Zaraz po tym, jak słońce stanęło w zenicie, w długim domu rozpoczęła się wielka uczta. Piwo i inne trunki płynęły strumieniami, a zgromadzeni władcy i wojownicy pili, wnosząc toasty za pamięć króla Björna. Setki kobiet i mężczyzn ze wszystkich stron świata wypełniało długi dom i Sigmar był podekscytowany, widząc tak wielu gości z tak odległych krain.

Na ucztę zabito najlepsze sztuki z unberogeńskich stad i upieczono setki bochenków chleba. Stoły na kozłach zajmowały całą długość jednej ze ścian, a na nich piętrzyły się beczki piwa z nadrzecznego browaru i dziesiątki dzbanów z zachodnim winem. Żar płynący z głównego paleniska ogrzewał pomieszczenie, a smakowity zapach pieczonego mięsa rozbudzał apetyt.

Endalscy dudziarze wypełniali salę muzyką, a do rytmu przygrywali im dobosze na bębnach. Panowała uroczysta, choć nieco napięta atmosfera. Był to czas, kiedy wspomniano wielkie czyny sławnego herosa, jego bohaterskie życie, które teraz dobiegło końca, a on sam zasiadł na dworze Ulryka. Ciało króla spoczywało w Domu Leczenia, dogłądane przez akolitów Morra.

Przybyli oni w zeszłym tygodniu z Brackenwalsch, aby przygotować ciało do pochówku.

Jak na razie atmosfera w Reikdorfie była napięta, ale wolna od przemocy. Członkowie każdego z plemion szanowali rozejm zawarty na czas zgromadzenia, a Eoforth rozsądnie umieścił wojowników plemion, które były wrogo do siebie nastawione, jak najdalej od siebie. Żeby zapewnić maksimum bezpieczeństwa, Alfgeir i Białe Wilki krążyli po salach z młotami przywieszonymi u pasów i kielichami napełnionymi mocno rozcieńczonym winem.

W powietrzu unosił się głośny gwar rozmów i pieśni, odbijający się echem od krokwi. Sigmar usiadł na swym tronie, obrzucając najpierw wzrokiem pusty tron ojca, a następnie zgromadzony na sali tłum.

Król Marbad snuł opowieść o mglistych demonach z bagien, a unberogeńscy wojownicy głośno domagali się kolejnych szczegółów o bitwach, które stoczył w młodości u boku Björna. Krugar i Aloysis opowiadali o wojnie z Norsami i o tym, jak Björn ruszył w sam środek muru z tarcz i ściał głowę nieprzyjacielskiego dowódcy w zaciekłym pojedynku.

Każdy władca miał swoją historię. Sigmar przysłuchiwał się, gdy królowa Freya opowiadała o ostatecznym zwycięstwie nad orczym plemieniem Krwawego Noża, o bitwie, która na dekadę zapewniła wschodnim terenom spokój od orczych najazdów. Wielu z Unberogenów obecnych na uczcie brało udział w tej walce. Teraz, gdy ponownie przeżywali dawne zwycięstwo, po sali poniosło się echo trzonków toporów uderzających w blaty stołów.

Królowa zakończyła opowieść komplementem pod adresem jurności króla Björna i Sigmar początkowo był zaskoczony, ale potem domyślił się, że dzielenie łoża z dziką królową było ceną, jaką przyszło ojcu zapłacić za pomoc jej wojowników w bitwie przeciwko orkom. Zaczął się zastanawiać, czy i on będzie do tego zmuszony, chcąc ją przekonać do swojej sprawy. Na samą myśl przeszły go dreszcze.

Obrócił się w stronę sali i zorientował się, że zaraz wybuchnie awantura, na chwilę przed tym, zanim padły pierwsze ostre słowa. Jeden z Jutonów, potężny mężczyzna z rozwidloną brodą, włosami splecionymi w warkocze i twarzą poznaczoną wieloma bliznami zbliżał się w stronę endalskich dudziarzy.

Widać było, że obrał sobie za cel młodego chłopca, który być może był

wyższy od Jutona, ale z pewnością był też dużo młodszy i niewprawiony w walce.

- Na bogów, uszy mnie bolą od tego hałasu! Toż to brzmi, jakby ktoś spółkował z owcą! Dlaczego nie zagrać czegoś, co można by nazwać muzyką?! - wrzasnął Juton, wyrrywając dudy z rąk chłopaka i ciskając je w płomień.

Pozostali dudziarze przestali grać, a grupa Endalów zerwała się na równe nogi z gniewnie zaciśniętymi pięściami. Z ławki naprzeciwko podnieśli się z kolei Jutonowie w kolorowych kamizelach. Alfgeir dostrzegł, że zaraz dojdzie do konfrontacji i zaczął przepychać się przez tłum, aby zainterweniować.

Jutonowie i Endalowie mierzyli się wzrokiem, a w tymczasem król Marbad skinął na pozostałych dudziarzy i ponownie rozległa się muzyka.

- To jest właśnie muzyka, Jutonie! - krzyknął jeden z Endalów, wyciągając zwęglone resztki dud z ognia. - A nie ten harmider, którego słuchacie i od którego krew się puszcza z uszu!

Marszałek Reiku wreszcie dotarł do Jutona i szarpnąwszy go za ramię, obrócił w swoją stronę. Jednak mężczyzna był już rozwścieczony i nie miał zamiaru dać się wyprowadzić po dobroci. Zamachnął się pięścią na Alfgeira, ale czempion był przygotowany na atak i opuścił głowę. Pięść Jutona uderzyła w czoło Alfgeira i napastnik wrzasnął z bólu.

Alfgeir odsunął się do tyłu i wymierzył cios młotem w brzuch mężczyzny. Ten aż złożył się w pół i gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. W tym momencie za plecami Alfgeira pojawiło się dwóch Białych Wilków, którzy przejęli unieszkodliwionego wojownika.

Po tym zdarzeniu Jutonowie rzucili się na Alfgeira z pięściami, próbując dosięgnąć jego twarzy. Marszałek Reiku rozdawał ciosy na prawo i lewo, a jednemu ze szczególnie napastliwych Jutonów wbił trzonek młota w twarz, łamiąc mu nos i gruchocząc szczękę. Endalowie skoczyli na pomoc Alfgeirowi i już wkrótce w powietrzu migwały pięści i stopy, gdy zgromadzeni dali się ponieść skrywanej niechęci i dawnym urazom.

Sigmar zeskoczył z tronu i podbiegł do miejsca starcia, zagniewany głupotą bezsensownej bójki. Wojownicy w całej sali powstali gotowi do walki, więc Sigmar przyspieszył, przedzierając się w stronę swego czempiona. Mężczyźni z początku gniewnie reagowali na przedzierającego się między nimi człowieka, ale cichli i ustępowali miejsca, zauważając, kto

toruje sobie drogę.

Krąg walczących zaczął się poszerzać na podobieństwo kręgów na wodzie wywołanych przez ciśnięty w odmęty kamień. Królowa Freya skoczyła do boju niczym upiorna płaczka, podczas gdy Taleutenowie walczyli z Jutonami, a Cherusenowie siłowali się z piszczącymi asoborneńskimi wojownikami.

Jak do tej pory, nikt oprócz Alfgeira, nie wyciągnął broni, ale było to tylko kwestią czasu, zanim zgromadzeni chwycą za miecze i topory, a uczta zakończy się krwawą bijatyką. Niewiele myśląc, Sigmar uniósł Ghal-maraza i skoczył pomiędzy walczących.

Opuścił potężną broń na blat stołu i roztrzaskał go na drzazgi.

Obuch uderzył w ziemię z ogłuszającym trzaskiem, a z miejsca, w które trafił młot, popłynęła fala mocy zwalająca wszystkich dookoła z nóg.

Zapadła cisza, a Sigmar stanął pośrodku przewróconych wojowników.

- Dość tego! - krzyknął. - Zgromadziliście się tutaj na prawach rozejmu! Czy muszę rozwalić kilka głów, zanim rozumiecie znaczenie tego słowa?!

Nikt nie odpowiedział, a ci, którzy leżeli najbliżej Sigmara, mieli na tyle przyzwoitości, żeby zacząć wyglądać na zawstydzonych.

- Zebraliśmy się tu po to, aby uczcić pamięć mego ojca, który walczył wraz z większością z was w nieprzeliczonych bitwach. Pod jego sztandarem gromadziliście się jako szlachetni wojownicy, a teraz w ten sposób chcecie oddać mu hołd? Bijąc się między sobą jak zielonoskórzy?

Sigmar kontynuował:

- Stare sagi mówią, że bogowie stworzyli nas szaleńcami, ponieważ nasze wojny są zawsze wesołe, a nasze pieśni smutne. Dotychczas nie rozumiałem tych słów, ale myślę, że nareszcie je pojąłem.

Słowa płynęły z ust Sigmara nieprzerwanym potokiem. Wypełniało go marzenie o imperium i dawał temu wyraz, przechodząc wzdłuż ojcowskiej sali i dzierżąc przed sobą potężny młot bojowy.

- Cóż z nas za rasa, że zabijamy się nawzajem, podczas gdy dookoła czają się liczni wrogowie, którzy chętnie by nas w tym wyręczyli? Z roku na rok w bratobójczych walkach ginie coraz więcej wojowników, podczas gdy orcze hordy i bestie rosną w siłę. Jeżeli to się nie zmieni, wyginiemy lub zostanie nas garstka. Jeżeli my się nie zmienimy, nie zasługujemy na to, żeby przetrwać.

Sigmar uniósł Ghal-maraza, a blask bijący od ognia zalśnił w runach

wyrytych na trzonku i potężnym obuchu.

- Los rzucił nas w te ziemie i jedynym sposobem, abyśmy pozostali ich władcami, jest odrzucenie różnic i zrozumienie wspólnego celu, jakim jest przetrwanie. Czyż wszyscy nie jesteśmy ludźmi? Czy nie chcemy tego samego dla naszych rodzin i dzieci? Jeżeli odrzucić nieistotne różnice, wszyscy jesteśmy śmiertelnikami, wszyscy żyjemy na tym samym świecie, oddychamy tym samym powietrzem i zbieramy takie same plony.

Król Taleutenów, Krugar, wystąpił naprzód i odezwał się:

- Walka leży w naturze człowieka, Sigmarze. Tak zawsze było i będzie.

- Nie - rzekł twardo Sigmar. - Wcale nie musi tak być.

- Co proponujesz? - zapytał król Cherusenów, Aloysis.

- Żebyśmy stali się jednym narodem! - krzyknął Sigmar. - Żebyśmy walczyli przeciwko wspólnemu wrogowi, a nie przeciwko sobie nawzajem. Kiedy jeden kraj będzie zagrożony, wszystkie będą zagrożone. Kiedy jeden z królów wezwie pomocy, wszyscy pozostali muszą odpowiedzieć.

- Jesteś marzycielem, przyjacielu - odpowiedział Krugar. - Składamy Przysięgi Miecza między sąsiadami, ale walczyć za króla z odległych krain? Dlaczego mielibyśmy dbać o życie obcych ludzi na równi z naszym własnym?

- A dlaczegożby nie? - zaripostował Sigmar, a jego głos niósł się echem po cichej sali. - Pomyśl o tym, co moglibyśmy osiągnąć, gdybyśmy się zjednoczyli. Jakich wielkich odkryć moglibyśmy dokonać, gdybyśmy nie musieli martwić się o nasze ziemie? Jakie cuda mogliby wymyślić nasi uczeni i myśliciele wolni od ciężaru trosk związanych z zapewnieniem sobie pożywienia i ochrony, a skupieni całkowicie na poprawie ludzkiego losu?

- A kto miałby rządzić tym rajem? - zapytał wprost Aloysis. - Ty?

- Jeżeli jestem jedynym, który w to wierzy i potrafi wprowadzić w życie, to czemu nie?! - zawołał Sigmar. - Ale mógłby to być ktokolwiek, byleby był sprawiedliwym, mądrym i silnym władcą, popieranym przez swych dowódców i wojowników. Powinni mu zaufać, a w zamian otrzymaliby ochronę od każdego wojownika w całym kraju.

- Naprawdę wierzysz, że to może się udać? - zapytał z niedowierzaniem Aloysis.

- Wierzę, że to musi się udać - potwierdził Sigmar, wyciągając przed siebie Ghal-maraza. - Wierzę, że jesteśmy kowalami naszego losu. Musimy się zjednoczyć w walce o wspólne przetrwanie, to jedyna droga. Potężny

krasnodzki król dał mi tę wspaniałą broń swych przodków, a ja przysięgłem na jej moc, że dokonam tego w ciągu swojego życia.

Wtem drzwi od długiego domu otworzyły się, przez salę powiał zimny podmuch, a szorstki, dźwięczny głos wypowiedział z silnym akcentem te słowa:

- Pięknie powiedziane, człeczyno, ale Ghal-maraz to coś więcej niż broń. Myślałem, że to zrozumiałeś, kiedy ci go dawałem.

Sigmar uśmiechnął się i obejrzał za siebie. W drzwiach do długiego domu stała niska, krępa postać o muskularnej sylwetce. Blask płomieni odbijał się od wspaniałej, błyszczącej zbroi, której widok zapierał każdemu ze zgromadzonych wojowników dech w piersiach. Na migoczącym napierśniku wyryte były złote i srebrne młoty oraz błyskawice, a krótkie nogi wojownika okrywały równie pięknie wykonane nagolenniki.

Twarz krasnodzka zakrywał hełm wystylizowany na kształt twarzy któregoś z krasnodzkich bogów. Kiedy gość wszedł do środka długiego domu, zdjął hełm.

Pod nim ukazała się blada, wiekowa twarz, okolona taką ilością zmierzwionych lub zaplecionych w warkocze włosów oraz siwą brodą, że ledwo można było dostrzec pod tym rysy. Oczy krasnodzka jaśniały przedwieczną mądrością i wiedzą wymykającą się ludzkiemu pojmowaniu. Sigmar opuścił Ghal-maraza i opadł na jedno kolano.

- Królu Kurganie Żelaznobrody - powitał gościa. - Witaj w Reikdorfie.

* * *

Oczy wszystkich zgromadzonych utkwione były w Wielkim Królu krasnodzów, gdy kroczył dostojnie pomiędzy wojownikami w stronę podium wzniesionego nieopodal Sigmara i Eofortha. Wieści o przybyciu krasnodzów szybko się rozeszły i do sali napływali wciąż nowi wojownicy, ciekawi tego, o czym będzie mówił król ludu gór.

Mistrz Alaryk, nadszedłszy ze swojej kuźni, pozdrowił króla jak dawno niewidzianego przyjaciela, po czym wymienili kilka zdań w swoim języku, a następnie król ze smutkiem pokiwał głową i odwrócił się.

Strażnicy królewscy byli potężnymi krasnodzami w misternie wykonanych zbrojach, wykutych z metalu, który lśnił bardziej niż najstaranniej wypolerowane srebro i który odbijał światło pochodni oślepiającym blaskiem. Każdy z wojowników nosił wielki topór, porównywalny rozmiarem z każdym noszonym przez najsilniejszych z

unberogeńskich toporników. Krasnoludy zachowywały rezerwę wobec zgromadzonych. Żaden z ludzi nie odważył się jeszcze do nich odezwać, ponieważ sprawiali wrażenie istot nie z tego świata, dziwnych i niebezpiecznych.

Król Kurgan powitawszy Sigmara, ruszył poprzez tłum, rozdzielając ludzi, tak jak statek pruje poprzez fale, aż wreszcie dotarł do podium ustawionego przed tronem unberogeńskich królów.

- Pamiętasz ten dzień, kiedy ofiarowałem ci topór, człeczyno? - zapytał Wielki Król.

- Pamiętam doskonale, królu - odpowiedział Sigmar, ruszając w ślad za Kurganem Żelaznobrodym.

- Najwidoczniej jednak nie bardzo - mruknął Kurgan. - Inaczej pamiętałbyś, że to Ghal-maraz wybrał ciebie. Tamtego dnia dostrzegłem w tobie coś wyjątkowego, chłopcze. Nie spraw, żebym zaczął żałować, że podarowałem ci dziedzictwo mego rodu.

Król Kurgan zwrócił się do zgromadzonych wojowników:

- Czy wiecie, w jaki sposób ten młodzieniec zdobył Ghalma-razą?

Nikt nie odważył się odpowiedzieć królowi, aż wreszcie Wolfgart zakrzyknął:

- Słyszeliśmy tę opowieść raz czy dwa, ale może przypomnisz ją nam, królu Kurganie?!

- Dobrze więc - pokiwał głową Kurgan. - Może rzeczywiście powinienem. Wygląda na to, że komuś warto przypomnieć, co oznacza nosić przedwieczną broń krasnoludzką. Ale najpierw muszę przepłukać usta piwem. Droga z gór była długa i męcząca.

Mistrz Alaryk prędko przytoczył beczułkę piwa i smakowity aromat wyśmienitego krasnoludzkiego *ale* dotarł do tych, którzy znajdowali się najbliżej. Napełniono kufel aż po przykrywkę i podano go Kurganowi. Król krasnoludów wziął spory łyk, po czym pokiwał głową z ukontentowaniem, zanim odstawił kufel na oparciu tronu króla Björna.

- Zatem słuchajcie, człeczyno - rozpoczął Kurgan. - Nadstawiajcie uszu, ponieważ nie usłyszycie tego po raz drugi z ust krasnoluda, jak długo będziecie żyć, gdyż jest to opowieść o mojej hańbie.

Wśród ludzi dało się słyszeć stłumiony pomruk zaciekawienia i nawet Sigmar, który znał opowieść o Ghal-marazie lepiej niż ktokolwiek inny, czuł zapierające dech w piersiach podniecenie, ponieważ nie sądził, że kiedyś

usłyszy króla krasnoludów opowiadającego o tej przygodzie w sali pełnej członków rozmaitych ludzkich plemion.

- Mam wrażenie, że to było wczoraj - rozpoczął Kurgan. - Ponieważ dla mojej rasy czas, który upłynął od tamtego wydarzenia, minął jak mgnienie oka. Ku mej rozpaczy pamiętam wszystko bardzo dokładnie. Wraz z moimi towarzyszami podróżowaliśmy przez lasy w stronę Gór Szarych, aby odwiedzić jeden z wielkich południowych klanów, Kamienne Serca. Wspaniali kamieniarze, ale niezwykle chciwi na złoto. Kochają je bardziej niż jakikolwiek inny klan krasnoludzki, a to jest coś, wierzcie mi.

- A wracając do opowieści, właśnie przekroczyliśmy rzekę, kiedy zaatakowali nas po trzykroć przekłęci zielonoskórzy pod dowództwem wielkiego czarnego orka o imieniu Vagraz Depczący Czerepy. Był on sprytny niczym łasica, poczekał, aż będziemy gotowi do rozbicia obozu na noc i otworzymy beczułki z piwem. Dopiero wtedy na nas napadł. Czarne strzały odebrały życie memu krewniakowi, Threkkiemu, dziurawiąc mu gardło. Jego biała broda poczerwieniała, jakby zachodziło w niej słońce, nigdy nie zapomnę tego widoku. Nasi żołnierze, krasnoludy, które znałem od tylu lat, że człowiek mógłby się dwukrotnie narodzić i umrzeć w podeszłym wieku, byli zabijani bez litości, a gobliny podcinały ścięgna przerażonym kucykom. Przyjaciele z rodzinnych stron ginęli pod ciosami zielonoskórych. Pamiętam, że kiedy wzięli nas w niewolę, pomyślałem sobie, że powinni nas raczej od razu pozabijać.

- Zabrali nam złoto i skarby, a także naszą broń. Był to z pewnością przekłęty dzień i pamiętam, że pomyślałem też:

Kurganie, jeżeli jakimś sposobem uda ci się z tego wykaraskać, to nie ujdzie im to płazem... Ale zanadto wybiegam w przyszłość i w gardle mi zasycha podczas opowiadania tej historii.

Krasnoludzki władca przerwał, aby zaczerpnąć kolejny łyk piwa. Publiczność wpatrywała się w niego oczarowana opowieścią snutą twardym jak żelazo głosem. Był to głos brzmiący niezwykle pewnością siebie, ale nie arogancją, ponieważ król doświadczył porażki, która nauczyła go pokory.

- Tak więc przywiązano nas do wbitych w ziemię pali i stanowiliśmy dla orków rozrywkę. Mogliśmy spróbować rozluźnić więzy i umrzeć z godnością, ale nawet to nam odebrano, wiążąc nas przy użyciu naszej własnej liny, mocnej krasnoludzkiej liny, której nawet ja nie potrafiłem rozerwać. Dookoła nas Vagraz i jego kompani siedzieli niczym królowie na naszych

skarbach, popijając pięćsetletnie piwo, które warte było armii w złocie i pożywiając się ciałem naszych zabitych przyjaciół. Walczyłem i walczyłem, ale nie byłem w stanie wydostać się z więzów.

- Spojrzałem temu wielkiemu czarnemu orkowi prosto w oczy i nie wstydzę się przyznać, że była to cholernie przerażająca bestia. Jego ślepie były, wiecie... czerwone jak ognie, które płoną w kuźni, pełne nienawiści i gniewu... tak silnej nienawiści. Miał zamiar nas torturować, jednego po drugim, chcąc, abym patrzył na śmierć wszystkich mych przyjaciół, zabijanych dla zabawy przez jego kamratów. Chciał, abym błagał o litość, ale nikt nie usłyszy tego z ust krasnoluda, a już na pewno nie jakiś przeklęty ork! Poprzysiągłem sobie wtedy w duchu, że przed wschodem słońca sprawię, że bestia zginie.

Z ust zgromadzonych wydobył się spontaniczny okrzyk poparcia i Sigmar zdał sobie sprawę, że zasłuchał się w opowieść Kurgana. Wszyscy mężczyźni w sali wyciągali się do góry i napierali do przodu, aby wyraźniej słyszeć słowa padające z ust władcy krasnoludów.

- Zaiste, człeczyny, były to odważne słowa, ale kiedy mój wierny doradca Snorri, był ciągnięty w stronę ognia, nie waham się przyznać, że pomyślałem, iż mój czas na tym świecie dobiega końca i że niedługo spotkam się z przodkami. Ale to nie był jeszcze koniec.

Kurgan podszedł do Sigmara i położył dłoń w stalowej rękawicy na piersi księcia.

- Zielonoskórzy właśnie zabierali się do torturowania starego Snorriego, gdy nagle powietrze wypełniło się strzałami, ludzkimi strzałami. Z początku nie wiedziałem, co się dzieje, ale potem zobaczyłem tego chłopca tutaj, jak prowadzi grupkę mizernie wyglądających mężczyzn o wymalowanych ciałach prosto w środek orczego obozowiska. Ludzie wrzeszczeli przy tym i wyli, zachowując się jak jakieś, nie przymierzając, dzikusy.

- Wciąż byłem daleki od radości, ponieważ pomyślałem, że jedyna zmiana naszej sytuacji polega na tym, że zaraz zastaniemy obrabowani i zabici nie przez orki, ale przez ludzi. Ale po chwili nasi wybawcy zaczęli zabijać zielonoskórych z taką odwagą i skutecznością, jakbym sam tam stał i rozdawał ciosy mym potężnym młotem. Nigdy wcześniej nie widziałem ludzi walczących z orkami z taką zażartością i dzielnością. Wtedy zauważyłem, że chłopak wskakuje pomiędzy mur ustawiony z orczych tarcz i zaczyna ciąć i dźgać swoim małym brązowym mieczykiem. Szaleństwo, pomyślałem,

przecież nie ujdzie z tego z życiem, ale jemu się udało i nie tylko przeżył, ale i pozostawił wokół siebie krąg zabitych zielonoskórych.

- Rozumiecie, że nie jestem krasnoludem, któremu łatwo zaimponować, ale obecny tu młody Sigmar walczył tak, jakby obserwowały go duchy wszystkich przodków. Uwolnił nas z więzów, a słup, do którego był przywiązany stary Borris, wyciągnął własnymi rękami z ziemi. Po tym, jak ludzie pomogli nam się wyswobodzić, zwróciłem się do młodego Sigmara i powiedziałem mu, że on i jego ludzie niechybnie zginą bez naszej pomocy. Powiedziałem mu też, że ja i moje chłopaki mieliśmy ze sobą potężną runiczną broń i że wiem dokładnie, gdzie jej szukać.

Kurgan przerwał na chwilę i rzucił Sigmarowi pełne skruchy spojrzenie.

- No cóż, może nie dokładnie, ale wiedziałem, gdzie zacząć szukać. Spodziewałem się, że Vagraz trzymał cały łup w swoim namiocie, ponieważ nawet ork potrafi rozpoznać dobrą broń, kiedy ją zobaczy, a to z pewnością była najlepsza broń, jaką widział w życiu.

Tymczasem Sigmar walczył z bestią i tańczyli wokół siebie, zadając sobie nawzajem ciosy, chociaż chłopak był na straconej pozycji ze względu na topór i zbroję, jakimi dysponował Vagraz. Do tej pory nie wiem, jaką magią zajmują się orczy szamani, ale czarna magia zaklęta w tych przedmiotach musiała być potężna. Wokół topora błyskały czarne płomienie, a zbroja zdawała się odpierać wszystkie, nawet najbardziej zajadłe ataki Sigmara, sprawiając, że ork wychodził z nich bez najmniejszego draśnięcia, Sigmara przeszedł dreszcz na wspomnienie walki ze zwalistym orkiem. Każdy jego cios był odpierany, a z kolei każde uderzenie nieprzyjacielskiego topora o mały włos mogłoby zakończyć jego młode życie. Nawet sześć lat później budził się czasem w nocy obłany potem z koszmaru o tamtej desperackiej walce o życie.

- A więc pobiegłem do namiotu watażki i zacząłem przetrząsać wszystko w poszukiwaniu mego starego przyjaciela, Ghal-maraza, ale łupy leżały porzucane na stertach i nigdzie nie mogłem go znaleźć. Odnalazłem moją zbroję, ale żadnej broni, oprócz ludzkiego miecza, który, bez obrazy, ale nie mógł się do niczego przydać, z powodu swej lichoty. Dlatego szukałem czegoś bardziej przydatnego i niestety nic nie mogłem znaleźć, a z każdą chwilą ginęli kolejni ludzie Sigmara i słyszałem, jak Vagraz śmieje się coraz głośniejsze, przekonany, że zaraz pozabija nas wszystkich.

- Wtedy odnalazłem Ghal-maraza. Przeklinałem właśnie orki wszystkimi

znanymi krasnoludom obelgami, gdy moja dłoń zacisnęła się na obuchu z zimnej stali. Poznałem go po dotyku i bez zastanowienia wydobyłem ze sterty łupów.

Sigmar wyciągnął przed siebie potężny młot bojowy, a Kurgan wziął go od niego, przesuwając dłonią po niesamowitej broni. Runy zamigotały, ale Sigmar nie wiedział, czy spowodował to dotyk członka rasy jego twórców, czy to był tylko zwykły odbłask ognia z paleniska. Oczy króla Kurgana pojaśniały na widok broni. Wyciągnął ją przed siebie i uśmiechnął się smutno.

- Tak właśnie dzierżyłem Ghal-maraza, gotując się do walki, mimo że byłem wyczerpany i ranny. Ale krasnolud nigdy nie uchyla się od bitwy, chyba że jest martwy. A nawet jeśli rzeczywiście nie żyje, to lepiej, żeby był naprawdę bardzo martwy, bo inaczej przodkowie zamienią z nim słówko, kiedy zjawi się po drugiej stronie! Ale podniósłszy młot, zrozumiałem, że nie mnie było przeznaczone walczyć nim tego dnia. Widzicie, moc zaklęta w Ghal-marazie jest przedwieczna, nawet dla nas, krasnoludów, i broń sama wybiera tego, kto będzie ją nosił. Prawdę mówiąc, myślę, że ten młot był od początku przeznaczony dla ciebie, Sigmarze, długo przed tym, zanim przyszedłeś na świat. Sądzę, że przez długie, samotne stulecia czekał na ciebie i na moment, w którym będziesz gotów go podjąć.

- Dlatego też zamiast ruszyć do ataku, rzuciłem Ghal-maraza Sigmarowi, który bronił się ostatkiem sił, a Vagraz lada chwila miał mu ściąć tę jego młodą głowę. Niech szczenę, jeżeli chłopak nie chwycił młota w locie i nie sparował nim ciosu orczego topora. W tym momencie szanse się wyrównały i nagle Vagraz przestał być taki pewny siebie, a zaczął się ślinić, zgrzytając wielkimi kłami i wydając z siebie potępieńcze jęki.

Ale obecny tu Sigmar nie dał się zwieść i wyczuł osłabienie przeciwnika. Natarł na niego z całą siłą i cios za ciosem spychał orka do tyłu, aż wreszcie bestia padła na kolana.

Sigmar uśmiechnął się na wspomnienie tamtej chwili, znowu czując wypełniający go wtedy żar i uczucie spełnienia, kiedy uniósł potężny młot nad głową watażki i przygotował się do zadania śmiertelnego ciosu.

- Pamiętasz, co mu wtedy powiedziałeś? - zapytał Kurgan.

- Powiedziałem: Czy to wszystko na co cię stać? - odpowiedział Sigmar.

- Dokładnie - potwierdził Kurgan. - Po czym roztrzaskałeś mu czaszkę jednym uderzeniem. Myślę, że niewielu potrafiłoby powtórzyć ten wyczyn,

nawet z użyciem krasnoludzkiego młota. W tym momencie szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę. Orki nie lubią, kiedy zabija się ich wielkiego przywódcę, bo ich odwaga łamie się wtedy niczym kruche żelazo. Po śmierci Vagraza poszły w rozsypkę. Pamiętam, że kiedy bitwa dobiegła końca, próbowałeś oddać Ghal-maraza, bardzo honorowy gest jak na człowieka, pomyślałem, ale spojrzawszy w twoje oczy dostrzegłem, że emanują one energią, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie widziałem.

Światła w długim domu zdawały się przygasać w miarę, jak król krasnoludów zbliżał się do końca opowieści, tak jakby budowla wzniesiona przez jego współbraci chciała wzmocnić efekt wywołany przez historię.

- Twarz Sigmara skryta była w cieniu i tylko oczy błyszczały w ciemności niesamowitym światłem. Nawet spojrzenie przywódcy zielonoskórych nie miało surowej mocy. Wtedy zrozumiałem, że ten chłopak jest kimś wyjątkowym. Byłem tego tak pewien, jakbym mówił o kamieniu czy piwie, czyli o rzeczach, na których naprawdę się znam. Spojrzałem na Ghal-maraza i zrozumiałem, że nadszedł czas, abym przekazał tę wspaniałą broń, dziedzictwo mego rodu człowiekowi. Nic takiego nigdy nie wydarzyło się w długiej, krasnoludzkiej historii, ale myślę, że życie władcy krasnoludów warte jest daru w postaci Rozbijacza Czaszek.

Kurgan przeszedł przez podium i ponownie wręczył Sigmarowi Ghal-maraza, wykonując przy tym ukłon przed młodym księciem, a następnie jeszcze raz zwracając się w stronę zasłuchanej w nabożnym skupieniu publiczności.

- Podarowałem Sigmarowi ten młot nie bez powodu. Z pewnością jest to broń i to potężna, ale jest także czymś więcej. Ghal-maraz jest symbolem jedności i tego, co można osiągnąć poprzez zjednoczenie. Młot symbolizuje siłę i dominację, to szlachetna broń, która w przeciwieństwie do innych ma zarówno siłę niszczenia, jak i tworzenia. Młot może miażdżyć i zabijać, ale może też kształtować metal, budować domy i naprawiać to, co zostało zniszczone. Traktujcie ten wspaniały dar nie tylko jako broń, ale także jako symbol tego, o czym mówił Sigmar. Ludu zamieszkujący krainy na zachód od gór, rozważ słowa Sigmara, ponieważ przemawia przez niego pradawna mądrość.

Król Kurgan zstąpił z podium przy akompaniamencie hucznych oklasków. Sędziwy krasnolud wznosił do góry rękę, prosząc o ciszę, która natychmiast zapadła, ale nastroje były dużo bardziej radosne niż przed

chwilą.

- A teraz wypijmy za pamięć króla Björna i odeślijmy go w chwale do krainy przodków!

Księga trzecia

Wykuwanie legendy

*I wtedy imię
Sigmara, dzierżącego młot
Wielkiego Króla krasnoludów,
Stało się znane jak świat długi i szeroki.
Sigmar, potężny przywódca
Unberogenów i pozostałych ludzkich plemion.*

Rozdział 14

Zemsta

Blask bijący od płonących statków rzucał na wiszące nisko chmury czerwoną poświatę, przywodzącą na myśl piekielne otchłanie, w istnienie których ponoć wierzyli Norsowie. Sigmar obserwował z wysokości klifu szeroki pas oceanu i tysiące mężczyzn ginących na jego powierzchni, płonących żywcem na statkach lub ściąganych w odmęty przez ciężar swych zbroi.

Nie odczuwał współczucia dla umierających ludzi, nie czuł nic. Ich barbarzyństwo sprawiło, że Sigmar stracił dla nich cały szacunek. Szeroką zatokę wypełniały setki statków i mimo późnej pory było jasno jak w dzień, gdy unberogeńscy i udosescy łucznicy posyłali płonące strzały w żagle i kadłuby usiłujących umknąć z zasadzki okrętów.

- Na brodę Ulryka - szepnął Pendrag. - Czy masz zamiar ich wszystkich pozabijać?

Sigmar zagryzł usta, najwyraźniej powstrzymując się przed ciętym komentarzem, po czym skinął głową.

- Na nic więcej nie zasługują - sarknął król Wolfila. - Przelana krew moich ludzi woła o pomstę na ludziach północy.

- Ale to... - powiedział Pendrag. - To jest rzeź.

Sigmar nie odpowiedział, bo jakżeż mógłby wytłumaczyć bratu miecza swoje motywacje? Norsowie nie byli częścią jego wizji i nigdy nią nie będą. Bogowie północy stanowili wcielenie krwawej rzezi, a tamtejsza kultura gloryfikowała barbarzyństwo i ofiary z ludzi. W imperium Sigmara nie było miejsca dla takich osobników. Ponieważ nie akceptowali jego zasad, musieli zginąć.

Blask bijący od ognia oświetlił twarz Sigmara, sprawiając, że jego przystojne, wyraziste rysy wyostriły się, a różnokolorowe oczy wydały się twarde jak kamień. Dwadzieścia pięć lat minęło od jego narodzin na wzgórzu

Brackenwalsch i Sigmar wyrósł na postawnego mężczyznę.

Unberogeńska korona, która należała do niego od dwóch lat, jakie minęły od śmierci króla Björna i złożenia go w grobie na Wzgórzu Wojowników, spoczywała na jego głowie. Długi płaszcz z niedźwiedziej skóry zwisał z jego szerokich, potężnych ramion.

Tysiące wojowników stało na klifie, podzielonych na oddziały tych, którzy walczyli mieczami i tych, którzy ciskali włócznie. Udosesi cieszyli się na widok klęski Norsów, podczas gdy Taleutenowie, Cherusenowie i Unberogenowie z trwogą obserwowali, jak na ich oczach ginie całe plemię.

Gdy tylko grobowiec króla Björna został zamknięty, a kapłan Ulryka ukoronował Sigmara na króla Unberogenów, nowy władca ogłosił zaciąg do wojska następnej wiosny. Pendrag, a nawet Wolfgart, twierdzili, że to za wcześnie i próbowali odwieść Sigmara od tego pomysłu, ale on był niewzruszony.

- Czeka nas wiele pracy z wykuwaniem naszego imperium - powiedział wtedy Sigmar. - A z każdym mijającym dniem nasza szansa coraz bardziej wymyka się nam z rąk. Dlatego też, gdy tylko podczas następnej wiosny puszczą lody, ruszamy na Norsów.

Tak też uczynili. Pozostawiwszy w kraju wystarczająco dużo zbrojnych, aby bronili unberogeńskiej ojczyzny, Sigmar wraz z trzema tysiącami żołnierzy wyruszył na północ. Wezwał Cherusenów i Taleutenów do wypełnienia przysięgi złożonej jego ojcu. Zarówno Krugar, jak i Aloysis, niechętnie znowu ruszali do boju, ale gdy pod murami ich miast stacjonowało trzy tysiące wojowników, nie mieli innego wyboru, jak tylko ruszyć razem z Unberogenami na północ.

Jak łatwo można było przewidzieć, król Teutogenów, Artur, odmówił wsparcia sprawy Sigmara. Połączone armie trzech plemion ruszyły więc dalej w stronę ziem plemienia Udosesów, którzy codziennie cierpieli od ataków północnych grabieżców.

Siedziba króla Wolfili znajdowała się w strzelistym zamku z granitu na szczycie poszarpanego cyplu na północnym wybrzeżu, o który paręset metrów niżej rozbijały się gniewne fale. Sigmar polubił Wolfilę od pierwszej chwili, gdy go zobaczył, jadącego mu na spotkanie przez czarne wrota do potężnej fortecy. Wolfila miał włosy koloru zachodzącego słońca, splecione w rozliczne warkoczyki, i nosił kilt. Władał mieczem dorównującym rozmiarem broni Wolfgarta, a jego twarz pokrywały liczne blizny i tatuaże.

Północny król z wielką chęcią dołączył do kampanii Sigmara i powiódł ze sobą dzikich mężczyzn oraz kobiety, odzianych w kilty i o ciałach pokrytych malunkami, którzy zeszli z wąwozów i osad położonych wysoko w górach, aby dołączyć do armii.

Tak jak Sigmar przypuszczał, Norsowie dzielnie się bronili, ale nie byli w stanie odeprzeć ataku ośmiotysięcznej armii. Fala najeźdźców zalała ojczyznę Norsów, pałac i niszcząc wszystko, co napotkała na swej drodze.

Pogoda panująca na północy dała się południowym plemionom mocno we znaki. Przeróżające burze i ogniste błyskawice wstrząsały niebiosami, a wycie wiatru przypominało śmiech mrocznych bogów. Takie warunki osłabiały morale armii, ale Sigmar był bezlitosny w swym parciu na przód. Zapewniał wojownikom jedzenie i wodę, a także przy każdej okazji powtarzał im, że jest niezwykle dumny z tego, że może nimi dowodzić. Szli zatem dalej.

Od początku nie było wątpliwości, do kogo będzie należało ostateczne zwycięstwo, ponieważ armia południowców miała nad Norsami trzykrotną przewagę. Lud północy przegrywał, głodował i z przerażeniem ginął z rąk swoich niedoszłych ofiar.

Pod koniec każdej wygranej bitwy Sigmar zawsze pozwalał jednak tym Norsom, którzy przeżyli, zbiec w stronę północnego wybrzeża, gdzie były przycumowane ich statki. Mimo że Norsowie byli odważnymi wojownikami, to byli także ludźmi, którymi kierował instynkt przetrwania.

Kiedy Norsowie wsiedli na pokłady statków, Sigmar ujawnił najnowszą broń w swoim arsenale.

Z klifów otaczających zatokę wielkie katapulty wypuściły płonące pociski, które wystrzeliły w powietrze, a następnie opadły na pokłady drewnianych statków. Silny wiatr podsycił płomienie, a z każdą chwilą z klifów sypały się kolejne salwy.

Wkrótce cała flota Norsów stała w ogniu.

W tym momencie kilku dymiącym okrętom udało się odpłynąć od centrum piekła, które rozpętało się na wodach zatoki, ale było ich niewiele. W czasie krótszym, niż zajęło zainstalowanie machin wojennych, całe ludzkie plemię zostało niemal całkowicie zgładzone z powierzchni ziemi.

Sigmar obserwował rozgrywającą się poniżej rzeź z nieukrywaną satysfakcją. Niebezpieczeństwo ze strony Norsów grożące jego imperium zostało zażegnane i nie czuł żadnego żalu, obserwując tysiące ludzi

umierających na jego oczach.

Król Wolfila obrócił się w stronę Sigmara i podał mu prawicę.

- Moi ludzie chcieliby ci za to podziękować, królu Sigmarze. Powiedz mi, jak mogę ci się odwdzięczyć, ponieważ nie chcę być niczym dłużnikiem.

- Nie potrzebuję zapłaty, Wolfilo - odpowiedział Sigmar. - Chcę tylko, żebyś przysiągł, że od tej chwili jako król będziesz moim bratem oraz że ty i twoi wojownicy będziecie w przyszłości maszerować u mego boku po kolejne zwycięstwa.

- Zgadza się, Sigmarze - obiecał Wolfila. - Od tej pory Udosesi i Unberogenowie będą braćmi miecza. Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebował pomocy naszych wojowników, wystarczy że powiesz.

Królowie wymienili uścisk dłoni i Wolfila oddalił się sprężystym krokiem, aby dołączyć do swych żołnierzy, niosąc miecz i tarczę wysoko w górze, opromieniony blaskiem padającym od olbrzymich ognisk na dole, w których światło jego włosy nabrały koloru krwi.

- Oni nam tego nie zapomną - odezwał się Wolfgart po tym, jak król Wolfila ich opuścił. - Mam na myśli tych, którzy ocaleją. Któregoś dnia wrócą, żeby się za to zemścić.

- Będziemy się tym martwić później - odpowiedział Sigmar, odwracając wzrok od rozgrywającej się poniżej rzezi.

Oczy Pendraga miały wyraz wielkiego smutku i gniewu. Chwyił Sigmara za ramię i zmusił go, aby ten jeszcze raz spojrział na płonące morze.

- Czy tak to ma wyglądać, bracie? Czy w taki sposób chcesz wykuwać swoje imperium? Mordując? Jeżeli tak, to ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

- Nie, to wcale nie tak ma wyglądać - odburknął Sigmar, strząsając z ramienia rękę przyjaciela. - Ale co według ciebie miałem zrobić z Norsami? Wchodzić z nimi w układy? Przecież to barbarzyńcy!

- A czy my nimi nie jesteśmy, czyniąc coś takiego?!

- Czyniąc coś takiego, jesteśmy zwycięzcami - odpowiedział Sigmar. - Słucham ich krzyków i myślę o ludziach, którzy zginęli pod ostrzami ich toporów i mieczy. I cieszę się, że robimy to, co robimy. Myślę o kobietach zgwałconych lub wziętych w niewolę, o dzieciach złożonych w ofierze na krwawych ołtarzach i cieszę się, że to robimy. Myślę o tych wszystkich ludziach, którzy będą mogli spokojnie żyć, dzięki temu, co musieliśmy dzisiaj zrobić, i cieszę się, że to robimy. Czy mnie rozumiesz, Pendragu?

- Myślę, że tak, bracie - odpowiedział Pendrag, odwracając się. - Ale bardzo mnie to zasmuca.

- Dokąd idziesz? - zapytał Sigmar.

- Nie wiem - odparł Pendrag. - Daleko stąd. Rozumiem, dlaczego to musiało się dokonać, ale nie mam ochoty słuchać przedśmiertnych jęków tych, których palimy żywcem.

Pendrag ruszył ścieżką w dół klifu, przeciskając się między uzbrojonymi wojownikami. Sigmar chciał ruszyć za nim, ale Wolfgart powstrzymał go.

- Niech idzie, Sigmarze. Zaufaj mi, potrzebuje trochę побыć sam.

Sigmar pokiwał głową i powiedział:

- A czy ty rozumiesz, że musieliśmy to zrobić?

- Tak - odpowiedział Wolfgart. - Rozumiem, ale tylko dlatego, że nie mam takiego serca jak Pendrag. On jest myślicielem i w chwilach takich, jak ta... No cóż, to trochę jak przekleństwo. Ale nie martw się, dojdzie do siebie.

- Mam nadzieję - powiedział Sigmar.

- I co teraz? - zapytał Wolfgart.

- Teraz złożymy ofiary dziękczynne Ulrykowi i Morrowi. Koniec bitwy to początek obowiązku wobec zmarłych.

- Miałem na myśli, co z nami. Wracamy do domu?

Sigmar potrząsnął głową:

- Nie, jeszcze nie. Jest jeszcze jedna sprawa na północy, którą musimy się zająć, zanim wrócimy do Reikdorfu.

- To znaczy?

- Artur - odpowiedział Sigmar.

Unberogeńska armia ruszyła z miejsca pogromu Norsów wzdłuż północnych zboczy gór, zmierzając w stronę gniazda rodowego Teutogenów. Podróż przez lasy rosnące na północ od gór była najeżona niebezpieczeństwami i Sigmar niejednokrotnie wyczuwał nieludzkie oczy utkwione w sobie, jak gdyby z leśnych ostępów obserwowała ich cała armia potworów.

Gdy wreszcie przekroczyli dach świata i wynurzyli się spomiędzy cienistych lasów, Sigmar ujrzał górę Fauschlag, z której Artur sprawował rządy nad swym ludem.

Mimo że wciąż znajdowali się o sto kilometrów od szarej góry, wydawała

się ona olbrzymia i jedyna w swoim rodzaju, dominując nad krajobrazem niczym wymierzona w niebo iglica. Potężny szczyt stał oddzielony od wznoszącego się na wschodzie pasma gór i sprawiało to wrażenie, jak gdyby grupa szarych strażników wygnała jednego z towarzyszy ze swego grona. Obecność licznej armii nie przeszła oczywiście niezauważona przez Teutogenów i już wkrótce Sigmar czuł, że z każdym krokiem, który niesie ich bliżej w stronę góry Fauschlag, obserwuje ich coraz więcej nieprzyjaznych par oczu.

Dobrze utrzymana i przejezdna droga skręciła w pewnym momencie lekko na południe, w stronę mniej niebezpiecznych leśnych terenów, a następnie doprowadziła ich do podnóża gigantycznej fortecy północy. Ogrom skalnej budowli wydawał się trudny do ogarnięcia umysłem i uwierzenia, nawet gdy stało się przed nią osobiście.

Góra Fauschlag była tak wysoka, że z ziemi nie sposób było dostrzec osad znajdujących się na szczycie, ale smugi dymu wydobywające się z niektórych punktów doprowadziły ich do wykutego w podstawie góry zamku.

Wieże z polerowanego granitu wznosiły się po obu stronach szerokich wrót z hartowanego drewna, spiętych żelaznymi obręczami i zbitymi za pomocą grubych sworzni. Dziesiątki uzbrojonych wojowników strzegło murów, ich włócznie lśniły w świetle słonecznym, a błękitne i białe sztandary powiewały na wietrze.

Ze szczytu Fauschlagu zwisały ciężkie, grube łańcuchy, które opadały wzdłuż zbocza. Na górze przymocowane były potężnymi linami i żelaznymi obręczami wbitymi w skałę. Gdy zbliżali się do góry, Sigmar często widział, jak w górę i w dół za pomocą tych łańcuchów transportuje się klatki wypełnione ludźmi i towarami.

Sigmar zbliżał się w stronę zamku wraz z Pendragiem, który niósł jego sztandar opuszczony nisko na znak przybycia w celu pertraktacji. Strażnikom ogłosił, że przybył, aby wezwać Artura do odpowiedzialności za unberogeńską krew, którą przelali jego wojownicy.

Kolejne dni upłynęły bez odpowiedzi i frustracja Sigmara z dnia na dzień przybierała na sile, gdy czekał na wieści od króla Artura. Wreszcie, gdy słońce zaszło po raz trzeci, odkąd się tu zjawili, podjechał do nich posłaniec, który zjawił się od strony ukrytej w murze furtki.

Sigmar wyjechał emisariuszowi na spotkanie z Wolfgartem i Alfgeirem u swego boku, a także z Pendragiem, który w ciągu ostatnich dwóch tygodni

rzadko kiedy się odzywał, ale teraz niósł dumnie szkarłatny sztandar.

Zbliżający się jeździec był potężnym wojownikiem. Jego napierśnik i naramienniki pokryte były farbą białą jak świeży śnieg, a rude włosy zebrane były w warkocze. Szara wilcza skóra zwisała mu z ramion, a młot o długim trzonku był przypięty przed nim na grzbiecie rumaka, bestii o wysokości blisko siedemnastu dłoni.

- Ty jesteś Sigmar? - zapytał wojownik szorstkim głosem z silnym akcentem.

- Król Sigmar - poprawił go Alfgeir, sięgając w stronę zawieszanej u pasa broni.

- Przynosisz wiadomość od swego pana? - zapytał Sigmar.

- Tak - odpowiedział jeździec, ignorując rozgniewanego Alfgeira. - Jestem Myrsa, Wieczny Wojownik króla Teutogenów, Artura, i jestem tu, aby nakazać ci, byś opuścił te ziemie, gdyż inaczej czeka cię śmierć.

Sigmar skinął głową, ponieważ spodziewał się takiej odpowiedzi. Widział też po twarzy przybyłego wojownika, że nie podoba mu się to, iż jego pan nie przybył tu osobiście.

Wystąpił naprzód i odezwał się tymi słowami:

- Król Endalów, Marbad, powiedział mi kiedyś, że Artur popadł w pychę na szczycie swej niezdobytej twierdzy i widząc tę skałę wierzę, że tak się mogło stać. Któż nie zacząłby się wywyższać ponad innych, rezydując w tak potężnym zamczysku?

Twarz Myrsy poczerwieniała, gdy wysłuchiwał, jak Sigmar obraża jego pana, ale ten nie zamierzał przestać.

- Król, który raz zacznie przyczajać się za murami, potem boi się je opuszczać, nieprawdaż?

- To ziemie Teutogenów - powtórzył Myrsa, starając się nie podnosić głosu. - Jeżeli nie odejdziecie, twoi wojownicy zginą złamani potęgą Fauschlagu. Żadna armia nie pokona tych murów.

- Tak, tak, niezdobyte kamienne mury - przytaknął Sigmar. - Kamienne mury, za którymi Artur i wszyscy jego ludzie: mężczyźni, kobiety i dzieci, umrą z głodu, ponieważ mam tylu ludzi, że otoczę fortecę i skażę was na powolną śmierć. Oczywiście nie chciałbym tego, bo wolałbym, żeby Artur był moim przyjacielem, a nie wrogiem. Możesz zapytać Norsów, jak obchodzę się z wrogami. Przekaż Arturowi, że ma jeszcze jeden dzień, żeby do mnie wyjść, a potem wespnę się na tę przeklętą skałę i rozbiję mu głowę

na oczach jego ludzi.

Myrsa skłonił się sztywno i zawrócił konia w stronę zamku u podstawy Fauschlagu. Główne wrota otworzyły się i Wieczny Wojownik zniknął za nimi.

- Nie masz zamiaru tego zrobić, prawda? - zapytał Pendrag. - Mam na myśli zagłodzenie mieszkańców miasta na śmierć?

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedział Sigmar. - Ale musiałem sprawić, żeby on pomyślał, iż jestem w stanie to zrobić.

- Co w takim razie zamierzasz? - zadał pytanie Alfgeir.

- Dokładnie to, co mu powiedziałem - odparł Sigmar. - Jeżeli Artur do nas nie wyjdzie, mam zamiar wspiąć się na szczyt i wyciągnąć go z tej mysiej nory, w której się chowa.

- Wspiąć się na Fauschlag? - zapytał ze zdumieniem Wolfgart, mało nie skręciwszy sobie szyi, próbując zadrzeć głowę tak wysoko, aby ujrzeć szczyt.

- Właśnie tak - odpowiedział Sigmar. - To przecież nie może być trudne.

Później, gdy mięśnie paliły go żywym ogniem, a pot zalewał oczy, Sigmar pożałował swych przechwałek na temat łatwości, z jaką miał wspiąć się na Fauschlag. Spojrzawszy w dół, widział rozciągającą się poniżej połąć zielonych lasów, a na wschodzie górujące nad drzewami białe, górskie szczyty, podczas gdy na horyzoncie błyszczało dalekie morze.

Podniecenie wywołane widokiem rozpościerającym się z tego punktu było przytłumione jednak przez grozę faktu, że trzymał się kurczowo pionowej skalnej ściany wiedząc, że jedno poślizgnięcie dzieli go od runięcia tysięcy metrów w dół na spotkanie ze śmiercią.

Wspinaczki nie ułatwiał mu porywisty wiatr wiejący na tej wysokości. Sigmar mocniej chwycił się skalnych występów, zadarł głowę wysoko do góry, ale szczyt był wciąż niewidoczny. Wokół skały krążyły ptaki i Sigmar pozazdrościł im łatwości, z jaką szybowały w powietrzu.

Jego bracia miecza i Alfgeir próbowali go odwieść od pomysłu szaleńczej wyprawy, ale Sigmar wiedział, że nie może nie podjąć tego wyzwania. Oznajmił czempionowi Artura, że wespnie się na Fauschlag i nie zamierzał się z tego wycofać.

Sigmar zaryzykował szybki rzut oka w dół, po czym głośno przełknął ślinę, ujrzawszy swych żołnierzy stacjonujących na skałach otaczających

Fauschlag, którzy z tej wysokości wyglądali jak niewielkie kropki. W skupieniu obserwowali wspinaczkę swego króla, która miała mu przynieść chwałę lub śmierć.

- Wciąż jesteś ze mną, Alfgeirze?! - zawołał Sigmar, starając się przekrzyczeć podmuchy wiatru.

- Tak, panie - dał się słyszeć z dołu pełen napięcia i złości głos Alfgeira. - A czy ty wciąż uważasz, że to był dobry pomysł?

- Zaczynam myśleć, że mogło to być trochę nierozważne z mojej strony - przyznał Sigmar. - Chcesz zejść?

- I zostawić cię tutaj? - sarknął Alfgeir. - Nie ma mowy. Nie sądzę, żeby którykolwiek z nas miał znaleźć się szybko na dole, chyba że spadniemy.

- Nie mów o spadaniu - powiedział Sigmar, przypomniawszy sobie Wolfgarta. - To przynosi pecha.

Alfgeir zamilkł i wojownicy kontynuowali wspinaczkę w górę Fauschlagu, centymetr po centymetrze zbliżając się do szczytu. Powierzchnia skały była nierówna, co sprawiało, że łatwo można było znaleźć szczeliny dogodnie do wsunięcia dłoni lub stopy. Wspinanie się wymagało jednak olbrzymich pokładów energii i Sigmar już czuł, jak mięśnie ramion nieprzyzwyczajonych do tak forsownej wspinaczki łapią okropne skurcze.

Mężczyźni zostawili zbroje na dole, ponieważ próba wspinaczki w pancerzu byłaby jeszcze bardziej samobójcza niż to, co w tej chwili robili. Ghal-maraz zwiślał przypięty do Sigmarowego pasa, a Alfgeir nioś swój miecz na ramionach. Żaden z nich nie chciał wspiąć się na szczyt Fauschlagu nieuzbrojony.

Kilkakrotnie w trakcie wspinaczki usłyszeli brzęk metalu o metal i ujrzeli drewniane skrzynie wciągane do góry na długich, metalowych łańcuchach. Jedną z takich skrzyń opuszczano nawet bardzo blisko nich. Sigmar przypatrywał się temu i rozważał praktyczne użycie takiego środka transportu.

- Nawet gdyby zgromadzić całą armię ludzi, to nie mieliby na tyle siły, aby wciągnąć skrzynię pełną żelaza na sam szczyt Fauschlagu - stwierdził. - Na samej górze musi znajdować się jakiś mechanizm napędzany kołowrotem.

- Fascynujące - sapnął Alfgeir. - Ale jakie to ma znaczenie? Wspinaj się dalej. Nie zatrzymujmy się, bo inaczej nie będę miał siły, żeby zacząć się znowu wspiąć.

Sigmar skinął głową i odwrócił wzrok od skrzyni jadącej powoli do

położonego w górze zamku. Po raz kolejny wojownicy zacisnęli zęby i zaczęli się wspinać, aż Sigmar poczuł, że nie jest w stanie poruszyć się nawet o centymetr wyżej.

Słyszał, że Alfgeir wspina się tuż obok i wziął głęboki oddech, ciężko dysząc i czując, że zmęczone płuca wypełniają mu się ogniem. Miał wrażenie, że minęły wieki. Przeklinał dumę, która sprawiła, że rzucił to lekkomyślne wyzwanie.

Przypomniał sobie, kiedy był małym chłopcem, a ojciec zabrał go do lasu, aby pokazać mu, jak rozpalić tam ognisko. Sigmar chciał wzniecić wielki ogień, ale Björn nauczył go wtedy, że sztuka wzniesienia ognia opiera się na równowadze. Zbyt mały płomień nie ogrzeje wędrowca, podczas gdy zbyt wielki łatwo może się wymknąć spod kontroli i pochłonąć znaczne połacie lasu.

Sigmar nauczył się, że podobnie jest z dumą. Zbyt mało i człowiek nie ma pewności siebie ani wiary w swe możliwości, co sprawia, że niczego w życiu nie osiąga. Zbyt wiele z kolei... no cóż, ktoś, kto jest zbyt dumny, kończy uczipiony strzelistej skały, gdzie centymetry dzielą go od śmierci.

Jednakże, czyn taki jak ten przysporzy mu z pewnością sławy, a przy odrobinie szczęścia zostanie odnotowany na kolejnym skalnym bloku tworzącym bohaterską galerię na moście Sudenreik. Na myśl o tym uśmiechnął się, po czym dźwignął się lekko do góry i od nowa, metodycznie i powoli zaczął wyszukiwać kolejne miejsca, o które mógłby oprzeć dłonie, zmuszając zmęczone mięśnie do ciągłego wysiłku.

Każdy podmuch silnego wiatru chciał go zepchnąć ze ściany, ale on trzymał się jej kurczowo, obejmując skałę ciaśniej niż jakikolwiek kochanek w historii ścisnął obiekt swego uwielbienia.

Tak bardzo był wyczerpany i obolały, że zajęło mu chwilę, zanim zdał sobie sprawę, że skała nie jest już taka stroma i że wspina się teraz raczej po łagodnym zboczu niż po urwistym klifie.

Potrząsnął głową i zamrugał oczami, przecierając je od potu zalewającego twarz. Zdał sobie sprawę, że dotarli na szczyt. Z miejsca, w którym się znajdował, widział łagodne zbocze, na którym stał niski mur zbudowany wokół wierzchołka Fauschlagu.

Sigmar odwrócił się do tyłu i podał pomocną dłoń Alfgeirowi, którego twarz aż poszarzała z wysiłku i który teraz skinął głową z wdzięcznością.

- Udało nam się, przyjacielu - westchnął Sigmar. - Jesteśmy na szczycie.

- Wspaniale - wydyszał Alfgeir, spoglądając w górę. - Teraz tylko musimy wywalczyć sobie wstęp do środka.

Sigmar odwrócił się i ujrzał szeregi teutogeńskich żołnierzy odzianych w brązowe koszulki kolcze, którzy pojawili się na murach z obnażonymi mieczami i napiętymi cięciwami łuków.

Sigmar odpiął Ghal-maraza od pasa i pomógł Alfgeirowi się podnieść. Dwaj unberogeńscy wojownicy stali dumnie przed armią Teutogenów, wyczerpani, ale także upojeni niezwykłym czynem, którego przed chwilą dokonali.

Myrsa, Wieczny Wojownik, stał pośrodku szeregu wojowników i Sigmar ruszył w jego stronę, będąc świadomym, że łucznicy w każdej chwili mogą zwolnić napięte cięciwy. Alfgeir podążył za nim i szepnął:

- Proszę powiedz, że masz jakiś plan.

Sigmar potrząsnął głową:

- Nie bardzo... Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że ujdziemy z życiem z tej wspinaczki.

- Wspaniale - odburknął Alfgeir. - Dobrze wiedzieć, że wszystko sobie przemyślałeś.

Sigmar dotarłszy do muru, stanął przed Myrsą i spojrzał mu prosto w oczy. Spodziewał się, że wojownik będzie na nich czekał i miał nadzieję, że podczas spotkania na dole dobrze go ocenił.

- Gdzie jest Artur? - zapytał Sigmar.

Lekkie zaciśnięcie zębów było jedynym znakiem niewidocznego, ale doskonale wyczuwalnego napięcia między wojownikami.

- Wznosi modły do Ognia Ulryka - odpowiedział Myrsa. - Powiedział, że spadniesz.

- Mylił się - odrzekł Sigmar. - Mylił się co do wielu rzeczy, nieprawdaż?

- Być może, ale jest moim królem i zawdzięczam mu życie.

- Gdybym to ja był twoim królem, byłbym zaszczycony mając takiego wojownika jak ty na mojej służbie.

- A ja byłbym zaszczycony mogąc ci służyć, ale nierozsądnie jest marzyć o rzeczach, które nie mogą się zdarzyć.

- Zobaczymy - odpowiedział Sigmar. - A teraz, jeżeli nie zamierzasz mnie zabić, prowadź mnie prosto do Artura, króla Teutogenów.

Budynki na szczycie Fauschlagu dorównywały kunsztem architektonicznym tym, które stały w Reikdorfie, i Sigmar zastanawiał się, jakiej determinacji trzeba było, aby zgromadzić na tej wysokości wszystkie potrzebne materiały. W niektórych budowlach dostrzegł rękę krasnoludzkich kamieniarzy, ale większość z nich zbudowali ludzie. Ludzka pomysłowość nigdy nie przestała zadziwiać Sigmara, a teraz był bardziej niż kiedykolwiek zdeterminowany, aby ujrzeć swych poddanych zjednoczonych w jednym celu.

Krocząc przez osadę, szybko wzbudzili wielkie zainteresowanie. Ludzie wychodzili z domów, aby zobaczyć tego niesamowitego władcę, który wspiął się na Fauschlag. Żołnierze Myrsy otaczali przybyszy ze wszystkich stron i mimo że w każdej chwili groziła im śmierć, Sigmar czuł się zadziwiająco beztrojski i pewny siebie.

Wcześniejsze przekonanie, że Teutogeni są barbarzyńskimi i morderczo nastawionymi rabusiami, zniknęło, gdy Sigmar ujrzał ich społeczeństwo, w którym panował porządek, odwaga i duma. Matki zaganiały do domów bawiące się na ulicach dzieci, w miarę jak rosnąca procesja posuwała się w stronę centrum miasta.

Kapłani Ulryka głosili, że bóg wilków i zimy zmiażdżył czubek góry uderzeniem swej potężnej pięści w odległych czasach. Spłaszczony szczyt miał się stać miejscem, w którym wyznawcy oddawaliby mu cześć. Mówiono, że pośrodku płonie wielki ogień, który nie potrzebuje podsycaenia za pomocą torfu czy drewna. Sigmar czuł dziecięcą ekscytację na myśl, że zaraz ujrzy ten cud na własne oczy.

Wojownicy eskortujący ich do centrum nie zamienili ze sobą ani słowa, ale Sigmar czuł wzrastające napięcie, w miarę jak zbliżali się do celu.

Wreszcie Sigmar, Alfgeir i ich eskorta wynurzyli się spomiędzy wysokich granitowych budynków o dachach pokrytych gliną, wychodząc na otwartą przestrzeń pośrodku szczytu góry Fauschlag.

Ich oczom ukazał się szeroki krąg z menhirów, które połączone były spoczywającymi u góry w stanie chwiejnej równowagi płaskimi kamieniami. Każdy z głazów był błyszczący i czarny, pożyłkowany liniami o kolorze czerwonego złota. Pośrodku kręgu płonął wysoki, biały ogień wydobywający się prosto z ziemi i oślepiający czystym światłem.

Płomienie buchały na wysokość dorosłego mężczyzny i rzucały wokół zimny blask. W oślepiającym świetle błyszczała mistrzowsko wykonana

zbroja i miecz mężczyzny klęczącego przed ogniem. Modlił się, trzymając dłonie zaciśnięte na rękojeści miecza, podczas gdy ostrze wbite było w ziemię, a czoło miał oparte o głowicę. Sigmar wiedział, że musi to być Artur.

Zbroja pokrywająca jego plecy i ramiona lśniła, jakby została wykonana ze srebra, natomiast plecionka kolcza przypominała najlepszą krasnoludzką robotę, jaką kiedykolwiek widział. Na ziemi obok mężczyzny spoczywał brązowy, skrzydlaty hełm. Gdy Sigmar zbliżył się, król Teutogenów podniósł się lekko i odwrócił w jego stronę.

Artur był przystojnym mężczyzną o ciemnych włosach przetykanych gdzieniegdzie siwizną. Jego ogorzała twarz miała mocne rysy wojownika, który nigdy nie doznał porażki. Królewska broda była rozwidlona i spleciona w warkoczyki. Promieniował siłą i potęgą.

Jednakże tym, co przykuło wzrok Sigmara, był jego miecz: Smoczy Miecz Caledfwlch, błyszczące srebrne ostrze, o którym powiadano, że potrafi przeciąć najtwardsze żelazo czy kamień. Teutogeńskie legendy mówiły o tajemniczym mędrцу zza morza, szamanie dysponującym pradawną wiedzą, który wykuł tę broń dla Artura w dniu jego narodzin. Ponoć ostrze było w istocie błyskawicą zamrożoną przez oddech lodowego smoka.

Patrząc na długie ostrze, Sigmar z łatwością dawał wiarę tym opowieściom, ponieważ mógłby przysiąc, że na krawędzi miecza błyszczał srebrzysty szron.

- Ty jesteś królem Unberogenów? - zapytał Artur po tym, jak Sigmar wkroczył do środka kamiennego kręgu. Po każdej z czterech stron świata pojawiła się postać w ciemnych szatach. Po płaszczach z wilczych skór i talizmanach z ogonów tych zwierząt Sigmar domyślił się, że muszą to być kapłani Ulryka.

- To ja - potwierdził Sigmar. - A ty jesteś król Artur.

- Mam ten zaszczyt - odpowiedział butnie Artur. - Natomiast ty nie jesteś mile widziany w moim mieście.

- To, jak jestem tu witany, nie ma znaczenia - odrzekł Sigmar. - Przybyłem tu, abyś odpowiedział za śmierć moich poddanych. Podczas gdy mój ojciec toczył wojnę na północy, teutogeńscy najeźdźcy zrównali z ziemią kilka unberogeńskich wiosek i zabili mieszkających tam niewinnych ludzi. Teraz ty odpowiesz za ich śmierć.

Artur potrząsnął głową.

- Na moim miejscu zrobiłbyś to samo, chłopcze.

- A więc nawet nie zaprzeczasz? - zapytał gniewnie Sigmar. - Och, i nazwij mnie jeszcze raz chłopcem, a cię zabiję.

- I tak miałeś zamiar to zrobić, nieprawdaż?

- To prawda - przyznał Sigmar.

- I masz zamiar wyzwać mnie na pojedynek, jak przypuszczam?

- Tak.

Artur roześmiał się, a kiedy odezwał się ponownie, jego głęboki baryton rozbrzmiewał prawdziwym rozbawieniem.

- Jesteś nieodrodnym synem Björna, zuchwałym i hołdującym temu samemu śmiesznemu rozumieniu słowa honor. Powiedz mi, dlaczego nie miałbym rozkazać Myrsie i jego żołnierzom, żeby po prostu cię zabili?

- Ponieważ on nie usłucha takiego rozkazu - odpowiedział Sigmar, czyniąc krok w stronę Artura i trzymając przed sobą Ghal-maraza. - Być może ty zapomniałeś, co to znaczy honor, ale sądzę, że on pamięta. Poza tym, jaki mężczyzna odrzuciłby wyzwanie rzucone na oczach kapłanów Ulryka? Jaki król mógłby odzyskać swój autorytet po tym, jak dowiedziono by, że jest tchórzem?

Żrenice Artura zwięziły się i Sigmar ujrzał, jak w jego oczach płonie narastająca złość i nieujarzmiona pycha.

- Właśnie masz za sobą wspinaczkę, której nie powinieneś był przeżyć. Imponujący wyczyn, który całkowicie pozbawił cię sił - syknął Artur. - Jesteś u kresu wytrzymałości i myślisz, że możesz mnie pokonać? Jesteś tylko chłopcem bez zarostu, podczas gdy ja jestem królem.

- W takim razie nie masz się czego obawiać - rzucił Sigmar, unosząc swój młot bojowy.

- Smoczy Miecz wejdzie w twoje ciało niczym w mgłę - powiedział Artur, podnosząc z ziemi hełm i nakładając go na głowę. Sigmar nie odpowiedział, tylko zaczął krążyć wokół Artura, obserwując przeciwnika i starając się przewidzieć jego ruchy. Król Teutogenów był potężnie zbudowany i miał sylwetkę szermierza z szerokimi ramionami i wąskimi biodrami, ale prawdą było, że od dawna nie brał udziału w żadnej wojnie.

Mimo tego poruszał się zgrabnie, lekko i niespiesznie. Poza, jaką przybrał i szermiercze ruchy przypomniały Sigmarowi perfekcję Gerreona. Nieproszone wspomnienie zdrajcy pojawiło się w jego umyśle i na moment spowodowało, że pomylił krok.

Artur dostrzegł tę chwilę słabości i wyskoczył do przodu, tnąc powietrze

Smoczym Mieczem, czemu towarzyszył szelest przypominający podmuch zimowego wiatru. Sigmar otrząsnął się na czas, aby uniknąć ciosu, ale gdyby lodowate ostrze przeszło kilka centymetrów bliżej, jego głowa potoczyłaby się po ziemi w pierwszych sekundach pojedynku.

Wyczuwając słabość, Artur zaatakował ponownie, ale Sigmar tym razem był gotowy, blokując cios za pomocą obucha i głowni Ghal-maraza. Każde zetknięcie się obu broni powodowało deszcz białych iskier rozpryskujących się w powietrzu, a Sigmar czuł, że młot staje się coraz zimniejszy.

Artur miał dużo większy zasięg ciosu niż Sigmar i królowi Unberogenów rzadko zdarzało się podejść na tyle blisko, żeby zaatakować teutogeńskiego władcę. Wreszcie za którymś razem, gdy Artur zakręcił ostrzem Smoczego Miecza, Sigmar zdołał wymierzyć cios w jego bok. Szczęk metalu odbił się echem od czarnych kamieni, a Sigmar odsunął się, aby uniknąć ciosu Artura, zdumiony tym, że uderzenie młotem nie zmiażdżyło zbroi i nie zgruchotało przeciwnikowi kręgosłupa.

Widząc jego zaskoczenie, Artur wybuchnął śmiechem i krzyknął:

- Nie jesteś jedynym królem, który potrafi sprzymierzyć się z górskim ludem i zrobić pożytek z jego rzemiosła!

Sigmar odskoczył do tyłu, dostrzegając krasnoludzkie dzieło w ślimacznicy wyżłobionej na zbroi i w blasku metalu. Runiczne napisy na trzonku Ghal-maraza zapłonęły gniewnie, jakby niezadowolone z tego, że muszą nieść zniszczenie innemu artefaktowi tych samych twórców.

Dwaj królowie wymieniali ciosy w oślepiającym blasku Ognia Ulryka, a Sigmar czuł, że z każdą chwilą opuszczają go siły. Zadał Arturowi kilka ciosów, które zdołałyby trzykrotnie powalić na ziemię słabszego wojownika, ale król Teutogenów zdawał się niepokonany.

Ujrzał triumfujące spojrzenie Artura i desperackim ruchem uniósł w górę Ghal-maraza, blokując kolejny cios, który miał przebić mu pierś. Po raz kolejny bronie spotkały się z ogłuszającym brzękiem metalu nieznanego ludzkości. Sigmar poczuł, jak siła tego uderzenia sprawia, że traci czucie w ramionach. Artur obrócił się na pięcie i dłonią w metalowej rękawicy wymierzył cios w szczękę Sigmara.

Sigmar zachwiał się od siły uderzenia, a w głowie eksplodowało mu światło.

Słyszał krzyk Alfgeira i ujrzał wyrastającą przed nim ścianę białego ognia.

Wyrzucił przed siebie ramiona, po czym wpadł pomiędzy palące płomienie Ognia Ulryka. Światłość wypełniła jego kości płonącym lodem. Upadł i zaczął krzyczeć, gdy pochłoniął go bolesny ziąb pochodzący z miejsca odległego i nieznanego śmiertelnikom.

Nawet opustoszałe przestrzenie Szarych Pustkowi wydawały się przyjaznym miejscem w porównaniu z szorstką, bezlitosną mocą zaklętą w ogniu. Przez krótką chwilę, która równie dobrze mogła trwać wieczność lub jedno uderzenie serca, ta moc zwróciła swe spojrzenie na Sigmara i czuł on, że w tym momencie waży się jego życie.

Chwila minęła i Sigmar wypadł spomiędzy płomieni Ognia Ulryka, po czym przeokołkował na sporą odległość. Następnie podniósł się pełen nowych sił. Z ust zgromadzonych rozległy się zdumione westchnienia i Sigmar sam był zdziwiony, ponieważ ogień nie wyrządził mu żadnej krzywdy.

Co więcej, z jego ramion spływał teraz błyszczący płaszcz z wilczej skóry i otaczał go obłok mroźnej mgły, tak jakby wynurzył się właśnie z głębin pradawnego lodowca. Obuch Ghal-maraza płonął białym ogniem, a Sigmar czuł, że wypełnia go nadludzka energia, dzika i nieposkromiona, jakby był najdzikszy zwierzęciem z hordy.

Odrzucił głowę do tyłu, ale z jego gardła zamiast śmiechu wydobyło się triumfalne wilcze wycie, które poniosło się echem po kamiennym kręgu.

W oczach Sigmara rozbłysły białe błyskawice oświetlające skute lodem zimowe krajobrazy, gdzie ujrział legendarne czyny z przeszłości i przyszłości. Otoczyli go bohaterowie z dawnych czasów i herosi, którzy dopiero mieli się narodzić. Ich wspaniałe czyny i odwaga zjednoczyły się w jego sercu, wypełniając je siłą i chwałą.

Zupełnie nieświadomie uniósł Ghal-maraza nad głowę i za chwilę poczuł, jak uderza w niego Smoczy Miecz, wywołując eksplozję nieujarzmionej mocy. Niewyobrażalne energie eksplodowały w wyniku tego starcia, a ostrze Artura z ogłuszającym trzaskiem rozprysło się na tysiąc kawałków.

Artur upadł na plecy oślepiiony wybuchem, a Sigmar zerwał się na równe nogi, biorąc zamach Ghal-marazem, aby zadać śmiertelny cios w głowę króla Teutogenów.

Pradawne dziedzictwo Kurgana Żelaznobrodego uderzyło w hełm Artura, zgniatając metal i miażdżąc znajdującą się poniżej czaszkę. Ciało króla wyleciało w górę, po czym opadło bezwładnie tuż przed ogniem płonącym

pośrodku kamiennego kręgu.

Sigmar stanął nad zwłokami, dysząc ciężko z powodu wypełniającej mu żyły mocy i radości zwycięstwa. Ujrzał, jak kapłani Ulryka pochylają głowy i opadają na kolana. Żaden podmuch wiatru czy najcichszy odgłos nie mącił ciszy, gdy Sigmar obrócił się w stronę tych, którzy byli świadkami tego, jak pokonał Artura.

- Król Teutogenów nie żyje! - krzyknął Sigmar, unosząc wysoko w górę Ghal-maraza. - Od teraz macie nowego króla. Ziemię Teutogenów należą do mnie na prawach walki.

Wymawiając te słowa, Sigmar był przekonany, że są właściwe, ponieważ w ten sposób spełniała się wola bogów. Zamknął oczy i wyobraził sobie Unberogenów i Teutogenów, którzy razem dokonują wielkich rzeczy. Ale to był tylko pierwszy krok do osiągnięcia celu. Wizja była tak żywa i zajmująca, że Sigmar nie zauważył zbliżającego się do niego Myrsa, aż ten przemówił.

- Rościsz sobie prawo do władzy nad Teutogenami? - zapytał Wieczny Wojownik.

Sigmar otworzył oczy i ujrzał, że Myrsa stoi przed nim i trzyma sztylet wycelowany w jego gardło. Oczy Wiecznego Wojownika były tak lodowate jak płonący za jego plecami Ogień Ulryka i Sigmar poczuł, że jego życie wisi na włosku. Rzucił okiem w stronę krawędzi kamiennego kręgu, gdzie Alfgeira otoczyli uzbrojeni wojownicy, którzy odebrali mu miecz.

- Tak - odpowiedział Sigmar. - Zabiłem króla i moje prawo jest w jego krwi.

- To prawda - Myrsa ze smutkiem pokiwał głową. - Synowie Artura nie żyją, a jego żona dawno odeszła do królestwa Morra, ale oto ja stoję z ostrzem na gardle zabójcy mego władcy.

- Powiedziałeś, że gdybym był twoim królem, byłbyś dumny mogąc mi służyć - rzekł Sigmar. - Czy teraz zmieniłeś zdanie?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy uznam, że zamierzasz z nas uczynić unberogeńskich niewolników - odpowiedział Myrsa.

- Nigdy - obiecał Sigmar. - Żaden człowiek nigdy nie będzie moim niewolnikiem. Będziecie moimi poddanymi, braćmi, cenionymi i szanowanymi jak wszyscy, którzy spełniają obowiązek lojalności.

- Przysięgniesz to przed Ogniem Ulryka?

- Przysięgam - skinął głową Sigmar. - I pytam ponownie: czy dołączysz do mnie, Myrso?

Wieczny Wojownik odsunął sztylet od gardła Sigmara i klęknął przed nim. Pochyliwszy głowę, powiedział:

- Stanę u twego boku, panie.

Sigmar położył dłoń na ramieniu wojownika:

- Potrzebuję odważnych i honorowych ludzi wokół siebie, Myrso, a ty jesteś właśnie takim człowiekiem.

- Co mam w takim razie dla ciebie zrobić?

- Ziemie na północ od gór są nękanie przez mroczne bestie, a któregoś dnia powrócą też Morskie Wilki zza oceanu - wyjaśnił Sigmar, podając dłoń swemu najnowszemu sojusznikowi i pomagając mu powstać. - Jako twój król, rozkazuję ci, żebyś wraz ze swymi żołnierzami bronił północnych marchii i utrzymywał tam porządek.

Myrsa skinął głową i rzucił spojrzenie w stronę martwego króla, któremu wcześniej służył, podczas gdy kapłani Ulryka zebrali się, aby podnieść ciało.

- Artur był kiedyś dobrym człowiekiem - westchnął Myrsa.

- Nie wątpię - odpowiedział Sigmar. - Ale teraz nie żyje, a na nas czeka dużo pracy.

Rozdział 15

Zjednoczenie

Między wzgórzami na wschód od rzeki Stir wiała się wyboista ścieżka. Ziemia była zryta koleinami, co wskazywało na to, że często jeździły tędy wozy i wojenne rydwany, które Sigmar zapamiętał z wizyty Freyi w Reikdorfie. Spoglądając na otaczające ich łagodnie opadające zbocza, nie mógł pozbyć się wrażenia, że niebawem ujrzy zbiegające po nich oddziały asoborneńskich wojowników.

Drogi otaczające Reikdorf były kamienne. Płaskie głązy spoczywały w płytkich rowach, a przestrzeń między nimi wypełniono piaskiem i mocno ubitą ziemią. Przed opuszczeniem krainy ludzi i powrotem do twierdzy swego króla w górach, mistrz Alaryk pomógł Pendragowi zaprojektować urządzenia do budowy dróg. Trakty mogły dzięki temu przetrwać ulewne deszcze i srogie zimy. W rezultacie unberogeńskie karawany poruszały się szybciej i łatwiej niż te, które podróżowały po drogach innych królestw.

Sigmar z sentymentem myślał o unberogeńskich drogach, ponieważ wozy, które wraz z Wolfgartem wyprowadzili z Reikdorfu, poruszały się teraz ślimaczym tempem i regularnie trzeba było je wyciągać z błotnistych kolein.

Nad okolicą przeszły w ciągu ostatniego tygodnia wiosenne burze i wschodnie ziemie wciąż były podmokłe i błotniste. Podróż, która powinna im zabrać około tygodnia, trwała już prawie miesiąc i cierpliwość Sigmara była na wyczerpaniu. Za nim równym krokiem maszerowała setka reikdorfskich wojowników, zarówno Białych Wilków, jak i Strażników Wielkiego Dworu, a kolejna setka jeźdźców otaczała cztery wozy wypełnione bronią i zbrojami.

Między wozami stąpało sześć potężnie zbudowanych koni o szerokich klatkach piersiowych. Między nimi przemykały psy myśliwskie, a tuzin zwiadowców przeszukiwało tereny dookoła, aby na czas powiadomić podróżnych o potencjalnym niebezpieczeństwie. Na czele karawany poruszali się Cuthwin i Svein, a Sigmar ufał ich umiejętnościom bardziej niż

jakimkolwiek innym środkiem ostrożności.

Alfgeir i Pendrag niechętnie pozostali w Reikdorfie, aby stać na straży królewskich ziem, podczas gdy władca wyruszył na misję mającą na celu zjednoczenie plemion pod swym sztandarem. Oddział wojowników niedawno opuścił ziemie Taleutenów, gdzie Sigmar odnowił przysięgi lojalności z królem Kurganem, obdarowując go przy tym czterema wozami wypełnionymi bronią i pancerzami. Niektóre sztuki zostały wykonane z niezrównanego żelaza wykutego rękoma krasnoludów i tym samym były bezcenne.

Obecnie Sigmar zmierzał na południe do kraju Asobornów, aby zacieśnić więzy lojalności z gwałtowną i wojowniczą królową Freyą. Asobornowie i Taleutenowie byli sojusznikami, których łączyła Przysięga Miecza, ale Asobornów i Unberogenów nie wiązało do tej pory żadne przymierze.

Przywożąc liczne dary, Sigmar miał zamiar to zmienić.

Obok niego jechał Wolfgart, którego kraciasty płaszcz i brązowa zbroja zmatowiały od pokrywającej je skorupy błota.

- Zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie znajdziemy ich osad? - zapytał z wyrzutem Wolfgart. - Nawet ze Sveinem na czujce.

- Znajdziemy ich - odpowiedział Sigmar. - Lub, co bardziej prawdopodobne, ich tropiciele znajdą nas.

Wolfgart rzucił nerwowe spojrzenie na otaczające ich wzgórza i rzadkie zagajniki wieńczące ich szczyty.

- Nie podoba mi się ta kraina - przyznał Wolfgart. - Za dużo otwartej przestrzeni. Za mało drzew.

- Za to dużo dobrej ziemi pod uprawę - zaripostował Sigmar. - A wzgórza są bogate w rudę żelaza.

- Wiem, ale mimo wszystko wolę unberogeńskie ziemie. Poza tym, jak na mój gust, za blisko stąd do wschodnich gór. Mnóstwo orków się tam gnieździ i powiadam ci, że to zły omen, pchać się prosto w paszczę smoka.

- A więc myślisz, że to właśnie robimy? Pakujemy się w kłopoty?

- A nie? - odbił piłeczkę Wolfgart, ściągając z ramion olbrzymi miecz i strzepując z niego krople wody. - Jak inaczej nazwałbyś wkroczenie na ziemie Asobornów bez ich zgody? Och, to może i brzmi wspaniale, kraj pełen dorodnych wojowniczek, ale słyszałem też o tym, jak to robią eunuchów z nieproszonych gości. Nie wiem, jak ty, ale ja planuję nie rozstawać się z moją męskością i spłodzić wielu synów.

- A czy to przypadkiem nie ty powiedziałeś kiedyś, że cudownie byłoby spędzić noc z asoborneńską kobietą? Zdaje mi się, że pamiętam, jak zachwyił cię sposób, w jaki królowa Freya mnie... potraktowała.

Wolfgart roześmiał się.

- Tak, wyraz twojej twarzy, to było bezcenne.

- Jest silną kobietą, to prawda - przyznał Sigmar, krzywiąc się na wspomnienie jej mocnego uścisku.

- Nie brzmi to dla ciebie jak kolejny powód, dla którego nie powinno nas tutaj być, he?

Sigmar potrząsnął głową i machnął ręką w stronę wozów.

- Nie, bo jeśli mamy zawrzeć przymierze z Asobornami, to muszą oni mieć świadomość tego, że mówimy poważnie.

- No cóż, z pewnością oddajemy im tyle broni, żeby wyrzucić na nich takie wrażenie - odrzekł Wolfgart uśmiechając się gorzko. - A te konie to jedno z moich najlepszych ogierów i najsilniejszych klaczy.

- To nie jest danina, Wolfgarcie - powiedział Sigmar. - Myślałem, że to rozumiesz.

- Nie podoba mi się to. Doliczając do tego to, co już darowaliśmy Taleutenom, nie sądzę, żeby było nas na to stać. To nasi wojownicy mogliby zrobić użytek z tej broni i nosić te zbroje. Och, i czy naprawdę chcemy, aby Asobornowie hodowali silniejsze i szybsze konie?

Sigmar powstrzymał się przed udzieleniem gniewnej odpowiedzi, która cisnęła mu się na usta. Po tylu latach Wolfgart wciąż nie mógł pojąć idei wszystkich ludzkich plemion zjednoczonych w jednym celu. Rywalizacja między plemionami wciąż była silna i Sigmar zdawał sobie sprawę, że wiele lat upłynie, zanim ludzie pozbędą się małostkowego przywiązania do geograficznych granic i zaczną myśleć o sobie jak o jednym narodzie.

Nie udzieliwszy Wolfgartowi odpowiedzi, Sigmar podjechał do przodu, mijając oddział wojowników i wozy, aby dołączyć do członków przedniej straży. Odziani w lekkie napierśniki z wyprawionej skóry i obciążone skórą drewniane hełmy wojownicy byli wysmienitymi jeźdźcami uzbrojonymi w krótkie łuki refleksyjne.

Otoczające ich krajobrazy idealnie nadawały się na umiejscowienie zasadzki, ponieważ setki napastników mogłyby się z łatwością ukryć przed okiem zwiadowców w licznych kotlinach. Droga, którą kroczyli, kilkaset metrów dalej zakręcała wokół głośnego wodospadu spływającego po boku

wzgórza. Wokół zakrętu rosły gęste krzewy i spoczywały liczne głązy.

Otwarta przestrzeń sprawiała, że niebo nad głowami wydawało się większe, a formujące się właśnie kłęby szarych chmur bardziej przytłaczające. Od strony gór nadchodził deszcz. Sigmar spojrzął w kierunku olbrzymiej skalnej ściany wznoszącej się na skraju świata i poczuł dreszcz przeszywający ciało.

Wolfgart miał rację. Przebywanie tak blisko granicy było niebezpieczne ze względu na stworzenia czające się w górach, całe plemiona zielonoskórych wojowników czekających tylko na powstanie jakiegoś nowego watażki, który poprowadziłby ich na ludzkie krainy.

Kolejna przyczyna, dla której należało sprzymierzyć się ze wschodnimi plemionami.

Niewiele wiadomo było o Asobornach, oprócz tego, że ich społeczeństwo było ściśle matriarchalne, a władzę nad krajem sprawowała gwałtowna i dzika królowa Freya. Plemiona zamieszkujące tereny położone dalej na wschód i południe, takie jak Brigundianie, Menogoci, czy Merogenowie, były jeszcze mniej znane.

Wyprawa w głąb kraju Asobornów była niebezpieczna, ale konieczna. Ludzie najbardziej boją się tego, co nieznane. Plemiona te mogły rzeczywiście stanowić zagrożenie, ale Sigmar musiał podjąć ryzyko poznania ich, aby móc w ogóle myśleć o wcieleniu swej wizji ludzkiego imperium w życie.

Zadowolony z faktu, że przednia straż i zwiadowcy są tak czujni, jak powinni być, Sigmar wstrzymał konia, dając reszcie karawany czas na dołączenie do nich. W tym momencie zaczął padać deszcz.

Wolfgart wraz z resztą karawany nie zdążył jeszcze dołączyć do Sigmara, gdy z setek gardeł wydobył się głośny okrzyk, a ziemia po obu stronach drogi zdawała się ożywać, gdy powstawały z niej postaci, których wcześniej tam nie było, a przynajmniej nikt ich nie dostrzegł.

Nadzy lub na wpół nadzy wojownicy wyskoczyli ze swych kryjówek, odrzucając płaszcze pokryte liśćmi paproci i kępkami trawy, dzięki którym z łatwością wtopili się w krajobraz między krzewami i głązami.

- Do broni! - zakrzyknął Sigmar, słysząc dudnienie kół rydwanów dobiegające zza zakrętu. Odpiął Ghal-maraza od pasa i uniósł go w górę. Jego żołnierze, brodząc w błocie, wystąpili na przód karawany i uformowali równy szereg.

Wojownicy ciskający włóczniami przygotowali się do rzutu, podczas gdy tuż za nimi umiejscowili się łucznicy, gotowi do oddania strzału nad ich głowami. Sigmar przegalopował wzdłuż unberogeńskiego szeregu, spodziewając się, że w każdej chwili ze strony Asobornów może polecieć śmiertelna seria strzał. Unberogenowie naciągnęli cięciwy łuków, ale przeciwnicy nie wykonali żadnego ruchu świadczącego o tym, że mają zamiar zaatakować. Sigmar wiedział, że jego ludzie nie mogą wykonać pierwszego ruchu, ponieważ mogłoby to spowodować najgorsze możliwe skutki.

Była to zasadzka, ale nie miała ona na celu zabicia tych, którzy w nią wpadli.

- Poczekajcie! - krzyknął. - Poluzujcie cięciwy. Niech nikt nie strzela!

Jego rozkaz wywołał konsternację wśród żołnierzy, ale Sigmar powtórzył go kilkakrotnie. Padający deszcz sprawiał, że wszystko wokół wydawało się szare i rozmyte, ale Sigmar dostrzegł, że otaczające ich postaci były kobietami, nagimi jeśli nie liczyć przepasek na biodra, żelaznych naszyjników i brązowych szerokich bransolet chroniących nadgarstki. Każda z wojowniczek dzierżyła dwa miecze i pokryta była straszliwymi wojennymi tatuażami. Ich głowy wieńczyły dziwaczne fryzury będące połączeniem fragmentów wygolonej skóry z fantazyjnie spiętymi puklami.

Każda z nich stała w tym momencie całkowicie nieruchomo, a ich bezruch był bardziej niepokojący niż najstraszliwszy wojenny okrzyk. Sigmar oszacował, że otoczyło ich przynajmniej trzysta wojowniczek i ledwo mógł uwierzyć, że wpadli w taką zasadzkę i nikt niczego nie zauważył. Co się stało z Cuthwinem i Sveinem?

Wolfgang podjechał do niego z wyciągniętym mieczem i oskarżycielskim wyrazem twarzy.

- A nie mówiłem, że to niebezpieczne?

Sigmar potrząsnął głową.

- Gdyby chciały nas zabić, już dawno bylibyśmy martwi.

- Czego w takim razie chcą?

- Myślę, że wkrótce się dowiemy - odparł Sigmar w momencie, gdy zza wzgórza wynurzył się wojenny rydwan, który zmierzał ku nim z trójdzielnym sztandarem królowej Freyi powiewającym na wietrze.

Gdy zdjęto mu z oczu przepaskę, Sigmar zamrugał oczami rozglądając się po olbrzymiej, wrytej w ziemi komnacie, oświetlonej setką latarni i ogniem płonącym w wielkim palenisku. Nozdrza wypełniał mu zapach mokrej ziemi i wilgotnych ubrań. Przesunął dłońmi po twarzy i zanurzył palce we włosach.

Obok niego siedział Wolfgart, równie zaskoczony zmianą otoczenia.

Deszcz zelżał, podczas gdy rydwany otaczały karawanę. Mimo że wojowniczkki nie wykonywały żadnych jawnie agresywnych ruchów, napięcie stawało się wyczuwalne. Wtedy wysoka kobieta o szerokich barkach, całkowicie naga oprócz długiego płaszcza i tatuaży pokrywających ciało, zeskoczyła z rydwanu jadącego na czele i stanęła przed nimi w wyzywającej pozie.

Cuthwin i Svein byli przywiązani do jej rydwanu i Sigmar wyczuł, że są straszliwie zawstydzeni, po tym, że uparcie unikali jego spojrzenia.

- Ty jesteś tym, którego Unberogenowie nazywają królem? - zapytała kobieta.

- To ja - potwierdził Sigmar. - A to jest mój brat miecza, Wolfgart.

Kobieta pozdrowiła ich, wykonując niedbały ukłon.

- Jestem Maedbh z Asobornów - ogłosiła. - Królowa Freya uznała cię za przyjaciela swego plemienia. Pójdiesz z nami do osady Trzy Wzgórza.

- A jeśli nie będziemy chcieli tego uczynić? - wtrącił się Wolfgart, zanim Sigmar miał szansę odpowiedzieć.

- Będziecie musieli opuścić nasze ziemie, Unberogenie - odpowiedziała Maedbh. - Albo zginiecie tutaj.

- Pójdziemy z tobą - powiedział pośpiesznie Sigmar. - Ponieważ bardzo pragnąłbym się spotkać z królową Freyą. Przywiozłem dary, które chciałbym jej ofiarować.

- Pragniesz jej? - zapytała Maedbh, wskazując dwóm wojowniczkom, aby podeszły do Unberogenów. - To dobrze, w ten sposób będzie mniej bolało.

- Bolało? Ale co? - zdziwił się Sigmar, podczas gdy kobiety o pokrytych malunkami ciałach zdjęły kawałki płótna okręcone wokół swych nadgarstków i użyły ich jako przepasek na oczy króla i jego brata miecza.

Wolfgart opuścił czubek miecza w stronę klatki piersiowej asoborneńskiej kobiety.

- Po co to? Myślicie, że dobrowolnie damy sobie zawiązać oczy?

- Tajemna droga do dworu królowej Asobornów nie jest przeznaczona dla męskich oczu - odpowiedziała Maedbh. - Dalszą drogę pokonujecie w

ciemnościach albo zawracacie.

- Masz zamiar nam wszystkim założyć opaski? - sarknął Wolfgart.

- Nie, tylko wam i tym, którzy przynoszą dary. Reszta wojowników pozostanie tutaj.

- Hola, hola... - zaczął protestować Wolfgart, ale Sigmar uciszył go zdecydowanym gestem.

- Dobrze więc - zgodził się Sigmar. - Akceptujemy wasze warunki. Czy mam twoje słowo, że moich wojowników nie spotka nic złego?

- Jeżeli pozostaną tutaj i nie będą próbowali nas śledzić, nic im nie grozi.

Wolfgart odwrócił się w stronę Sigmara i syknął:

- Pozwolisz tym przeklętym kobietom zawiązać nam oczy i poprowadzić nas, Ulryk wie dokąd? Bez żadnych wojowników? Człowieku, przecież one nas zjedzą na śniadanie!

- To jedyny sposób, Wolfgarcie - odpowiedział Sigmar. - Przybyliśmy tu właśnie po to, aby spotkać się z Freją.

Wolfgart splunął na ziemię.

- Jeżeli wrócimy do domu, a ja nie będę zdolny do tego, aby spłodzić dzieci, to ty będziesz wyjaśniał memu ojcu, dlaczego nie doczekał się wnuków.

Opaski zawiązano im ciasno wokół głów, po czym asoborneńskie wojowniczkę poprowadziły Sigmara i Wolfgarta ze sobą, wśród akompaniamentu niezadowolonych okrzyków Unberogenów. Mijając rydwan, do którego przywiązani byli Cuthwin i Svein, Sigmar rzucił jeszcze przez ramię:

- Nie starajcie się nas śledzić! Pozostańcie tu aż do naszego powrotu.

Sigmar zdołał się zorientować, że poprowadzono ich w głąb lasu, ale niewiele więcej udało mu się wyczuć, ponieważ wspinali się po zboczach, a także pokonywali osłonięte doliny i brodzili w gęstych zaroślach. Sigmar wkrótce stracił orientację w terenie, mimo że desperacko starał się zapamiętywać pokonywaną trasę.

Wreszcie usłyszał ludzkie głosy i wyczuł zapachy dobiegające z osady. Ale to nie był jeszcze koniec podróży, ponieważ następnie zanurzyli się w jakiś korytarz. Długi tunel, w którym czuć było wilgoć i stęchliznę, rozbrzmiewał echem kroków. Wreszcie poczuł ciepło bijące od ognia i zapach dymu. Odniosł też wrażenie, że nad jego głową otworzyła się wielka przestrzeń.

Opaski zostały ściągnięte i Sigmar zdał sobie sprawę, że znajduje się na dworze królowej Asobornów. Nigdy wcześniej nie widział podobnego miejsca: ściany pięły się w górę, jakby znajdowali się we wnętrzu olbrzymiego, podziemnego kurhanu. Poskręcane korzenie drzew splatały się na suficie, a wyłożone drewnem otwory w dachu pozwalały na wentylację pomieszczenia.

Salę wypełniały setki wojowników obojga płci, ubranych w pasiaste spodnie i długie płaszcze. Większość z nich była naga od pasa w górę, nie licząc brązowych bransolet na przedramionach i wymyślnych tatuaży pokrywających klatki piersiowe i szyje. Sigmar zauważył, że przeważającą część mieczy dzierzonych przez Asobornów miała ostrza wykonane z brązu.

- Ulryku, uchwaj nas - wyszeptał Wolfgart, spostrzegając dziką królową sprawującą władzę nad zgromadzeniem z wyżyn swego tronu.

Królowa Freya była zawsze uderzająco piękną kobietą, ale tutaj, jako pani na włościach, robiła wręcz piorunujące wrażenie. Siedziała wyciągnięta na przepięknym tronie z korzeni drzew, wyściełanych futrem. Ludzkie ręce kształtowały to drewno przez setki lat, aby stworzyć z niego tron godny królowej Asobornów.

Królowa była naga oprócz złotego naszyjnika, skórzanego kiltu z rozcięciem i płaszcza z błyszczącej, brązowej plecionki kolczej. Kaskada włosów w kolorze płynnej miedzi spływała z jej głowy, przytrzymywana przez złotą koronę ozdobioną lśniącym rubinem.

Freya przerzuciła nogi przez oparcie tronu i stanęła naprzeciwko przybyłych, podejmując z rąk stojącej obok niej Maedbh trójzębną włócznię. Pod skórą smukłych, muskularnych ramion napięły się mięśnie i Sigmar nie wątpił w drzemiacą w nich siłę.

- Od dawna wiedziałam, że do mnie przybędziesz - powiedziała Freya, zstępując z podwyższenia, na którym ustawiony był tron. Sigmar nie był w stanie nie podziwiać jej pełnej, kobiecej figury. Płaszcz z plecionki kolczej częściowo zakrywał piersi, ale to, co kryło się pod połami płaszcza, można było dostrzec przy każdym kuszącym poruszeniu jej bioder i ramion, kiedy się do niego zbliżała.

- To zaszczyt znaleźć się na twym dworze, królowo Freyo - odezwał się Sigmar, wykonując przy tym lekki ukłon.

- Przybyłeś tu z ziem Taleutenów - stwierdziła Freya. - Dlaczego postanowiłeś mnie odwiedzić?

Sigmar przełknął ślinę i odpowiedział:

- Przybyłem, aby ofiarować ci dary, królowo Freyo.

- Żelazne pancerze i miecze wykute przez krasnoludy - powiedziała Freya, przechylając przy tym głowę na jedną stronę. - Widziałam je i bardzo mnie ucieszyły. Czy konie też są dla mnie?

Sigmar pokiwał głową.

- W rzeczy samej. Obecny tutaj Wolfgart jest nie lada hodowcą, a te wierzchowce należą do najsilniejszych i najszybszych, jakie kiedykolwiek widziałem. Są to najwspanialsze z ogierów w całym stadzie i z pewnością będziesz z nich miała wiele silnych i pięknych źrebiąt.

Freya zrównała się z Sigmarem, a on poczuł, jak krew szybciej pulsuje mu w żyłach, gdy wciągnął w nozdrza zapach olejków, które zostały wmasowane w jej skórę i włosy. Królowa Asobornów była wysoką kobietą, a jej szmaragdowozielone oczy wpatrywały się w Sigmara nieustraszenie, błyszcząc niczym ślepia niezwykle pięknego drapieżnika.

- Najwspanialsze z ogierów w całym stadzie - powtórzyła Freya z uśmiechem.

- To prawda - potwierdził Wolfgart. - Nigdzie nie znajdziesz lepszych.

- Przekonamy się - zakończyła wymianę zdań królowa.

Gdy Sigmar wynurzył się z głębin Wielkiego Dworu królowej Freyi, słońce zbliżało się już do zenitu. Zmęczony wystawił twarz w stronę wiejącego wiatru, ciesząc się niesionym przez niego orzeźwieniem. Jego kończyny były podrapane i obolałe, a on czuł się tak osłabiony, jak wtedy, gdy obudził się po powrocie z Szarych Pustkowi.

Stał skąpany w złocistym świetle, obracając twarz w stronę słońca i rozkoszując się widokiem błękitnego nieba, pojaśniałego po przejściu burzy. Za jego plecami wznosiło się wysokie wzgórze o idealnie okrągłej podstawie, porośnięte drzewami o czerwonej korze, które o tej porze roku pokryte były słodko pachnącymi kwiatami. Królewski dwór znajdował się pod ziemią, a wejście do niego ukryte było przed oczami wszystkich, oprócz najbardziej czujnych zwiadowców.

Sigmar dopiero co wynurzył się ze środka, a i tak z trudem przyszłoby mu wskazać wejście. Rozejrzał się. Dookoła Asobornowie z uśmiechem wypełniali swoje codzienne obowiązki i przyjrzawszy się dobrze, Sigmar

mógł dostrzec smużki dymu wydobywające się z ukrytych pod ziemią domostw czy kuźni.

Mieszkańcy wschodnich krain charakteryzowali się długimi kończynami, jasną skórą i włosami o kolorze miodu lub miedzi. Zgodnie z tradycją pokrywali swe ciała licznymi tatuażami. Mimo, że po przemyślnie ukrytej przed wzrokiem ciekawskich wiosce przechadzali się zarówno mężczyźni, jak i kobiety, Sigmar zauważył, że to głównie płeć piękna nosi broń i porusza się pewnym krokiem doświadczonych wojaków.

W sercach Asobornów płonąła dzika дума i poskromić ją było zadaniem równie trudnym i niebezpiecznym, jak przywiązanie się do rozwścieczonego zwierzęcia, ale targi dobiegły końca. On i Freya po kilku godzinach szaleńczo uprawianej miłości wymienili ostatecznie Przysięgi Miecza.

Miał wrażenie, jakby ktoś go wychłostał. Piers od ramion aż po biodra płonęła mu od śladów zębów Freyi. Spodnie boleśnie obcierały lędźwie, gdy wreszcie zdołał się podnieść z jej łoża i je włożyć.

Sigmar, krocząc między ludem Freyi, dostrzegł strome, gęsto zalesione zbocza dwóch pozostałych wzgórz, od których wioska brała swoją nazwę. Ujrzał mieszkania zbudowane na wierzchołkach drzew i pomiędzy ich splątanymi korzeniami. Wewnątrz pnia potężnego dębu skonstruowano młyn. Skrzydła wiatraka poruszały się powoli i napędzały kamień młyński, który jak Sigmar przypuszczał, musiał znajdować się pod ziemią.

Przez osadę toczył swe wody wartki strumień. Sigmar przyklęknął przy brzegu i zanurzył głowę w szybko płynącej strudze, pozwalając lodowatej wodzie zmyć zmęczenie i posmak napojów, którymi poila go Freya, twierdząc, że dzięki nim miłosny akt będzie mógł trwać dłużej.

Sigmar usiadł z powrotem na piętach i odrzucił głowę do tyłu, pozwalając wodzie spływać po plecach i piersi. Zamrugał oczami, ścierając z twarzy ostatnie krople, po czym przesunął dłońmi po złotych włosach, zbierając je w długi kucyk i związując skórzanym rzemieniem.

- A więc byłeś w stanie? - zapytał rozbawiony głos za jego plecami.

- Czy byłem w stanie co, Wolfgarcie? - odpowiedział Sigmar pytaniem na pytanie, podnosząc się i obracając w stronę brata miecza. W przeciwieństwie do niego przyjaciel wyglądał na rześkiego i wypoczętego, a oczy lśniły mu złośliwym rozbawieniem.

- Czy byłeś w stanie pokonać Freyę w walce? Z pewnością pamiętasz radę twego ojca, który zwykł mawiać, że nie powinno się wpuszczać do łoża

dziewek, których nie jest się w stanie pokonać w walce.

Sigmar wzruszył ramionami:

- Może. Nie wiem. Sądzę, że Freya nie widzi dużej różnicy między spólkowaniem a walką. Ja z pewnością czuję się, jakbym wracał z wojny.

- I tak też wyglądasz, bracie - stwierdził Wolfgart, obracając go dookoła i przyglądając się skórze na jego plecach. - A niech mnie bogowie! To wygląda, jakby cię poturbował niedźwiedź!

- Wystarczy - przerwał Sigmar, odsuwając się od Wolfgarta. - Ani słowa na ten temat, kiedy wrócimy do naszych. Mówię poważnie.

- Oczywiście - uśmiechnął się Wolfgart. - Moje usta są ściśnięte mocniej niż nogi dziewicy podczas Nocy Krwi.

- Czyli wcale - zauważył trzeźwo Sigmar.

- Mniejsza z tym - odpowiedział Wolfgart rozkoszując się zażenowaniem Sigmara i ignorując jego gniewne spojrzenie. - Czy zawarliśmy przymierze z Asobornami? Czy przyjęli nasze dary?

- O tak, przyjęli je z otwartymi ramionami - odrzekł Sigmar. - Dary spodobały się królowej, tak jak i twoje konie.

- I tak też myślałem, do kroćset! - ucieszył się Wolfgart. - Oddałem jej przecież Płonące Serce i Czarnogrzywego, najwspanialsze ogiery z mego stada. Można by ubrać je w pancerze ważące po pięćdziesiąt kilo, a i tak prześcignęłyby kucyki, których Asobornowie używają do ciągnięcia swych rydwanów. Daj im kilka lat, a doczekają się koni bojowych wartych tej nazwy.

- Freya zdaje sobie z tego sprawę i dlatego złożyła mi Przysięgę Miecza.

Wolfgart poklepał Sigmara po ramieniu, śmiejąc się, gdy ten wzdrygnął się z bólu.

- Dalejże, bracie, obaj znamy prawdziwy powód, dla którego złożyła przysięgę.

- To znaczy?

- Kiedy unberogeńskiemu mężczyźnie krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach, nie ma takiej kobiety na świecie, która powiedziałaaby „nie”.

Później tego samego dnia Sigmar i Wolfgart zostali odeskortowani do reszty wojowników. Tym razem jednak, jako sprzymierzeńcy Asobornów, nie mieli już zawiązanych oczu. Gdy wynurzyli się zza grzbietu wzniesienia i

zostali dostrzeżeni przez pierwszych Unberogenów, powitał ich radosny okrzyk. Sigmar rzucił Wolfgartowi miażdżące spojrzenie, podczas gdy ten zachowywał się bardzo nonszalancko.

Sigmar uradował się, widząc, że Asobornowie dotrzykali słowa i nie skrzywdzili żadnego z jego wojowników. Po twarzach żołnierzy również było widać, że ulżyło im na widok powracającego bezpiecznie króla.

I tym razem za przewodnika służyła im wojowniczką Maedbh, która jechała obok nich na rydwanie z lakierowanego czarnego drewna, wykończonego brązem. Do rydwanu zaprzężono dwa mocne kucyki, a w koła powozu wmontowane były ostrza kos. Przypomniawszy sobie dreszcz strachu, który przeszedł przez jego ludzi na widok śmiertelnie niebezpiecznych rydwanów, Sigmar pomyślał, że kiedy będą one ciągnięte przez potężne unberogeńskie rumaki, staną się już niemal zupełnie niepowstrzymane na polu bitwy.

Maedbh ściągnęła lejce, zatrzymując rydwan, po czym zeskoczyła z podestu i skierowała się w stronę Sigmara i Wolfgarta. Miała podobny temperament i urodę jak jej królowa i Sigmar starał się ukryć rozbawienie, gdy odgadł powód, dla którego zdecydowała się do nich podejść.

- Opuuszczasz nasze ziemie jako przyjaciel, królu Sigmarze - odezwała się Maedbh.

- Jesteśmy teraz jednym ludem - zawtórował jej Sigmar. - Jeżeli waszym ziemiom będzie grozić niebezpieczeństwo, nie wahajcie się ani chwili, by wezwać nas na pomoc.

- Królowa Freya mówiła, że masz krzepę. Czy wszyscy Unberogenowie są tacy jak ty?

- O tak, wszyscy unberogeńscy mężczyźni są silni - przytaknął Sigmar.

Maedbh skinęła głową i minęła go, po czym stanęła twarzą w twarz z Wolfgartem. Zanim brat miecza zdążył się odezwać, wojowniczką chwyciła go jedną dłonią za szyję, a drugą wsunęła mu między nogi, przyciągając go do siebie w długim i namiętym pocałunku.

Na ten widok od strony unberogeńskiego oddziału dał się słyszeć kolejny okrzyk radości. Sigmar roześmiał się widząc, jak Wolfgart próbuje się oswobodzić z objęć nieustraszonej kobiety. Wreszcie wojowniczką puściła go z ramion i weszła z powrotem na rydwan.

- Powróć do mnie latem, Wolfgarcie z Unberogenów! - zawołała, zwracając rydwan. - Wróć, a złączymy się i powołamy do życia silne dzieci!

Rydwan szybko zniknął za zakrętem drogi, a Sigmar położył dłoń na ramieniu oniemiałego z zaskoczenia przyjaciela.

- Wygląda na to, że nie tylko ja zrobiłem dobre wrażenie - powiedział.

Cormac Krwawy Topór stał na brzegu morza szarego jak popiół i wpatrywał się w to, co pozostało z jego niegdyś dumnego ludu. Zagryzał przy tym ze złości zęby, czując, że berserkerski szal chce znowu przejąć nad nim kontrolę, ale bezlitośnie stłumił narastającą furję. Sigmar z Unberogenów i jego żołnierze wypędzili ich z ojczyzny i skazali na tułaczkę, która zaprowadziła ich do tego zapomnianego miejsca na krańcu świata.

Południowe brzegi przekłętej krainy były ponure i pokryte wiecznym śniegiem. Miedzy rozrzuconymi na wybrzeżu osadami hulał wiatr o takiej sile, jakby został wzbudzony oddechem lodowego demona.

Budynki tworzące osady zostały zbudowane z resztek desek pozostałych po Wilczych Okrętach. W ten sposób wspaniałe statki, które przez lata niosły do boju oddziały Morskich Wilków z ludu Norsów, zakończyły haniebnie swój żywot.

Na pokładach tych samych statków przybyli tutaj z południowych krain, pobici i zdziesiątkowani. Niewielu Norsów pozostało przy życiu, aby wspominać talent snycerzy i budowniczych pracujących przy stworzeniu Wilczych Okrętów. Dumny lud, który onegdaj zamieszkiwał dwory mieszczące setki wojowników i ogrzewane ciepłem wielkich palenisk, teraz musiał gnieździć się w lichych szałasach i wilgotnych jaskiniach.

Obok Cormaca stał Kar Odacen, przygarbiony mistyk, który na dworze jego zmarłego ojca, zamordowanego króla Norsów, przekazywał i tłumaczył znaki zesłane przez bogów. Cormac gardził starcem i najchętniej zabiłby go, aby zemścić się za klęskę, która zniszczyła jego armię, ale nie chcąc ściągać na siebie boskiego gniewu, ostatecznie pozostawił go przy życiu.

Kar Odacen był doradcą walecznych królów północy od dawien dawna i najstarsi szeptali nawet między sobą, że był on prawą ręką pradziada Cormaca.

Rzeczywiście mężczyzna wyglądał na bardzo starego. Miał zupełnie łysą głowę i twarz pokrytą pajęczą siecią zmarszczek. Był bardzo szczupły, a upływające lata wyostrzyły mu rysy twarzy tak bardzo, że zaczął przypominać drapieżnego ptaka. Cormac zadrżał z zimna, pomimo tego że

odziany był w grube, wełniane spodnie i ciężki płaszcz z niedźwiedziej skóry, którego połami właśnie się ciasniej otulił. Stojący obok niego Kar Odacen miał na sobie tylko cienkie i postrzępione szaty, a mimo to sprawiał wrażenie, jakby nic sobie nie robił z lodowatych podmuchów wiatru.

- Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego tu jesteśmy, starcze? - rzucił gniewnie Cormac. - Obaj zemrzemy na gorączkę, jeżeli dłużej tu podoimy.

- Miej trochę cierpliwości, młody królu - odezwał się spokojnie Kar Odacen. - I trochę wiary.

- Żadnej z tych cech nie posiadam w nadmiarze - sarknął Cormac, podczas gdy kolejny podmuch zimnego wiatru wstrząsnął nim tak, jakby ktoś wbił mu w ciało tysiąc sopli lodu. - Jeżeli to ma być tylko strata czasu, to, na bogów, skróć cię o głowę.

- Oszczędź mi tych jałowych pogroźek - odpowiedział Kar Odacen. - Widziałem moją śmierć tysiące razy i na pewno nie nastąpi to od twojego topora.

Cormac z trudem zdusił uczucie złości i ponownie wbił wzrok w morze. Daleko na południe stąd, za ciemnymi wodami oceanu i obłokami złowieszczej mgły, leżały ciepłe, żyzne krainy południa, ziemie, które kiedyś należały do nich.

Ziemie, które kiedyś znów mogą wrócić pod ich panowanie.

Cormac wciąż czuł posmak popiołu w ustach na wspomnienie płonących statków, w kierunku których ludzie Sigmara za pomocą przedziwnych machin wojennych miotali z klifów płonące pociski. Tysiące Norsów zginęło w płomieniach, drugie tyle utonęło w morskich odmętach.

Któregoś dnia Sigmar i jego sprzymierzeńcy zapłacą za to.

Cormac ślubował, że on i ci, którzy przyjdą po nim, kiedyś znowu wyprawią się przez wielką wodę i z pieśnią wojenną na ustach wylądują na południowym wybrzeżu.

Cormac zdawał sobie jednak sprawę, że dzień ten nie nadejdzie zbyt prędko, dlatego też póki co starał się podsycać tylko płonący w sercu ogień zemsty. Jednakże ostatniego wieczoru, gdy siedzieli wokół ognia, Kar Odacen obiecał mu, że krwawe dni wkrótce znowu się rozpoczną i powiedział Cormacowi, żeby następnego dnia o świcie spotkał się z nim na opustoszałym brzegu.

Jak do tej pory Cormac był przekonany, że spotkanie to jest tylko stratą czasu. Już miał zamiar obrócić się na pięcie i ruszyć w drogę powrotną do

osady, gdy Kar Odacen odezwał się ponownie.

- Nadchodzi ten, który będzie potężniejszy od nas wszystkich, nawet od ciebie.

- Kto taki?

- Spójrz tam - odpowiedział Kar Odacen wskazując sękatym palcem w morze.

Cormac osłonił ręką oczy przed promieniami porannego, bladego słońca i ujrział małą łódkę, podskakującą bezradnie na grzbietach napierających fal. Przyptyw ścigał łódkę w stronę brzegu, podczas gdy podziurawiony żagiel powiewał smętnie, unoszony podmuchami wiatru. Łódź takich rozmiarów nie była przeznaczona do pokonywania tak dalekich przestrzeni i Cormac był zdumiony, że komuś udało się w tej łupinie przepłynąć ocean.

- Skąd to się tu wzięło? - zapytał na głos.

- Z południa - odpowiedział Kar Odacen.

Łódź w dalszym ciągu zbliżała się do brzegu i w pewnym momencie, gdy została uniesiona wysoko na grzbiecie fali, Cormac zauważył, że na pokładzie leży człowiek.

- Idź - rozkazał Kar Odacen, kiedy łódka znalazła się niedaleko nich. - Przyciągnij ją tutaj.

Cormac rzucił mistykowi gniewne spojrzenie, ale zanurzył się pomiędzy fale. Zimno momentalnie ogarnęło wszystkie jego członki. Czuł, że w ciągu kilku sekund nogi zupełnie mu zdrętwiały. Zanurzył się po pas, czując jak lodowata woda z każdą chwilą czyni go coraz słabszym.

Gdy łódka podpłynęła w jego stronę, chwycił za wypaczone deski nadburcia i zawróciwszy ją, zaczął holować w stronę brzegu. W pewnej chwili usłyszał, jak znajdujący się na pokładzie mężczyzna jęknął.

- Kimkolwiek jesteś - wysyczał przez zaciśnięte zęby. - Lepiej, żebyś był wart tego wszystkiego.

Cormac holował łódkę w stronę nabrzeża, a gdy wreszcie tam dotarł, z trudem wyciągnął ją na szary piach. Miał wrażenie, że zaraz zamarznie, ale na szczęście w międzyczasie Kar Odacen rozpałił na plaży ognisko.

Czyżby był w wodzie aż tak długo?

Kar Odacen zbliżył się do łodzi, wykrzywiając twarz w groteskowym uśmiechu zainteresowania. Cormac również obrócił się w stronę mężczyzny spoczywającego na pokładzie, podczas gdy ten przewrócił się na plecy i otworzył oczy.

Zwróciła się ku nim wymizerowana twarz otoczona kruczoczarnymi włosami, rozsypanymi w nieładzie i opadającymi aż na ramiona. Mimo że mężczyzna był nieogolony, a także z pewnością niedożywiony, był również uderzająco przystojny. Na dnie łodzi leżał miecz w pochwie. Mężczyzna spróbował chwycić za broń chwilę po tym, jak otworzył oczy.

Cormac wyciągnął dłoń i wyrwał osłabionemu mężczyźnie broń z ręki. Wysunął miecz z pochwy i wycelował czubek ostrza prosto w gardło rozbitka.

- Uważaj - ostrzegł go. - Umrzeć od ciosu własnego miecza to bardzo zła śmierć.

Trzymając przed sobą wyciągnięty miecz, Cormac podziwiał lśniące ostrze, doskonale wyważenie, a także wagę idealnie dopasowaną do siły i zasięgu broni. Była to w rzeczy samej niesamowita broń i Cormac odczuł nagle niepohamowaną chęć opuszczenia ostrza.

- Kim jesteś? - zażądał wyjaśnień.

Mężczyzna obliznął wargi i spróbował odpowiedzieć, ale jego usta były suche i spierzchnięte od niezliczonych dni spędzonych na morzu. Zdołał z siebie wydać tylko kilka chrapliwych, niewyartykułowanych dźwięków. Kar Odacén podał mu bukłak z wodą. Mężczyzna zaczął pić chciwie, połykając wodę łapczywymi łykami.

Wreszcie opuścił bukłak i wyszeptał:

- Zwań mnie Gerreon.

Kar Odacén potrząsnął głową.

- Nie, to było imię, które nosiłeś w poprzednim życiu. Powinieneś teraz mieć nowe imię, to, które wieki temu nadali ci bogowie północy.

- Wyjaw mi je... - błagalnie wychrypiał Gerreon.

- Od tej pory będziesz się zwał Azazel.

Rozdział 16

Być królem

Mimo że oddziały pod wodzą turyngiańskiego króla znajdowały się w odległości około kilometra od obozu Unberogenów, ci wyraźnie słyszeli już okrzyki bojowe wydawane przez nadciągających wrogów. Sigmar poczuł nagle na barkach ciężar swoich dwudziestu sześciu lat, złorzecząc w duchu na myśl o tym, że przyjdzie mu się dzisiaj zmierzyć na polu bitwy nie z zielonoskórzymi, ale z ludzkim plemieniem.

Słońce świeciło jasno, a powietrze było mroźne i orzeźwiające. Na szczytach rozciągających się na północy gór bieleły wciąż resztki śniegu, a z zachodu uderzały jeszcze momentami podmuchy lodowatego wiatru. Na dzikich terenach kraju Turyngian stacjonowało niemal dwanaście tysięcy unberogeńskich żołnierzy, gotowych do stawienia czoła wojownikom króla Otwina, o ciałach pokrytym malunkami.

Potępieńcze jęki berserkerów rozlegały się po lesie już od świtu, a Unberogenowie co chwila kreślili w powietrzu znak rogów, aby odpędzić od siebie złe duchy, o których powiadano, że gromadzą się w lasach i doprowadzają ludzi do szaleństwa.

Setki mężczyzn skupiło się wokół ognisk, głośno się przekomarzając i ostrząc dawno już naostrzone klingi lub wznosząc modlitwy do Ulryka, aby zesłał im siły i odwagę do dobrej walki. W powietrzu unosił się zapach gotującego się mięsa i owsianki. Większość wojowników jednakowoż posilała się umiarkowanie, wiedząc, że nie jest dobrze wyruszać do walki, mając pełen pęcherz i jelita.

Wojownicy z oddziału Białych Wilków doglądali swych wierzchowców. Szczotkowali je i splatali im ogony przy użyciu sznurków, przygotowując zwierzęta do planowanej szarży. Rumaki nie miały jeszcze pancerzy na sobie, ponieważ musiały zachować pełnię sił na nadchodzącą bitwę, a obciążanie ich grzbietów zbyt wcześnie, niepotrzebnie by je tylko zmęczyło.

Żołnierze również przygotowywali się do walki. Dowódcy każdego z oddziałów skrzykiwali swoich ludzi i zagaszali ogniska, zasypując je garściami ziemi. To, co przed chwilą wydawało się chaotyczną ludzką zbieraniną, momentalnie przerodziło się w zdyscyplinowane szeregi żołnierzy. Serce Sigmara pęczniało z dumy na ten widok.

Usłyszał dobiegający z tyłu odgłos kroków i odwrócił się.

W jego stronę szli Wolfgart, Pendrag i Alfgeir. Każdy z nich był już przygotowany do bitwy, a Pendrag niósł szkarłatny sztandar Sigmara. Twarz Marszałka Reiku była ponura i nawet Wolfgart zdawał się przygnębiony na myśl o walce, którą mieli stoczyć.

- Zapowiada się dobry dzień do walki - rzucił cierpko Wolfgart. - Kruki już się gromadzą w powietrzu.

Sigmar ze smutkiem pokiwał głową, ponieważ zdawał sobie sprawę, że wynik bitwy jest z góry przesądzony. Ledwie sześć tysięcy wojowników miało przeciwstawić się potężnej armii Sigmara, która jak do tej pory nigdy nie doznała porażki.

- Nie ma nic dobrego w tym dniu - stwierdził Sigmar. - Umrze dziś wielu ludzi i po co?

- Dla honoru - odpowiedział Alfgeir.

- Honoru? - powtórzył Sigmar, potrząsając głową. - A gdzie jest w tym honor? Liczebność naszej armii przynajmniej dwukrotnie przewyższa liczbę wojowników, którą Otwin mógł wystawić przeciwko nam. Nie może wygrać i musi zdawać sobie z tego sprawę.

- Tu nie chodzi o wygraną, Sigmarze - odezwał się Pendrag.

- A więc o co chodzi?

- Zastanów się nad tym. Gdyby nasz kraj został najechany, czy nie walczylibyśmy o niego? - zapytał Pendrag. - Nieważne, jak wielu byłoby wrogów, chwycilibyśmy za broń, żeby chronić naszą ojczyznę.

- Ale przecież my nie jesteśmy najeźdźcami - zaprotestował Sigmar. - Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby uniknąć tej wojny. Zaproponowałem królowi Otwinowi Przysięgę Miecza i szansę dołączenia do nas, ale on odprowadził każdego emisariusza, jakiego do niego posłałem.

Alfgeir wzruszył ramionami, zacieśniając paski przytrzymujące napierśnik.

- Otwin jest sprytny. Wie, że nie może z nami wygrać, ale wie również, że nie pozostałby długo królem, gdyby nie zdecydował się stawić nam czoła.

Gdy zostanie pokonany, przyjdzie do nas szukając ugody, a przy tym zachowa honor.

- Tysiące ludzi zginie, aby mógł zachować swój honor - powiedział Sigmar. - To szaleństwo.

- Pewnie masz rację - zgodził się Alfgeir. - Ale nic na to nie poradzę, że go za to podziwiam.

Wolfgart wyciągnął swój wielki miecz z umocowanej na ramionach pochwy.

- Ach, miejmy to już za sobą i wracajmy do domu.

Sigmar uśmiechnął się, domyślając się przyczyny Wolfgartowego zniecierpliwienia, wdzięczny przy tym za zmianę tematu.

- Nie martw się, bracie. Sprawimy, że cały i zdrowy powrócisz do Maedbh.

- Racja, przecież zrobiłaby z nas eunuchów, gdybyśmy tego nie dopilnowali - dodał Pendrag.

Lekceważąc niebezpieczeństwa związane z podróżowaniem przez śnieżne zasy, Wolfgart wyprawił się z powrotem na wschód, krótko po tym, gdy wrócili z misji u królowej Freyi, a następnie całą zimę spędził z Asobornami. Kiedy na wiosnę powrócił, z dumą prezentował wszystkim tatuaż na ramieniu, znak swoich zrękowin z Maedbh. Mieli zostać sobie poślubieni przy Kamieniu Przysięg w Reikdorfie, gdy krwawy spór z Turyngianami dobiegł końca.

Sigmar cieszył się ze szczęścia przyjaciela i z niecierpliwością wyczekiwał hucznych zabaw, które zawsze następowały po ceremonii zaślubin. Na chwilę popadł w melancholijne zamyślenie, gdy jego myśli nieuchronnie pomknęły ku Ravennie. Od jej śmierci minęło wiele lat, ale nie było dnia, żeby Sigmar o niej nie myślał.

Nawet gdy trzymał w objęciach Freyę, wyobrażał sobie, że jest z Ravenną.

Otrząsnął się z takich rozważań, ponieważ myślenie o śmierci tuż przed bitwą z pewnością mogło stanowić zły omen.

W powietrzu rozległ się dźwięk unberogeńskich rogów. Sigmar uściśnął dłonie każdego ze swych towarzyszy i spojrzał na swoją armię, gotową do walki.

- Walczcie dzielnie, przyjaciele - powiedział. - Jeżeli musimy stoczyć tę bitwę w imię honoru, zróbmy to szybko.

Sigmar roztrzaskał młotem pierś turyngiańskiego wojownika, po czym obrócił się na pięcie i trzymanym w drugiej dłoni mieczem strącił nadlatującą włócznię. Łokciem zgruchotał twarz mężczyzny, który cisnął włócznią, po czym przeskoczył nad padającym ciałem i ramieniem staranował stojącego dalej wojownika. Uniesiony topór berserkera roztrzaskał jego tarczę I teraz Sigmar krwawił obficie z rozlicznych płytkich ran.

Odgłosy walki niesły się w powietrzu, gdy tysiące zaprawionych w walce wojowników zamierzało się na siebie z toporami, mieczami, włóczniami czy sztyletami. Armia króla Otwina zaczęła się rozsypywać, zanim jeszcze uderzyła w nią unberogeńska szarża. Lewą flankę zaatakowały Białe Wilki pod wodzą Alfgeira, miażdżąc ustawionych tam wojowników w lekkich pancerzach. Zwinni zwiadowcy zdołali okrążyć prawą flankę, podczas gdy nieustraszona armia szermierzy i włóczników w centrum pola bitwy stawiała czoła berserkerskiej szarży.

Sigmar, wraz z Pendragiem i Wolfgartem, poczekali aż ryczący Turyngianie dotrą jak najbliżej. Większość z atakujących była naga, a ich ciała pokrywały kolorowe malunki w kształcie spiral, podczas gdy włosy mieli postawione w szpice, usztywnione za pomocą błota zmieszanego z kredą. Dzierżyli olbrzymie miecze i topory, a ich oczy płonęły szaleństwem, podczas gdy z ust toczyła się piana wściekłości.

Sigmara zaatakował gigantyczny wojownik o twarzy podziurawionej metalowymi kolcami i ciężkimi obręczami. Jego ciało było olbrzymie, muskularne i pokryte krwią płynącą z głębokich ran, które sam sobie zadał. Sigmar uchylił się przed świszczącym zamachem topora, a cios, którego uniknął, rozplątał stojącego za nim mężczyznę na pół. Cios powrotny nastąpił z niesamowitą szybkością i krawędź topora zahaczyła o naramiennik Sigmara, posyłając go na ziemię.

Sigmar przetoczył się po błocie, desperacko próbując powstać. W jego stronę ciśnięto włócznię, ale zdołał ją odbić przedramieniem. Ostrze włóczni uderzyło w ziemię obok niego, a Sigmar kopnął włócznika, gruchocząc jego rzepkę i zmuszając go do odwrotu. Ślizgał się w błocie, które utworzyło się pod stopami od potu i krwi walczących mężczyzn. Ledwo powstał na nogi, gdy cios miecza przeciął jego pierś, niszcząc żelazne wiązania, które rozprysnęły się od potężnego uderzenia.

Usztywniany podkoszulek, który miał na sobie, został przecięty, ale to koszulka kolcza przyjęła na siebie największą siłę uderzenia. Natarł głową na szermierza i zadał młotem cios w jego pachwinę. Gigantyczny berserker z toporem znowu się na niego zamierzył i Sigmar uniósł Ghal-maraza, aby zablokować cios. Uderzenie było tak potężne, że aż zdrętwiało mu ramię, ale zdołał obrócić się wokół mężczyzny i wbić miecz w jego trzewia.

Miecz wypadł mu z dłoni, a olbrzym uderzył trzonkiem topora prosto w jego twarz. Z pękniętych warg trysnęła krew, a w oczach aż pociemniało, gdy zatoczył się od potężnego ciosu.

Pomimo śmiertelnej rany, berserker wciąż nacierał. Najwyraźniej miecz tkwiący w jego brzuchu nie stanowił dla niego przeszkody. Mężczyzna zawył i zamachnął się toporem, a szaleństwo bitwy przewyciężyło potworny ból. Sigmar uchylił się przed zabójczym ciosem i natarł na przeciwnika, starając się obuchem młota wbić głębiej miecz w ciało wroga. Siłą impetu white ostrze zanurzyło się we wnętrznościach mężczyzny aż po rękojeść.

Wojownik chwycił Sigmara za włosy i szarpnął jego głowę do tyłu, odsłaniając szyję. Wzniósł topór, ale Sigmar zdołał się jeszcze pochylić i zacisnąć dłoń na rękojeści miecza, a następnie oprzeć się stopami o brzuch olbrzyma.

Sigmar obrócił miecz i wyciągnął go z wnętrzości przeciwnika. Ostrze wyszło gładko, a Sigmar zamachnął się i z całej siły wbił je w bok szyi giganta. Z rany trysnęła krew, a po jej szkarłatnym kolorze i wartkim strumieniu Sigmar rozpoznał, że udało mu się przebić tętnicę.

Wojownik zachwiał się, podczas gdy Sigmar zamachnął się i wymierzył cios z góry, wgniatając olbrzyma w ziemię. Koszulka kolcza, którą miał na sobie, była rozdarta i bezużyteczna, większość żelaznych kółek leżała już na ziemi, dlatego też Sigmar, korzystając z chwili wytchnienia, ściągnął ją z siebie, pozostając do pasa nagi. Jego włosy były zmierzwione, twarz pokrywała skorupa krwi. Sigmar miał nadzieję, że żaden z jego żołnierzy nie pomyli go z turyngiańskim berserkerem.

U jego boku pojawił się zdyszany Pendrag z zakrwawionym toporem i rozdartą koszulką kolczą, jednak wciąż pewnie ściskając w dłoni sztandar.

- Na bogów, myślałem, że ten wielki bydlak nigdy nie padnie!
- O tak - wydyszał Sigmar. - Zgadzam się, to był trudny przeciwnik.
- Jesteś ranny? - zapytał Pendrag.
- Nic poważnego - odpowiedział Sigmar i w tej samej chwili ujrzał, jak

głębiej w szeregach Turyngian wybucha bijatyka, a wszystko to dzieje się pod sztandarem przedstawiającym srebrne miecze na czarnym polu.

- Dalejże - powiedział Sigmar. - Widzę sztandar Otwina!

Pendrag skinął głową, podczas gdy unberogeńscy wojownicy ustawili się w formację klina wokół swego króla, po czym, bez dalszych słów Sigmar poprowadził ich w sam środek pola bitwy. Sigmar z doświadczenia wiedział już, że przeciwnicy są skazani na porażkę. Białe Wilki rozprawiały się z wojownikami na flankach, spychając ich coraz bardziej w stronę centrum. Straszliwe młoty wznosiły się i opadały, gdy torowali sobie krwawą drogę w kierunku królewskiego sztandaru.

Prawa flanką rozpadła się na kilka osobnych oddziałów. Tylko wojownicy walczący pośrodku byli jeszcze na tyle zdyscyplinowani, aby utrzymywać szereg, ale jeżeli ta bitwa miała dobiec końca, Sigmar musiał dostać się do króla.

Oślepieni szaleństwem krwi berserkerzy rzucali się przed króla Unberogenów i wszyscy ginęli od jego miecza lub młota. Zgromadzeni wokół Sigmara żołnierze również byli niepokonani, walcząc z odwagą i nieustępliwą ząartością. Metr za metrem Unberogenowie wdzierali się między wrzaskliwy tłum Turyngian, wycinając sobie krwawą ścieżkę i wykrzykując wniebogłosy imię Sigmara.

Sigmar ujrzał Otwina walczącego w samym środku i poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Król Turyngian był olbrzymim mężczyzną, większym nawet i potężniejszym, niż gigant, którego Sigmar właśnie pokonał. Nagie ciało Otwina pokrywały fantazyjne tatuaże i kolczyki, a koronę stanowiły złote kolce przeszywające bezpośrednio skórę czaszki. Jego ciało pokrywała krew, a w dłoniach dzierżył topór o podwójnym ostrzu, większy nawet od tego, który należał do ojca Sigmara.

Grupa równie przerażających wojowników zgromadziła się wokół swego króla, a ich wojenne okrzyki brzmiały jak wycie wściekłych wilków. Otwin spostrzegł nadciągający klin unberogeńskich żołnierzy i zwrócił się ku niemu, wykrzywiając twarz w szaleńczym uśmiechu wcielonej furii.

Jeden z królewskich czempionów wyskoczył do przodu, nie mogąc opanować bitewnej gorączki i Sigmar zamachnął się młotem w jego stronę. Wojownik uniknął ciosu i zanurkował pod nim, turlając się po ziemi z wyciągniętymi przed siebie mieczami. Sigmar przeskoczył nad wirującymi ostrzami i obróciwszy się w powietrzu, opadł na ziemię, przygniatając

jednym butem czaszkę mężczyzny.

Podstawa czaszki pokonanego wojownika pękła z potwornym trzaskiem, ale nie zdążył jeszcze wyzionąć ducha, gdy zaatakował już następny nieprzyjaciel. Sigmar uniósł miecz w przygotowaniu do ciosu, ale zawahał się, dostrzegając, że czempion był piękną kobietą o smukłej sylwetce, złotych włosach i jasnych oczach. Była muskularnie zbudowana, ale bardzo szybka. Chwila wahania niemal kosztowała Sigmara życie, gdy dwa identyczne ostrza, jakie trzymała w dłoniach, śmignęły w jego stronę z taką szybkością, że zobaczył tylko ich rozmazane kontury.

- Jestem Ulfdar! - zawołała wojowniczką. - I jestem twoją śmiercią!

Sigmar sparował jeden z mieczy Ulfdar, podczas gdy drugi ześliznął się po jego ramieniu pozostawiając za sobą piekącą ranę. Odbił kolejny cios mieczem i uderzył czołem w twarz Ulfdar. Zatoczyła się i splunęła krwią, śmiejąc się histerycznie, po czym zadała cios prosto w jego łędźwie. Sigmar odskoczył na bok, podczas gdy klingi jego wojowników zabrzmiały w spotkaniu z bronią świty króla Turyngian.

Drugie ostrze pomknęło w stronę jego szyi i Sigmar zrobił gwałtowny krok do przodu, tak że dłoń napastniczki uderzyła w żelazny ryngraf na jego szyi. Sigmar słyszał, jak palce wojowniczką łamią się i ujrzał, że miecz wypadł jej z dłoni. Zamachnął się młotem, uderzając ją w brzuch. Cios ciężkim obuchem na kilka chwil pozbawił ją oddechu. Uniósł kolano zdecydowanym ruchem i zgruchotał jej szczękę. Wojowniczką upadła przed nim na kolana. Berserkerski szal już ją opuszczał, w miarę jak przejmujący ból płynący z ran przewycięzał krwawą mgłą, pod której wpływem znajdowała się do tej pory. Jednak mimo wszystko kobieta wciąż patrzyła na niego wyzywająco i bez cienia strachu w oczach.

Sigmar wiedział, że powinien ją zabić, tak jak ona by to uczyniła, będąc na jego miejscu, ale jakaś nieznana siła kazała mu powstrzymać się przed zadaniem śmiertelnego ciosu. Zamiast tego zamierzył się i uderzył ją pięścią w twarz, wiedząc, że gdyby pozostała przytomna, zaraz sięgnęłaby po kolejną broń i znów spróbowałaby dać się zabić.

Bitwa toczyła się wokół Sigmara niczym wzburzona rzeka niosąca fale wrzeszczących z bólu lub furii wojowników, których ryki i jęki łączyły się w jedno crescendo. Nagle ujrzał grupę nieprzyjacielskich wojowników, wycinających sobie drogę w stronę jego szkarłatnego sztandaru, więc otrząsnął się z myśli o właśnie stoczony walce. Przygotował się na spotkanie

z potężnym królem berserkerów, który, powołując się na krew i honor, z rykiem rzucił mu wyzwanie.

Sigmar uniósł Ghal-maraza wysoko, tak, aby dostrzegli go wszyscy jego ludzie na polu walki, po czym odpowiedział własnym wyzwaniem.

Gdy dwaj królowie wreszcie starli się w pojedynku, dookoła poleciały iskry i zdało się wręcz, że powietrze naelektryzowało się od bojowego szału. Potężny topór Otwina zatoczył śmiertelnie niebezpieczny łuk, ale Sigmar przetoczył się pod nim i uderzył młotem w bok wroga. Król Turyngian stęknął z bólu, ale nie upadł. Opuścił trzonek topora, a ostrze wbiło się w ramię Sigmara.

Ten krzyknął głośno z bólu i wypuścił miecz. Otwin wymierzył cios pięścią w twarz Sigmara, który upadł, czując, że uderzenie złamało mu szczękę. Król Turyngian napierał dalej, starając się trafić toporem prosto w serce Sigmara. Unberogen uchylił się przed ostrzem i obracając się, wyprowadził cios Ghal-marazem w biodro Otwina. Potężny cios powalił króla Turyngian na kolana.

Sigmar potrząsnął głową, starając się uwolnić oczy od oblepiającej je krwawej posoki, a następnie znowu zaatakował nieprzyjaciela. Otwin zamachnął się toporem, ale Sigmar był przygotowany na cios i uderzył Ghal-marazem prosto w królewski nadgarstek.

Z potężnego łańcucha, który przykuwał topór do ręki Otwina, prysnęły iskry i ogniwa rozpadły się pod zadaniem z furją ciosem wspaniałego topora. Kawalki metalu poleciały w powietrze, a olbrzymi topór wysunął się z uścisku Otwina.

Sigmar zbliżył się do nieprzyjaciela i zacisnął rękę na jego gardle, pozbawiając Otwina oddechu. Król berserkerów wytrzeszczył oczy i desperacko próbował się podnieść, ale żelazny uścisk Sigmara trzymał go w przykłęku. Paznokcie Otwina rozorywały Sigmarowi ramię, ale ten ani na chwilę nie rozluźnił straszliwego uchwytu. Sigmar uniósł Ghal-maraza nad głowę.

Pokryty runami młot załśnił w słońcu gotowy do roztrzaskania czaszki turyngiańskiego króla.

Bitewny zgiełk zamarł. Wojownicy obu armii rozumieli znaczenie starcia dwóch gigantów. W tej chwili ważyły się losy całej bitwy. Odgłosy walki ucichły i wszystkie oczy skierowały się ku środkowi pola bitwy i rozgrywającemu się tam pojedynkowi.

Sigmar opuścił swój młot i pomógł Otwinowi podnieść się z klęczek, wciąż jednak trzymając jego szyję w żelaznym uścisku, dopóki nie ujrzał, że nienaturalny blask szaru bojowego znika z jego oczu. Gdy Sigmar puścił go wolno, berserker wziął najpierw głęboki oddech, po czym spojrzał Unberogenowi w oczy bez śladu strachu czy wstydu.

- To koniec, królu Otwinie - powiedział Sigmar tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Masz wybór: żyć albo umrzeć. Wymień ze mną Przysięgi Miecza. Zostań członkiem mojego braterstwa wojowników, a razem zbudujemy ludzkie imperium i powstrzymamy nadchodzącą ciemność.

- A jeśli odmówię? - wycharczał Otwin, ocierając krew ciekącą z kącika ust, które pogryzł sobie w szale.

- Wtedy wypędzę ciebie i twój lud z tych ziem - stwierdził Sigmar. - Każdy z mężczyzn, którzy się tutaj stawili, zostanie zabity, twoje wioski spłoną, twoi potomkowie umrą, a lamentom twoich kobiet nie będzie końca.

- Nie pozostawiasz mi więc wyboru - odpowiedział Otwin.

- Nie - zgodził się Sigmar. - A więc jak będzie? Pokój czy wojna? Życie czy śmierć?

- Masz serce z kamienia, królu Sigmarze - odpowiedział Otwin. - Ale, na bogów, będę dumny, mogąc kroczyć z tobą drogą wiodącą do dworu Ulryka!

- Czyli złożysz przysięgę? - zapytał Sigmar, wyciągając prawicę w stronę króla Turyngian.

- Tak - odpowiedział Otwin, ściskając jego dłoń. - Tak zrobię.

Królewski długi dom wypełnił się muzyką, a tancerze śmiali się, wykonując figury i obroty w rytm muzyki bębnow i dud. Z krokwi zwisały girlandy kwiatów, a w powietrzu unosił się zapach jaśminu i wiciokrzewu. Sigmar obserwował weselne tańce z niezmaconą radością, ciesząc się, że może patrzeć na swoich wojowników pochłoniętych zabawą, a nie walką.

Po zwycięstwie nad Turyngianami, większość wojowników z armii Sigmara powróciła do swoich domów, podczas gdy żołnierze stanowiący jej trzon pomaszerowali triumfalnie do Reikdorfu. Mimo że wielu ludzi musiało zginąć, aby król Otwin wreszcie złożył Przysięgę Miecza, Sigmar był zadowolony. Ulżyło mu też, gdy ujrzał, że wielu rannym uda się przeżyć.

Alfgeir został raniony lancą w bok, na szczęście zbroja uchroniła go przed poważniejszymi obrażeniami. Natomiast Pendrag stracił trzy palce u lewej

dłoni, gdy turyngiański topór uderzył w drzewce sztandaru i ześliznął się po nim. Mimo utraty palców Pendrag nie wypuścił sztandaru z dłoni i Sigmar jeszcze nigdy nie był tak dumny z brata miecza. Uzdrowiciel Cradoc uratował pozostałe palce Pendraga, ale wojownik do końca życia będzie nosił blizny przypominające o krwawym zwycięstwie nad Turyngianami.

Wolfgart nie odniósł w bitwie niemal żadnych obrażeń. Trzeba było mu tylko założyć kilka szwów na przedramionach i nogach. Gdy tylko medyk skończył swoją pracę, Wolfgart natychmiast ruszył w drogę do Reikdorfu, gdzie stacjonowały główne siły unberogeńskiej armii.

Tam czekała na niego Maedbh i dzień po powrocie Sigmara do Reikdorfu tych dwoje kroczyło posypaną kwiatami ścieżką w stronę Kamienia Przysiąg, gdzie kapłanka Rhyi złączyła ich dłonie gałązką jemioly o spiralnym kształcie i wysłuchała obustronnych zobowiązań do zachowania wierności i starań o potomstwo.

Sigmar pobłogosławił związek, a Pendrag obdarował nowożeńców ślubnymi podarkami. Maedbh otrzymała złoty naszyjnik przepięknej roboty, a Wolfgart koszulkę kolczą ozdobioną wizerunkiem srebrnego wilka.

Sigmar otworzył drzwi do długiego domu i zaprosił do środka wszystkich, którzy chcieli się cieszyć szczęściem nowożeńców. Darmowe wino i piwo lało się strumieniami, dlatego goście nie kazali na siebie długo czekać. Wkrótce pojawili się też pieśniarze, minstrele i opowiadacze sag, aby zabawiać zgromadzonych.

Sigmar tańczył z wieloma miejscowymi dziewczętami, ale wymawiał się przed zbyt długim wciągnięciem w zabawę i powracał na tron, aby obserwować bawiący się lud. Teraz, gdy czuł przyjemne ciepło w żołądku od wina i innych trunków, miał wrażenie, że od realizacji wielkiego marzenia dzieli go tylko krok. Tylko plemiona zamieszkujące najdalsze krainy pozostały poza granicami unii tworzonej przez Unberogenów. Na zachodzie byli to Jutonowie i Bretonowie, a na wschodzie Brigundianie i Ostagoci.

Dalej na południowy wschód rozciągały się ziemie zamieszkałe przez Menogotów i Merogenów, jednakże zagadką pozostawało, czy plemiona te jeszcze istnieją. Ich terytoria położone były niebezpiecznie blisko gór, gdzie wszystkie rodzaje krwiożerczych orków miały zwyczaj osiedlać się i organizować stamtąd łupieżcze wypady.

Sigmar uśmiechnął się, patrząc, jak Maedbh i Wolfgart tańczą w kole z przyjaciółmi, trzymając ręce na swoich ramionach. Siedzący przy pobliskim

stole Pendrag wystukiwał stopą rytm. Na lewej dłoni nosił opatrunek z pajęczych liści.

Nawet Alfgeir został wyciągnięty na parkiet, gdzie Eoforth obtańcowywał niezamężne ciotki miejscowych dziewcząt. Wszędzie słyhać było śmiech, a dobry nastrój udzielał się wszystkim zgromadzonym, tak dzisiaj, jak i w ciągu ostatnich dni. Dla ludu Sigmara nadeszły dobre czasy pokoju i dobrobytu, radość była więc powszechna.

Reikdorf w ciągu ostatnich kilku lat nieustannie się rozwijał, a wraz z odkryciem nowych rud złota i żelaza w okolicznych wzgórzach, zdawało się, że nic nie jest w stanie powstrzymać postępu. W granicach murów miasta można było znaleźć garbarnie, browary, kuźnie, tkalnie, farbiarnie, garncarnie, stajnie, młyny, piekarnie i szkoły. Mieszkańcy Reikdorfu byli liczni, zdrowi i dobrze odżywieni.

W mieście mieszkało już ponad cztery tysiące ludzi. Mimo że większa część osady wciąż była chroniona przez drewnianą palisadę, to przygotowano już większość fundamentów pod kamienny mur, który miał chronić rozrastającą się unberogeńską stolicę.

Sigmar nie miał jeszcze dwudziestu siedmiu lat, a już osiągnął więcej niż jego ojciec. Zachował jednak na tyle rozsądku, żeby zdawać sobie sprawę, że, aby sięgnąć takich wyzryn, trzeba było stanąć na ramionach gigantów.

Muzyka zmieniła tempo, zwalniając z szaleńczego rytmu poprzedniej melodii do zawodzącego lamentu, który mówił o utraconej miłości i zapomnianych marzeniach. Wśród tańczących utworzyły się pary, podczas gdy zasiadający za stołami przyjaciele wznosili toasty ku chwale tych, którzy przechadzali się już wraz z Ulrykiem po jego dworze.

Sigmar podniósł się z tronu i niezauważony wymknął się z długiego domu tylnymi drzwiami. Pozostawiając za sobą świętujący tłum, kroczył w stronę zacienionego miejsca w północnej części miasta, noc była ciepła, a delikatne podmuchy wiatru przyjemnie chłodziły skórę, która zbyt długo uwięziona była w pancerzu.

Oba księżycy świeciły jasno i wysoko, a ich światło powodowało, że sylwetka króla rzucała krótki cień, gdy samotnie szedł ulicami. Kilka psów wybiegło za nim z sali, ale odprawił je krótkim gwizdnięciem i klepieniem po grzbiecie. Im bardziej oddalał się od centrum, tym mniej kamiennych budynków mijał. Większość zabudowań na obrzeżach zbudowana była z drewna i kryta strzechą. Budynki stały blisko siebie, a Sigmar mijał je jeden

za drugim, kierując się w stronę tej części murów, o której wiedział, że nie jest jeszcze ukończona.

Wokół murów przechodziły patrole, ale Sigmar znał to miasto i wiedział, jakim żyje rytmem. Znał krok strażników i ich rozkład patroli lepiej niż ktokolwiek inny. Przekroczenie murów i zniknięcie w lesie otaczającym Reikdorf, pozostając przy tym niezauważonym, nie stanowiło dla niego problemu.

Gdy znalazł się już poza murami, Sigmar ogarnęło przedziwne uczucie wyzwolenia, tak jakby wewnątrz murów był kimś w rodzaju więźnia, który nie zdawał sobie sprawy, że pilnujący go strażnicy dawno odeszli. Sigmar ruszył w górę ścieżką prowadzącą przez wzgórza otaczające Reikdorf. W pewnym momencie odwrócił się i popatrzył na swój dom, jaśniejący niczym latarnia morska pośród ciemności.

Wiatr niósł ku niemu śmiech i muzykę. Sigmar uśmiechnął się, wyobrażając sobie bawiących się ludzi. Marzenie o imperium, które wprowadzał w życie, sprawiło, że Reikdorf był bezpieczny. Poczynione przez niego przygotowania pozwoliły Unberogenom wysunąć się na czoło plemion zamieszkujących krainy na zachód od gór. Sigmar wiedział jednak, że przed nim wciąż wiele pracy.

Zwiadowcy już zaczęli przynosić wieści o wzrastającej aktywności orków w górach i było tylko kwestią czasu, zanim zielonoskórzy powstaną ze swoich leży i ruszą dudniącą falą w stronę dolin, niosąc ze sobą zniszczenie i śmierć. To jednak był problem, którym można się było zająć nazajutrz. Dzisiejszą noc Sigmar miał zamiar poświęcić na rozpamiętywanie i żal.

Gdy zagłębił się pomiędzy drzewa, ścieżki i trakty stały się zupełnie niewidoczne, ale Sigmar znał okolice Reikdorfu równie dobrze jak samo miasto. A ziemia ta znała jego, witając go tak, jak człowiek otwiera ramiona, gdy rusza na spotkanie starego, zaufanego przyjaciela.

Sigmar przedzierał się przez ciemne drzewa, odtwarzając w pamięci chwile minione dawno temu, kiedy kroczył tą samą drogą, pełen ufnej wiary w przyszłość. Usłyszał przed sobą dźwięk płynącej wody i wkrótce wynurzył się z zarośli na spokojnej polance, gdzie nieduży wodospad spadał do błyszczącej sadzawki, której wody lśniły, jakby ktoś rozsypał w nich diamenty.

- Powinienem być poślubić cię wcześniej - wyszeptał, obserwując jak światło księżyca odbija się w prosto wykonanym kamieniu nagrobnym na

skraju sadzawki. Sigmar uklęknął przed rzeźbionym kamieniem, a łzy żalu spłynęły po jego policzkach, gdy przywołał w pamięci obraz ciemnych włosów Ravenny i jej radosnego uśmiechu.

Położył jedną dłoń na kamieniu, a drugą dotknął złotej zapinki do płaszcza, którą podarował jej tego dnia, kiedy kochali się nad rzeką.

- A cóż to, król Unberogenów nie świętuje ze swoimi ludźmi? - zapytał głos dobiegający ze skraju polany. - Będą o ciebie pytać.

Sigmar przetarł twarz wierzchem dłoni i powstał. Obróciwszy się, ujrzał wiekową kobietę o włosach koloru srebra i oczach płonących w pomarszczonej twarzy, kobietę ujawniającą mroczne sekrety i zakazaną wiedzę.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Wiesz, kim jestem - odpowiedziała starucha.

- Mój ojciec ostrzegwał mnie przed tobą - powiedział Sigmar, wykonując znak rogów. - Jesteś wiedźmą z Brackenwalsch.

- Cóż za niewdzięczny tytuł - prychnęła kobieta. - Ludzie nadają złowieszcze nazwy rzeczom, których się obawiają, a tym samym karmią tylko własne strachy. Czy baliby się mnie, gdybym zwała się, powiedzmy, Radosną Dziewicą?

Sigmar wzruszył ramionami.

- Być może nie, ale nie można powiedzieć, żebyś wносиła zbyt wiele radości w nasze życie. Czego chcesz, kobieto? Nie jestem w nastroju do dyskusji.

- A to szkoda - odpowiedziała niezmieszana starucha. - Sporo czasu minęło, odkąd miałam szansę porozmawiać z kimś, kto ma w życiu wyższe cele niż ciepły posiłek i miękkie kobiece ciało.

- Mów, czego chcesz, wiedźmo - zniecierpliwił się Sigmar.

- I po cóż ta niecierpliwość? Zupełnie jak twój ojciec. Łatwo wpadający w złość i łatwo obiecujący coś, co powinno się najpierw starannie rozważyć.

Sigmar miał już odejść, zniecierpliwiony rozwlekłą gadaniną czarownicy, ale ta wykonała jeden gest dłonią i mięśnie mu stężały, a oddech zatrzymał się w płucach.

- Zostań jeszcze chwilę - zasyczała. - Chciałabym z tobą porozmawiać, poznać cię.

- Ale ja nie chcę - odpowiedział Sigmar. - Uwolnij mnie.

- Ach, wiele czasu minęło, odkąd kroczyłam pomiędzy ludźmi -

kontynuowała starucha. - Zapomnieli mnie i dreszcze, o jakie ich przyprowadziłam. Wysłuchasz mnie, Sigmarze, i lepiej, żebyś słuchał uważnie, bo nie zostało mi wiele czasu.

- Niewiele czasu na co?

- Wydarzenia następują szybko po sobie i historia tworzy się z minuty na minutę. To są dni krwi i ognia, kiedy wykuwać się będzie przeznaczenie świata. Bardzo wiele zależy teraz od zachowania równowagi.

- Dobrze więc - odpowiedział zrezygnowany Sigmar. - Powiedz, co masz do powiedzenia, a ja będę słuchał.

- Wygrana bitwa z Turyngianami było wspaniałym zwycięstwem, ale przed tobą wciąż jeszcze wiele pracy, młody Sigmarze. Pozostałe plemiona muszą się z tobą sprzymierzyć jak najszybciej, inaczej wszystko będzie stracone. Musisz jeszcze raz wyruszyć w podróż. Brigundianie i ich wasalne plemiona muszą złożyć ci Przysięgi Miecza, zanim nadejdą pierwsze śniegi, w przeciwnym razie nie dożyjesz lata.

- Moi ludzie dopiero co powrócili z zachodu - zaprotestował Sigmar. - Nie mogę znowu ogłosić poboru, a nawet gdybym mógł, to i tak nie zdążylibyśmy dotrzeć do krain Brigundian i pokonać ich przed zimą.

Wiedźma uśmiechnęła się, a uśmiech ten sprawił, że Sigmara przeszedł lodowaty dreszcz.

- Nie zrozumiałeś mnie. Powiedziałam, że to ty musisz po raz kolejny wyruszyć w drogę. Plemion południowego wschodu nie podbijasz za pomocą armii, a jedynie za sprawą własnej odwagi.

- Chcesz, abym samotnie zapuścił się w te dzikie tereny?

- Tak, ponieważ wysłannicy Mrocznych Bóstw podburzają orki z gór do wojny. Bez wystarczającej liczby plemion pod twym sztandarem, nie zdołasz ich powstrzymać i zielonoskórzy zniszczą wszystko, na co tak ciężko pracowałeś.

- Widziałeś to w swojej wizji? - zapytał Sigmar.

- Pośród wielu innych rzeczy - pokiwała głową czarownica, rzucając spojrzenie w stronę nagrobka Ravenny.

- Widziałeś jej śmierć? - wysyczał z wściekłością i niedowierzaniem Sigmar. - Mogłaś mnie ostrzec!

Starucha potrząsnęła głową.

- Nie, ponieważ niektóre rzeczy wykuto w kamieniu, na którym spisana jest historia świata i nie mogą ich zmienić ani śmiertelnicy, ani bogowie.

Ravenna była niczym płomień świecy, jaśniejący przez chwilę po to, by oświetlić ci drogę, ale zaraz potem zdmuchnięty, byś mógł tą drogą kroczyć samotnie.

- Ale dlaczego? - zażądał wyjaśnień Sigmar. - Dlaczego los postawił na mojej drodze miłość, tylko po to, by zaraz ją mi odebrać?

- Ponieważ było to konieczne - odpowiedziała wiedźma i Sigmar mógłby nieomal przysiąc, że usłyszał w jej głosie nutkę współczucia. - Aby kroczyć drogą, która została ci przeznaczona, musisz mieć siłę woli i cele daleko wykraczające poza to, o czym marzy przeciętny człowiek, który najchętniej zaszyłby się w domu przy ciepłym ognisku. Musiało cię to spotkać, abyś był gotów zostać królem. Ta kraina należy do ciebie i obiecałeś kochać ją i tylko ją. Pamiętasz?

- Pamiętam - odpowiedział gorzko Sigmar.

Rozdział 17

Okowy zobowiązań

Przed oczyma Sigmara rozciągała się przestrzeń dużo bardziej otwarta niż królestwo Unberogenów i bardziej nawet płaska niż rozległe asoborneńskie równiny. Tygodnie, które upłynęły, odkąd wyruszył z Reikdorfu, dały mu uczucie swobody. Decyzja o samotnej podróży okazała się całkiem słuszną, mimo że początkowo wywołała gwałtowny sprzeciw pośród jego najbliższych przyjaciół, zgromadzonych w długim domu.

- To szaleństwo - grzmiał Alfgeir, gdy tylko Sigmar ogłosił swój zamiar wyprawienia się samotnie do kraju Brigundian.

- Czysty obłęd - zawtórował mu Pendrag. Kiedy wyciągnięto Wolfgarta z małżeńskiego łóża, a wyglądał przy tym jak zbity pies, dołączył się do ogólnego sprzeciwu.

- Zabiją cię.

Sigmar cierpliwie wysłuchiwał kolejnych pomysłów na alternatywne rozwiązania: dyplomatyczna misja poprowadzona przez Eofortha, szybka wojna zdobywcza, a nawet błyskawiczny wypad do Siggurdheim w celu wymordowania całej brigundiańskiej szlachty.

Ze spokojem wysłuchał każdej sugestii, ale jasno przy tym zaznaczył, że tak czy inaczej, wyruszy samotnie na dzikie tereny, nie zważając, co na ten temat mają do powiedzenia jego przyjaciele i doradcy. Nie czuł się komfortowo, spełniając życzenie wiedzmy, ale musiał przyznać, że w momencie, kiedy podjął decyzję, aby jej posłuchać, wielki ciężar spadł mu z serca. Ciężar, co do którego nawet nie zdawał sobie sprawy, że tak bardzo mu do tej pory doskwierał.

Gdy poranek przeszedł w popołudnie, Sigmar zgromadził zapasy i wyruszył w kierunku wschodnich wrót Reikdorfu, opuszczając stolicę i ruszając drogą wiodącą ku przeznaczeniu.

Bracia miecza obserwowali go z murów i jak się potem okazało, nie tylko

stamtąd. Gdy wieczorem przygotowywał spory posiłek z owsa i króliczego mięsa, krzyknął w stronę otaczających zarośli:

- Cuthwin! Svein! Wiem, że tam jesteście, dlatego też przygotowałem wystarczająco dużo jedzenia dla nas trzech. Chodźcie tutaj, ogrzejecie się przy ogniu i zjecie coś.

Po kilku minutach dwóch zwiadowców wynurzyło się z leśnej gęstwiny i bez słowa zasiadło do posiłku. Gdy talerze opustoszały, Cuthwin oczyścił garnek i talerze, po czym wszyscy trzej rozpostarli koce i ułożyli się do snu pod czujnym okiem gwiazd wyglądających spomiędzy chmur.

Gdy zwiadowcy się obudzili, Sigmara już nie było. Żaden z nich nie był w stanie ponownie trafić na jego ślad.

Sigmar szedł, rozglądając się po przepięknym otoczeniu i czuł, jakby dostąpił przebudzenia. Ogrom otaczającej go przestrzeni pozwolił mu odkryć wewnętrzne horyzonty, o których do tej pory nie miał pojęcia. Zbyt długo przebywał w towarzystwie braci, dlatego teraz rozkoszował się samotnym spacerem, ponownie odkrywając, jak przyjemnie jest czuć promienie słońca na skórze i podmuchy wiatru na plecach.

Ziemie Unberogenów zmieniły się w ciągu ostatnich dziesięciu lat bardziej, niż mógł przypuszczać. Na nizinach wyznaczono nowe działki na pola, a na wzgórzach pasły się liczne stada bydła, owiec i kóz. Odkrycie nowych kopalni również przyczyniło się do radykalnych zmian w krajobrazie. Można było przemierzać kraj dzień za dniem i wciąż natykać się na ślady cywilizacji, nigdzie nie znajdując skrawka prawdziwej dziczy.

Ziemie, na które wkroczył, były zupełnie inne. Świat miał tutaj ten sam kształt, w jakim stworzyli go kiedyś bogowie. Skaliste pagórki porozrzucane po rozległych równinach przeplatały się z wielkimi obszarami porośniętymi wysoką trawą. W oddali na południowym wschodzie majaczyły ciemne szczyty gór, w które nieustannie biły błyskawice. Surowa, pierwotna ziemia przemówiła do Sigmara w sposób wykraczający poza ludzkie pojmowanie i nie do oddania słowami.

Poczucie wolności płynące z przebywania na otwartej przestrzeni wraz z odcięciem się od wszystkich więzów: braterstwa, rodziny i odpowiedzialności, sprawiły, że Sigmar poczuł się swobodny i wolny jak ptak. Obserwując stado dzikich koni galopujących przez równinę, nagle im pozazdrościł. Żelazne okowy obowiązku połączyły go z unberogeńskim ludem i wizją jego przyszłości. Ale tutaj, mając za towarzysza jedynie

krajobraz, Sigmar poczuł, że więzy te stają się luźniejsze. Przez chwilę w umyśle pojawiła się mu kusząca wizja życia, które mógłby przeżyć nie dla innych, ale dla samego siebie.

Odebrano mu możliwość życia z Ravenną, ale wciąż był przecież jeszcze młody, a świat dawał mu szansę na zostawienie wszystkiego za sobą, całej wojny i śmierci. Mógłby po prostu zejść z kart historii i stać się... stać się nikim.

Ale nawet rozkoszując się tą wizją, wiedział, że nigdy nie podda się pokusie. Nie mógłby opuścić swego miejsca na świecie i zawieść nadziei, jaką pokładali w nim ludzie. Bez niego ludzkie plemiona szybko zaczęłyby ze sobą walczyć, a świat wkroczyłby w mroczną erę, krwawą erę wojny i śmierci. W przypadku każdego innego człowieka takie myślenie byłoby tylko objawem pychy i zarozumiałstwa, ale Sigmar wiedział, że jeżeli chodzi o niego, była to czysta, naga prawda.

Wiedział również, że pewną rolę w podjęciu przez niego takiej decyzji odegrało jego własne ego. Kto nie chciałby być pamiętany przez wieki? Kto nie chciałby sprawić, że przyszłe pokolenia wojowników będą w nadchodzących latach oddawać cześć jego pamięci lub opowiadać legendy o stoczonych przez niego bitwach nad kuflem pianistego *ale*?

O tak, zdecydował, że on chciałby być właśnie takim człowiekiem.

Mijały dni i tygodnie, a Sigmar zapuszczał się coraz głębiej na południowy wschód, coraz wyraźniej dostrzegając rysujące się w oddali górskie szczyty. Mimo że wciąż odległe o wiele kilometrów, te kolosalne, strzeliste iglice wznoszące się na skraju świata wywoływały w nim poczucie realnego zagrożenia, jakby miliony złośliwych oczu obserwowały go zza mrocznych grani, knując plan zguby rodzaju ludzkiego.

Niebo przecięła fioletowa błyskawica i Sigmar podziękował Ulrykowi, że jego ziemie leżały z dala od tych złowieszczych gór.

Żaden człowiek nie zdecydowałby się dobrowolnie osiedlić w takich warunkach, jeżeli nie miałby ku temu dobrego powodu. Sigmar podczas swej wyprawy zdążył zauważyć już, że kraina obfitowała w dobrą, czarną ziemię zdatną pod uprawy. Jednak wymagało to na pewno olbrzymiej odwagi, aby przetrwać i rozwijać się na ziemiach położonych tak blisko pełnego niebezpieczeństw górskiego łańcucha. Z każdym krokiem, z którym Sigmar

zapuszczał się głębiej w królestwo Brigundian, nabierał dla nich większego szacunku.

Sigmar nie wiedział prawie nic o Siggurdheim, nie licząc plotek, jakie usłyszał od wędrownych kupców odwiedzających Reikdorf. Podobno siedziba króla Siggurda górowała nad okolicznym krajobrazem, ponieważ zbudowano ją na naturalnym skalnym wzniesieniu, otoczonym gładkim, kamiennym murem. Kupcy opowiadali o królu Siggurdzie, że jest inteligentnym władcą, sprytnym i dalekowzrocznym. Sigmar nie mógł się doczekać spotkania z królem.

Kilkakrotnie próbował upewnić się, czy podąża właściwą drogą, zasięgając języka w wioskach, które odwiedzał, aby uzupełnić zapasy. Szybko jednak zorientował się, że nie ma takiej potrzeby, ponieważ bardzo wiele karawan podążało na południe i dla każdej Siggurdheim stanowiło ostatni przystanek. Jedyna rzecz, jaką z pewnością można było powiedzieć o Brigundianach, to, że byli naprawdę bogatym ludem. Mieli bardzo dobrze rozwinięty handel z Asobornami, sprzedając im żywność i rudę żelaza. Niektórzy nawet powiadali, że handlowali również ziarnem z krasnoludami.

Którejś nocy podczas czwartego tygodnia podróży Sigmar rozbił obóz niedaleko małego strumyka u podstawy nieregularnego pagórka, który wznosił się nad okolicą niczym samotny kurhan. Zbocza wzgórza stanowiły przewracane kamienne płyty, porośnięte dzikimi paprociami o rdzawych liściach. Gdy Sigmar ułożył swą torbę podróżną na ziemi między glinianymi skorupami, aby zabrać się za rozpalenie ogniska, usłyszał ruch w zaroślach. Odkrył w krzakach rodzinę lisów, które szczyrzyły na niego zęby, próbując go odgonić od nory, ale on zignorował je, więc ostatecznie zniknęły w jamie.

W cieniu jednej z przewróconych płyt Sigmar rozniecił ogień i upiekł na nim kawałek sarniny, którą kupił w ostatniej wiosce, jaką odwiedził. Mięso było twarde i żylaste, najwidoczniej myśliwy wypuścił strzałę, kiedy zwierzę biegło. Mimo wszystko posiłek był smaczny i sycący. Sigmar nalał trochę wody do płytkiego naczynia i wypił ją łapczywie, a następnie poszedł umyć ręce w strumieniu.

Wróciwszy, wyciągnął się na ziemi, za poduszkę mając pancierz owinięty w podróżny płaszcz. Spoglądał w rozgwieżdżone niebo, wspominając, jak niegdyś oglądał te same gwiazdy z Ravenną u boku. Wcześniej takie wspomnienia zwykły sprawiać mu ból, ale teraz traktował je jako cenny dar.

Sigmar rzucił okiem na kamienną płytę, pod którą się schronił,

zauważając w rysach na powierzchni pewną regularność, której wcześniej nie dostrzegał. Blask bijący od ognia oświetlał skałę w ten sposób, że wyłobienia, które Sigmar wcześniej wziął za skutki erozji, okazały się dziełem ludzkiej ręki.

Usiadł i zaczął się bliżej przyglądać kamiennej powierzchni, stwierdzając, że znaki musiały zostać wyryte wieki temu, w dodatku w języku, którego nie znał. Przypominały trochę pismo wymyślone przez Eofortha i Pendraga. Sigmar zaczął się zastanawiać, kto mógł zapisać tę zapomnianą wiadomość.

Odgarnął trochę ziemię wokół płyty i poodsuwał zarastającą ją paprocie. Jego oczom ukazało się jeszcze więcej glinianych skorup i pordzewiałych ostrzy włócznie. Coraz bardziej był przekonany, że rozbił obóz pośrodku skarbcza starożytnych artefaktów i oblał go zimny pot, gdy zdał sobie sprawę, że pagórek, który uznał za przypominający kurhan, w rzeczywistości był kurhanem.

Sigmar stopą zamiótł odłamki glinianych naczyń, brązowe groty i połamane ostrza mieczy na jedną stertę, zwracając przy tym uwagę na to, że broń nie przypominała stylistyką żadnej, jaką do tej pory widział. Ostrza mieczy były proste u nasady, a zakrzywione na końcach. Materiał, z którego wykonano rękojeści, dawno już zbutwiał, odsłaniając strzępy przegniłej skóry otaczające metalowe trzpienie.

Do kogo należał ten grobowiec? Najwyraźniej do wojownika lub do kogoś, kto chciał być zapamiętany jako wojownik. Od złożenia do grobu musiały minąć setki lat i Sigmar zastanawiał się, czy ktoś w ogóle pamięta jeszcze imię zmarłego. Dawno temu mogło być to miejsce spoczynku króla, księcia bądź wielkiego generała - człowieka, który myślał, że jego sława w przeciwieństwie do niego samego, będzie nieśmiertelna.

Teraz były to tylko ruiny niegdyś wspaniałego grobowca zapomnianego władcy, smagane przez zimne wichry na niezamieszkałych, brigundiańskich równinach. Jakiegokolwiek marzenia o nieśmiertelności bądź wiecznej pamięci u potomnych były równie martwe, jak ten, który spoczywał w grobowcu. O tak, ludzie byli prózną rasą i Sigmar uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, że niedawno sam snuł podobne marzenia.

Czy za sto lat ktokolwiek będzie pamiętał imię Sigmara? Czy coś, z tego co osiągnął, zostanie zapamiętane aż do końca świata? Być może za tysiąc lat jakiś młodzieniec rozbije obóz w cieniu Sigmarowego grobowca i będzie się zastanawiał, co to za bohater spoczywa pod ziemią, będąc niczym więcej jak

pozywieniem dla robaków.

Ta myśl wpędziła go w przygnębienie. Klęknął ponownie przy skalnej płycie, zdeterminowany, aby dowiedzieć się, czyje ciało złożono w tym grobowcu, aby móc pomodlić się za niego i powiedzieć, że jest przynajmniej jeden człowiek, który o nim pamięta.

Być może kiedyś ktoś zrobi to samo dla niego.

Znaki wyryte na płycie były zatarte i niewyraźne, ale dzięki światłu rzucanemu przez płonący ogień, udało mu się po pewnym czasie odszyfrować dziwny, kanciasty charakter pisma.

Sigmar szybko nauczył się pisma Unberogenów, a tekst, który miał przed sobą, przypominał je pod względem budowy i kształtu. Był prawie pewien, że rozpoznał stanowiące liczną grupę obrazkowe reprezentacje pojęć i rzeczy, które pogrupowane tworzyły wyrazy.

Sigmar poruszał bezgłośnie ustami, próbując odczytać znaki, wodząc palcem po wyrytych w kamieniu literach. Gdy starał się zrozumieć, co mówią, liśćmi okolicznych drzew poruszył ciepły, suchy wiatr. W oddali zahuczała sowa polująca na równinie. Wtem przeszedł go nagły dreszcz, gdy poczuł emanujący z głębin grobowca straszliwy głód, uspiiony szał zrodzony z niespełnionych ambicji i wiecznego cierpienia.

Sigmar zawył, gdy przed oczyma pojawiła mu się wizja szkieletowego króla w złotej zbroi, leżącego w trumnie z jadeitu i ściskającego parę dziwnie wygiętych mieczy. W oczodołach szkieletu płonęło zimne, niebieskie światło, a wiejący wiatr szeptał imię zmarłego.

Rahotep... Wojowniczy król Delti... Zwycięzca śmierci...

Sigmar upadł na plecy przed kamienną tablicą, jakby odepchnął go od niej ognisty płomień. W umyśle miał wyryty obraz szkieletowego króla na czele potwornej armii nieumarłych. Szkielety gigantycznych wojowników stąpały na czele zwartych szeregów wypłowiałych, poszarzałych ożywieńców, którzy zapelniali te ziemie aż po sam horyzont. W martwych oczach każdego z wojowników kroczącego ku wiecznemu potępieniu na rozkaz swego potwornego pana płonęło to samo straszliwe nienaturalne światło.

Nagle wizja zmieniła kształt i Sigmar poczuł na twarzy podmuch gorącego wiatru i miał wrażenie, że znajduje się na spalonej piaskiem, bezbrzeżnej pustyni. Przeraziła go myśl, że armia, którą przed chwilą widział, kiedyś przemaszerowała przez ziemie, które teraz są ojczyzną ludzi.

Któraś dnia mogą tu powrócić...

Sigmar otrząsnął się i szybko pozbierawszy swój ekwipunek, oddalił się od starożytnego grobowca. Z każdym krokiem, który dzielił go od kurhanu strasznego szkieletowego króla, czuł, że opuszcza go okropne uczucie przerażenia ściskające żołądek.

Strach nie był uczuciem, do którego Sigmar był przyzwyczajony, ale widok ożywionych zmarłych dotknął tej części jego duszy, którą dzielił ze wszystkimi śmiertelnikami. Tak jak każdy człowiek najbardziej obawiał się lodowatej pustki przeznaczonej dla tych, którzy nie mogą dostąpić wiecznego spoczynku.

Dla unberogeńskich wojowników największym zaszczytem było zostać powitany po chwalebnej śmierci na dworze Ulryka. Natomiast skazanie na wieczne potępienie i tułaczkę na ziemi jako bezrozumny żywy trup...

Sigmar biegł przez całą noc, aż do chwili, gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca wyjrzały zza grani wschodnich gór.

Kolejne cztery dni, które upłynęły od rozbicia obozu w cieniu królewskiego grobowca, minęły Sigmarowi na szybkim marszu. Po drodze mijał wiele gospodarstw i wiosek, aż wreszcie dotarł do Siggurdheim. Do stolicy Brigundian wiodły rozliczne wyboiste drogi, którymi poruszały się wozy wypełnione przeróżnymi towarami.

Według tego, co słyszał Sigmar, Siggurdheim było imponującym miastem. Rzeczywiście było wielkie, ale grań, na której je zbudowano, ograniczała jego dalszy rozwój. Zabudowania obronne zrobiły na Sigmarze dobre wrażenie, ale zauważył przy okazji, że władca nierozsądnie zezwolił miastu rozrastać się poza ściany murów. Z daleka Siggurdheim wyglądała jak sterta kości chwiejąca się nad płynącą w dolinie rzeką i gotowa rozsypać się pod najlżejszym dotknięciem.

Tak wielkie miasto nie mogło się obejść bez rzemieślników, którzy zasypali skalne zbocza młynami, farbiarniami i świątyniami. Budynki wznosiły się na wąskich występach, podpierane przez niezbyt pewnie wyglądające drewniane konstrukcje, a czasem po prostu zwisające ze skalnych półek bez żadnych zabezpieczeń.

Sigmar wszedł na drogę, która prowadziła do miasta, i znalazł się w otoczeniu tłumu mężczyzn oraz kobiet przeróżnych narodowości. Rozpoznał asoborneńskie tatuaże, cheruseńskie malunki i kraciaste płaszcze Taleutenów.

Pośród narodowości, które rozpoznał, dostrzegł też przedstawicieli kilku nieznanym mu plemion, jak na przykład posępnych mężczyzn o zaciętych twarzach, odzianych w ciemne szaty. Być może to właśnie byli Menogoci albo Merogenowie, bo któż byłby radosny, żyjąc cały czas w zagrożeniu?

Zbliżając się do wrót, Sigmar ściągnął płaszcz podróżny i zmienił go na czysty, czerwony płaszcz, który wyciągnął z torby. Udrapował materiał na ramionach i spiął go złotą zapinką. Wielu przechodniów rzucało zachwyczone spojrzenia na złotą broszkę, ale Sigmar samym spojrzeniem odstraszał potencjalnych złodziei.

Wielu mijających go mężczyzn było uzbrojonych w krótkie, żelazne miecze lub noże myśliwskie, ale była to zwyczajna broń. Dlatego też, gdy Sigmar wyciągnął Ghal-maraza spod płaszcza i oparł go na ramieniu, w tłumie dał się słyszeć jęk podziwu. Tak jak się tego spodziewał, ludzie obracali się w jego stronę, po czym gapiąc się w zdumieniu odstępowali do tyłu. Kroczył między przechodniami, a oni rozstępowali się niczym fale.

Ludzie znali Ghal-maraza i obawiali się go, wiedząc, że należy do króla Sigmara. Prawie każdy, kto był kiedyś w zachodnich krainach, słyszał o potędze obydwu.

Po chwili Sigmar kroczył w stronę wrót w pojedynkę. Zdumienie wywołane jego widokiem oraz majestat promieniujący z królewskiej sylwetki i potężnej broni, utorowały mu drogę tak skutecznie, jakby był poprzedzany przez stu heroldów.

Strażnicy u bram nosili żelazne koszulki kolcze dobrej roboty, a ich brązowe hełmy były wypolerowane na błysk. Każdy dzierżył długą włócznię z błyszczącym ostrzem w kształcie liścia oraz krótki miecz. Sigmar powstrzymał uśmiech, gdy ujrzał, jak ich podejrzliwość zmienia się w niedowierzanie, a następnie w podziw, gdy wreszcie go rozpoznali.

Nieliczni z nich, jeżeli w ogóle ktokolwiek, widzieli go wcześniej na własne oczy. Ale jego prezencja, czerwony płaszcz, spinka krasnoludzkiej roboty i potężny młot bojowy mogły należeć tylko do jednego człowieka.

Sigmar zatrzymał się przed wrotami Siggurdheim.

- Jestem Sigmar, król Unberogenów - przemówił. - Przybyłem, aby się spotkać z waszym królem.

- Przybyłeś tu samotnie aż z Reikdorfu? - zapytał król Siggurd. Przy

każdym ruchu jego szaty w jasnych kolorach spływały miękkimi fałdami po sylwetce. Materiał wykończono złotą nicią i miękkim futrem. Na królewskiej głowie lśniła złota korona wysadzana klejnotami.

Wielki Dwór króla Siggurda nie przypominał bynajmniej zgrzebnej prostoty, jaka panowała w reikdorfskim długim domu, oświetlonym jedynie przez blask paleniska. Tutaj ściany wyłożono złotem i pomalowano barwnymi freskami przedstawiającymi sceny bitewne i myśliwskie. Światło wpadało do wnętrza przez wysokie okna, co czyniło pochodnie i latarnie zbędnymi, ale też sprawiało, że to miejsce nie nadawało się do obrony.

Komnatę wypełniało dziesiątki żołnierzy i Sigmar był pod wrażeniem dyscypliny panującej w ich szeregach, gdy prowadzili go przez Siggurdheim w kierunku królewskiego dworu. Miasto było hałaśliwe, przez jego centrum przetaczały się chmary ludzi krzyczących i usiłujących sprzedać naprędce wszystko, co się dało, od kosztownej złotej i srebrnej biżuterii, do świeżego mięsa czy płótna zafarbowanego na piękny kolor.

Fundamentem miasta był handel. Każda ulica roiła się od kupców i wozów kupieckich przewożących dobra od bram do doków lub na odwrót. Jednak mimo panującego wokół gwaru, Sigmar wyczuł, że mieszkańców dręczy jakaś niewypowiedziana obawa. Odnosiło się wrażenie, że ludzie specjalnie starają się wynajdywać sobie zajęcia, głośno śmiać się i targować, żeby nie musieć myśleć o czającym się gdzieś bezimiennym strachu.

Król Siggurd był imponującym mężczyzną o posturze i muskularnym ciele wojownika. Jego długie włosy były czarne, choć gdzieniegdzie przetykane siwizną, a oczy lśniły mu sprytem, o którym Sigmar tyle się nasłuchał. Dworscy strażnicy byli dobrze uzbrojeni i prezentowali się naprawdę porządnie, ale Sigmar w ich oczach również dostrzegał strach, którego przyczyny nie był na razie w stanie odgadnąć.

- Rzeczywiście wyruszyłem sam aż z Reikdorfu - odpowiedział Sigmar na pytanie króla Siggurda.

- Dlaczego? - zapytał Siggurd. - Taka podróż, nawet gdy warunki sprzyjają, jest co najmniej niebezpieczna, ale ruszyć w nią samemu? Wiedząc, że orki szykują się do najazdów?

- Orki nie pojawiały się na ziemiach Unberogenów od ładnych paru lat - odpowiedział Sigmar.

- Oczywiście, że nie, ponieważ wasz kraj znajduje się daleko od gór. My tutaj, jednakowoż, nie mamy tyle szczęścia.

- Wiem o tym - odrzekł Sigmar. - I właśnie dlatego przybyłem na twój dwór, królu Siggurdzie. Ludzkie ziemie rozciągają się od gór na południu do oceanów na północy i zachodzie, a plemiona ludzkie, które zamieszkują w tych granicach są ludem pobłogosławionym przez bogów. Uprawiamy żyzną ziemię, wychowujemy dzieci i gromadzimy się wokół ognisk, żeby słuchać opowieści o męstwie. Ale zawsze znajdują się tacy, którzy będą chcieli nam odebrać, co nasze: orki, potwory, źli ludzie. Zawiązałem wiele przymierzy na północy, ponieważ przedtem byliśmy jak banda dzikich psów, walczących między sobą, podczas gdy wilki naokoło nas rosły w siłę. To szaleństwo, aby pozwalać jakimś małostkowym podziałom powstrzymać nas przed zjednoczeniem, do którego jesteśmy przeznaczeni przez nasze wspólne dziedzictwo. W każdej wiosce wprowadziłem prawo, że wszyscy sąsiedzi muszą pójść na pomoc, gdy jeden z nich o nią zawoła, inaczej zginą. Wszyscy za jednego, bez wyjątków.

- Szlachetny sentymentalizm - stwierdził Siggurd zstępując z tronu i podchodząc do Sigmara. - Altruizm to piękna sprawa, królu Sigmarze, ale w naturze człowieka leży dbanie o własne interesy. Nawet jeżeli jeden pomaga drugiemu, to zazwyczaj czyni tak z nadzieją, że tamten hojnie mu się za to odpłaci.

- Być może - zgodził się Sigmar. - Ale przypominam sobie, jak zeszłego roku wybuchł pożar w stodole na skraju Reikdorfu. Budynek był nie do uratowania, ale sąsiedzi właściciela robili, co mogli, aby mu pomóc.

- Nie chcieli, żeby ogień przeniósł się na ich zabudowania - wytknął Siggurd.

- Z pewnością miało to znaczenie, przyznaję, ale kiedy ugaszono pożar, ci sami sąsiedzi pomogli właścicielowi odbudować stodołę. Czy mieli w tym jakąś korzyść? Wszyscy mieszkańcy Reikdorfu wiedzą, że mogą liczyć na sąsiadów, którzy wspomogą ich w trudnych chwilach. Poczucie bezpieczeństwa daje nam siłę. Tak samo rzecz ma się z plemionami. Wymieniłem Przysięgi Miecza z sześcioma królami północy i wszyscy nasi żołnierze walczą w jednej armii. Gdy leśne bestie atakują nadbrzeżne osady, unberogeńscy łucznicy na koniach pędzą do bitwy u boku endalskich włóczników. Kiedy orki ze wschodu najeżdżają asoborneńskie wioski, taleuteńscy wojowie i unberogeńscy topornicy wypędzają ich z powrotem w góry.

Siggurd zrównał się z Sigmarem i ten ujrzał, że Ghal-maraz przyciągnął

królewską uwagę. Wyciągnął młot przed siebie, podając go królowi Brigundian.

- Siła twego miecza jest mi znana, tak samo jak potęga twoich sprzymierzeńców - odparł Siggurd, biorąc do ręki młot i ujmując trzonek w silnym uścisku. - Twoje ziemie są chronione przez tysiące wojowników, którzy z twego przykładu czerpią swą odwagę. Polegasz na sile miecza, podczas gdy my, Brigundianie, opieramy się raczej na handlu i dyplomacji. Brigundiańskie farmy dostarczają żywność dla Asobornów, Merogenów i Menogotów, sprzedajemy też zboże do krasnoludzkich browarów. To są nasi przyjaciele i dzięki przymierzom z nimi, utrzymujemy pokój w naszym kraju.

Sigmar potrząsnął głową.

- Nadejdzie czas, kiedy dyplomacja okaże się bezużyteczna. Wrogowie wystawią taką liczbę żołnierzy, że żadne plemię nie stawi im czoła w pojedynkę. Przyłącz się do mnie, wymieńmy Przysięgi Miecza, a nasi ludzie staną obok twoich niczym bracia. Wraz z plemionami południa będziemy mogli być wreszcie zjednoczeni wszyscy razem jako ludzki naród.

- Wszyscy muszą trzymać się razem? - zapytał Siggurd, wręczając Ghalmaraza z powrotem Sigmarowi.

- Tak.

- I wszyscy muszą odpowiedzieć na wołanie o pomoc jednego z nich?

- Tylko człowiek bez honoru mógłby odmówić - potwierdził Sigmar.

Siggurd uśmiechnął się i rzekł:

- Więc jako twój król-brat, proszę cię o pomoc w pokonaniu straszliwego zła, które nawiedziło mój kraj.

- Mój miecz i młot są na twoje rozkazy - odpowiedział Sigmar. - Cóż za zło pustoszy twoje ziemie?

- Potwór z zamierzchłych czasów - odparł Siggurd. - Smoczy ogr.

Góry na południe od Siggurdheim były wrogie i mroczne. Postrzępione szczyty tonęły w kłębach groźnych chmur wirujących wokół nich. Powietrze było mroźne, ale po kilku godzinach wspinaczki skóra Sigmara pokryta była już warstwą śliskiego potu. Powietrze było tak naelektryzowane, że włosy stawały dęba mu na ramionach. W niedalekiej odległości od niego w skalne ściany uderzały pioruny kuliste, rozpryskując dokoła chmarę migoczących węgielków.

Ciszy nie mąciły żadne odgłosy dzikiej przyrody, nawet pisk ptaków. Jedynym dźwiękiem było trzeszczenie poluzowanych fragmentów skał pod stopami Sigmara i echo niosące się po okolicy, gdy któryś z nich spadał prosto w ciemne, ciche oczka wodne u podłoża szczytów.

Wiatr szeleścił, wiejąc między skalnymi szczelinami, co sprawiało, że Sigmar miał nieprzyjemne uczucie, jakby góra jęczała, śniąc jakiś koszmarny sen. Jego dłonie pokryły się krwią od ostrych skał, które kaleczyły skórę na rękach, a spodnie i koszula całe były w strzępach.

Sigmar zostawił króla Siggurda i jego wojowników u podnóża góry, daleko stąd, u brzegu wartkiej rzeki, której źródło biło w sercu gór. Niegdyś na nabrzeżu stała spora osada, ale teraz nikt już w niej nie mieszkał. Każdy budynek był zniszczony lub strawiony ogniem, a niczym nieusprawiedliwione okrucieństwo tego czynu przypomniało Sigmarowi ruiny asoborneńskiej wioski najechanej przez leśne bestie.

Główna droga wiodąca przez to, co zostało z wioski, pokryta była osmalonymi kraterami, które przypominały pozostałości po uderzeniach potężnych błyskawic. Sigmar poczuł nerwowe podniecenie na myśl o zmierzeniu się z istotą, która władała taką siłą. Wtedy przypomniawszy sobie przywódcę leśnych bestii i sposób, w jaki używał czarnej magii, aby ciskać śmiertelne pioruny.

Tamten potwór zginął od ciosu tego młota bojowego i tak też stanie się i z tą plugawą istotą.

Z nieba zaczął padać drobny, zacinający deszcz, który sprawił, że kontury zabudowań stały się szare i rozmazane, a także podkreślił panującą tu atmosferę opuszczenia. Sigmar dostrzegł, że wiele domów nie zostało po prostu spalonych, ale budynki zmiotłono, używając nie młota czy topora, a brutalnej siły.

- To miejsce zwało się kiedyś Kraelheim - wyjaśnił ze smutkiem Siggurd.
- Jest to jedna z osad zniszczonych przez bestię. Wielu uważa, że była to jedna z pierwszych brigundiańskich wiosek. Tutaj urodzili się i wychowali moi rodzice.

- I wszystko tutaj to sprawka smoczego ogra? - zapytał z przerażeniem Sigmar. - Jednej istoty?

- Tak - skinał głową Siggurd. - Krasnoludy zwą go Skaranorak. Mówią, że potrafi kruszyć głazy w pył, a jego szpony przecinają nawet runiczną zbroję. Moi tropiciele podejrzewają, że potwór został sprowadzony z wnętrza gór

przez zabójców króla gór, a teraz pożywia się na nas.

- Czy wysłałeś oddziały, które miały pokonać bestię?

- Tak, ale żaden nie powrócił - odparł Siggurd. - Mój syn poprowadził ostatnią ekspedycję i teraz drzę o jego życie.

- Zabiję tego Skaranoraka dla ciebie, królu Siggurdzie - przysiągł Sigmar, wyciągając dłoń.

- Pokonaj go, a bez wahania złożę Przysięgę Miecza - obiecał Siggurd, ściskając jego prawicę. - A także przysięgi Menogotów i Merogenów.

- Możesz składać przysięgi w ich imieniu?

- Mogę - odpowiedział Siggurd. - Zabij bestię, a staniemy się częścią twego wielkiego imperium.

Sigmar rozpoczął misję od tego, że odnalazł małą rybacką łódkę, wciąż zdatną do żeglugi i za jej pomocą przepłynął na drugą stronę rzeki. Wylądowawszy na przeciwnym brzegu, rozpoczął wspinaczkę. Teraz po paru godzinach, gdy podmuchy lodowatego wiatru prześlizgiwały się przez pionowe pęknięcia w skale, Sigmar był przemarznięty do szpiku kości i czuł się, jakby go ktoś owinał w polane wodą i momentalnie zamarzające koce.

Znalazł schronienie przed wiatrem i deszczem w zacienionym wgłębieniu znajdującym się pod wystającym skalnym występem. Ułożył stertę z nielicznych kawałków drewna, jakie udało mu się znaleźć, i rozpałił ogień. Słabo pęlgające płomyki sprawiły, że jego ciało trochę odtajało, ale o prawdziwym cieple nie było mowy. Starał się zachować czujność, ale górę brało zimno, senność i zmęczenie wraz z przytłaczającym uczuciem rozpaczliwym nad górami niczym całun.

Nadchodził już świt, gdy Sigmar otworzył oczy. Gwiazdy znikły z nieba, a gdzieś z oddali niosło się żalosne wycie. Nie był to z pewnością wilk, ale coś o wiele bardziej niebezpiecznego i nienaturalnego. Sigmar nie wiedział, jak długo spał, ale ogień w zasadzie wygasł, a kończyny znów miały zlodowaciałe. Dodał do ognia trochę podpałki i rozciągnął nogi, starając się rozmasować napięte mięśnie ud i ramion przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Po rozluźnieniu mięśni ogrzał płaszcz nad ogniskiem i przeżuł kawałek wędzonego mięsa, które wziął ze sobą. Napił się wody ze skórzanego bukłaka, ponieważ nie ufał strumieniom toczącym swe ciemne wody po skalnych zboczach.

- Czas w drogę - powiedział sam do siebie, a góry drwiąco powtórzyły jego słowa dudniącym echem.

Słabe światło dnia rozjaśniało chmury, rzucając rozproszony blask na ponure, niegościnnie szczyty. Sigmar podupadł na duchu, widząc, jak niewielki odcinek udało mu się wczoraj pokonać. Przepływające chmury kryły przed nim prawdziwą wysokość szczytów, ale za to pozwalały przyjrzeć się krajobrazowi rozciągającemu się na położonych niżej równinach. Na przemian zielone i złote kwadraty pól przeplatały się z lasami, które zdawały się wzywać Sigmara do siebie. Westchnął na wspomnienie trawy pod stopami i zapachu kwiatów.

Przyglądając się połaciom pięknej ziemi, nie dziwił się, dlaczego bestia zamieszkująca te przekłete góry również chciała się tam osiedlić.

Przez resztę dnia Sigmar wspinał się wciąż wyżej i wyżej, wyznaczając sobie granice i przekraczając je, chociaż zdawał sobie sprawę, że dawno powinien zawrócić. Za każdym razem, gdy znajdował się u skraju wytrzymałości, słyszał w głowie głos ojca.

- Wszystko opiera się na przysięgach, Sigmarze - szeptał Björn z dworu Ulryka. - Dotrzymuj tych, które złożyłeś, a inni podążą za twym przykładem.

Sigmar wspinał się więc dalej.

Drugiego dnia wspinaczki świt wstał deszczowy, a Sigmar, przeciągnąwszy swoje zmaltretowane ciało przez szczelinę między głazami, poczuł, że płuca płoną mu żywym ogniem. Opadł na kolana, łamiąc rozrzucone na ziemi kawałki drewna. Był wdzięczny losowi, że udało mu się na chwilę schronić przed zdradzieckim wiatrem i postanowił przez moment odpocząć przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Kiedy oddech mu się uspokoił, zdał sobie sprawę, że sterta drewna, na która się osunął, była w istocie kupką kruchych, wyblakłych kości. Zrozumiawszy to, natychmiast podwoił czujność i aby się uspokoić, położył dłoń na trzonku Ghal-maraza. Młot był ciepły i Sigmar czuł, że broń rozgrzewa złość, tak jakby wyczuwała znajdującego się w pobliżu odwiecznego wroga.

Starając się zachować spokój, Sigmar rozejrzał się po okolicy. Szeroki kanion, osmalony od uderzeń błyskawic, zarzucony był olbrzymimi płytami z lśniącego kamienia, które wieki temu podpadały ze zboczy, tworząc wielowarstwowe dno doliny, wypełnione teraz mnóstwem roztrzaskanych czaszek i kości.

Po lewej stronie ziała mroczna przepaść, spoglądając w którą nie sposób było dojrzeć dna, jedynie wirujące obłoki żółtawej mgły. Na wprost znajdowało się wejście do jaskini, przed którym leżało z tuzin zmasakrowanych zwłok. Większości z nich brakowało kończyn, innym głów, wszystkie zostały częściowo pożarte.

Nagle powietrze aż zatrzeszczało od wypełniającej je energii, sprawiając, że krople padającego deszczu wyparowywały z sykiem, zanim zdążyły dotknąć ziemi. Sigmar spostrzegł, że wokół obucha Ghal-maraza gromadzą się błękitne płomienie.

Usłyszał przeraźliwy trzask kruszonej skały i spojrzął w stronę wejścia do jaskini, z której właśnie wynurzał się potwór z jego najgorszych koszmarów: Skaranorak.

Rozdział 18

Skaranorak

Smoczy ogr, przedstawiciel jednej z najstarszych ras na świecie.

Sigmar słyszał starców rozprawiających o smokach, które zamieszkiwały głęboko w górach, raz widział nawet zakonserwowane zwłoki potężnego wojownika, które objazdowy sztukmistrz pokazywał za drobną opłatą jako ciało ogra. Nic jednak nie przygotowało go na spotkanie z przerażającym Skaranorakiem.

Bez wątplenia było to stworzenie z krwi i kości, ale przy tym wydawało się wytrzymalsze, starsze i potężniej zbudowane niż góry, w których miało swe leże. Jego masywne ciało, ukryte pod zimowym płaszczem, było potwornie zniekształcone i pokryte skórą o odporności żelaza. Przerażającą głowę wieńczyła korona z błyskawic. Dolna połowa ciała miała kolor rdzy, była niezwykle umięśniona i pokryta łuską, jak u gigantycznego jaszczura. Potężne nogi, o nienaturalnie wygiętych stawach, uzbrojone były w poźółkłe szpony, które kruszyły śliskie od deszczu skały niczym najostrzejsze miecze.

Bestia ciągnęła za sobą wijący się smoczy ogon, najeżony aż po sam koniec żelaznymi kolcami, z których tryskały błękitne iskry. Dolna część ciała potwora, przypominająca smoczą, łączyła się z górną połową, która z kolei przywodziła na myśl potężnie zbudowanego mężczyznę o mięśniach z żelaza i skórze podziurawionej kolczykami i kolcami. Z grubych nadgarstków potwora zwisały olbrzymie łańcuchy i Sigmar zaczął się zastanawiać, kto mógłby być takim głupcem, żeby spróbować uwięzić smoczego ogra.

Przez pierś bestii przebiegały linie mrocznych tatuaży, które sprawiały wrażenie, jakby wykwitwały bezpośrednio pod skórą. Grzywa zmierzwionych włosów, zeszywniałych od zakrzepłej krwi, pokrywała ciało giganta od czaszki aż do połowy pleców.

Głowa ogra w przerażający sposób przypominała ludzką. Rysy były

groteskowo wyolbrzymione, a oczy, nos i usta bardzo oddalone od siebie, ale wciąż dało się odnaleźć podobieństwo do człowieka. Olbrzymi nos potwora wyglądał, jakby został kiedyś zmiażdżony silnym uderzeniem, a potworne usta nigdy się nie zamykały ze względu na wystające z nich zakrwawione kły olbrzymich rozmiarów.

Pod zmarszczonymi brwiami płonęły oczy, jarzące się tak niepojętym i pradawnym złem, że Sigmar z trudem dawał wiarę, iż należą do żywej istoty obserwującej swoje terytorium.

Sigmar był pewien, że bestia wyczuwa jego obecność, co więcej stara się go teraz zlokalizować. Spłaszczony nos ogra marszczył się, próbując oddzielić jego zapach spośród tysięcy fetorów atakujących nozdrza.

Potwór schylił się i uniósł z ziemi potężny topór o dwóch ostrzach. Sigmar zadrżał ze strachu, widząc gigantyczne ostrza. Taką bronią można było przepołowić dąb jednym ciosem!

- Ulryku, daj mi siłę - wyszeptał i natychmiast tego pożałował. Bestia momentalnie skoczyła w stronę jego kryjówki, mimo że z pewnością nie mogła go usłyszeć poprzez jednostajny szum deszczu i brzmienie w oddali uderzenia gromów.

Smoczy ogr wydał z siebie ogłuszający ryk, który odbił się echem od ścian kanionu, po czym zaatakował. Jak na tak wielkie stworzenie poruszał się z niesamowitą prędkością, krusząc przy tym stojące na drodze skały. Sigmar zobaczył zabójczą furię płonącą w jego oczach.

Podniósł się szybko na nogi i uskoczył na bok w chwili, gdy broń Skaranoraka uderzyła w skałę obok niego. Siła ciosu posłała dookoła deszcz odłamków i rozłupała głaz na pół. Bestia zamachnęła się toporem ponownie, a Sigmar rzucił się płasko na ziemię. Kilka centymetrów bliżej, a ostrze przeszłoby przez niego od głowy aż po lędźwie.

Sigmar przetoczył się na bok i zamachnął Ghał-marazem w nieosłonięty bok Skaranoraka. Młot odbił się od żelaznej skóry potwora. Zerwał się na nogi i wymierzył cios powyżej, w blade ciało niepokryte smoczą łuską, ale to uderzenie okazało się równie nieefektywne.

Smoczy ogr zamierzył się nogą i Sigmar poleciał w powietrze, lądując na pogruchotanych, na wpół-zjedzonych zwłokach. Przetoczył się z zakrwawionego ciała i potrząsnął głową, starając się przewyciężyć dzwonienie w uszach i oszołomienie, które go ogarniało.

Niedaleko uderzył piorun. Świetlista włócznia wbiła się w ziemię i z tego

miejsca strzelały w powietrze błękitne iskry. Deszcz bezustannie bębnił o ziemię i Sigmar mógłby przysiąc, że wraz z nadejściem gromu słyszał daleko w górach potępieńczy śmiech.

Smoczy ogr ponownie zaatakował, ale tym razem Sigmar był przygotowany. Jeszcze raz w ostatniej chwili uchylił się przed ciosem topora, który uderzył w skałę obok niego. Zaraz po tym, jak ostrze wbiło się w głaz, Sigmar doskoczył do Skaranoraka i uderzył go młotem w pierś, sprawiając, że bestia zawyła z bólu.

Niestety, lądując z powrotem na ziemi, stracił równowagę na śliskiej powierzchni i upadł na skały. Sekundę później Skaranorak wyprowadzał w jego stronę cios toporem. Sigmarowi udało się przetoczyć poza krawędź skalistego cypla i opaść na położone niżej płyty. Bestia zdołała chwycić już tylko za krawędź skały, zostawiając na niej odcisk szponów.

Sigmar biegł, szukając schronienia, aż zauważył las skalistych iglic, rozrzuconych obok siebie niczym ciemne stalagmity, które czasem znajduje się w jaskiniach. Być może walcząc między nimi będzie miał przewagę, bo na równinie niestety nie dysponował żadną.

Odwrócił się, czując narastające napięcie w powietrzu i upadł na plecy, gdy, niczym ryk rozwścieczonego boga, zadudnił łoskot gromu, a świetlista włócznia błyskawicy rozdarła niebo swą niewyobrażalną jasnością.

Grom uderzył prosto w pierś potwora, a początkowa radość Sigmara wkrótce zmieniła się w przerażenie, gdy zauważył, jak piekielne moce dodają bestii sił. Oczy ogra zapłonęły blaskiem, a ogień błyskawicy zaczął płynąć w jego żyłach, tak jakby cały został ukształtowany z czystej burzowej furii.

Bestia zeskoczyła za Sigmarem i ziemia aż się zatrzęsała, gdy stwór dotknął powierzchni. Sigmar nigdy wcześniej nie walczył z podobnym wrogiem i w tej chwili instynkt mówił mu, żeby uciekać przed tą przerażającą mocą, bo z pewnością żaden człowiek nie może się mierzyć z taką bestią i przeżyć.

Sigmar jednakże jeszcze nigdy nie uciekł przed żadnym ze swych wrogów. Co więcej, ze strachu czerpał teraz swoją siłę, bo czymże byłaby odwaga bez strachu?

Wyprostował się i uniósł młot, czekając aż bestia podejdzie bliżej, poruszając się ostrożnie i nieśpiesznie, niczym czający się wilk.

Stał nieustraszenie przed zbliżającym się potworem. Smoczy ogr, zauważywszy go, zawył i po raz kolejny zaatakował, ciosem topora

rozłupując jedną ze stalagmitowych wież na drobne odłamki. Sigmar cofnął się, gdy bestia kolejnym ciosem posłała dookoła jeszcze więcej kamyków.

Sigmar zaryzykował spojrzenie w tył, prowadząc Skaranoraka głębiej w las stalagmitów. Zauważył, że znajdowali się niedaleko bezdennej otchłani, a spoza jej krawędzi wydostawały się kosmyki trującego, żółtawego dymu.

Spostrzegł również, że zaczyna mu brakować miejsca do wycofywania się.

Ryki potwora zagłuszały dudnienie grzmotów, które uderzały tak szybko jeden po drugim, że zdawało się, jakby to jakiś demoniczny bębniarz uderzał w dach świata. Migoczące błyskawice co chwila rozświetlały niebo, a deszcz bił w skały z taką intensywnością, jakby w królestwie bogów dno załamało się pod oceanem.

Sigmar chwycił za młot bojowy, wiedząc, że szybko musi wykonać jakiś ruch, ponieważ lada moment skończą się zapasy sił, które mu zostały. Wspinaczka do tego miejsca aż z kraju Brigundian niemal zupełnie go wyczerpała, a zaraz potem został zaatakowany przez tego potwora...

Smoczy ogr z brutalną siłą przecisnął się pomiędzy dwoma stalagmitami i wzniosł topór w celu zadania ciosu. Sigmar przeskoczył w stronę przewróconej skalnej iglicy, chwilę po tym, jak ostrze poleciało w dół, a gdy potwór chciał trafić go ponownie, Sigmar rzucił się na niego, skacząc nad wyprowadzonym ciosem.

Uderzył w pierś bestii, wolną ręką szukając oparcia. Zacisnął palce na jednym z żelaznych pierścieni, którymi przedziurawione było cielsko ogra. Trzymając się mocno, oparł stopy o brzuch potwora i uderzył Ghal-marazem w jego twarz.

Skaranorak przeraźliwie zawył z bólu, powodując zejście z gór skalistych lawin, po czym wierzgnął, starając się zrzucić napastnika. Sigmar jednakże mocno zaciskał palce na żelaznym pierścieniu i ponownie uderzył w twarz ogra, wydobywając z niego nowy jęk wściekłości.

Tryskająca wokół krew poplamiała Sigmara i wkrótce wydał on z siebie okrzyk triumfu, widząc, jakich potwornych zniszczeń jego broń dokonała na twarzy wroga. Ciało wokół oczu zmieniło się w krwawą miazgę, a krew ciekła niczym łzy po pogruchotanych kościach policzkowych. Smoczy ogr stanął dęba, a Sigmar starał się ze wszystkich sił utrzymać na swej pozycji, podczas gdy bestia zaatakowała go szponiastymi łapami.

Gdy pazury potwora zanurzyły się w jego plecach, zobaczył ciemność

przed oczami i poczuł piekący ból. Wypuścił pierścień z palców i upadł, krzycząc z potwornego bólu, podczas gdy krew lała się z ran strumieniami. Potwór stał nad nim, wściekle wymachując łapami, wyjąc ogłuszająco i wywracając stalagmity.

Sigmar zagryzł zęby z bólu, ale podniósł się, zataczając się nieco, gdy poczuł jak opuszczają go wszystkie siły. Oślepiiony potwór rzucał się wściekle, również doprowadzony do szaleństwa z bólu. Sigmar obrócił się, szukając najbliższej skalnej wieży, czując jak oczy zasnuwają mu się mgłą. Wspiął się wyżej, niepomny na padający deszcz i mocne podmuchy wiatru, które w każdej chwili mogły go strącić w dół.

Szponiasta łapa uderzyła w skałę tuż obok niego. Pazury pozostawiły w kamieniu głębokie rysy, a Sigmar stracił równowagę. Skała zdrząła od uderzenia, a on desperacko próbując złapać się czegokolwiek, zawisł, trzymając się jedną dłonią skalnego występu.

Zakrwawiona twarz Skaranoraka znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od jego własnej, ale w tej pozycji nie był w stanie wyprowadzić ciosu. Szpony sięgnęły po niego, ale Sigmarowi udało się wspiąć wyżej, omijając łapska obmacujące skałę w poszukiwaniu jego ciała. Kolejne błyskawice rozświetlały niebo, ale uderzały w ziemię bez żadnego konkretnego celu, tak jakby nie mogły służyć już dłużej smoczemu ogrowi, gdy oślepiiony nie potrafił ich nakierować.

Sigmar podciągnął się na spłaszczony szczyt skały i leżał płasko na brzuchu. Dudniące odgłosy furii Skaranoraka powodowały, że głaz trząsł się jak trzcina na wietrze. Wokół obucha Ghal-maraza gromadziły się błękitne płomienie, a Sigmar przypomniał sobie błyskawice uderzające chwilę przed tym, jak trzy lata wcześniej zabił przywódcę leśnych bestii.

Przepłynęła przez niego moc i poczuł w kościach i mięśniach niebiańską energię, dodającą sił oraz osłabiającą ból w ranach.

Tuż pod nim Skaranorak rozdzierał powietrze szponami, ale ponieważ był oślepiiony, jego ataki były przypadkowe i chaotyczne. Sigmar nie czuł litości dla potwora, ponieważ był stworzeniem o nienaturalnym pochodzeniu, połączeniem spaczonych bestii, odwiecznych wrogów jego rasy.

Grom uderzył w zbocze kanionu, a niebo po raz kolejny przeszyła błyskawica. Sigmar uniósł Ghal-maraza i powstał na całą wysokość.

Światło pioruna oświetliło na chwilę sylwetkę bestii i ryczącą paszczę zwróconą ku Sigmarowi.

Z wrzaskiem wściekłości na ustach Sigmar zeskoczył ze skały z uniesionym wysoko Ghal-marazem w tej samej chwili, gdy topór Skaranoraka uderzył w stalagmit i rozłupał go na kawałki. Sigmar wylądował na ramieniu bestii i trzymając trzonek w obu dłoniach, zamachnął się młotem w czaszkę ogra.

Wkładając w cios całą swoją siłę i furję, Sigmar wbił pokryty runami obuch Ghal-maraza prosto w skroń Skaranoraka i zanurzył go w tym, co pozostało z mózgu potwora.

Jęk agonii wydobywający się z paszczy bestii ucichł, a olbrzymie ciało, upadając, zmiażdżyło kilka kolejnych stalagmitów.

Sigmar chwycił za splątaną grzywę potwora, obserwując agonalne drgawki bestii.

Potwór leżał na ziemi pośród pokruszonych skał, a z Sigmara uchodził bitewny szal, gdy prześlizgiwał się pomiędzy ruinami pozostałymi po tym epickim pojedynku. Z licznych ran lała się krew, a Sigmar jęknął z bólu połączonego z triumfem, gdy w pełni zdał sobie sprawę, jakiego czynu właśnie dokonał.

Spomiędzy zakrzywionych kłów wydostało się ostatnie tchnienie i smoczy ogr umarł. Wraz z jego śmiercią ucichły gromy i deszcz przestał padać. Sigmar leżał poraniony i posiniaczony między odłamkami skalnych iglic, gdy zauważył, że mżawka słabnie, a niebo, do tej pory zasłonięte ciemnopurpurowymi chmurami, zaczyna się przejaśniać.

Sigmar przewrócił się na brzuch i jęcząc z bólu, użył trzonka Ghal-maraza, aby się podnieść na kolana. Cielsko smoczego ogra leżało nieruchomo i pomimo bólu przeszywającego ciało, Sigmar uśmiechnął się. Śmierć potwora oznaczała, że oto kolejne trzy plemiona zjednoczą się pod jego sztandarem.

- Byłeś godnym przeciwnikiem - powiedział Sigmar, składając tym samym cześć duchowi potężnej bestii.

Słońce przedarło się przez chmury i nad szczytami zaśnił snop złotego światła.

Jadąc kamienną drogą, która wiała się między wzgórzami w okolicach Reikdorfu, Sigmar z ukontentowaniem rozglądał się po zalanych słońcem polach dojrzewającej kukurydzy. W ciągu dwóch miesięcy, które upłynęły od

momentu, gdy opuścił stolicę, ziemia odwdzięczyła się za ludzką troskę i wydała obfite plony.

Gdy rozglądał się dookoła, widział rozliczne wioski i gospodarstwa porzucane po okolicznych wzgórzach. Słońce grzało plecy rolników pochylonych nad pracą w polu. Sigmar był dumny z tego, co udało się osiągnąć jemu i jego ludziom, i mimo że zdawał sobie sprawę, iż nadchodzą ciężkie czasy, to teraz po prostu rozkoszował się panującym tu spokojem i dobrobytem.

Po pokonaniu potwora Sigmar odpoczął jeden dzień, żeby odzyskać siły, a następnie wyciął z paszczy smoczego ogra wielkie kły. Długim myśliwskim nożem zdjął z jego cielska smoczą skórę pokrytą żelaznymi łuskami. Powróciwszy do brigundiańskiego obozu rozbitego w pobliżu rzeki przepływającej przy zrujnowanej wiosce Kraelheim, zastał króla Siggurda i jego żołnierzy pogrążonych w rozpacz. Na widok Sigmara i trofeów, które ze sobą przyniósł, król Brigundian zapłakał z radości.

- Myśleliśmy, że zginąłeś - tymi słowami przywitał Siggurd Sigmara, gdy ten przekroczywszy rzekę, znalazł się w obozowisku.

- Niełatwo mnie zabić - odpowiedział Sigmar, z trudem łapiąc oddech po męczącym zejściu z góry.

Sigmar wyciągnął przed siebie zakrwawione kły i ofiarował je Siggurdowi. Król Brigundian przyjął dar i potrzęsnał głową ze zdumieniem i żalem.

- W pojedynkę udało ci się dokonać tego, czego nie udało się naszym najlepszym wojownikom - powiedział Siggurd. - Opowieści o twojej odwadze i męstwie nawet w połowie nie oddają rzeczywistości.

Sigmar sięgnął do kieszeni zaszytej w płaszczu i wyciągnął z niej mały, złoty przedmiot. Podał go Siggurdowi ze słowami:

- Znalazłem to w legowisku bestii i pomyślałem, że powinienem ci to zwrócić.

Siggurd przyjrzał się przedmiotowi leżącemu na dłoni Sigmara, a jego twarz zmarszczyła się w grymasie bólu.

- Pierścień królów brigundiańskich - powiedział. - Pierścień mojego syna.

- Przykro mi - rzekł Sigmar. - Zbyt dobrze znam ból spowodowany utratą bliskiej osoby.

- Był naszym najlepszym i najdzielniejszym wojownikiem - powiedział Siggurd, starając się opanować wzruszenie ze względu na otaczających

żołnierzy. Wziął królewski pierścień z rąk Sigmara, po czym wyprostował się, ściągnął łopatki i zapatrzył się w stronę gór, biorąc przy tym głęboki, uspokajający oddech.

- My, Brigundianie, jesteśmy dumnym ludem, Sigmarze - odezwał się wreszcie Siggurd. - Ale nie zawsze jest to dobra cecha. Gdy po raz pierwszy stanąłeś przed moim obliczem, chciałem wykorzystać okoliczności, aby się ciebie pozbyć. Nie chciałem zostać wciągnięty w to, co uważałem za próbę wzięcia w niewolę wszystkich plemion pod sztandarem pięknych słów i wzniosłych idei. Ale kiedy zgodziłeś się wyruszyć do walki ze Skaranorakiem, zdałem sobie sprawę, że twoje słowa były szczerze, a ja zachowałem się niezwykle samolubnie.

- Teraz to nie ma znaczenia - odpowiedział Sigmar. - Żyję, podczas gdy bestia zginęła.

- Nie - zaprotestował Siggurd. - To ma znaczenie. Wysłałem cię na samobójczą misję i czekałem tutaj, targany poczuciem winy, że dopuściłem się tak okrutnego uczynku.

Sigmar wyciągnął dłoń w stronę brigundiańskiego władcy i powiedział:

- W takim razie pozwól Przysiędze Miecza zmyć całą złą historię stosunków między Unberogenami a plemionami z południowego wschodu. Zacznijmy od nowa i od tej pory traktujmy się jak przyjaciele i sojusznicy.

Na twarzy Siggurda malował się ból, ale król uśmiechnął się.

- Niech i tak będzie.

Następnie opuścili smutne ruiny Kraelheim i wyruszyli w drogę powrotną do Siggurdheim, gdzie olbrzymie kły zabitego ogra zostały umocowane na wielkim podium dla upamiętnienia wspaniałego zwycięstwa Sigmara. On sam przez tydzień odpoczywał i leczył rany, aż wreszcie do Siggurdheim zajechali królowie najdalej położonych ziem.

Henroth z Merogenów miał potężną posturę, długą, rozwidloną rudą brodę i twarz poznaczoną licznymi bliznami. Z jego skroni zwisały gęste warkocze, miał wzrok twardy jak krzemień i niezwykle mocny uścisk. Sigmar polubił go od pierwszej chwili.

Król Menogotów, Markus, był szermierzem o gładko wygolonej głowie i nieco wilczych rysach twarzy, w której płonęły podejrzliwe oczy. Początkowo odnosił się do Sigmara dość chłodno, ale gdy ujrział kły smoczego ogra, Siggurd nie musiał go dwa razy namawiać do złożenia Przysięgi Miecza.

Czterech królów skrzyżowało ostrza nad kłami Skaranoraka i przypieczętowało swój pakt, składając ofiarę Ulrykowi, który był reprezentowany przez miejskich kapłanów. Po trzech dniach ucztowania Markus i Henroth wyprawili się z powrotem do swych królestw, ponieważ niebezpieczeństwo ze strony orków było wciąż żywe i nie mogli na zbyt długo opuszczać pola bitwy.

Przed odjazdem gości Sigmar obiecał im, że unberogeńscy wojownicy wspomogą ich w tych walkach, po czym obserwował z najwyższej wieży w Siggurdheim jak jego nowi bracia miecza oddalają się galopem w stronę gór. Następnego dnia o świcie Sigmar pożegnał się z Siggurdem i zaczął przygotowywać się do powrotu w rodzinne strony.

Potrzebował prawie pięciu tygodni, żeby pieszo pokonać dystans z Reikdorfu do Siggurdheim. Droga powrotna miała się jednak okazać łatwiejsza i szybsza, gdyż król Siggurd podarował mu pięknego dereszowatego wałacha z siodłem z błyszczącej skóry, wykonanym przez najlepszych taleuteńskich rzemieślników.

W przeciwieństwie do Unberogenów, którzy jeździli na oklep, taleuteńscy jeźdźcy mieli zwyczaj wyruszania do bitwy na osiodłanych koniach. Siodła połączone były z żelaznymi strzemionami, które pozwalały jeźdźcowi lepiej kierować wierzchowcem i bardziej efektywnie walczyć z końskiego grzbietu.

Co więcej zbrojmistrze i krawcy Siggurdheim zjednoczyli swe siły, aby wykonać dla Sigmara błyszczący płaszcz z łuskowatej skóry, którą zdarł ze Skaranoraka. Efekt ich pracy był zdumiewający, a peleryna mogła odeprzeć najpotężniejszy cios miecza i nie zostawał na niej nawet ślad.

Pośród wiwatujących tłumów i triumfalnego dźwięku trąbek Sigmar wyruszył na północ do swojego kraju. Cieszyła go perspektywa ujrzenia przyjaciół, a podróż w siodle była z pewnością wygodniejsza od pieszej wędrówki.

Po drodze nic specjalnego się nie wydarzyło i Sigmar raz jeszcze mógł rozkoszować się przyjemnością podróżowania w pojedynkę przez olbrzymią, otwartą przestrzeń. Tym razem nie towarzyszyło mu uczucie wyswobodzenia, jakiego doświadczył opuszczając Reikdorf, ale okowy zobowiązań, które wcześniej wydały mu się ograniczające wolność, teraz przywitał z radością.

Sigmar miał nadzieję, że uda mu się przybyć do Reikdorfu cicho i niezauważenie, ale został spostrzeżony przez unberogeńskich zwiadowców

już na granicy kraju i wieść o jego powrocie szybko dotarła do stolicy. Odrzucił propozycję eskorty i samotnie ruszył w stronę Reikdorfu przez sielankowy krajobraz pól złotej kukurydzy i spokojnych wiosek.

Minął drogowskaz mówiący, że jest w odległości piętnastu kilometrów od Reikdorfu. Popędził konia, ujrawszy, że nad horyzontem wznoszą się liczne słupy dymu, zbyt liczne, jeżeli brać pod uwagę tylko domostwa w Reikdorfie.

Wreszcie wynurzył się spomiędzy drzew i zatrzymał konia na wyżej położonym nasypie, obserwując dymy unoszące się z reikdorfskich kominów, a także z setek palenisk rozrzuconych na polach i wzgórzach na północ od murów. Zbocza wzgórz pokryte były licznymi prowizorycznymi namiotami, a tysiące ludzi zbitych w grupki chroniło się pod płóciennymi dachami lub w jamach wrytych w ziemi. Po kolorze płaszczy i ciemnych włosach, Sigmar stwierdził, że nie mogą to być Unberogenowie. Kimże więc byli i dlaczego rozbili obóz pod murami Reikdorfu?

Życiodajne wody Reiku lśniły jak srebrna wstęga, gdy rzeka okrążała mury i toczyła swe fale dalej w kierunku odległego wybrzeża. Murów stolicy strzegli żołnierze, a popołudniowe słońce odbijało się w setkach włóczni i w ogniach koszulek kolczoch. To miasto - bo nazwa „osada” dawno przestała być wystarczająca - było jego domem.

Sigmar poprowadził konia w stronę południowej drogi i dołączył do wozów kupieckich kierujących się w stronę miasta. Gdy dotarł do wrót i wartownicy rozpoznali go, przywitał go gromki okrzyk radości. Po chwili na całej długości murów zgromadzili się wiwatujący strażnicy, którzy wymachiwali włóczniami i uderzali mieczami w tarcze na powitanie.

Wrota do miasta otworzyły się i Sigmar ujrzał czekających za nimi przyjaciół.

Wolfgang stał obok Alfgeira i Pendraga, który trzymał szkarłatny sztandar w połyskującej srebrzyście dłoni. Za Pendragiem stała niska, brodata postać, odziana w długi płaszcz z błyszczącej łuski i skrzydlaty, złoty hełm. Rozpoznawszy mistrza Alaryka, Sigmar uśmiechnął się i uniósł dłoń w geście powitania.

Za grupą przyjaciół stał mężczyzna nieznany Sigmarowi. Wysoki, smukły wojownik z obnażoną klatką piersiową i pojedynczym pasmem włosów spływającym z czubka czaszki aż na plecy. Mężczyzna nosił jaskrawoczerwone spodnie, do których miał przypasaną pochwę z czarnej

skóry ozdobionej złotem.

Wolfgang poklepał Sigmarowego wierzchowca po szyi i król przestał na chwilę myśleć o nieznanym przybyszu.

- Zmitrężyłeś cholernie dużo czasu - powiedział brat miecza w ramach przywitania. - Mówiłeś, że to będzie krótka podróż. Powiedz mi przynajmniej, że zakończyła się sukcesem.

- I to wielkim - odrzekł Sigmar, zeskakując z końskiego grzbietu. - Jesteśmy teraz braćmi dla plemion południowego wschodu, a one dla nas.

Wolfgang wziął od niego lejce i ze zdumieniem zaczął przyglądać się siodłu oraz strzemionom.

- Brigundiańskie?

- Taleuteńskie, dar od króla Siggurda.

W tej chwili do króla podszedł Alfgeir i obejrzawszy go od stóp do głów, zauważył pojawienie się nowych blizn na ramionach Sigmara.

- Wygląda na to, że nie byli zbyt pokojowo nastawieni - stwierdził.

- To długa opowieść - odrzekł Sigmar. - Ale opowiem ją później. Teraz powiedzcie mi, co się dzieje. Kim są ci ludzie koczujący pod naszymi murami?

- Najpierw przywitaj się z braćmi miecza - odpowiedział Alfgeir. - A później pójdziemy porozmawiać do długiego domu.

Sigmar skinął głową i odwrócił się w stronę Pendraga i Mistrza Alaryka. Uścisnął srebrną dłoń Pendraga i zauważył, że palce zgięły się i objęły jego własne.

Brat miecza uśmiechnął się i powiedział:

- Mistrz Alaryk wykonał je dla mnie. Mówi, że są prawie tak dobre jak prawdziwe.

- Lepsze niż prawdziwe - burknął Alaryk. - Tych nie stracisz, chyba że będziesz na tyle niezdarzy, aby znowu pozwolić komuś uderzyć w nie toporem.

Sigmar wypuścił dłoń Pendraga i położył rękę na ramieniu krasnoluda.

- Dobrze cię widzieć, mistrzu Alaryku. Tak wiele czasu minęło, odkąd ostatnio nas odwiedziłeś.

- Ba - mruknął krasnolud. - Przecież to było zaledwie wczoraj, chłopcze. Wy, człeczyny, macie taką słabą pamięć. Przecież ledwie co wyjechałem.

Sigmar roześmiał się, ponieważ ostatni raz widział mistrza Alaryka prawie trzy lata temu. Wiedział jednak, że pojęcie czasu według górskiego

ludu różni się zupełnie od ludzkiego i taki szmat czasu był dla krasnoluda jak mgnienie oka.

- Jesteś tu zawsze mile widzianym gościem, przyjacielu - powiedział Sigmar. - Czy królowi Żelaznobrodemu dobrze się powodzi?

- O tak. Ale zostałem wysłany do ciebie z ponurymi wieściami ze wschodu. Podobnie jak i ten młodzieniec - odpowiedział krasnolud, wskazując na obnażonego do pasa mężczyznę, który stał w pewnej odległości od towarzyszy Sigmara.

- A kimże ty jesteś? - zapytał Sigmar, zwracając się ku nieznanemu.

Mężczyzna zrobił krok naprzód i uklonił się przed Sigmarem. Miał gładką skórę i łagodne rysy twarzy, ale z oczu wyzierała prawdziwa udreka.

- Nazywam się Galin Veneva. Jestem Ostagotem i przybywam od króla Adelharda. Ludzie stacjonujący pod twoimi murami są pod moim dowództwem.

Sigmar zgromadził swych wojowników w długim domu, aby wszyscy mieli szansę wysłuchać opowieści Galina Venevy. Z ciężkim sercem opadł na tron i złożył obok młot. Zaczął myśleć, że droga powrotna do domu przez skąpane w słonecznym blasku pola była ostatnim darem bogów przed nadchodzącymi dniami krwi i wojny.

Naznaczony silnym akcentem głos Ostagota łamał się, gdy wojownik opowiadał o okropieństwach wyrządzonych jego ludowi, widać było, że wspomnienia stanowią dla niego nieznośny ciężar.

Orczy najazd ruszył na ludzkie osady, a szeregi wroga liczyły więcej zielonoskórych niż kiedykolwiek.

Zielona fala nadeszła od strony wschodnich gór, pałac i niszcząc wszystko na swej drodze. Całe ostagockie osady zniknęły z powierzchni ziemi. Nie brano łupów ani zakładników, tak jakby zielonoskórym zależało tylko na czystej radości zabijania.

Najeźdźcy palili pola i domy. Nawet siły zgromadzone w pośpiechu przez króla Adelharda nie były w stanie przeciwstawić się ich potędze. Ryczące orki, odziane w zbroje poskładane z fragmentów pancerzy wroga, nie okazywały litości nikomu, a zdziesiątkowani Ostagoci nie byli w stanie mierzyć się z brutalnymi zabójcami.

Mieszkańcy wschodu jednak nie poddawali się. Król zwoływał tylu

zbrojnych, ilu to było możliwe, pod swoje sztandary. Tymczasem ci, którzy ocaleli z najazdu, zbiegli na zachód. Cześć z nich nawet teraz koczowała wokół Taalahimu, stolicy króla Taleutenów, Krugara. Jednakże rosnący strach przed zielonoskórymi powodował, że ludzie uciekali coraz dalej na zachód, docierając w ten sposób do ziem Unberogenów.

Sigmar dobrze rozumiał gorycz przepelniającą Galina. Znajdował się w Reikdorfie, podczas gdy jego rodacy walczyli i ginęli w obronie ojczyzny. Rozkaz władcy brzmiał jednak, że Galin ma spotkać się z królem Sigmarem, ofiarując mu dar i prosząc o pomoc.

Alfgeir przyglądał się nieco nieufnie Ostagotowi podchodzącemu do tronu Sigmara i trzymającemu w wyciągniętych dłoniach czarno-złotą pochwę.

- To jest Ostvarath, pradawne ostrze ostagockich królów - powiedział z dumą Galin. - Król Adelhard zobowiązał mnie do wręczenia go tobie na znak jego szczerych intencji. Składa ci Przysięgę Miecza i prosi o wysłanie wojowników do naszego kraju, aby pomogli nam w walce z orkami. Nasi ludzie giną jak rzeźne zwierzęta. Jeżeli nam nie pomożesz, to zanim liście opadną z drzew, po ostagockim narodzie nie zostanie śladu.

Sigmar podniósł się z tronu i przyjął pochwę z rąk Galina, następnie wysunął z niej ostrze i zaczął podziwiać przepięknej roboty miecz. Ostrze Ostvaratha było wypolerowane i gładkie, obie krawędzie ostre jak brzytwy. W istocie była to królewska broń i fakt, że Adelhard podarował mu swój własny miecz, świadczył o desperacji ostagockiego władcy.

- Przyjmuję Przysięgę Miecza od twojego króla - powiedział Sigmar. - I składam mu własną. Od tej pory będziemy braćmi na polu walki i nie pozwolę Ostagotom upaść. Daję ci na to moje słowo, a moje słowo jest wykute z żelaza.

Na twarzy Galina widoczna była ulga i Sigmar wyczuł, że wojownik chciałby jak najszybciej powrócić na wschód i toczyć bitwy w obronie ojczyzny. Wsunął miecz Adelharda z powrotem do pochwy i oddał go Galinowi.

- Oddaj Ostvaratha swemu władcy - rozkazał Sigmar. - Adelhard będzie go w najbliższym czasie potrzebował.

- Tak też uczynię, królu Sigmarze - powiedział Ostagot z wyraźną ulgą w głosie, po czym odsunął się od tronu.

Sigmar odezwał się:

- Mistrzu Alaryku? Jakie wieści ty przynosisz?

Krasnolud wystąpił na środek długiego domu i odezwał się swym niskim głosem, wzbudzając powszechny posłuch.

- Chłopak mówił prawdę, orki rzeczywiście ruszyły na wojnę, ale zielonoskórzy, którzy atakują jego krainę, wkrótce wycofają się w góry.

- A skąd to wiesz? - zapytał Sigmar.

- Ponieważ mój lud ich powstrzyma - odpowiedział Alaryk. - Kiedy tu rozmawiamy, wojownicy Króla Zabójców i Zhufbaru maszerują, aby spotkać się z nimi na polu bitwy. Ale w Karaz-a-Karak doszły nas wieści, że wielka orcza horda zbiera się na południu oraz na przeklętych ziemiach na wschód od gór. Jest to armia, przy której oddziały atakujące krainę króla Adelharda będą wyglądać jak przednia straż. Jest to armia, której jedynym celem będzie ostateczne zniszczenie rodzaju ludzkiego.

Sigmar obserwował reakcję wojowników na te wieści i czuł, że atmosfera w długim domu stała się napięta. Zagrożenie ze strony zielonoskórego plugastwa ciążyło nad ludźmi od dawien dawna. Zabijanie ludzi i plądrowanie ich wiosek nie było niczym nowym, ale do tej pory zielonoskórym nie udało się nigdy połączyć w wielką armię.

Sigmar uniósł Ghal-maraza i omiótł spojrzeniem zgromadzonych wokół siebie wojowników, ludzi dumnych i odważnych. Ludzi, którzy staną u jego boku, gdy przyjdzie się zmierzyć z niebezpieczeństwem - lud Sigmara.

- Wyślijcie jeźdźców z wieściami do mych królów-braci - rozkazał Sigmar. - Powiedzcie, że powołuję się na Przysięgi Miecza, które mi złożyli. Powiedzcie im, żeby ogłosili zaciąg do armii i przygotowali się na wojnę!

Rozdział 19

Królewskie miecze

Znad brzegu rzeki Aver, z miejsca, w którym stał Sigmar, rozciągał się widok na południowe krainy, stojące w ogniu. Sterty orczych ciał płonęły, wydzielając cuchnący, czarny dym, a to, co niegdyś było zieloną, żyzną ziemią, zmieniło się w zwęglone, opustoszałe zgliszcza. Orczy najeźdźcy byli bezlitośni i żadna wioska nie obyła się bez strat, żadna wartościowa rzecz nie pozostała nietknięta.

W piersi Sigmara płonął gniew, podsycony chęcią zemsty za trwającą dwa lata wojnę. W ciągu tych lat znacznie się postarzał. Jego twarz była zmęczona i poznaczona zmarszczkami, zwłaszcza wokół oczu, a we włosach pojawiły się pierwsze siwe pasma.

Wciąż był silnym mężczyzną o mięśniach z żelaza, nieustraszonym i prawym jak zawsze, ale widział zbyt wiele cierpienia, żeby móc znowu być beztróskim młodzieńcem. Ciało miał obolałe od dni i nocy spędzonych na obronie mostów nad rzeką Aver. Gdy kroczył przez unberogeński obóz, rany pulsowały pod ciasno założonymi szwami.

Sigmar słał się ze zmęczenia i marzył tylko o tym, aby się położyć i zapaść w kilkumiesięczny sen. Jednakowoż miał obowiązki wobec swych żołnierzy, którzy walczyli jak bohaterowie. Musiał spędzić trochę czasu z każdym oddziałem, chwalać wojowników i wymieniając ich po imieniu. Bitwa skończyła się zwycięstwem ledwie parę godzin po świcie, teraz niebo było już pociemniałe, a on jeszcze nie zdołał położyć się na odpoczynek.

Kapłanki Shallyi i wojowniczy kapłani Ulryka również przechadzali się po obozie, doglądając rannych, łagodząc cierpienia umierających i wznosząc modły do Króla Wilków, aby powitał zmarłych na swym dworze.

Od dnia, w którym usłyszał z ust mistrza Alaryka ostrzeżenie przed orczą inwazją, Sigmar rzadko kiedy odwiedzał rodzinne strony. Był w Reikdorfie jedynie dwukrotnie w ciągu ostatnich dwóch lat, ale nie zdążył jeszcze zmyć

orczej krwi ze zbroi i włosów, kiedy rozbrzmiewały rogi bojowe i musiał poprowadzić swych żołnierzy po raz kolejny na pole walki.

Krasnoludy dotrzywały słowa, powstrzymując plemię zielonoskórych przed dalszym pustoszeniem krainy Ostagotów. Jednakże wkrótce potem wojownicy Wielkiego Króla zostali zmuszeni do odwrotu, aby bronić własnych twierdz w górach. Czas okupiony życiem wielu krasnoludów nie został stracony, ponieważ król Adelhard zdołał zwołać swych wojowników i dołączyć do Białych Wilków pod wodzą Alfgeira, a także do cheruseńskich toporników, taleuteńskich lansjerów i asoborneńskich rydwanów bojowych. W wielkiej bitwie na Czarnej Drodze Adelhard rozbił armię orczych najeźdźców, a zdziesiątkowanych niedobitków zepchnął z powrotem w góry.

Zanim Sigmar zdołał zgromadzić żołnierzy bratnich królestw pod wspólnym sztandarem i wymaszerować na południowy wschód, ziemie Merogenów i Menogotów zostały najebrane, a królowie uwięzieni w swych wielkich, kamiennych zamkach. Niepowstrzymywane orki błąkały się po okolicy i pustoszyły ludzkie zabudowania oraz gospodarstwa.

Brutalne, zielonoskóre dzikusy niszczyły wioski i miasta, paląc wszystko, czego nie mogły unieść. Zginęło tysiące ludzi i tylko dzięki temu, że w szeregach zielonoskórych szybko wybuchły bratobójcze walki, najeźdźcy nie rozprzestrzenili się natychmiast na zachód i północ.

Tysiące uchodźców zalało kraj Unberogenów i Sigmar wydał rozkaz, żeby każdemu z nich udzielono schronienia. Spichlerze wkrótce zostały opróżnione, ale królowie z pozostałych krajów wysyłali tyle zapasów, ile mogli, żeby nie dopuścić do klęski głodu. Nadeszły mroczne, wypełnione rozpaczą dni, zdawało się, że oto przyszedł koniec świata. Z dnia na dzień coraz więcej wyjących band zielonoskórych łupieżców schodziło w doliny, podczas gdy ludzkie armie słabły.

Sigmar przystanął przy samotnym, osmalonym ogniem drzewie na szczycie niewysokiego wzgórza i rozejrzał się po nabrzeżach Averu, gdzie stacjonowały armie Cherusenów, Endalów, Unberogenów i Taleutenów. Przy ogniskach zgromadziło się prawie pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, jedząc, pijąc i dziękując bogom, że i tym razem udało się nie skończyć jako żer dla kruków.

W jego stronę zbliżała się kulejąca postać i Sigmar rozpoznał wiekowego uzdrowiciela, Cradoca, człowieka, który pomógł mu odzyskać siły, po tym jak został zdradziecko zaatakowany przez Gerreona.

- Powinieneś odpocząć, panie - odezwał się Cradoc. - Wyglądasz na zmęczonego.

- Odpocznę, Cradocu - odpowiedział Sigmar. - Niedługo, obiecuję.

- Och, obiecujesz, tak? Mówiono mi, żeby nigdy nie ufać królewskim obietnicom.

- Myślałem, że mówią tak o królewskiej wdzięczności?

- To też - przytaknął Cradoc. - A teraz idź odpocząć albo będę zmuszony dzielić cię w głowę i osobiście zaciągnąć do łóżka.

Sigmar uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Dobrze, zaraz. Jak wielu? - Nie musiał nawet precyzować pytania.

- Pewność będę miał nad ranem, ale z dotychczasowych szacunków wynika, że przynajmniej dziewięć tysięcy ludzi zginęło, broniąc tych mostów.

- A ranni?

- Mniej niż tysiąc, ale większość z nich nie doczeka poranka - odpowiedział Cradoc. - Człowiek powalony przez orka rzadko kiedy przeżywa.

- Tak wielu... - wyszeptał Sigmar.

- Byłoby więcej ofiar, gdybyś nie utrzymał mostów - stwierdził Cradoc, obejmując się ciasniej wątlymi ramionami. - Drzę na samą myśl o tym. Zielonoskórzy pozabijaliby nas wszystkich i w tej chwili byłiby w połowie drogi do Reikdorfu.

- Odsunęliśmy tylko w czasie nieuniknione - odpowiedział Sigmar. - Orki powrócą. Ich głód walki i krwi jest nienasycony. Krasnoludy powiadają, że armia, większa nawet od tej, którą pokonaliśmy, gromadzi się na wschód od Przełęczy Czarnego Ognia. Czekają na wiosnę, aby rozlać się po górach i zmieść nas z powierzchni ziemi.

- Racja, to bez wątpienia prawda, ale pozostawmy rozważania nad nią na inny dzień - odparł Cradoc. - Jesteśmy żywi i tylko to się teraz liczy. Jutro zadba samo o siebie, ale jeżeli teraz nie odpoczniesz, to nad ranem nie będzie z ciebie pożytku ani dla ludzi, ani dla bestii. Jesteś potężnym mężczyzną, królu, ale nie jesteś nieśmiertelny. Słyszałem, że walczyłeś w samym środku pola bitwy i Wolfgart opowiadał, że mógłbyś już zostać zabity z tuzin razy, gdyby nie ostrze i refleks Alfgeira.

- Wolfgart za dużo gada - odparł Sigmar. Muszę walczyć. Żołnierze muszą widzieć, że walczę. Nie chcę wyjść na aroganta, ale nie ma zbyt wielu

wojowników dorównujących mi umiejętnościami. Jednak tam, gdzie walczę, moi ludzie dają z siebie wszystko.

- Masz mnie za głupca? - sarknął Cradoc. - Ja też brałem udział w bitwach i wiem, na czym to polega.

- Oczywiście - uspokoił go Sigmar. - Nie miałem zamiaru cię pouczać.

Cradoc machnął ręką na Sigmarowe przeprosiny.

- Wiem, że widok władcy ryzykującego własnym życiem w bitwie podnosi morale żołnierzy. Ale teraz jesteś niezwykle ważną osobistością, Sigmarze, nie tylko dla Unberogenów, ale i dla wszystkich ludzkich plemion. Wyobraź sobie, jakim ciosem byłaby dla nich twoja śmierć.

- Nie mogę po prostu stać z boku i przyglądać się bitwie - odparł Sigmar. - Moje serce rwie się tam, gdzie śpiewa krew, a śmierć wypatruje najsłabszych, aby ich porwać do swego królestwa.

- Wiem - westchnął ciężko Cradoc. - Jest to jedna z najmniej czarujących cech twojego charakteru.

Król Siggurd zaofiarował królom zgromadzonym na polu walki gościnę w swej stolicy i udali się tam wszyscy, aby radzić nad dalszymi losami wojny. Król Brigundian witał przybyłych władców osobiście u złotych wrót do swego wspaniałego dworu. Sigmarowi serce pęczniało z dumy na myśl, o tym, że oto jest świadkiem zgromadzenia, jakiego próżno by szukać w annałach ludzkiej historii.

Pośrodku głównej sali ustawiono olbrzymi okrągły stół z żelaza, pośrodku którego płonął przemyślnie skonstruowany kominek. Sigmar, Wolfgart i Pendrag stali w wyznaczonych miejscach i obserwowali kolejno przybywających władców.

Jako pierwszy zapowiedział się król Endalów, Marbad. Wkroczył do sali w towarzystwie swego najstarszego syna, Aldreda, oraz dwóch wysokich Kruczych Hełmów, odzianych w czarne płaszcze, pod którymi błyszcząły koszulki kolcze pięknej roboty. Król Marbad skinął głową w pozdrowieniu. Sigmar zmarszczył czoło, widząc, że endalski władca pobladł trochę na widok srebrnej ręki Pendraga.

Jako następny zjawiał się władca Cherusenów, Aloysis, smukły mężczyzna o ptasich rysach z długimi, czarnymi włosami i krótko przystrzyżoną brodą.

Następnie salę zebrania zaszczyliła swą obecnością królowa Freya w

towarzystwie Maedbh. Sigmar zauważył kątem oka, że Wolfgart wyprostował się na widok żony, minęło bowiem wiele miesięcy odkąd ostatnio się spotkali. Królowa Asobornów pozdrowiła Sigmara dwuznacznym uśmiechem i przesunęła dłonią po brzuchu, zanim zajęła miejsce naprzeciwko niego.

Zaanonsowano przybycie króla Taleutenów, Krugara, i po chwili władca wkroczył do sali w towarzystwie dwóch potężnie zbudowanych wojowników w zbrojach ze srebrnej łuski. Król Udosesów, Wolfila, odziany w swój najpiękniejszy kilt i przepasany plisowaną szarfą, wszedłszy do pomieszczenia, pozdrowił zgromadzonych głośnym okrzykiem. Władcy północy towarzyszyli brodaci współplemieńcy o nieco przerażającym wyglądem. Charakteryzowały ich zmierzwione brody i czupryny, a przerzucone przez ramiona nieśli olbrzymie pałasze.

Myrsa przybył z Fauschlagu jako reprezentant północnych marchii. U jego boku stanęli dwaj wojownicy odziani w lśniące, płytowe zbroje. Sigmar skinął głową Wiecznemu Wojownikowi, gdy ten zajmował miejsce przy stole.

Jako następny do sali wszedł król Turyngian, Otwin. Sigmar nie dowierzał własnym oczom, ale władcy towarzyszył nie kto inny, jak wojownicza Ulfdar, ta sama, z którą walczył, zanim spotkał się z Otwinem na polu bitwy. Oboje byli praktycznie nadzy, nie licząc przepasek biodrowych i brązowych naszyjników.

Król Menogotów, Markus, i król Merogenów, Henroth, przybyli razem. Sigmar był zszokowany widokiem zmian, jakie zaszły w ich wyglądem w ciągu ostatnich dwóch lat. Dopiero niedawno udało się odeprzeć armie oblegające oba zamki i obaj władcy byli przeraźliwie wychudzeni, a także mocno przygnębieni nieszczęściem swego ludu.

Jako ostatni zjawił się król Ostagotów, Adelhard, w towarzystwie Galina Venevy. Sigmar momentalnie polubił wschodniego władcę. Król Ostagotów był wysoki, o szerokiej piersi, a teraz po wielkim zwycięstwie na Czarnej Drodze, odzyskał radość i dumne spojrzenie. Z szacunkiem i wdzięcznością skłonił głowę przed Sigmarem, zanim zajął swoje miejsce przy stole.

Po zgromadzeniu na sali wszystkich władców związanych przysięgą, Siggurd zamknął drzwi i również usiadł przy stole. W tym momencie służący ustawili przed każdym z obecnych srebrny kielich wypełniony ciemnoczerwonym winem.

Siggurd powstał, aby powitać przybyłych.

- Przyjaciele, witam was na moim dworze. W tych mrocznych czasach moje serce wypełnia się prawdziwą radością, gdy widzę władców z całego świata zgromadzonych pod moim dachem.

Król Brigundian uniósł swój kielich i kontynuował:

- To wino jest szczególnie cenione przez moich wojowników, ponieważ pijemy je tylko świętując największe zwycięstwa. Po dwóch latach walk doszło wreszcie do wielkiej wygranej i zepchnęliśmy zielonoskórych z powrotem w stronę gór. Delektujcie się słodkim smakiem tego trunku i zapamiętajcie ten smak. Na wiosnę czeka nas wielka bitwa na Przełęczy Czarnego Ognia i po niej jeszcze raz napijemy się tego wina. Witajcie wszyscy.

Siggurd usiadł przy akompaniamencie pięści walących w blat stołu. Ze swego miejsca podniósł się Sigmar, również trzymając w dłoni kielich.

- Bracia królowie - rozpoczął.

- I siostry królowe! - krzyknęła ze śmiechem Maedbh.

- I siostry królowe - uśmiechnął się Sigmar, wykonując lekki ukłon w stronę Freyi. - Król Siggurd dobrze rzecz, ja również jestem szczęśliwy, mogąc was tu wszystkich widzieć. Wszyscy jesteśmy związani przysięgami lojalności i przyjaźni, a moim sercu rośnie nowa nadzieja na myśl, jak wspaniałych wojowników udało nam się zjednoczyć we wspólnym celu.

Sigmar odepchnął swoje krzesło i zaczął okrążyć stół, wciąż trzymając puchar w wyciągniętej dłoni.

- Ostatnie lata rzeczywiście były mroczne i namnożyło się proroków zagłady, rwących włosy z głowy i jęczących o końcu świata i o tym, że bogowie się od nas odwrócili, pozostawili nas własnemu losowi. Nie mogę się jednak z tym zgodzić. Bogowie dali nam wielką siłę. To oni dali nam również rozum, abyśmy mogli rozpoznać tę siłę. Dali nam skromność, żebyśmy wiedzieli, w czym tkwi nasza słabość. Czyż nie są to boskie dary? Ja twierdzę, że bogowie pomagają tym, którzy sami potrafią sobie pomóc i że to zebranie jest kolejnym krokiem prowadzącym do ostatecznego zwycięstwa.

Stanąwszy przy krześle Marbada, Sigmar położył dłoń na ramieniu króla Endalów.

- Odkąd umarł mój ojciec, przemierzyłem wiele krajów i widziałem siłę, o której mówię, na własne oczy. Widziałem odwagę. Widziałem determinację.

Widziałem ogień i widziałem mądrość. Widziałem to wszystko w czynach każdego mężczyzny i kobiety zgromadzonych w tej sali. Walczyłem u boku wielu z was w bitwie i jestem dumny, tak bardzo dumny z tego, że mogę was zwać moimi braćmi miecza.

Sigmar uniósł kielich wysoko w górę.

- To dzięki przysięgom się zjednoczyliśmy, ale to przelana krew jest naszą wspólną matką.

Zgromadzeni władcy podnieśli swe puchary i jednocześnie napili się wina zwycięstwa.

- Nigdy! - krzyknął z oburzeniem król Taleutenów. - Oddać komuś dowodzenie moimi wojownikami?! Bogowie zabiliby mnie na miejscu, gdybym okazał takie tchórzostwo!

- Tchórzostwo? - zaripostował król Siggurd. - Czy zdanie sobie sprawę z tego, że musimy walczyć jako jedna armia, bo inaczej zginiemy, jest tchórzostwem? Myślę, że to nie odwaga cię powstrzymuje, ale duma!

- Racja - zgodził się Krugar. - Duma z odwagi i siły Taleutenów. Ta sama duma, która napełniała serca moich wojowników, gdy w ciągu ostatnich dwudziestu trzech lat prowadziłem ich do boju. Gdzie się podzieje ta duma, gdy będę stał beczynnie, pozwalając komuś innemu dowodzić moimi oddziałami?

- Cicho, człowieku, twoja duma nie uzna uszczerbku! - krzyknął zirytowany Wolfila. - Każdy, kto walczył u boku Sigmara, wie, że powierzenie dowództwa synowi Björna nie jest żadnym wstydem. Kiedy pod wrotami mojego zamku gromadziły się szczerząc kły norские wilki, kto je przepędził? Byłeś tam, Krugarze, za co niezmiernie jestem ci wdzięczny. Był i Aloysis, ale to Sigmarowi zawdzięczamy rozbicie północnej armii i wypędzenie niedobitków aż za wielką wodę!

- Rozumiem niechęć Krugara związaną z oddaniem komuś innemu władzy nad własną armią, ja również mam ku temu opory - wtrącił się Aloysis. - Ale walcząc w pojedynkę nie mamy szans z zielonoskórymi. Pokonają nas jednego po drugim. Jestem w stanie przewyciężyć swą dumę i oddać mych Cherusenów pod dowództwo Sigmara.

Sigmar skinął głową cheruszeńskiemu władcy w podziękowaniu za udzielone wsparcie.

- A ja nie mam zamiaru beczynnie przyglądać się bitwie - odezwał się Adelhard, wyciągając miecz i kładąc go na stole. - Ostvarath jest spragniony orczej krwi.

- Nikt nie mówi, że masz się przyglądać - warknęła Freya. - Znajdziesz się tam, jak prawdziwy wojownik, w wirze walki, gdzie wilki Ulryka czekają, aby pochwycić zmarłych i odprowadzić ich na miejsce wiecznego spoczynku. Ja stanę u boku Sigmara, ponieważ wiem, jaka moc płynie w jego żyłach. Jeżeli ktoś z nas ma przejąć dowództwo, musi to być Sigmar.

- A co z Bretonami i Jutonami? - zapytał Myrsa. - Czy ich królowie nie zdecydowali się z nami sprzymierzyć?

- Marius? - splunął Marbad. - Ten człowiek to istny gad. Jest to człowiek bez honoru, który zasługuje na wygnanie z ludzkich krain.

- Być może - powiedział Sigmar. - Ale wysłałem emisariuszy do państwa Jutonów, aby zaoferować królowi Mariusowi kolejną szansę dołączenia do nas.

- A jeśli odmówi? - zapytał Marbad. - Co wtedy? Bezpieczeństwo jego kraju zostanie okupione krwią naszych żołnierzy, ale on nie uroni nawet łzy nad ich losem. Będzie zacierał ręce i śmiał się z naszej głupoty. Wolałbym, żeby moje tyły ubezpieczali Norsowie niż ten przebiegły syn ladaczniczy. Z Norsami przynajmniej wiesz, na czym stoisz.

Sigmar darzył starego króla wielkim szacunkiem i sentymentem, ale zdawał sobie sprawę, że jego nienawiść do Jutonów jest zbyt mocna, aby można ją było złagodzić racjonalnymi argumentami.

- W takim razie rozpoczniemy pertraktacje z Mariusem dopiero po tym, jak pokonamy orki - powiedział Sigmar.

Następnie pozostali władcy zabierali głos, jeden za drugim. Rozgorzała debata wokół kwestii dowództwa. Mimo że każdy król wypowiadał się z uznaniem i szacunkiem o Sigmarze oraz o jego uczynkach i wizji zjednoczenia ludzkich plemion, to jednak tylko kilka osób zdecydowało się oddać mu dowództwo nad swoimi armiami.

Sigmar czuł, że puszczają mu nerwy, gdy mijała kolejna godzina, a zgromadzeni przerzucali się cały czas tymi samymi argumentami. Miał wrażenie, że to, co w pocie czoła budował przez ostatnią dekadę, coraz bardziej wymyka mu się z rąk.

Wreszcie powstał z miejsca i z hukiem położył Ghal-maraza przed sobą na stole. Oczy zgromadzonych zwróciły się w jego stronę, a on pochylił się

do przodu, kładąc obie dłonie na blacie.

- A więc tak zginie ludzka rasa? - zapytał łagodnie. - Sprzecząc się jak stare przekupki, zamiast stanąć z zakrwawioną bronią w ręku przed obliczem wroga?

- Zginie? O czym ty mówisz? - obruszył się Siggurd.

- O tym - odpowiedział Sigmar z pogardą w głosie. - Nasi nieprzyjaciele, rasy dużo niższe od ludzkiej, zjednoczyli się, aby nas zniszczyć, a my wciąż upieramy się, aby walczyć między sobą. Orki to brutalne dzikusy, istoty żyjące tylko po to, by niszczyć i zabijać. Nie budują farm, nie pracują na roli, mordują każdego, kto stanie im na drodze. Wedle każdej miary stoją niżej od nas, a jednak udało im się zjednoczyć, podczas gdy nas wciąż dzieli duma i ego. Myśl o tym, że wszystko, co osiągnęliśmy, i wielkie poświęcenie, jakie było potrzebne, aby zjednoczyć nasze plemiona, zostanie teraz zaprzepaszczone w małostkowych sporach, przejmując mnie wielkim żalem.

Sigmar wyprostował się i uniósł Ghal-maraza, wyciągając go przed siebie w wyprostowanej ręce.

- Król Kurgan Żelaznobrody przypomniał na pogrzebie mego ojca, w jaki sposób wszedłem w posiadanie tej broni.

Przypomniał też, że ten wspaniały młot bojowy jest nie tylko narzędziem zniszczenia, ale i tworzenia. Młot kowala wykuwa żelazo, które czyni nas silnymi, ale Ghal-maraz nie jest młotem wykutym przez zwykłego kowala. To królewski młot i marzyłem, że z jego pomocą uda mi się wykuć ludzkie imperium, królestwo, w którym wszyscy ludzie mogliby żyć w spokoju, zjednoczeni i silni. Ale jeżeli nawet w obliczu zagłady nie potrafimy przestać myśleć o dumie, to znaczy, że to zgromadzenie nie ma sensu. Powrócę do Reikdorfu i rozpocznę przygotowania do walki z każdym orkiem, który odważy się wkroczyć na tereny Unberogenów. Nie oczekuję od was żadnej pomocy i sam jej nie udzielę, gdy mnie ktoś poprosi. Przybędą zielonoskórzy i zetrą nas na proch. Być może zajmie im to wiele lat, ale z pewnością to uczynią. Chyba że staniecie u mego boku.

- Walczcie pod moimi rozkazami, róbcie, co mówię, a być może uda nam się przetrwać tę próbę. A teraz podejmijcie decyzję, tylko pamiętajcie: razem przetrwamy, osobno zginieemy.

Sigmar usiadł z powrotem na krześle i położył przed sobą Ghal-maraza. Żaden z władców nie ośmielił się przerwać śmiertelnej ciszy, jaka zapanowała po przemówieniu Sigmara.

Wreszcie Marbad powstał i podszedłszy do Sigmara, stanął u jego boku. Król Endalów wyciągnął Ulfsharda, lśniące ostrze wykute dawno temu przez czarnoksiężników, i położył miecz przy Ghal-marazie.

- Znam Sigmara, odkąd był chłopięciem - odezwał się Marbad. - Walczyłem zarówno u boku jego ojca, jak i dziada, Redmane Dregora. Wszyscy mężczyźni z tego rodu są ludźmi honoru i odwagi. Wstyd to dla mnie, że kiedykolwiek zwątpiłem w słusność jego sprawy. Przyjmuję szansę walczenia u boku Sigmara, a jeżeli oznacza to oddanie mu dowodzenia, niech i tak będzie. Ileż lat spędziliśmy na wojnach pomiędzy sobą? Jak wielu synów pochowaliśmy? Zbyt wielu. Nasza siła była podzielona, dopóki Sigmar nas nie zjednoczył, a teraz chcemy cofnąć się przed przekazaniem mu dowództwa? Nie chcę już więcej bratobójczych walk, bracia. Endalowie ruszą do boju pod rozkazami Sigmara.

Marbad ścisnął ramię Sigmara i powiedział:

- Björn byłby z ciebie dumny, chłopcze.

Adelhard podniósł się z krzesła i okrążył stół. Krocząc, wyciągnął z pochwy Ostvaratha. On również złożył swoją broń przy Ghal-marazie.

- Moi ludzie zawdzięczają ci życie. Jakżeż mógłbym cię nie poprzeć?

Jako następny podszedł Wolfila, kładąc swój olbrzymi pałasz na stole, pomiędzy mieczami pozostałych królów.

Jeden za drugim wszyscy zgromadzeni składali broń obok Sigmarowego młota.

Jako ostatni zbliżył się Myrsa, Wieczny Wojownik z góry Fauschlag, składając na blacie ciężki młot bojowy z oplecionym skórą trzonkiem i żelaznym obuchem w kształcie szczyrzącego się wilka.

- Nie jestem królem, Sigmarze - rzekł Myrsa. - Ale wojownicy z północy są na twoje rozkazy. Co każesz nam uczynić?

Sigmar wstał, zaszczycony i onieśmielony wiarą, jaką pokładali w niego obecni w sali władcy.

- Nadchodzi zima, dlatego też wracajcie do swoich krajów - powiedział Sigmar. - Pozwólcie wojownikom powrócić do rodzin, ponieważ to przypomni im, o co walczą. Przygotujcie się do wojny i w pierwszym miesiącu wiosny stawcie się w Reikdorfie z naostrzonymi mieczami i sercami pełnymi otuchy.

- A potem?

- A potem wydamy wojnę zielonoskórym - obiecał Sigmar. - Pokonamy

ich na Przełęczy Czarnego Ognia i zapewnimy naszym ziemiom wieczny pokój!

Rozdział 20

Obrońcy Imperium

- Zostaw mnie, chłopcze - wykrztusił Svein, spluwając krwią pieniającą się w kącikach ust. - Wiesz... że musisz... to zrobić.

- Ucisz się, staruszkule - syknął Cuthwin, ciągnąc ciało przyjaciela i mentora zarazem w stronę sterty kamieni pokrytych śniegiem i opierając go o jeden z głazów. Krew przesiąkała przez skórzaną kamizelę Sveina i plamiła jego wełniane spodnie. Rana została zatkana strzępem płótna, ale wciąż ciekła z niej krew, zostawiając na śniegu łatwy do wytropienia, czerwony ślad.

Cuthwin był wyczerpany i na chwilę przystanął, próbując jednocześnie uspokoić oddech i zobaczyć, jak wygląda trop, który za sobą zostawiają. Na razie nie było żadnych oznak pościgu, ale z pewnością ten stan nie potrwa długo. Zapach krwi przyciągnie gobliny, nawet jeśli jakimś cudem przegapią ślad, który był zmuszony zostawiać, niosąc rannego przyjaciela.

Goblińska strzała nadleciała znikąd i przeszła plecy starszego zwiadowcy, dziurawiąc jego kamizelę i przechodząc na wylot tak, że grot wystawał mu z brzucha. Banda piskliwych potworów wyskoczyła z ciemności, a ich ząbkowane noże i miecze zaśniły w świetle księżyca.

Zaatakowały ich niewielkie, zakapturzone postaci cuchnące łajnem i zgniłym mięsem. Gobliny były bardzo szybkie, a pod postrzępionymi, czarnymi szatami kryły okrutne, podłużne twarze i ostre niczym igły zęby. Cuthwin zabił pierwsze dwa, a Svein trzeciego, po czym otoczył ich gwar krótkich, urywanych pisków.

Przygniotły Sveina do ziemi, ale Cuthwin zdołał je przegonić, dźgając dokoła mieczem i nożem myśliwskim. Mimo rany Svein walczył jak bohater, łamiąc małym plugawym istotom karki lub wybebeszając je kilkoma obrotami noża. W skały za nimi uderzył deszcz strzał, a walczące gobliny podniosły dziki pisk, widząc, że towarzysze broni niezbyt dbają o ich życie.

Istoty rozpierzchły się i umknęły w stronę ciemnych górskich jaskiń.

Widząc, że gobliny na razie uciekły, Svein opadł na kolana, a Cuthwin pospieszył mu z pomocą. Strzała przeszywająca ciało przyjaciela była prymitywnie wykonana. Cuthwin odłamał kamienny grot i szybko wyjął drzewce z rany.

- Ach... załatwiły mnie, chłopcze - wychrypiał Svein. - Zostaw mnie i wracaj tam, gdzie stacjonują armie.

- Nie bądź głupcem - odparł. - Nic ci nie będzie. Jesteś zbyt wielki i zbyt brzydki, żeby można cię było zabić taką wykałaczką.

Cuthwin sprawnie opatrzył ranę, po czym przełożył sobie ramię przyjaciela przez szyję i podniósł go. Svein stęknął z bólu, ale Cuthwin wiedział, że nie mogą sobie pozwolić na stratę czasu. Musieli ruszać w dalszą drogę, bo gobliny powrócą, gdy tylko ich odwaga zostanie wzmocniona przez posiłki.

Przez całą noc niósł przyjaciela na zachód, tam, gdzie znajdowały się wrota do gór, tam, gdzie czekało bezpieczne schronienie. Uścisk zimy w górach na krańcu świata nareszcie trochę zelżał, ale armie zjednoczonych królów wciąż obozowały daleko od wejścia na przełęcz. Cuthwin miał nadzieję, że uda mu się doprowadzić Sveina do medyków, którzy będą w stanie uleczyć ranę, zanim stanie się najgorsze.

Niestety pod koniec dnia Cuthwin zauważył, że rana wciąż krwawi, co mogło oznaczać, że strzała przebiła Sveinowi nerkę i doszło do krwotoku wewnętrznego. Powszechnie wiadomo było, że gobliny często nurzają grot strzał w zwierzęcych odchodach, było więc bardzo prawdopodobne, że do rany mogło się wdać zakażenie.

Poranek nie przyniósł nowej nadziei, ponieważ twarz Sveina nabrała niezdrowego, szarego odcienia i zapadły mu się policzki. Patrząc na przyjaciela, Cuthwin wiedział, że będzie można mówić o szczęściu, jeżeli ranny przeżyje następną godzinę, nie wspominając nawet o powrocie do obozu.

Cuthwin poczuł, że zbiera mu się na płacz, ale gniewnie przetarł zawilgocone oczy. Znał Sveina przez prawie połowę swojego dorosłego życia. Olbrzym nauczył go największych tajemnic sztuki kamuflażu i przetrwania, stając się dla chłopaka zastępczym ojcem. Prawdziwego Cuthwin nie zdążył dobrze poznać, gdyż jego rodzinę wymordowali zielonoskórzy, gdy był jeszcze dzieckiem.

Podczas miesięcy, które spędzili w górach, dwaj zwiadowcy natrafili na ślad wielu goblinskich band, ale zawsze wychodzili z takich spotkań bez szwanku. Goblino, jako tchórzliwe istoty, preferowały atak z zasadzki, ale ponieważ Cuthwin i Svein prezentowali o wiele wyższy poziom mistrzostwa w tej dziedzinie, zazwyczaj udawało im się unikać wszelkich pułapek.

W górach położonych na wschodnim krańcu świata roiło się od różnych rodzajów potwornych istot, a goblino stanowiły z nich wszystkich najmniejsze zagrożenie. Trzy razy byli zmuszeni szukać kryjówek, aby uniknąć zauważenia przez trolle. Raz wpadli na trop olbrzymia. Niebezpieczeństwo było olbrzymie, ale dostali od Sigmara zadanie zgromadzenia informacji na temat ruchów i sił zielonoskórej hordy, która gromadziła się w górach.

Kiedy dotarli do wschodniego wejścia na przełęcz, ujrzeli orczą armię w pełnej okazałości. Mimo że Cuthwin widział to na własne oczy, wciąż ledwo mógł uwierzyć w ogrom hordy, falujący ocean zielonych ciał, który jak okiem sięgnąć zapełniał wyschnięte równiny rozciągające się za górami. Tysiące plemiennych sztandarów trzepotało na wietrze, a dym z ognisk zasnuwał całą okolicę mrocznym cieniem.

Bicie w wojenne bębny niosło się echem po górach, a krzyki i wrzaski skandujących orków brzmiały jak ryk rozwścieczonego bóstwa. Wzniesiono olbrzymie wizerunki plugawych orczych bóstw. Cuthwin miał wrażenie, że nie pohamuje zalewającej go wściekłości, gdy kukły zostały podpalone, a z wnętrza każdej dobył się wrzask palonych żywcom mężczyzn, kobiet i dzieci.

Po spaleniu bożków w powietrze wzniosła się olbrzymia, skrzydlata istota o węzowej szyi, pokryta obrzydliwą gadzią skórą. Na jej grzbiecie siedział odziany w ciężką zbroję dowódca. Nawet przez ogłuszający tupot maszerujących stóp i orcze porykiwania, Cuthwin był w stanie usłyszeć, jak bestia wydała z siebie nienawistny wrzask.

Armia rozpoczęła marsz. Wojownicy poruszali się w rozsypce, bez dyscypliny panującej w ludzkich szeregach. Na przedzie kotłującej się masy pomykały stada wilków, a między dziesiątkami tysięcy orków poruszały się ociężałe ohydne monstra rodem z najstraszliwszych koszmarów.

Nie zważając na zamarznęty śnieg, który wciąż przykrywał zbocza grubą skorupą, zielonoskórzy kierowali się ku przełęczy.

Cuthwin i Svein wiedzieli, że jeżeli Sigmar nie zostanie ostrzeżony o wyruszeniu wrogiej armii, zielonoskórzy pokonają Przełęcz Czarnego Ognia,

zanim ludzka armia zdoła ich powstrzymać.

Pośpiech sprawił, że nie byli dość ostrożni. Długo uchodziło im to bezkarnie, ale dziesiątego dnia drogi na zachód zostali zaatakowani przez gobliny.

Svein miał teraz zapłacić życiem za tę nieostrożność.

Wieści, jakie nieśli Sigmarowi, miały kluczowe znaczenie dla przebiegu wojny, ale Cuthwin zdał sobie sprawę, że nie może zostawić przyjaciela samego w górach i pozwolić mu umrzeć.

- Musisz iść - powiedział Svein, jak gdyby odgadując jego myśli.

- Nie, nie mogę cię tak zostawić - zaprotestował Cuthwin. - Po prostu nie mogę.

- Możesz, chłopcze - odrzekł Svein. - I właśnie to musisz zrobić. Ta rana oznacza dla mnie śmierć i wiesz o tym.

Cuthwin usłyszał delikatne skrobanie, jakby szorstki materiał ocierał się o skałę. Wiedział, że prześladowcy ich odnaleźli.

Svein również to usłyszał i pochylił się do przodu, chwytając Cuthwina za poły koszuli. Twarz skrzywiła mu się z bólu i determinacji, gdy przemówił:

- Słyszysz, że nadchodzą. Jeżeli nie dotrzesz na czas z wieściami do Sigmara, moja śmierć będzie nadaremna, rozumiesz?

Cuthwin pokiwał głową. Gardło miał ściśnięte, a w oczach lśniły mu łzy.

- Daj mi ten łuk - rozkazał Svein. - Nie będziesz go potrzebował... A tak będzie ci się szybciej biegło.

Cuthwin szybko zdjął z pleców łuk i wręczył go Sveinowi, opierając kołczan o skałę. Tymczasem przyjaciel wyciągnął miecz i położył go na ziemi obok siebie.

- A teraz zmykaj stąd, zrozumiano? - powiedział Svein. - I niech Taal cię prowadzi.

Cuthwin pokiwał głową i odrzekł:

- Wrota dworu Ulryka stoją dla ciebie otworem, przyjacielu.

Svein skinął głową.

- Mam cholerną nadzieję, że tak właśnie jest. Nie mam zamiaru umierać śmiercią bohaterską na próżno. A teraz idź!

Cuthwin obrócił się i wśliznął między skały, zostawiając ślad, którego wytropienie wymagałoby zwiadowcy dużo bardziej sprytnego niż jakikolwiek goblin.

Nie uszedł jeszcze stu metrów, gdy z tyłu dobiegły go pierwsze piski

ginących goblinów, po czym nastąpił szcęk mieczy, a następnie cisza.

Merogenowie zwali je Górami Krańca Świata i Sigmar sądził, że nazwa ta była w pełni zasłużona. Ponurzy strażnicy pilnowali krawędzi znanego świata, a za ich plecami rozciągały się tereny, o których nikt nie potrafił powiedzieć nic pewnego, a których każdy z pewnością szczerze się obawiał. Wyniosłe szare szczyty górowały nad krajobrazem i przytłaczały go swym ogromem.

Na zboczach leżała gruba warstwa śniegu, a sosnowe zagajniki wydzielały świeży zapach, który Sigmar wdychał z ukontentowaniem, jako miłą odmianę po odorze armii tysięcy wojowników.

W powietrzu czuć było zapowiedź wiosny, a wraz z nią nadchodził nowy rok pod znakiem krwi i odwagi.

Słońce stało jeszcze nisko nad wschodnim horyzontem, prześwitując przez poranne mgły i rozświetlając postrzępione kontury skał, które znaczyły zbocza Przełęczy Czarnego Ognia. Wreszcie nadszedł dzień, na który Sigmar czekał całe swoje życie. Czuł jak zdenerwowanie i napięcie pulsuje mu wewnątrz czaszki.

Dziś ujrzy, jak ludzka rasa triumfuje lub zgina się pod jarzmem najeźdźcy.

Eoforth zbudził go ze snu, w którym pił z kubka wypełnionego krwią, w towarzystwie samego Ulryka i posilał się mięsem odrywającym od kości świeżo upolowanego jelenia. Otaczała ich wilcza wataha, a każde ze zwierząt miało pysk ubrudzony krwią. Ich wycie brzmiało w uszach Sigmara jak muzyka.

Opowiedział Eoforthowi o śnie, a starzec uśmiechnął się.

- Myślę, że to dobry omen.

Srebrny napierśnik Sigmara ozdobiony wizerunkiem złotej komety z dwoma ognistymi ogonami spoczywał na stojaku. Lśnił jak nowy, podobnie jak skrzydlaty hełm i brązowe nagolenice z wyrytymi na nich srebrnymi wilkami.

Eoforth pomógł mu założyć zbroję, a gdy Sigmar uniósł Ghal-maraza, poczuł, jak przeszywa go dreszcz podniecenia. Pradawna broń króla Kurgana również wyczuwała znaczenie tego dnia. Następnie Eoforth wręczył Sigmarowi złotą tarczę, obrębioną żelazem, z rzeźbionym guzem pośrodku,

który przedstawiał głowę szczerzącego się odyńca.

Sigmar wysunął się z namiotu i gdy ujrzeli go najbliżej stacjonujący wojownicy, został powitany przez gromki okrzyk radości wydobywający się z setek gardeł. Pozostali żołnierze szybko podchwycili okrzyk i chwilę potem góry drżały od ogłuszającego ryku tysięcy wojowników.

Szeroka równina, która rozpościerała się przed góorskimi wrotami, wypełniona była wojownikami, końmi i wozami. Sigmar wraz z Wolfgartem zimą przemierzyli ludzkie krainy, aby upewnić się, że wszyscy władcy dotrzymają obietnicy złożonej na dworze króla Siggurda.

Dotarli aż do najdalszych krańców ludzkich dziedzin i z zadowoleniem stwierdzili, że nie było żadnych odszczepieńców.

Spróbowali też jeszcze raz przemówić do rozsądku królom nieobecnym na zgromadzeniu, ale z niewielkim skutkiem.

Każdy emisariusz wysłany do króla Jutonów, Mariusa, był odprawiany z kwitkiem, a król Endalów, Marbad, przyniósł wieści, że Bretonowie odmówili udzielenia jakiegokolwiek pomocy i opuścili swoje domy, ruszając w wędrówkę na południe, przez Góry Szare aż do dalekich krajów. Z jednej strony były to zasmucające wieści, ale Sigmar zdawał sobie sprawę, że exodus Bretonów jest dla Endalów błogosławieństwem, ponieważ zostawia dla nich rozległe ziemie do przejęcia.

Gdy pierwszy miesiąc wiosny nadchodził szybkimi krokami, u bram Reikdorfu pojawił się wysłannik z zachodu, z wiadomością od króla Jutonów.

Sigmar udawał się na spotkanie pełen nadziei, ale te zostały rychło brutalnie zniszczone. Ambasador, szczupły mężczyzna o spadzistych ramionach i o imieniu Esterhuysen, złożył mu w darze łuk przepięknej roboty. Drewno zostało pokryte złotem i ukształtowane w sposób zdradzający rękę czarodziejskiego ludu zza oceanu.

- Król Marius oferuje ci ten łuk na znak swojej życzliwości - odezwał się Esterhuysen, zginając się w niskim ukłonie. - Niestety, nie może ci udzielić wsparcia wojskowego w wojnie na południu, ale ma nadzieję, że ta cudowna broń przyniesie ci szczęście we wszystkich twoich przedsięwzięciach.

Sigmar przyjął łuk, istotnie przepiękny artefakt o wartości nie do przecenienia, po czym jednym ruchem złamał go na kolanie.

Rzucił połamane szczątki pod stopy oniemiałego Esterhuysena.

- Opuść moje miasto - powiedział Sigmar. - Nie potrzebuję szczęścia, aby

pokonać zielonoskórych. Potrzebuję wojowników. Wracaj do swego nieszczęsnego domostwa i powiedz twemu tchórzliwemu królowi, że kiedy wojna się skończy, przyjdzie dla niego czas sądu.

Ambasador został wyrzucony z miasta przez zachodnie wrota, a Sigmar musiał się mocno pohamowywać, aby nie zarządzić natychmiastowego ataku na Jutonsryk.

Mimo że odmowa Jutonów okazała się dla Sigmara druzgocącym rozczarowaniem, to jednak żaden z władców obecnych na Radzie Jedenastu - jak ludzie zaczęli nazywać naradę, która w zeszłym roku odbyła się na dworze króla Siggurda - nie uchylił się od danego słowa i wszyscy jak jeden mąż ruszyli w ustalonym terminie pod mury Reikdorfu.

Widok nadciągających oddziałów przynosił wiarę, tak samo jak nadchodząca wiosna. Był to potężny symbol tego wszystkiego, co udało się osiągnąć przez ostatni rok. Przez całą zimę kuźnie Unberogenów i wszystkich pozostałych plemion pracowały dzień i noc, aby wykuwać miecze, włócznie, strzały i lance dla unberogeńskiej kawalerii.

Ścięto duże połacie lasu, aby zapewnić opał do palenisk. Wszyscy rzemieślnicy, od tych, którzy produkowali strzały i lotki, do tych, którzy szyli ubrania i robili siodła, pracowali równie ciężko. Ich praca była równie ważna przy gromadzeniu wyposażenia dla szykującej się do wymarszu armii, jak praca kowali.

Zima była zazwyczaj dla ludzkich plemion czasem wyciszenia i spokoju, gdy rodziny zamykały się w domach, kuląc się przy ogniu i czekając, aż Ulryk powróci do swego lodowego królestwa w niebiosach, a jego brat Taal wraz z wiosną przywróci światu równowagę.

Jednakże, mając w perspektywie wojnę, mieszkańcy każdego gospodarstwa spędzili zimowe miesiące na przygotowaniach do nadchodzącego roku, upewniając się, że każdy z synów został wyposażony w koszulkę kolczą oraz uzbrojony w miecz lub włócznie. Wybito całe stada, a mięso następnie zasolono, aby zapewnić zapasy pożywienia dla tysięcy wojowników, którzy mieli wyruszyć na wojnę.

W ciągu tygodnia królowie połączyli swoje oddziały i armia, jakiej jeszcze świat nie widział, była gotowa do wyruszenia na wojnę. Obchody Nocy Krwi były huczne i radosne, chociaż po twarzach uczujących przemykał czasem cień smutku. Wielu z tych, którzy nad ranem mieli wyruszyć w drogę, już nigdy nie powróci do domu, zostawiając żony bez

mężów, a dzieci bez ojców.

Sigmar, wraz z pozostałymi władcami, złożył ofiary Ulrykowi oraz Panu Śmierci, a także bogini uzdrawiania i łaski, Shallyi. Oddano cześć także wszystkim innym bóstwom, ponieważ nikt nie ważył się rozgniewać nawet najmniejszego z nich w obliczu nadchodzącej wojny.

Gdy królowie zgromadzili się nad ranem w dniu wyruszenia w drogę, Sigmar podarował każdemu złotą tarczę, identyczną jak ta, którą sam nosił, wykonaną z tym samym mistrzostwem i dbałością o szczegóły. Pendrag pracował ciężko przez całą zimę, aby stworzyć te tarcze, wykuwając po jednej dla każdego ze sprzymierzonych władców. Zewnętrzny obręb był ozdobiony symbolami dwunastu plemion, wykonanymi tak misternie, że trudno było uwierzyć, że ich twórcą jest człowiek, któremu brakuje trzech palców.

- Obiecaliście mi zeszłego roku wasze miecze - powiedział Sigmar. - Daję więc każdemu z was tarczę, abyście mogli bronić siebie i swoich królestw. Jesteśmy obrońcami naszych krain, a ten dar symbolizuje naszą unię.

Pośród radosnych wiwatów królowie odnowili przysięgi lojalności, po czym zabrzmiały rogi, bębny oraz hałaśliwe dudy i armia rozpoczęła marsz na południe.

Przez pierwsze tygodnie żołnierzy nie opuszczał dobry humor, ale w miarę jak coraz głębiej wchodzili w mroczny cień rzucany przez górskie szczyty, cichły przekomarzenia i docinki. Każdy zdawał sobie sprawę z powagi nadchodzących wydarzeń, tak jak rozumiał, że każdy krok przybliża go do śmierci.

Dowódcy nie pospieszali zanadto marszu, wiedząc, że góry wciąż pokryte są śniegiem, który sprawia, że nie sposób pokonać przełęczy. Sytuacja zmieniła się, gdy Cuthwin, ślaniając się z wyczerpania, wpadł do obozu, przynosząc wieści o tym, że orki wyruszyły już na wojnę, a śnieg na przełęczy topniał w zastraszającym tempie. Sigmar był zrozpaczony, słysząc o śmierci Sveina, ale żałobę trzeba było odłożyć na później, ponieważ teraz musiał poderwać swoich ludzi do działania.

Pośpiech był zrozumiały i ludzie ruszyli szybkim marszem w stronę gór, na które wspięli się w pierwszych promieniach zimnego, wiosennego słońca. Z ust żadnego, opatulonego ciasno futrzanym płaszczem, żołnierza nie wydobyło się słowo skargi czy przekleństwo. Wspinali się coraz wyżej i wyżej w rejony, gdzie powietrze było rozrzedzone, a zimny wiatr hulał

między skalnymi iglicami o krawędziach ostrych jak noże.

Sigmar spojrzał w stronę gór. W obliczu poszarpanych szczytów czuł się przytłoczony, wiedząc, że potężne góry z obojętnością będą przyglądać się dramatowi, jaki rozegra się w ich cieniu.

Przełęcz Czarnego Ognia.

Tutaj wszystko się rozstrzygnie.

Gdy słońce przesunęło się wyżej na nieboskłonie, zalewając góry złotym blaskiem i odbijając się od setek tysięcy ostrzy, Sigmar, Alfgeir i Wolfgart wysunęli się na czoło ludzkiej armii. Ziemia pod końskimi kopytami była mocno ubita i piaszczysta. Niezliczone armie, przechodząc tędy przez stulecia, udeptały ją na kamień.

Wielokrotnie w przeszłości Przełęcz Czarnego Ognia służyła za główną drogę dla najeźdźczych armii, które chciały przedostać się przez góry. Łatwo było stwierdzić, dlaczego. Nawet w najwęższym punkcie przełęczy przesmyk miał prawie trzy kilometry szerokości, a z obu stron otaczały go urwiste zbocza. Przełęcz Czarnego Ognia stanowiła naturalne przejście ze skażonych ziem wschodu do żyznych krain zachodu.

Sigmar zatrzymał się i spojrzał za siebie, na rozciągający się za jego plecami widok na ludzką gromadę. Zaparło mu dech w piersiach, gdy oszacował ogrom armii, jego armii.

Wojownicy wypełniali ciasno całą przełęcz od brzegu do brzegu. Oddziały szermierzy stały ramię w ramię z włócznikami i berserkerami wyśpiewującymi, zawodząc, bojowe pieśni.

Tysiące prychniętych koni biło kopytami w ziemię, a dowód na to, że Wolfgart był doskonałym hodowcą, stanowił fakt, iż prawie wszystkie rumaki nosiły żelazne pancerze. Większość z ich jeźdźców dzierżyło długie lance, długie drzewca zakończone zaostrzonym żelaznym czubkiem. Lance były cięższe niż włócznie i stanowiły śmiertcioną broń, ale ich użycie stało się możliwe dopiero po tym, jak Unberogenowie zaczęli stosować siodła ze strzemionami. Tak uzbrojeni jeźdźcy, odziani przy tym w zbroje płytowe, jawili się na podobieństwo żelaznych gigantów, gotowych ruszyć na orki i zetrzeć je na proch przy akompaniamencie ogłuszającego stukotu kopyt.

Tylko Białe Wilki Alfgeira odmówiły walki z użyciem lanc. Jako wojownicy cechujący się nieposkromioną gwałtownością woleli wjechać w

serce bitwy dzierżąc swoje młoty i rozłupując nimi czaszki nieprzyjaciół ku chwale swego pana i mistrza.

Na lewym skrzydle zgromadziły się asoborneńskie rydwany. Na ich czele stała królowa Freya. Wyglądała olśniewająco w złotym napierśniku i z bujnymi, rudymi włosami otaczającymi jej głowę niczym czerwona grzywa. U jej boku jechała Maedbh i, widząc przejeżdżających Sigmara i Wolfgarta, obie kobiety uniosły włócznie w pozdrowieniu.

Taleuteńscy jeźdźcy ustawili się z przodu armii, przejeżdżając niezmordowanie wzdłuż pierwszego szeregu w tę i z powrotem, unosząc dumnie swoje szkarłatno-złote sztandary.

Krucze Hełmy króla Marbada otaczały króla i jego syna, gotowe do wyruszenia do walki z orkami od chwili, gdy ich władca złożył przysięgę na dworze króla Siggurda. Odziani w kilty Udoesi popijali ze swoich bukłaków trunki z destylowanych ziaren i wymachiwali mieczami jak szaleńcy. Tymczasem grupa wojowników odzianych od stóp do głów w lśniące zbroje obserwowała te dzikie wybryki z lekkim rozbawieniem. Na czele oddziału stał Myrsa, Wieczny Wojownik, prowadząc najsilniejszych z ludzi zachodu, uzbrojonych w olbrzymie miecze, o których powiadano, że powstały w krasnoludzkich kuźniach.

Pośrodku armii stały oddziały Unberogenów, nieustępliwych żołnierzy, którzy od śmierci Björna walczyli pod dowództwem Sigmara. Nie istnieli wojownicy mogący się z nimi równać i nawet toczący pianę z ust berserkerzy króla Otwina, zajmując swoje pozycje, oddali im cześć skinieniem głowy.

Merogenowie i Menogoci stali ramię w ramię, niecierplivi, by wyrzucić zemstę na wrogu, który w zeszłym roku spustoszył ich ziemie. Kapłani Ulryka pobłogosławili ich miecze i topory, aby gładko przecinały orcze gardła. Brigundiańscy wojownicy w kolorowych płaszczach i misternie wykonanych zbrojach stali obok południowych braci, a postać króla Siggurda we wspaniałej złotej zbroi, o której powiadano, że została zaklęta w pradawnych czasach, lśniła niczym słoneczna tarcza.

Las kolorowych sztandarów powiewał i trzepotał na wietrze. Sigmar, ujrzawszy różnorodność plemiennych symboli, uśmiechnął się i wyszeptał krótką modlitwę za duszę ojca. Nieco przytłoczony widokiem tak olbrzymiej armii, odwrócił się i podjechał w stronę wojowników czekających na niego przy ruinach zawalonej wieży strażniczej.

Żołnierze Kurgana Żelaznobrodego, Wielkiego Króla krasnoludów, stali

ponurzy i nieruchomi, nie okazując nawet odrobiny entuzjazmu, jaki reprezentowały ludzkie oddziały. Całkowicie zakryte koszulkami kolczymi ze srebrzyście połyskującego metalu i zbrojami z lśniącego żelaza krasnoludy wydawały się równie nieporuszone jak otaczające je góry.

Warstw metalu było tak wiele, że tylko wystające spod przyłbic gęste brody i długie warkocze świadczyły o tym, że Sigmar ma przed sobą żywe istoty z krwi i kości. Wojownicy dzierżyli potężne topory i ciężkie młoty bojowe. Sigmar w uznaniu ich odwagi uniósł Ghal-maraza wysoko w górę, podjeżdżając do wieży strażniczej.

Ruiny budynku były pamiątką po jednej z rozlicznych bitew, które zostały tutaj stoczone, ale Sigmar wiedział, że ta, która rozegra się dzisiaj, przyćmi wszystkie poprzednie. Zgromadzone oddziały przewyższały siłą i liczebnością każdą znaną wcześniej armię, a myśl o tym, że dowództwo nad nimi należy do niego, zapierała Sigmarowi dech w piersiach.

Zeskoczył z konia i przywiązał dereszowatego wałacha do uschniętego drzewa. Schylił się, przechodząc pod niskim nadprożem, po czym znalazł się wewnątrz wieży i zaczął wspinać się po schodach, których stopnie były niższe, niż był do tego przyzwyczajony. Wolfgart i Alfgeir podążyli za nim do krasnoludzkiej wieży, która mimo upływu czasu i skutków wojennych działań, wewnątrz pozostała właściwie nienaruszona.

Sigmar wyszedł na dach wieży, gdzie zobaczył czekającego na niego króla Kurgana Żelaznobrodego w towarzystwie dwóch tęgich krasnoludzkich wojowników, uzbrojonych w potężne topory i odzianych w srebrne pancerze wykonane przez mistrza Alaryka. Król krasnoludów siedział na sporej baryłce, popijając *ale* z kufła z przykrywką i donośnie przy tym siorbiąc.

- Przybyłeś więc? - zapytał Kurgan.

- Tak jak obiecałem - odpowiedział Sigmar. - Ojciec nauczył mnie dotrzymywać słowa.

- Racja, twój ojciec był dobrym człowiekiem - odrzekł Kurgan biorąc spory łyk *ale* i ocierając brodę wierzchem dłoni. - Znał wartość przysięgi.

Krasnoludzki władca skinął głową na wschód.

- I co myślisz?

Sigmar podążył za spojrzeniem króla i ujrzał opuszczoną równinę, która opadała w dół. Im dalej na wschód, tym teren był bardziej skalisty. Rozejrzawszy się w lewo i prawo, odezwał się:

- To dobry teren i znajdujemy się w najważniejszym punkcie przełęczu,

prawda?

- Tak - odpowiedział Kurgan. - Właśnie tak, młody Sigmarze.

- Zielonoskórzy nie będą w stanie użyć swej liczebnej przewagi przeciwko nam, a urwiska sprawią, że nie będą mogli zająć nas od boków.

- I?

Sigmar zasępił się, starając się odgadnąć, o czym jeszcze mógł zapomnieć.

- I podejście pod zbocze ich zmęczy - wtrącił Wolfgart. - Gdy dotrą tutaj, będą już zmęczeni. Dadzą więcej czasu naszym łucznikom, aby powystrzelali te zielonoskóre bękarty.

- Wyżej w górach jest pewna skała, Sigmarze - odezwał się Alaryk. - Nazywamy ją Orlim Gniazdem. To dobre miejsce, aby dowodzić bitwą, wysoko położone i bezpieczne.

Po tych słowach zapadła cisza. Sigmar odczekał chwilę, zanim odpowiedział:

- Sugerujesz mi, abym nie brał udziału w bitwie?

- Ależ skądże - odrzekł Alaryk. - Wskazuję ci jedynie miejsce, z którego dogodnie będzie śledzić losy bitwy, zanim nie zdecydujesz się, gdzie i kiedy najlepiej uderzyć.

- Czy ty byś tak postąpił? - Sigmar zadał pytanie królowi Kurganowi.

- Nigdy - przyznał Kurgan. - Ale ja jestem tylko starym, upartym głupcem, chłopcze. Beze mnie na polu bitwy moi wojownicy wydają się nieco zagubieni, dlatego zawsze tam jestem, pokazując im, jak się zabija gobasy.

- Nie będę się tchórzliwie kulił za plecami moich ludzi - odparł Sigmar. - To nie jest bitwa, którą wygra się strategią i podstępem, to bitwa, w której zwycięży siła ramion i odwaga. Jestem królem Unberogenów i dowódcą sprzymierzonych ludzkich armii. Gdzież indziej mógłbym być, jeżeli nie na czele moich oddziałów?

- Dobry z ciebie chłopak - powiedział Kurgan, podnosząc się z beczki i prowadząc Sigmara w stronę krawędzi wieży. - Posłuchaj. Słyszysz?

Sigmar zerknął za skalistą przełęcz na surowy, niegościnnie krajobraz, przybierający coraz koszmarniejsze formy, im dalej przełęcz ciągnęła się na wschód. Mniej więcej półtora kilometra stamtąd przesmyk zakręcał na południe wokół sterty kamieni, które niegdyś tworzyły olbrzymią statwę krasnoludzkiego boga. Sigmar usłyszał słaby odgłos rytmicznych uderzeń,

odbijających się echem od górskich zboczy.

- To bębny, chłopcze - powiedział Kurgan. - Orcze bębny bojowe. Są już blisko. Zapamiętaj moje słowa, słońce będzie w połowie drogi do zenitu, a my już będziemy brodzić po kolana w krwi zielonoskórych.

Sigmar poczuł, że serce mu drży na myśl o nadchodzącym starciu, ale szybko się opanował. Całe życie dążył do tej chwili i teraz, kiedy nadeszła, nie wiedział, czy jest na nią gotowy.

- Walczyłem z wieloma wrogami, królu - powiedział Sigmar, a wzrok zasnuł mu się mgłą, tak jakby w tej chwili spoglądał w przyszłość. - Zabijałem leśne bestie, orki, monstra pijące krew, bagienne potwory pożerające ludzi; staczałem też pojedynki z moimi współbraćmi. Stawiłem czoła im wszystkim i pokonałem ich, ale to... to jest coś zupełnie innego. Bogowie patrzą na nas z niebios i jeżeli choć na chwilę się zawahamy, to wszystko, o czym marzyłem, zostanie zniszczone. Jak człowiek ma sobie poradzić z tak przytłaczającą odpowiedzialnością?

Kurgan roześmiał się i wręczył mu kufel pianistego *ale*.

- No cóż, nie wiem, jak człowiek miałby sobie z czymś takim poradzić, ale mogę ci powiedzieć, co na twoim miejscu zrobiłby krasnolud. To proste. Kiedy nadchodzi właściwy czas, zaczynasz walić pierwszego młotem, aż padnie. Potem uderzasz następnego. I tak dalej, aż wszyscy leżą trupem.

Sigmar pociągnął łyk krasnoludzkiego *ale*.

- I to wszystko?

- I to wszystko - potwierdził Kurgan przy akompaniamencie narastającego huku orczych bębnow bojowych. - A teraz najlepiej będzie, jak wrócimy do naszych wojowników. Czeka nas w końcu bitwa do stoczenia!

Rozdział 21

Przełęcz Czarnego Ognia

Niecałą godzinę później na horyzoncie pojawiły się pierwsze oddziały orków. Zielona masa, kotłując się wściekle, na oczach ludzkiej armii wypełniła przełęcz. Ruchom wojsk towarzyszył dudniący odgłos bębnów wojennych i monotonne zawodzenia, które działały ludziom na nerwy i zwiększały wyczuwalne w powietrzu napięcie.

Nieprzyjaciele zbliżali się, dzierżąc wysoko nad głowami olbrzymie, rogate totemy, pokryte czaszkami i fetyszami. Wiatr przynosił odstręczający odór niemytych ciał - mieszaninę smrodu zepsutego mięsa, łajna i skwaśniałego grzybicznego zapachu, który wzbudzał mdłości w szeregach armii sprzymierzonych plemion.

Mimo że Sigmar wiedział od krasnoludów i Cuthwina, że orcza horda przybrała niespotykane wcześniej rozmiary, to olbrzymie morze wrogów widziane na własne oczy zaparło mu dech w piersiach. Rozejrzał się dookoła i zauważył, że na twarzach braci miecza widać to samo zdumienie zmieszane z trwogą.

Wolfgart starał się zachować pozory swobody, ale Sigmar dostrzegął strach przyczajony pod maską brawury. Pendrag natomiast wyglądał jak człowiek, który właśnie ujrzał, jak na jawie spełnia się jego najgorszy koszmar.

Orki były niczym przerażająca, prymitywna fala zalewająca świat nienawiścią i przemocą, stawiająca sobie za jedyny cel dokonywanie zniszczeń. Ucieleśniona bezmyślna agresja nieznająca dyscypliny i nie kierowana przez żaden wyższy umysł.

Gdyby ktoś zechciał przejść całą długość przełęczy po orczych głowach, mógłby to uczynić, ani razu nie stawiając stopy na ziemi. Sigmar uśmiechnął się do tej absurdalnej myśli i w tym momencie niemoc, jaką poczuł na widok nieprzeliczonych orczych szeregów, ustąpiła.

Zielonoskórzy byli uzbrojeni w olbrzymie tasaki, topory i miecze, których ostrza były pordzewiałe i poplamione krwią. Między orkami przemykały gobliny, wstrętne, tchórzliwe istoty odziane w ciemne szaty i dzierżące ostre miecze i włócznie. Bestie zaciskały kły i uderzały w tarcze w szaleńczym rytmie. Zdawało się, że orcze bandy rywalizują między sobą, która zdoła głośniejsze i bardziej zapamiętałe wydawać wojenne okrzyki.

Po bokach hordy stały olbrzymie wilki, kłapiąc zaślinionymi paszczami i niecierpliwie drapiąc pazurami ziemię. Po skałach przemykały obmierzłe pająki, olbrzymy o ciemnym futrze, niosące na grzbietach kolejne gobliny. Nad szeregami wroga górowały okropne sylwetki trolli, człapiących ociężałe i unoszących pnie drzew z taką łatwością, z jaką człowiek posługuje się pałką.

- Ach, więc będzie ich zaledwie tyle? - odezwał się Wolfgart, odpinając paski, którymi miał przymocowany do pleców miecz. Zamachnął się olbrzymią bronią i dodał:

- Pod Astofen było ich chyba więcej, nie uważacie?

- Tak myślę - zgodził się Sigmar z uśmiechem. - W porównaniu z tamtą bitwą to będzie jedynie potyczka.

- Na bogów, dojrżeli już, żebyśmy zebrali z nich swoje żniwo - skrzywił się Pendrag, gdy dosięgnął go odór zielonoskórych.

- Jeżeli podchodzisz do orka, rób to zawsze z wiatrem, nie pod wiatr - powiedział Sigmar. - Tak zwykliśmy mówić, nieprawdaż?

- Racja, ale zaczynam tego żałować.

- Nie ma czasu na żale, przyjaciele.

- Też tak sędzę - przytaknął Wolfgart. - Jak tam twój młot bojowy?

- Wyczuwa, że nieprzyjaciele tych, którzy go stworzyli, są w pobliżu - odpowiedział Sigmar. Już od świtu potężna broń drżała, gdy trzymał ją w dłoni, wypełniając go przy tym nienawiścią do zielonoskórych i siłą, aby z nimi walczyć.

- To dobrze - odrzekł Wolfgart. - No cóż, będziesz musiał nim dzisiaj trochę pomachać, przyjacielu. Czeka nas mnóstwo czaszek do rozłupania.

Z tłumu zielonoskórych wystąpił oddział orków o ciemniejszej skórze i w pełniejszych zbrojach. Niosły dumnie wysoki totem o byczej głowie. Zaczęły porykiwać w gardłowym orczym języku, wznosząc w górę miecze i topory, jakby odprawiały prymitywny rytuał wyzwania do bitwy lub zastraszenia wroga.

- Na świętą brodę Ulryka - wyrwało się Pendragowi, gdy wszyscy ujrzeni, jak nad orkami pojawia się olbrzymia, skrzydlata bestia. Źrenice oczu Sigmara zwężyły się, więc osłonił je przed ostrymi promieniami wschodzącego słońca. Na grzbiecie latającego monstrum siedział ork tak olbrzymiej postury, że bez chwili wahania można było uznać go za przywódcę zebranej armii.

Watażka był naprawdę gigantycznych rozmiarów. Jego zielonoskóre ciało chroniła zbroja co najmniej tak mocna jak te, które okrywały jeźdźców Sigmara. Ciężkie żelazne płyty przytwierdzone były bezpośrednio do ciała potwora. Jego topór był wyższy od człowieka i tryskał dokoła zielonymi płomieniami.

Bestia, na której grzbiecie siedział ork, była wywernem. Sigmar nigdy wcześniej nie widział tego stworzenia na własne oczy, ale nasłuchiwał się o nim dość od swych wschodnich sojuszników, żeby od razu go rozpoznać. To fakt, że widok potwora przeraził go, ale zarazem wywołał w nim pragnienie zmierzenia się z legendarną bestią.

- Co myślicie?! - krzyknął. - Powiniennem zedrzeć z tego wywerna skórę i ozdobić nią ścianę długiego domu?!

- O tak! - odkrzyknął któryś z wojowników z szeregu za plecami króla. - Obedrzyj go ze skóry, a potem użyj jej do nakreślenia mapy twego imperium!

- Być może właśnie tak uczynię - odpowiedział Sigmar.

Watażka zanurkował nad swoją armią, a z orczych gardeł dobył się zdwojony ryk furii. Jasne było, że nieprzyjaciele nie mogą się doczekać rozpoczęcia bitwy. Uderzenia tasaków i toporów o tarcze rozległy się ponownie w ogłuszającym crescendo. Metaliczny pogłos odbijał się echem od ścian przełęczy, aż wreszcie zdawało się, że zaraz góry zatrząsą się i runą w gruzy.

Przednie oddziały orczej hordy zaczęły się niepokojąco trząść i kotłować i po dłuższej chwili z gardeł wszystkich zgromadzonych orków wydobył się przerażający okrzyk wojenny.

Potężny odgłos wyrażał całą brutalną naturę orków. W gwałtownym ryku dawały upust odwiecznej nienawiści i wściekłości, która dała początek ich rasie, narodzonej w powodzi ognia i krwi.

Krzyk nie cichł, gdy orki zaczęły podbiegać do ludzi z nienawiścią płonąca w oczach i olbrzymimi szczękami rozwartymi w żądzę krwi.

- Nadchodzą - powiedział Sigmar, zaciskając jedną dłoń na Ghal-marazie,

a drugą na uchwycie złotej tarczy. - Walczcie dzielnie, przyjaciele. Ulryk na nas patrzy.

Ulfdar, oszołomiona oparami dziwnokorzenia i cykuty, obserwowała nadciągające orki, których ruchy wydawały się jej tak niemrawe i ociężałe, jakby nieprzyjaciel poruszał się w gęstym błocie. Tuż za nią król Otwin uderzał w swą nagą pierś pięściami, na których miał najeżone kolcami rękawice. Płynąca z ran krew jeszcze bardziej podsycała płonący w jego duszy berserkerski szał. Z królewskich ust spływała piana, a złota korona uformowana z kolców wbitych w czaszkę broczyła krwią.

Ulfdar miała wrażenie, że wypełniająca ją bitewna furia za chwilę rozerwie jej ciało na strzępy. Gorzkie opary ziołowych mieszanek, które wdychała przed bitwą, zawładnęły jej ciałem i przeszyły je paroksyzmem czystej furii. Ramiona i szyję wojowniczkę otaczały żelazne obręcze, a na nagim ciele pyszniły się świeże tatuaże, których celem było odpierać wrogie ostrza. Złote włosy miała postawione na czubku głowy w wysoki grzebień utrwalony skorupą zaschniętej krwi.

Jej władca uniósł swój potężny topór, ponownie przykuty do królewskiego nadgarstka i wydał z siebie nieartykułowany ryk, w którym wściekłość mieszała się z żądzą krwi. W odpowiedzi z szeregów turyngiańskich wojowników podniósł się przeciągły krzyk, a Ulfdar poczuła, że jej dzikie serce uderza w żebra niczym oszalały bębniarz.

Król krzyknął ponownie. Miał rozszerzone źrenice i twarz wykrzywioną w zastygłym grymasie szalonego uśmiechu. Jego ciało drżało, jakby należało do rozwścieczonego psa uwiązanego na postronku. Wtem wyrwał się do przodu, niezdolny dłużej pohamowywać żądzę walki. Stał samotnie w obliczu wroga, ale za jego plecami wojownicy momentalnie podchwycili bitewny zew.

Turyngiańscy berserkerzy uderzyli na zielonoskórych w akompaniamencie szalonych okrzyków, które łatwo było pomylić z rykiem szarżujących orków. Ulfdar natychmiast dogoniła króla, młócąc powietrze bliźniaczymi mieczami i zagryzając wewnątrz policzków aż do krwi. Gdy językiem wyczuła ostry metaliczny posmak własnej krwi mieszający się z trującymi oparami, które zawładnęły jej umysłem, wydała z siebie przerażający okrzyk. Przed nią stał pierwszy ork, którego miała dzisiaj zabić.

Topór króla Otwina wbił się w innego orka, rozcinając go na pół, a władca przeskoczył nad ciałem padającego, aby dostać wrogów czających się za jego plecami. Ulfdar zanurzyła ostrze miecza głęboko w ciele przeciwnika i pociągnęła je w górę, wyskakując w stronę kolejnego napastnika i uderzając go stopami. Poczula łamiące się od uderzenia kości i lekko wylądowała, obracając się na pięcie i tnąc mieczem twarz kolejnego napastnika.

W jej stronę poleciała włócznia, ale udało jej się uchylić i wbić oba ostrza w gardło atakującego, wzbijając przy tym fontanny krwi. Orki otaczały ją ze wszystkich stron, dźgając i rąbiąc, ale ona nie traciła energii na parowanie czy uniki. Jej taktyka była prosta - atakowała z całej siły. Migiała między przeciwnikami, dzierżąc dwa wirujące ostrza i bezlitośnie przecinając nimi gardła lub wbijając je w brzuchy.

Nagle jednemu z przeciwników udało się wymierzyć pałką cios w jej ramię. Uderzenie wprawdzie jej nie zraniło, ale spowodowało, że obróciła się wokół własnej osi. Rozwścieczona bólem, hałasem i bitewnym zgiełkiem wymierzyła cios, który odrąbał mu rękę w łokciu. Rozejrzała się dookoła. Setki jej współbraci berserkerów przedzierały się przez linię wroga wrzeszcząc i żądając więcej krwi.

Jeden z wojowników, leżąc na ziemi ze zgruchotaną miednicą, dalej zapamiętałe dźgał stojące dookoła orki, dopóki wielka zielona pięść nie zmiażdżyła mu czaszki. Inny berserker starał się zadusić przeciwnika własnymi jelitami, jeszcze inny odrzucił wszelką broń i w szale rzucił się na orki z gołymi rękami. Ulfdar wrzasnęła, czując wypełniające ją gwałtowne emocje.

Krew, przemoc i hałas tworzyły narkotyczną mieszankę.

Ulfdar krwawiła z licznych ran, nawet nie pamiętając, kiedy je otrzymała, ale nawet ból działał odurzająco. Wtem z otępienia wyrwał ją ból. Napastnik zadał jej cios mieczem. Ostrze przecięło metalowe obręcze na ręce i złamało ją, ale ześliznęło się po żelazie, nie odcinając kończyny.

Ulfdar wrzasnęła z bólu i zamachnęła się zdrowym ramieniem, aby uciąć orkowi łeb. Atakowało ich coraz więcej i więcej zielonoskórych, a jednak w ślad za swoim władcą posuwali się coraz głębiej między szeregi wroga. Olbrzymi królewski topór zataczał w powietrzu zamaszyste łuki, tnąc wszystko, co znajdowało się na jego drodze.

Wszędzie dokoła panowała śmierć i krew. Współbracia Ulfdar wycinali krwawą ścieżkę przez szeregi zielonoskórych. Ulfdar nie pozostawała w tyle.

Pulsującego w ramieniu straszliwego bólu użyła do rozniecenia płonącej w sercu wściekłości. Po chwili znów była w samym sercu walki, niezmordowanie zadając dokoła ciosy.

W powietrzu było aż gęsto od ostrzy i w pewnej chwili poczuła, jak jedna z włóczy przebiła jej plecy. Obróciła się i ostrze wysunęło się z rany. Jednym ciosem odrąbała je od trzonka, a powrotnym ruchem wbiła miecz w orczy hełm.

Ostrze zaklinowało się w zgniecionym metalu i broń wypadła jej z ręki, gdy raniona bestia przewróciła się na plecy.

Usłyszała, że wokół niej wzmaga się rumor, ale skoncentrowała się na umierającym przed nią wrogu, tak jakby na jedną chwilę świat poza nim i jego śmiercią przestał istnieć. Zaraz potem podniosła z ziemi upuszczony przez kogoś topór i rzuciła się z powrotem do walki. Jej ciosy przecinały ciała i zbroje, a ona sama zanosila się histerycznym śmiechem.

Królowa Freya naciągnęła cięciwę i wypuściła kolejną śmiertelnie celną strzałę. Gdy tak stała smagana wiatrem, jej miedziane włosy powiewały niczym wojenny sztandar. Kolejny ork padł od jej strzały i królowa powitała to okrzykiem radości, mimo tego że wrogów było tak wielu, iż nie sposób było któregoś nie trafić. Równie dobrze można oklaskiwać łucznika za to, że trafił w morze.

Wysokie boki rydwanu królowej pokrywały pasy wyprawionej skóry, a koła pojazdu były okute żelazem i najeżone śmiertcionośnymi ostrzami. Maedbh stała obok Freyi, w jednej dłoni trzymając luźno lejce, a w drugiej gotową do rzutu włócznię.

Na orki nacierało z wielkim hałasem dwieście rydwanów, a na każdym z nich stały asoborneńskie wojowniczkę, zasypujące wroga deszczem strzał. Piaszczysta równina Przełęczę Czarnego Ognia stanowiła idealny teren dla rydwanów. Freya czuła jak ogarnia ją przyjemny dreszcz, gdy Maedbh prowadziła ich rydwan coraz bliżej szeregów wroga.

Nikt się nie zdziwił, gdy na najłżejszy ruch wśród orków berserkerzy Otwina wyłamali się z szeregu i ruszyli do szaleńczego ataku. Sigmar, spodziewając się takiego obrotu sprawy, powierzył jej zadanie ochrony króla Turyngian na polu bitwy.

Trzeba przyznać, że berserkerzy walczyli naprawdę dzielnie, cały czas

wdzierając się klinem głębiej między nieprzyjaciół.

Niestety orki zdawały się wyrastać jak spod ziemi. Niczym szczęki pułapki zielonoskórzy okrążyli Turyngian i bezlitośnie ich mordowali. Freya przed chwilą dostrzegła króla Otwina stojącego na stercie zabitych bestii. Olbrzymim, przykutym do dłoni toporem ścinał otaczających go wrogów całymi tuzinami. Setki berserkerów podążało za jego przykładem, ale nie sposób było nie zauważyć, że poruszają się coraz wolniej i coraz więcej z nich pada od śmiertelnych ran zadanych ręką nieprzyjaciela.

Rozglądając się po polu bitwy, Freya zwróciła uwagę na zmasowaną wymianę ognia między armiami. Od strony goblinów śmigwały strzały o czarnych drzewcach, ale większość z nich zatrzymywała się na drewnianych tarczach lub odbijała się od żelaznych koszulek kolczych. Z kolei unbergerońskie i cheruseńskie strzały zbierały straszliwe żniwo pośród orków. Tysiące żelaznych grotów utkwilo już w ciałach i czaszkach zielonoskórych, a powietrze wciąż przecinały kolejne strzały.

Jeźdźcy zataczali kręgi przed szarżującą masą zielonoskórych, co chwila podjeżdżając na tyle blisko, żeby wypuścić serię strzał i oddalić się galopem. Niektórzy byli wystarczająco szybcy, a pozostali kończyli schwytni przez zielonoskórych i rozerwani na strzępy.

- Przygotuj się, królowo! - krzyknęła Maedbh, sprawiając, że Freya ponownie skoncentrowała się na tym odcinku pola bitwy, które dzisiaj należało do niej. Orki zbliżały się szybko, więc wypuściła jeszcze ostatnią strzałę, po czym upuściła łuk i sięgnęła po pałasz. Zasadniczo, walcząc z rydwanu, lepiej było posługiwać się włócznią, ale broń Freyi należała do dawnego bohatera z jej rodu i darzyła ją takim przywiązaniem i miłością, jak własnych synów.

Freya uniosła miecz i zamachnęła się nim wysoko nad głową. Odrażający orczy smród nasilał się, a kłęby kurzu i pyłu unoszącego się nad drogą drapały ją w gardle.

Skoncentrowawszy swe spojrzenie na nacierających wrogach, ujrzała błysk nienawiści w ich czerwonych oczach i poczuła gorący odór ich cuchnących oddechów.

- Do boju, moi odważni wojownicy! - zakrzyknęła.

Freya oparła się o bok rydwanu i zawiązała na nadgarstku skórzany rzemień, podczas gdy Maedbh szarpnęła za lejce, a konie skrzyły i ruszyły galopem przed siebie.

Asoborneńskie rydwany ruszyły jednocześnie do boju, ustawiając się w linii odpowiadającej ustawieniu orczych szeregów. Gdy ruszyły do przodu, ostrza przymocowane na kołach zaczęły siać spustoszenie wśród wrogów stojących w pierwszym szeregu. Wszędzie tam, gdzie przejechał rydwan, tryskały fontanny krwi, a orki zwijały się na ziemi z poodrąbywanymi kończynami. Freya rozdzielała ciosy, sprawnie zagłębiając ostrze pałasza w kolejne czaszki, podczas gdy Maedbh umiejętnie kierowała pojazdem wzdłuż linii wroga.

Gdy królowa Asobornów wraz ze swą armią rydwanów zakończyła krwawy galop, przednie szeregi zielonoskórych praktycznie nie istniały. Nielicznych ocalałych dosięgły włócznie i wypuszczone z sykiem strzały. Królowa nie odezwała się ani słowem, ale Maedbh wiedziała, co dalej robić. Zawróciła rydwan, a pozostali Asobornowie podążyli za jej przykładem.

Kilka orków z rykiem wyskoczyło do przodu i udało im się dosięgnąć nielicznych rydwanów ciosami potężnych toporów i roztrzaskać je na drzazgi.

Freya roześmiała się, rozkoszując się atmosferą bitwy i po raz kolejny machnęła w powietrzu zakrwawionym mieczem.

Asoborneńskie rydwany zawróciły gwałtownie i ruszyły z powrotem w stronę orków.

Sigmar zamachnął się Ghal-marazem, wykonując wielki łuk i obuch wylądował na głowie orka, który zaciskał łapska na szyi królewskiego rumaka. Czaszka zielonoskórego roztrzaskała się, a on sam zachwiał się i runął do tyłu, gdy Sigmar wymierzył mu kopniaka w brzuch. Król skierował swego wierzchowca przed siebie, tuż za nim podążał Pendrag trzymający sztandar w srebrnej dłoni. Był to widok, który inspirował wszystkich otaczających ich żołnierzy do jeszcze większego wysiłku i oddania.

Sigmar w duchu zgodził się z przysłowiem, że atak jest najlepszą obroną. Z dumą obserwował króla Otwina prowadzącego szaleńczą szarżę berserkerów. Dziki atak zatrzymał pochód orków i mimo że Otwin został otoczony, na pomoc spieszyły mu rydwany Freyi, wycinając sobie krwawą ścieżkę między zielonoskórymi.

W miarę, jak nieprzyjaciele coraz ciasniej otaczali Otwina, Sigmar uniósł swój młot i dał znak unberogeńskim jeźdźcom, aby ruszyli do ataku. Odziani

w zbroje jeźdźcy uderzyli w orczą armię, tratując wrogów żelaznymi podkowami, mieczami przecinając prymitywne hełmy i wbijając włócznie w niczym niechronione plecy.

Deszcz strzał nieprzerwanie padał z nieba, a stłumiony bitewny gwar przybierał na sile, na kształt wzbierającej fali, która rozbija się z hukiem o nadbrzeżne skały. Sigmar zablokował tarczą cios nieprzyjacielskiego miecza i zamachnął się młotem, czując jak promieniująca od broni radość wypełnia również jego ciało. Jego koń zarżał, gdy opryskała ich krew zabitego orka, wypełniając nozdrza paskudnym odorem.

Sigmar przycisnął uda do boków rumaka, gdy ten tylnymi nogami zaatakował kilka goblinów, które czały się obok jego zadu, próbując poprzecinać mu ścięgna. Unberogeńskie konie bojowe trenowano tak, aby potrafiły walczyć i bronić się w bitwie równie dobrze, jak każdy inny wojownik. Ten dereszowaty wałach, dar od króla Siggurda, był równie waleczny i dobrze wyćwiczony, jak konie z hodowli Wolfgarta.

Brat miecza Sigmara jechał u jego boku, wykonując potężnym mieczem śmiercionośne łuki, miażdżąc żelazne zbroje i roztrzaskując tarcze. Cały był spryskany jasnoczerwoną krwią, ale wydawało się, że sam do tej pory nie został ranny, mimo że nie nosił żadnej tarczy.

- Unberogenowie! - zawołał Sigmar. - Do mnie! Dalej!

Odpowiedział mu ryk aprobaty, podczas gdy król już ruszył głębiej między orki, uderzając Ghal-marazem bez litości i zabijając każdego wroga, który odważył się zbliżyć. Pod jego ciosami wrogowie padali tuzin za tuzinem. Każde uderzenie było śmiertelne, a orki, które miały szansę spojrzeć mu w oczy, widziały w nich zapowiedź zagłady, jakby nacierał na nie sam bóg zemsty.

Daleko przed sobą Sigmar dostrzegł króla Otwina, walczącego o życie pośrodku gromady zawodzących nieprzyjaciół. Towarzyszyło mu może ze dwudziestu berserkerów. Sigmar zauważył, że jednym z nich była Ulfdar, najwidoczniej ranna w lewą rękę, która zwisała bezwładnie wzdłuż ciała. Orki coraz śmielej napierały na broniących się ludzi, wyczuwając łatwe zwycięstwo, ale na pomoc spieszyły już asoborneńskie wojowniczkę, zwiastując swoje przybycie stukotem końskich kopyt i głośnymi okrzykami.

Nawet jeżeli Otwin zdawał sobie sprawę z tego, że on i jego wojownicy zostali otoczeni, nie dawał tego po sobie poznać. Po prostu bez wytchnienia zadawał ciosy i kładł pokotem wszystkie orki, które znajdowały się w jego

zasięgu. Całe ciało miał pokryte głębokimi ranami, z czego najpoważniejsze wydawało się rozcięcie na udzie, z którego krew spływała obficie na całą nogę. Otwin nie zwracał na to jednak uwagi, tak samo jak na ułamane ostrze miecza sterczące z jego ramienia.

Większość berserkerów była również ciężko ranna, ale tak jak ich władca walczyli dalej, nie zważając na ból i upływ krwi. Sigmar dostrzegł nadciągającą Freyę z burzą włosów koloru płomienia. Na widok królowej stojącej dumnie na rydwaniu i ścinającej pałaszem o złotej rękojeści głowy, z taką łatwością, jakby to były kolby kukurydzy, Sigmar poczuł gwałtowny przypływ podniecenia.

Zielonoskórzy, którzy zostali okrążeni przez unberogeńskich jeźdźców i asoborneńskie rydwany, znaleźli się w pułapce, ale ani myśleli się poddać. Powalone na ziemię orki były tratowane przez końskie podkowy lub masakrowane przez najeżone ostrzami koła rydwanów. Ghal-maraz zbierał straszliwe żniwo śmierci, krasnoludzki młot rozłupywał czaszki, roztrzaskiwał kości i zgniatał żebra za każdym uderzeniem.

Sigmar rozbił głowę jednemu z atakujących orków, po czym uderzył tarczą w twarz następnego wroga wyskakującego zza pleców pokonanego. Siła ciosu sprawiła, że sam na chwilę stracił równowagę i nie zauważył monstrualnego orka stojącego za nim z tasakiem wzniesionym ku górze i gotowego, aby opuścić go w dół i rozciąć Sigmara na pół.

Spojrzał za siebie tylko dlatego, że z tyłu dobiegł go przeraźliwy wrzask. Obróciwszy się w siodle, ujrzał olbrzymią bestię w zniszczonej, żelaznej zbroi, mocującą się z jednym z berserkerów Otwina. Gdy ork obrócił się wokół własnej osi, Sigmar dostrzegł, że to Ulfdar zwisa z jego pleców, złamaną ręką obejmując szyję potwora i używając miecza niczym sztyletu, którym rozcinała mu gardło.

Ork walczył, aby zrzucić ją z siebie, a krew tryskała mu z rozciętej tętnicy na podobieństwo cuchnącego gejzeru. Uderzana olbrzymimi łapskami Ulfdar krzyczała z bólu i Sigmar mógł sobie jedynie wyobrazić, jak cierpiała z powodu rannej ręki.

Sigmar wyswobodził stopy ze strzemion i zeskoczył z konia, wymierzając cios młotem prosto w twarz orka. Rozległ się trzask łamanych kości i Ghal-maraz zmiażdżył głowę potwora. Sigmar wylądował obok upadającego ciała, podczas gdy Ulfdar rozluźniła morderczy uścisk na szyi potwora i potoczyła się w bok po ziemi.

Sigmar przedzierał się przez tłum walczących orków, ludzi i koni, starając się przyjść z pomocą berserkerce. Próbowwała się podnieść, ale jej ręka była powyginana pod makabrycznym kątem, a ciało pokrywała krew, chociaż trudno było stwierdzić, jak wiele pochodziło z jej własnych ran.

- No dalej! - wrzasnął, starając się przekrzywić panujący wokół harmider, i wsunął rękę pod jej ramię. - Wstawaj!

Spojrzała na niego, wykrzywając twarz w grymasie furii, najwyraźniej nie rozpoznając go, po czym próbowała dźgnąć go mieczem. Cios był jednak tak słaby, że Sigmar bez trudu go zablokował, stawiając Ulfdar na nogi.

- Pohamuj się! - krzyknął. - To ja, Sigmar!

Jego słowa przedarły się przez czerwoną mgłę zasnuwającą jej umysł i opuściła miecz, osuwając się w jego ramiona.

Sigmar zaczął się powoli wycofywać z pola bitwy, słysząc jak triumfalne okrzyki Unberogenów i Asobornów mieszają się ze sobą, wieszcząc klęskę pierwszego orczego natarcia. Zrzucił sobie zdrową rękę Ulfdar na ramiona i objął wojowniczkę w pasie, na wpół niosąc, na wpół ciągnąc ją do bezpiecznego schronienia.

- Wskakuj tutaj, Sigmarze! - odezwał się kobiecy głos i Sigmar rozejrzawszy się, ujrzał rydwan Freyi i Maedbh zatrzymujący się przy nim w kłębach kurzu.

- Gdzieś tu był mój koń! - odkrzyknął.

- Uciekł - odpowiedziała Freya. - Z powrotem do naszych szeregów.

Sigmar zaklął siarczyście, po czym wciągnął ranną wojowniczkę na rydwan. Freya pomogła mu ją podnieść, po czym Sigmar wskoczył do rydwanu. Wnętrze pojazdu było trochę za ciasne dla czterech osób i Sigmar poczuł prężące się obok gorące, nagie ciało asoborneńskiej królowej.

- Zupełnie jak za dawnych czasów - uśmiechnęła się Freya.

To był dobry początek dnia dla ludzkiej armii, ale Sigmar brał udział w zbyt wielu bitwach, żeby myśleć, iż konfrontacja na taką skalę może się rozstrzygnąć w pierwszym starciu. Pierwszy orczy atak jednakowoż został odparty. Nieprzyjacielem musieli ulec pod dziką szarżą króla berserkerów, połączoną ze zjednoczonym natarciem Unberogenów i Asobornów.

Sigmar pozwolił swym żołnierzom na chwilę radości, gdy ujrzeli go powracającego na asoborneńskim rydwanie. Szybko jednak z niego

zeskoczył, podczas gdy Ulfdar została zabrana do uzdrowicieli stacjonujących na tyłach armii. Okazało się, że Wolfgartowi udało się złapać jego rumaka, Sigmar więc bez zwłoki wskoczył z powrotem na siodło.

- Utarliśmy im nosa - odezwał się Sigmar, obserwując jak nieliczne orki, którym udało się przeżyć, powoli wracają do szeregów. - Ale to dopiero początek.

- Racja - zgodził się Wolfgart. Jego zbroja była powgniatana i rozdarta w paru miejscach, ale pokrywająca ją krew pochodziła wyłącznie z zabitych orków.

- Teraz czas na piechotę.

Rzut oka na orczą armię pozwalał stwierdzić, że do ataku przygotowywał się jej główny trzon. Naprzód wystąpił zbity mur zielonych ciał odzianych w brązowe zbroje i zjednoczonych nienawiścią do rodzaju ludzkiego. Na czele oddziału stąpały wysokie bestie o szarej skórze i zmierzwionych włosach oraz w nierównej linii jechały hałaśliwe rydwany, na których stali łucznicy.

- Następny etap bitwy nie będzie taki łatwy do wygrania.

- Łatwy? - zapytał Pendrag, podjechawszy obok, mocno ściskając przy tym drzewce Sigmarowego sztandaru.

- Uważasz, że to było łatwe? - Pendrag, podobnie jak Wolfgart, wydawał się nawet niedraśnięty, aczkolwiek na zadzie jego rumaka czerwieniło się kilka głębokich nacięć.

- Ta szarża była tylko po to, by sprawdzić naszą siłę - powiedział Sigmar.

- Nasi wrogowie wiedzą, że jeżeli chcą pokonać tę przełęcz, będą musieli zmobilizować całą swoją armię. Jednakowoż pierwsze starcie zostało przez nas wygrane i na pewno podniesie to morale żołnierzy.

- Lepiej niech podniesie je naprawdę wysoko - zachnął się Wolfgart. - Bo jeżeli ta bitwa dalej ma tak wyglądać, to będziemy potrzebować dużo szczęścia, żeby dotrzeć do zachodu słońca.

Tymczasem asoborneńskie rydwany zataczały kręgi przed pierwszym szeregiem ludzkiej armii i trzeba było przyznać, że wojowniczkę królowej Freyi przedstawiały się naprawdę dumnie i imponująco. Taleuteńscy jeźdźcy próbowali z kolei podjeżdżać do skrzydeł nieprzyjacielskiej armii w poszukiwaniu słabego punktu, który mogliby zaatakować. Sigmar wiedział jednak, że wrogów jest zbyt wielu, żeby znalezienie takiego miejsca było możliwe.

- Dalejże! - powiedział Sigmar, zawracając konia. - Tą walkę trzeba

będzie stoczyć pieszo.

Tym razem orcza armia ruszyła do przodu zbitą masą, wypełniając przełęcz na całą szerokość. Ludzkie serca zadrżały na tak niesamowity widok. Żaden z wojowników zgromadzonych pod sztandarem Sigmara nigdy nie widział czegoś podobnego. Tak ogromna liczba zielonoskórych zgromadzonych w jednym miejscu pozwalała przypuszczać, że oto wszyscy oni zjednoczyli się w jednym celu zniszczenia ludzkich ziem.

Nagle do przodu ruszyły gobliny, siedząc okrakiem na wilczych grzbietach. Taleuteńscy jeźdźcy zostali zupełnie zaskoczeni przez niespotykaną prędkość tych niecodziennych wierzchowców. Co prawda w stronę atakujących natychmiast posypał się deszcz strzał, z których część przebiła gęste futra i przyszpiliła bestie do ziemi, ale większości z nich udało się uniknąć ran. Wnet poszły w ruch kły i szpony, a krew tryskała strumieniami, gdy ludzie byli ściągani z końskich grzbietów, a rumakom rozrywano gardła.

Niektórzy z wojowników próbowali uciekać, ale zaraz zaatakowały ich olbrzymie pająki zeskakujące ze skalnych ustępów. Maszkary lądowały na końskich grzbietach i ściągały jeźdźców z siodła, aby następnie pożerać ich żywcem.

Dolina zatrzęsała się od zwielokrotnionego echa tysięcy maszerujących stóp i łoskotu wywoływanego przez koła rydwanów. Orcze powozy nie mogły się równać elegancją czy mistrzostwem wykonania z asoborneńskimi. Były cięższe i najeżone ostrzami kos. Żaden koń nie uciągnąłby tych niezgrabnych konstrukcji, więc zaprzęgnięto do nich olbrzymie odyńce o brudnej, zmatowiałej sierści i z kłami naostrzonymi na podobieństwo klingi miecza. Każde ze zwierząt dorównywało rozmiarami legendarnemu Czarnemu Kłowi, ale żadne z nich nie miało nawet cienia tej szlachetności ducha, jaka charakteryzowała potężne zwierzę.

W stronę atakujących orków poleciały setki strzał. Większość z nich utkwiała w grubym drewnie, z którego zbudowane były rydwany, lub wbiła się w żelazne tarcze. Kilka strzał dosięgnęło potwornych odyńców i oszalałe z bólu zwierzęta rzucały się na skały, rozbijając przy okazji ciągnięte przez siebie rydwany.

Większość rydwanów jednak przetrwała grad strzał i orcze załogi za

pomocą uderzeń bicia popędzały teraz bestie do jeszcze szybszego pędu. Podczas gdy Asobornowie byli mistrzami w użyciu rydwanów na polu bitwy, to orkom zupełnie nie zależało na subtelności czy taktyce, po prostu gnały jak najszybciej w stronę linii wroga.

Rydwany wbiły się w szeregi wojowników króla Siggurda, wolno brnąc między nimi. Ostrza kos zbierały śmiertelne żniwo, a koła rydwanów gruchotały kości i czaszki. Dziki kwiczały i kłapały paszczami, śmiertelnie bodąc ludzi swymi ostrymi niczym brzytwy kłami.

Szeregi żołnierzy kotłowały się i drżały niczym ranione zwierzę, ale udało im się okrążyć orcze rydwany. Otoczywszy nieprzyjaciół, wojownicy zaczęli ciąć i dźgać ich bez litości. Rydwanom odcięto więc drogę ucieczki i ich los zdawał się przesądzony, ale główny trzon orczej armii zbliżał się coraz szybciej. Zanim jednak Brigundianie zdolali ponownie uporządkować swe szeregi, na bitewnej arenie pojawiła się najnowsza orcza broń.

Olbrzymie głazy poszybowały w powietrze i wylądowały na ziemi z olbrzymim impetem, miażdżąc tuziny żołnierzy i eksplodując ze świstem na mniejsze odłamki, które przebijały stojących obok ludzi, zupełnie jak groty strzał. Orcze katapulty miotały kolejne pociski, powodując olbrzymie straty w szeregach żołnierzy króla Siggurda.

Niektórzy z wojowników prerażeni gradem ogromnych głazów, próbowali uciec z pola bitwy. Tylko dzięki okrzykom swego króla zatrzymali się w miejscu i ponownie uzbroili w odwagę.

Zniszczenia jednak były ogromne i przepastne dziury ziały teraz w centrum armii Sigmara.

Jako pierwszy niebezpieczeństwo dostrzegł król Kurgan Żelaznobrody. Natychmiast wysłał swych wojowników w tamten obszar, aby zabezpieczyli słabe punkty. Znajdujący się po drugiej stronie brigundiańskiego oddziału Sigmar wykrzyknął rozkaz do króla Wolfili, który zaraz potem poprowadził swych współplemieńców do przodu i stanąwszy na czele armii, wbił miecz w ziemię przed sobą.

Król Udosesów, splunąwszy w dłonie, wziął od stojącego obok wojownika swój sztandar. Wbił drzewce w ziemię tuż obok miecza. Znaczenie gestu było oczywiste.

Tu będzie walczył i nie cofnie się stąd nawet pod groźbą śmierci.

Król nie zdołał jeszcze wyciągnąć miecza z ziemi, gdy jego wojownicy wdali się w walkę.

Z orczych gardeł dobył się narastający ryk wściekłości, gdy bestie pokonały ostatni odcinek dzielący ich od połączonego szeregu krasnoludów i Udosesów. Krasnoludy stały bez cienia lęku, tworząc jakby żelazną tamę, o którą orki rozbiły się jak zielona fala, uderzająca i ponownie odpychana przez stoicki opór górskiego ludu.

Brutalna gwałtowność orków nie mogła się równać z niezłomną determinacją krasnoludów. Ich topory dosięgały każdego zielonoskórego wroga, który się przed nimi pojawił. Wojownicy króla Kurgana przypominali w swym zapamiętaniu skomplikowane maszyny tworzone przez krasnoludzkich inżynierów, zabijając nieprzyjaciół bez emocji, nigdy się nie męcząc ani nie tracąc zapachu.

W przeciwieństwie do nich wojownicy króla Wolfili walczyli gwałtownie i pozwalając ponieść się bitewnemu szałowi. Wyśpiewywali przy tym wojenne pieśni pełne nawoływań do odwagi i opowieści o krwawych czynach starożytnych herosów. Król Udosesów rzucił się w wir bitwy, nie zważając na własne bezpieczeństwo. Dwóch olbrzymów w czarnych napierśnikach nie odstępowało go na krok, chroniąc swego władcę przed konsekwencjami tak brawurowego zachowania.

Dwie armie spotkały się przy ogłuszającym szczęku żelaza. Wcześniejsze stadia bitwy zakładały ataki i kontrataki, ale tutaj była tylko niezłomna odwaga przeciwstawiona fali nienawiści i agresji. Miecze wbijały się w ciała, opadały topory. Tarcze rozpryskiwały się na drzazgi, a włócznie dźgały na oślep.

W szeregach obu armii zawrzało, gdy okazało się że przednie szeregi zostały wybite niemal co do jednego człowieka i orka. A był to dopiero początek niezwykle brutalnego starcia, w którym tylko najsilniejsi lub wybrańcy bogów mieli szansę przeżyć.

Jęki bólu i nienawiści, ogłuszający szczęk broni: żelazo wykuwane przez znamienitych kowali kontra prymitywna orcza broń oraz wrzaski ludzi mieszające się z bezmyślnymi porykiwaniami orków - wszystko to razem tworzyło potężny bitewny harmider. Świat nie słyszał jeszcze nigdy takiego hałasu i nie usłyszy podobnego przez tysiące lat.

Bitwa pośrodku przełęczu trwała już dobrą chwilę, gdy skrzydła obu armii ruszyły do ataku i spotkały się, dodając do bitewnego zgiełku odgłos kłapiących szczęk wściekłych wilków. Oszalałe zwierzęta zaatakowały wojowników króla Markusa, gryząc, kęsając i rozdzierając ich ciała pazurami

z wściekłą zajadłością. Królewskie psy myśliwskie skoczyły, aby bronić swego władcy, a menogoccy wojownicy o srogich twarzach opuścili nisko halabardy i ruszyli naprzód w zwartym szeregu. Wilki były nabijane na żelazne ostrza, a Menogoci nie mieli też litości dla ich jeźdźców.

Wśród Menogotów nie słyhać było okrzyków radości, ponieważ zbyt wiele wycierpieli od zielonoskórych w zeszłym roku, żeby czerpać z ich zabijania coś więcej niż ponurą satysfakcję mszczenia się za doznane krzywdy. Ich zemsta nie miała jednak potrwać długo. Olbrzymie wyrzutnie wystrzeliły w ich stronę grad wielkich żelaznych oszczepów, które opadłszy na ich szeregi, zebrały śmiertelne żniwo. Każda salwa liczyła dziesiątki oszczepów zakończonych ostrymi zadziorami, które wbijały się w ciało i zabijały tuziny ludzi.

Rzeź była potworna i Menogoci ugięli się pod straszliwym deszczem oszczepów, pozostawiając prawą flankę Merogenów bez ochrony. Orki natychmiast wypełniły wolną przestrzeń, którą utworzyli uciekający Menogoci. Mimo że Sigmar nakazał każdemu oddziałowi utworzenie małej grupy wojowników, która miałaby chronić słabsze punkty na skrzydłach, to żołnierze ci szybko zostali pokonani i wybici przez napływające orki.

Wyczuwając osłabienie wroga i szansę na zwycięstwo wszystkie orki zaczęły kierować się w stronę osłabionej flanki i obraz pola bitwy uległ znaczącej zmianie. Jeżeli do tej pory obie armie stały naprzeciwko siebie niczym tama i uderzająca w nią fala, to teraz szeregi ludzkiej armii zaczęły przypominać olbrzymie wrota, które uchylają się z prawej strony, podczas gdy lewa trzyma się mocno, służąc jako zawias.

Merogenowie byli atakowani z przodu i z boku z zajadłą wściekłością. Było tylko kwestią czasu, kiedy się poddadzą.

Rozdział 22

Bohaterska śmierć

Sigmar ujrzał, jak prawa flanką ugina się pod naporem nieprzyjaciela i spał konia ostrogami. Orki wlewały się w wyrwę utworzoną przez uciekające oddziały Menogotów i dokonywały straszliwej rzezi w szeregach Merogenów. Wielką zaletą prowadzenia bitwy w Przełęczy Czarnego Ognia było to, że wróg nie mógł przypuścić ataku z całą swoją siłą ze względu na wąską przestrzeń. Jednakże, gdyby zielonoskórym udało się dostać na tyły ludzkiej armii, na nic by się to zdało.

Dzięki odwadze krasnoludów i Udosesów środkowe szeregi trzymały się mocno, podobnie jak lewa flanką, chroniona przez króla Adelharda. Ostagoccy żołnierze na razie praktycznie jeszcze nie mieli okazji skrzyżować toporów z zielonoskórymi i Sigmar wyczuwał, jak niecierpliwie pragną przystąpić do rozlewania orczej krwi.

- Musimy się tam przedrzeć - powiedział Sigmar, wskazując na prawe skrzydło. - Jeżeli wojownicy Henrotha zostaną pokonani, jesteście zgubieni.

- Racja - przytaknął Pendrag. - Merogenowie są odważni, ale atakowani na dwa fronty długo nie wytrzymają.

- Pendragu, ty i ja ruszymy im z pomocą - zaordynował Sigmar. - Wolfgarcie, weź pięciuset ludzi i wzmocnijcie środek. Wojownicy Wolfili nie dadzą rady walczyć cały czas, musimy udzielić im naszego wsparcia.

Wolfgart skinął głową i puścił się pędem skrzykiwać żołnierzy. Sigmar i Pendrag zsiadli z koni i podbiegli do najbliższego oddziału. Sigmar w skrócie przedstawił swój plan. Rozległy się trzy krótkie i jeden długi dźwięk wojennej trąbki, po czym Unberogenowie ustawili się w formację wokół Sigmarowego sztandaru. Na rozkazy króla było sześciuset wojowników w koszulkach kolczych, żelaznych lub brązowych hełmach, dzierżących naostrzone miecze i tarcze w kształcie rombu.

Długie lata wojaczki nauczyły ich twardej dyscypliny i Unberogenowie

bez wahania ruszyli za Sigmarem prosto w stronę uginającej się pod naporem wroga flanki. Królewski sztandar łopotał na wietrze, a sam władca szedł na czele oddziału.

Sigmar wiedział, że jego ludzie są z niego dumni i czuł, że odwzajemnia to uczucie. Mogli nie wiedzieć, że prowadzenie ich do boju jest dla niego zaszczytem, ale tak właśnie było. Serce pęczyło mu z dumy na widok współplemieńców ruszających na pole walki z odwagą płonąca w sercach.

- Wojownicy króla Henrotha walczą niczym herosi, ale będą potrzebować naszej pomocy! - krzyknął Sigmar, gdy ucichł dźwięk trąbki wzywającej do boju. Jego żołnierze ochoczo odkrzyknęli i rzucili się do równomiernego biegu.

Sigmar widział, że orki otoczyły Merogenów ze wszystkich stron, mordując żołnierzy niebędących w stanie walczyć, tak jak ich tego uczono. Na tyłach ludzkiej armii Menogoci gromadzili się i przegrupowywali, popędzani gniewnymi okrzykami króla Markusa, ale nie mieli szans powrócić na pole bitwy na tyle szybko, by uratować Merogenów.

Część orków odwróciła się na spotkanie nadbiegających Unberogenów, ale większość z nich była zbyt zajęta zabijaniem Merogenów, żeby zauważyć, co się dookoła dzieje. Zielonoskórzy dokonywali straszliwej rzezi i Sigmar nie mógł się nadziwić odwadze Merogenów, którzy niezłomnie walczyli z tak straszliwym przeciwnikiem.

W powietrzu rozległ się ostatni ostry dźwięk trąbki, po czym Sigmar uniósł Ghal-maraza wysoko w górę, aby wszyscy wojownicy mogli go dostrzec i dał znak do ataku. Sam rzucił się na najbliższej stojące orki, które truchlały na widok przerażającej, starożytnej broni w jego rękę.

Unberogenowie zaatakowali orki z okrzykiem wyrażającym wściekłość i odwieczną nienawiść między rasami. Rzeź dokonywana do tej pory przez orki była niczym w porównaniu z tym, co rozpętało się teraz. Sigmar rozdawał ciosy na prawo i lewo, a żadna zbroja nie była na tyle wytrzymała, aby zatrzymać jego młot. Potężne uderzenia miażdżyły żelazne pancerze dookoła, a jego własna zbroja szybko pokryła się krwią tryskającą z dziesiątek pokonanych orków. Jego wojownicy z podobnym zapałem atakowali zielonoskórych, napierając na nich tarczami i dźgając mieczami w gardła i lędźwie.

Orki obróciły się, aby stawić czoła nowemu wrogowi i ich olbrzymie topory zaczęły roztrzaskiwać unberogeńskie tarcze oraz powalać żołnierzy na

ziemię. Impet natarcia nieco osłabł i na jedną straszliwą chwilę Sigmara ogarnął strach, że orki nie ugną się pod ich atakiem.

Z rykiem wściekłości rzucił się w kłębowisko orków, zadając liczne ciosy w masę stłoczonych, zielonych ciał. Jego młot uderzał z taką szybkością, że nie sposób było dostrzec jego konturów. Pokryty runami obuch śmigał we wszystkie strony, miażdżąc zarówno czaszki, jak i żebra wrogów. Orki próbowały go atakować mieczami i włóczniami. W pewnym momencie stracił naramiennik, który roztrzaskał się od ciosu topora.

Otoczające go orki padały jeden za drugim, a w to miejsce napływali unberogeńscy wojownicy. Sigmar przedzierał się coraz dalej w przód, nie zważając na to, że znajdował się na czubku klina wbijającego się w nieprzyjacielskie szeregi.

Wtem poczuł, że w niechronione niczym ramię wbija się ostrze włóczni. Zawył z bólu, a orki otoczyły go ciasniejszym pierścieniem. Zachwiał się, a tymczasem jeden z orków uderzył go pałką w hełm, sprawiając, że Sigmar osunął się na kolana, nie mogąc wytrzymać bólu eksplodującego w skroniach.

Po policzku pociekła mu krew i poczuł, że ogarnia go słabość i oszołomienie.

Wygięty hełm osunął mu się na oczy i Sigmar ze złością odrzucił go przed siebie, trafiając w twarz atakującego orka. Bestia zdołała zbić nadlatujący hełm, ale chwila nieuwagi wystarczyła, żeby zaraz obok znalazł się Pendrag i zatopił miecz w orczym gardle. Pendrag stanął nad swym królem, trzymając wysoko w srebrnej dłoni szkarłatny sztandar, który płonął żywą czerwienią w promieniach słońca.

- Za Sigmara! - krzyknął Pendrag w stronę nacierających Unberogenów. - Za Sigmara i imperium!

Zakrwawieni wojownicy przeszli obok Sigmara i zanurzyli się w orczą masę, nieubłaganie posuwając się do przodu i rozdając śmiertelne ciosy. Siłą impetu posuwali się niepowstrzymanie do przodu i po upływie kilku chwil oddział zielonoskórych, który zaatakował Merogenów, stał się tylko wspomnieniem.

Sigmar podniósł się na równe nogi i otarł z twarzy krew zalewającą oczy.

Unberogenowie cały czas parli naprzód, zapamiętali ścigając uciekające orki. Zwycięstwo oszołomiło Sigmara, ale chwilę potem otrząsnął się, zauważając związane z tym ruchem zagrożenie.

Tysiące orków zmierzało w stronę prawej flanki jego armii na miejsce pokonanego oddziału. Jego ludzie wkrótce zostaną otoczeni i wybici co do jednego - spotka ich ten sam los co pokonane orki.

- Poczekajcie! - krzyknął. - Stać! Stać!

Jego krzyk nie zdołał się jednak przedrzeć przez panujący dookoła harmider i żaden z wojowników go nie usłyszał. Sigmar rozejrzał się, szukając wzrokiem rogu sygnałowego. Chciał z jego pomocą ostrzec Unberogenów przed niebezpieczeństwem, ale wtedy ujrzał pogruchotany instrument leżący na piaszczystej ziemi. Róg bojowy ludzkiej armii został zniszczony, a Sigmar nie mógł uczynić nic, aby powstrzymać swoich ludzi od pogrążenia się w wojennym szale, który miał doprowadzić do ich zguby.

Król Endalów, Marbad, pędził na swym rumaku tak, jakby goniły go co najmniej mgielne demony. Czarny wierzchowiec pokryty był już warstwą potu, a on smagał go ciągle batem, starając się wymóc na zwierzęciu szybszy galop. U jego boku gnał jego syn, Aldred, a za nimi podążało osiemset Kruczycich Hełmów.

Wiele lat upłynęło, odkąd Marbad ostatnio ruszał do boju i teraz czuł się wspaniale, mając pod sobą niesamowitego wierzchowca i dzierżąc w dłoni zakrzywione ostrze Ulfsharda.

Ta chwila mogłaby być jeszcze doskonalsza tylko wtedy, gdyby mógł walczyć u boku swego starego przyjaciela, króla Björna, ale zdawał sobie sprawę, że gdyby Sigmar nie objął władzy, w ogóle nie doszłoby do tej bitwy.

W ciągu ostatnich kilku chwil szala zwycięstwa przechylała się dramatycznie raz w jedną, raz w drugą stronę. Wraz z przybyciem na pole bitwy oddziałów dowodzonych przez Wolfgarta, środek armii został wzmocniony i pozycje utrzymane. Ostagoci i Turyngianie skupili się też w tamtym miejscu starając się pomóc Unberogenom. Niestety do kontrataku przygotowywały się już kolejne orcze rydwany z zaprzężonymi do nich odyńcami. Każdy manewr wykonany przez armię Sigmara napotykał w odpowiedzi prymitywne, ale potężne ataki nieprzeliczonych hord zielonoskórych.

Do tej pory dzięki odwadze i sile żelaza udawało się utrzymać zajmowane pozycje.

Prędzej czy później jednak według praw brutalnej wojennej arytmetyki ludzka armia zostanie pokonana.

Wokół nich wzbijały się kłęby kurzu i Marbad desperacko wysiłał wzrok, aby dojrzeć między nimi unberogeński sztandar, który wznosił się nad masą walczących ciał zgromadzonych przy ścianie klifu.

Wraz z Kruczymi Hełmami wypatrywał wyrwy w szeregach nieprzyjaciela, aby w nią uderzyć, gdy ujrzał szkarłatny sztandar Sigmara uniesiony wysoko, podczas gdy srebrna dłoń pewnie ścisnęła drzewce.

Gdy tylko ujrzał sztandar, puścił się w tamtą stronę, rzuciwszy wojownikom rozkaz, by podążyli za nim. Aldred próbował protestować, ale słowo jego ojca stanowiło najwyższe endalskie prawo. Po chwili Marbad w towarzystwie swych najlepszych żołnierzy wjechał prosto w bitewne zamieszanie na prawej flance.

Gdy ujrzysz srebrną dłoń unoszącą wysoko szkarłatny sztandar...

Był pogrążony we śnie, a przynajmniej tak mu się zdawało, gdy dwadzieścia lat wcześniej, spędzając noc w Kruczym Dworze, ujrzał nagle przed sobą wiedźmę odzianą w czarne szaty.

Nie wiedział, w jaki sposób udało jej się dostać do jego komnat, ale oto tu była, przycupnięta na skraju jego łoża.

- Kim jesteś? - zapytał. - I jak się tu dostałaś?

- Nieważne, skąd się tu wzięłam, Marbadzie - odpowiedziała siwowłosa starucha. - Niektórzy zwą mnie wiedźmą z Brackenwalsch. Wiem, to okropne imię, ale takie jestem zmuszona nosić w czasach panowania ludzi.

- Słyszałem o tobie - powiedział Marbad. - Unberogenowie wypowiadają twoje imię ze strachem, mówią, że jesteś przeklęta. Mówią też, że parasz się czarną magią.

- Czarną magią? - Czarownica roześmiała się nieprzyjemnie.

- Nie, Marbadzie, gdybym rzeczywiście praktykowała czarną magię, Sigmar dawno by nie żył.

- Sigmar? A co syn Björna ma z tym wspólnego?

- Niektórzy być może przeklinają moje imię - ciągnęła starucha, ignorując jego pytanie. - Ale kiedy ludzie są zdesperowani, zdziwiłbyś się, jak szybko zwracają się do mnie o pomoc.

- Niczego od ciebie nie chcę - wtrącił Marbad.

- To prawda - zgodziła się wiedźma. - Ale ja chcę czegoś od ciebie.

- Czego ktoś taki jak ty mógłby chcieć ode mnie?

- Świętej przysięgi, Marbadzie - odpowiedziała czarownica. - Że gdy ujrysz srebrną dłoń unoszącą wysoko szkarłatny sztandar, ruszysz na pomoc Sigmarowi i wręczysz mu to, co masz najcenniejszego.

- Nie rozumiem.

- Nie wymagam od ciebie, abyś to zrozumiał, Marbadzie, chcę tylko twojej przysięgi.

- A jeżeli jej nie złożę?

- Wówczas ludzka rasa zginie, a świat zaleje powódź krwi.

Marbad zamilkł, uznawszy, że starucha żartuje. Kiedy jednak po jej słowach zapadła martwa cisza, zrozumiał, że mówiła poważnie.

- Cóż więc się stanie, gdy ją złożę?

- Świat przetrwa trochę dłużej, a ty dostaniesz szansę, aby zmienić bieg historii. Czegóż człowiek mógłby pragnąć więcej?

Marbad uśmiechnął się, wyczuwając w jej słowach sprytne pochlebstwo, ale poza tym nie wychwycił w nich ani jednej fałszywej nuty.

- I dzięki temu zdobędę chwałę?

- Zdobędziesz chwałę - obiecała wiedźma.

- Mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz - odezwał się po chwili Marbad.

- To prawda, ale uwierz mi, nie chciałbyś tego wiedzieć.

- Pozwól mi samemu osądzić, kobieto! Mów.

- Dobrze więc - odpowiedziała czarownica. - Jeżeli dotrzymasz obietnicy, zyskasz chwałę, ale tym samym wybierzesz ścieżkę prowadzącą do śmierci.

Marbad głośno przełknął ślinę i wykonał w powietrzu znak rogów.

- Zaczynam rozumieć tych, którzy zwać cię przekleństwem.

- Różni ludzie nadają mi różne imiona.

Marbad odchrząknął.

- Chwała i szansa na uratowanie świata - powiedział, przeciągając słowa. - Śmierć wydaje się dość niską ceną.

- Złożysz więc przysięgę? - naciskała kobieta.

- Tak, na bogów, masz moje słowo. Gdy ujrę srebrną dłoń unoszącą wysoko szkarłatny sztandar, cokolwiek to znaczy, ruszę z całych sił na pomoc Sigmarowi.

Następnego ranka obudził się świeży i rześki, nie będąc pewnym, czy spotkanie z wiedźmą nie było tylko dziwnym snem. Teraz jednak ujrawszy, jak Pendrag wznosi sztandar Sigmara, wspomnienie wydarzenia sprzed

dwóch dekad powróciło do niego z niebywałą mocą.

Wyprostował się w siodle i z całych sił ruszył na pomoc Sigmarowi.
Chwała i szansa na uratowanie świata... Nieźle, jak na starca, he?

Bitewny wir pochwyił Sigmara w swe szpony, tak jakby był żywą istotą gnącą się i wijącą do rytmu melodii niesłyszalnej dla normalnego człowieka, ale brzmiącej niezwykle wyraźnie w uszach unberogeńskiego władcy. Szarża jego wojowników była wspaniała i chwalebna, niezłomna i odważna, ale przede wszystkim bardzo ryzykowna.

Ostrza wciąż wznosiły się i opadały, ale Unberogenowie zdawali się tracić siły. Broń zaczęła ciążyć im w dłoniach, jakby nagle stała się cięższa o kilka kilogramów. Opowieść o uratowaniu Merogenów przed orczym atakiem stanie się w przyszłości wspaniałym tematem historii snuty przy kominku, ale najpierw trzeba będzie przeżyć, żeby miał ją kto przekazać potomnym.

Unberogenowie wybili wiele z uciekających orków, a następnie wpadli na mur odzianych w żelazo zielonych ciał. Orki, twarde jak skała i podobnie nieczułe, ścinały ludzkie głowy z bezlitosną zażartością. Sigmar zauważył, że orki o ciemniejszym odcieniu skóry były większe i bardziej umięśnione od jakichkolwiek innych istot tego gatunku, z którymi wcześniej walczył.

Jego ludzie, którzy ruszyli do boju z misją uratowania sprzymierzeńców, teraz sami byli zmuszeni do walki o przetrwanie. Pendragowi wciąż udawało się jakimś cudem utrzymać sztandar, ale krwawił już z rany na głowie i drzewce niebezpiecznie chwiało się w jego dłoni.

Sigmar uderzeniem młota wytrącił tarczę z łap warczącego orka i wymierzył cios pięścią w świńską twarz przeciwnika. Uderzywszy, aż jęknął z bólu, mając wrażenie, że walnął w kamień. Ork zaryczał i zamachnął się toporem, ale Sigmar zanurkował pod ciosem i uderzył krawędzią swej tarczy ponownie w twarz potwora, łamiąc mu kły i posyłając na ziemię.

Otoczyły go wrzeszczące orki, a jeden z nich ciężką maczugą strącił mu jedyny pozostały naramiennik i sprawił, że Sigmar zachwiał się i upadł na kolana. Z tej pozycji zamachnął się Ghal-marazem i zgruchotał napastnikowi nogę. Ork wijąc się z bólu, padł na ziemię.

Sigmar podniósł się i postawił stopę na orczym gardle, w tym samym momencie zasłaniając się tarczą przed ciosem topora. Tuż obok jego głowy śmignął miecz, a chwilę potem musiał uskoczyć przed włócznią mierzącą

prosto w jego pierś. Uderzeniem młota zmiotł włócznika, a tarczę wbił w twarz kolejnego orka, którego topór przed chwilą odbił się od jego napierśnika.

- Pendragu! - krzyknął Sigmar, widząc, jak nad przyjacielem zawisa olbrzymi cień.

Był to troll, przerażający potwór o rozmiarach olbrzymia, z kończynami jakby napęczniałymi od wypełniających je olbrzymich mięśni. Głowa stwora była gigantyczna i mimo ludzkich rysów, odstręczająca. W oczach nie było widać najmniejszych przebłysków inteligencji. Jego szare kamienne ciało pokrywały liczne narośle i sztywne niczym druty futro. W łapskach dzierżył pień drzewa z nabitymi na jeden z końców ostrzami mieczy.

Monstrum śliniło się obficie dymiącym śluzem, a jego kończyny poruszały się ociężale, ale każdy ruch znamionował niezwykłą siłę. Pendrag otarł twarz z krwi i w tej samej chwili zauważył potwora zamierzającego się na niego olbrzymią maczugą. Zdołał tylko podnieść ręce w daremnej próbie oporu.

Sigmar rzucił się na Pendraga, odpychając go na bok spod opadającej maczugi trolla. Potężna broń uderzyła w ziemię, a Sigmar zaraz zerwał się na równe nogi, unosząc przed sobą Ghal-maraza i tarczę. Pendrag leżał nieruchomo tam, gdzie upadł, a obok niego spoczywał upadły sztandar.

Sylwetka trolla górowała nad krajobrazem. Grube usta wykrzywiły się w złośliwym grymasie. Z ust potwora dobiegła seria tubalnych pomruków i Sigmar zrozumiał, że monstrum się śmiało.

Wypełniła go złość. Zanurkował pod ciosem maczugi i zamachnął się młotem w udo potwora. Skóra trolla pękła od siły uderzenia, ale była tak twarda, że Sigmar miał wrażenie, jakby okładał młotem skałę. Troll ponownie zamachnął się maczugą i król Unberogenów przyjął cios na tarczę. Metal pękł, a ramię Sigmara przeszył ból, jakby stratował je koń.

Troll próbował go dosięgnąć, ale Sigmarowi udało się umknąć przed niezdarnymi łapskami. Usłyszał okrzyki pozostałych Unberogenów, którzy zauważywszy, że król jest w niebezpieczeństwie, pośpieszyli mu z pomocą. Orki chwilowo cofały się przed ich natarciem, ale wszyscy wiedzieli, że nie uda się ich zatrzymać na długo.

Sigmar, dalej znajdując się w zasięgu ramion trolla, zamachnął się młotem, mierząc w twarz bestii. Monstrum jednak w tej samej chwili wyprostowało się nagle i Ghal-maraz z głośnym hukem uderzył w jego

pierś. Twarda skóra trolla pękła pod ciosem i z rany trysnęła odrażająca, cuchnąca krew. Sigmar zakrzuszył się i cofnął, gdyż obrzydliwy smród przyprawił go o mdłości.

Zamrugął gwałtownie oczami, żeby widzieć wyraźniej, a to, co zobaczył, przyprawiło go o zdumienie i przerażenie zarazem. Straszliwa rana na piersi trolla zaczęła się zamykać, a gruba skóra potwora odrastała z nienaturalną szybkością, tworząc bliznę. Zapatrzenie się na ten niesamowity widok niemal kosztowało go życie, ponieważ troll, wzięwszy głęboki oddech, zrobił krok w jego stronę i otworzył szeroko usta.

Sigmar instynktownie osłonił się tarczą i krzyknął, gdy spłynął po niego potok obrzydliwych wymiocin trolla. Smród bijący od nich był nie do zniesienia. Gryzący odór soków trawiennych potwora powodował też pieczenie oczu.

Sigmar przetoczył się na bok, poza zasięg monstrum. Jakież było jego przerażenie, gdy poczuł żar palący ramię i pierś. Jego tarcza topiła się, a metal sycząc skapywał na ziemię złotymi kroplami. Zdumienie spowolniło jego ruchy aż do momentu, gdy wąski strumyk wymiocin trolla nie skapanął na jego ramię.

Ból był nie do opisanego. Sigmar gwałtownie odrzucił tarczę daleko od siebie. Zauważył, że spośród wszystkich ludzi stojących przed trollem miał najwięcej szczęścia. Trzech unberogeńskich żołnierzy wrzeszczało z niewyobrażalnego bólu, gdy kwasowa żółć potwora paliła ich zbroje i rozpuszczała znajdujące się pod nimi ciała. Sigmar poczuł gorąco na piersi i spojrzawszy w dół, ujrzał jak plama żółci na jego napierśniku z sykiem i bulgotaniem przepala metal.

Sigmar opadł na kolana i desperacko próbował sięgnąć do pasków przytrzymujących napierśnik na swoim miejscu, ale były poza jego zasięgiem. Krzyczał głośno z bólu, gdy gorący kwas wżerał mu się w skórę.

- Nie ruszaj się - powiedział Pendrag, pojawiwszy się u jego boku z nożem w ręce.

- Szybciej! - wrzasnął Sigmar.

Pendrag przeciął paski przytrzymujące pancerz i Sigmar gwałtownym ruchem oderwał napierśnik od ciała. Cierpiący, ale szczęśliwy, że wciąż żyje, Sigmar kiwnął z wdzięcznością w stronę przyjaciela i poderwał się na równe nogi, gotowy do walki.

Pendrag znów wzniósł królewski sztandar, a Sigmar spostrzegł, że

wojownicy uformowali wokół nich mur z tarcz, chroniąc króla podczas jego walki z trollem. Z oddziału, który wyruszył do walki, pozostało na polu bitwy może ze stu ludzi, a spoglądając na otaczające ich orki miało się wrażenie, że jest ich nieskończona liczba. Małą unberogeńską wysepkę otaczał ocean zielonych ciał.

Jego żołnierze starali się walczyć w ten sposób, aby jednocześnie wycofywać się w stronę własnych szeregów, ale orki odcięły im wszystkie drogi ucieczki i teraz znajdowali się w potrzasku. Sigmar z tego miejsca nie widział, co się dzieje w innych punktach pola bitwy, ale miał nadzieję, że Alfgeir albo któryś ze sprzymierzonych władców dostrzeże ich katastrofalne położenie i pospieszy im z pomocą.

W tym momencie usłyszał obrzydliwy odgłos, ni to trzeszczenia, ni to siorbania, i ujrzał jak troll pożera jednego z wojowników, którego dosięgnął potok jego śmiertelnych wymiocin. Noga mężczyzny wciąż wystawała z paszczy potwora, ale wystarczyło jedno kłapięcie szczęką i znikła we wnętrzościach bestii. Rozejrzawszy się, troll ujrzał Sigmara i ruszył w jego stronę, rozbijając w pył mur tarcz, który ustawiono, aby ochronić władcę.

Gigantyczna maczuga zmiatała stojących na drodze trolla wojowników, którzy chwilę lecieli w powietrzu nad głowami współplemieńców, po czym lądowali w ciżbie orków. Sigmar skoczył do przodu na spotkanie z trollem, mimo że zdawał sobie sprawę, iż nie jest go w stanie pokonać w pojedynkę. Jakby czytając w jego myślach, kilku wojowników, łącznie z Pendragiem, ruszyło do ataku wraz z nim, dźgając bestię długimi włóczniami i tnąc ostrzami mieczy jej kamienne ciało.

Ostrza przecinały skórę, a groty włóczni zagłębiały się we wzdętym brzuchu, ale zanim zdążyła popłynąć krew, tkanki regenerowały się w zastraszającym tempie. Kolejni ludzie ginęli pod ciosami olbrzymiej maczugi i Sigmar widział, jak bezmyślna twarz potwora rozjaśnia się od złośliwej radości. Nie mogli zrobić nic, aby zranić potwora. Krąg obrońców coraz bardziej się zacieśniał, gdy kolejni z nich padali pod ostrzami atakujących orków.

Wtem Sigmar usłyszał stukot kopyt i serce podskoczyło mu w piersi na widok Kruczych Hełmów pod wodzą króla Marbada, które wycinały sobie drogę przez kłębowisko orków. Jeźdźcy w czarnych zbrojach przedzierali się przez szeregi wroga, tratując orki pod końskimi kopytami i nabijając je na ostrza włóczni.

Na czele oddziału jechał król Marbad i trzeba przyznać, że stary władca przedstawiał sobą niesamowity widok. Jego srebrne włosy lśniły w słońcu, gdy przedzierał się przez orcze szeregi, wymachując Ulfshardem miotającym dokoła niebieskie płomienie. Klejnot umieszczony na rękocyści mienił się od wypełniającej go pradawnej mocy. Nawet najpotężniejszy z orków nie był w stanie przeciwstawić się sile ostrza stworzonego przez czarnoksiężski lud.

Krucze Hełmy składały się z najlepszych endalskich wojowników, nic więc dziwnego, że z łatwością radziły sobie z napierającymi na nich orkami. Unberogeńscy żołnierze bez słowa podjęli na nowo walkę, starając się połączyć siły z oddziałem Marbada.

Wiecznie głodny troll wydał z siebie ogłuszający ryk, gdy wreszcie udało mu się przedrzeć przez wojowników chroniących Sigmara i znów stanął z nim twarzą w twarz. Brzuch bestii falował, trawiąc poprzedni posiłek. Monstrualna głowa pochyliła się ponownie nad Sigmarem i olbrzymie szczęki rozwarły się raz jeszcze.

- Sigmarze! - krzyknął Marbad, wykonując zamach prawą dłonią.

Król Endalów cisnął Ulfsharda w stronę Sigmara. Błyszczące ostrze, dzieło ludu czarnoksiężników, obracając się z niesamowitą gracją, poszybowało prosto w ręce unberogeńskiego władcy.

Sigmar chwycił miecz i obrócił się na pięcie. Gdy tylko dotknął broni, ostrze rozjarzyło się niebieskim płomieniem.

Cios przeciął gardło trolla, przechodząc gładko przez jego szyję i wzbudzając przy tym ogniste rozbłyski mocy. Głowa potwora potoczyła się po ziemi, a jego ciało opadło bezwładnie.

Sigmar zaryczał triumfalnie, czując, że ten sam ogień, który płonie na ostrzu Ulfsharda, rozgrzewa jego własne serce.

Dzierżąc w każdej z dłoni broń o potężnej mocy, Sigmar przestąpił nad ciałem powalonego trolla i rzucił się na pomoc swym żołnierzom, którzy pod wodzą Pendraga przedzierali się w stronę Kruczycich Hełmów.

Wtem z dziesiątek gardeł dobiegł się okrzyk furii. Sigmar rozejrzył się i sam jęknął z rozpacz, widząc jak orki obalają na ziemię wierzchowca Marbada i stary król upada pomiędzy nieprzyjaciół.

- Marbadzie! - krzyknął Sigmar i zaczął przedzierać się w stronę przyjaciela, wyrabując sobie drogę wśród orczych ciał. Odkąd znajdował się w posiadaniu dwóch tak potężnych broni, żaden z orków nie stanowił dla niego przeszkody, ale Sigmar wiedział, że najprawdopodobniej jego pomoc i

tak przyjdzie za późno. Rozłupał czaszkę jednemu z orków, zbyt wolnemu, żeby przed nim uciec i wbił Ulfsharda w plecy kolejnego, odganiając pozostałe od pokonanego władcy.

Wreszcie dotarł do ciała endalskiego króla i ukląkł przy nim, z bólem serca dostrzegłszy straszliwą ranę ziejącą w piersi Marbada. Wokół ciała utworzyła się kałuża krwi i Sigmar wiedział, że dla Marbada nie ma już ratunku.

W plecach króla tkwiła włócznia, która przebiła płuco, a z boku sterczał wbity miecz. Wokół dwóch władców uformował się krąg złożony zarówno z Kruczych Hełmów, jak i z Unberogenów.

- Ty stary głupcze - załkał Sigmar. - Kto to widział, odrzucać w ten sposób własny miecz.

- Musiałem - zakaszłał Marbad, ściskając dłoń Sigmara. - Obiecała mi chwałę.

- I chwała należy do ciebie - powiedział Sigmar. - Jesteś bohaterem.

Marbad próbował się uśmiechnąć, ale wstrząsnął nim atak kaszlu.

- Już nie boli - szepnął. - Już dobrze.

- O tak - powiedział Sigmar, wkładając Ulfsharda z powrotem w dłonie umierającego króla.

- Zawsze obawiałem się tej chwili - powiedział Marbad, a jego głos stawał się coraz cichszy. - Ale teraz, gdy nadeszła... niczego... nie żałuję.

Po tych słowach duch króla Endalów na zawsze opuścił królestwo ludzi.

Sigmar powstał, czując, że nienawiść do zielonoskórych płonie w jego sercu mocniej niż kiedykolwiek. Rozejrzawszy się dokoła, szybko ocenił sytuację na polu bitwy. Układ sił nieco się zmienił - menogoccy wojownicy powracali na wcześniej porzucone pozycje i zabezpieczali prawą flankę.

Bitwa znowu stała się desperacką walką o każdą piędź ziemi.

Orki z rykiem wściekłości rozbijały się o ścianę ludzi i krasnoludów. Linia obrońców ugięła się momentami pod naporem napastników, ale jak do tej pory pozostawała nieprzerwana. Dzięki akcji Kruczych Hełmów oddział Sigmara mógł powrócić do głównej armii i Sigmar nie zamierzał zaprzepaścić ofiary, jaką złożył ze swego życia endalski władca.

Między wojownikami przepchnął się młody mężczyzna, w którym Sigmar rozpoznał syna Marbada. Twarz młodzieńca wyrażała straszliwy smutek.

- Ojczy - załkał Aldred, kładąc głowę Marbada na swoim kolanie.

- Pozwól, że ci pomogę.

- Nie - rzucił krótko Aldred, po czym z szeregu Kruczych Hełmów wystąpiło czterech wojowników. - Sami go poniesiemy.

Sigmar skinął głową i cofnął się, robiąc miejsce dla Endalów unoszących ciało zabitego władcy na swych tarczach.

Obserwując Krucze Hełmy oddalające się ze zwłokami Marbada, Sigmar zrozumiał, że istnieje tylko jeden sposób, w jaki może wygrać tę bitwę.

- Na bogów, człowieku, cóżeś ty sobie myślał? - zapytał gniewnie Alfgeir na widok Sigmara podbiegającego do miejsca, gdzie tkwił wbity w ziemię unberogeński sztandar. Król nie odpowiedział na pytanie, tylko wskoczył na siodło swego wałacha. Przedstawiał sobą przerażający widok, jego zbroja była w strzępach, a ciało miał pokryte ranami i skorupą zaschłej krwi.

- W ten sposób nie wygramy tej bitwy - powiedział Sigmar. - Orki wgniotą nas w ziemię, a my nie będziemy mogli ich powstrzymać.

Alfgeir już miał odpowiedzieć złośliwą ripostą, ale zobaczywszy, że oczy Sigmara płoną zimnym blaskiem, ugryzł się w język.

- Co zatem rozkażesz, panie? - zapytał.

- Wyślij posłańców do każdego z władców - zaordynował Sigmar. - Przekaż im, aby obserwowali Orle Gniazdo i poszli za moim przykładem.

- Ale czemu? - zapytał zdumiony Alfgeir. - Co zamierzasz zrobić?

Ale Sigmar zdążył już odjechać.

Rozdział 23

Narodziny Imperium

Oślonięty przez żołnierzy walczących w pierwszym szeregu, Sigmar pędził w stronę Orlego Gniazda, popędzając swego dereszowatego wałacha do jeszcze szybszego galopu. Szczęk żelaza i zapach krwi atakowały jego zmysły. Musiał się z całych sił powstrzymać, żeby nie zawrócić konia i nie ruszyć z powrotem na pole bitwy. Powtarzał sobie jednak, że walka go nie ominie, a teraz czeka na niego ważniejsze zadanie niż zwyczajne dołączenie do żołnierzy.

Dotarłszy do sterczącej skały, stwierdził, że nadano jej właściwą nazwę. Zakrzywiony kontur upodabniał głaz do szlachetnej głowy orła. Skała górowała nad środkiem przełęczy, wznosząc się mniej więcej dziesięć metrów nad ziemią. Zrozumiał, dlaczego mistrz Alaryk doradzał mu dowodzenie bitwą właśnie z tego miejsca.

U podnóża skały Sigmar zeskoczył z końskiego grzbietu i klepnął wierzchowca po zadzie, wysyłając go z powrotem za linię frontu, do oddziałów przygotowujących się do walki. Wspinaczka okazała się łatwiejsza, niż przypuszczał, ponieważ w kamiennej ścianie było sporo szpar i występów mogących posłużyć za oparcie dla dłoni i stóp.

Gdy znalazł się na szczycie Orlego Gniazda, rozejrzał się po okolicy. Jego oczom ukazał się widok na całe pole bitwy i Sigmar przez chwilę stał oszołomiony skalą rozgrywającego się pod jego stopami starcia. Znajdując się w wirze walki, można było dostrzec tylko najbliższe otoczenie, przyjaciół walczących ramię w ramię i nacierających na nich wrogów. Ale z tej perspektywy bitwa przedstawiała się jak niesamowity spektakl, w którym brały udział dwie rasy usiłujące zniszczyć się nawzajem za pomocą wszystkich dostępnych środków i sposobów.

Sigmar nie potrafił dokładnie ocenić liczby wojowników wypełniających przełęcz, ale był pewien, że nigdy wcześniej tylu ludzi nie zgromadziło się

pod jednym sztandarem. Wrogów jednakże wydawało się o wiele więcej, zalewali przełęcz gęstą masą, kotłującą się od najwyższego punktu przełęczu aż po wschodni horyzont.

Dziesiątki tysięcy ludzi stawiało czoła nieprzeliczonej orczej hordzie, ale wobec olbrzymiej przewagi nieprzyjaciela stanowili jedynie cienki mur oddzielający mroczne ziemie wschodu od pięknej i żyznej ojczyzny Sigmara, rozciągającej się na zachodzie.

Wysoko nad armią zielonoskórych jej dowódca szybował na grzbiecie czarnoskrzydłego wywerna. Zauważywszy go, Sigmar zagryzł wargi, ponieważ ogarnęło go niepoohamowane pragnienie roztrzaskania młotem czaszki odrażającego stwora.

W jego stronę poleciały goblinie strzały, ale Sigmar nie uczynił nawet najmniejszego ruchu, aby ich uniknąć. Pociski albo odbiły się od otaczających go skał, albo minęły go ze świstem i poleciały dalej. Okiem stratega, który widział już niejedną bitwę, ocenił sytuację.

Ponura prawda była taka, że ludzie nie mieli szans na wygraną.

W tym momencie jego wojownicy i tak dokonywali niemożliwego, zatrzymując nieprzeliczoną hordę zielonoskórych przy użyciu stosunkowo niewielkich oddziałów. Ale taka sytuacja nie mogła trwać wiecznie. Prędzej czy później niez mordowane orki zmęczą obrońców, chociażby dzięki temu, że mogą wysyłać do boju wciąż świeże oddziały. Mur ludzkich i krasnoludzkich ciał zostanie w końcu rozbity.

Wojownicy króla Kurgana walczyli w samym centrum pola bitwy, gdzie walka była najbardziej zażarta. Krasnoludzki władca zabijał orki z zapamiętaniem i niekłamaną radością. U jego boku walczył mistrz Alaryk, posługujący się runiczną pałką, która jarzyła się iskrzącym światłem, palącym ciało każdej istoty, która jej dotknęła.

Żaden król nie mógłby sobie zażyczyć znamienitszych sprzymierzeńców.

Wojownicy zjednoczonych plemion walczący poniżej, ujrzeli go, jak stoi na Orlim Gnieździe i zaczęli skandować jego imię, napierając na linię wroga z nowym zapałem. Żołnierze z różnych plemion walczyli ramię w ramię, niepomni dawnych uraz i podziałów. Sigmar ujrział, jak duch walki na nowo rozpala ich serca i zrozumiał, co musi teraz zrobić.

Zacisnął dłoń mocniej na rękojeści Ghal-maraza i puścił się biegiem w stronę krawędzi skały, po czym zeskoczył z Orlego Gniazda prosto w kłębowisko rozwścieczonych orków.

Alfgeir ujrawszy szaleńczy skok Sigmara, nie zdołał pohamować okrzyku, który wyrwał mu się z piersi na widok króla szybującego w powietrzu ze wzniesionym młotem bojowym. Przez chwilę miał wrażenie, że czas się zatrzymał, a widok Sigmara spadającego na orki niczym barbarzyński heros ze starożytnych sag, na zawsze wypalił mu się w umyśle.

Wszyscy wojownicy widzieli, jak Sigmar z wściekłym okrzykiem na ustach ląduje pomiędzy orkami i znika z pola widzenia.

Alfgeir stracił już jednego króla w bitwie i poprzysiągł wtedy, że nigdy nie straci następnego.

Zawrócił konia w miejscu i krzyknął:

- Białe Wilki, do mnie! Ruszamy królowi na odsiecz!

Sigmar zamachnął się młotem wokół własnej osi i ciężki obuch zgruchotał zbroję stojącego przed nim olbrzymiego orka, uzbrojonego w ociekający krwią tasak. Król Unberogenów trzymał Ghal-maraza w obydwu dłoniach z niesłabnącą siłą, mimo tak wielu potyczek, które stoczył już tego dnia. Każdemu ciosowi towarzyszył donośny, niemal zwierzęcy ryk, który dobywał się z jego gardła i dzikością dorównywał nieustannie brzęcącemu w uszach okrzykowi wojennemu orków.

Krew tryskała we wszystkie strony, gdy unberogeński władca kładł swych wrogów pokotem. Zanurzał się coraz głębiej i głębiej w ciżbę nieprzyjaciół, zachowując się jak opętany. W jego oczach płonął zimny blask, a miejsce, w którym walczył, smagały podmuchy lodowatego, zimowego wiatru.

Orki przepychały się między sobą, próbując zejść z drogi zakrwawionemu szaleńcowi, który walczył z furją większą niż jakikolwiek ork. Sigmar zabijał zielonoskórych jednego za drugim, nie poświęcając żadnemu z nich ani jednej myśli, widząc tylko wrogów swojej rasy, niosących zniszczenie wszystkiemu, co dobre i czyste. Rzeź, jakiej dokonywał na orczym plemieniu, nie miała nic wspólnego z honorem czy chwałą. Chodziło tylko o przetrwanie. Ghal-maraz wypełniał go nienawiścią do nieprzyjaciela i Sigmar miał wrażenie, że sam Ulryk wlał mu w żyły żywy ogień, sprawiając, że z jego ciała tryskały błyskawice.

Krzyczał, ale sam nie potrafił rozróżnić słów. Był całkowicie skupiony na walce na śmierć i życie. Ogarnęła go totalna furia, jednak w niczym nie

przypominająca niekontrolowanej agresji berserkerów. Była to raczej nienawiść wydestylowana do najczystszej postaci.

Chwilę po jego skoku, w miejscu, w którym wylądował, leżała setka martwych orków i wokół niego utworzyła się pusta przestrzeń. Pozostałe orki walczyły same ze sobą, próbując umknąć przed jego ciosami. Ghal-maraz pulsował od wypełniających go pradawnych mocy, których być może nie byli świadomi nawet najwspanialszy mistrzowie run, aż do chwili, gdy napędzane królewskim szałem ukazały się w przerażającej pełni.

Sigmar walczył, jakby wstąpiły w niego duchy wszystkich znamienitych przodków. Wrogom z trudem udawało się do niego zbliżyć, nie mówiąc o próbie pokonania władcy. Wypełniały go moce pochodzące z czasów, gdy świat dopiero powstawał do życia. Mięśnie w cudowny sposób nabrały wytrzymałości żelaza i siły przekraczającej wszelkie wyobrażenie.

Z ponurą zawziętością rozdzielał mordercze ciosy i posuwał się cały czas do przodu, słysząc, jak za jego plecami wzmaga się straszliwy ryk - niechybny znak, że królowie sprzymierzonych plemion wypełniali ostatni rozkaz, który przekazał im przez Alfgeira.

Serca ludzi wypełniła niezłomna duma i armia sprzymierzonych plemion uderzyła na wroga z całą pozostałą siłą i nadzieją.

Unberogeńscy czempioni ramię w ramię z Udosesami rzucili się na orki, walcząc z taką samą furią i zapamiętaniem jak Sigmar. Wolfgart potężnymi uderzeniami miecza rozcinał orcze zbroje, a Pendrag niczym berserker wycinał sobie drogę ku miejscu, w którym stał jego król.

Ostagoccy szermierze cięli orcze ciała, robiąc z nich krwawą masę, podczas gdy cheruseńskie dzikusy rzucały się z szaleńczym chichotem na nieprzyjaciół, młócąc powietrze dłońmi odzianymi w kolczaste rękawice. Asoborneńskie wojowniczkę śmigły między zielonoskórymi, dźgając ich długimi sztyletami, wyłupiając oczy i podcinając ścięgna. Tymczasem taleuteńscy jeźdźcy zeskoczyli z koni i ruszyli pieszo na wroga, wznosząc swe zakrwawione miecze.

Krucze Hełmy ruszyły do szarży z nisko opuszczonymi lancami, na które nabijały orcze ciała. Rumaki Białych Wilków tratowały kopytami zdezorientowanych wrogów, podczas gdy ich jeźdźcy rozdawali dookoła ciosy młotów, rozłupując orcze czaszki.

Berserkerzy z wrzaskiem rzucili się w wir walki, nie zważając na własne bezpieczeństwo czy życie. Król Otwin walczył na ich czele, rycząc niczym

zwierzę i zataczając swym toporem śmiertelne łuki. Myrsa ze swoimi ludźmi odzianymi w pełne zbroje płytowe wyrąbwali sobie krwawą ścieżkę pomiędzy orkami, zmiotymi z drogi za pomocą uderzeń przerażających dwuręcznych mieczy.

Po tym, jak linia frontu została praktycznie zmieciona z powierzchni ziemi za pomocą nagłego ataku, w orczych szeregach zapanowało zamieszanie.

Żaden potwór nie odważył się podejść do Sigmara, gdy ten parł niezmordowanie do przodu, zapuszczając się głębiej niż którykolwiek z jego najodważniejszych wojowników. Orki rozstępowały się przed nim niczym fale pod dziobem okrętu. Te, które widziały furję nowonarodzonego boga zemsty na własne oczy, truchlały ze strachu. Wirus paniki rozprzestrzenił się w szeregach wroga w miarę, jak wieść o niespodziewanym zwrocie akcji przedostawała się do najdalej stojących nieprzyjaciół.

Sigmar nie wiedział, ani nawet nie zważał na to, ile orków zginęło pod ciosami jego młota. Zdawał sobie tylko sprawę, że nieważne, jak wiele z nich by pokonał, to i tak zawsze będzie za mało. Nawet wspaniała szarża, którą właśnie zaprezentowali jego odważni wojownicy, miała nie wystarczyć, żeby przechylić szalę zwycięstwa na stronę ludzi. Sigmar posuwał się dalej do przodu, zostawiając swych ludzi daleko za plecami. Ich bojowe okrzyki stopniowo cichły w jego uszach, tłumione przez gniewne porykiwania orków.

Orki uciekające przed jego furją trafiały na nieprzebyty mur własnej armii. Tylne szeregi bezustannie napierały do przodu, czując zew krwi i dzięki temu Sigmar z łatwością wyłapywał uciekinierów, po czym mordował ich bez litości, tworząc wokół siebie stertę zwłok.

Ghał-maraz lśnił na polu bitwy niczym latarnia morska pośrodku zielonego morza. Dla ludzi był symbolem nadziei, dla orków znienawidzonym artefaktem, którego moc je paraliżowała. Połączone wojska dwunastu plemion walczyły jak przystało na bohaterów. Coraz więcej orków rzucało się do ucieczki przed tą niesamowitą szarżą i w Sigmarze po raz pierwszy obudziła się iskierka nadziei na wygraną.

Wtem nad polem bitwy zawisł mroczny cień, rozlewając się niczym plama oleju na powierzchni wody.

Sigmar, spojrzawszy w górę, ujrzał olbrzymie szmaragdowe skrzydła i rozwartą w ryku paszczę wywerna spadającego z nieba niczym pocisk.

Wyvern kłapnął szczęką, próbując pochwycić Sigmara, ale temu udało się uskoczyć na bok i sturlać się po stercie orczych zwłok. Wylądował na ziemi, obsypany deszczem głów i połamanych kończyn. Zerwał się na równe nogi i ujrzał wywerna lądującego na szczycie wzgórza utworzonego z ciał pokonanych przez Sigmara orków. Potwór miał olbrzymią rogatą głowę, trzy razy większą niż łeb największego byka, a jego szczękę wypełniały zębiska ostre jak cheruseńskie sztylety.

Ogromne ciało pokrywała łuskowata skóra, pod którą przeżyły się mięśnie. Wzdłuż grzbietu biegły kościste wypustki, które sięgały aż do końca ogona, ostrego niczym miecz i ociekającego czarnym, syczącym jadem. Z boków sterczały wielkie skrzydła, a gruba, węzowa szyja wiła się i przeżyła, podczas gdy głowa próbowała dosięgnąć Sigmara.

Czarne jak noc, bezduszne ślepią utkwili w Sigmarze spojrzenie wyrażające bezwzględna nienawiść.

Na grzbiecie wywerna siedział największy ork, jakiego Sigmar kiedykolwiek widział na oczy. Jego skóra była czarna jak węgiel, a ciało pokrywała zbroja skonstruowana z części żelaznego pancerza z poprzybijanymi bezpośrednio do ciała metalowymi szpikulcami. Z paszczy orka wystawały kły podobnych rozmiarów, jak te które pyszniły się w szczękach wywerna, a czerwone oczy płonęły nienawiścią cechującą tę plugawą rasę.

Nawet w oczach Vagraza Depczącego Czerepy nie było widać podobnej nikczemności. Ten watażka był wcieleniem orczej furii i złośliwego sprytu zarazem.

Ghal-maraz zapłonął w dłoni Sigmara i w umyśle króla pojawiło się imię przeciwnika: Urgluk Krwawy Kieł.

Wokół topora watażki, broni zarówno potężnej jak i niebywale potwornej, tańczyły zielone płomienie. Ostrze z gładkiego obsydianu i mistrzostwo wykonania zdradzały, że twórcą topora nie mógł być ork. Sigmar zauważył, że na rękojeści broni przeciwnika widnieją te same runy, co na Ghal-marazie, tylko okropnie zniekształcone. Promieniujące od nich zło wbiło się swymi ostrymi szponami w jego duszę.

Między dwoma najważniejszymi przeciwnikami na polu bitwy przepływały fale olbrzymiej mocy. Sigmar i Urgluk reprezentowali armie ludzi i orków. Los nie tylko tego starcia, ale i całego świata, zależał od jednego pojedynku. Sigmar zostawił swych ludzi daleko w tyle, ale pomimo

tego że był otoczony przez orki, żaden z nich nie ośmielił się zbliżyć i zakłócić tytanicznego pojedynku.

- Chodź tu i giń! - krzyknął Sigmar, wyciągając przed siebie Ghal-maraza. Pradawna broń promieniowała mocą, a emanująca z niej chęć miażdżenia ciał przeciwników była niemal fizycznie odczuwalna.

Wyvern rzucił się na Sigmara, machając skrzydłami i kłapiąc szczęką. Sigmar uchylił się i zamachnął młotem, uderzając bestię w bok głowy. Potwór zaryczał z bólu i zachwiał się, ale nie upadł.

Potężny cios grubego ogona potwora uderzył Sigmara w ramię i powalił go na ziemię. Wylądował dość niezgrabnie i poczuł, że złamał jakąś kość, ale udało mu się podnieść, podczas gdy bestia ponownie rzuciła się w jego stronę. Zanurkował pod rozwartymi szczękami i wturlał się pod szyję potwora, chwytając przy okazji porzucony przez kogoś miecz.

Zebrawszy wszystkie siły, Sigmar wbił miecz prosto w pierś wywerna. Ostrze zanurzyło się w ciele, ale zanim zdołał wbić je głębiej, bestia wzbiła się w powietrze i zaatakowała go tylnymi łapami.

Szpony, ostre niczym miecze, poharatały Sigmarowi pierś i Unberogen zawył z bólu. Uniósł młot i zaczął nim okładać nogi wywerna, zanim pazury zdołałyby rozedrzeć mu wnętrzności. Ciężko dysząc, zerwał się na równe nogi i w tej samej chwili dostrzegł bestię nurkującą w powietrzu i lecącą wprost na niego.

Sigmarowi udało się uskoczyć na bok, plamiąc piach pod nogami krwią, która obficie spływała z ran na piersi i całym ciele. Potężny król wszystkich ludzi stał pokryty skorupą zakrzepłej krwi i pozwalał, aby gniew i ból napędzały płonąca w jego sercu wolę walki.

- Chodź tu i zmierz się ze mną! - krzyknął do Krwawego Kła.

Nawet jeśli watażka usłyszał i zrozumiał jego słowa, to nie dał tego po sobie poznać. Pociągnął tylko za łańcuchy, którymi sterował bestią i z grymasem wykrzywiającym twarz wskazał na Sigmara. Szczęki wywerna otwały się tak szeroko, że mogłyby połknąć Sigmara w całości, i wydobył się z nich przerażający ryk. Bestia gwałtownym ruchem wysunęła głowę do przodu, ale Sigmar przeskoczył nad nią i wymierzył potężny cios Ghal-marazem w czaszkę potwora.

Bestia zadrżała i stanęła dęba, rycząc z bólu.

Sigmar podskoczył do wywerna i trzymając obie dłonie na trzonku młota ponownie zamachnął się, mierząc w rękojeść miecza wciąż tkwiącego w

piersi potwora. Ghal-maraz uderzył w głowicę i ostrze wbiło się głębiej w ciało wywerna, dosięgając serca i przesywając je na wylot.

Z piersi potwora wydobył się zduszony jęk i bestia runęła na ziemię, bezładnie młóćąc skrzydłami powietrze.

Sigmar ruszył do przodu, mając nadzieję, że Krwawy Kieł zostanie przygnieciony ciałem zabitego wierzchowca, ale watażka stał już pewnie na ziemi i czekał na niego. Czarny topór zatoczył w powietrzu łuk, celując w szyję Sigmara, ale królowi udało się uniknąć ciosu. Ostrze przeszło o milimetry od jego głowy i poczuł, jak skóra piecze go od żaru zielonego płomienia.

Krwawy Kieł, gdy nie siedział już na grzbiecie wywerna, wydawał się jeszcze większy. Istny kolos o ciele rozmiarów olbrzyma i umyśle owładniętym czystą nienawiścią. Monstrualne mięśnie wydymały się i prężyły pod zbroją przybitą do ciała. Otaczające ich orki zaintonowały wojenną pieśń, która w ich ustach brzmiała jak ponure zawodzenie. Przerażające, ale Krwawy Kieł zdawał się rosnąć, tak jakby brutalna moc jego pobratymców dodawała mu sił.

Przez dłuższą chwilę żaden z przeciwników się nie poruszył. Nagle Sigmar skoczył do ataku, wykonując Ghal-marazem śmiertcionośny cios, którego celem miała być głowa Krwawego Kła. W powietrzu mignęło ostrze topora blokującego uderzenie i watażka wymierzył cios pięścią w szczękę Sigmara.

Unberogen dostrzegł zbliżającą się pięść w ostatniej chwili i udało mu się uniknąć uderzenia, ale cios został zadany z taką siłą, że aż się zachwiał. Desperacko starał się odsunąć od przeciwnika, atakującego teraz ze zdwojoną furią. Czarne ostrze topora śmigało w jego stronę z niesamowitą prędkością, ale Sigmarowi udawało się uchylać i za którymś razem wreszcie wbił obuch Ghal-maraza w brzuch przeciwnika.

Gdy tylko młot dotknął ciała olbrzymiego orka, wydobył się z niego potężny jęk uwalniający niesłychane moce drzemiące w broni, które teraz znalazły idealny cel dla swej nienawiści. Krwawy Kieł chwiejnym krokiem odsunął się od Sigmara, a w jego oczach dało się zauważyć jakby ślad szacunku dla potężnego przeciwnika.

Po chwili obaj zaatakowali ponownie, młot i topór spotkały się raz jeszcze w rozpryskach niebieskiego i zielonego ognia. Krwawy Kieł miał przewagę siły, ale Sigmar był szybszy i wyprowadzał więcej ciosów.

W miarę trwania pojedynku Sigmar zaczął sobie zdawać sprawę, że podczas gdy on słabnie, jego przeciwnik dopiero się rozgrzewa. Otaczający ich chór orczych okrzyków zdawał się przybierać na sile, ale równocześnie przebijał się przez niego coraz głośniejszy odgłos bojowych zaśpiewów dobywających się z ludzkich gardeł.

Jego ludzie toczyli zażarty bój, próbując się do niego przedrzeć, a ich odwaga i męstwo dodawały mu sił.

Ork ponownie zamachnął się toporem w jego stronę i Sigmar uderzył młotem w obsydianowe ostrze, doskakując bliżej do gigantycznego orka. Pochylił się nisko, po czym wyprowadził cios w górę, uderzając z impetem obuchem Ghal-maraza prosto w szczękę Krwawego Kła.

Głowa watażki odskoczyła do tyłu, ale zanim Sigmar zdołał się wycofać, ork zacisnął łapę na jego ramieniu. Unberogen wrzasnął, czując jak potworny uścisk gruchocze mu kości. Krwawy Kiel osunął się na ziemię, ale pociągnął za sobą Sigmara, który bezskutecznie starał się wyswobodzić z potężnego uchwytu.

Krwawy Kiel wypuścił z łapy topór i chwycił Sigmara za głowę.

W tej sytuacji Sigmar również zmuszony był pozbyć się Ghal-maraza. Obie dłonie zacisnął wokół nadgarstków orka, napinając mięśnie, aby przeciwstawić się olbrzymiej sile, która lada chwila mogła zmiażdżyć mu czaszkę.

Żyły wystąpiły na jego skroniach i przedramionach, a twarz całkowicie poczerwieniała, gdy mocował się z przerażającym Krwawym Kłem.

Twarz człowieka od pyska orka dzieliło tylko kilkanaście centymetrów i Sigmar utkwilił nieustraszone spojrzenie swych dwukolorowych oczu w płonących czerwienią ślepiach Krwawego Kła.

- Nigdy... ze mną... nie... wygrasz... - wycharczał Sigmar, a moc zimowej burzy wypełniła jego ciało zimną, bezlitosną furją.

Centymetr po centymetrze odsuwał łapska orka od swojej głowy. Na twarzy Krwawego Kła odmalował się wyraz prawdziwego zaskoczenia i strachu, który dodał Sigmarrowi pewności siebie. Czuł jak odzyskuje siły, dzięki którym zdołał odepchnąć i utrzymać łapy watażki daleko od swej głowy.

Twarz Sigmara wykrzywił przerażający grymas triumfu, po czym uderzył czołem prosto w twarz watażki. Ze świńskiego nosa orka popłynął strumień krwi i przeciwnik zaryczał z frustracji. Zdawszy sobie sprawę, że nie

wystarczy brutalna siła, aby pokonać Sigmara, Krwawy Kieł uwolnił łapy z jego uścisku i sięgnął po topór.

To właśnie była sposobność, na którą czekał Sigmar.

Zamachnął się pochwyconym Ghal-marazem i z całej siły uderzył pradawnym krasnoludzkim artefaktem w pysk Krwawego Kła.

Czaszka watażki eksplodowała na tysiące odłamków kości, fragmentów ciała i mózgu. Z młota buchnął biały płomień, a Sigmar odskoczył w tył, obserwując jak pradawne moce zaklęte w broni pożerają ciało pokonanego wroga.

Oślepiający błysk na chwilę go zamroczył, ale zamrugawszy kilka razy oczami, ujrzał malujące się na twarzach otaczających go orków zdziwienie i szok. Po chwili jednak bestie otrząsnęły się i ruszyły w jego stronę, dzierżąc w łapach ostre jak brzytwy miecze.

Sigmar starał się utrzymać na nogach, ale siły szybko go opuszczały. Zakrwawione kończyny trzęsły się po tym, jak przepłynęła przez nie potężna moc. Przykucnął, próbując znaleźć na ziemi jakąś broń, z którą mógłby stawić czoła napierającym orkom, ale wokół leżały tylko połamane miecze i oderwane od drzewc groty włócznie.

Jeden z orków, olbrzym o szerokich barach, w hełmie z ciemnego żelaza sięgnął po porzucony przez watażkę topór, ale w tej samej chwili w powietrzu śmignęła strzała o białym drzewcu, która przeszła przez otwór w przyłbicy i utkwiała w mózgu potwora. W ciągu kilku następnych sekund zdezorientowane orki zostały zasypane gradem strzał, któremu towarzyszyły triumfalne okrzyki wydobywające się z ludzkich gardeł.

Sigmar spojrzał w niebo, a w oczach zalśniły mu łzy wdzięczności dla dzielnych wojowników, którzy przebiegli obok niego i zaatakowali oszołomionych przeciwników. Asoborneńskie wojowniczkę z piskiem rzuciły się na orki, a za nimi podążali Unberogenowie, Cherusenowie, Taleutenowie i Merogenowie. Turyngiańscy berserkerzy pod wodzą króla Otwiną puścili się szalonym pędem w tamtą stronę, a tuż za nimi biegli menogoccy włócznie. Kawaleria Kruczych Hełmów przy akompaniamencie tętentu kopyt wjechała między orki, mszcząc śmierć króla Marbada. Uciekających z pola bitwy nieprzyjaciół dosięgały śmiertelnie celne strzały brigundiańskich łuczniczków.

Król Wolfila wyrąbywał sobie krwawą ścieżkę między orkami za pomocą swego olbrzymiego pałasa o koszowym jelcu. Tuż za nim podążali jego

współplemieńcy, którzy atakowali orki z przerażającym rykiem.

Orcza odwaga i duch walki, chwiejące się na ostrzu noża od momentu niespodziewanej śmierci ich przywódcy, w obliczu nowego ataku zupełnie przestały istnieć. W ciągu kilku chwil potężna armia zmieniła się w spanikowany, uciekający tłum.

Tuż obok Sigmara zatrzymał się koń, ryjąc kopytami ziemię. Unberogen spojrział w górę i ujrzał nad sobą nachmurzoną twarz Alfgeira.

- Na bogów, Sigmarze! - rzucił gniewnie Marszałek Reiku. - To była najbardziej szalona rzecz, jaką widziałem w życiu.

Zanim wszyscy zielonoskórzy opuścili pole bitwy, zdążył już zapaść zmierzch. Wraz ze śmiercią Urgluka Krwawego Kła więzy zespalające orki w jedną potężną armię pękły niczym tandetnie wykuta stal. Gdy zabrakło silnej woli przywódcy, powróciły dawne animozje i orki rzucały się sobie do gardeł, nie zważając nawet na atakujących je ludzkich przeciwników.

Wyczerpani wojownicy Sigmara ścigali uciekające orki, tak długo, jak tylko starczyło im sił. Najbardziej zapamiętałe tropili dezertersów endalscy kawalerzyści, wybijając ich na rozległych wschodnich pustkowiach, na które tamci zbiegli, opuściwszy przełęcz. Pościg został wstrzymany tylko dlatego, że zaczęło się ściemniać, a ludzie byli wyczerpani po całodziennej bitwie. Słońce dawno skryło się za horyzontem, gdy triumfujący jeźdźcy powrócili do obozu na zmęczonych i pokrytych pianą wierzchowcach.

Zanim ludzie uświadomili sobie własne zwycięstwo, musiało minąć trochę czasu. Wielu żołnierzy zginęło dzisiajszego dnia, drugie tyle z pewnością wyzionie ducha od rozlicznych ran. Jednakże powrót jeźdźców do obozu dał impuls do ogólnej radości. Ludzie śmiali się i śpiewali, oszołomieni samym faktem, że udało im się przeżyć.

Sigmar obserwował swych ludzi i cieszył się ich radością. Przez obóz przetaczały się wozy wypełnione beczułkami z *ale*, zaiste bowiem była to okazja do świętowania. Ludzie i krasnoludy spędzili tę noc po zwycięstwie, rozmawiając i pijąc jak bracia, dzieląc się ze sobą opowieściami o niesamowitej odwadze i bohaterskich czynach.

Nadejdzie jeszcze czas na opłakiwanie umarłych, ale ta noc była świętem żywych.

Ci, którym udało się przetrwać, wciągali teraz w płuca powietrze, które

zdawało im się świeższe i bardziej orzeźwiającej niż wcześniej. Popijano *ale*, które przewyższało smakiem wszystkie inne trunki na świecie i rozmawiano z przyjaciółmi, którzy po tym strasznym dniu mieli stać się sobie bliżsi niż kiedykolwiek.

Przełęcz Czarnego Ognia, miejsce dzisiejszej bitwy, skąpana była w księżycowym blasku. Czując na twarzy podmuch wiatru, Sigmar uśmiechnął się, bo miał wrażenie, że oto cały świat odetchnął z ulgą, wlewając w niego obietnicę nowego życia. Krainy ludzi miały przetrwać. Pierwsze wielkie zagrożenie w ich historii zostało przezwyciężone, choć zdawał sobie sprawę, że wciąż czekają na nich bitwy do stoczenia i wrogowie do pokonania. Gdy zastanawiał się, skąd nadejdzie następny wróg, poczuł na twarzy podmuch zimnego, północnego wiatru.

Orcze zwłoki odciągano na bok i zostawiano na pożarcie padlinożercom, podczas gdy zabici żołnierze Sigmara spoczywali na wielkich stosach pogrzebowych, wznoszonych w cieniu zrujnowanej krasnoludzkiej wieży strażniczej.

Każdy stos podpalał wojownik z innego plemienia, a gdy płomienie zaczęły pożerać zwłoki poległych i ich dusze opuszczały ziemię, dążąc na dwór Ulryka, przełęcz zatrzęsała się od odbijającego się echem wycia górskich wilków.

Uczciwszy pamięć zabitych wojowników, królowie sprzymierzonych plemion utworzyli ponurą procesję i podążyli w stronę ostatniego stosu, niosąc na marach ze złotych tarcz ciało króla Marbada.

Zwłoki króla Endalów niosło sześciu władców: turyngiański Otwin, taleuteński Krugar, cheruseński Aloysius, brigundiański Siggurd, asoborneńska Freya i syn Marbada, Aldred.

Za nimi podążał Sigmar w towarzystwie udoseskiego Wolfili, merogeńskiego Henrotha, ostagockiego Adelharda i menogockiego Markusa. Każdy z władców w milczeniu niósł złotą tarczę, odprowadzając wielkiego króla na miejsce wiecznego spoczynku.

Król krasnoludów, Kurgan Żelaznobrody, stał przy wieży strażniczej i wyglądał olśniewająco w srebrnej zbroi oraz spływającym na plecy płaszczu ze złotej plecionki. Tuż za nim znajdował się mistrz Alaryk. Skłoniwszy głowę w geście szacunku, Sigmar pozdrowił przyjaciół.

Przy stosie oczekiwali na nich kapłani Ulryka, odziani w płaszcze z wilczej skóry i dzierżący płonące pochodnie. Królewską procesję

obserwowało tysiące wojowników, ale ciszy nie maćił nawet najłżejszy podmuch wiatru ani najcichszy szept.

Królowie niosący zwłoki Marbada podeszli do stosu pogrzebowego i złożyli na nim ciało. Nawet po śmierci owinięty w czarny płaszcz król Endalów wyglądał imponująco i Sigmar zdawał sobie sprawę, że władca będzie gorzko opłakiwany nie tylko w swej ojczyźnie.

Królowie ludzkich krain, rozciągających się na zachód od gór, zrobili krok w tył, po czym kapłani Ulryka cisnęli na nasączony olejem stos płonące pochodnie.

Ogień buchnął wysoko w górę i zaczął pożerać drewno, a potem królewskie zwłoki. Przez całą ceremonię Sigmar stał u boku Aldreda. Młody człowiek przypominał ojca za sprawą szczupłej sylwetki, a teraz gdy u jego boku lśnił Ulfshard, jeszcze bardziej upodobnił się do Marbada. Gdy Sigmar położył mu dłoń na ramieniu, ujrzał, że Aldred ma oczy pełne łez.

- Twój ojciec nie żyje - powiedział Sigmar, wręczając Aldredowi złotą tarczę. - Teraz ty jesteś królem Endalów, przyjacielu. Twój ojciec był mi bratem, ufam, że ty także nim zostaniesz.

Aldred nie odpowiedział, ale skłonił się sztywno przed obliczem Sigmara i ponownie utkwiał wzrok w płonącym stosie.

Sigmar pozostawił Aldreda sam na sam z jego smutkiem, po czym podszedł do króla Kurgana i stanął u jego boku. Tymczasem królowie ludzkich plemion wzniesli swe złote tarcze wysoko w górę, oddając cześć poległemu bratu.

- Ładne te tarcze - zauważył Kurgan. - Czy mi się zdaje, czy Alaryk miał coś wspólnego z ich stworzeniem?

- To prawda - przyznał Sigmar. - Mistrz Alaryk jest świetnym nauczycielem.

Alaryk skłonił się, słysząc komplement, a Kurgan ciągnął dalej:

- Młody Pendrag powtórzył mi, co rzekłeś do władców, ofiarowując im te tarcze. Nieźle to ująłeś, chłopcze, naprawdę trafny dobór słów.

- Powiedziałem tylko prawdę - odparł Sigmar. - Przecież jesteśmy obrońcami tych ziem.

- Racja - zgodził się Kurgan. - Ale wojownik potrzebuje nie tylko tarczy, ale i czegoś, czym mógłby atakować wroga. Co byś powiedział na to, gdybym kazał Alarykowi wykuć dla ciebie kilka mieczy do tych tarcz?

- Byłbym zaszczycony.

- No to jak, Alaryku, wykujesz miecze dla władców sprzymierzonych z naszym Sigmarem?

Alaryk zdawał się zaskoczony propozycją Kurgana i zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi.

- Ja... No cóż, to może być trudne...

- Dobrze, dobrze - powiedział wesoło Kurgan, klepiąc Alaryka po ramieniu. - W takim razie jesteśmy umówieni. Daję ci moje słowo, że królowie ludzkich plemion otrzymają najwspanialsze ostrza, jakie potrafią wykuć krasnoludzcy kowale, albo nie nazywam się Kurgan Żelaznobrody!

Sigmar skłonił się nisko przed królem krasnoludów, poruszony szczodrością jego propozycji. Gdy się wyprostował i ponownie skierował wzrok w stronę stosu pogrzebowego, zauważył, że tuż przed nim zgromadzili się wszyscy obecni władcy.

Każdy z nich trzymał u boku ofiarowaną przez Sigmara złotą tarczę, a na ich twarzach malowało się oddanie i lojalność wobec króla Unberogenów.

Z szeregu wystąpił Siggurd, najwyraźniej wybrany przez pozostałych na mówcę, i odezwał się tymi słowami:

- Radziliśmy o tym, co powinno teraz nastąpić.

- O tym, co powinno teraz nastąpić? - zapytał Sigmar.

- Tak - przytaknął Siggurd. - Wspólnie ocaliliśmy ludzkie królestwa przed zagładą i stworzyliśmy Imperium.

Król Brigundian skinął głową i zebrani władcy jednocześnie padli na kolana, chyląc głowy przed Sigmarem. Stojący dookoła żołnierze podążyli za królewskim przykładem i wkrótce wszyscy ludzie wypełniający Przełęcz Czarnego Ognia klęczeli przed obliczem Sigmara.

- A Imperium potrzebuje Imperatora - dokończył Siggurd.

* * *

Słowniczek

Adelhard - król Ostagotów.

Alaryk - krasnoludzki kowal run z Karaz-a-Karak.

Aldred - syn Marbada, króla Endalów.

Alfgeir - czempion króla Björna i Marszałek Reiku.

Aloysis - król Cherusenów.

Artur - król Teutogenów.

Asobornowie - plemię kobiet wojowniczek, sławnych z umiejętności walki na rydwanach.

Białe Wilki - osobista straż unberogeńskich władców, dowodzona przez Alfgeira.

Björn - ojciec Sigmara, król Unberogenów.

Bretonowie - zachodnie plemię.

Brigundianie - wschodnie plemię.

Cherusenowie - północne plemię.

Cradoc - wiekowy unberogeński uzdrowiciel.

Czarny Kiel - olbrzymi odyniec, najpotężniejszy przedstawiciel swego gatunku, napotkany niegdyś przez Sigmara i jego przyjaciół.

Eadhelm - dowódca Astofen, kuzyn Björna.

Endalowie - zachodnie plemię, najwierniejsi sprzymierzeńcy Unberogenów.

Eoforth - Unberogen, zaufany doradca króla Björna.

Fauschlag - olbrzymia góra, na której mieści się największe teutogeńskie miasto.

Freya - wojownicza królowa Asobornów.

Galin Veneva - ambasador króla Ostagotów, Adelharda.

Gerreon - unberogeński szermierz, brat Ravenny i brat bliźniak Trinovantesa.

Ghal-maraz - legendarny młot krasnoludzki, pokryty runami artefakt, który Sigmar otrzymał od króla Kurgana Żelaznobrodego jako dar za uratowanie mu życia.

Henroth - król Merogenów.

Jutonowie - zachodnie plemię doskonałych myśliwych i łuczników.

Karaz-a-Karak - największa krasnoludzka twierdza.

Kraelheim - brigundiańska osada zniszczona przez Skaranoraka.

Krucze Hełmy - elitarny oddział endalskich jeźdźców. Nazwa pochodzi od czarnych płaszczy i skrzydlatych hełmów.

Kruczy Dwór - wielki dwór endalskich władców.

Krugar - król Taleutenów.

Kurgan Żelaznobrody - Wielki Król krasnoludów.

Maedbh - asoborneńska wojowniczką powożąca rydwanem Freyi.

Marbad - król Endalów.

Marburg - największa endalska osada zbudowana na szczycie czarnej, wulkanicznej skały, w miejscu, gdzie wcześniej były ruiny starożytnego miasta elfów.

Marius - król Jutonów.

Markus - król Menogotów.

Menogoci - południowe plemię.

Merobgenowie - południowe plemię.

Myrsa - Wieczny Wojownik z Fauschlagu.

Norsowie - barbarzyńcy z północy, wyznawcy Mrocznych Bóstw.

Ogień Ulryka - wieczny ogień płonący na szczycie Fauschlagu.

Ostagoci - wschodnie plemię.

Ostvarath - miecz ostagockich królów, przekazywany z pokolenia na pokolenie.

Otwin - berserkerski król Turyngian.

Pendrag - brat miecza Sigmara, w bitwie zawsze dzierżący jego sztandar.

Pole Mieczy - plac ćwiczeń, na którym trenują młodzi unberogeńscy wojownicy.

Przełęcz Czarnego Ognia - wielka przełęcz w Górach, Krańca Świata i zarazem miejsce wielkiej bitwy między ludzką armią dowodzoną przez Sigmara a orczą hordą pod przywództwem Urgluka Krwawego Kła.

Rahotep - starożytny dowódca znany jako Wojowniczy Król Deltę i Zwycięzca Śmierci. Jego grobowiec znajduje się w brigundiańskiej puszczy.

Ravenna - Unberogenka, siostra Trinovantesa i Gerreona.

Redmane Dregor - legendarny unberogeński bohater.

Reikdorf - stolica państwa Unberogenów.

Roppsmeni - północnowschodnie plemię.

Siggurd - król Brigundian.

Siggurdheim - stolica państwa Brigundian.

Sigmar - wielki bohater i wreszcie król Unberogenów. Przepowiednia nazywa go Dzieckiem Gromu.

Skaranorak - krasnoludzka nazwa przerażającego smoczego ogra zamieszkującego w górach.

Smoczy Miecz z Caledfwlch - miecz Artura, wykuty przez tajemniczego szamana z kawałka błyskawicy zamrożonej oddechem lodowego smoka.

Szare Pustkowia - ponury podziemny świat między życiem a śmiercią, gdzie blakają się dusze zmarłych.

Taalahim - stolica państwa Taleutenów i główna siedziba ich władcy, Krugara.

Taleutenowie - wschodnie plemię znakomitych jeźdźców, wynalazców siodła ze strzemionami.

Teutogenowie - ludzkie plemię, wrogowie Unberogenów.

Trinovantes - unberogeński wojownik, brat Ravenny i brat bliźniak Gerreona.

Turyngianie - zachodnie plemię berserkerów.

Udosesi - północne plemię z wybrzeża.

Ulfdar - Turyngianka, berserkerka.

Ulfshard - legendarny miecz zabijający demony, podobno wykuty przez elfy. Własność króla Endalów, Marbada.

Unberogenowie - plemię Sigmara.

Urgluk Krwawy Kiel - potężny orczy watażka i przywódca zielonoskórych w bitwie w Przełęczu Czarnego Ognia.

Wiedźma z Brackenwalsch - tajemnicza i enigmatyczna postać zamieszkująca bagna Brackenwalsch, obdarzona mocą przepowiadania przyszłości.

Wolfgart - brat miecza Sigmara, unberogeński wojownik.

Wolfila - król Udosesów.

Wzgórze Wojowników - święte wzgórze cmentarne Unberogenów.

Żniwiarz Dusz - topór o dwóch ostrzach należący do króla Björna.